



Abigail Gibbs

# MROČZNA BOHATERKA

STEPHENIE MEYER MA POWAŻNĄ RYWAŁKĘ.  
JEST NIĄ BRYTYJSKA PISARKA ABIGAIL GIBBS.

„SKY NEWS”



Jesienna Róża

Abigail Gibbs



MROČZNA  
BOHATERKA

Jesienna Róża

PRZEŁOŻYŁ  
Stanisław Bończyk

WARSZAWSKIE WYDAWNICTWO LITERACKIE  
MUZA SA

Tytuł oryginału: ***The Dark Heroine: Autumn Rose***

Projekt okładki: *Paweł Panczakiewicz/PANCZAKIEWICZ ART.DESIGN*

Redakcja: *Jacek Ring*

Redaktor prowadzący: *Ewa Orzeszek-Szmytko*

Redakcja techniczna: *Andrzej Sobkowski*

Skład wersji elektronicznej: *Robert Fritzowski*

Korekta: *Maria Śleszyńska*

Zdjęcia wykorzystane na okładce

© svetikd/Getty Images

© Mel-nik/Shutterstock

© 2014 by Abigail Gibbs

Through arrangement with the Mendel Media

Group LLC of New York

© for the Polish edition by MUZA SA, Warszawa 2014

© for the Polish translation by Stanisław Bończyk

ISBN 978-83-7758-856-7

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

Warszawa 2014

Wydanie I

*Aniele, wpraw mnie w niemy zachwyt, pókim młoda.*

*Uczyń mnie niezdolną do krzty namysłu.*

*Niech obrócę się w pierwotną, pradawną radość.*

*Jestem i będę Twoja,*

*aż po dzień, w którym wezwie mnie Pan.*

# Spis treści

PROLOG

ROZDZIAŁ PIERWSZY Jesienna Róża

ROZDZIAŁ DRUGI Jesienna Róża

ROZDZIAŁ TRZECI Jesienna Róża

ROZDZIAŁ CZWARTY Jesienna Róża

ROZDZIAŁ PIĄTY Jesienna Róża

ROZDZIAŁ SZÓSTY Jesienna Róża

ROZDZIAŁ SIÓDMY Fallon

ROZDZIAŁ ÓSMY Jesienna Róża

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY Jesienna Róża

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY Jesienna Róża

ROZDZIAŁ JEDENASTY Jesienna Róża

ROZDZIAŁ DWUNASTY Fallon

ROZDZIAŁ TRZYNASTY Jesienna Róża

ROZDZIAŁ CZTERNASTY Jesienna Róża

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY Jesienna Róża

ROZDZIAŁ SZESNASTY Fallon

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY Jesienna Róża

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY Jesienna Róża

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY Jesienna Róża

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY Jesienna Róża

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY Jesienna Róża

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI Fallon

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI Jesienna Róża

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY Jesienna Róża

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY Jesienna Róża

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY Jesienna Róża

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY Jesienna Róża

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY Jesienna Róża

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY Fallon

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY Jesienna Róża

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY Jesienna Róża

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI Jesienna Róża

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI Jesienna Róża

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY Jesienna Róża

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY Fallon

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY Jesienna Róża

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SIÓDMY Jesienna Róża

Podziękowania

Przypisy

MUZA S.A. 8825\_8499



## PROLOG

*Od zawsze, tak sędzę, wiedziałam, że nie jestem jak inni;  
że przeznaczenie moje wykuto w kamieniu i że pewnego dnia  
przyjdzie mi zasiąść na zimnym jak lód tronie – symbolu tego,  
kim jestem. A jestem bóstwem pośród mego rodzaju.*

*Bóstwem pośród wielu.*

Byłam nieprzytomna. Znów wołałam ją po imieniu w języku znanym mi równie dobrze jak trawa wokół i cień rzucany na ścieżkę przez wysoki kamienny budynek. Strugi łez płynęły mi po policzkach, gdy z trudem wspinałam się po schodach, cały czas słysząc stłumione, niewyraźne słowa dobiegające zza zamkniętych drzwi. Mój płacz wzmagął się jak nurt pobliskiego strumienia po zimowych ulewach. Toporne, wyczyszczone na błysk szkolne pantofle zaskrzypiały żałośnie na posadzce, gdy przez podwójne drzwi wtargnęłam do środka, żeby ujrzeć po tysiącokroć widziany obraz: setki zwracających się w moją stronę twarzy, a zaraz potem – czerń. Bez tchu, choć był to sen, czekałam, aż scena rozegra się w ten sam co za każdym razem sposób.

Stało się jednak inaczej: nie obudziłam się jak zawsze w wilgotnej pościeli, złana zimnym potem, z policzkami mokrymi od łez. Zamiast tego roztoczyła się wokół mnie nowa scena. Oto wyrasta przede mną wysoka statua, blady w odcieniu bruk i woda w dwóch jednakowych fontannach skrzę się blaskiem promieni słonecznych. Wtem, jak gdyby ktoś włączył przewijanie na podglądzie, wszystko przyspiesza. Przyglądam się unieruchomiona, jak setki zakutych w garnitury mężczyzn i turystów z aparatami pędzą z jednej strony placu na drugą. Chmury żeglują po szarym, kipiącym oceanie nieba, a plac wraz z przechodzeniem dnia w noc pogrąża się w ciemnościach. Nelson rozbłyska jasno na swojej kolumnie. Wokół z każdą chwilą ubywa przechodniów. Aż wreszcie życie na Trafalgar Square zanika. Ostatnim jego znakiem są teraz siedząca samotnie dziewczyna i kilka gołębi.

Obraz zwalnia. Zbliżenie na dziewczynę. Jej twarz okalają ciemne włosy. Ma na sobie lekko rozchyłony na dekolcie czarny płaszcz, spod którego wystaje na dole rąbek czarnej spódnicy. Dziewczyna co kilka minut poprawia ją, ciągnąc w dół. Nie jest blada, ale nie sposób też nazwać jej opaloną. Najbardziej niezwykły element całego jej wyglądu to jednak oczy, oczy o purpurowym odcieniu, lśniące ponad wyświetlaczem przyciśniętego do ucha telefonu komórkowego.

Wsuwa komórkę do kieszeni i przesiada się na jedną z kamiennych ław pod okalającym plac szpalerem drzew. Po minucie podrywa się spięta i zaniepokojona.

Scena urywa się raptownie, ustępując miejsca kolejnej. Ciemna, krzepnąca czerwona ciecz rozlewa się po ziemi i jak wino barwi wodę w fontannach. Wokół stosy ciał. Z odrazą patrzę, jak z ich sztych uchodzi życie i energia. Uchodzi, by rozlać się po ulicach miasta, które znam i kocham, miasta, z którego mnie wyrwano.

Bolesny powrót świadomości – usiadłam w łóżku i sięgnęłam po budzik, chcąc sprawdzić, która godzina. Zdziwiłam się, widząc, że ledwie minęła pierwsza w nocy.

Spocona chciwie wdychałam powietrze, oświetlając światłem cyferblatu ciemny pokój. Nikogo w nim nie było, ale ja za każdym mrugnięciem widziałam krew, zwłoki i purpurowe oczy.

Jęknąwszy na wspomnienie odcisniętych w moim umyśle obrazów, wzięłam do ręki długopis i sięgnęłam do wiszącego nad łóżkiem kalendarza. Skreśliłam rozpoczynający się dzień – kolejny



dzień błyskawicznie dobiegających końca wakacji, 31 lipca.

MUZA S.A. 8825\_8499

*Jesienna Róża*

– No! Jest nasz samotnik!

– Dzień dobry, Nathan. – Chwyciłam ciśnięty w moją stronę fartuch i zawiązałam jego paski za plecami.

– Słyszałaś, Sophie? – zwrócił się do jednej z nowo zatrudnionych młodych kelnerek. Dziewczyna trzymała w rękach stos białych, świeżo umytych talerzy, które znacznie od niej starszy Nathan wyciągnął właśnie ze zmywarki. – Powiedziała „dzień *dobry*”. Co za odmiana.

Utkwiłam wzrok w dziewczynie, próbując ustalić, czy już się poznałyśmy, czy po prostu Sophie nie różni się niczym od reszty żeńskiego, wbitego w rurki i wytapetowanego na pomarańczowo sobotniego personelu.

– Dlaczego niby „samotnik”? – spytałam, nie przestając się w nią wpatrywać. Gdy odwzajemniła spojrzenie, na jej skronie wystąpił pot. Zaczęła nerwowo bębnić palcami o brzeg talerza na spodzie. Kiedy minęłam ją, by sięgnąć po stos menu, gwałtownie obróciła się w tył i aż zakwicziała z przerażenia, wypuszczając z rąk talerze.

*A więc nie spotkałyśmy się wcześniej.*

Pstryknięciem palców zawróciłam zmierzające w stronę podłogi naczynia i skierowałam je na blat, po czym nie dając dziewczynie czasu na reakcję, wyszłam z ciasnej kuchni. Udałam się do frontowej części Harbour Café i przewróciłam zawieszkę na drzwiach na stronę „Otwarte”. Był koniec sierpnia i pomimo wczesnej pory turyści zaczęli już zapełniać alejkę prowadzącą z roboczej części portu do elegantszej sportowej mariny. Z oddali widziałam, jak między pirsami przeciskają się ciągnące za sobą rybny zapach trawlerzy. Przeszklona fasada kawiarni nie chroniła ani przed tą wonią, ani przed brzękiem olinowania uderzającego o maszty i wrzaskami mew, które krążyły tłumnie nad kutrami, licząc, że załapią się na kasek z dzisiejszego połowu. Była to nieodłączna ścieżka dźwiękowa wszystkich poranków w ruchliwym porcie Brixham.

Nathan wysunął się z za lady i podszedł do mnie w kilku skocznych krokach. Był wysoki i wąły, poruszał się raczej miękko. Teraz przepaszająco pochylił głowę.

– Przed twoim przyjściem mówiła mi, że nigdy nie widziała Mędrca.

Wzruszyłam ramionami. Reakcja dziewczyny ani trochę mnie nie zaskoczyła. Pracowałam w tej knajpie od roku i przez cały ten czas tylko Nathan i ja byliśmy stałym personelem. Każda nowa osoba najpierw obchodziła mnie szerokim łukiem, a potem dość szybko rezygnowała. Miałam nadal tę robotę, bo szefowa wiedziała, że na sucho ujdzie jej płacenie mi mniej niż innym. I tak nie odważyłabym się podskoczyć – ona jedyna w całym mieście gotowa była dać mi pracę.

Kiedy chciałam go minąć, Nathan oparł wytatuowaną lewą dłoń na mojej ręce.

– Powiedziałem „samotnik”, bo przez kilka miesięcy nie odpisywałaś na SMS-y.

– Ty byłeś na Islandii, a ja w Londynie.

– I tak mogłaś coś odpisać.

Chwyciłam go za rękaw czarnego kucharskiego uniformu i odsunęłam jego dłoń. Uwolniwszy się, zaczęłam rozkładać na stolikach menu z wkładką na temat oferty dnia. Nathan cały czas dreptał za

mną.

– I jak ta Islandia? – spytałam w końcu, chcąc przerwać ciszę.

– Piękna. I demokratyczna.

Westchnęłam i przewróciłam oczami, nie odwracając się do niego.

– Ludzie i Mędracy żyją tam razem. Nie ma podziałów jak tutaj... – wyprostowałam się, by zobaczyć, jak wskazuje kciukiem kuchnię – i wszędzie indziej – dodał zaraz, jak gdyby po namyśle.

Już wcześniej słyszałam u niego podobny ton, gdy mówił o relacjach między ludźmi i Mędracami. Wiedziałam, że długo odkładał na ten wyjazd, więc nie chciałam ostro przerywać jego gadania. W końcu jednak nie wytrzymałam...

– Mędracy?! Tam mieszkają tylko Extermino.

Nie widziałam dobrze jego oczu, ukrytych za kręconymi, sięgającymi niemal do ramion brązowymi włosami, ale zdawało mi się, że odwrócił spojrzenie.

– Extermino to też Mędracy. Mędracy, którzy po prostu wierzą w co innego.

– O tak, a te ich szare blizny to stąd, że radośnie bawią się z ludźmi w dom – zakpiłam, choć wcale nie uważałam tematu za zabawny. – Nathan, to są brutalni ekstremiści, groźni rebelianci. Są wrogami monarchii atheneńskiej i wszystkich mrocznych istot. Nie zapominaj o tym.

Spojrzał w ziemię i poprawił podwinięte rękawy.

– Nie uważam po prostu, żeby układ, który tu mamy, był aż taki cudowny. Marginalizuje się osoby takie jak ty i...

Przerwał mu dźwięk dzwonka. Odwróciliśmy się przestraszeni w kierunku wejścia, zupełnie jakby pojawienie się klientów było czymś niepokojąco niecodziennym. Trzy dziewczyny w drzwiach również z początku się wystraszyły, jednak zaraz ruszyły do stolika przy oknie.

– Powodzenia – wymamrotał Nathan i wycofał się do kuchni.

Wzięłam głęboki wdech, wyciągnęłam notes i podeszłam do gości.

– Dzień dobry, co dla was? – zaczęłam, udając, że pierwszy raz widzę je na oczy.

Siedząca najbliżej mnie dziewczyna odrzuciła włosy za ramię i przyjrzała mi się spod gęstej grzywki. Była wysoka i miała szerokie ramiona. Nie musiałam prawie pochylić głowy, by nasze spojrzenia się spotkały.

– To co zawsze, wiédźmo.

Ścisnęłam w dłoni długopis, starając się myśleć o falach uderzających za oknami o portowe falochrony.

– Nie było mnie przez miesiąc. Przykro mi, Valerie, ale nie pamiętam już, co ty i twoje przyjaciółki zamawiałyście – wycedziłam przez zaciśnięte zęby.

Valerie Danvers nie sposób było opisać inaczej niż jako gnojącego innych szkolnego osiłka. A konkretnie – gnojącego mnie.

To, czym się żywiła, było dla mnie dowodem jej nędzy. Nie wzięła nawet jednej cholernej kawy.

Wymamrotała do koleżanek coś kąśliwego o Mędracach, po czym tonem pretensji złożyła zamówienie, domagając się, żeby przynieść jej pół porcji. Pozostałe dziewczyny nie były wiele miłsze.

Gdy przyniosłam im napoje, podziękowały zwyczajowym warknięciem. Minutę później stałam już w łazience oparta plecami o drzwi, zmuszając się do kolejnych głębokich wdechów. Ten poranny sobotni rytuał powracał od dnia, w którym Valerie Danvers odkryła, że kawiarnia to idealne miejsce do tego, by się nade mną pastwić.

Przez zamknięte oczy widziałam sylwetkę kobiety – mojej babci, starzejącej się już, ale wciąż w świetnej formie. Pochylała głowę ku sięgającej jej do pasa dziewczynce i mówiła. Jak zawsze mówiła.

*Wy, dzieci Mędrców, jesteście jak bluszcz, szybko rośniecie i żyje cie bardzo długo. Ludzkie dzieci są jak motyle. Póki nie osiągną dorosłości, pozostają brzydkimi poczwarkami. Brzydka poczwarka zazdrości bluszczom. Rozumiesz?*

Zacisnęłam powieki. Oddychaj, powtarzałam w myślach.

Łomotanie do drzwi sprawiło, że boleśnie się ocknęłam. W ciasnym pomieszczeniu było wciąż ciemno, ale zaraz sięgnęłam do przełącznika i przestrzeń wokół wypełniła się sterylnym, bladym światłem.

– Róża, wiem, że to ty! Wyłaź stamtąd!

– Nathan... – wyjęczałam. Po co mnie męczył? Doskonale przecież wiedział, jak potwornie upierdliwa jest Valerie.

– Na zewnątrz coś się dzieje!

Poczułam pod skórą przypływ ciepła i drżenie – to magia i krew napływały do moich dłoni. Ściany nie odgradzały mnie już od otoczenia... bo usłyszałam właśnie z oddali bicie serca, prędkie i wciąż nabierające tempa... to nie było ludzkie serce.

Otworzyłam drzwi i wyjrzałam na zewnątrz. Błady Nathan stał po przeciwległej stronie sali; w kawiarni nie było poza nim nikogo. Po chwili zobaczyłam Valerie i jej koleżanki przechylone przez portową barierkę i przyglądające się poruszeniu po drugiej stronie szlaku wodnego.

Wybiegłam na zewnątrz. Ciepło mojej skóry natychmiast przegnała zimna bryza. Ale i w sercu zaraz poczułam lodowate ukłucie. Pirs naprzeciwko mnie spowity był zwartym tumanem mgły – zupełnie jakby rozpalono ogień, a dym sponad płomienia okleił mur. Tyle że ten „dym” raz po raz rozbłyskał, a z jego głębi dobiegały wołania o pomoc uwieczonych wewnątrz ludzi.

Zamarłam. Racjonalna część mojego umysłu wiedziała, że powinnam im pomóc, jednak nogi odmawiały mi posłuszeństwa.

Wtem Nathan minął mnie biegiem i popędził w kierunku, z którego dobiegały krzyki. Jego widok dodał mi sił. Strach uleciał. Wzbiłam się w powietrze, przeleciałam nad kanałem portowym i wylądowałam tuż przy tumanie mgły.

Zupełnie nie wiedziałam, co przed sobą mam. Bałam się uderzyć czarem w tę dziwną chmurę, by przypadkiem nie zranić kogoś z uwieczonych wewnątrz. Zamiast więc zaatakować, ostrożnie wysunęłam przed siebie palec, w drugim ręku trzymając w pogotowiu kulę ognia.

Moja dłoń była o centymetry od celu. Miałam wrażenie, że wsuwam ją właśnie pod drobną mżawkę. Gdy jednak opuszki palców zetknęły się z powierzchnią mgły, nie osiadła na nich wilgoć...

Jakby ktoś rozdzierał płótno, tak granica pomiędzy wymiarami rozpruwała się na moich oczach. By ją przekroczyć, trzeba było jednak magii, i to potężnej. Słabe mroczne istoty i ludzie nie byli w stanie jej sforsować.

Poczułam narastające przerażenie, gdy zorientowałam się, z jakim wrogiem mam do czynienia: to nie był ktoś, z kim dałabym radę walczyć.

Przyciąganie granicy wymiarów próbowało szarpnąć mnie ku sobie. Zachwiałam się i z całych sił zaparłam. Minął ułamek sekundy i chmura zniknęła gwałtownie wewnątrz czarnej dziury, po której chwilę później również nie pozostał ślad. Nie miałam najmniejszych szans dostrzec, kto ją wytworzył.

Widok, który ukazał się teraz moim oczom, był przerażający. Miałam przed sobą jakieś dziesięć osób: większość leżała lub siedziała skulona na ziemi, niektórzy krwawili. Wszyscy bez wyjątku mrugali oszołomieni i oślepieni słońcem. Pośrodku na wznak leżał mężczyzna. Wokół jego głowy rozlała się kałuża krwi, ale poza tym na jego ciele nie było choćby jednego zadrapania.

Jakaś kobieta pochyliła się nad nim i szarpała go za ramiona, inna ścisnęła palcami jego nadgarstki. Po chwili wyciągnęła dłoń i położyła ją na ręce tej pierwszej, smutno kręcąc głową.

– Zrób coś! – zażądał Nathan, który właśnie dobiegł na miejsce.

Dopiero teraz ludzie wokół podnieśli wzrok i mnie zauważyli.

– Nathan, on nie żyje. Ja nie mogę...

Spojrzał na mnie gniewnie i popchnął lekko do przodu.

– Jesteś Mędrce. Możesz wszystko.

Spojrzałam na leżącego na kamieniu mężczyznę. Kręciłam głową, czując, jak łzy napływają mi do oczu. *Dlaczego Nathan to robi? Przecież wie, że nie wolno mi wskrzeszać zmarłych!*

– To twój obowiązek – naciskał.

Kobiecie udało się powstrzymać szloch na tyle, że zdołała się odezwać:

– Mieli... szare blizny... było ich dwóch. Uderzyli go czarnym światłem.

*Szare blizny – a więc Extermino! A czarne światło oznaczało klątwę śmierci.*

– Przepraszam, naprawdę nie mogę...

Cofnęłam się. Nic nie zdołam zrobić. Nie potrafiłabym pomóc, nawet gdyby nie paraliżował mnie strach przed Extermino... *pojawiającymi się w Brixham i atakującymi ludzi.* To zajście nie miało sensu. Coś mi mówiło, że prawdziwym celem ich ataku musiał być Mędrzec. Tymczasem jedyną taką istotą w promieniu wielu kilometrów byłam ja.

Kobieta krzyczała i w dalszym ciągu potrzasała ciałem mężczyzny. Nie mogłam dłużej na to patrzeć. Opuściłam tę upiorną scenę, wzbijając się w powietrze i zostawiając za sobą Nathana z rozdziawionymi ustami.

## ROZDZIAŁ DRUGI

# Jesienna Róża

Staż uczniowski. Notatka: „Moje życie i cele”.

Nazywam się Jesienna Róża Al-Summers. Jestem Mędrcom i niedługo skończę szesnaście lat. Jako strażniczka mam w życiu jeden cel: chronić ludzi, w szczególności uczniów Kable Community College, przed Extermino. Extermino to grupa Mędrców, która nie chce podporządkować się naszemu królowi. Popołniają oni tak straszne czyny, że ich blizny stały się szare.

Moja babcia, u której mieszkalam przez ostatnich osiem lat w St. Sapphire w Londynie, niedawno zmarła. Ponieważ według ludzkiego prawa jestem niepełnoletnia, muszę teraz mieszkać z rodzicami w sennym nadmorskim miasteczku w hrabstwie Devon. To chyba najbardziej opuszczone przez Mędrców miejsce na ziemi.

Mędrcy, mój lud, jest przez ludzi z tego wymiaru wyśmiewany lub traktowany jak zagrożenie. Istoty ludzkie świadomie negują istnienie i wartość naszej kultury. Doskonałym tego przykładem są moje doświadczenia jako strażniczki w Kable. Jestem tu od roku i przez cały ten czas doświadczam niezliczonych złośliwości i prześladowań. Mam tu bardzo niewiele przyjaciół.

Na szczęście rozpoczynam właśnie ostatni rok obowiązkowego cyklu nauczania. Muszę wytrzymać jeszcze tylko dziesięć miesięcy nauki narzuconej ludzkimi przepisami. Kiedy miną, zakończę wreszcie obowiązkową dwuletnią służbę jako strażniczka i uwolnię się na dobre od tego systemu. Nienawidzę tego miejsca, jednak nalega Pan, żebym tkwiła tu aż do matury. Zapewniam: prędzej Potępieni porzucą swoje sztylety, niż tak się stanie.

Wróćmy do mnie. Mam blond włosy z kasztanowymi smużkami. Dodam, że to naturalny kolor. Moje oczy mają bursztynowy odcień. Moje nogi są za krótkie. Bardzo łatwo spiekam się na słońcu (tu ma Pan krótkie, proste zdania, których podobno brakuje w moich wypracowaniach).

A co jest najgorsze ze wszystkiego? (Zastosowałam pytanie retoryczne. Czy teraz piszę już tak, jak wymagają w sylabusie?) To, że jako Mędrca łatwo wytknąć mnie palcem i wziąć na cel? A może to, że na każdym kroku daję mi odczuć, iż nie należę do rasy ludzkiej?

Najgorsze są blizny.

Wszyscy Mędrcy noszą je po prawej stronie ciała. U każdego z nas są inne, tak jak odciski palców. To przypomnienie, kim jesteśmy, co w sobie nosimy i czym władamy.

To tyle. Tak wygląda moje życie.

PS Odmawiam pisania prac na maszynie. Pan sam (i egzaminator, jeśli moja praca zostanie uznana za zbyt ostro brzmiącą) będzie musiał „rozszyfrowywać”, jak to Pan ujął, ten elegancki, ozdobny charakter pisma, który wpajają mi od szóstego roku życia. Poza tym uważam całe to ćwiczenie domowe za obrazę mojej inteligencji. Całość kursu można było zmieścić w połówce lekcji. Robienie z tego pracy domowej na lato było zupełnie niepotrzebne.

Raz jeszcze przebiegłam wzrokiem po zapisanej kartce. Zwykle brednie. Szczere i prawdziwe brednie, ale i tak wiedziałam, że taką tyradą załatwię sobie zatrzymanie po zajęciach lub przynajmniej upomnienie. Pokusa narobienia zamieszania była jednak zbyt silna. To ona sprawiła, że wsunęłam kartkę do plastikowej koszulki, a tę włożyłam do szkolnej torby. Byłam teraz gotowa na rozpoczęcie

nowego roku.

Wróciłam przed lustro i sięgnęłam po szczotkę. Przeciągnęłam nią po moich gęstych włosach, krzywiąc się z bólu, gdy ząbki przebijały się przez blond płataninę, którą miałam na głowie.

Stwierdziłam po chwili, że nie chce mi się prostować włosów. Wymamrotałam kilka słów i spokojnie patrzyłam, jak same się wygładzają. Podkreśliłam oczy kredką, po czym chwyciłam teczkę i wybiegłam z domu. Zeskoczyłam ze wszystkich schodów naraz. Jeszcze chwila i się spóźnię.

– Mamo, nie musisz mnie wieźć na prom! Polecę!

Ponieważ nie padła żadna odpowiedź, zakradłam się do pustej – jak się okazało – kuchni i wpakowałam sobie do ust świeżo zrobioną grzanekę.

– Mamo! – usiłowałam zawołać, ale podkradzione śniadanie dość skutecznie mnie kneblowało.

– Jestem w salonie! – usłyszałam jej głos. Pobiegnęłam w głąb holu i nacisnęłam klamkę, by zastać matkę zwiniętą na kanapie z laptopem na kolanach. Energicznie wystukiwała coś na klawiaturze, a ja aż skrzywiłam się na widok ciągów cyfr i symboli na ekranie.

– Lecę do szkoły!

Westchnęła, po czym odsunęła komputer na bok, wstała i cmoknęła mnie w policzek. Zauważyła natychmiast wyraz mojej twarzy i zamknęła laptopa.

– To do pracy. Tak à propos, przez większość tego tygodnia będziesz sama. Tata i ja jedziemy pracować do Londynu. Żadnych ostrych imprez, jak nas nie będzie, jasne?

Westchnęłam poirytowana. Przy matce często mi się to zdarzało.

– Nawet nie mam po co planować imprezy. I tak nikt by nie przyszedł.

– Hmm – zamruczała w odpowiedzi, mierząc mnie krytycznym spojrzeniem. – Tak czy siak, bądź grzeczna. Najprawdopodobniej wyjadę, zanim wrócisz ze szkoły, ale masz w zamrażarce stertę jedzenia. Jest pizza i farsz, gdybyś chciała zaprosić dziewczyny. Nie będziesz raczej musiała iść po zakupy. W czwartek wracamy... Róża, czy ty mnie w ogóle słuchasz?

Koncentrowałam się na układaniu zaklęcia, które przeniesie do szkoły moją teczkę, więc jasne było, że nie słucham.

– Jestem pewna, że jakoś przeżyję parę dni. W sumie nie pierwszy raz wyjeżdżacie, prawda?

Teczka rozpląnęła się w powietrzu, a ja wróciłam do holu. Chwyciłam opartą o stojak pochwę i przytroczyłam ją do biodra. Poczułam u boku znajomy ciężar miecza. Normalnie nie brałabym ze sobą ani jego, ani też noża, który zaraz uzupełnił mój rynsztunek. Dziś był jednak pierwszy dzień semestru. Nie zaszkodzi zadbać o pozory i zrobić wrażenie na nowych uczniach. Obciągnęłam bluzkę, o kilka centymetrów podwinęłam spódniczkę i wsunęłam na nogi cienkie czółenka. Na koniec poprawiłam latający bezładnie kosmyk włosów.

– Nie rozumiem, po co ty to robisz – powiedziała moja matka, zajrzawszy do holu. – Wyglądasz pięknie bez makijażu, a kiedy dasz włosom się zakręcić, przypominasz babcię sprzed lat. – Oparła dłonie na moich barkach i zaczęła delikatnie je pocierać. Zrzuciłam je wzruszeniem ramion.

*Jestem zapalczką w ciemnościach, a ona to latarnia elegancji i wyczucia. Potrzyj mnie, a może na ułamek chwili zabłyszczę. Ona może świecić godzinami.*

– Wyglądam tak samo jak wszystkie dziewczyny. Nie rób z tego sprawy.

Cofnęła się.

– Rózo, naprawdę nie musisz nosić makijażu i krótkich spódniczek, żeby dopasować się do reszty. Bądź sobą, a inni cię zaakceptują.

Mogłam się tylko szyderczo uśmiechnąć. Ominęłam spojrzeniem lustro, bo wiedziałam, że odbija blizny pokrywające cały mój prawy bok. Wiły się pod moimi rajstopami, krwistoczerwone, przy zwięzieniach na końcach wpadając w burgund. *Jak czerwony baron w ogrodzie*, powtarzała zawsze babcia, *Imperata cylindrica. Ucz się, dziecko, łaciny*. Na moich rękach barwa blizn przechodziła w ochrę i żółć, by wreszcie na twarzy wpaść w odcień bladozłoty.

– Jest jeden kłopot: bycie sobą to w moim przypadku bycie Mędrce. A Mędrców nikt tu nie lubi.

Podciągnawszy spódniczkę jeszcze wyżej, by podkreślić swoje zdanie, oparłam dłoń na klamce.

– Weź chociaż to. Ma padać. – Matka sięgnęła do wieszaka, zdjęła z niego płaszcz i podsunęła mi. Wpatrywałam się w niego jak w mającą zaraz wybuchnąć bombę, póki nie dała za wygraną i nie opuściła wyciągniętej ręki. Moje poirytowane spojrzenie przeniosło się teraz z płaszcza na matkę.

– Nie będzie padać.

– I tak powinnaś go wziąć.

– Nie będzie padać – powtórzyłam, wciąż na nią patrząc.

– Ale w prognozie mówili...

– Mamo, moja magia pochodzi z żywiołów. Naprawdę wiem, czy będzie padać, czy nie!

Jedno pstryknięcie i nad czubkiem mojego palca wskazującego błysnęła iskra. Przywykła do mojej niestabilności emocjonalnej matka oparła tylko dłonie na biodrach. Wiedziałam, że grozi mi wykład o zagrożeniu pożarowym. Nie miałam ochoty zostawać tu ani chwili dłużej i słuchać go, więc otworzyłam drzwi i ruszyłam przed siebie pomiędzy zaniedbanymi w ostatnich tygodniach, nadmiernie rozrośniętymi fuksjami.

– Nie życzę sobie w tym domu takiego zachowania! Słyszysz, Rózo Summers?! Mam dosyć twojego braku szacunku!

Zamknęłam za sobą białą furtkę ogrodu. Wyszłam na chodnik okolony dębami i klonami, których liście poddawały się już pomału jesieni. Odczekałam, aż skobel opadnie do pozycji zamkniętej.

– Mam na nazwisko Al-Summers, nie Summers!

Jeszcze moment i przestałam ją widzieć. Przysłonił ją rosnący we frontowym ogródku klon. Tylko trzaśnięcie drzwi dało mi znać, że mnie usłyszała.

*Twoja matka nie jest jak my, Jesienna Rózo. Jest człowiekiem. W jej żyłach nie płynie krew Mędrców, którą masz ty i twój ojciec.*

*Przecież ojciec nie umie czarować, babciu.*

Idąc przed siebie chodnikiem, czułam, jak mój nastrój z każdą sekundą się pogarsza. Ani trochę nie uśmiechała mi się perspektywa pierwszego dnia szkoły.

*Magia omija czasem jedno pokolenie.*

Karą od losu – tym był mój pobyt w Kable. Nienawidziłam każdej spędzonej tam godziny, wszystkich tych dni pełnych jadu docinków, szeptów i gapienia się na mnie. No i tej aury strachu, która ciągnęła się za mną jak chmura deszczowa.

*Ale dlaczego, babciu?*

Do tego jeszcze program szkolny realizowaliśmy w żółwym tempie. No, ale nauczyłam się



przynajmniej jednej rzeczy: dostosowanie się do otoczenia pozwala przetrwać.

– Świt czerwony, pasterz zaniepokojony! – usłyszałam zza płotu głos naszego zdziwaczałego sąsiada, pana Wovarly’ego. Gestykulował, wpatrując się niebo o barwie brzoskwini. – Będzie padać, kochana. Uważaj, żeby się nie zaziębić!

Zmusiłam się do uśmiechu i skinęłam głową z teatralną przesadą.

– Będę uważać, panie Wovarly.

Uniknęłam zaczepki jego małego teriera, Fluffy’ego, który szczekał, jak tylko umiał najgłośniej, i podskakując, raz po raz wystawiał pysk pomiędzy sztachetami ogrodzenia. Ostatnich kilka metrów pokonałam biegiem i wzbiłam się w powietrze. Poczułam dreszczyk ekscytacji – jak przy każdym starcie do lotu. Wznosiłam się coraz wyżej, a pęd powietrza powodował coraz większy bałagan na mojej głowie. Unosiłam się szybko, pozostawiając za sobą malejące drzewa przy ulicy, przy której mieszkam.

MUZA S.A. 8825\_8499

## ROZDZIAŁ TRZECI

# *Jesienna Róża*

Przykucnęłam, niezbyt zgrabnie lądując na szkolnym parkingu. Następnie wyprostowałam się, przyglądziłam ubranie i spojrzałam w stronę wejścia do budynku. Zdążyłam, wyglądało na to, że w szkole jest spokojnie. Uznałam, że warto byłoby zrobić coś z pobjowiskiem na mojej głowie, więc ruszyłam prosto do damskiej łazienki. Odprowadziło mnie wiele zdumionych spojrzeń należących – sądząc po wzroście i białych podkolanówkach – do nowych uczniów. Uczennice pierwszych klas miały wciąż regulaminowe koczki i włosy przystrojone falbaniastymi ozdobami. Kiedy szłam korytarzem, wgapiały się we mnie, odsuwając się jednocześnie – zupełnie jakbym była nosicielką jakiejś silnie zaraźliwej choroby. Oczywiście dobrze wiedziałam, o co chodzi – te, które nie były miejscowe, najprawdopodobniej pierwszy raz w życiu widziały właśnie Mędrca. A już na pewno Mędrca w locie.

*Na zdrowie. Błogosławię ich przyduże szkolne sweterki.*

Kiedy przekroczyłam próg szkoły, poczułam jednak narastający niepokój. Skołatanie nerwy, które całe lato zdołałam utrzymać w ryzach, zaczynały dawać o sobie znać. Bolesnie przypominały mi o tym, do czego właśnie wracam. Przykuwałam też niepożądaną uwagę, bardziej, niżbym chciała. Dziewczyny, niemal wyłącznie dziewczyny, patrzyły na mnie z pogardą. Wykrzywiały wargi, a gdy sądziły, że ich już nie widzę, nachylały się do koleżanek i półgłosem wygłaszały jadowite uwagi na mój temat.

Zażenowana i zła objęłam się rękami w pasie. Wiedziałam, że to jedyne, co mogę zrobić, bo ani miecz przy biodrze, ani bariery odgradzające umysł, ani nawet magia w mojej krwi nie uchronią mnie przed słowami, które zaraz usłyszę.

Dotarłam do drzwi toalety. Szybko weszłam do środka, by spostrzec, że ten jeden raz jej wnętrze nie śmierdzi jak gigantycznych rozmiarów popielniczka. Nie było też czuć krwi – choć tę akurat woń normalnie wychwytywali jedynie Mędrzy. Zamiast tego całe pomieszczenie zalatywało płynem do czyszczenia, który cuchnął chlorem, co wcale nie było przyjemniejsze.

Zacisnęłam dłoń na krawędzi jednej z umywalek i wbiłam wzrok w lustro. Bez końca analizowałam stan swojej fryzury i swojego makijażu. Musiały być idealne. Jeśli nie będą, reszta zaraz zauważy. *Zawsze* zauważa. Nikt nie zwracał uwagi na pryszcze na czole Christy albo na czerwoną od słońca skórę na szyi Gwen. Każdy za to zwróci uwagę, jeśli ukruszy mi się rzęsa albo odprysnie lakier na paznokciu prawego kciuka. *Każdy* zaraz wyczuje zapach tanich perfum, których musiałam zacząć używać po tym, jak wydałam wszystkie pieniądze zarobione w Londynie.

Westchnęłam. Trzeba wziąć się w garść. I to zaraz! Zaczynał się nowy rok szkolny, a moim obowiązkiem było chronić wszystkich ludzi w tej szkole. Nawet jeśli się nie lubimy.

Musiałam być czujna. W Londynie dotarły do mnie plotki przekazywane szeptem. Słyszeliśmy je wszyscy. Extermino stawali się coraz mocniejsi i pozwalali sobie na coraz śmielsze zachowania. Dowodem na to był chociażby atak w naszym porcie... Po co inaczej zwracaliby sobie głowę jakąś nadmorską miejscina?

No i jeszcze te pogłoski o mrocznych istotach z drugiego wymiaru. Gadają, że wysłannicy królestwa wampirów porwali ludzkie dziecko – dziewczynę. Jedynie w drugim wymiarze istnienie mrocznych istot było całkowicie zatajone przed ludźmi. Wzięcie ludzkiego zakładnika groziło

wydaniem nas wszystkich. I co wtedy? Nawet w pozostałych ośmiu wymiarach mroczne istoty żyły już teraz w niepokoju. Potępieni przetrwali lata prowadzonych *przez ludzi* mordów tylko dzięki krwi i magii, a i tak zostało ich bardzo niewielu. Elfy cierpiały na skutek spowodowanej *przez ludzi* zmiany klimatu, a my, Mędracy, musieliśmy nieustannie ratować inne mroczne istoty z trudnego położenia, bo kiedyś jakiś nasz dyplomata palnął coś głupiego.

Teraz jednak wszystkie mroczne istoty ogarnął niepokój, z jakim nigdy się w swoim krótkim życiu nie zetknęłam.

Raz jeszcze westchnęłam, przyciskając czoło do lustra, które nie zdążyło jeszcze zostać zabazgrane napisami i rysunkami szminką. Nadchodziła zmiana. Czuła to każda mroczna istota. Zatracaliśmy się między tradycją welwetowych szat a najnowszą technologią, utknąwszy gdzieś pomiędzy jednym a drugim światem – w przenośni, rzecz jasna, bo formalnie rzecz biorąc, każdy gatunek przypisany był ściśle do swojego wymiaru, współdzielonego z ludźmi bądź nie.

Zmiana dojrzewała, a ja bałam się, że obecny moment to tylko cisza przed burzą. Jeśli sprawy przybiorą naprawdę zły obrót, to żadne traktaty nie uchronią nas przed wrogami... nami samymi, Extermino... ludźmi.

Kręcąc głową, uświadomiłam sobie, co też sama sobie robię. Natychmiast odepchnęłam od siebie wszystkie przygnębiające myśli, tak jak nauczyła mnie babcia. *Biadolenie nad tym, co było i będzie, jest jak kopanie w stół, na którym stoi przyszłość* – mawiała.

Autobusy szkolne musiały się już zbliżać. Nałożyłam na rzęsy ostatnią warstwę tuszu, wyszłam z łazienki i zaraz ostro skarciłam się w duchu. Trzeba było nosić telefon przy sobie, a nie wsadzać go do torby, która teraz w najlepsze leżała w moim zamkniętym pokoju – mogłabym wtedy przynajmniej napisać do kogoś ze swoich.

Krążąc po korytarzu, rozbijając moim marszem szeregi uczniów i starając się nie zwracać uwagi na gapiących się na mnie pierwszoroczników, stanęłam, nie wiedząc nawet kiedy, na matowej płytce z brązu. Wmurowano ją u stóp drzewa wiśniowego rosnącego pośrodku wyłożonego betonem i plastikiem patia, które nazywaliśmy spacerniakiem. Napis na niej był bardzo wyraźny, a każda jego litera przypominała mi, dlaczego w okolicy nie ma Mędrców:

DRZEWO TO SADZIMY, BY UPAMIĘTNIĆ UKOCHANEGO KURTA HOLDENA, UCZNIĄ,  
BRATA I PRZYJACIELA ZMARŁEGO 23 KWIETNIA 1999, ODEBRANEGO NAM  
PRZEDWCZEŚNIE PRZEZ MAGIĘ

Znałam tę historię. Każdy ją tu znał. Holden zginął tragicznie, bo ówczesny strażnik szkoły, posługując się czarami, nie użył odpowiednich tarcz ochronnych. Szkoła na lata zrezygnowała z goszczenia strażników. Zdecydowała się sięgnąć po nich na nowo, dopiero gdy pojawiły się pogłoski o Extermino. Sześć miesięcy później pojawiłam się ja – wciąż oplakujący stratę babci świeżutki produkt szkoły St. Sapphire.

Wszyscy tu jednak pamiętali o tragicznym niepowodzeniu mojego poprzednika... i zakładali, że jestem taka sama jak on.

– Przecież nic nie poradzisz na to, co się kiedyś stało.

Westchnęłam, ale na moich ustach zagościł lekki uśmiech.

– Miło chociaż pomarzyć, że mogłabym coś poradzić.

Odwróciłam się, by stanąć twarzą w twarz z jedną z niewielu osób tutaj, które w życiu nie

powiedziały na mnie złego słowa – Tammy. Żeby nie było za słodko, dziewczyna w niczym się ze mną nie zgadzała, uważała, że mam dziwaczny gust we wszystkim, począwszy od muzyki, a na chłopakach skończywszy, i nienawidziła tego, że mogę czytać w jej myślach. Byłyśmy z dwóch różnych bajek, ale nie osądzała mnie, a ja bardzo to doceniałam.

Uścisnęłam ją szybko, ale cofnęła się, nim moje ręce zdążyły się zetknąć za jej plecami. Wyczułam, że przeszedł po nich dreszcz.

– Jak wakacje? – zagadnęłam nieco smutno, wiedząc dobrze, że nie musiałabym pytać, gdybym znalazła wcześniej czas, żeby się z nią spotkać.

– Mam ci tyle do opowiedzenia! – Nie czekała, aż coś powiem, tylko od razu ciągnęła dalej. Jej słowa zlały się w wybuchu ekscytacji: – Całowałam się! – Chwyciła mnie za rękaw i pociągnęła pod drzewo, gdzie byłyśmy mniej widoczne. – I nie skończyło się na jednym pocałunku! – Wskazała na górny guzik bluzki, której materiał równo leżał na jej całkowicie płaskiej piersi i drobnym korpusie.

Zrobiłam głęboki wdech, wychwytyjąc z jej świadomości obrazy tego, co robiła z tym facetem.

– Zobacz. – Odgarnęła znad karku gęste brązowe loki, odsłaniając parę malinek ukrytych częściowo pod czymś, co wyglądało na puder. – Próbowałam jakoś je zakryć makijażem, ale nie bardzo to wyszło. Kiedy całował mnie po szyi, było tak fajnie, że nie chciałam mu przerywać.

– Nie był czasem wampirem? – spytałam, siląc się na żart.

Spojrzała na mnie, uśmiechając się sarkastycznie, i zgarbiła nieco ramiona. To była jej typowa postawa obronna.

– Myślę, że bym się zorientowała, gdybym trafiła na wampira.

– Niekoniecznie – odpowiedziałam, by jednak zaraz zrezygnować z ciągnięcia tematu. Skupiłam uwagę na dobiegającym zza naszych pleców piskliwym gdakaniu Gwen i cichych chichotach pozostałej dwójki – Tee i Christy. Ciemne włosy Gwen lśniły w słońcu. Dziewczyna szczerzyła się w uśmiechu od ucha do ucha, idąc w naszą stronę i wykonując dłońmi mało subtelne gesty.

– Jak ma się panna rozdziewiczona?

Tammy zrobiła się czerwona jak burak.

– Nie robiłam z nim *tego* do końca, naprawdę!

– Jasne... – Gwen pokiwała głową, wykonując palcami jednoznaczne ruchy. Miałam tylko nadzieję, że nie widzą ich najmłodszy uczniowie.

– Mówię ci, że nie! Odwal się ode mnie, Gwendolen!

Gwen natychmiast przestała i zmarszczyła brwi, jak zawsze, gdy ktoś nazywał ją pełnym imieniem.

Wybuchła sprzeczka, zacieśnił się krąg wokół dziewcząt. Wycofałam się z pewną ulgą, by skupić się na filtrowaniu chaotycznych myśli setek nastoletnich ludzi. Pozwalałam zaniedbanym przez wakacje barierom wokół umysłu odtworzyć się element po elemencie. Nawet nie poczułam, kiedy moje oczy zamknęły się, a myśli oczyściły. Uwolniłam się od paplaniny uczniów i nauczycielskiej stanowczości o napędzie kawowym. Moje „ja” odfrunęło ponad polami otaczającymi szkołę, wzgórzami i rzeką oddzielającą mnie od domu. W centrum miasteczka, u ujścia rzeki, brukowane uliczki roiły się od turystów. By uporać się ze szczytem końca sezonu, uruchomiono drugi prom. Barrierkę otaczającą basen portowy obsiadły mewy. Czekały niczym sępy, wiedząc, że zbliża się łatwa wyżerka.

Dźwięk mojego imienia zmusił mnie do porzucenia podsyłanego przez umysł obrazu. Jak poziom

morza opada przy odpływie, tak i ja musiałam zejść na ziemię i otworzyć oczy.

Dłoń, znacznie ciemniejsza od mojej, ciągnęła mnie za palce. Jednocześnie zza gęstwiny czarnych, miejscami zaplecionych w warkoczyki loków przypatrywało mi się dwoje brązowych oczu.

– Tee! – powitałam stojącą przede mną młodszą uczennicę. Miała dopiero dwanaście lat. Oplotła mnie w pasie swoimi żyłastymi rączkami i przytuliła się do mnie jak do siostry. Sama miałam czasem poczucie, że zależy mi na niej jak na prawdziwym rodzeństwie. Może i nie szło mi pacyfikowanie tych, którzy szydzieli ze mnie, ale rasistowskich przytyków pod adresem Tee ze strony starszych uczniów nie mogłam zdzierżyć. Kuzynka Tee, Tammy, była mi wdzięczna, że się za nią wstawiam. Polubiła mnie dzięki temu i naprowadziła na Christy i Gwen.

– Jak wakacje? – spytałam Christy, gdy zbliżyła się do grupy rozmawiających i stanęła obok mnie.

– Ciche i bardzo deszczowe – odpowiedziała. Rzeczywiście mieliśmy za sobą podłe lato: ciągłe burze z rzadka przeplatane słonecznymi dniami jak dzisiejszy – szczęśliwy zbieg okoliczności, który osłodził szok towarzyszący powrotowi do szkolnej mordęgi. Tee pokiwała głową. Jej buzia z uniesionym kącikiem ust miała markotny wyraz. Byłam przy tym pewna, że moja wygląda tak samo.

– Przecież ci powtarzam, że *tego* nie zrobiłam!

Poczułam na plecach dreszcz. Utkwiłam spojrzenie w jesiennych kwiatach drzewka wiśniowego. Śledziłam różowe płatki opadające spiralami na ziemię. We włosach poczułam powiew bryzy.

– Gwen, nie chcę o tym rozmawiać.

Objęłam się rękami w talii, na nadgarstkach czując chłód przyniesiony podmuchem od morza. Dostałam na przedramionach gęsiej skórki. Słońce przygasło za niskimi, bezdusznymi chmurami pełznącymi po niebie. Można było poznać, że nadeszły od strony morza, bo ciągnęły się za nimi popielate smugi.

Tee zaczęła się trząść. Tammy szybko narzuciła na siebie zawiązany wcześniej na biodrach sweter.

– Tammy, nie musisz...

– Zamknij się, Gwen!

– Ja tylko mówię, że...

– Nie, popatrz na Różę!

Zarysy ludzi i drzew stały się nieostre. Tam, gdzie wyraźnie powinno być widać jasną korę i białe koszule, kotłowało się powietrze. Tylko opadające płatki pozostawały wyraźne: jak wirujące w powietrzu drobiny puchu opadające powoli, pomalutku. Miałam poczucie, że mogłabym wyciągnąć dłoń i je łapać.

– Róża, powiedz coś, do cholery!

Słyszałam każdy krok każdego z uczniów. Wszystkie razem zlewały się w jednostajny rytm. Unoszenie się i opadanie mojej piersi wypełniało przerwy pomiędzy jego kolejnymi uderzeniami, próbując zachować miarowość. Moja dłoń zwarła się, palce jeden po drugim zacisnęły na rękojeści miecza, a ich opuszki odnalazły idealne ułożenie – chwyt doskonały, ułożony przez lata ćwiczeń. Pomiędzy ciałem a żelazem przeskakiwały iskry, wewnątrz mnie zbierały się słowa, które zaraz złożyć się miały na zaklęcie.

– Róża!

W wolnej dłoni czułam serce. Uchwyt rozluźniał się i wzmacniał wraz z rytmem jego bicia.

Wiedziałam, że puls ten nie należy do człowieka. Czulałam też, że cokolwiek się zbliża, robi to bardzo szybko.

Na moich wargach tańczyła śmierć. Pozwoliłam magii uchodzić ze mnie i tworzyć tarcze wokół tak wielu uczniów, jak to tylko możliwe. Nie spuszczając wzroku z opadających płatków, puściłam rękojeść miecza, a sięgnęłam po niewielki nóż. Ściskając go w prawej dłoni, a na lewej mając czar, czekałam w gotowości.

Przeziąknięty paniką szmer ucichł. Pozostał tylko głuchy odgłos bicia serca kogoś, kto się zbliżał. A może czegoś.

Nie musiałam długo czekać. Zaraz usłyszałam za sobą oddech i poczułam drugie źródło magii. Jeszcze kilka sekund i usłyszałam:

– Księżno.

Obróciłam się gwałtownie, unosząc sztylet. Czubek ostrza w mgnieniu oka znalazł się na gardle niewiele starszego ode mnie mężczyzny. Nie wykonałam jednak pchnięcia.

Czające się na moich ustach na wpół gotowe mordercze zaklęcie uleciało z wiatrem, ustępując miejsca głębokiemu wdechowi. Zapadła cisza, którą na ułamek chwili zakłócił jedynie odgłos upadającego na ziemię, wypuszczonego przeze mnie sztyletu. Moja wyciągnięta ręka zawisała beczynnym w powietrzu z palcami rozczapierzonymi po wypuszczeniu rękojeści.

Zwilżyłam wargi. Szok pomału przechodził. Mijały jednak sekundy, a żadne z nas się nie poruszało. Dopiero po minucie przyszło mi na myśl, by dygnąć na jedno kolano. Wiedziałam, jak wysoko zadziera się moja spódniczka, i słyszałam, jak drzewa szepczą: „zdrada”.

– Wasza Wysokość – wydukałam wreszcie ze spojrzeniem utkwionym w płatki u moich stóp, których część zdążyłam już rozdeptać.

– Księżno – powtórzył tak cicho, że tylko ja miałam szansę go usłyszeć. Uniosłam głowę i zaryzykowałam ukradkowe zerknięcie. Nie zdecydowałam się jednak spojrzeć mu w oczy.

*Znaj zawsze swoje miejsce, Rózo. Etykieta, moje dziecko, jest wszystkim.*

Wewnątrz mojego umysłu toczył się bój: *Nie powinno go tu być. Nie ma żadnego powodu, dla którego powinien się tu znaleźć.* Musiałam jednak zauważyć skórzaną teczkę w jednej jego ręce i podręczny kalendarz z herbem szkoły w drugiej. Nie miał na sobie mundurka, ale wiedziałam, że szóstoklasiści nie mają obowiązku ich nosić. Poczułam gulę w gardle.

– Z każdym się tak witasz czy dla mnie zrobiłaś wyjątek? – Jego kanadyjski akcent wybrzmiał ponad szeptami stojących dookoła uczniów. Nie byli głupi – czytali pisma i oglądali wiadomości. Doskonale wiedzieli, kto przed nimi stoi.

– Proszę wybaczyć, Wasza Wysokość, nie spodziewałam się twojej wizyty.

– To ja przepraszam. Nie chciałem cię wystraszyć.

Ukloniłam się lekko. Korciło mnie, żeby podnieść leżący na ziemi sztylet, ale się opanowałam. Teraz lepiej było tego nie robić.

Zadzwoił dzwonek, ale nikt się nie poruszył. *Księżę Athenea. Tylko nie teraz. Nie tu!* Ruch zaczął się dopiero wtedy, gdy pojawili się nauczyciele. Szli pomału, jak zawsze nie spiesząc się, na patio apelowe. Jeśli scena, której byli świadkami, zaskoczyła ich, to nie dali tego po sobie poznać.

Dźwięk głosu dyrektora postawił mnie do pionu. Wbiłam paznokcie w dłonie, ze wszystkich sił starając się zachować spokój.

– Jesienna Rózo, to jest...

– Sądzę, dyrektorze, że nie ma potrzeby ich sobie przedstawiać – zabrał głos inny z pedagogów, pan Sylaeia, mój nauczyciel angielskiego i literatury, a jednocześnie wychowawca – z pewnością nieraz spotykali się na dworze.

W odróżnieniu od pozostałych nauczycieli pan Sylaeia nie próbował ukryć zdziwienia. Jego krzaczaste brwi uniosły się wyraźnie, gdy wodził wzrokiem pomiędzy leżącym na ziemi sztyletem a stojącym naprzeciw mnie mężczyzną ubranym tylko w znoszone jeansy i koszulkę.

– Obawiam się, że pogoda tutaj nie dorównuje tej, do której Wasza Wysokość przywykł zapewne w Australii. Na przyszłość doradzałbym płaszcz – zaczął Sylaeia.

– Proszę mi mówić Fallon – odparł ksiązę, nie spuszczać ze mnie wzroku. Mój umysł zmagał się z całą tą sytuacją: widziałam doskonale, co się dzieje, ale nie potrafiłam tego pojąć. Omijając wzrokiem księcia, spojrzałam na pana Sylaeię, który uchylił barierę jaźni na tyle, bym w myślach usłyszała jego głos. Mój nauczyciel był pół-Mędrce. Choć na jego ciele nie było blizn, posiadał wiele z naszych umiejętności.

– *Rozumiesz, co się dzieje* – zwrócił się do mnie. Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie.

– *Ale dlaczego?* – odpowiedziałam pytaniem, pozwalając opuścić moją klatkę piersiową przerażeniu, które pełzało po niej, utrudniając mi oddychanie.

– *Jego rodzice życzyli sobie, by spędził rok w Wielkiej Brytanii jako strażnik, poznając tutejszy system. Sam poprosił o szkołę państwową.*

– *Są przecież tysiące państwowych szkół, a w setkach z nich nie ma strażników.*

Spojrzał mi w oczy. Milczeniem zasygnalizował, że chodzi tu o coś więcej, ale mi tego nie zdradzi.

– Jesienna Rózo, Fallon spędzi rok w naszej szkole, ucząc się w klasie maturalnej. Chcę, żebyś przez pierwsze tygodnie służyła mu za przewodniczkę. Spraw, żeby poczuł się w Kable jak w domu – powiedział dyrektor.

Nie da rady, pomyślałam, ale oczywiście skinęłam twierdząco głową. Zaciskałam przy tym usta, by przypadkiem nie wymusnęło mi się coś niewłaściwego.

– Za pozwoleniem, panie dyrektorze. Moja grupa czeka na poranny apel. Rózo, panie przodem. – Pan Sylaeia skierował się pomału w stronę dwukondygnacyjnego budynku, w którym odbywały się zajęcia z angielskiego. Szłam szybkim krokiem przed nim. Kiedy znalazłam się na słabo oświetlonej klatce schodowej prowadzącej do mojej klasy, zaraz poczułam, jak na moją twarz wypełza rozpacz. Poruszałam się niczym we śnie, bez czucia stawiając stopy na kolejnych stopniach schodów. Wciąż nie mogłam uwierzyć, że to, co się właśnie dzieje, nie jest tylko sennym koszmarem.

A jednak to była rzeczywistość: członek rodziny królewskiej ludu Mędrców, ksiązę z dynastii Athenea, był tuż obok i przez rok miał się uczyć w Kable.

Z dołu schodów dobiegł chichot. To Christy, Gwen, Tammy i Tee ruszyły za nami. Nietrudno było zgadnąć, co je tak nakręca. Nie bez powodu ten akurat członek rodu Athenea tak często gościł na stronach kolorowych czasopism.

Wślizgnęłam się do klasy. Zupełnie nie przejmowałam się przerażonymi spojrzeniami pierwszoklasistów wędrującymi pomiędzy mną a księciem. Robił na nich silne wrażenie. Tak silne, że jedna z młodszych dziewczynek, zupełnie jeszcze niewyglądająca na uczennicę szkoły średniej, przeniosła się z krzesłem o ławkę do tyłu. Chciała być tuż obok przyjaciółki.

Reakcje starszych dziewczyn[1] były zupełnie odmienne. Widziałam, jak ich spojrzenia wodzą po jego bliznach w odcieniu burgunda i koszulce, której krótkie rękawy podkreślały umięśnione ręce i szerokie ramiona. Następnie ich wzrok powędrował w moją stronę. Czułam go na sobie, zajmując miejsce w tej co zawsze ławce i wskazując księciu, by również usiadł. Wybrał krzesło naprzeciwko mnie. Christy zwierzyła szansę i natychmiast zajęła miejsce obok niego. Tammy dosiadała się do mnie, a Gwen, która nie zamierzała zostać na łodzi, natychmiast podkrađła krzesło z sąsiedniej ławki i ustawiła je przy naszej. Po niespełna minucie dołączyła jeszcze Tee, która dodatkowo postanowiła zaprosić swoją najlepszą koleżankę. W efekcie nasz przeznaczony dla czworga uczniów stół obsiadło aż siedem osób. Lekko mnie to zszokowało i w gruncie rzeczy było mi przykro... Z reguły nie zadawali sobie tyle fatygi, żeby znaleźć się blisko mnie.

Zainteresowanie z ich strony, podobnie jak i ze strony całej klasy, było z początku dość subtelne. Ludzie gadali o wakacjach, nowi przedstawiali się sobie, niektórzy zadawali świeżo przybyłemu gościowi pytania.

– A więc jesteś z Kanady? – zagaiła Christy. – Wasza Wysokość – dodała zaraz.

– Po prostu „Fallon”, proszę. A z tym pochodzeniem to nie do końca tak. Mój kraj, Athenea, leży na wyspie Vancouver, ale nie jest częścią Kanady. Stanowimy osobne państwo.

– Czyli mówisz po kanadyjsku? – spytała Gwen, okręcając na palcu kosmyk ciemnych włosów. Oczy Fallona otworzyły się szeroko, a ja nie zdołałam powstrzymać uśmiechu rozbawienia. By go ukryć, zaczęłam dłubać przy breloku na klucze, szukając tego od szkolnej szafki.

– No... nie. Mówimy w języku Mędrców i po angielsku. Niektórzy z urodzonych dalej na wschód rozmawiają po francusku – doleciała do moich uszu jego odpowiedź, kiedy slalomem pomiędzy ławkami i uczniami kierowałam się w stronę stojących w narożniku sali szafek.

*Ważne jest, by w życiu cierpliwie odnosić się do tych, których nie pobłogosławiono intelektem takim jak nasz.*

*Ale babciu, oni zadają takie durne pytania! Jeśli szybko nie skończą, to ja tu umrę z nudów.*

– Nigdy nie słyszałam języka Mędrców – ciągnęła Gwen. Jej głos brzmiał teraz jednak bardzo potulnie. Stracił słyszalny jeszcze moment wcześniej flirciarski ton.

– *So’yea tol ton shir yeari mother ithan entha*, księżno?

Zamarłam, po raz pierwszy od miesiący słysząc ojczysty język. Zerknęłam w stronę Fallona. Wpatrywał się w moje plecy z przytkniętym do ust zagiętym palcem wskazującym, zupełnie jakby nad czymś zastanawiał.

*Czemu o to pyta? Czy on nie rozumie, na jakim terenie jesteśmy? Nie mówię tu w ojczystym języku, bo nie mam do kogo w nim mówić.*

Odwróciłam się do szafki.

– *Arna ar faw hla shir arn mother ithan entha*, Wasza Wysokość.

Zamilkłam, mając świadomość, że wydobyłam z siebie jakieś stacatto, a moje słowa nie przechodzą płynnie jedno w drugie i nie brzmią do końca tak, jak powinny. Język Mędrców nie odpowiadał moim ustom, czułam się dziwnie, mówiąc w nim, jakby spod pierwszego języka próbował wyrosnąć mi drugi.

– Oczywiście – odparł, kiedy wyciągałam z szafki torbę i zamykałam drzwiczki. Odwróciłam się. On nadal patrzył na mnie spokojnie swoimi kobaltowoniebieskimi oczami. Odkładając torbę na



krzesło, odwzajemniłam spojrzenie, wznosząc wokół mojego umysłu jeszcze wyższe zapory. Nie chciałam, żeby wiedział, co myślę.

*Zdaję sobie sprawę, że wiesz, pomyślałam. Wiem, że wiesz o niej. I nienawidzę cię za to.*

W odpowiedzi na prośbę pana Sylaei, żebym pomogła przy rozdawaniu świeżych planów lekcji, zostawiłam bawiące się włosami dziewczyny i poprosiłam o tłumaczenie na język Mędrców. Tamte chichotały i wymieniały się uwagami na temat akcentu Fallona. Zapomniały jakoś o tym, że jest Mędrcem, a one Mędrców się boją.

Rozdałam rozpiski. Porównując swoje egzemplarze, moi koledzy i koleżanki jęczyli albo cicho pomrukiwali z zadowoleniem. Ci, którzy trafili na nielubianych nauczycieli, wyrzucali z siebie pełne odrazy wrzaski. Dwóch chłopaków z trzeciej klasy wiwatowało, że nie będą już musieli uczyć się historii. Trzy dziewczyny z czwartej sprawdzały, której kiedy wypadają dni wolne od szkoły. Jednocześnie z wyraźnym podekscytowaniem obiecywały sobie, że kiedy tylko najstarsza z nich zrobi prawo jazdy, zamiast siedzieć nad książkami, pojedą do miasta.

Zbliżałam się do spodu stosika planów. Dotarłam do upstrzonej wpisami rozpiski przeznaczonej dla „Księcia Fallona z domu Athenea”. Jego imię poprzedzała masa skrótów i tytułów zakończona „J.K.A.M.” – Jego Królewska Atheneańska Mość.

*Dlaczego szkoła nie poinformowała mnie o jego przyjeździe?*, pomyślałam, by niemal natychmiast odpowiedzieć na własne pytanie: Bo wiedzieli, że bym się tu nie pojawiła. To nie nowość, że słabo u mnie z frekwencją...

W planie Fallona nie było prawie wolnych dni – nietypowo jak na klasę maturalną. Wystarczyło jednak, że policzyłam wszystkie przedmioty, a zaraz zrozumiałam.

*Literatura angielska, francuski, historia, matematyka, chemia. Pięć przedmiotów. Nikt nie bierze tyle na maturę! On albo jest nienormalny, albo pisze się na naprawdę mnóstwo nauki.*

Inni uczniowie czekali na swoje plany, więc położyłam kartkę przed księciem i ruszyłam dalej. Pod jego rozpiską była ta przygotowana dla mnie. Chciałam odłożyć ją na swoją ławkę, by rozdać pozostałe. Zanim jednak papier zdążył dotknąć blatu, przechwyciła go Tammy. Natychmiast zaczęła porównywać swój plan z moim.

– Mamy wszystko razem – poinformowała mnie, kiedy z powrotem usiadłam w ławce. Odniosłam nagle wrażenie, że jest jakoś dziwnie ciasno. Szybki rzut oka wokół i wszystko się wyjaśniło: większość uczniów przesunęła się co najmniej o pół metra w naszą stronę. W jego stronę. – Wszystko oprócz twojego maturalnego francuskiego i rozszerzonej literatury. – Westchnęła. – Po co robisz jedno i drugie?

Pracowicie podpisywałam się na rozpisce zadań domowych wręczonej mi przez pana Sylaeię, więc kiwnęłam tylko głową na znak, że ją słyszę.

– Zapisłaś się na rozszerzoną literaturę angielską, panno Rózo? – spytał ksiązę.

Tammy podsunęła mu mój plan. Przyjrzał mu się. Wciąż wypełniając okienka harmonogramu prac domowych, przyglądałam mu się, zmrużywszy oczy. Nie uszło też mojej uwagi, że choć zwrócił się do mnie formalnie, nie użył tytułu.

– To oznacza, że na te zajęcia będziemy chodzić wspólnie.

Końcówka mojego długopisu wpisująca właśnie adres na okładkę zamarła w bezruchu. Podniosłam wzrok i z trudem zdobyłam się na obojętny uśmiech. Staralam się zachować tak, jakby fakt, że

w małej szkole na głębokiej prowincji uczyć się będzie ksiązę, był czymś zupełnie normalnym. Po chwili wróciłam do pisania. Sięgnęłam po swój harmonogram i zaczęłam przepisywać jego zawartość do kalendarza.

– Masz mało wolnego, prawda? – rzuciła Gwen, zaglądając Fallonowi przez ramię. Zbliżyła się przy tym do niego tak bardzo, jak tylko miała odwagę, uważając przy tym jednak, by nie dotknąć blizn, które jak pędy winorośli pięły się po jego opalanej skórze. Jej włosy opadły na jego ramiona, na co odsunął się od niej razem z krzesłem. Następnie przyglądał dłonią swoją fryzurę.

Zdziwiona aż rozchyliłam usta. Tego się nie spodziewałam. Gwen wyglądała na dotkniętą, ale postarała się, żeby tego nie zauważył. Mogłam tylko zazdrościć jej umiejętności obracania się pośród ludzi. Jak gdyby nigdy nic odwróciła się i wdała w ożywioną rozmowę z dwiema maturzystkami, które raz po raz przyglądały się księciu.

Obserwację, która mnie pochłoneła, przerwał pan Sylaeia, gdyż wrócił za biurko i napisał na tablicy swoje nazwisko.

– Dzień dobry, panie i panowie. Witam z powrotem w Kable. Będę w tym roku waszym wychowawcą. To ja będę co dzień sprawdzał waszą obecność, więc poznamy się bliżej. Przedstawiam się tym, którzy mnie jeszcze nie znają. Nazywam się Sylaeia, a tak właśnie – tu stuknął długopisem w tablicę – pisze się moje nazwisko. Jestem w połowie Mędrce i nieraz słyszałem, że jest ono bardzo trudne do wymówienia. W związku z tym, jeśli państwo wolą, mogą nazywać mnie Panem S.

Odłożył długopis, sięgnął po wypełnioną przez nas listę i lekko mrużąc oczy, przyjrzał się jej początkowi.

– A więc mamy dziś pośród nas nowego ucznia. Niektórzy z państwa być może już go znają. Pan... A-athana? Atena? Nie jestem pewien, to trudne nazwisko. – Opuścił kartkę i spod lekko przymkniętych powiek spojrzał na księcia. – Przed pańskim nazwiskiem jest mnóstwo dziwnych liter. Czy ktoś ma pojęcie, co oznacza „J. K. A. M.”?

Klasa przez chwilę z trudem ukrywała rozbawienie, by w końcu wybuchnąć gromkim śmiechem. Ksiązę tylko lekko się uśmiechnął i odrobinę zaczerwienił, pochylając głowę.

– Rzecz jasna żartuję. Prawdą jest natomiast, że Fallon dołączy do nas w tym roku jako kolejny strażnik naszej szkoły. Wszyscy winniśmy rozumieć, że mamy *wielkie* szczęście, ponieważ w tych niebezpiecznych czasach strzec nas będzie dwoje tak potężnych młodych Mędrców. – Śmiechy ucichły, ustępując miejsca ponurej ciszy. Pan Sylaeia to wykorzystał. – Część z państwa słyszała zapewne o ataku Extermino, do którego doszło w naszej miejscowości, oraz o innych atakach na terenie kraju. Jestem pewien, że do większości dotarły także pogłoski o porwaniu ludzkiej nastolatki, Violet Lee. Mogą państwo się obawiać lub czuć niepewnie, co w takiej sytuacji jest całkiem zrozumiałe, jednak nie oznacza to, że należy dopuszczać się agresji i w jakimkolwiek stopniu uchybiać przyzwoitości... Proszę, by szanowali państwo prywatność naszych strażników. Niech nie postrzegają ich państwo przez pryzmat liter poprzedzających ich nazwiska i nie skupiają się na różnicach. Dajmy im wykonywać swoją pracę, a wtedy, jeśli los odrobinę się do nas uśmiechnie, czeka nas znakomity rok.

*Jeśli los się do nas uśmiechnie... może przeżyjemy ten rok,* pomyślałam.

Zapięłam klamry teczki, bacząc, by nie podnieść wzroku. Świadomość nowych realiów jeszcze we mnie nie okrzepła, a ja wcale nie miałam ochoty tego procesu przyspieszać. Czułam się tak, jakbym wbijając spojrzenie w sufit, mogła sprawić, że *on* zniknie. Że wszystko znów wróci do starego ładu,

a ja przestanę czuć ten świdrujący niepokój gdzieś w głębi żołądka.

– Rózo, Fallonie, czy mogę was na chwilę prosić?

Teraz nie miałam już wyjścia i musiałam podnieść wzrok. Moje spojrzenie powędrowało najpierw do księcia, który z torbą zarzuconą na ramię szykował się już do wyjścia, a następnie na pana Sylaeię. Nauczyciel czekał na nas przy swoim biurku.

– Będziemy na patio – wymamrotała w moją stronę Tammy, lekko poganiając resztę w stronę wyjścia. Pan Sylaeia skinął zapraszająco głową w naszą stronę.

Zacisnęłam dłoń na uchwycie teczki tak mocno, że aż zbielały mi kostki. Na dnie mojego umysłu tkwiła bolesna świadomość, że ostatni raz stałam tak blisko tego chłopaka na pogrzebie mojej babci.

*Czy wtedy wciąż trwałaś w niewiedzy?*

Pan Sylaeia odwrócił się i gąbką starł swoje nazwisko z tablicy.

– Jak Róża już wie, odpowiadam za wszystkich Mędrców na terenie szkolnego kampusu. W związku z tym, Fallon, proszę cię, żebyś zawsze korzystał z osłon, używając magii na tym terenie, a także żebyś szanował prywatność ludzkich umysłów. Ilość papierkowej roboty, jaką trzeba wykonać w razie jakiegokolwiek wypadku, wystarczy, żeby każdego wpędzić do grobu, obojętne, czy jest człowiekiem, czy Mędrce. Ja tymczasem chciałbym dożyć chociaż czterdziestki.

Książę skinął głową, a moja dłoń jeszcze mocniej zacisnęła się na uchwycie.

– Jesienna Rózo – zwrócił się teraz do mnie pan Sylaeia – w czasie wakacji przeczytałem tę książkę. W *Poskromieniu złościcy* mamy do czynienia z naprawdę otwierającą oczy interpretacją mizoginizmu. – Wręczył mi wydane na byle jakim papierze tomiszczce, które, sądząc po wyglądzie, czytywało już wielu. Bąknęłam coś w rodzaju „dziękuję” i wsunęłam książkę do teczki.

Mając wrażenie, że nauczyciel skończył, ruszyłam w stronę drzwi, jednak kiedy byłam tuż przy nich, w mojej głowie zabrzmiał jego głos: *Nie będzie aż tak źle, jak myślisz.*

Oparłam się pokusie, by się zatrzymać, ale nie potrafiłam nie zerknąć w jego stronę. Nie patrzył na nas. Siedział w przeciwległym narożniku sali i pisał coś na komputerze. Wyszłam z klasy i krótkim korytarzem dotarłam do drzwi klatki schodowej.

*To mądry człowiek, ale tym razem nie jest w stanie wszystkiego pojąć.*

– Księżno!

Ledwie stłumiłam głośnie westchnienie. Drzwi, które przed sekundą zamknęły się za mną, znów były otwarte.

*O nie, jestem absolutnie przekonana, że będzie o wiele gorzej, niż myślę.*

– Panienko Rózo?

Wiedziałam, że nie mogę go dłużej ignorować, więc odwróciłam się niespiesznie – na tyle wolno, by przybrać wyraz twarzy sugerujący uprzejme zainteresowanie.

– Wasza Wysokość?

Poprawił torbę na ramieniu i pokręcił lekko głową, wyglądając na nieco zbitego z tropu.

– Na twoim planie nie wymieniono tytułu, a imienia nie poprzedzono słowem „Lady”. Przy nazwisku nie raczyli nawet wspomnieć o domu, z którego się wywodzisz. Czy zamierzasz coś zrobić w sprawie tego niedopatrzenia?

Przez całą jego mikrotyradę (a była to tyrada, wyraźnie wskazywał na to podszyty irytacją ton)

wpatrywałam się w plamę na wyblakłym brązowym dywanie wydeptanym setkami uczniowskich stóp.

– To nie jest niedopatrzenie, Wasza Wysokość. – Uniosłam wzrok, a nasze spojrzenia się spotkały. Patrzyłam mu w oczy tak długo, że chyba dotarło do niego znaczenie moich słów.

– To nie jest... niedopatrzenie? – Mełł słowa, zupełnie jakby wypowiedzenie ich przychodziło mu z trudem.

– Zgadza się. Wolę nie używać tytułu i będę niezwykle zobowiązana, jeśli Wasza Wysokość uszanuje mój wybór.

Ruszyłam schodami w dół, usłyszawszy jeszcze, jak wymamrotał do moich pleców: „Zobowiązana?”. Kiedy byłam już na półpiętrze, wyrwał nagle do przodu i energicznie przechylił się ponad poręczą.

– Kurde! Czy ty właśnie powiedziałaś, że nikt z tutejszych nie wie, kim jesteś?

Naciągnęłam pasek od teczki wyżej na ramię, bardzo starannie dobierając słowa.

– Nigdy nie pokazałam się w żadnym plotkarskim piśmie ani w czymkolwiek, co czytają tutejsi. Ci ludzie, Wasza Wysokość, znają mnie jako Różę. Po prostu Różę. – Delikatnie dygnawszy, szybko się oddaliłam. Szybkim krokiem minęłam stojące na zewnątrz grupki, dobrze wiedząc, że na moje miejsce przewodniczki zaraz znajdzie się cały tabun chętnych.

MUZA S.A. 8825\_8499

*Jesienna Róża*

Atmosfera w sali krawieckiej była jak naelektryzowana. Kable to mała prowincjonalna szkoła, gdzie wystarczy jedna przerwa, by wszyscy poznali nową plotkę czy wiadomość. To z kolei oznaczało, że książkę znalazł się na językach wszystkich. Jeśli przed rozpoczęciem zajęć był jeszcze ktoś, kto nie wiedział o jego przybyciu, wystarczyła minuta, by nowina dotarła również do niego. Dwie dziewczyny siedzące w ławce najbliżej drzwi niemal rzucały się na kolejne wchodzące osoby, błagając o jakieś informacje o Fallonie. Czekałam tylko, kiedy ktoś się zorientuje, że takimi informacjami dysponuję ja. Na szczęście siedziałam bardzo daleko i od drzwi, i od tablicy. Nikt nie zwracał na mnie uwagi. Zgarbiłam się nad szkicownikiem przysłonięta włosami. Zaczynałam pracę nad wzorem sukienki na zaliczenie semestru.

– Róża, ty na pewno będziesz wiedzieć... – Christy okręciła się na krześle i przepchnęła na bok oddzielając nas stertę tkanin. – Trzy lata uczył się w Australii, co nie? To chyba musi być prawda, skoro jest taki opalony.

Nacisnęłam ołówkiem na papier tak mocno, że aż złamałam grafit. Zmiotłam ukruszone kawałki na bok, siląc się na nonszalancki ton.

– Kto niby?

Uniosła brwi wysoko.

– No przecież wiesz *kto!*

– A, on. Tak, był tam.

– I miał tam dziewczynę, tak? Ale potem zerwali?

Odsunęłam głośno krzesło. Z ołówkiem i temperówką w ręku ruszyłam w stronę kosza na śmieci.

– Christy, jeśli tak cię interesuje życie księcia, kup sobie „Quaintrelle” albo jakąś inną plotkarską gazetę...

– Jezu, nie napinaj się tak. Pytam tylko.

– Poza tym ty chyba znasz go lepiej niż ci w tych pismach, co? – spytała Tammy, zaskakując mnie swoją spostrzegawczością. A wydawało mi się, że nie da się poznać, iż Fallon i ja się znamy.

– Bawiliśmy się razem jako dzieci. Bywałam wtedy w gościach na dworze, gdzie mieszkał. Ale nie jeżdżę do Athenei, odkąd skończyłam dwanaście lat, więc teraz tak naprawdę go nie znam.

Grafit ołówka znów pękł. Tym razem dlatego, że zbyt mocno pokręciłam temperówką.

– Czy my mamy mu się jakoś kłaniać? – zastanowiła się Gwen. Sądząc po ciszy, jaka zapadła, większość klasy chciała poznać odpowiedź.

– Możecie, jeśli chcecie, ale nie ma takiego obowiązku.

– Dobra, a gdybym za niego wyszła, to jak bogata bym była?

Musiałam się uśmiechnąć, słysząc to pytanie jak zwykle beztroskiej Gwen.

– Niesamowicie bogata.

– Gwen, jeśli w tym semestrze postarasz się trochę bardziej niż w poprzednim, dasz radę sama sobie uszyć suknię ślubną. – Do sali, niosąc wielki kubek z herbatą, weszła pani Lloyd.

– Myślałam o czymś w stylu Kate Middleton, tylko że czarnym – rozważała głośno Gwen, mierząc wzrokiem kwadratowy fragment koronki.

– Na ślubie nie można być na czarno! – zaprotestowała Christy. No i się posprzeczały.

– Dziewczęta – zaczęła pani Lloyd, jak zwykle zapominając o trzech siedzących w sali chłopcach – nie starczy nam czasu na zajmowanie się takimi ekstrawagancjami jak szycie sukien ślubnych, ponieważ zdecydowano, że będzie tylko jedna lekcja w tygodniu. Oczekuję zatem, że każda z was będzie chodzić na czwartkowe zajęcia pozalekcyjne. Kto nie pojawi się na nich przynajmniej dwa razy w miesiącu, zostanie skreślony z listy.

W klasie rozległa się wrzawa niezadowolenia. Wszyscy zapomnieli o księciu. Przynajmniej na moment.

– Cisza, dziewczęta. Jeśli to rozwiązanie wam nie odpowiada, poskarżcie się tym, którzy tak rozpisali plan. Rózo, co ty robisz?! – wykrzyknęła, zauważywszy mnie tego dnia po raz pierwszy. Uniosłam ołówek i chciałam wyjaśnić, ale nie miałam szans. Nauczycielka warknęła tylko, że mam zaraz siadać.

Powlokłam się z powrotem na miejsce i bez wdzięku klapnęłam na krzesło. Gdy tylko wróciłam do szkicowania, wyraźnie usłyszałam chichot Gwen siedzącej naprzeciw mnie.

– Księżę też ma w czwartek zajęcia pozalekcyjne! Widziałam w jego planie.

Przez resztę dnia skutecznie go unikałam. Zresztą przyszło mi to bez trudu. Dopchanie się w pobliże księcia wymagało przebicia się przez tłum, złożony głównie z uczennic, ale i z części nauczycieli.

Na trzeciej godzinie zajęć mieliśmy angielski i ujrzałam uniesione w dezaprobach brwi pana Sylaei, któremu wręczyłam wakacyjną pracę domową. Nic jednak nie powiedział, odłożył ją tylko na stosik razem z kilkoma innymi, które tego dnia mu dostarczono.

Największy problem stanowiła przerwa na lunch. Poszliśmy w to samo miejsce co zawsze, tuż przy szkolnym boisku. Rozłożyliśmy się na trawiastej skarpie otaczającej płytę. Mój żołądek niemal ryczał, bo w szkolnej kafejce znów nie znalazła się ani jedna propozycja dla wegan. Który to już raz?! Większość przypatrywała się treningowi drużyny piłkarskiej. Ludzie obserwowali dryblingi i wślizgi, a rozmowy znów zaczęły schodzić na temat księcia. Po jakichś dziesięciu minutach zauważyłam zamieszanie przy sąsiadujących z głównym budynkiem kortach tenisowych. Nie ruszyłam się jednak, żeby sprawdzić, o co chodzi.

Kiedy zbliżałam się do jednej z dziur w ogrodzeniu, którymi można było wrócić do szkolnego holu, usłyszałam, jak woła mnie męski głos, używając tytułu. Po kilku sekundach wołanie powtórzyło się, głośniejsze i dobiegające z bliska. Tym razem padło moje imię. To była świadoma próba sforsowania moich barier ochronnych.

Część mnie, która marzyła tylko o tym, by to wszystko okazało się koszmarnym snem, podpowiadała mi, bym trzymała język za zębami. To, co we mnie racjonalne, żądało z kolei, żebym odpowiedziała – koniec końców mówił do mnie księżę. Mój księżę.

Odwróciłam się plecami do ogrodzenia.

– Wasza Wysokość. – Dygnęłam szybko, wiedząc, że patrzy na mnie moje towarzystwo, znajomi i cała drużyna piłkarska.

– Upuściła to panienka. – Podał mi pasek jedwabiu, którym przewiązywałam uchwyt mojej teczki. Zaczerwieniłam się. *Okazałam mu taką obojętność, a on chciał tylko tyle.*

– Dziękuję. Jestem bardzo zobowiązana.

Sięgnęłam po pasek materiału, ale Fallon go nie wypuścił. Pociągnęłam lekko, ale książkę mocno trzymał jedwab w dłoni.

– Ty w ogóle jesteś bardzo *zobowiązana*, prawda?

Zrozumiałam doskonale, co ma na myśli. Na moment aż zapało mi dech. Jeśli on powie o wszystkim uczniom w szkole, będzie to dla mnie oznaczać koniec jakiegokolwiek normalności. Tej szczątkowej normalności, którą zachowywałam tutaj, z dala od zawirowań w kręgach społecznych, w których byłam „księżną”, nie Różą. Szeroko otworzyłam oczy: nie zrobi chyba tego? Szarpnęłam za jedwab.

Zaśmiał się.

– Na pewno nie chcesz, żebym go sobie zatrzymał jako symboliczną opłatę?

Zza linii boiska dobiegło pełne pogardy parsknięcie. To Valerie Danvers przerwała na moment grę, by rozmasować łokieć.

– Nie zwracaj sobie nią głowy, Fallon. Szkoda na nią twojego czasu. Ona się nigdy nie odzywa.

Materiał wysunął się z ręki księcia. Wykorzystując okazję, natychmiast obwiązałam nim uchwyt teczki, po czym przecisnęłam się przez lukę w ogrodzeniu. Chciałam jak najszybciej oddalić się od boiska. Gdy rzuciłam za siebie ukradkowe spojrzenie, księcia już nie było.

MUZA S.A. 8825\_8499

## ROZDZIAŁ PIĄTY

# *Jesienna Róża*

Kiedy zbliżałam się do domu, w Brixham panował spokój. Pora była już zbyt późna dla turystów i dzieciaków wracających ze szkoły, a ulice i podjazdy pod domami czekały dopiero na samochody pracujących. Jakikolwiek ruch zauważyłam tylko naprzeciw swojego domu: po drugiej stronie ulicy ojciec cicho opowiadał synowi o nocnej zmianie na targu rybnym. Za białym płótem otaczającym nasz ogród panowała jednak zupełna cisza. Gdy frontowe drzwi zamknęły się za mną z trzaskiem, wyraźnie słyszałam, jak po pustych korytarzach domu rozchodzi się brzęk kluczy.

– *Babciu, dlaczego moi rodzice mieszkają tak daleko od Londynu? Przecież oboje tam pracują.*

– *Dlatego, moje dziecko, że twój ojciec nie lubi londyńskiego towarzystwa.*

– *Jak on może go nie lubić?*

Wciąż z mieczem u boku weszłam na górę. Moje myśli nadal krążyły wokół przyjazdu księcia. „Dlaczego?”, brzmiało najważniejsze pytanie. Gdy ród Athenea coś robił, zawsze miał swoje powody. Nie wątpiłam, że i tym razem jest nie inaczej. Wsunęłam miecz pod łóżko, a moje myśli powędrowały dalej. Wróciły krążące po Londynie szeptaki: *Extermino się gromadzą...*

Moja dłoń ciągle opierała się na klamrze pasa z pochwą. Wyciągnęłam miecz spod łóżka i przeniosłam go w wąski odstęp pomiędzy głową łóżka a szafką nocną. Doda mi otuchy w pustym domu.

W lodówce znalazłam kilka pojemników. Do ich pokrywek przyklejono karteczki z nagryzonym moim imieniem. W pierwszym, do którego zajrzałam, znalazłam coś wyglądającego na sos pomidorowy. W drugim – świeży makaron bezjajeczny. Ze stojącego na górnej półce kolorowego pudełka w owocowy wzorek wyciągnęłam kilka grzybów i cebulę. Z jednego z haków ponad blatem kuchennym zdjęłam ciężką miedzianą patelnię.

Miałam przed sobą jedną z oznak tego, że po moim imieniu następowało nie nazwisko, a nazwa domu rodzowego; tego, że nazywałam się nie Summers, lecz Al-Summers. Moja rodzina z pewnością nie należała do słabo sytuowanych. Patelnia Mauviel, którą napełniałam właśnie wodą, kosztowała grubo ponad trzysta funtów. Mój ojciec uwielbiał gotować, więc mieliśmy bardzo rozbudowaną kolekcję akcesoriów kuchennych – wszystkie bez wyjątku tej właśnie firmy. Każdego dnia pod nasze drzwi dostarczano skrzynkę warzyw i owoców z miejscowej farmy ekologicznej. Błaty kuchenne lśniły nowością. Zostały ledwo co założone, mimo że poprzednie mieliśmy tylko rok.

Nie byliśmy rozrywkowym, pełnym wrzawy trzydziestoosobowym londyńskim domem ani areną nieustającej defilady arystokratów jak dwór Atheneów na wyspie Vancouver. Była to jednak wyłącznie kwestia wyboru mojego ojca.

*Też mi znakomity wybór.*

Już po krótkiej chwili makaron był ugotowany, a po kolejnej – jeszcze krótszej – zjedzony. Zaczęłam kartkować świeżego „Timesa” i jego mędrkowski odpowiednik, „Arn Etas”. W żadnym nie znalazłam doniesień na wiadomy temat. Nawet w „Quaintrelle” nie było choćby wzmianki. Dziwne. Sądziłam, że przeprowadzka księcia zostanie jakoś opisana, zwłaszcza w ostatniej z gazet, która rok wcześniej z sadystyczną dokładnością opisywała szczegóły rozstania księcia z jego australijską dziewczyną.



Włożyłam talerz do zmywarki, którą nauczyłam się obsługiwać dokładnie rok wcześniej. Wtedy moi rodzice po raz pierwszy wyjechali służbowo. Uśmiechnęłam się do pustego pokoju. Skoro książę uznał, że zniewagą było nieużywanie tytułu, to co pomyślałby o tym? Dama szlchetnego rodu Mędrców, gorzej nawet – *księżna* – sama gotuje i sprząta, a potem zrzuca z siebie szkolny mundurek i sama przebiera się w zwykłe ubranie. Nie do końca dworskie obyczaje...

*Nie tak powinno to wyglądać...* Powinnam chodzić do elitarnej szkoły, uczyć się polityki oraz prawa i szykować na pierwsze wystąpienie przed radą. Normalnie przypadałoby w moje szesnaste urodziny, a więc wkrótce, w listopadzie.

Nie zamierzałam się tam pokazywać. Nie było to obowiązkowe. Wobec mojej nieobecności miejsce po mnie zajął Athenea. Podejmował decyzje za mnie i był to układ korzystny dla obu stron. Oni mieli więcej władzy, a ja mogłam trzymać się z dala od dworu. Nikomu nie przychodziło do głowy protestować.

Usiadłam przy biurku i włączyłam laptopa. Obok postawiłam kubek mocnej herbaty, która wypełniła pokój zapachem jaśminu i jednocześnie sprawiła, że kąt ekranu zaparował. Złożyłam spódnice i bluzkę i ułożyłam je na skrzyni w nogach szerokiego łóżka. Otworzyłam teraz mahoniową szafę stojącą w narożniku pokoju – jedyny mebel z St. Saphire, o którego przewiezienie udało mi się uprosić rodziców. Przesunęłam dłońmi po materiale wiszących wewnątrz ubrań. Były tam kwieciste sukienki i czarne spodnie do pracy. Obok przeznaczonego na zimę szkolnego swetra wisiały fałdowane spódniczki w każdym możliwym kolorze. Na samym brzegu tkwiły osłonięte pokrowcami z tworzywa, za małe teraz na mnie, suknie balowe; obok nich – gorsety, lekko tylko drutowane, ale i tak dość ciasne, by utrudniać oddychanie. O jedzeniu w nich można było zapomnieć.

Wiedziałam, że w jednym z pokrowców wisi bladożółta suknia dworska i sięgające łokci białe rękawiczki. Komplet z nimi stanowiła para satynowych butów z białymi kokardami. Miałam na sobie ten zestaw, kiedy jako dwunastolatka odwiedziłam dwór. Nie była to moja pierwsza wizyta na nim ani też moje pierwsze spotkanie z Atheneami. Moja babcia była z nimi w końcu blisko związana. Jednak to wtedy po raz pierwszy rozmawiałam tak naprawdę z dziećmi monarchów. To wtedy uświadomiłam sobie, kim jestem i kim się stanę. Wszystkie dziewczynki wpatrywały się we mnie z zazdrością, dorośli z czcią odnosili się do mojej babci, a do mnie zaczynało docierać, co to znaczy należeć do domu Al-Summers, rodu, który przewyższali tylko sami Atheneowie. Bliżej rodziny królewskiej nie dało się być.

*Czy on pamięta te tygodnie, które księżna z wnuczką spędziły w jego domu?*

W innym pokrowcu, ukrytym za pozostałymi, wisiała czarna suknia.

*Suknia z dnia żałoby. Ten dzień pamięta na pewno.*

Odsunęłam od siebie pokrowce, a wyciągnęłam z szafy luźną, workowatą sukienkę. Włożyłam ją i skuliłam się na fotelu przed laptopem. Zaczęłam przymierzać się do napisania bardzo długiego e-maila. Do Jo, Mędrca i przyjaciółki. Że też musiała być tak daleko akurat wtedy, kiedy tak bardzo jej potrzebowałam.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

# *Jesienna Róża*

Kolejny dzień. Poranek i perspektywa wspólnych zajęć z literatury z księciem. Jak olbrzymia, przełknięta wbrew woli pestka, przerażenie powędrowało w dół mojego gardła i usadowiło się na dnie żołądka – wystarczyło, że zobaczyłam, jak liczne już po jednym dniu stało się jego towarzystwo. Ponad połowa klasy! Żołądek zacisnął mi się w supeł.

Poranek w gruncie rzeczy przebiegał identycznie jak dzień wcześniej. Jediną różnicą był brak matczynego gładzenia. I dziś najwyższy guzik bluzki pozostał niezapięty, spódnica miała dwie fałdy przy talii, a moje oczy podkreślał wyraźny makijaż. Również dziś nie miałam innego wyjścia, niż polecieć do szkoły. Nie miał kto podrzucić mnie na prom, a było już za późno na jazdę autobusem.

Jak na drugi dzień semestru w szkole panowało duże ożywienie. Autobusy dotarły już na miejsce, a patio wyglądało tak, jakby próbował się na nie wcisnąć każdy uczeń szkoły. Dzieciaki wisiały na balustradach schodów i tłoczyły się na ławkach, na głowy siedzących co jakiś czas opadały płatki z drzewa. Większość uczniów stała. Kiedy przecisnęłam się slalomem pomiędzy prowadzącymi ożywione rozmowy grupkami, powód tego zbiegowiska szybko stał się jasny. O jedną z ław piknikowych swobodnie opierał się książę. Otaczał go wianuszek wielbicieli, w tym – co mocno mnie ubodło – moi przyjaciele.

Zauważył mnie wcześniej niż oni i pierwszy przerwał milczenie.

– Fallon – poprawił mnie na zapas, przewidując, jak zamierzam się do niego zwrócić. Nie odpowiedziałam. Ukłoniłam się tylko, dygając lekko, wdzięczna, że nie użył mojego tytułu.

Gwen, urażona, że przerwaliśmy jej w pół zdania, odwróciła się rozdrażniona, chcąc na nowo wciągnąć księcia w rozmowę. Ten jednak, o ile w ogóle ją usłyszał, nie zareagował na jej wysiłki. Jego spojrzenie było utkwione we mnie, zupełnie jakbym stanowiła problem, który należy rozgryźć i rozwiązać.

– Zawsze nosisz miecz?

– Rzadko kiedy.

– Mogę zobaczyć? – Wyciągnął w oczekiwaniu rękę, ale nie spełniłam jego prośby. Poczułam, jak dłoń sama zaciska mi się na rękojeści. Spojrzał na mnie zdziwiony, ale po chwili jego twarz się rozjaśniła. Sięgnął do pasa po własny miecz i zaproponował wymianę. Tym razem się nie wahałam. Wziął moją broń i zważył ją w dłoniach.

– Lekki, bardzo lekki. Za szeroki jak na rapier, ale zbyt krótki na mały miecz.

Ja przyglądałam się z kolei broni księcia, ważąc ją w rękach. *Jak na mój gust za ciężki i za masywny. To rapier, ale obosieczny, podobnie jak mój.*

– Kryta, bardzo wymyślna rękojeść. Na rękojeści wygrawerowano twój herb. To miecz twojej babki, prawda?

Poczułam w mostku znajome iskrzenie. Przełknęłam ślinę.

– Zgadza się.

– Tak myślałem, nie mogło być inaczej. Przekazano ci go w dniu jej pogrzebu, prawda? Pamiętam, jak błogosławili go, kiedy leżał na wieku trumny.

Nie dałam rady wstrzymać się na tyle, żeby przemyśleć, jak głupie jest to, co właśnie robię. W ułamku sekundy ostrze miecza księcia znalazło się pod jego podbródkiem. Oddychałam nierówno, ale moja dłoń była niewzruszona. Fallon spojrzał na mnie całkowicie zbity z tropu, jakby nie miał pojęcia, czym mnie zdenerwował. Po chwili odezwał się spokojnym, pewnym głosem.

– Proponuję, żebyś opuściła ostrze.

Nie drgnęłam. Jego głos brzmiał miękko, ale wyraźnie wyczuwało się w nim autorytet.

– Pamiętaj, kim jestem, księżno. Opuść ostrze.

*Wiem, że ty wiesz.*

– To rozkaz!

Za jego plecami widziałam, jak powiew strąca płatki z kwitnącego drzewa wiśniowego. Gdy spadały na ziemię, pospiesznie deptali po nich uczniowie, świadomi, że sekundę wcześniej zadzwonił dzwonek.

*Za drzewem rozpościerało się morze czerni: wzburzone, przetykane kamieniami nachylonymi do siebie pod przedziwnym kątem. Pośród tych czarnych, nieruchomych filarów stała dziewczyna uwięziona gdzieś pomiędzy dzieciństwem a dorosłością. Miała na sobie prostą czarną długą sukienkę. Jej twarz skrywała woalka niepozwalająca zobaczyć łez, które nie chciały płynąć. Stała obok rodzinnego grobu, który jednak nie miał stać się miejscem spoczynku jej babki – ta dostała bowiem zaszczytu bycia pochowaną w atheneańskiej katedrze. Na podeście u wejścia do grobowca stała dębowa trumna spowita żałobnym sukniem i królewskim błękitnym aksamitem noszącym godło rodu Al-Summers. Na jej wierzchu spoczywały miecz i sztylet opłakiwanej księżnej. Obok nich ułożono inne, co bardziej zdobne, symboliczne dary od żałobników przyniesione podczas pożegnania.*

*„Czy istnieje śmierć? Światło dnia o zmierzchu przemija, z wiecznej ciemności ziem kwiaty, gdy pora nadejdzie, wschodzą do kwitnienia: pączkują i rozkwitają, by w końcu obumrzeć, a miejsce, w którym wzeszły, nie pamięta o nich, pustoszone chłodem i jesiennym mrozem. Z prochu powstałaś, w proch się obrócisz!”*

*Błogosławieństwo wybrzmiało. Żałobnicy chwiali się w podmuchach bryzy unoszącej wspomnienie oceanu. Chmury gniewnie obserwowały przeciągające się nabożeństwo. Tak, zdawało się ono trwać wieki. Zwłaszcza dla tych, którzy odczuwali je najboleśniej.*

– Chodź, Rózo. Musisz zacząć zasypywanie. Wyjdź naprzód, żeby wszyscy cię widzieli.

*Na drżących nogach i z przygryzioną wargą dziewczynka wystąpiła przed szereg. Sięgnęła po garść ziemi i wypuściła jej drobiny na otaczające trumnę róże. Powtórzyła ten gest jeszcze dwukrotnie, po czym kapłan zaintonował: „Z prochu powstałaś, w proch się obrócisz. Earthern carn, earthern, ashen carn ashen, peltarn carn peltarn!”*

*Na te słowa wystąpiły osoby, które miały nieść trumnę. Dziewczynka pozdrowiła zmarłą ostatnim ukłonem, po czym syn księżnej wraz z pięciorgiem starszych książąt unieśli dębową skrzynię. Rozpoczęła się tym samym powolna procesja przez ponurą równinę w stronę majaczącej ponad czubkami drzew katedry. Pogrzeb zgromadził setki postronnych żałobników, którzy kłaniali się, gdy mijał ich kondukt. Król Ll’irriad Athenea wtórował im na znak jedności. Jedności, która tak uwidocznić mogła się tylko na państwowym pogrzebie.*

*Pod osłoną woalki młodziutka księżna uroniła łzę, która spłynęła po jej przeciętym blizną policzku.*

– Róża?

Dźwięk mojego imienia wyrwał mnie z transu. Ostrość spojrzenia powróciła, a ja zobaczyłam ostrze miecza przytknięte do karmazynowych blizn na policzku księcia.

– Nie zmuszaj mnie, żebym zrobił ci krzywdę.

Nie miał o co się martwić, moja wyprostowana ręka zaczynała już słabnąć. Wykorzystał okazję i nieco niepewnie, jakbym była dzikim zwierzęciem, mogącym w każdej chwili rzucić się do ataku, odepchnął palcami ostrze od swojej szyi. Nie starałam się stawiać oporu.

– Różo, nie chciałem cię urazić...

Chciałam jak najszybciej znaleźć się z dala od niego. Zwróciłam mu opuszczony miecz i zabrałam z jego rąk własny, by następnie szybko wsunąć go do pochwy. Starłam się dobyć z siebie coś w rodzaju przeprosin, ale słowa nie przychodziły. Zamiast więc przeproszać, po prostu uciekłam. Upokorzona za wszelką cenę starałam się wpaść na to, jak mogłam dopuścić do głosu emocje.

MUZA S.A. 8825\_8499

*Fallon*

Na godzinie wychowawczej nie odezwała się do mnie ani słowem. Zachowywała się tak, jakby chciała wymazać z umysłu fakt, że w ogóle istnieje. Dlaczego?

Na rozszerzonym angielskim na początku zajęć nauczyciel rozdał teksty. Sięgnęliśmy po leżące na blacie kartki w tym samym momencie. Nasze dłonie musnęły się, a ja miałem wrażenie, że jakaś iskra z mojej ręki musiała ją oparzyć. Szybko cofnęła dłoń i oparła na bluzce tuż poniżej głębokiego dekoltu. Ja też poczułem w ciele iskłę, ale zupełnie innego rodzaju. Na jej twarzy nie było widać bólu, przynajmniej nie fizycznego. Rozchyliła usta i szeroko otworzyła oczy.

Odwróciła się szybko i zdaje mi się, że wzdychając, szepnęła: „Idiota”.

Odsunąłem się zszokowany, ale nic nie powiedziałem. Nie umiałem pogodzić ze sobą dwóch wizerunków: stającej się kobietą dziewczyny, którą miałem przed sobą, i dwunastoletniej dziewczynki, która zdumiała cały dwór swoją urodą, dyskrecją i opanowaniem.

*Gdzie się podziała wnuczka starej księżnej, która nie ośmieliłaby się nawet słownie sprzeciwić komuś z wyższego rodu, a co dopiero przystawiać mu ostrze do gardła?*

– Chcę, żebyście teraz w parach przeanalizowali monologi. Każda ławka dostała inny. Zaczynamy – powiedział pan Sylaeia.

Odwróciłem uwagę od niej i zająłem się tekstem.

„Być albo nie być, oto jest pytanie”.

Aż jęknąłem, przeczytawszy dramatyczne rozważanie Hamleta o „za” i „przeciw” samobójstwu. Mój wzrok znów powędrował w jej stronę. Rzuciła mi krótkie spojrzenie.

– No co? – syknęła. – Czemu wciąż się na mnie patrzysz?

*O niebiosa! Czy to już zabronione?!*

Szybko myślałem, przebiegając wzrokiem stroną. „Przedstawienie choroby” – mój długopis powędrował w punkt na kartce – tutaj.

– Nie potrzebuję pomocy – powiedziała z naciskiem, mimo że nie napisała w zeszycie jeszcze ani słowa.

Opuściłem nieco brwi.

– Czy on powiedział „w parach?”

Skinęła głową, po czym jej twarz zniknęła za kotarą włosów. Róża zaczęła energicznie pisać.

*A więc nie zamierza się dzielić? W porządku.*

Przyjąłem tę samą taktykę.

Kiedy uporaliśmy się z monologami, mówiła bardzo niewiele. Odpowiadała tylko na pytania wezwana do odpowiedzi. Po dzwonku powtórzyła swój niezmienny rytuał: pomału, wręcz ślamazarnie spakowała rzeczy. Albo była bardzo zmęczona, albo liczyła na to, że wyjdę z klasy przed nią. Ja jednak nie wyszedłem (bo też wcale nie miałem ochoty rzucać się w tę hordę). Pan Sylaeia poprosił ją do swojego biurka, a ja wciąż krążyłem w okolicach drzwi. Powłóczyła nogami i zaciskała dłoń na uchwycie torby tak mocno, że białały jej kostki. Wiedziała chyba doskonale, co ją zaraz czeka.

– Pochopne, buńczuczne i obraźliwe – powiedział nauczyciel, wręczając jej coś, co wyglądało na sprawdzone wypracowanie. Spuściła głowę. – Nie mówiąc już o tym, że to tekst znacznie poniżej twojego poziomu. – Tu spojrział w moją stronę. Kręciłem się przy drzwiach klasy, w której poza nami trojgiem nie było teraz nikogo. Unikając jego spojrzenia, udałem, że z uwagą czytam objaśnienia przysłówków na tablicy ściennej.

– Czuję się zawiedziony, Rózo. Jestem jedyną osobą w tej szkole, która potrafi naprawdę zrozumieć twoje trudności. Nie sądzisz też chyba, że reszta kadry nauczycielskiej jest ci wroga? A jednak odpłacasz mi się takim brakiem ogłady.

Wciąż stojąc przodem do ściany, wysoko uniosłem brwi. Głowiłem się, co też takiego mogło być w tym wypracowaniu, że Sylaeia poczuł się aż tak dotknięty.

– Przykro mi, że pana uraziłam – powiedziała cicho i niewyraźnie.

– Przykro będzie ci w czwartkowy wieczór, kiedy zostaniesz po lekcjach.

Wzięła gwałtowny wdech. Uznałem, że bezpieczniej będzie odwrócić się znów do ściany.

– Błagam pana, tylko nie czwartek! Mam wtedy pracę, a wcześniej praktyczne zajęcia z krawiectwa. – Jej twarz wyrażała oszołomienie i niemal panikę. Migdałowe oczy były szeroko otwarte. Ja oszołomiony byłem z innego powodu: *To ona ma pracę?*

– W takim razie karne godziny zaczniesz po krawiectwie, a do pracy nie pójdziesz.

– Błagam pana, cokolwiek innego! Mogę nawet tracić przerwy na lunch! Oni już straszą, że mnie wyleją!

– Czyżby z powodu marnej frekwencji?

Znów spuściła głowę.

– Tak właśnie myślałem. Fallon, zastanawiałem się, czy i ty nie mógłbyś w czwartek zostać po lekcjach. Masz do nadrobienia sporo materiału z lata. Róza pomoże ci szybko wszystko uzupełnić.

Nie od razu odpowiedziałem. Chciała zaprotestować – to oczywiste – ale dobre maniery nie pozwoliły jej naruszyć idealnie prostej linii ust. Poczułem się odrobinę rozgoryczony – *co ja niby zrobiłem?* – ale skinąłem głową.

– Jasne, zostanę.

Moje rozgoryczenie wzrosło nieco, kiedy w klasie zapanowała cisza, a tych dwoje zaczęło komunikować się w myślach, mnie wykluczając z rozmowy. Ustąpiło jednak natychmiast, kiedy dostrzegłem kątem oka, jak drżą jej usta, a dłoń wędruje do twarzy.

– Fallon, prosiłbym cię, żebyś wyszedł na moment z sali.

Nie miałem najmniejszej ochoty wychodzić. Zaraz jednak przypomniałem sobie pełen bólu wyraz jej twarzy w chwili, gdy przytknęła mi ostrze do gardła. Usłuchałem polecenia.

Drzwi trzasnęły za moimi plecami. Starłem się rozgryźć zdarzenie z dzisiejszego ranka, ale im głębiej kopałem, tym mniej miało to wszystko sensu. Przecież przyjaźniliśmy się całe dzieciństwo. Bawiliśmy się w „buziakowy pościg”, odgrywaliśmy śluby i próbowaliśmy rządzić jedno drugim. A teraz ona robi wrażenie, jakby mnie nienawidziła.

Po kilku minutach drzwi się otworzyły. Nie przystając ani na sekundę, minęła mnie blond plama. Przemknęła, zanim zdążyłem oderwać się od ściany, o którą się opierałem. Natychmiast ruszyłem za nią schodami, ale tylko przyspieszyła kroku. Z ostatnich kilku stopni prawie zeskoczyła.

– Róża! – Nie zatrzymała się. – Róża, chciałem spytać, czy w czwartek odwieźć cię do domu. Będzie późno i...

Nie dokończyłem nawet zdania. Odwróciła się gwałtownie. Miała otwarte usta i opuchnięte, czerwone oczy, które zmrużyła tak, że wyglądały jak skośne. Nie powiedziała nic, ale jej wygląd mówił więcej, niż zdołałyby wyrazić słowa. Stała tak przez kilka sekund, po czym odwróciła się i odeszła. I znów jej ruchy były powolne, niemal ślamazarne.

MUZA S.A. 8825\_8499

## ROZDZIAŁ ÓSMY

# *Jesienna Róża*

*Każda sytuacja zmienia się w atak na mnie.*

Fallon pojawił się na moich zajęciach z historii. Cała grupa A2 pojawiła się na moich zajęciach z historii. Wyjaśnienie było proste: nauczycielka, którą im przypisano, poszła na urlop macierzyński, tymczasem i oni, i my mieliśmy zajmować się historią Mędrców. Zdecydowano więc, że pan Sylaeia oprócz angielskiego poprowadzi dla obu grup lekcję tego właśnie przedmiotu. Wiedziałam, że mój wygląd, gdy wchodził do klasy, wyrażał mieszaninę wściekłości i poczucia zawiedzionej lojalności. Byłam przekonana, że nie mógł ukarać mnie okrutniej, niż zatrzymując po lekcjach razem z księciem. Kiedy pojawił się ten ostatni, uprosiłam Christy i Tammy, żeby zajęły miejsca obok mnie. Stały się w ten sposób moim murem obronnym. Nie były zachwycone, że zajęłyśmy ostatnie miejsca w rzędzie, nie zostawiając żadnego dla księcia, ale nie miało to znaczenia. Postanowił usiąść po drugiej stronie sali i w ławce, którą zajął wraz z innymi uczniami z grupy A2, zapanował ścisk. Poczułam zaskoczenie, ale i ulgę. Inna sprawa, że ławki ustawione były w podkowę, więc i tak siedziałyśmy przodem do niego. Obróciłam się na krześle nieco w lewo, żeby zwrócić się bardziej w stronę tablicy.

„Temat mało popularny” to eufemizm, gdy chodzi o historię Mędrców. Klasa aż jęknęła, gdy nauczyciel ogłosił, czemu poświęci zajęcia, a ja poczułam na twarzy wypieki ze wstydu. Również policzki księcia nabrały różowawego odcienia, jednak on dobrze ukrył zawstydzenie, kładąc łokcie na blacie, a głowę podpierając dłońmi.

Natychmiast skierowałam wzrok z powrotem na swoją ławkę, przeklinając siebie, że w ogóle spojrzałam w jego stronę. Wpatrywałam się w blat, póki nie trafiły na niego podręczniki. Otworzyłam książkę i natrafiłam na akapity o tradycjach. Opisane w nich obyczaje były dla mnie czymś już nieco odległym, jednak dla całej reszty stanowiły absolutną egzotykę. Zamknęłam podręcznik. Przypominałam sobie pierwsze lata nauki. Jako dziecko uczyłam się z książek będących jak negatyw tej: były identyczne, tyle że opowiadały... o ludzkości. Uniosłam na moment wzrok. Natychmiast napotkałam spojrzenie księcia, który szybko ponownie zajął się tekstem, by jednak zaraz znów spojrzeć w moją stronę. Bawiła go ta gierka. Dla mnie to był koszmar.

Pan Sylaeia zaczął od wypowiedzi o księciu, utrzymanej w takim samym tonie jak podczas pierwszego sprawdzania listy. Kiedy chwilę później zaczął mówić o Extermino, zapanowała pełna przerażenia cisza, a ja poczułam w sercu nieznośny chłód.

Pan Sylaeia napisał na tablicy dwa słowa: „MROczne ISTOTY”.

– Wiem, że to nie lubiany temat, ale jest on obowiązkowy. Zaczniemy więc od czegoś prostego. Czy ktoś umie wyjaśnić nieco pozostałym kwestię wymiarów, wymienić dziewięć rodzajów mrocznych istot i moce, jakie posiadają?

Każdy bez wyjątku *musiał* znać odpowiedź na to pytanie, jednak wszyscy milczeli. Wszyscy milczeli, póki to ja z pewnym ociąganiem nie podniosłam ręki.

– Istnieje dziewięć wymiarów, a w każdym z nich żyją ludzie. Każdy wymiar z grubsza odzwierciedla pozostałe. Współdzielimy jedną pamięć kulturową, ponieważ to, co dzieje się z ludźmi w jednym wymiarze, dzieje się i w innych. Jest tak dlatego, że dziewięć równoległych odzwierciedleń kraju to jedno państwo, nie dziewięć osobnych państw. Ludzie i mroczne istoty współpracują ze sobą w ramach międzywymiarowej rady, czyli Między... – ściszyłam głos, czekając na jakąś formę



aprobaty ze strony pana Sylaei. Nie byłam pewna, czy wyrażam się dość jasno. Chociaż starałam się nie zwracać uwagi na księcia, zerknęłam też w jego stronę. Nagle poczułam się zażenowana, tłumacząc coś, co on rozumiał zapewne znacznie lepiej niż ja.

Pan Sylaeia skinął głową, dając mi znak, bym mówiła dalej.

– Żyjemy w pierwszym wymiarze, który stanowi domenę Mędrców. Nie ma w nim żadnej hierarchii, jednak to my dysponujemy najpotężniejszą i najbardziej wszechstronną magią. Możemy robić praktycznie wszystko, o ile tylko nie wyczerpuje to zbyt sił natury. Jest tak, ponieważ to właśnie z natury czerpiemy magię, kiedy ta, którą nosimy we krwi, okaże się niewystarczająca. Panuje nad nami... ród Athenea pochodzący z niewielkiego kraju o tej samej nazwie. Kraj ten leży na północnym krańcu wyspy Vancouver.

Teraz naprawdę zaczęłam się czerwienić jak burak. *To on powinien to wszystko tłumaczyć!*

– Potem mamy wampiry i wymiar drugi. Panują w nim Varnowie z Anglii. I to właśnie oni porwali Violet Lee. Wampiry muszą pić krew, by czerpać z niej energię i podtrzymywać magiczne moce. Krew utrzymuje je przy życiu. Potężni z trzeciego wymiaru również korzystają z magii, jednak oni, żeby czarować, muszą składać krwawe ofiary... Zwracając krew ziemi, zyskują możliwość korzystania z potężnej magii.

W końcu książę postanowił dorzucić swoje trzy grosze:

– Wymiar czwarty to dom Przemieńców, którzy mają zdolność przybierania formy ludzkiej lub form zwierząt totemicznych. W czasie przemiany bardzo przypominają duchy. Mieszkają głównie w górach Azji Centralnej. Nim kilka wieków temu postanowili się ujawnić, ludzie sądzili, że to demony. – Jego oczy zapłonęły, gdy przyciągnął uwagę całej klasy. Wszyscy z uwagą słuchali teraz jego objaśnień. Ciekawszych niż moje.

– Wymiary piąty i szósty są bardzo zbliżone. Zachowało się tam znacznie więcej lasów niż w naszym wymiarze. Miejsca te zamieszkują skrzydlaci ludzie i elfy. Jedni i drudzy to istoty bardzo piękne, a przy tym nomadyczne. Nie mają monarchii i nie korzystają z nowoczesnych technologii. Żyją do tego stopnia w zgodzie z naturą, że nie jest im to do niczego potrzebne. Wilki z siódmego wymiaru mogą przyjmować postać zbliżoną do ludzkiej. Maengu z wymiaru ósmego to stworzenia wodne, które mają jednak zdolność przemiany pozwalającą im wychodzić na ląd. No i wreszcie wymiar dziewiąty... Istoty, które tam mieszkają, wszyscy nazywamy feniksami. Mogą one przybierać ludzką formę tylko na czas jednego miesiąca z każdych dziewięciu.

Na tym skończył.

Byliśmy z księciem jak para aktorów w sztuce. Odzywaliśmy się wyłącznie wtedy, gdy reżyserujący spektakl pan Sylaeia polecił nam to zrobić. Reszta klasy milczała z uporem, który wyprowadzał mnie z równowagi. Nie wiedzieli nic. Nic. Nie umieli odpowiedzieć panu Sylaei nawet na najprostsze pytania, na które znałby odpowiedź dowolny człowiek w dowolnym innym miejscu.

W końcu nauczyciel dał za wygraną i zwrócił się do mnie. Jego ton był teraz znacznie łagodniejszy.

– Jesienna Rózo, wymień proszę *fas*, podstawowe zasady.

– Panować nad energią, chronić równowagę w naturze, z szacunkiem odnosić się do przełożonych, lojalnie służyć Athenei, niezłomnie strzec postanowień Traktatów Terra.

Choć język Mędrców przez całe moje życie tłamszony był przez mowę ludzi, to i tak poczułam się dziwnie, wypowiadając nasze credo po angielsku. Jako dziecko powtarzałam je niczym mantrę w ojczystym języku. Te słowa zwyczajnie nie pasowały do angielskiego. Nie tu było ich miejsce. Ten

język nie mógł po prostu przekazać ich piękna i wiążącej mocy.

Pan Sylaeia sięgnął po flamaster do tablicy i wypisał na niej wszystkich pięć *fas*.

– Cztery w gruncie rzeczy tłumaczą się same przez się. Magia; szacunek wobec natury, zwłaszcza w odniesieniu do pożywienia, ale ostatnio również i klimatu; etykieta, i wreszcie: lojalność wobec domu panującego. Ale czy ktoś z państwa wie, czym są Traktaty Terra?

Zauważyłam, że Fallon ożywił się i rozejrzał po klasie. Rozchylił lekko usta, a oczy otwierał coraz szerzej.

– Nikt? – Pan Sylaeia założył skuwkę na długopis. – Zupełnie nikt?

W klasie panowała przesycona niepokojem cisza, a mnie aż przeszedł zimny dreszcz. Wiedziałam, że oni wielu rzeczy nie wiedzą. Wiedziałam też, że mimo zachwytów nad arystokracją i zainteresowaniem jej związkami i randkami mój lud ich w zasadzie nie obchodzi. Ale żeby nie wiedzieć, czym są Traktaty...

Pan Sylaeia odpowiedział w końcu na swoje pytanie sam.

– Jest to zbiorcza nazwa grupy traktatów powszechnych podpisanych w początkach dziewiętnastego wieku przez ludzkość i wszystkie wymiary. Scalono i sformalizowano w ten sposób zbiór obowiązujących wcześniej nieskoordynowanych praw. To właśnie na mocy Traktatów Terra Róża i Fallon siedzą teraz w tej klasie jako strażnicy naszej szkoły. To właśnie Traktaty Terra zakazują mrocznym istotom, pod karą śmierci, wyrządzania krzywdy ludziom. Wolno im to zrobić jedynie w sytuacji, gdy zagrożone jest ich własne życie. Wyjątek uczyniono także wobec wampirów, które bez tej klauzuli nie miałyby szansy przeżyć. To Traktaty Terra są podstawą pokoju, którym się cieszyacie.

Nikt nie powiedział ani słowa. Ale nie – to nie była cisza pełna uznania czy podziwu. Klasy nie zamurowało z wrażenia. Milczeli, bo byli znudzeni. Dla nich to nie było żadne osiągnięcie ani gwarancja, tylko polityka. Nudna do wyrzygania polityka, która – nie licząc seksownego księcia – nie miała najmniejszego wpływu na ich sielskie życie. Mnie na dźwięk tych słów aż przechodziły ciarki. Pamiętam bliskie nabożności podejście, jakie mieliśmy do traktatów w St. Sapphire. Byliśmy dumni, że nasza rasa wynegocjowała pakt stabilizacyjny dla wszystkich mrocznych istot. Teraz jednak traktaty nie zapewniały stabilności. Niczego już nie zapewniały.

– Długo się już tym pokojem nie nacieszymy, prawda? – wypaliłam, nim zdążyłam ugryźć się w język. Postanowiłam jednak zaraz kontynuować. *Po co mydlić sobie oczy fałszywym poczuciem bezpieczeństwa?* – Wszędzie widać konflikty pomiędzy ludźmi i mrocznymi istotami, a sytuacje takie jak ta z Violet Lee tylko pogarszają sprawę! Tymczasem wrogowie nas wszystkich tylko wykorzystują sytuację i starają się do reszty podkopać traktaty. Nasi wrogowie chcą wojny... Ci wrogowie, przed którymi staram się was bronić – skończyłam cicho, wbijając wzrok w książki na blacie.

Milczenie wreszcie zostało przerwane. Klasa zaszumiała od szmerów i szeptów, po których zaraz pojawiły się głosy protestu, że to wszystko nie jest winą ludzi. Pan Sylaeia z szeroko otwartymi oczami starał się uciszyć grupę, ale nikt nie reagował na jego coraz głośniejsze stukanie o tablicę.

Ukryłam twarz w dłoniach i wbiłam paznokcie w skórę głowy. *Dlaczego nie potrafiłam po prostu siedzieć cicho?* Teraz wszyscy będą sądzić, że ich nienawidzę. Już bez tego wystarczająco mnie nie znoszą...

Nie zauważyłam nawet, że książkę wstał. Zorientowałam się dopiero, gdy usłyszałam jego głos przebijający się ponad panujący w klasie harmider.

– Jesienna Róża ma rację. Traktaty Terra długo już nie przetrwają. Świat się zmienił, nie

kontaktujemy się już twarzą w twarz. Mogłoby dojść do wojny. Ale nie dojdzie. Przeznaczenie do tego nie dopuści. Myślicie, że po co mamy Przepowiednię o Bohaterkach?

Podpierając się przy wstawaniu, tak mocno nacisnęłam na ławkę, że moje krzesło przesunęło się z hałasem i o mało nie przewróciło na podłogę. Stojąc, czułam się trochę głupio, ale tak nakazywał stary zwyczaj z mojej dawnej szkoły. Poza tym, gdy siedziałam, czułam się przy księciu mała.

– Jak niby kilka mrocznych istot ma odtworzyć moc traktatów i zapobiec wojnie? Co, jeśli nie pojawią się na czas albo im się nie uda?

– Uda im się – powiedział z naciskiem. Nasze spojrzenia po raz pierwszy od dawna się spotkały. Bruzda na jego czole zdradzała frustrację, a ja poczułam, że magia rozpała mi żyły gniewem.

– Żadne Bohaterki jeszcze się nie pojawiły, a jeśli wampiry jutro zabiją Violet Lee, wojny nic nie powstrzyma. Los nas wszystkich zależy od tego, co tam się stanie!

Czekałam z zapartym tchem na jego reakcję. Miałam niemal nadzieję, że postara się zaprzeczyć mojej logice. *Wiedziałam*, że mam rację. Na własne oczy widziałam zagrożenie: ludzką nienawiść, Extermino i... Violet Lee, tę dziwną dziewczynę, której nie umiałam przegnać ze snów.

– Mylisz się...

Semestr ledwo się zaczął, więc dźwięk dzwonka wciąż potrafił mocno zaskoczyć. Kiedy zabrzmiał nierównym, wysokim dźwiękiem, wszyscy aż podskoczyli.

Spakowałam się jak najszybciej, obeszłam podkowę z ławek i ruszyłam w stronę drzwi, żałując, że nie potrafię poruszać się trochę zwawiej. Chciałam koniecznie wyjść z klasy, zanim książę skończy mówić. Cała odwaga, którą napełnił mnie gniew, nagle gdzieś uleciała. Chciałam po prostu uciec.

– Róża!

*Odwróć się, do cholery.* Czułam, że mnie dogania. Reszta klasy nie była zresztą daleko w tyle. Jak zwykle szli całym stadem.

– Księżno!

I wtedy padły słowa, które sprawiły, że natychmiast zatrzymałam się i odwróciłam. Słowa, które jakimiś przedziwnymi korzeniami związały mnie z ziemią i uczyniły więźniem tego, co zaraz miałam usłyszeć.

– Dlaczego cały czas nazywasz ją „księżną”? – padło niewinne pytanie. Starająca się nadażyć za starszą kuzynką Tee nie mogła wiedzieć, jak bardzo się tego bałam. Jak mocno modliłam się przez ostatnią dobę, by nikt nie usłyszał, jak zwraca się do mnie książę.

Spomiędzy moich ledwie uchylonych warg dobyło się ciche, błagalne „nie, nie”. Kiedy jednak spojrział na dziewczynkę, a potem znów na mnie, zobaczyłam w jego kobaltowych oczach (mówią, że oczy zawsze zdradzają błękitną krew), że nie usłucha mojej prośby.

– To nie wiedziałaś? Róża jest księżną Anglii.

Nie czekałam na pytania i nie chciałam ujrzeć zdumienia na ich twarzach. Nie zniosłabym tego wszystkiego. Po prostu odwróciłam się, zrobiłam sześć odpowiednio długich kroków i wzbijałam się w powietrze.

– *Pamiętaj, kim staniesz się pewnego dnia, dziecko.*

– *Nie chcę myśleć o tym dniu, babciu. Nie chcę nawet o nim myśleć.*

*Po co robić coś takiego? Po co celowo być tak okrutnym? Dlaczego odmawiać mi wyboru?* Dobrze chociaż, że mogłam stamtąd uciec. Gdyby to wszystko nie stało się po ostatnich zajęciach, nie mogłabym tak po prostu zwać. Przed byciem źródłem sensacji i przed nim. Pod sobą widziałam utkany przez słońce kolaż jasnych plam i cienia, ale powietrze było zimne. Chłodny wiatr od morza wpadł w paszczę ujścia rzeki i popędził zwężającą się doliną, kołysząc masztami żaglowców zacumowanych przy nabrzeżu Dartmouth. Takielunek statków zabręczczał miękko, a wiatr poniósł dźwięk dalej, okraszając tą melodią rytm wybijany przez łopatki starego promu i wysokie gwizdy pociągu parowego sunącego nabrzeżem w stronę Kingswear. To ostatnie było tylko małą wsią, ale dumnie stało po drugiej stronie rzeki, prężąc się w stronę Dartmouth barwnymi domami rozsianymi po nierównych tarasach skalnych. Pociąg sunął wzdłuż krętych strumieni, przez mosty, przejeżdżał poniżej wiejskiej szkoły, w której koniec lekcji obwieszczał stary dzwon, aż wreszcie docierał pod przystań dolnego promu.

Był to perfekcyjnie zachowany świat, trwający w swojej sielskiej izolacji i czerpiący ze swego niezaprzeczalnego piękna, by przyciągać turystów. Dla mnie jednak właśnie ta izolacja stanowiła źródło cierpienia.

Wreszcie – bo przez podły nastrój czas mocno mi się dłużył – dotarłam na drugi brzeg, porośnięty popękkanymi drzewami chylącymi się w stronę rzeczno-mułu. Szkoda, że liście opadły w tym roku tak wcześnie. Był dopiero wrzesień, a w oczy już najbardziej rzucały się nieuprzątnięte wciąż ślady letnich nocy: walające się butelki, papier po kanapkach i jedwabne chusteczki. Taką cenę płaciły drzewa za zagnieżdzenie się na rzeczno-m brzegu. Gniły. Obumierały.

*Dlaczego? Dlaczego im powiedziałaś, mimo że prosiłam cię, żebyś tego nie robił? Co niby dzięki temu osiągnęłaś?*

Kiedy oddaliłam się od morza, na moment przestał dokuczać mi chłód. Zaraz jednak zastąpiła go mgła. W oddali zobaczyłam wieżę kościoła niedaleko mojego domu, a jeszcze nieco dalej port. W powietrzu czuć było sól, którą morską mgiełka uniosła w głąb lądu.

W dalszym ciągu nie rozumiałam wszystkiego, co miało miejsce tego dnia. Odnosiłam wrażenie jakby to, co wydarzyło się od rana, działo się tak naprawdę w ciągu kilku dni i dotyczyło mnie tylko powierzchownie. Moje ciało dawało jednak wyraźnie znać, że czuje się źle traktowane, a w środku byłam dziwnie odrętwiała. Mój umysł próbował chyba w ten sposób się bronić.

Rzuciłam okiem na zegar na kościelnej wieży. Zaskoczyło mnie, ile czasu zajęło mi dotarcie do domu. Chyba przestał biec równomiernie.

Wewnątrz, gdy weszłam do pokoju z kubkiem herbaty, wabiąco mrugała do mnie lampka laptopa. Tak jak oczekiwałam, Jo odpowiedziała bardzo, bardzo obszernie. Czytanie jej e-maila wymagało masy przewijania. Pomimo nieco skomplikowanego, quebecko-niemieckiego pochodzenia, mówiła i pisała po angielsku perfekcyjnie. Była to korzyść, jaką wyniosła z ośmiu lat w St. Saphire.

Pierwsze trzy akapity składały się z wybuchów entuzjazmu i zachwytów – po pierwsze tym, jak seksowny jest książę, po drugie tym, jak to *powinnam* się cieszyć, że dano mi szansę tak się do niego *zbliżyć*. Ciąg dalszy stanowił ostrzeżenie: oskarżenie, jakie wysuwałam pod adresem jego rodziny i jego samego, było poważne, *powinnam* więc bardzo uważać. List zakończyła swoją teorią na temat tego, dlaczego książę się tu pojawił. Włożyłam ją między bajki, trochę się przy tym czerwieniąc.

Odchyliłam się głęboko na krześle, nie wiedząc do końca, co odpisać. Zastanawiałam się, czy powiedzieć jej o swojej porannej wpadce. Nie zdecydowałam się. Nie chciałam dostarczać żadnych podstaw do plotek. O niedyskrecji księcia nie było sensu pisać. Jo nie wiedziała, że ukrywam,

*ukrywałam, mój tytuł.*

Odsunęłam się od biurka i klapnęłam na poduszki rozłożone na okiennym parapecie. Przez szybę widziałam rosnący w ogrodzie klon. Jedna z jego gałęzi kończyła się nie więcej niż pół metra od okna. Kiedy jako dziecko niechętnie wracałam do domu ze szkoły, często szukałam otuchy w koronie tego drzewa. Pień rozszczepiał się na czworo, tworząc znakomite niewielkie siedzisko. To było moje miejsce pośród liści, dekorowałam je przypinanymi do kory kwiatami z ogrodu i łapaczami snów, które bez końca wyrabiałam przy biurku zajmowanym teraz przez laptop. Mimo że były takie kruche, zachowało się trochę niedobitków z tamtych lat. Wciąż zwisały nad oknem, tyle że już bez piórek. Gdy podgniły i pokryły się pleśnią, matka je usunęła. Nazbierałam wtedy mewich piór, żeby zastąpić stare, ale tych też się pozbyła.

Wiedziałałam, że nie potrafię zmierzyć się z następnym dniem w szkole. Zdawałam sobie sprawę, że nie wytrzymam pytań, ponieważ nałożyłyby się na i tak już niemały pokład paniki, który wywoływały u mnie czwartkowe karne godziny. Wolny dzień posłuży mi za coś w rodzaju bufora. Pozwoli złagodzić szok. Do czwartku, kiedy wrócę, szum wokół mojego tytułu trochę już przycichnie. Niech książkę sobie radzi z ich pytaniami, pomyślałam, niech ogarnie sytuację, którą sam sprowokował.

MUZA S.A. 8825\_8499

## *Jesienna Róża*

– Róża, dlaczego nam nie powiedziałaś?

– Bo nie pytaliście.

– Co za różnica? Jesteś księżną Anglii, a my nie mieliśmy o tym pojęcia. Przecież to znaczy, że należysz do najwyższej arystokracji w całym tym kraju! Tuż poniżej rodziny królewskiej. Hej, może warto było wspomnieć? – rzuciła Gwen poirytowana.

– Uważałam, że ten tytuł umarł kilka lat temu razem z pewną kobietą. Pamiętacie, jak w wiadomościach mówili o państwowym pogrzebie?

Spojrzałam na Tammy. Na jej twarzy pomału zaczęło się malować zrozumienie.

– O Boże! To była twoja babcia, prawda? Ale jak to się stało, że tytuł ominął twojego tatę?

– Jest człowiekiem.

Myliłam się co do tego, że szum przycichnie. Jeśli w ogóle coś osiągnęłam tym dniem nieobecności, to tylko nasilenie się całej wrzawy. Pytania nie ustawały przez cały dzień. Jedyne chwile wytchnienia miałam wtedy, kiedy uciekałam do łazienki albo gdy obok pojawił się książę – wtedy pytaniami zasypywano jego. Zresztą to właśnie z niego mieli szansę wyciągnąć więcej. Ja odpowiadałam bardzo zdawkowo.

Dzień zleciał na szczęście szybko. Udało mi się nawet uniknąć rozmawiania z księciem przez całe zajęcia z literatury angielskiej. Nie próbował tym razem wciągać mnie w nic, co by przypominało konwersację.

Kiedy wychodziłam z krawiectwa, było już dobrze po piątej. Podejrzewałam, że czeka mnie bardzo długi wieczór. W odróżnieniu od pracy, przez którą musiałam zostać po lekcjach, wypracowanie na rozszerzony angielski było długie i bardzo starannie napisane. Zadania nie ułatwiał mi fakt, że książę nie przeczytał ani sztuki, ani żadnego z opisywanych wierszy. Musiałam tłumaczyć mu wszystko, co ode mnie przepisywał. Pan Sylaeia co jakiś czas zerkał w naszą stronę od swojego biurka, aż w końcu, gdy wskazówki zegara dotarły do wpół do ósmej, powiedział, że możemy iść.

Zawartość mojej teczki została tak wymieszana i porozrzucana po blacie ławki, że nim zdążyłam ją uporządkować i spakować, na zewnątrz ściemniło się, a szare wieczorne niebo ustąpiło miejsca purpurze za ścianą deszczu. Wyglądając przez okno, nie mogłam nawet dojrzeć po drugiej stronie dziedzińca budynku, w którym odbywały się zajęcia z plastyki. Poczułam gulę w gardle.

Stojąc na korytarzu, mogłam odnieść wrażenie, że aż tak strasznie nie pada. Ciężkie drzwi na obu jego końcach skutecznie tłumiły wycie wiatru. Dopiero na schodach złudzenia zniknęły: było naprawdę źle. Niebo ciskało wodą w dół z taką siłą, że krople odbijały się od gruntu na metr w górę, rykoszetując na ławkach i łącząc się ostatecznie w rwące strugi spływające do zagłębień w ziemi i pęknięć w asfalcie. Kwiaty na rozkwitającym drzewie walczyły dzielnie, jednak górą był wiatr. Porywał ze sobą kolejne płatki i unosił je gdzieś daleko poza budynek.

– Nie będziesz chyba latać przy takiej pogodzie?

Książę stanął koło mnie. Przez przeszkłone drzwi obserwowaliśmy panujący na zewnątrz chaos.

– Pojadę autobusem.

Zmierzył mnie wzrokiem od stóp do głów. Miała na sobie bluzkę, spódniczkę i cienkie rajstopy. To nie był idealny strój na tę pogodę, doskonale o tym wiedziałam.

– Minuta i kompletnie przemokniesz. Poza tym jest ciemno. Nie powinnaś czekać sama.

– Dam sobie radę.

– Naprawdę mogę cię podwieźć.

Zrobiłam kilka kroków w stronę wyjścia i podciągnęłam wyżej torbę na ramię, szykując się do szarży przez deszcz.

– Rodzice mówią, że nie powinnam wsiadać do samochodu z obcymi.

Wzdrygnął się, a na jego twarzy pojawił się ten sam zdumiony wyraz co dwa dni wcześniej.

– Przecież nie jestem obcy.

Ton, jakim to powiedział, brzmiał niemal pytająco – jakby sam nie miał pewności co do swojego poglądu w tej sprawie.

*Nie jesteś w niczym lepszy od obcego*, pomyślałam.

Wahałam się jeszcze kilka sekund, nie wiedząc, czy coś dodać. Ponieważ on milczał, zebrałam się w sobie i popchnęłam drzwi. Liczyłam na to, że masa mojego ciała pozwoli mi utrzymać je na tyle, że dam radę wymknąć się na zewnątrz. Nie pozwoliła. Gdy tylko wiatr natarł na skrzydło drzwi, natychmiast szarpnął nimi potężnie i otworzył je na oścież, a ja w ciągu sekundy zostałam całkowicie przemoczona, bo znalazłam się tuż pod przepelnioną rynną. Oślepiła mnie woda ściekająca z włosów, a na twarzy czułam przypominające ukłucia igieł uderzenia kropel deszczu. Zobaczyłam tylko drzwi lecące w moją stronę z takim impetem, jakby chciały wyrwać się z zawiasów. Uskoczyłam w tył, czując, jak pomaga mi dłoń ciągnąca zdecydowanie za materiał mojej bluzki. Wylądowałam na podłodze i cofnęłam stopy z linii framugi na ułamek sekundy przed tym, jak drzwi trzasnęły o nią tak mocno, że szkło w ich dolnej części roztrzaskało się w drobny mak.

– Jesteś cała? – usłyszałam, gdy siedząc na podłodze, tępo wpatrywałam się w uszkodzone drzwi. Przez rozbitą szybę wdzierał się teraz wiatr. Było mi zimno w odsłonięte nogi – puściło mi oczko w rajstopach.

– Zawiozę cię do domu. Bez dyskusji.

Nie próbowałam dyskutować, byłoby to pozbawione sensu. Miał rację. Pomógł mi się podnieść.

– Uważaj na szkło – powiedział, otwierając drzwi i zapierając się o nie. Przeskoczyłam nad resztkami szyby i biegiem ruszyłam w stronę zadaszonego wyjścia po przeciwległej stronie patia. Zza moich pleców dobiegł łoskot trzaskających drzwi i przytłumione wiatrem przekleństwo. Jeszcze moment i rozległy się kroki goniącego mnie szybko księcia.

Nagle złapał mnie za rękę i pociągnął lekko za sobą w dół schodów, w stronę prowadzącego do wyjścia korytarza. Tam zatrzymaliśmy się, drżąc z zimna. Księżę na rozgrzewkę pocierał mocno ramiona.

– Gotowa? – Wyciągnął po chwili dłoń w moją stronę.

Spojrzałam na jego rękę, potem na deszcz. Nawet gdybym była tuż przy nim, nie widziałabym go, biegnąc. Parking przed nami rozświetliła na sekundę potężna błyskawica.

– Chodź – powiedział stanowczo, chwytając mnie za dłoń. Przy wtórze grzmotu, który nieuchronnie nadszedł po błyskawicy, wyciągnął mnie z powrotem na deszcz. Mrużąc oczy, rozglądałam się za

samochodem. Jakimkolwiek. Nagle w mroku mrugnęła kilkakrotnie para reflektorów. Przed oczami mignął mi obraz zaskakująco skromnego pięciodrzwiowego samochodu sportowego. Najciekawsze było to, że na karoserii nie widać było atheneńskiego herbu.

Ruszył do prawych drzwi, mnie delikatnie kierując wzdłuż maski, do lewych. Zrzuciłam z ramienia torbę i usiadłam na fotelu pasażera. Postawiłam ją następnie w nogach, cały czas mocno ściskając uchwyt. Oderwałam dłoń tylko na kilka sekund potrzebnych do zapięcia pasa. Księżę zdążył w tym czasie uruchomić silnik. Teraz sięgnął w stronę regulacji nawiewu i do maksimum podkręcił ogrzewanie. Z kratek w pierwszej chwili buchnęło chłodne powietrze, ale już po chwili moje stopy same zaczęły lgnąć do ciepła. Przy akompaniamencie uderzeń wycieraczek wyjechaliśmy z parkingu.

– Mieszkasz w Brixham, prawda? – Przytaknęłam. Włączył prawy kierunkowskaz. Stukot kropeł deszczu o szybę i powracający mniej więcej co minutę odgłos grzmotu powstrzymywały księcia od mówienia czegokolwiek. W milczeniu wyglądałam więc przez okno. Wraz z każdą błyskawicą dolina poniżej nas rozświeślała się, a z mroku wyłaniały się pola, domy i narożnik późnowiktoriańskiego budynku mieszczącego szkołę morską. Było to miejsce dobrze znane kadetom marynarki. Ludzkim. Widok w dole zastygał na moment w świetle, po czym znów zanikał.

Stroma główna droga prowadząca do dolnej części miasta była kompletnie pusta. Kiedy objechaliśmy teren szkoły morskiej, okazało się, że tak samo jest na dojeździe do górnego promu. Gdy zbliżyliśmy się do rampy, wszystko wyjaśnił duży żółty znak: przeprawę zamknięto z powodu złej pogody. Księżę zaklął pod nosem.

– Spróbuj przy dolnym promie – wymamrotałam. Jakoś trudno było mi tu z nim rozmawiać. Spojrzał na mnie nieco zbity z tropu. – Musisz jechać dalej, trzymając się nabrzeża – dodałam. Nie miałam przy tym specjalnej nadziei. Skoro zamknięto solidniejszy górny prom, bez wątpienia dolny, prostą barkę na linie, również. Moje przypuszczenia zaraz się potwierdziły. Kiedy dotarliśmy do najstarszej części miasta, gdzie belkowane fasady większych budynków chyliły się niebezpiecznie w stronę bruku, a linie ulic wytyczały rzędy rybackich domków, zobaczyłam jednego z żeglarzy promowych. Opuszczał właśnie stanowisko, uginając się pod uderzeniami wiatru. Na wzburzonej rzece wypatrzyłam światła promu wracającego w stronę pomostu.

Księżę westchnął.

– A więc chyba zostaje nam droga naokoło. Będiesz musiała mnie poprowadzić.

Skinęłam głową.

– Zawsze skręcam w Totnes na Dartmoor – powiedział. – Nie byłem jeszcze w Torbay. – Dostrzegłam kątem oka, że zerka w moją stronę. Myślał, że podejmę rozmowę. Nie powiedziałam jednak ani słowa.

Kiedy dojechaliśmy z powrotem na szczyt wzgórza, poczułam, że znów na mnie patrzy. Otworzył usta, ale zaraz je zamknął, aż w końcu postanowił się odezwać:

– Mieszkam z wujem i cocią. Podejrzewam, że są ci znani jako Ich Atheneńskie Wysokości Księżę i Księżna Victorii. – W jego głosie słychać było sarkazm. Wyraźnie raziło go używanie tytułów. Wszystkich z wyjątkiem mojego oczywiście. – Kupili dom na wrzosowiskach, niedaleko Princetown. Kiedy się o tym dowiedziałem, postanowiłem skorzystać z okazji. Zawsze chciałem studiować w Anglii, w Australii nie wytrzymałem już przez paparazzich. Wiedziałem, że to miejsce to taka spokojna bańka mydlana, a samo Kable też zdawało się dobrym wyborem, skoro byłaś tutaj ty. Zakazaliśmy mediom publikowania jakichkolwiek informacji o miejscu mojego pobytu,



plotkarzom na dworze wcisnęliśmy kłamstwo o moim powrocie do Sydney, no i jestem. Żadnych ochroniarzy, żadnych paparazzich.

Powoli pokiwałam głową. *W Londynie nic nie słyszałam o ich przeprowadzce. Muszą naprawdę pragnąć spokojniejszego życia, skoro zadali sobie tyle trudu, żeby zatuszować całą sprawę.* Wiedziałam jednocześnie, że wszystko w końcu się wyda. Siedzieli na bombie zegarowej i było tylko kwestią czasu, kiedy rzuci się na nich prasa. A kiedy to się stanie, moje nazwisko też wypłynie.

Po raz kolejny miałam wrażenie, że próbuje rozpocząć rozmowę, ale nie wiedziałam do końca, jak odpowiedzieć. Wszystko, co miałam chęć mu wygarnąć, nie tylko nie nadawało się do powiedzenia, ale wręcz trąciło zdradą.

– Ty jesteś tu, bo tak zdecydowali twoi rodzice – rzucił. Nie było to pytanie.

Ponownie zamilkł. Wiedziałam, że przy odrobieniu wysiłku mogę przerwać niezręczną ciszę, ale tego nie zrobiłam. Trudno uwierzyć, że w wieku dwunastu lat mówiłam całkowicie swobodnie do wyższych i niższych rangą i rodem ode mnie i uważałam, że to całkiem naturalne. To było coś niemal wrodzonego, co zawdzięczałam urodzeniu na arystokratycznym dworze. Teraz jednak moje dwa języki dusiły się wzajemnie. Słowa nie przychodziły.

– Tęsknisz za nią? – Zaskoczył mnie zadany cicho pytaniem. Ścisnął kierownicę tak mocno, że widziałam, jak bieleją mu kostki dłoni. Wpatrywałam się w nie przez moment, po czym przeniosłam wzrok na snop świateł przemykający po jezdni.

– Tak. Bardzo – wyszeptałam. Nie byłam pewna, czy w ogóle mnie usłyszał, czy moich słów nie zagłuszył deszcz i pomruk silnika.

Ze zrozumieniem skinął głową.

– To, co się wtedy stało, było straszne. Ty przecież... miałaś dopiero czternaście lat. Doświadczyć w takim wieku podobnej straty, to musiało być...

Nie dokończył zdania. Nie musiał. Doskonale wiedziałam, jakie to uczucie. On usilnie starał się to zrozumieć.

– To było morderstwo – dodał po chwili. – Myślałaś kiedyś... o zemście?

– Myślałabym, gdybym wiedziała, kto jest mordercą – odparłam ostro, zaskakując samą siebie nagłą zmianą tonu.

Księżę zwrócił się w moją stronę na tyle, na ile mógł, nie odrywając wzroku od trasy.

– Przepraszam, ale czy ja cię w jakiś sposób obraziłem? Wiem, że nie widzieliśmy się od kilku lat, ale kiedyś przecież się przyjaźniliśmy. A teraz traktujesz mnie jak zadżumionego.

– Może na przykład dlatego, że Wasza Wysokość raczył ujawnić mój tytuł.

Zrobił głęboki wydech.

– Starałem się ci pomóc.

– Dlaczego?

Wychodząc z ostrego zakrętu w lewo, przepuścił prostującą się kierownicę pomiędzy dłońmi. Za łukiem droga rozszerzała się do dwóch pasów. Przyspieszył. Pokręcił lekko głową i zmarszczył brwi.

– A dlaczego miałbym ci nie pomagać?

Przetarłam fragment zaparowanego okna i wbiłam spojrzenie w ciemności na zewnątrz.

– Nie lubię cię.

Zapanowała długa cisza zakłócana jedynie szmerem silnika i stukotem wycieraczek. Nie patrzyłam na niego. Zastanawiałam się tylko, ile razy, wprost lub nie, ktoś powiedział mu coś takiego.

Mruknięciem zdradził, że przyjmuje informację do wiadomości.

– Mogę tylko spytać dlaczego?

Reagując impulsywnie, nie zaplanowałam kolejnego kroku. Powiedziałam wreszcie, co czuję. Dałam upust swoim uczuciom. Jednak to, co chciałam powiedzieć, stanowiło oskarżenie, niemal zdradę wobec dynastii. *Tylko kiedy trafi się następna okazja, żeby zadać to pytanie?*

– Myślę, że ty, cała rodzina królewska i wasza rada zatajacie przede mną informacje. Podejrzewam, że wiecie, kto i dlaczego zamordował moją babcię. Wiem o tym, bo słyszałam, o czym szeptano na pogrzebie. Poza tym to jedyne wytłumaczenie tego, że sprawy wciąż nie wyjaśniono. Jaki mógłby być inny powód?

Kostki jego dłoni momentalnie zbieleły od uścisku na kierownicy. Natychmiast zbladł, potwierdzając tym samym półtora roku moich podejrzeń.

– Skąd u ciebie przekonanie, że mam takie informacje?

– Jesteś drugi w kolejności do tronu i dobrze orientujesz się w polityce. Lepiej niż sam następca. Myślę, że rodzice by ci zaufali.

Odwróciłam wzrok po tym komplemente, który niespodziewanie mi się wysnął. Nie patrzyłam w jego stronę, tylko czekałam, aż w końcu zrezygnowana oparłam głowę o szybę.

– Wydano mi rozkaz, żebym z tobą o tym nie rozmawiał – wyjaśnił w końcu drętwo.

Odetchnęłam głęboko. Nienawiść i gniew, które czułam za każdym razem, gdy myślałam o jej śmierci, potroiły się. Chciałam coś powiedzieć, ale emocje nie pozwalały mi się wysłowić. Uroniłam łzę, która spłynęła po moim policzku na chłodną szybę. Zamknęłam oczy, tamując płacz. Pozwoliłam mokrym, zaczynającym się skręcać włosom przysłonić mi twarz.

Poczułam dotyk na kolanie – to książę położył na nim dłoń. W odruchu obronnym cofnęłam szybko nogę i postawiłam torbę na kolanach. Czułam, jak czerwienieją mi policzki. Dłoń księcia zawisała na chwilę w pół drogi pomiędzy kierownicą a drążkiem zmiany biegów, jakby nie wiedział, co ma z nią zrobić. W końcu uchwycił nią kierownicę.

– Przykro mi. Naprawdę. Przepraszam też, że ujawniłem twój tytuł. Źle zrobiłem.

Czekałam, co powie dalej. Książę zorientował się i ciągnął:

– Myślałem, że to załagodzi twoje relacje z innymi. Poza tym, chociaż wiem, że to zabrzmiało z mojej strony egoistycznie, chciałem traktować cię jak równą sobie. Ludzie łatwiej to akceptują, kiedy mogą do nazwiska dołożyć tytuł. Chyba po prostu nie rozumiałem, że ty chcesz... – zawiesił głos, szukając właściwego sformułowania – że chcesz żyć tak jak ludzie.

Poczułam w środku dziwne rozdarcie, mieszaninę rozgniewania i zagubienia.

– Nie tego chcę.

– Na pewno? A kiedy ostatni raz korzystałaś z bardziej skomplikowanej magii? I nie pytam o układanie sobie włosów.

Zupełnie zbił mnie z tropu. Odchyliłam się na oparcie fotela.

– No właśnie. Jeśli naprawdę jest tak, jak mówisz, dlaczego nie ćwiczysz rzucania czarów?

Znów nie umiałam udzielić odpowiedzi. Milczałam, póki nie dojechaliśmy do drogi prowadzącej

do mojego domu. Powiedziała mu wtedy, by skręcił w prawo. Wjechaliśmy pod wzgórze, mijając kościół i sąsiadujący z nim cmentarz. Widziałam, że książę co chwila zerka to w lewo, to w prawo. Przyglądał się okolicy, poznawał ją i oceniał. Wiedziałam, że myśli o tym, jak mało imponujące jest to miejsce. Tutejsze zbudowane z czerwonej cegły domy w stylu wiktoriańskim niektórych mogły odstraszać, ale miałam świadomość, że nie jest to okolica odpowiednia dla kogoś o moim urodzeniu.

W połowie drogi poprosiłam, żeby się zatrzymał. Odpięłam pas i z wahaniem sięgnęłam w stronę klamki.

*Decorum, dziecko. Decorum jest wszystkim.*

Zacisnęłam usta, ale w końcu jednak powiedziałam:

– Przepraszam, jeśli Waszej Królewskiej Mości urąga sposób, w jaki żyję. Przepraszam, jeśli Wasza Królewska Mość uważa, że nie wolno mi czuć złości z powodu waszych głupich rozkazów. Chyba nic, niestety, nie mogę na to poradzić. – Odwrócił się w moją stronę tak gwałtownie, że poczułam, jak odsuwając się od niego, całym ciężarem oparłam się o drzwi. Miał zdumiony wyraz twarzy, jednak w jego szeroko otwartych oczach tliło się coś na kształt uznania. – Dziękuję za podwiezienie – rzuciłam, po czym szybko wysiadłam z samochodu. Obiegłam auto i na chodniku znalazłam się pod parasolem drzew. Gdy zamknęłam za sobą furtkę, zawrócił i odjechał. Obserwowałam go, póki nie zniknął za zakrętem, wspominając wybuch księcia.

Na moich ustach zagościł uśmiech. Szerszy niż wcześniej. Był to jednak uśmiech pełen goryczy, efekt chwilowego zwycięstwa.

*A więc wiesz. Wiesz, dlaczego ona nie żyje, a ja to z ciebie wyciągnę. Póki mi się to nie uda, nie licz, że cię polubię!*

Przez okna po obu stronach drzwi frontowych sączyło się na ogród światło. Na podjeździe stały dwa samochody. Moi rodzice wrócili. Jęknęłam, szykując się na spotkanie z nimi.

Drzwi nie były zamknięte na zamek. Otworzyłam je tak cicho, jak tylko mogłam. Zsunęłam buty i byłam już jedną nogą na schodach, gdy z salonu wyłoniła się moja matka. Było jasne, że od dawna na mnie czeka.

– A ty gdzie byłaś? Jest prawie dziewiąta!

– Pan Sylaeia poprosił mnie, żebym pomogła jednemu z uczniów przy zaległościach. – Odwiesiłam torbę na haczyk nad kaloryferem, żeby miała szansę do rana wyschnąć, po czym odwróciłam się z powrotem do matki. Miałam nadzieję, że szybko skończy, a ja będę mogła przebrać się w końcu w coś suchego.

– Rozumiem, że jeśli zadzwonię do szkoły, on to potwierdzi?

– Tak – odparłam, wiedząc, że nauczyciel nie wspomni o szczegółach. Dostatecznie mnie już ukarał.

Wypuściła ciężko powietrze, po czym wskazała w stronę bramy:

– Kto cię odwiózł?

– Kolega.

Na ten tekst jednak się nie złapała.

– Wszyscy twoi koledzy są za młodzi, żeby mieć prawo jazdy.

– Kolega z klasy *maturalnej* – poprawiłam się. Ona jednak w dalszym ciągu nie była przekonana.

Z nieufnym wyrazem twarzy stanęła przed lustrem, żeby zdjąć kolczyki. Widać było, że ledwo wrócili. Matka wciąż miała na sobie kostium, a jej włosy nie zdążyły z powrotem się zwinąć w fale. Nadal ułożone były w jej prostą, lśniąca fryzurę na oficjalne spotkania.

– Nie znam za wielu maturzystów, którzy mieliby chociaż na OC do mercedesa.

Przewróciłam oczami i wzięłam długi, głęboki oddech.

– Dobrze już. Jest w szkole nowy Mędrzec.

Posłała mi protekcyjny matczyzny uśmiech zarezerwowany na te momenty, w których wiedziała, że udało jej się zapędzić mnie w kozi róg.

– No, to dotarłyśmy w końcu do prawdy.

Odwzajemniłam uśmiech i miałam już iść na górę, kiedy z kuchni dobiegł głos ojca.

– O co tak się spierają moje dwie śliczne panie? – Wyłonił się zza schodów z wysoką szklanką i ściereczką kuchenną w dłoni.

Przygryzłam lekko język, licząc na to, że dadzą mi pójść, nim moje przemoczone ubrania sprowadzą powódź do przedpokoju.

– Jest w szkole nowy Mędrzec – powtórzyłam krótko.

Spojrzał na mnie z pewnym zainteresowaniem, nie przestając wycierać wnętrza szklanki.

– To chyba fajnie, prawda? Z której rodziny?

Tym razem poważnie się zawahałam. Milczałam chwilę, wariacko żując własny język. Nie było jednak co odkładać nieuniknionego. Zerknęłam najpierw na jedno, potem na drugie z rodziców.

– To Athenea.

Szklanka roztrzaskała się o podłogę, a ściereczka opadła pomału na jej resztki. Ojciec rozdziawił usta, po czym szybko je zamknął, starając się ukryć emocje.

– Mój Boże – powiedział, oddychając głęboko i zaciskając dłonie na piersi. Matka podeszła do niego. Gładziła go po plecach, ale wyglądała na równie zszokowaną jak on sam.

– Który to?

– Fallon.

– Ten siedemnastolatek? – spytała moja matka z szeroko otwartymi oczami.

Kiwnęłam głową.

– Przecież on jest drugi w kolejce do tronu. Co tu, na rany boskie, robi?

Wzruszyłam ramionami, ale wiedziałam, że skoro powiedziałam już prawdę, to równie dobrze mogę im od razu wyjawić całą resztę.

– Mówi, że chce unikać prasy. Mieszka z księciem i księżną Victorii – wzięłam głębszy oddech – którzy kupili posiadłość w Dartmoor.

Rodzice wymienili się zafrasowanymi spojrzeniami, po czym zwrócili się do mnie. Nie miałam z nimi zbyt wiele wspólnego, ale jednoczył nas pewien pogląd: nie życzyliśmy sobie w naszym pobliżu Atheneów.

– Prosiłam go, żeby tego nie robił, ale ujawnił w szkole, że jesteśmy rodziną książęcą – powiedziałam nie do końca zgodnie z prawdą. Księżną byłam tylko ja, ale ponieważ nie osiągnęłam jeszcze pełnoletności, ojciec zarządzał moimi finansami. Wolno mu było w związku z tym używać

tytułu na zasadzie grzecznościowej.

Tego było dla niego zbyt wiele. Oparł się ciężko o poręcz schodów i ukrył twarz w dłoniach. Matka zaprowadziła go zaraz w stronę stojącej w salonie sofy, a ja skorzystałam z okazji, by uciec na górę. Nie było mi go specjalnie żal. Rodzice tak jak i ja nie chcieli Athenei w pobliżu, ale to nie oni musieli użerać się z nim na co dzień.

W pokoju zrzuciłam z siebie ciuchy i wyciągnęłam z szafy najdłuższą koszulę nocną, jaką miałam. Włożyłam też najgrubsze skarpetki. Jednak mimo rozgrzanego kaloryfera i ciepłego, suchego ubrania wciąż było mi zimno.

*Inceandia* – wyszeptałam, a ponad moimi dłońmi pojawił się owalny płomyk. Opuściłam ręce i dałam mu przybrać formę wiszącej w powietrzu kuli. Ta w ciągu kilku sekund ogrzała cały pokój.

Przyglądałam się jej zwartej, jednostajnie świecącej formie, a w głowie raz jeszcze usłyszałam słowa księcia. Pod wpływem impulsu machnęłam ręką. Ogień natychmiast zgasł. Wymsknęło mi się przekleństwo w ojczystym języku, po czym padłam twarzą w dół na łóżko. Okładałam pięściami materac, aż poczułam, jak poduszka nasiąka łzami.

MUZA S.A. 8825\_8499

*Jesienna Róża*

Najpierw warknięcia. Rytmiczne i nieprzerwane, niebaczące na niosący się echem skowyt.

To tylko sen, mówiłam sobie; obraz przed moimi oczami stracił częściowo ostrość. Kolumny rozplynęły się w ciemnościach, a ja ruszyłam w stronę źródła dźwięku. Szłam ku niemu, choć tak naprawdę miałam ochotę znaleźć się od niego jak najdalej.

Dwa stojące tuż obok siebie drzewa, niczym więzienne kraty. Pomiędzy nimi – zarys postaci, zgarbionej i groteskowej, strojem i włosami przypominającej kobietę. To ona właśnie, ciskając się o drzewa i atakując je, wydawała dźwięk, który usłyszałam.

Odłamki kory spadały na ziemię jak tartaczne wióry, gdy blada skóra raz po raz uderzała o pnie. Korę skrapiała krew sącząca się na leśną ściółkę z opuszek palców tej tajemniczej figury.

Gdy jednak przemknęłam pomiędzy dwoma drzewami, poznałam skrywaną przez mrok przerażającą prawdę.

Miałam przed sobą nie jedną postać, lecz dwie. Patrzyłam na odwróconego do mnie tyłem mężczyznę zgarbionego nad rzuconą na ziemię kobietą. Wokół jej ud widziałam ściśnięty materiał poszarpanej spódnicy. To na nią, nie na pnie drzew, nacierał mężczyzna.

Krążyłam wokół nich, starając się podejść bliżej, ale nie byłam w stanie zmniejszyć dzielącej nas odległości. Nagle jednak zaczęłam widzieć kobietę wyraźniej. Mogłam teraz dojrzeć jej włosy, tak ciemne, że niemal czarne. Zobaczyłam też jej oczy o niepokojąco znajomym, purpurowym odcieniu przebijającym się szkliscie przez łzy.

Resztę twarzy skrywał cień. Słyszałam jednak, że kobieta cierpi. Zamknęłam oczy, chcąc sylwetki zatopić w ciemności. Na próżno – ich kontury zdawały się żywcem wypalone po wewnętrznej stronie moich powiek. Wtedy dopiero przyszło mi na myśl, by krzyknąć. Tak też zrobiłam. Przerażającym, odrażającym, przyprawiającym o ciarki krzykiem. Nie moim. Jego dźwięk popędził w przestrzeń, odbijając się echem od ścian pustych korytarzy.

Zbudził mnie dobiegający z kuchni gwizd czajnika. Budzik wskazywał siódmą, ale ja ani drgnęłam. *Następny. Jeszcze gorszy od poprzednich.* Zamknęłam oczy. Próbowałam połączyć widok potarganych, kręconych włosów kobiety ze snu z prostymi lśniącymi włosami, jakie miała Violet Lee. Łudziłam się, że skoro mam z tym trudność, oznacza to, że nie są one jedną i tą samą osobą.

Wiedziałam, że nie dam dziś rady iść do szkoły. Wyśliznęłam się z łóżka, narzuciłam na siebie szlafrok i spojrzałam w lustro. Chciałam ustalić, jak bardzo muszę jeszcze pogorszyć swój wygląd. *Minimalnie. Już teraz wyglądam koszmarnie.* Miałam opuchnięte oczy – niezawodny znak, że płakałam przez sen. Nos i policzki były silnie zaczerwienione od złapanego wczorajszego wieczoru kataru. Do tego strasznie potargane włosy.

Doczłapałam do kuchni, w której zastałam rodziców wyjmujących z teczek jakieś papiery. Powłócząc nogami, ruszyłam w stronę lodówki. Pozwalałam kapciom szurać głośno o podłogę. Rozważałam też pokastywanie dla lepszego efektu, ale i bez tego ojciec zaraz stanął mi na drodze i przyłożył dłoń do mojego czoła.

– Jesteś lodowata. – Spojrzał na mnie. – Myślę, że powinnaś dziś zostać w domu. Musiałaś się

zaziębić przez ten wczorajszy deszcz.

Zauważyłam, jak matka lekko mruży oczy. Wiedziałam, że jeśli całość ma wypaść wiarygodnie, muszę teraz dorzucić szczyptę sprzeciwu.

– Ale tato, ja...

– Żadnych dyskusji. Po prostu zwalisz wszystko na wrednego księcia – zażartował. Jego oczy, również opuchnięte, mówiły jednak całą prawdę. Schylił się, by pocałować mnie w czoło, po czym wziął mnie za ramiona i obrócił z powrotem w stronę korytarza.

– Marsz do łóżka.

Rodzice wyjeżdżali na cały dzień. Kiedy tylko usłyszałam trzaśnięcie drzwi frontowych, przebrałam się w świeże ubranie i zmyłam spod oczu resztki makijażu. Potem zwinęłam się na parapecie, by przyjrzeć się przez okno, jak ludzie z naszej ulicy zaczynają dzień. Jedni przestawiali kubły na śmieci, inni uruchamiali samochody i zapędzali do nich dzieci. Po drugiej stronie ulicy syn rybaka wrzucił do furgonetki kosze na homary, po czym podeszwą zdusił niedopałek papierosa.

Miałeś rację, Fallonie Athenea, pomyślałam, rzeczywiście chcę żyć tak jak ludzie.

Dużo siły woli kosztowało mnie pójście następnego dnia do pracy, ale wiedziałam, że jestem u szefostwa na cenzurowanym. Zapracowałam na to, wykreślając się z czwartkowej zmiany, żeby zostać po lekcjach. Nie było tymczasem więcej kawiarni gotowych zatrudnić nastolatkę Mędrca.

Powietrze wciąż było wilgotne i przyprawione deszczem, ale i tak poszłam do pracy piechotą. Autobus odpadał, bo kończyły mi się pieniądze. Bez zgody rodziców nie miałam dostępu do swojego majątku; oni nie zamierzali wypłacać mi kieszonkowego, a te pieniądze, które jeszcze miałam, były mi potrzebne na dojazdy do szkoły i powroty z niej przy złej pogodzie.

Mijając po drodze kiosk, przystanąłam. Przebiegłam wzrokiem po pierwszych stronach tabloidów i lokalnych gazet. Ani słowem nie wspomiano o Athenei, a przecież rodzina królewska to wymarzony temat na czołówkę. Na poważniejsze, wielkoformatowe dzienniki zerknęłam już przy śniadaniu. W nich też nie było nawet najmniejszej wzmianki. *A więc na razie zakaz działa.*

Na drzwiach kawiarni nadal wisiała tabliczka „Zamknięte”. Kiedy weszłam, szefowa w milczeniu spojrzała na mnie wilkiem sponad kwitów od wypłaty. Spuściłam wzrok. Miałam nadzieję, że gniewa się na mnie za czwartkową nieobecność, a nie za to, co stało się podczas mojej poprzedniej zmiany.

Sophie znów była w pracy. Kiedy weszłam do kuchni, ukryła się za Nathanem.

Tego ranka nie czekały mnie żadne uprzejmości.

– Znowu nie odpisałaś na SMS-y – powiedział oskarżycielsko Nathan.

Zatrzymałam się i zajęłam pozycję w drzwiach.

– Dałeś tamtym ludziom nadzieję, a *wiedziłeś*, że nie mogę uratować tego człowieka!

– Staralem się tylko pomóc – zaoponował.

– Fatalnie przez ciebie wypadłam. Szkoła potem to był koszmar.

– Przepraszam – wymamrotał, ale niezbyt szczerze.

Wzruszyłam ramionami i poszłam szykować kawiarnię do otwarcia. Widok zabitego mężczyzny w dość upiorny sposób przypominał o śmierci mojej babci, ale nie on mnie martwił. Ani nawet pojawienie się Extermino. Zmartwiła mnie reakcja Nathana. Tamtego dnia nie był sobą. Nie był też

sobą teraz, w kuchni. Wiało od niego chłodem. To nie był ten sam beztroski Nate co zawsze.

Kiedy jednak pojawiłam się z powrotem w kuchni, sprawiał wrażenie, jakby doszedł do siebie.

– Dobra, oświeć mnie – zaczął, opierając się o zlew – co takiego ważnego działo się w czwartek, że nas wszystkich olałaś?

– Jest nowy koleś w mojej grupie i...

– Nowy koleś, coś takiego? – Odgarnął z oczu kosmyk swojej wiecznie niepokładanej czupryny. Widziałam jego figlarne spojrzenie.

– Jest u nas nowy *Mędrzec*. Musiałam mu pomóc z zaległościami.

Błysk w jego oczach zniknął. Nathan się zachwiał. Nie byłam zdziwiona. Jeden *Mędrzec* nastolatek na okolicę to dla ludzi i tak aż nadto.

– Ktoś, o kim mogliśmy słyszeć? – Zerknął w stronę Sophie, która przestała przerzucać talerze i przysłuchiwała się naszej rozmowie.

Nie odpowiedziałam. Czułam tylko, jak zęby zaciskają mi się lekko na czubku języka. Nathan zauważył moje zdenerwowanie.

– Wy, *Mędrzy*, i ta wasza skrytość. Serio, komu ja niby o tym powiem? Jestem zwierzęciem komputerowym, do tego wyleciałem z uczelni. Ja właściwie nie mam znajomych. A ty chyba też nikomu nie powiesz, prawda, Soph?

Westchnęłam.

– Jest wyższego rodu niż ja.

Rozdziawił usta. Po jego spojrzeniu widać było, że natychmiast zrozumiał. Zaraz wymsknęło mu się przekleństwo. Nie musiałam więcej wyjaśniać. Nathan był jedynym człowiekiem spoza mojej rodziny, który wiedział o tytule. Poza tym „przypadkiem” znalazł opisującą mnie (niby wcześniej usuniętą) stronę na Wikipedii i wydało się, jakiego jestem stanu. Zanim znów się odezwał, poczekał, aż Sophie wyjdzie z kuchni.

– Że niby co? Ktoś taki *tutaj*? Który to?

– Zapomnij. I tak powiedziałam już za dużo.

Oparł się o ladę, mocno ściskając jej krawędź.

– Nie cieszysz się? To podobno królowie podbojów.

Zaśmiałam się sucho, sięgając po przeznaczone na stoliki koszyczki z solą i octem.

– Wszystkie dziewczyny w szkole wydają się zachwycone. Jestem jedyną, której to nie pasuje.

Nathan uśmiechnął się lekko zdezorientowany, a ja ściszone głosem ciągnęłam:

– Jeśli prasa się o tym dowie... a w końcu tak się stanie, też wyląduję w tym ich bagienku. Wyobrażasz sobie, jakie używanie będą mieć w „Arn Etas”, kiedy odkryją, że pracuję w kawiarni?

– Wyjawiłam tylko część prawdy, ale nie zamierzałam dzielić się teraz informacjami o tym, że Atheneowie ukrywają prawdę na temat śmierci mojej babki. Uśmiech Nathana przygasł.

– I co w tym takiego strasznego?

Towarzyszył mi, kiedy rozstawiałam stoliki w ogródku i przerzucałam tabliczkę na stronę „Otwarte”. Podreptał również za mną, kiedy minąwszy Sophie, weszłam z powrotem do kuchni. Cały czas czekał na odpowiedź.



– Jestem księżną, Nathan, nie służącą – wymamrotałam, po czym przystanęłam. – Nie kocham specjalnie takiego życia. Dla Mędrca to na granicy wykonalności – próbować żyć tu normalnie. Ale nie narzekam. Piszę się na to, póki nie jestem na świeczniku.

Zmarszczył nos i pokręcił głową, poruszając swoją gęstą grzywą.

– Ty naprawdę powinnaś się urodzić jako człowiek! Ale tak czy siak, czemu masz przez to takiego doła? Nic cię z nim przecież nie łączy. Jeśli będzie ci robił jakieś kłopoty, powiedz tylko, że masz kumpla z niebieskim pasem karate, który mu dowali.

Zmierzyłam wzrokiem jego żylastą sylwetkę i uniosłam brew.

– Lub po prostu rzucę na niego jakiś zły urok. Albo ty to zrób. W każdym razie głowa do góry. O, Valerie właśnie przyszła – dokończył, wyglądając z kuchni.

Jęknęłam. *Prawdziwa wisienka na torcie na koniec tygodnia...*

MUZA S.A. 8825\_8499

*Jesienna Róża*

Udało mi się po części pójść za radą Nathana, zrywając się z lekcji. Aż do czwartku. Oczywiście nie byłam w stanie zupełnie uniknąć spotkań z księciem. Witałam się z nim każdego ranka w sali wychowawczej, widywałam go na historii i w ciszy pracowałam obok niego na zajęciach z literatury angielskiej. Nie naciskał mnie ani trochę. Przecież wyraźnie wyjaśniłam mu, co o nim myślę, gdy odwoził mnie do domu.

W czwartek rano ocknęłam się z myślą o pozalekcyjnych zajęciach krawieckich, a więc o sali pełnej plotkujących dziewczyn. Szum wokół księcia w dalszym ciągu nie cichł i nawet ja musiałam przyznać, że ma on naprawdę anielską cierpliwość. Podejście połowy szkoły do niego graniczyło z molestowaniem. Ja z dwojga złego wolałabym już paparazzich.

Przetrzymano nas na lekcji poprzedzającej przerwę na lunch. Kiedy wychodziłam z klasy, prawie wszyscy skończyli już jeść. Na szczęście w kawiarence ktoś się w końcu postarał. Pośród uczniów było teraz dwoje Mędrców – wegan – i nawet o tej porze wciąż można było przebierać w kanapkach. Chwyciłam jedną z nich, zapłaciłam i schowałam swój posiłek do torby. Następnie rozpoczęłam „marsz wstydu” pomiędzy rzędami stolików przy wyjściu na patio. Przy jednym z okrągłych stolików zajętych przez drużyny piłkarską i rugby siedział książę. Spojrzał na mnie i uniósł dłoń, jak gdyby chcąc zaprosić mnie do stolika. Szybko odwróciłam wzrok i przyspieszyłam kroku.

Tammy i reszta siedziały przy boisku, korzystając z tego, że na chwilę wyszło słońce. To w ich stronę się kierowałam. Z łatwością przeszłam przez tłum uczniów – zawsze rozsuwali się tu na mój widok. Teraz patrzyli na mnie dodatkowo z niedowierzaniem, nie mogąc oswoić się z tym, czego dowiedzieli się od księcia.

– Dziwadło!

Głos dobiegał z przeciwnej strony patia. Nakazałam sobie w myślach iść dalej.

– Salonowy śmierdziel!

Na ułamek chwili zamknęłam oczy. *Valerie Danvers*. Aż dziw, że nie podeszła do mnie wcześniej. Ujawnienie mojego tytułu było przecież wodą na jej młyn, kolejnym pretekstem, by nie dawać mi spokoju.

– Ej, nieużyta pierdoło! Specjalnie dałaś człowiekowi umrzeć, co? Zabiłaś go! Tak samo jak tamten strażnik załatwił Kurta!

*Idź dalej. Nie zwracaj na nią uwagi.*

– Ej, księżno! Za duża z ciebie snobka, żeby ze mną gadać? Gdzie twoja babunia? No! Powiedz, gdzie ona jest!

*Idź przed siebie. Jeśli nie będziesz na nią zwracać uwagi, w końcu się zmęczy tym gadaniem.*

– No, nie spinaj się! Tylko się pytam!

Skupiłam się na tym, by jak najszybciej iść przed siebie.

– Babunia nie żyje, pokrako? Zabili ją?!

Oddychałam coraz płycej, prawie już biegnąc.

– Zabili ją, bo była takim dziwolągiem jak ty?

Przesunęłam językiem po wyschniętych wargach. Czułam, jak gotuje się we mnie krew.

– Ty zasrana wieźmo! Słusznie zrobili, że ją zatłukli!

*Kto przeżywa, ten się sam tak nazywa*, powtarzała mi, gdy byłam mała.

– *Mortana!* – klątwa wyrwała się z moich ust, nim zdążyłam ją powstrzymać. Towarzyszył jej splątany kłęb ciekłej energii. Już od kilku chwil dusił się w mojej rozgrzanej, spoconej dłoni, mocując się z zaciśniętymi palcami i czekając tylko, by wystrzelić w stronę Valerie. Zaciśnęłam dłoń zbyt późno: złapałam już tylko powietrze. Poczułam w gardle falę gorąca.

Czar nie dosięgnął jednak jej piersi. Z powietrza wyłoniła się osłona, sferą otaczając Valerie i jej koleżanki. Gdy uderzyła w nią moja klątwa, zadrżała, a jej powierzchnia zafalowała. Czar – błękitny w locie, ale czarny w chwili zderzenia z osłoną – szukał luki, która pozwoli mu przeniknąć do wewnątrz. Gdy żadnej nie znalazł, uległ z dźwiękiem tłukącego się szkła. Osłona stopniowo rozplynęła się w powietrzu.

Wokół dały się słyszeć nerwowe westchnienia. Kilka osób nawet krzyknęło. Wiedziałam, że wszyscy na boisku poderwali się natychmiast na równe nogi. Z lewej strony widziałam dyrektora, który stał jak wryty. Jego twarz była blada i spocona. Po drugiej stronie boiska asystenci nauczycieli wpatrywali się w Valerie i jej koleżanki. Nie ruszył się nikt poza księciem, który opuścił teraz wyciągniętą dłoń i popatrzył na mnie gniewnie. Starłam się spojrzeć mu w oczy. Próbowalam przybrać wyraz twarzy, który sugerowałby szok albo chociaż wyrzuty sumienia, ale na próżno. Wystarczyło, że zobaczyłam Valerie, a znów poczułam skry skaczące pomiędzy palcami moich dłoni.

– Odejdź – rzucił książę takim tonem, jakby strofował sługę. Moje spojrzenie powędrowało najpierw na niego, a zaraz potem na Valerie. Nie drgnęłam.

– To rozkaz, księżno.

*Z szacunkiem odnosić się do przełożonych, lojalnie służyć Athenei, niezłomnie strzec postanowień Traktatów Terra.*

Moje stopy ruszyły z miejsca. Oderwałam spojrzenie od Valerie i wbiłam je w ziemię. Kątem oka zauważyłam, jak napina się i zaciska pięści.

– Ani pół kroku w jej stronę, Valerie.

Spojrzałam szybko na księcia. Wyraz jego twarzy stał się łagodniejszy. Idąc, starałam się patrzeć na niego, nie na pozostałych uczniów. Miałam przy tym ochotę rzucić się przed siebie biegiem i natychmiast stamtąd zniknąć. Bałam się, do czego może zaraz doprowadzić mnie wściekłość. Schodząc po schodach, usłyszałam za sobą odgłos kroków księcia.

*Zasługuje na śmierć.*

Dyszałam, rozsadzał mnie gniew. Czułam, jak rozpycha moje żebra i wgryza się w dno żołądka. Gdyby nie stał obok on, cielesny przejaw władzy Atheneów, wróciłabym zaraz na boisko i wykończyła ją.

Niespodziewanie książę złapał mnie za rękę i pociągnął za sobą ścieżką na tyłach głównego budynku. Prowadził mnie tak, aż dotarliśmy do osłoniętego kąta. Tam, nie zwracając uwagi na wilgoć, wciągnął mnie na trawę.

– Nie jest tego warta – usłyszałam jego głos. Obrócił mnie tak, że znalazłam się plecami do muru. Stał teraz naprzeciw mnie z rękami skrzyżowanymi na piersiach i zaciśniętymi ustami. Widziałam czerniejący w jego oczach gniew, ale było to nic w porównaniu z tym, co czułam ja. Mój oddech wciąż

nie chciał się uspokoić, a na dłoni cały czas czułam ciepło skaczących iskier. Język aż świerzbiał mnie od kilku klątw, które w najlepszym razie posłałyby Valerie do szpitala.

– Róża, nie panujesz nad sobą. Musisz...

Zza rogu dobiegły ożywione głosy. Księżę urwał w pół słowa i zczekał, aż się oddalą. Gdy ucichły, przeszedł na język Mędrców.

– *Aclean*. Spokojnie. Weź trzy głębokie wdechy.

Zamknęłam oczy i zmusiłam się do wciągnięcia powietrza w płuca. Czekałam, aż wyparuje ze mnie gniew. Staralam się nie myśleć o niej. Staralam się nie myśleć o niczym. Chciałam wpaść w odrętwienie. Uniemożliwiał mi to jednak oddech księcia: chrypliwy i jeszcze bardziej nierówny niż mój. Słuchając go, poczułam, jak mija mi furia, szybko ustępując miejsca wstydom. Wstyd przerodził się następnie w strach. Uderzyła mnie w końcu świadomość tego, co przed chwilą zrobiłam.

Poprzedni strażnik w Kable został wygnany, bo nieumyślnie zranił ucznia. Jak się okazało, śmiertelnie. Ja przed chwilą z pełną premedytacją próbowałam zrobić krzywdę człowiekowi. Traktaty Terra przewidywały za taki występki karę znacznie surowszą niż wygnanie. Śmierć.

Otworzyłam pomału oczy. Stał wciąż w tej samej pozycji, ale po jego opanowaniu nie było już śladu.

– Zupełnie zwariowałaś?! – wybuchł po chwili milczenia. Rozłożył ręce i uniósł je energicznie, robiąc krok w moją stronę. Skuliłam się przyciśnięta do muru.

– Masz pojęcie, co właśnie próbowałaś zrobić?

Przy każdym wdechu mój oddech rwał się na dwoje, a dolna warga zaczynała drżeć. Pokręciłam głową.

– To był wypadek. Ona mnie sprowokowała...

– Od jak dawna się tak na tobie wyżywa? – Jego prawa dłoń uderzyła o mur niedaleko mojej głowy. Przysunął się. Jego twarz była teraz bardzo blisko mojej. Spojrzałam na jego rozczapierzone palce.

– C-c-co?

– Jesteś księżną. Wychowywano cię tak, żebyś nie traciła nad sobą panowania. Musiała od dawna wystawiać twoją cierpliwość na próbę, skoro tak się zachowałaś. Jak długo to już trwa?

Kręciłam wciąż głową ze wzrokiem utkwionym w ziemi. Nie chciałam widzieć ognia w jego oczach.

– Jakiś rok...

– Czyli odkąd tu przyjechałaś? Dlaczego nikomu tego nie zgłosiłaś? Słyszałem, co mówiła. To nie było nawet dokuczanie ani wyżywanie się, tylko zwykły rasizm.

– Nic takiego...

– Nic? – powtórzył z niedowierzaniem, układając palce lewej dłoni, jakby chciał kogoś uszczypnąć. – Róża, ty o mało nie rozerwałaś jej na strzępy! Byłaś o tyle – podsunął mi dłoń pod oczy – od złamania traktatu. Nie doniosę na ciebie, ale gdybyś trafiła ją tą klątwą, nie byłoby szans cię z tego wyciągnąć.

Zamrugałam ze łzami w oczach, czując zarazem ulgę i przerażenie. Wiedziałam, że ma rację. Gdy dochodziło do pogwałcenia traktatu, przed karą nie było ucieczki. Sądy nie miały w takich sytuacjach litości: Terra stanowiła jedyną podstawę ciągłości pokoju pomiędzy ludźmi a nami.

– Wiem – wyszeptalam. – Wiem.

Przymknął na moment oczy i jęknął cicho. Oparł teraz o mur drugą rękę, kładąc ją po drugiej stronie mojej głowy.

– Marzy ci się śmierć? Bo twój występ na to by właśnie wskazywał.

– J-j-ja... – Nie byłam w stanie odpowiedzieć ani nawet pokręcić głową. Zamiast próbować dalej, po prostu przestałam powstrzymywać płacz. Łzy popłynęły mi po policzkach, a gdy zwiesiłam głowę, zaczęły kapać na ziemię.

– Róża?

Mój nierówny oddech przeszedł w chrypienie, a ono z kolei – w szloch. Rozpacz wzięła górę. Wiedziałam, że nie wygram z tą nienasyconą bestią. Latem, kiedy pojawiła się nadzieja, bestia zwolniła uścisk, jej dotyk stał się jedwabisty. To jednak był tylko podstęp: ta łagodność miała zwieść mnie i zwabić w pułapkę. Teraz przyszedł cios. Już teraz. Ta sromotna klęska nie była jednak efektem moich działań. Nie. To księżę. To *on* za nią odpowiadał.

– Róża, nie myślisz tak chyba na serio?

Pochlebstwo pod jego adresem, na jakie zdobyłam się w samochodzie, wzbudzało teraz we mnie obrzydzenie. To przecież *on* wywłókł na wierzch tyle spraw. Spraw, co do których nauczyłam się, że lepiej ich nie odgrzebywać. Dla mojego dobra i zdrowia.

– Nic nie powiesz?

Nie mogłam się odezwać.

– Róża, ty pragniesz śmierci? Chcesz sobie odebrać życie, użyć *Mortalitas voltana*? – Jego twarz posmutniała. Oparł dłonie na moich ramionach i delikatnie nimi poruszył.

Uniosłam bark, chcąc wzruszyć ramionami. Zamierzałam silić się na nonszalancję. Nie miałam już jednak siły. Ani na wzruszanie ramionami, ani na przeczenie temu, co mówił.

– Myślałaś o tym, prawda?

Lekko skinęłam głową.

– Ale... ale dlaczego? Z powodu twojej babki? – Raz jeszcze potrząsnął mną lekko, a gdy nie odpowiadałam, przyciągnął mnie do siebie i mocno przytulił. Odskokczyłam do tyłu i zaraz zaniósłam się jeszcze głośniejszym szlochem. Potykając się o własne nogi, cofnęłam się.

– Róża, o co chodzi? Powiedz mi!

O ciebie! – chciałam krzyknąć. I krzyknęłabym, gdyby taka była prawda. W rzeczywistości chodziło jednak o *wszystko*.

– O Ex... Extermino... o to, że nie uratowałam tamtego człowieka... o Valerie... No i o te głupie rozkazy w sprawie mojej babci! Nienawidzę tych twoich głupich rozkazów!

Moje zalane łzami oczy mrugały w szaleńczym tempie, ale – choć nieostro – widziałam, że mi się przygląda. Patrzył na mnie, gdy wycofywałam się, przyzywałam magię wciąż kipiącą we mnie po słowach Valerie i gdy wzbijałam się w powietrze.

Chcę wrócić do odrętwienia, myślałam. Chcę pogrzebać przygnębienie głęboko w sobie. Lepiej je pogrzebać niż przeżywać coś takiego.

Na policzkach czułam uderzenia wiatru, kłującego i gorzkiego. Gdy przymknęłam powieki, zrozumiałam jednak, że to nie dotyk wiatru, ale dłoni. Jeden raz, drugi. Wystarczająco mocno, by

pozostał ślad.

*Górna warga sztywno, dziecko! Życzliwość zyskuje się tylko wtedy, gdy jest się silną. Kiedy dorosisz, problemy całego świata spadną na twoje barki! Jesteś następczynią mojego tronu, jak śmiesz płakać? Jak śmiesz być tak słaba? Jak śmiesz zrzucić maskę?*

MUZA S.A. 8825\_8499

*Fallon*

Dopiero gdy była już wysoko, wypuściłem powietrze z płuc. Stała się tylko nikonącym punktem na niebie. Z pobliza dobiegały głosy; wyczuwałem je jako dolatujące do mnie niezborne zakłócenia, a jednocześnie usiłowałem przestawić się z powrotem na angielski. Czy głosy, które słyszałem, pochodziły z ludzkich ust, czy umysłów – tego nie umiałem powiedzieć. Ledwie mogłem teraz myśleć.

*Samobójstwo.* Każdy głupi od razu by dostrzegł, że jest nieszczęśliwa. Istnieje jednak prawdziwa przepaść między byciem nieszczęśliwym a... a tym. Pomiędzy zwątpieniem a rozpaczą, pomiędzy niezadowoleniem a utratą chęci do życia.

Poczułem adrenalinowego kopa. Nie mogła być teraz sama. Nie w takim stanie.

Zrzuciłem torbę z ramienia – zniknęła, nim zdążyła spaść na ziemię. Miałem po lunchu iść na matematykę, a potem na zajęcia wyrównawcze. Zniknięcie teraz oznaczało też, że do jutra zostanie tu mój samochód. Nic z tego nie miało jednak znaczenia. To nie szkoła była powodem, dla którego tu się znalazłem.

Wiedząc, że nie będzie się teraz bawić w latanie dla rozrywki, ruszyłem w pościg. Modliłem się tylko, żeby była w drodze do domu. Uniosłem się wysoko ponad kampus, ale nigdzie jej nie widziałem. Spróbowałem więc poszukiwać świadomości, licząc na to, że wyczuję jej umysł. Gdy się nie udało, w ułamku sekundy podjąłem decyzję, by lecieć na drugą stronę rzeki. Zastanawiałem się jednocześnie, jak zdołała całkiem zniknąć w zaledwie pół minuty.

Gdy zobaczyłem pod sobą miasto, skierowałem się nad kościół i cmentarz, które mijaliśmy, kiedy ją odwoziłem. Z wielką ulgą zauważyłem, że młoda księżna szybkim krokiem idzie pomiędzy nagrobkami. Odczekałem, aż wyjdzie przez furtkę w prostym kamiennym murze, i wylądowałem za wieżą kościelną.

Po wyjściu na ulicę nie szła spacerem, ale i nie poruszała się tak szybko, jak mogłaby jej pozwolić na to magia. Zmierzała przed siebie lekkim biegiem. Ruszyłem za nią jak najciszej. Po chwili, przeklinając chrząszczący żwir na ścieżce, przeskoczyłem na trawę. Lawirowałem pomiędzy grobami, wszędzie wokół widząc zwiędłe kwiaty w pokrytych pleśnią wazonach.

Zatrzymałem się przy furtce i czekałem, aż dojdzie na szczyt wzgórza. Przy końcu ścieżki widziałem kilka domków o małych drzwiach, nikonących w sąsiedztwie rozłożystego klonu. Gdy zniknęła za załamaniem pagórka, zacząłem biec. Zaraz dotarłem do skrzyżowania, który wskazała mi tydzień wcześniej. Zobaczyłem ją po drugiej stronie drogi, jak zniknęła między nieprzystrzyżonymi krzewami w ogrodzie. Jeszcze chwila i rozległo się trzaśnięcie drzwi frontowych.

Odetchnąłem z ulgą, ale to jeszcze nie był koniec. Nie mogłem pozwolić, by została sama – nie kiedy po głowie krążyły jej takie myśli.

Gdy jednak znalazłem się na chodniku po przeciwnej stronie drogi, coś sprawiło, że przystanąłem. Nie było tu masywnej bramy ani budek strażniczych, a jednak mijając słupek z nazwą alei, odniosłem wrażenie, że właśnie bezprawnie wkraczam na jej teren. Poczułem się przez chwilę znów jak dziecko. To było jak podkradanie jabłek z królewskich sadów: nie były ogrodzone i nikt nie zakazał nam chodzenia do nich, ale i tak czuliśmy, że robimy coś złego.

Wykonałem kilka ostrożnych kroków naprzód i rozejrzałem się niespokojnie. Sporo czasu minęło, odkąd ostatni raz sam, bez żadnej obstawy chodziłem po obcej okolicy.

Zatrzymałem się u wejścia do frontowego ogrodu. Dom nie był nieładny, przeciwnie – miał w sobie rustykalny urok i przytulność. Trudno było po prostu uwierzyć, że jest siedzibą księżnej Anglii, że jej rodzina przy całej swojej zamożności i wszystkich nieruchomościach zdecydowała się żyć akurat tutaj. Łatwo było za to sobie wyobrazić, jakie święto mieliby paparazzi, gdyby wiedzieli o dokonanym przez Al-Summersów wyborze.

Oparłem dłoń na spiczastej sztachecie białego ogrodzenia. Było powszechnie wiadomo, że ta rodzina odrzuca wystawny styl życia, ale... żeby do tego stopnia.

Zobaczyłem zaraz coś, co sprawiło, że poczułem lodowaty dreszcz. Na podjeździe stały dwa samochody.

Trwało dobrą minutę, nim moje serce się uspokoiło. Wiedziałem, że jej rodzice pracują w Londynie. Ani na chwilę nie przyszło mi do głowy, że spędzają czas w domu razem z nią.

Pokręciłem głową i głęboko westchnąłem. Nie była sama. Mogłem iść. Trudno byłoby jednak o lepszą okazję. Jej rodzice, mniejsza o rasę, należeli do arystokracji, a ja musiałem przecież kiedyś się przedstawić. Taki ruch miał szansę okazać się korzystny.

Jednak już w chwili, gdy oparłem dłoń o furtkę, wiedziałem, że nie dam rady. Nie potrafiłbym stanąć z nimi twarzą w twarz i uścisnąć dłoni jej ojca. Poczucie winy powstrzymało mnie, przynajmniej na razie, przed próbą wtargnięcia w ich życie.

Spojrzałem w stronę domu, trochę z oczekiwaniem, trochę z nadzieją. Wiedziałem, że lepiej będzie, jeśli tak się nie stanie, ale chciałem zobaczyć mignięcie złotych włosów za oknem. Nie zobaczyłem.

*Jest już bezpieczna. Rodzice się o nią zatroszczą.*

Puściłem furtkę, odwróciłem się i odszedłem.

*Jeśli twoje myśli można przyjąć za wskazówkę, to stawiam, że byłeś na kolacji z wampirem. Jako danie.*

Nie odpowiedziałem. Pod powiekami widziałem tylko ciemność.

*– Fal, jestem twoim kuzynem. O co chodzi?*

*– Pamiętasz z dzieciństwa Jesienną Różę? Jak byś ją opisał?*

*– Pewna siebie, pretensjonalna, chyba trochę apodyktyczna. Wysławiała się z dużą swobodą.*

*– Była taka. Ale to nijak ma się do tego wraka, który chodzi ze mną do szkoły. Nie tej dziewczyny szukamy.*

Na krótką chwilę zapadła cisza.

*To przez to miejsce, Fal. Jest opuszczone przez Boga.*



*Jesienna Róża*

Rodzice byli w domu, tak więc nici z symulowania choroby. Czujne oczy mojej matki wychwytywały każdą poszlakę niepasującą do objawów przeziębienia. Katar, który w cudowny sposób zniknął, akurat gdy w poprzedni weekend szłam do pracy, a równy tydzień później powrócił – taka choroba nie była ani trochę wiarygodna. Dlatego też następnego dnia zerwałam się bladym świtem i znalazłam się w szkole jednocześnie z otwierającymi drzwi woźnymi.

Słońce nie wspięło się jeszcze dość wysoko, by ogrzać ławkę, na której przysiadłam. Wyciągnęłam więc palce stóp poza linię cienia, pozwalając nogom ogrzać się w cieplejszych z każdą chwilą promieniach. Słońce wschodziło coraz wyżej. Już po chwili jego ciepło dotarło na wysokość mojej spódniczki. Zsunęłam się nieco niżej, głowę kładąc na oparciu.

Zamknęłam oczy. Księżę nie pojawi się tu przez jeszcze co najmniej dwadzieścia minut. Autobusy podjadą dopiero za pół godziny.

*Dlaczego wyciągnął to akurat wczoraj?* Czułam się z tym nieswojo. Bardzo. Wpuściłam intruza w intymne zakamarki mojego umysłu. I choć on z pewnością nie podzielał mojego zdania, to w rzeczywistości *byliśmy* sobie obcy. To, że w dzieciństwie bawiliśmy się, razem przeczekując długie godziny balów, nie czyniło nas przyjaciółmi. Nie pamiętałam nawet zbyt dobrze wizyt na dworze sprzed moich dwunastych urodzin. Poza tym nie byłam jedynym dzieckiem wysokiego rodu, które tam się pojawiało – były nas dziesiątki. A jednak zaledwie po dwóch tygodniach księżę wiedział już o rzeczach, których nie wyjawiałam żadnemu człowiekowi w Kable. *Jak to się dzieje?*

Przywołałam na dłoń kroplę wody wielkości ziarna grochu. Nienaruszona zsunęła się po wierzchu mojej ręki aż do nadgarstka. Kojące uczucie. Był to trik, który wykorzystywała moja babcia. Kiedy pierwszy raz zamieszkałam u niej, używała tej sztuczki, by ukołysać mnie do snu.

Poczułam, że słońce przysłoniły chmury. Niechętnie otworzyłam oczy, a przez głowę przebiegła mi myśl, że warto by się gdzieś ukryć do chwili zbiórki w sali wychowawczej. Mrugnęłam kilka razy. Kropla wody rozprysła się, a ja skoczyłam na równe nogi.

Tuż obok, opierając się o sąsiednią ławkę, stał księżę. Gdy nasze spojrzenia się spotkały, z jego ust zniknęła resztką uśmiechu. Odezwał się zaraz przepraszająco, jak ktoś przyłapany na gorącym uczynku.

Powitałam go ostrożnym dygnięciem, nie bardzo wiedząc, jak właściwie mam się zachować.

– Nie trzeba – wymamrotał. – Po prostu tego nie rób.

Zamiast stanąć z powrotem prosto, opadłam na ławkę. Usiadł obok mnie.

– Powiedz, że byś tego nie zrobiła – zaczął niemal szeptem.

Wzruszyłam ramionami.

– Rozmawiałaś z kimś o tym? Byłaś na terapii?

– Bezpośrednio po jej śmierci. Nie pomogło.

– Nie można tego zostawić tak, jak jest. Zobacz, co się stało wczoraj.

Przez chwilę nie odpowiadałam. Oparłam łokcie na udach i pochyliłam się do przodu tak, by go nie widzieć.

– Słyszałeś o czymś takim jak negatywne przetrwanie? – Uznałam jego milczenie za odpowiedź i kontynuowałam: – Czasem jest tak, że pewne sprawy i emocje uważane za złe są jedynym, co pozwala człowiekowi nie dać się i przetrwać.

Zerknęłam na niego przelotnie i zauważyłam, że kręci głową.

– Jak możesz pozwalać, żeby to wciąż wpływało na twoje zachowania? Dlaczego zamiast oglądać się za siebie, nie zaczniesz patrzeć w przyszłość?

– Nie chodzi tylko o nią.

– A o co jeszcze?

Milczałam. Książę westchnął. Usłyszałam po chwili, jak ławka boleśnie skrzypi: pochylił się w przód. Kątem oka widziałam jego skryte pod cienką wełną swetra ręce tuż obok moich, nagich.

– Masz pracę – stwierdził. – To chyba rodzinna tradycja? – Zachichotał cicho, ale niemal natychmiast się opanował. – St. Sapphire bardzo się poszczęściło, że uczyła tam twoja babka. Należała do najlepszych nauczycieli.

– Tak.

Granatowy sweter zniknął z mojego pola widzenia.

– Nie przeszkadza ci to, gdzie pracują twoi rodzice? Banki mają w dzisiejszych czasach sporo na sumieniu.

Wzruszyłam ramionami.

– Słuchaj, chciałem spytać, czy nie zgodziłabyś się na walkę podczas przerwy na lunch. Nie do pierwszej krwi, tylko do poddania. Pomówiłbym o tym z Sylaeią przy czytaniu listy... O ile oczywiście chcesz.

Przez kilka minut siedziałam bez słowa. Słyszałam tylko, jak wierci się na ławce.

– Extermino mogą w każdej chwili znów zaatakować. Powinniśmy być na to przygotowani.

– Nie mielibyśmy z nimi najmniejszych szans – rzuciłam wreszcie ironicznym tonem. – Ale walka, bardzo chętnie. – Wstałam z ławki, usłyszawszy dobiegający z zewnątrz harmider. Autobusami zjechały się właśnie stada uczniów.

– Mam parę asów w rękawie, jeśli chodzi o walkę z nimi... Hej, zaczekaj! Idziesz sobie? – spytał, zrywając się gwałtownie.

– Przybyła twoja świta, Wasza Wysokość. – Skinęłam głową w stronę wejścia do budynku i dygnęłam lekko. Na widok nadciągającego tłumu zmrużył gniewnie oczy.

– Moje co? – spytał. Ja jednak zdążyłam już odwrócić się i odejść. Na księcia znów runęła ludzka fala powodziowa, a ja usłyszałam tylko niesione wiatrem tytuły – jego i mój.

\*\*\*

– *Nie pójdę! Nie zmusicie mnie!*

*Dziewczynka związała wstążki przy słomkowym kapeluszu poniżej koczka. Na nieporadnie zawiązany węzeł opadło kilka kosmyków. Zawsze wychodziła jej piękna kokarda, ale w ruchu nie dało się takiej zawiązać. Zwłaszcza gdy jak teraz szła w sposób nieco teatralny, pilnując, by każdy krok niósł się echem. Szła w górę klatki schodowej, próbując zgubić się w tłumie uczniów, który zalał na przerwie korytarze. Za dziewczynką ruszyła jednak jej babka. Była tuż, tuż, a jej kroki stały się echem*

kroków dziecka. Wytrwale podążała za wnuczką, nie przystając ani na moment.

– Dziecko, dziś są twoje dziesiąte urodziny. Tym razem nie możesz sobie tak po prostu pójść.

Dziewczynka pilnowała się, by cały czas pozostawać odwrócona plecami do starszej kobiety. Slalomem mijając kolejne grupki uczniów, kierując się do szczytu środkowego stołu.

– A dlaczego nie?

– Wystarczy, że w ogóle nie interesujesz się rodzicami, kiedy są w pracy w mieście.

Dziewczynka uśmiechnęła się uśmiechem kogoś znacznie starszego, odsłaniając przy tym lukę w dolnym uzębieniu tylko częściowo składającym się z zębów stałych.

– To tak samo jak ty, babciu.

– Sylaeia się zgadza. Powiedział, że powinniśmy na wszelki wypadek ćwiczyć magię obronną. – Idący obok mnie przez boisko książe poprawił torbę na ramieniu. – Problem był tylko z dyrektorem. Nie rozumiem, czemu on tak się temu sprzeciwia. Chce, żeby któregoś dnia Extermino zastukali mu do okna?

– To z powodu Kurta Holdena – powiedziałam cicho.

– Wiem, ale to się przecież zdarzyło lata temu.

– Valerie jakoś nadal pamięta – odparłam prawie bezgłośnie. Pilnowałam się bardzo, bo rozrastający się błyskawicznie fanclub księcia skupiał już większość uczniów szkoły. Niekontrolowalny mechanizm plotki znów poszedł w ruch. Większość tego fanclubu obsiadała teraz wał ziemny ciągnący się wzdłuż budynków szkolnych. Tylko kilka najśmielszych maturzystek towarzyszyło nam przez całe boisko. Kiedy zatrzymaliśmy się i rzuciliśmy torby na ziemię, ruszyły dalej, w stronę plamy słońca pomiędzy drzewami.

– Dobra, więc tak: żadnej broni, przegrywa ten, kto się pierwszy podda. I pamiętaj, żeby nie przesadzić z wysiłkiem. Musimy przez cały czas utrzymać osłonę, żeby chronić uczniów. – Sięgnął do pasa i zaczął odpinać pochwę. Moje spojrzenie, nie pytając o zgodę, powędrowało natychmiast w dół. – Nie jesteś chyba z tych, którzy zakładają się o wynik, co?

Kilkakrotnie mrugnęłam i pokręciłam głową. Pospiesznie odrzuciłam na bok swój miecz. Zrzuciłam też z nóg delikatne buty. Mogłam je w tym starciu tylko zniszczyć.

Zaczął pomału się wycofywać. Gdy stawiał kolejne kroki, usłyszałam szmer towarzyszący wyłanianiu się z ziemi osłony. Sklepiła się ponad naszymi głowami, zamykając nas w wysokiej na kilkanaście metrów kopule. Książe wciąż się cofał, a na jego twarzy pojawił się uśmiech, który zaraz rozpoznałam: to była wersja przeznaczona dla mediów, lekko szydercza i sugerująca pewność siebie.

– Ostrzegam, księżno, nie będę cię oszczędzał.

– Oczywiście, że nie, Wasza Wysokość – odpowiedziałam, zasilając swoją magią osłonę. Moje mięśnie naprężyły się, a ja ze zdumieniem zorientowałam się, jak szybko tracę energię. Po raz pierwszy zadałam sobie pytanie, co też najlepszego wyrabiam. Tydzień temu przyznałam mu się w gruncie rzeczy do tego, że od ponad roku nie korzystam z poważnej magii. On, dla odmiany, trenował i uczył się o czarach pod okiem najlepszych specjalistów, jakich tylko można było nająć.

Wtem przypominający błyskawicę ładunek przemknął z jednego końca kopuły na drugi, gdzie zderzył się z osłoną przy wtórze dźwięku tłuczonego szkła, jaki dzień wcześniej wywołała moja klątwa. Źródło hałasu znalazło się o parę kroków od rozwalonych na trawie Christy i Gwen.

Dziewczyny podniosły się kompletnie zdezorientowane, a książę roześmiał się, widząc to. Pojęły, co się stało, dopiero gdy osłona zdradziła swą obecność, drgając i falując. Zarumieniły się obie i nieco od nas odsunęły. Zaraz dołączyły do nich Tammy i Tee.

Zupełnie nie udzielało mi się rozbawienie mojego przeciwnika. Wokół nas stali nie tylko moi przyjaciele, lecz także Valerie ze swoją ekipą. Ich nieufne spojrzenia na nowo roznieciły we mnie złość, którą czułam poprzedniego dnia. Było jasne, że chcą mojej porażki.

Książę, widząc, jak rozglądam się wokół, odkaszlnął. Zwróciłam się z powrotem w jego stronę. Zgodnie z obyczajem dygnęłam nisko, a on mi się uklonił.

– Jakie są trzy sposoby rzucania zaklęć?

Zaskoczył mnie tym pytaniem. Nie spodziewałam się odpytywania i chociaż rzecz dotyczyła podstawowego zakresu wiedzy, musiałam się chwilę zastanowić, nim odpowiedziałam.

– Umysłem, głosem i rękami.

– Jaki jest pierwszy sposób czarowania, którego uczy się każdy Mędrzec?

– Umysłem.

– Dlaczego? – Nim miałam szansę odpowiedzieć, ciemnopomarańczowa smuga, zapewne urok, wyłoniła się z powietrza i wystrzeliła w prosto w moją pierś. Była całkowicie bezgłówna.

Tylko mój umysł miał szansę zareagować dostatecznie szybko. I zareagował. Bez najmniejszego ruchu z mojej strony tarcza, niczym druga skóra, otoczyła ciało. Urok odbił się od niej i poszybował z powrotem w stronę księcia. Ten oczywiście był na to przygotowany: wystarczył nonszalancki ruch dłoni i wokół niego pojawiła się osłona. Resztką czaru odbiła się od niej w stronę sklepionej ponad nami kopuły; tam z trzaskiem ostatecznie zdechła.

– By tworzyć osłony – odpowiedział sam na swoje pytanie. Oboje się naprężyliśmy. Wiedziałam, że powinnam trwać w tej pozie, ale moje spojrzenie powędrowało w bok, w stronę siedzących wokół uczniów. Na ich twarzach widać było nie tyle strach, ile raczej zdumienie. I rzeczywiście – zobaczyć po raz pierwszy Mędrca rzucającego czary bez jednego choćby słowa albo gestu to było coś. Pamiętam, jaki podziw potrafiłam wzbudzić tym jako dziecko.

Spodziewałam się, że książę wykorzysta moją dekoncentrację i rzuci w moją stronę kolejny urok. Nie zrobił tego. Odwróciłam się ku niemu, zastanawiając się, czy zada w takim razie kolejne pytanie. Milczał, a jego twarz nie zdradzała emocji. Mijały kolejne sekundy i uświadomiłam sobie w końcu, że on czeka, aż to ja wykonam ruch. Nie byłam na to przygotowana. To żadna tajemnica, że athenekańscy książęta są diabelnie szybcy. Raptowny atak z mojej strony ułatwiłby mu tylko zadanie. Jediną szansą, jaką miałam, było rzucenie uroku w chwili, gdy będzie się koncentrował na zaklęciu.

Czułam, jak woda z wilgotnej trawy wsiąka w moje rajstopy, pozostawiając na zewnątrz błoto. Ostrożnie zrobiłam krok naprzód. Książę poruszył się, jak ożywiony nagle ze snu posąg. Jego tempo było równie powolne jak moje, jakby dopiero co zorientował się, że stoję naprzeciw niego. I nagle zaczął z piorunującą prędkością rzucać zaklęcia. Zorientowałam się w tej właśnie chwili, że nie mam *żadnych* szans. Jego dłonie poruszały się błyskawicznie, ale uroków było więcej niż skinięć palcami. Chroniąca mnie osłona błyskawicznie wysysała ze mnie siły. Już po chwili czułam się, jakbym przebiegła maraton: palące mięśnie wyły i zaczęłam odnosić wrażenie, że porusza się ziemia pod mną. Siła uderzeń sprawiła, że zrobiłam kilka kroków w tył.

Duma powstrzymała mnie przed rzuceniem czaru. Byłam tak osłabiona, że co najwyżej byłoby mnie stać na anemiczną smużkę. Nie dałabym rady stracić choćby jednego włosa z czcigodnej

księżęcej głowy. To było frustrujące – odkryć, że ktoś w moim wieku i o podobnym poziomie wykształcenia może z taką łatwością przyprzeć mnie do muru.

Toczyłam wewnętrzną walkę: z jednej strony mogłam się wycofać i zachować choćby resztki godności, z drugiej – zaraz przypomiinałam sobie szydercze słowa Valerie. I to wystarczyło.

Wiedziałam, czego mogę spróbować. Zdawałam sobie jednak sprawę, że robienie tego przy jednoczesnym utrzymywaniu osłony zakrawa na szaleństwo. Ale czułam, że się uda, o ile tylko zdołam dość długo utrzymać księcia na odległość. Był to sposób, który dotąd mnie nie zawiódł.

Odsunęłam osłonę dalej od ciała, przeciągając na przód część chroniącą plecy. Przykucnęłam za powstałym w ten sposób przejrzystym półokręgiem i przycisnęłam rozczapierzoną dłoń do ziemi. Szturm na moją tarczę na moment przycichł. Przez ułamek sekundy bliska paniki zastanawiałam się, jak szybko księżę byłby w stanie zejść mnie od tyłu. Nie wiedziałam, czy nie stać go czasem na brudne zagrywki.

Ku mojemu zaskoczeniu w dalszym ciągu miotał uroki w moją tarczę, nie ponad nią czy pode mną. Był z pewnością przekonany, że mam dodatkowe osłony przygotowane na taką właśnie ewentualność.

Wpatrując się przez osłonę w jego nieostry kontur, wyszeptałam kilka słów i natychmiast poczułam na rękach mrowienie. Moja skóra rozgrzewała się, w miarę jak fala energii w najczystszej formie wzbierała w głębi mojego ciała i pędziła w kierunku piersi. Gdy wydostała się spod moich blizn i wypełniła klatkę piersiową, mój oddech stał się równomierny, a mięśnie przestały boleć. Przrzekłszy drzewom, że zwrócę im ich energię, podniosłam się. Wiedziałam, że to, co zyskałam, muszę wykorzystać szybko. Chwila zwłoki mogła sprawić, że nie zdołam opanować tej energii.

Upuściłam tarczę i rzuciłam w stronę księcia kilka czarów. Ku mojemu zaskoczeniu jeden z nich rozbił jego osłonę. Choć w ułamku sekundy powłoka ochronna była znów na swoim miejscu, księżę pod wpływem uderzenia cofnął się o parę kroków. Ta cenna chwila pozwoliła mi uderzyć. Samo rzucanie w jego stronę czarów byłoby marnotrawstwem pożyczonej energii. Moja siła leżała teraz gdzie indziej.

– Terra – wymamrotałam, resztę wezwania wygłaszając tylko w myślach. Staralam się przy tym nie poruszać rękami, by księżę nie zorientował się, co zaraz nastąpi.

Poczułam drżenie pod stopami. Wytrzymałam jeszcze pół sekundy, po czym naciągnęłam osłonę tak, by ciasno przylgnęła do mojej skóry, i uwolniłam magię, pozwalając jej pognać w głąb ziemi.

Księżę nie zdążył zareagować. Nie zdążył nawet spojrzeć pod nogi. Nim miał szansę się zorientować, korzenie drzew, od których pożyczyłam energię, wystrzeliły spod ziemi i oplotły go w kostkach i w pasie. Osłona osobista, z której korzystał, była bezużyteczna przy starciu z obiektami fizycznymi. Korzenie pięły się coraz wyżej, aż pod szczyt kopuły ochronnej. Następnie jak kauczukowe zabawki odbiły się i zawróciły w kierunku ziemi. Księżę uleciał ku górze, gdzie zatrzymała go dopiero osłona. Następnie zsunął się i opadł na ziemię.

Kiedy zobaczyłam, że się nie rusza, zamarło mi serce. Usłyszałam niesione wiatrem słowa drzew, które wykorzystałam. „Zdrada”, mówiły ze słabo skrywanym rozradowaniem. Nim zorientowałam się, co właściwie robię, pędziłam już w stronę księcia. Sprint w rajstopach z rozdartymi piętami omal nie skończył się wywrotką. Będąc o metr od niego, padłam na czworaki. Jeszcze chwila i znalazłam się przy leżącym. Gdy usłyszałam, jak jęknął, i zobaczyłam, że dotyka klatki piersiowej, znów poczułam bicie serca.

– Jesteś cały? – spytałam, upewniając się, czy nie krwawi.

Na dźwięk mojego głosu otworzył gwałtownie oczy i uniósł głowę, ale zaraz rozluźnił się i położył ją znów na trawie.

– Tak – odpowiedział, łapiąc oddech. – Trochę mnie tylko poddusiłaś.

Kiedy mówił, zauważyłam jednak głębokie ślady w miejscach, w których zacisnęły się korzenie. Skóra księcia łątała się błyskawicznie – złote magiczne paki pojawiały się raz po raz w różnych miejscach, „cerując” zranione miejsca. Już po chwili jedynym śladem tego, co zaszło, była wąska czerwona pręga oddzielająca blizny na nodze od tych na stopie.

– Strasznie cię przepraszam – powiedziałam, przyglądając się jego poplamionemu błotem swetrowi.

Zakrztusił się lekko ze śmiechu.

– Przepraszasz mnie? Przecież wygrałaś!

– No ale zrobiłam ci krzywdę.

Zaczął się pomału podnosić, aż w końcu przyciągnął kolana do klatki piersiowej i usiadł.

– Myślałem, że nie jesteś typem hazardzistki, a pięknie pograłaś z naturą.

Opadłam w tył, przysiadając na stopach. Otaczająca nas w czasie walki osłona rozplynęła się w powietrzu.

– To była magia na uniwersyteckim poziomie – ciągnął. – Skąd umiesz takie rzeczy?

Poczułam, jak moje morale momentalnie się ulatnia. Troska wyparowała, w mgnieniu oka ustępując miejsca chęci ucieczki.

– Babcia mnie nauczyła.

Nic nie odpowiedział. Spojrzał tylko za siebie i przyjrzał się zmierzającemu w naszą stronę tłumowi.

– Chodźmy lepiej po rzeczy.

Wstałam i wyciągnęłam rękę w jego stronę, ale dał sobie radę sam. Podniósł się bez trudności, zupełnie jakby w ogóle nie został zraniony. Szłam o krok za nim. Po chwili byliśmy w miejscu, gdzie na trawie leżały miecze. W naszą stronę pędziły Christy, Gwen, Tee i Tammy. Gwen wyskoczyła przed szereg i zarzuciła mi ręce na szyję.

– Byłaś absolutnie niesamowita! – krzyknęła, przytulając mnie, ale niemal natychmiast cofnęła się i jak zawsze uśmiechnęła smutno. Robiła wrażenie zmieszanej wypowiedzianym komplementem.

– I ty też, Wasza Wysokość – dodała zaraz bojaźliwie.

Księżę uśmiechnął się kpiarsko i przypiął pochwę z powrotem do pasa.

– W poniedziałek o tej samej porze? Ale uważaj, bo drugi raz ten numer nie przejdzie – powiedział półzartem, a ja po raz pierwszy zauważyłam, jak pociągająco wygląda jego twarz z kącikami ust uniesionymi w uśmiechu.

Skinęłam twierdząco głową, czując, jak spragniona plotek Gwen ciągnie mnie za rękaw.

– Ach, Róża! Jeszcze jedno... – Słyszac jego wołanie, zatrzymałam się i pomału odwróciłam. – Miałybyś z nimi szanse. Jestem tego pewien.

Dziewczyny zaniósły się chichotem, a ja zrobiłam się czerwona jak burak. Schyliłam głowę w ukłonie i szybko odeszłam za koleżankami, żeby ukryć swój głupkowaty, pełen zażenowania

uśmiech.

MUZA S.A. 8825\_8499

*Jesienna Róża*

Książę zrobił, jak zapowiedział. Do następnej środy stoczyliśmy dwie kolejne walki: jedną wygrał on, a drugą skończyliśmy oboje powaleni na plecy. Publiczności nam nie ubywało, przeciwnie – budziliśmy autentyczne zaciekawienie. Dla moich koleżanek była to też okazja, żeby poza klasą porozmawiać z księciem.

W weekend po pierwszej walce Nathan nie przyszedł do pracy. Ponieważ nie zgłosił wcześniej nieobecności, mnie się oberwało od szefowej.

Do środy sytuacja mniej więcej się unormowała. Początkowe zamieszanie i zachwyty, które towarzyszyły księciu jak cień, zaczynały przygasać. Tego samego nie dało się jednak powiedzieć o wrzawie wokół mojego tytułu. Przytyki Valerie stały się mniej bezpośrednie. Zaczęła teraz kpić z mojego bogactwa, ale to potrafiłam łatwo znieść.

Tego, co wydarzyło się w środę – nie.

*Tik-tak...*

Byłam w lesie, ale dźwięk, który nieustannie słyszałam, nie pochodził od drzew. Tykający zegar nigdy nie stawał, a chrapliwy dźwięk wydawany przez mężczyznę nigdy nie cichł. Nawet jeśli kobieta krzyczała, nie słyszałam jej. Jeśli mężczyzna śmiał się drwiąco, nie słyszałam tego.

Widziałam za to jej włosy: czarne i splątane; nogi miała rozsunięte szerzej niż on, na jednej ujrzałam srebrny but, na drugiej – ubłoconą skarpetkę. Stała na palcach i żeby zachować równowagę, opierała się o jego klatkę piersiową.

Im częściej jej widok prześladował mnie w snach, tym bardziej byłam przekonana, że widzę Violet Lee.

Czułam złość, ale i jej gniew. Zrobiłam dwa kroki naprzód, po czym kolana ugięły się pode mną i padłam na ziemię. Coś lepkiego otoczyło wewnętrzną stronę moich ud. Zdażyłam jeszcze zauważyć, że ruch mojego ciała wyraźnie zwalnia. Potem wokół zapanowała ciemność.

Pod zamkniętymi powiekami malował się zarys pofałdowanej peleryny, odcinając się na tle przypominającej brzoskwinie plamy prześwitującego przez skórę słońca. Robiła wrażenie, jakby się oddalała. Mała stopniowo, aż wreszcie zniknęła zupełnie. Gdy to się stało, tykanie zegara i dźwięk lejącej się do umywalki wody zaczęły przybierać na sile. W końcu hałas stał się tak nieznośny, że obudziłam się i natychmiast usiadłam na łóżku.

Nie poszłam tego dnia do szkoły. Pięć minut po tym, jak się przebudziłam, dostałam migreny. Czułam się tak koszmarnie, że idąc na dół po tabletki przeciwbólowe, spadłam z ostatnich kilku stopni schodów. Gdy już z trudem dowlekłam się z powrotem na górę, spałam aż do obiadu.

Nawet po wzięciu zimnego prysznica czułam się tak, jakby oślepiające światło ze snu wciąż paliło moją skórę. Włożyłam tylko bokserki i koszulkę na ramiączkach. Popołudnie upływało powoli, a ja nie dałam rady zrobić do szkoły nic z tego, co sobie obiecywałam. Zdołałam tylko zwinąć się na łóżku i analizować raz po raz swój sen. Wszyscy jego bohaterowie byli niesłychanie rzeczywiści. *Zbyt*



rzeczywiści, bym mogła nie poświęcić im uwagi.

Około szesnastej zza okna dobiegły odgłosy otwierającej się bramy i samochodu parkującego na podjeździe. Serce podeszło mi do gardła. Rodzice wspominali, że mogą wrócić dziś wcześniej, ale ja dopiero od kilku minut powinnam być w domu. Rzuciłam się w stronę szafy. Wyciągnęłam z niej świeżą szkolną bluzkę i zaczęłam ją energicznie gniesć. Zadzwonił dzwonek. Drzwi na dole były zamknięte na łańcuszek, więc to ja musiałam wpuścić rodziców do środka. Cisnęłam bluzkę na stertę rzeczy do prania przed ich sypialnią i szybko wrzuciłam na siebie znoszony i coraz to bardziej skrcający się szlafroczek. Chciałam wyglądać tak, jakbym właśnie się przebierała. Miałam ten ciuch od dwunastego roku życia. Pasek dawno gdzieś zaginął, więc nosiłam szlafroczek rozchylony. Kiedy byłam w połowie schodów, ponownie rozległ się dźwięk dzwonka.

– Idę, idę – powiedziałam z irytacją bardziej do siebie niż do nich. Ostatnich kilka tygodni spowodowało, że o istnieniu moich rodziców bardzo łatwo było zapomnieć.

Przekręciłam skobel i zwolniłam łańcuszek. Otworzyłam, licząc tylko, że pozwolą mi szybko sobie pójść. Po czym stanęłam jak wryta.

Ze zdziwienia aż odskoczył o krok. Nim jednak dotarło do mnie, co właściwie się dzieje, zdążył dobrze mi się przyjrzeć. Inna sprawa, że zrobiwszy to, nie wiedział chyba, gdzie podziąć oczy, bo natychmiast mocno się zaczerwienił. Poczulałam gorąco w policzkach i zacisnęłam dłoń na brzegu drzwi tak mocno, że aż zbiały mi kostki.

– Co ty tu robisz? – spytałam w końcu tonem domagającym się natychmiastowej odpowiedzi. Po sekundzie dotarło do mnie, że nie zaszkodziłoby trochę się okryć, nie było to jednak takie łatwe. Ściągnęłam ku sobie poły szlafroczka, ale niewiele to pomogło, bo i tak nie był on dość długi, by w całości zakryć bardzo kuse majtki, ani dość szeroki, by w pełni opasać mnie w piersi. Świadomość, że nie mam na sobie stanika, stawała się coraz bardziej krępująca.

– Przyniosłem ci zadanie domowe. Oczywiście od Sylaei.

Mimo że wyciągnęłam dłoń w jego stronę, wciąż mocno ścisnął papiery w garści. Opuściłam rękę, czując jednocześnie, że szlafroczek z powrotem się rozchylił.

– Mogę wejść? – spytał, zaglądając ponad moim ramieniem do wewnątrz.

– Nie.

Wzruszył ramionami.

– No dobrze. W takim razie postoję tutaj.

Wbiłam wzrok w niebo, jakbym błagała niebiosy o siłę.

– No dobrze. – Westchnęłam, otwierając szerzej drzwi. – Skoczę tylko się... – Tu machnęłam ręką przy ciele, po czym wskazałam schody na górę.

– To, co masz na sobie, jest w sam raz! – zawołał, gdy byłam w połowie piętra.

Znalazłam w sobie na tyle spokoju, by nie trzasnąć drzwiami, oczy miałam jednak wytrzeszczone z przerażenia i upokorzenia. Przez kilka sekund opierałam się o drzwi. Głęboko oddychając, zastanawiałam się, czy w ogóle dam radę wrócić na dół.

*Księżę Athenei siedzi w kuchni mojego niedużego domu, a ja przed chwilą powitałam go niemal w samych majtkach.*

Jedno spojrzenie w lustro wystarczyło, by zauważyć, że moje policzki są tak czerwone, jakby płonęły. Odniosłam wrażenie, że z tego stresu zaraz cała skóra mi się zaczerwieni. Przyszło mi do

głowy, by rumieniec zamaskować podkładem, ale po chwili zrezygnowałam z tego pomysłu. Jeszcze by pomyślał, że się dla niego staram – zupełnie jak dziewczyny w szkole. Ja tymczasem nie chciałam, żeby myślał o mnie cokolwiek. Chciałam tylko, żeby jak najszybciej wyszedł.

Włożyłam jeansy, stanik i cienki sweter. Moje włosy wróciły do swojego naturalnego stanu, układając się w głębokie falki i loki. Jakbym zaczęła prostować je teraz magią, znowu by wyszło, że się staram...

*Mogłabym po prostu czmychnąć oknem i zejść po drzewie.* Nie byłoby to specjalne wyzwanie, a ponieważ kuchnia znajdowała się z tyłu domu, nie miałyby szans mnie zobaczyć.

*Albo mogę polecieć.*

Przyklękłam na parapecie i rozważałam inne możliwości. Przez szybę zobaczyłam mercedesa zaparkowanego tuż przy naszej bramie wjazdowej. Wyglądał tu dziwnie i nie na miejscu, mimo że byliśmy w dzielnicy ludzi w miarę zamożnych.

Wiedziałam, że tak naprawdę nie mogę uciec. Zdawałam sobie sprawę, że w takim wypadku musiałabym spotkać się nim twarzą w twarz w szkole, a nie miałabym jak wytłumaczyć zniknięcia. Zeszłam po schodach i przemierzyłam przedpokój. Księżę siedział w kuchni na jednym ze stołków barowych przy wyspie, a jego spojrzenie wędrowało po sprzętach i meblach.

– Nie za dużo tu miejsca – skomentował.

– Naprawdę? Jakoś dotąd nie zauważyłam – odpowiedziałam sarkastycznie, przeciskając się pomiędzy nim a ścianą, by dostać się do lodówki.

– To po prostu nie dwór Manderley, twój prawdziwy dom.

Wyciągnęłam z lodówki karton soku pomarańczowego i już miałam podać mu napełnioną szklankę, ale w ostatnich chwili cofnęłam rękę.

– Podejmuję cię czymkolwiek tylko dlatego, że jesteś księciem, i gdybym tego nie zrobiła, moja babcia przewracałaby się w grobie. Ale wciąż cię nie lubię, bo ukrywasz przede mną to, jak umarła.

Unióś lekko brew i skinął palcem w kierunku szklanki.

– Aha, i tym powtarzaniem na okrągło, że mnie nie lubisz, starasz się przekonać samą siebie?

– Wzruszył ramionami. – Trudno. Nie mogę cię zmusić, żebyś mnie polubiła.

Wymiana zdań wyglądała na zakończoną. To akurat mnie cieszyło. Może milczenie sprawi, że księżę szybciej wyjdzie. To, jak pomału popijał sok, zapowiadało jednak co innego.

– Jak się czujesz? – spytał nagle.

Odwróciłam się gwałtownie w jego stronę.

– Co?!

Kąciki jego ust uniosły się w lekkim uśmiechu.

– Pytałem, jak się czujesz. Nie byłaś w szkole, więc zakładałam, że zachorowałaś.

Poczułam, jak różowieją mi uszy. Szybkim ruchem zakryłam je włosami. Z kartonem soku w rękę odwróciłam się w stronę lodówki i odezwałam tak swobodnym tonem, na jaki tylko potrafiłam się zdobyć:

– Miałam migrenę. Już mi przeszło.

– Migrenę? A co ją wywołało? – W jego głosie pobrzmiwało napięcie. Nie widziałam go zza otwartych drzwi lodówki, ale wyczułam, że już się nie uśmiecha. Zaczęłam przesuwać stojące na

półkach pojemniki.

– Słabo dziś spałam.

– Dlaczego?

Rozdrażniona otworzyłam szerzej oczy.

– Nie twoja sprawa – warknęłam.

Wprasza się do mojego domu, siedzi nieproszony, a teraz jeszcze będzie mnie wypytywał...

– Możemy być dla siebie mili albo możemy się bawić w rozmowę w stylu „jestem twoim księciem”. Powiesz mi, dlaczego źle spałaś?

Zamknęłam drzwi lodówki, trzaskając nimi silniej, niż było trzeba.

– Miałam zły sen.

– O czym?

Tego już za wiele. Nie odpowiedziałam. Milcząc, wypłukałam tylko kubek i wstawiłam go do zmywarki.

– Śniła ci się twoja babka?

– Nie.

– Róża, powiedz mi.

Wciąż nie odwracałam się przodem od księcia.

– Widziałam dziewczynę. Zmuszaną do seksu.

Zaklął w języku Mędrców. We śnie dzieliłam jej gniew, a teraz czułam, że dzielę też jej wstyd. Z trudem zmusiłam się, by odwrócić się w stronę księcia.

– Miałaś już taki sen.

– Raz czy dwa. – Zamrugałam szybko, by nie uронić łzy.

Zaszło wtedy między nami coś, co trudno byłoby nazwać. Nie musiałam przebijać się przez osłony wokół jego umysłu, by wiedzieć, o czym pomyślał. Nie miałam wątpliwości, że o tym samym co ja. Było mi z tą myślą bardzo nieswojo i natychmiast ukryłam ją głęboko.

Zauważył chyba, że szklą mi się oczy, bo odwrócił wzrok.

– Przepraszam, nie powinienem tak...

– W porządku, nie przejmuj się.

Niezręcznie zamilkłam, a on wodził spojrzeniem po kuchni, raz czy dwa tylko zahaczając wzrokiem o mnie. Spojrzałam w inną stronę i podeszłam do zlewu. Sprzątnęłam szklanki stojące na suszarce.

*Chciałabym, żeby w końcu wyszedł. Czemu on sobie po prostu nie pójdzie?*

Gdy się odwróciłam, sięgał akurat w poprzek blatu po egzemplarz „Timesa”. Na pierwszej stronie umieszczono duże zdjęcie dziewczyny w czerwono-czarnym blezerze na szarym tle. Miała wyprostowane plecy i nieco pochylone ramiona – zdjęcie jak do szkoły. Uśmiechała się do czytelników spod wytłuszczonego nagłówka:

VARNLEY POTWIERDZA WZIĘCIE ZAKŁADNICZKI, ALE WCIAŻ NIE BIERZE  
ODPOWIEDZIALNOŚCI ZA „LONDYŃSKĄ ŁAŹNIĘ”.

Powyżej umieszczono niewielką fotografię Trafalgar Square zrobioną sześć tygodni po tym, jak został spustoszony. Różowawe plamy na bruku były pierwszym, co zauważyłam, kiedy gazeta wylądowała rano na wycieraczce.

Cieszyłam się, że zeszliśmy z tematów dotyczących bezpośrednio mnie, ale też trudno było uznać wampiry i przeprowadzoną przez nie jatkę za wątek przyjemny. To naprawdę nie był sen, który chciałoby się pamiętać.

– Zajmowanie teraz stanowiska przez Radę nie ma sensu. Prasa trąbi o Violet Lee od tygodni. – Książę zmarszczył brwi, czytając pierwsze linijki artykułu. – „Varnley zwlekało z zajęciem stanowiska, ponieważ rząd brytyjski ich wymiaru ściśle współpracuje z kanadyjskimi i brytyjskimi władzami w naszym wymiarze. Obawiano się, że wrzawa medialna wywrze na ludzkie rządy presję, by próbowały pomóc w negocjacjach”.

– Myślałam, że ludzkie rządy naszego wymiaru nie ingerują nigdy w decyzje tych z drugiego wymiaru. Ludzie tam nie wiedzą przecież o istnieniu mrocznych istot.

– Tak, ale to się mogło zmienić. Skrytość bardzo pasuje Varnom, ich arystokracji i członkom rady. Nie będą chcieli ryzykować odejścia od tej polityki dla ludzkiej dziewczyny.

– To dlaczego po prostu... jej nie zabijają?

Książę wzdrygnął się i uważnie mi się przyjrzał. Serce zaczęło mi łomotać, ale w końcu nasycił się moim widokiem i znów się odezwał.

– Chodzi o Traktaty Terra. Zabicie zakładniczki byłoby wystarczającym powodem, żeby postawić ich przed trybunałem międzywymiarowym. Ale jest jeszcze większy problem.

– Jeszcze większy?

Książę zniżył głos. W jego tonie znów słychać było przejęcie.

– Wiesz, kim jest jej ojciec?

Wyteżyłam pamięć, próbując przypomnieć sobie, co wyczytałam w artykule. Był bardzo pobieżny i podobnie jak w wiadomościach o osiemnastej nie znalazłam w nim wielu szczegółów. Tekst składał się głównie z powtarzania zapewnień o tym, że dziewczyna żyje i ma się dobrze. Było oczywiste, że mediom narzucono rygorystyczną cenzurę. Jakąś jednak wzmiankę o rodzinie porwanej pamiętałam.

– Jest chyba politykiem.

– Jest w drugim wymiarze ministrem obrony Wielkiej Brytanii. Zasiada też w trybunale międzywymiarowym. To oznacza, że w jedynym wymiarze, gdzie ludzie żyją w nieświadomości, jest jednym z niewielu, którzy wiedzą o naszym istnieniu. To ostry prawicowiec. Gdyby pozwolono mu załatwiać sprawy po swojemu, porzuciłby defensywną politykę wobec wampirów i zastąpił ją agresją. Tylko premier utrzymuje go w ryzach. My zresztą też go obserwujemy, bo działa w porozumieniu z Pierre’ami – klanem łowców. Bardzo możliwe, że również z Extermino. Jedni i drudzy uderzają coraz częściej, więc musimy bardzo uważać na ludzi takich jak on.

Próbowałam coś powiedzieć, ale wszedł mi w słowo.

– Swoją drogą, nie widziałaś ostatniego balu.

Zrozumiałam, co ma na myśli, i skinęłam głową.

– Dobrze, ale co to ma wspólnego z jego córką?

– Jeśli stanie jej się krzywda, będzie miał pretekst do rozpoczęcia agresywnych działań.

- To dlaczego oni jej nie wypuszczą?
- Mają zaryzykować, że minister i jego rodzina ujawnią istnienie wampirów?
- To co w takim razie powinni zrobić?
- Czekać, aż z własnej woli się do nich przyłączy.

Wymiana pytań i odpowiedzi dobiegła końca, a ja byłam w szoku. Wielokrotnie czytałam i słyszałam o krwawych wypadach Varnów i nigdy nie przyszło mi do głowy, że reakcją na to wszystko może być niezrobienie *niczego*.

– Naprawdę? – spytałam chrapliwym szeptem.

Przytaknął, po czym wstał, przepłukał szklankę i napełnił ją wodą.

– Kiedy jest mowa o polityce, zaczynasz się odzywać – powiedział nagle, odwróciwszy się.  
– Zapamiętam to.

Zrobiłam się czerwona jak burak i próbowałam wydukać coś w odpowiedzi, ale księżę znów mi przerwał.

– Ale nie dziwię się, że cię to ciekawi. Jeśli porwanie Violet Lee skutkowałoby wojną, doprowadziłoby to do wielkich zmian społecznych. Relacje ludzi i mrocznych istot nieodwracalnie by się zmieniły. Tym tematem powinien interesować się każdy.

Ochoczo przytaknęłam, kiwając szybko głową. Rozmowa z nim nie była może nie do zniesienia, ale męczyło mnie to, że wyciąga ze mnie różne rzeczy, o których nie chciałam myśleć. Czułam się przy nim jak otoczona zwierciadłami, które odbijały rzeczy zakopane głęboko, głęboko we mnie.

– Posłuchaj – zaczął, a w jego głosie pobrzmiwał ten sam ton zażenowania co wtedy, kiedy niemal półnaga otworzyłam mu drzwi. – Zastanawialiśmy się... to znaczy, moi wujostwo, mój kuzyn i ja, czy ty i twoi rodzice nie dalibyście się w któryś weekend zaprosić do Dartmoor. Oni bardzo chcą cię poznać. Podrośłaś i chcieliby dowiedzieć się czegoś o tobie, poznać cię naprawdę.

Więc to dlatego tu przyszedł. W ogóle nie chodziło o jakąś tam pracę domową.

– Myślę, że to nie będzie możliwe – odparłam, z trudem ukrywając niechęć w głosie. *Wpuściłam go, dałam mu szansę, a on jeszcze próbuje mi narzucać swoje towarzystwo!*

Spojrzał na mnie tak, jakby moje blizny zrobiły się nagle zielone.

– Co masz na myśli?

– Moi rodzice mają stresującą pracę. W weekendy muszą odpoczywać.

– Mogą się zrelaksować u nas.

– Niemożliwe – rzuciłam ostro. Podeszłam do zlewu, zamierzając czymś się zająć, ale zamiast tego stanęłam tylko nieruchomo ze spojrzeniem utkwionym w oknie. W szybie zobaczyłam odbicie jego oczu – tak jasnych i niebieskich, jakby istniały tylko po to, by dowodzić czystości jego krwi.

*Błękitna krew. Arystokraci i rodzina królewska. Dlaczego oni mają prawo wiedzieć, co spotkało moją babcię, a ja go nie mam?! Jak on może patrzeć mi w oczy i mówić spokojnie o moich rodzicach, wiedząc doskonale, co robi?*

*I dlaczego, mimo wszystko, nie przestaję ich podziwiać?*

– Więc będziesz sama?

– Nie!

– Jesteście jedną z najświetniejszych rodzin Anglii. Powitać nas to wasz obowiązek.

Kompletnie mnie zbił z tropu. Rzeczywiście, był to obowiązek, a ja zaniedbywałam go od samego początku. Olewanie członka rodziny królewskiej to stanowczo przegięcie i oboje doskonale o tym wiedzieliśmy. Nie oznaczało to jednak, że nie spróbuję się wykręcić. Odwróciłam się w jego stronę i złożyłam otwartą gazetę, zakrywając twarz Violet Lee.

– W weekendy mam pracę.

– Zwolnij się raz. Nie musisz pracować.

– Nie mogę.

– Nie masz się czego bać. Moi wuj i ciotka są naprawdę mili.

– Nie boję się.

– W takim razie...

Przerwał mu odgłos otwieranych i zamykanych drzwi frontowych. Spojrzał na mnie z niepokojem. Zauważyłam wyraz jego twarzy i szybko spojrzałam na zegarek. Wrócili za wcześnie. Nie było czasu, by cokolwiek poradzić. Nim zdążyłam ich jakoś ostrzec, oboje stali w drzwiach.

Pierwsza weszła moja matka i natychmiast ze zdumienia otworzyła usta. Tuż za nią zjawił się ojciec, który – gdy tylko zorientował się co i jak – zrobił maleńki krok do tyłu. Matka jako osoba przenikliwa również natychmiast domyśliła się, z kim ma do czynienia.

Książę zsunął się ze stołka i wyciągnął dłoń w stronę mojego ojca.

– Wielmożny panie... – Wyglądał niemal na przerażonego, a jego maniery stały się błyskawicznie bardzo formalne. Ojciec nie podał mu ręki. Ani się nie uklonił. Książę opuścił pomału dłoń, a po chwili zauważył karcące spojrzenie mojej matki.

– Wpadłem tylko na moment, żeby podrzucić Róży zadanie domowe. – Wskazał leżące na blacie papiery.

– Znów urwałaś się ze szkoły? – spytała moja matka, ignorując zupełnie księcia i patrząc na mnie. Musiałam wyglądać na winną. – Rózo, to jakiś nonsens! – Wolałam nie wiedzieć, jakiego określenia użyłaby, wiedząc, ile razy opuszczałam lekcje. – Czy ciebie zupełnie nie obchodzi twoje wykształcenie? Tak to zaczyna wyglądać...

– Marie.

Spojrzałam na ojca kompletnie zszokowana. Przez cały okres, w którym mieszkałam z rodzicami, ani razu nie słyszałam, by przerwał matce. To ona była tu osobowością dominującą. Była też jednak człowiekiem i nie miała pojęcia, co właśnie robi. Mój ojciec może i urodził się człowiekiem, ale wychowany został jak Mędrzec. Wychowanie, które odebrał, sprawiało, że mocno czerwienił się teraz ze wstydu. Podobnie zresztą jak ja. Czuliśmy w tym momencie rzadką bliskość.

– Pójdę już – powiedział książę, kierując się w stronę kuchennych drzwi. Wyglądał, jakby marzył tylko o tym, żeby jak najprędzej stąd zniknąć. Już na progu odwrócił się jeszcze na chwilę. – Róża, pamiętaj o zaproszeniu. – Jego spojrzenie przeskoczyło na moich rodziców. – Do widzenia państwu.

Matka odczekała, aż za księciem zamkną się drzwi, po czym odwróciła się w moją stronę.

– O jakim zaproszeniu on mówi?

– Zaprasza nas do siebie na weekend.

Ojciec sprawiał wrażenie przerażonego moją odpowiedzią.

Matka była bardziej skora do zabrania głosu.

– Mowy nie ma! Nie zamierzam znosić pogardliwego traktowania. Już wystarczy, że jedno z nich przylazło do naszej kuchni.

Uznałam, że trochę przesadza. Książę, koniec końców, zachował się bez zarzutu.

– Wyjaśniłam już, że wizyta raczej nie będzie możliwa.

Ojcu wyraźnie ulżyło. Wstawił wodę na herbatę i rozłożył gazetę. Natychmiast przerzucił pierwszą stronę.

– Mimo wszystko myślę, że powinnaś tam pojechać.

– Vinny! – Matce mało nie odebrało tchu. – Jak możesz jej to doradzać po tym, jak się z tobą obeszli?

– Nie zrobili tego sami Atheneowie, Marie. – Tata przyglądał mi się uważnie. Poczułam się, jakby odpytywano mnie przy tablicy, i wbiłam wzrok w podłogę. – To może być dla niej ogromna szansa.

– Nie może przecież urywać się z pracy. Nie mówiąc już o szkole, gdzie przydałoby się nadrobić parę rzeczy.

Przez chwilę się nie odzywał.

– To jest ważniejsze niż szkoła czy praca – stwierdził w końcu cicho. Zastanawiałam się tylko, czy w ten sposób polemizuje z matką, czy bije się z własnymi myślami.

– Vincent! Przecież ona nie może...

– Dość. Przestań już. – Napełnił kubek gorącą wodą i wyszedł do przedpokoju. Mrugnęłam kilkakrotnie, głowiąc się, co też w niego wstąpiło. Nigdy go takiego nie widziałam. Pierwszy raz zdarzyło się też, żeby sprzeciwił się matce i stanął po mojej stronie.

Gdy opuszczałam kuchnię, matka nie patrzyła w moją stronę. Wchodząc po schodach na piętro, zastanawiałam się, co mój ojciec właściwie w niej widział. Im byłam starsza, tym bardziej męczyło mnie to pytanie. Miałam dość czasu, by zorientować się, że rodzice innych dzieci są inni niż moi.

– *Twój ojciec jest słaby. Zawsze miał problemy z nerwami.*

– *On ma strasznie stresującą pracę.*

Podwinęłam jedną nogę pod siebie i przysiadłam na parapecie. Usłyszałam dobiegający z zewnątrz stukot kamyków na ścieżce. To ojciec szedł w stronę samochodu, ściskając w zębach coś, co przypominało kanapkę z szynką. Otworzył bagażnik i wyciągnął z niego kilka segregatorów. Wepchnął je sobie pod pachę, po czym niezbyt zgrabnie skierował się z powrotem do domu. Uśmiechnęłam się.

– *Z jego nerwami nie jest najgorzej, gdy idzie o kontakty z ludźmi. A ma ludzki zawód.*

– *Ale co to ma wspólnego z moją matką?*

– *Ona go tyranizuje. Była gotowa przejąć inicjatywę, a on chciał uciec od odpowiedzialności i podejmowania decyzji. To dlatego się z nią ożenił.*

– *Podejmowania jakich decyzji, babciu?*

– *Decyzji o tym, że nie będą należeć do socjety ani kiedykolwiek pojawiać się na dworze.*

Wiedziałam, że będę w końcu musiała zejść na dół po zadanie domowe, które przyniósł mi książę, ale jakoś zupełnie mi się nie spieszyło. Nie było mowy, żebym z tak niewielkim wyprzedzeniem brała

wolne w pracy po to, żeby przyjąć zaproszenie księcia, a w niedzielę odrabiać zadania szkolne. Za opuszczenie ostatniego czwartku szef i tak wykreślił mnie już z listy personelu na wieczorne zmiany. Zamiast myśleć o tym, siadłam więc do laptopa i zabrałam się do odpisywania na e-maile, którymi zasypała mnie Jo.

– *Babciu, czy ty kochasz moją matkę?*

*Starsza kobieta schyliła się, wysunęła zza uszu wnuczki złote loki i czule dotknęła blizn na jej policzku.*

– *Oczywiście, że ją kocham, dziecko. Gdyby nie ona, nie miałabym ciebie.*

MUZA S.A. 8825\_8499



*Jesienna Róża*

*Za nic nie chcesz umrzeć, co, Violet?*

Ze wstydu poczułam palenie w dłoniach. Wiedziałam, że moje usta są otwarte w niemym krzyku, ale jedyne, co słyszałam, to odgłos rozrywanego mięsa i siorbania krwi sączącej się z ciała na jasny żwir i płamiącej go różanym odcieniem. Do tego stukot kolejnych kości rzucanych na ziemię. Dźwięk jednostajny, rytmiczny, który w końcu przeszedł w tykanie budzika.

Dziewczynka uciekła przytrzymującemu ją człowiekowi. Jej sukienka łopotała na wietrze. Przyklęła obok ciała kobiety, jakby chciała ucałować jej dłoń. Zamiast tego jednak zatopiła w niej zęby.

Nie mogłam dostrzec twarzy. Wszystkie przytknięte były do leżących ciał. Wszystkie istoty jadły. I tak wiedziałam jednak dobrze, komu się przyglądam. To były wampiry. Wampiry zjadające wampiry.

Violet Lee rzucała się, chwiała, aż w końcu padła na ziemię. Raz po raz krzyczała z całych sił: „Przestańcie!”, ale nikt nie zwracał na jej słowa uwagi.

Leżała w kałuży własnych wymiocin, ale i tak osobiście zatroszczył się o nią sam książę wampirów. Jego koszula splamiona była krwią, rękawa użył jak serwetki do wytarcia ust. Uniósł dziewczynę z czułością kochanka, delikatnie odchyłając jej głowę do tyłu i odgarniając grzywkę z oczu. Tulił ją do siebie, jakby w każdej chwili mogła wysunąć się z jego rąk i zniknąć na zawsze.

Nie umiem do końca powiedzieć, dlaczego kilka tygodni później zdecydowałam się przyjąć zaproszenie księcia. Może dlatego, żeby postawić się matce. A może dlatego, że gdy zabrakło Nathana, praca stała się czymś absolutnie nieznośnym. Zrezygnował bez uprzedzenia. Szefowa nie potrafiła wyjaśnić dlaczego.

Jednocześnie perspektywa tej wizyty przestała być czymś strasznie odpychającym. Odwiedzenie Atheneów było moim obowiązkiem, a przy tym coraz trudniej było mi wierzyć, że ukrywają informacje na temat śmierci mojej babci. Po co mieliby to robić? Mój mózg wprost zasypywał mnie wątpliwościami. Ich natłok sprawiał, że coraz trudniej było mi uznać za uzasadnione utrzymywanie takiego jak dotąd dystansu.

Ostatni raz sprawdziłam, czy niczego nie zapomniałam spakować. Kilka książek, szkolna torba i świeży mundurek czekały przygotowane na poniedziałkowy ranek na spodzie walizki. Nad nimi bielizna, dwie zmiany ubrań i strój do jazdy konnej, które specjalnie zamówiłam po tym, jak książę wspomniał, że może wybierzemy się na wycieczkę po posiadłości. Miałam w domu myśliczek zachowany z dawnych lat, ale po pierwsze nie chciałam jeździć bokiem na siodle, a po drugie prawdopodobnie i tak już bym się w niego nie zmieściła.

Po szkole popędziłam do domu. Książę, mimo że był to piątek, musiał zostać dłużej po lekcjach, ale to oznaczało, że i tak mam tylko godzinę, żeby się przygotować. Jakimś cudem się udało. Do 16.20 zdążyłam wziąć prysznic, ubrać się i wygrać walkę z włosami, które ostatecznie ułożyłam w spiralny koczek z boku głowy. Zostawiłam tylko kilka luźnych kosmyków opadających na twarz. Stojąc przed lustrem, obciągnęłam spódnicę. Miałam nadzieję, że jestem ubrana wystarczająco oficjalnie.

Wybrałam fałdowaną wzorzystą spódnicę. Niemal przesadziłam, dobierając do niej rajstopy w kolorze wpadającym w bordo, ale nadrabiałam dość elegancką marynarką i bluzką wsuniętą za pasek. Mogłam też w tym stroju głęboko dygnąć, a o wiele więcej nie chodziło.

Postawiłam walizkę na dole schodów, po czym sama usiadłam na najniższym stopniu i czekałam. Po kilku minutach usłyszałam, jak brama otwiera się i z powrotem zamyka. Natychmiast się spięłam. Czułam silny niepokój. Porównywalnie czułam się tylko wtedy, gdy w St. Saphire wezwano mnie do dyrektora. Dzisiejsza sytuacja, w odróżnieniu od tamtej, była dla mnie jednak naprawdę ważna.

Zadzwoił dzwonek. Podniosłam się, by otworzyć drzwi, ale nim zdążyłam przejść przez przedpokój, ubiegł mnie ojciec. Pojawił się znikąd, a ja zawahałam się, nie wiedząc, czego właściwie chce. Wysłuchałam już od matki wykładu na *ten* temat.

On też wyraźnie się zawahał. Położył mi dłonie na policzkach, przechylił mnie lekko ku sobie i pocałował w czoło.

– Bądź grzeczna i wracaj bezpiecznie.

Po tych słowach wyszedł do salonu, zamykając za sobą drzwi. Zdumiona wpatrywałam się w podłogę, póki nie ocknęłam się na dźwięk pukania. Za drzwiami stał uśmiechnięty książę.

– Gotowa? – spytał. Skinęłam głową twierdząco i poszłam po walizkę. Nim zdążyłam zaprotestować, odebrał ją z moich rąk. Siedząc już w jego samochodzie, nie oglądałam się za siebie. Obawiałam się, że w ostatniej chwili mogłabym się rozmyślić.

– Nie masz się czym denerwować – powiedział książę, kiedy ruszyliśmy.

– Nie denerwuję się.

– Drżysz. – Na sekundę oderwał wzrok od drogi i spojrzał uważnie na moje dłonie. Też na nie zerknęłam. Miał rację, więc natychmiast zaplotłam palce i ułożyłam ręce na udach.

Przez większość czasu jechaliśmy w ciszy. Dotarcie na wrzosowiska, gdzie osiedlili się jego krewni, zajęło nam prawie godzinę.

Droga wiała się przed nami jak szara blizna na krajobrazie, zdając się zupełnie zanikać tam, gdzie teren opadał wąwozami. Przez wiele kilometrów nie widziałam przed nami nic, tylko niekończący się, miejscami wypalony dywan kolcolistu i kępy włosokwiatu, które zdusiły wszelką inną roślinność z wyjątkiem dziwnego pniaka. Dartmoor – pamiętam, że jako dziecko myślałam o nim jako o najbardziej opustoszałym miejscu na ziemi. Można tu było iść wiele kilometrów i nie spotkać żywej duszy.

Przejechaliśmy przez szczyt wzniesienia i zaczęliśmy kierować się w dół. Wtedy z mgły, w której tonęło dno doliny, zaczęły pomału wyłaniać się kontury kilku dużych granitowych budynków. Ich mury były lite, niemal pozbawione okien. Z dachów wystawały długie kominy. Całość przypominała rzeźnię.

– Więzienie Dartmoor, teren psa Baskerville’ów. Kojarzy się, prawda?

Jeśli chodzi o skojarzenia, to mnie akurat bardziej uderzyło, że miejscowość, przez którą akurat przejeżdżaliśmy, nazywała się Princetown[2]. To ponure miejsce nie zaprzętało jednak długo mojej uwagi. Teren stał się bardziej płaski i pojawiły się sosny. Ponad kilometr ciągnęły się szpalerem wzdłuż drogi. Wtem samochód skręcił w lewo, w przesmyk pomiędzy pniami tak niewielki, że na pewno bym go przegapiła, gdybyśmy właśnie w niego nie wjechali. Otaczały nas wysokie drzewa. Gdyby opadła na to miejsce mgła, chyba nie zdołalibyśmy nawet wypatrzeć wąskiego duktu

ciągnącego się pomiędzy kolumnami pni i pod nisko wiszącymi gałęziami. Przed nami, w oddali, było jednak widać światło. Kierowaliśmy się w jego stronę, aż w końcu dotarliśmy na skraj lasu. Wysokie drzewa ustąpiły miejsca potężnemu iglastemu żywopłotowi, w którym znajdowała się otwarta na oścież brama.

Aż zaparło mi dech.

Znajdowaliśmy się na wąskiej łące. Ziemię w całości skrywał dywan zieleni przetykany gdzieniegdzie plamami w odcieniach purpury, oranżu i różu. Wzdłuż drogi biegł niewielki akwedukt. Krętą trasę otaczał szpaler drzew. Całość była jak wiecznie zielony wąwóz. Zbliżaliśmy się do zakrętu, więc nie miałam na razie szansy zobaczyć celu podróży. Kiedy jednak wyjechaliśmy na prostą, pomiędzy równych rzędów drzew wyłonił się widok równie malowniczy jak łąka, którą widziałam chwilę wcześniej.

Stał przed nami dom w stylu georgiańskim. Fronton części centralnej znaczyły cztery półkolumny, a po obu jego stronach wznosiły się skrzydła boczne. Budynek był pobielony wapnem i miał tylko dwie kondygnacje. Odetchnęłam z ulgą. Miałam przed sobą piękny dom pośrodku pięknej posiadłości, ale zważywszy na to, kim byli właściciele, całość należało uznać za wyjątkowo skromną.

Droga rozszerzała się, tworząc przed dworem półkolisty podjazd. W niewielkich drzwiach na wysokim parterze pojawił się szofer. Księżę zgasił silnik i odpiął pas, ale nie wysiadł. Odwrócił się tylko z uśmiechem w moją stronę i powiedział:

– Panienko Rózo, witamy z powrotem.

Nie dał mi szansy odpowiedzieć ani spytać, co właściwie ma na myśli. Chwycił moją walizkę i wysiadł. Gdy obszedł samochód, ruszyłam za nim. Do auta wsiadł teraz szofer i odjechał, zapewne w stronę garaży. Patrzyłam na oddalającego się mercedesa, żałując, że już w nim nie siedzę. Przyszła pora zmierzyć się z rzeczywistością.

*Decorum, dziecko. Decorum jest wszystkim.*

Zaczęłam iść przed siebie. Księżę natychmiast wyprzedził mnie o krok i poprowadził schodami ku głównym drzwiom, które stały już otworem. Wzięłam głęboki wdech i splotłam dłonie, by powstrzymać ich drżenie. Idąc tuż za księciem, przekroczyłam próg dworu.

Nie miałam czasu przyjrzeć się uważnie wystrojowi wnętrza, ponieważ moje spojrzenie natychmiast powędrowało w stronę czterech osób stojących pośrodku holu. Księżę stanął tuż przed nimi, a ja, zatrzymawszy się obok niego, zrobiłam coś, co jak wcześniej sądziłam, nigdy mi się już nie zdarzy: złożyłam głęboki ukłon.

– Wasza Wysokość – zwróciłam się do wzorowo wylakierowanej podłogi. Miałam wrażenie, że nim padła odpowiedź, zdążyła upłynąć masa czasu.

– Panienko Rózo.

Wyprostowałam się, licząc na to, że najgorsze mam za sobą.

– Wspaniale jest znów panienkę widzieć.

Stał przede mną, uśmiechając się, księżę Lorent, pan na Victorii, najstarszy i najbliższy królowi brat. Sięgnęłam natychmiast pamięcią do wspomnień o władcy i zaczęłam porównywać obu mężczyzn. Gdy byłam dzieckiem, król zrobił na mnie nie lada wrażenie. Jego brat miał takie same popielatoblond włosy i rzecz jasna athenezańskie, niebieskie oczy. Księżę Lorent, mimo że starszy od króla o kilkadziesiąt lat, robił wrażenie znacznie młodszego. Nie siwiał, a zmarszczki wokół jego ust

nie wzięły się ze stresu, lecz od śmiechu.

– Pamięta panienka moją żonę i mojego najmłodszego syna, księcia Alfiego.

Było to stwierdzenie, nie pytanie. W odpowiedzi tylko się uśmiechnęłam. Księcia Alfiego oczywiście pamiętałam. Nieraz dokuczał mi w czasie wizyt na dworze. Zaskoczyło mnie jednak to, jak dorośle teraz wygląda. Musiał mieć jakieś dwadzieścia jeden lat, ale widać było, że wciąż się starzeje, mimo że był już w pełni dojrzały. Uderzyło mnie też to, jak podobni są teraz do siebie dwaj młodzi książęta, Fallon i on. Bardziej niż na kuzynów wyglądali teraz na rodzonych braci. Nawet ich wyobrażenie o uśmiechu było takie samo: usta niemal nieruchome pośrodku, a kąciaki nieco uniesione. Miałam za to spory kłopot z przywołaniem jakichkolwiek wspomnień o księżnej. W głowie majaczył mi tylko niewyraźny obrazek z pogrzebu mojej babci, gdy stała niedaleko mnie z twarzą okrytą woalką.

Pozostawało tylko ustalić, kim jest czwarta z osób – stojąca z brzegu młoda kobieta. Nie wyglądała ani trochę na członka rodziny Atheneów, a jednocześnie jej rysy z jakiegoś powodu wydawały mi się znajome.

Książę Alfie wysunął się minimalnie naprzód i wziął ją za rękę.

– To moja dziewczyna, lady Elizabeth Bletchem.

Wiem, że wydałam z siebie cichy, przyduszony odgłos, który na pewno został usłyszany pośród panującej w holu ciszy. W myślach ochrzaniłam samą siebie za to, że nie od razu zorientowałam się, kogo przed sobą mam. Elizabeth Bletchem, t a Elizabeth Bletchem – kobieta Mędrzec, która przez ostatni rok bawiła się uczuciem jednego z ludzkich książąt. Skoro była tu, najwyraźniej już zupełnie straciła nim zainteresowanie.

Jeśli dostrzegła moje zaskoczenie, to postanowiła tego po sobie nie pokazać. Wciąż ściskając dłoń księcia, ukloniła się tylko delikatnie.

– Panienko Rózo, bardzo się cieszę, że w końcu mogę cię poznać. Mój ojciec znał świętej pamięci księżną Al-Summers i zawsze mówił o niej z ogromnym uznaniem.

Zmusiłam się do uśmiechu. Za każdym razem, gdy mówiono w tym kontekście o babci, nie wiedziałam, jak inaczej mogłabym zareagować. Zauważyłam, że książę Fallon zerka w moją stronę. Zastanawiałam się, ile powiedział rodzinie na mój temat.

Elizabeth czekała, aż coś odpowiem. Po chwili mojego milczenia puściła rękę księcia, zrobiła krok naprzód i nachyliła się, by zniwelować różnicę jej znacznego wzrostu i mojej drobnej sylwetki. Następnie, ku mojemu absolutnemu zdumieniu, ucałowała mnie w oba policzki i szepnęła:

– Mam nadzieję, że uda nam się bardzo zaprzyjaźnić.

Stałam nieruchomo. Tak bezpośrednie zachowanie wobec świeżo poznanej osoby nie było czymś normalnym. Czułam się teraz tak samo jak w chwili, gdy książę, wioząc mnie do domu, położył mi dłoń na kolanie. Pieczenie. Czułam w ciele takie samo pieczenie, jakiego w ostatnim śnie doświadczały moje dłonie.

Starsza z kobiet wybawiła mnie z opresji.

– Fallon, zaprowadź panienkę na górę i pokaż jej komnaty, które dla niej przygotowano, dobrze? Potem dołączcie do nas, proszę, na tarasie. Każę przygotować kawę i herbatę.

– Oczywiście.

Ukloniłam się lekko. Książę podniósł moją walizkę i ruszył w kierunku klatki schodowej.

– Fallonie, bagaż może zanieść Chatwin – powiedziała jeszcze na odchodne księżna.

Książę zwolnił i odwrócił się w stronę ciotki, idąc teraz ku schodom tyłem. Byłam o kilka kroków od niego i widziałam, że mocno się czerwieni. Otworzył oczy bardzo szeroko, jak gdyby starając się dać jej coś do zrozumienia.

– Poradzę sobie, ciociu – powiedział tonem, który wyraźnie miał sugerować, że pomysł wyręczenia się kimś w noszeniu walizki uważa za głupi.

Książę Lorent zaśmiał się głośno, na co Fallon zrobił się jeszcze bardziej czerwony. Teraz nawet jego oczy zaszyły różowawym odcieniem, co było dość nietypowe. Na ogół Mędrscy umieją panować nad zmianą barwy oczu. Pozwala to nie pokazywać po sobie emocji. Gdy zobaczył, że wpatruję się w niego, przygryzł kącik wargi, wyprostował nieco ramiona i pospiesznie ruszył schodami na górę.

Byłam rozbawiona, ale też zadowolona, że książę nie widział mojego wyrazu twarzy. Nie chciałam, żeby poczuł się jeszcze bardziej poniżony. Pomyślałam tylko, jak koszmarnie byłoby należeć do jednej z tych mrocznych ras, które nie umieją tak jak my panować nad magią, a którym pozwala tylko ona utrzymać się przy życiu. Wampiry, na przykład – moc magii pozwala im polować, ale ich oczy zdradzają każdą myśl.

Lśniaca mahoniowa klatka schodowa zwieńczona była galerią, z której rozchodziły się korytarze prowadzące do poszczególnych skrzydeł dworu. My poszliśmy tym po prawej stronie. Był jasny i przestronny, pomalowany na kolor bladożółty. Na jego końcu znajdowało się okno, przez które wpadało światło. Po każdej ze stron, w sporych odstępach od siebie, znajdowało się czworo drzwi. Zatrzymaliśmy się przy ostatnich po prawej. Pokryto je szlachetną białą okleiną, a łączenia pomiędzy poszczególnymi elementami robiły wrażenie złożonych. Nie miałam jednak szansy przyjrzeć się zdobieniom uważniej, ponieważ książę otworzył drzwi i wszedł do środka. Ruszyłam za nim.

Skromny zewnętrzny wygląd dworu i bezpretensjonalny hol były zmyłką. Delikatnie mówiąc. Na widok pomieszczenia po prostu mnie zamurowało. Powstrzymałam głęboki wdech tylko dlatego, że tuż obok stał książę. Udało mi się tylko przełknąć ślinę.

Znajdowaliśmy się w czymś na kształt recepcji. Stały tu frontem do siebie dwie potężne bladożłote sofy. Pomiedzy nimi ustawiono stolik wykonany z tego samego, wypolerowanego na wysoki połysk drewna co większość klatki schodowej. Meble stały na dużym błękitnym dywanie z dala przypominającym płótno splamione drobinkami farby, a w rzeczywistości zdobionym setkami drobnych złotych kwiatów i motywów królewskiej lilii. Przez trzy potężne okna, których dolna krawędź znajdowała się niemal na wysokości kolan, mogłam oglądać widok, który tak zachwycił mnie od strony drogi. Największe wrażenie zrobił na mnie jednak sufit tworzący ponad sofami lekką wklęsłość, niczym odwrócona do góry dnem taca. Wisiał na nim żyrandol złożony z dziesiątek kryształków odbijających światło odrobinę ku górze. Zagłębienie wokół mocowania tej pięknej lampy otaczał fresk wyobrażający bladoniebieskie niebo z chmurami o barwie kości słoniowej. Świecące na umieszczonego z boku kupidyna słońce nadawało niektórym z nich odcień lekko brzoskwiniowy.

– Dostałaś jeden z najlepszych apartamentów. Będiesz tu mieć całkowity spokój – usłyszałam głos księcia i wróciłam spojrzeniem na wysokość jego twarzy. Postawił moją walizkę na jednej z sof. – My wszyscy mieszkamy w drugim skrzydle. Alfie strasznie lubi głośno puszczać muzykę – ciągnął, jakby czuł potrzebę objaśnienia swojego początkowego, tęskno brzmiącego stwierdzenia. Ja jednak słuchałam go mało uważnie, bo byłam zajęta przyglądaniem się zwieńczonym łukiem drzwiom w jednym narożniku pokoju i mniejszemu wyjściu w przeciwległym.

– Garderoba i łazienka – powiedział, zauważywszy, w którą stronę patrzę.

Odwróciłam się i spojrzałam na ścianę po drugiej stronie. Po mojej lewej stronie było wyjście na korytarz, ale widziałam też i trzecie drzwi. Spojrzałam kątem oka na księcia, czekając na coś w rodzaju przyzwolenia. Uśmiechnął się, a ja nie potrzebowałam niczego więcej, by wiedziona dziką ciekawością niemal rzucić się do przodu.

Miałam teraz przed sobą fantastyczne podwójne łóżko, zadaszone częściowo baldachimem z udrapowanymi kotarami o barwie szampana. Ramę w głowie łóżka, ciągnącą się do połowy wysokości ściany, wykończono materiałem w tej samej tonacji. W pokoju była toaletka, bez żadnych wątpliwości złocona. Kasetonowy sufit robił wrażenie wykończonego tą samą inkrustowaną materią. Półkolumny podtrzymały ścianę za moimi plecami, a także oddzielały okna na całej znajdującej się przede mną ścianie frontowej. W pomieszczeniu było mnóstwo światła, które odbijało się od bielonych ścian i złocień na meblach, pogłębiając jeszcze wrażenie rozświetlenia. Nawet podłoga połyskiwała tak, jakby pokrywała ją tysiące drobinek szkła.

Początkowo pomyślałam, że nie miałam gdzie oswoić się z tego rodzaju przepychem, ale wrażenie to zaczęło ustępować, gdy bliżej przyjrzałam się detalom, doborowi barw i swoistej ekstrawagancji wystroju. Pałac Atheneów urządzony był w sposób niemal identyczny.

Moje podekscytowanie przygasło, kiedy przypomniałam sobie, co będę musiała znieść w zamian za możliwość pławienia się w tych luksusach. Pokonawszy wewnętrzny opór, wróciłam do eleganckiego przedpokoju, gdzie czekał na mnie książę.

– Chciałem cię za nich przeprosić. – Skinął głową w stronę podłogi, więc najwyraźniej chodziło mu o rodzinę. – Oni są bardzo...

Kilkakrotnie uchylał usta, by jednak po chwili znów je zamknąć.

– Bardzo athenekańscy? – dokończyłam za niego, mając nadzieję, że nie uzna tego za przytyk.

Zrobił wydech, po czym zaśmiał się cicho.

– Właśnie tak. Bardzo athenekańscy, a mało Al-Summers.

Przyszła kolej, bym ja się uśmiechnęła. Zrobiłam to dość nieśmiało.

– Masz piękny uśmiech. Powinnaś częściej dawać ludziom szansę go zobaczyć.

Uśmiech, który obdarzył właśnie komplementem, błyskawicznie zniknął, a sam książę szeroko otworzył oczy i natychmiast poczerwieniał, zupełnie jakby zaskoczyły go własne słowa. Ja z kolei zaczęłam bawić się luźnym kosmykiem włosów.

– Powinniśmy wracać na dół – powiedział pospiesznie, patrząc po wszystkim wokół, ale nie na mnie.

Wystrój, który zobaczyłam na parterze, był zbliżony do tego na piętrze. Złocenia, freski, wysokie stropy i olbrzymie okna aż zalewające pomieszczenia światłem. Podobnie jak na górze, książę zaprowadził mnie na sam koniec korytarza. Otworzył następnie podwójne przeszklone drzwi i zaprosił mnie na zadaszony taras. Z brzegu znajdował się stół z kutego żelaza, przy którym siedzieli wuj i ciotka Fallon oraz lady Elizabeth. Książę Alfie opierał się o jej stopy, siedząc na prowadzących do ogrodu drewnianych schodach.

– W samą porę – powiedział książę Lorent, kiedy zajęliśmy dwa wolne krzesła. Lokaj w białej koszuli o wykrochmalonym kołnierzyku i marynarce z wyhaftowanym herbem Atheneów podawał właśnie kawę i herbatę. Pośrodku stołu stał już kosz drożdżówek i naczynie z marmoladą. Poprosiłam o herbatę, kątem oka obserwując, jak Fallon pakuje do swojej kawy masę cukru.

– Wszystko jest wegańskie, kochana, o nic się nie martw. Przestrzegamy tu ściśle tych spraw. Śmiało, poczęstuj się – powiedziała ciotka księcia Fallona, gdy tymczasem lokaj dolewał mleka sojowego do mojej herbaty. Nie byłam specjalnie głodna, ale przez grzeczność sięgnęłam po jedną z bułeczek. Smarując ją marmoladą, przyjrzałam się przez opuszczone rzęsy księżnej i jej mężowi. Od początku robiła na mnie wrażenie osoby bardzo starannej i dbającej o szczegóły. Jej jasne włosy były gładko uczesane i lśniące, a wszystko, co miała na sobie, począwszy od naszyjnika po odcień kredki do oczu, idealnie pasowało do długiej spódnicy w kolorze miętowozielonym. Odstawała od pozostałych, mających na sobie jeansy i bardzo swobodne stroje.

Wygląd lady Elizabeth trudno było określić inaczej niż „przeciętna laska”. Jasnobrązowe włosy uczesała z przedziałkiem na środku i spięła w zwyczajny kucyk. Jej oczy wydawały się zbyt małe w stosunku do pozostałych elementów twarzy. Była bardzo wysoka, niemal dorównywała wzrostem swojemu chłopakowi. Różniło ich to, że ona w wieku prawie trzydziestu lat wciąż wyglądała na osiemnaście–dziewiętnaście. Ale co najważniejsze, miała dar polowania na książąt. I chyba nic w tym dziwnego, skoro jej ojciec był postacią znakomicie ustawioną we wszystkich okołolondyńskich hrabstwach.

Ciotka Fallona zauważyła, że patrzę w jej stronę. Nim zbliżyła filiżankę do ust, uśmiechnęła się do mnie. Spuściłam wzrok i ugryzłam słodką bułkę, na którą ani trochę nie miałam ochoty. Przy stole panowała cisza zakłócana tylko brzękiem łyżeczek o porcelanę i ćwierkaniem ptaków w pobliskich zaroślach. Była to czytelną wskazówką, żebym w końcu to ja coś powiedziała.

– Pięknie tutaj. Nie miałam pojęcia, że znajduje się tu taka posiadłość. Z drogi jej nie widać.

*Pilnuj zawsze, by rozmowa była swobodna. Unikaj polityki i nie wygłaszaj kategoriycznych opinii.*

Księżna uśmiechnęła się znowu, po czym odstawiła na stół filiżankę z herbatą.

– Rzeczywiście. Był to jeden z powodów, dla których zdecydowaliśmy się na ten dom. Kiedy go kupowaliśmy, znajdował się jednak w opłakanym stanie. Całe letnie wakacje musieliśmy spędzić w Londynie, by nadzorować prace remontowe.

Zerknęłam na Elizabeth. Zastanawiałam się, czy to właśnie wtedy poznała swojego drugiego księcia.

– Ja też byłam latem w Londynie.

– Słyszeliśmy o tym i przepraszam, że nie odezwaliśmy się do ciebie. Staraliśmy się jak najmniej zwracać na siebie uwagę.

– Oczywiście, rozumiem – odparłam, uśmiechem zapewniając księżną, że nie czuję się ani trochę urażona. Prawda zaś była taka, że gdybym wiedziała, że tam są, natychmiast związałabym ze stolicy na wieś.

Księżna zdawała się chwilowo usatysfakcjonowana moim udziałem w konwersacji. Teraz zwróciła się w stronę męża. O ile rysy twarzy księcia ułożyły się w wyraz grzecznego zainteresowania, o tyle jego spojrzenie było wyraźnie utkwione w kawałkach ciasta układanych właśnie przez lokaja na zastawie.

– Musimy niedługo znów wybrać się do Londynu. Nie mam jeszcze prezentów świątecznych dla dzieci, nie mówiąc już o wnuczętach.

– Dobrze, kochanie – odparł. Ponad krawędzią stołu pojawiła się teraz głowa księcia Alfiego.

– Prezenty to prosta sprawa. Nari i temu jej koleśowi kup roczny zapas pieluch, Clarei

i Richardowi jakąś romantyczną wycieczkę...

– A Chucky’emu worek bokserski – wtrącił Fallon, uśmiechając się szeroko.

– Nie żartuj sobie z tego, że twój brat nie panuje nad gniewem – zwróciła mu uwagę księżna, ale niemal natychmiast zagłuszył ją książę Alfie.

– Dla Henry’ego *Jak rozmawiać z dziewczynami*, a dla wujka Ll’iriada *Polityka dla opornych*.

Matka przerwała mu, stukając go w czubek głowy.

– Zachowuj się, mamy gości.

Uniósł się jeszcze, by pokazać matce język, po czym z powrotem przysiadł na schodach, przypominając dziecko odesłane do kąta. Mnie jego żarty w ogóle nie raziły. Rozbawiło mnie to, że nazwał właśnie króla „wujkiem Ll’iriadem”.

Książę Lorent wsunął ciastko z kremem i wodził teraz palcem po talerzu, łowiąc okruszki.

– Ja tam nie rozumiem całej tej wrzawy wokół Bożego Narodzenia. Mówią, że dla ludzi to czas pokoju i dobrej woli, ale dla Mędrców to nic więcej niż przedsmak piekła i kolejne siwe włosy.

Żona figlarnie klepnęła go w kolano.

– Stary blagier!

Książę uniósł brew.

– Tak mówisz, ale to nie ty musisz ganiać te diabły, o których mówisz „maluchy”.

Kręcąc głową, odwrócił się w stronę lady Elizabeth i mnie.

– Nie zdarzyło się chyba nigdy, żeby kolacja nie skończyła się bitwą na jedzenie albo podpaleniem ozdób.

Zimowa pora świąteczna, rozpoczynająca się w równonoc jesienną, a kończąca obchodami Nowego Roku, była jednym wielkim spektaklem. Każdy, kto był kimś, pojawiał się wtedy na co większych spotkaniach na dworze królewskim. Sama Wigilia miała jednak charakter prywatny. Do pałacu zjeżdżała wtedy cała rodzina Atheneów – setka, czy ile ich tam jest. To niezawodny przepis na chaos.

Lady Elizabeth zaśmiała się w zaskakująco dziewczęcy sposób. Spodziewałam się niższego, doroślejszego brzmienia tonu.

– Al, nie proś mnie nigdy, żebym była na Wigilii twoją osobą towarzyszącą. – Książę wymamrotał w odpowiedzi coś niezrozumiałego i ucałował jej dłoń. Uciekłam szybko wzrokiem w stronę mojego talerza, udając, że nic nie widziałam. Dziabnęłam kolejny kawałek ledwo ruszonej bułeczki.

Do moich uszu dotarły głosy, więc zaraz zaczęłam znów przysłuchiwać się rozmowie pomiędzy księżną a jej siostrzeńcem.

– Fallon, może póki jest widno, zabierzesz panienkę Różę na spacer po ogrodach? Wrócilibyście akurat na kolację. Nie przejmuj się, kochana – zwróciła się do mnie – to nie będzie nic oficjalnego.

Książę wstał, a ja pospiesznie podążyłam w jego ślady, zostawiając na stole pokruszoną połówkę drożdżówki.

Żwirowa ścieżka wiła się wzdłuż ściany dworu. Szłam w cieniu księcia, póki ten nie został zupełnie przyćmiony przez dom i mur bluszczu, pomiędzy którymi znajdował się ogród. Mur bardziej tak naprawdę przypominał klif: wznosił się ponad dach domu i całkowicie chronił nas od wszędobylskiego wiatru. Na klombach więcej było teraz drutu i linek niż samych kwiatów, porzrzucanych między młodymi krzewami. *Kiedy to wszystko jednak dojrzeje*, pomyślałam, *ogród*



*będzie piękny.*

Szliśmy obok siebie ścieżką poprowadzoną wzdłuż szemrzącego cicho małego strumyka. Gdzieś nad wodą przechodziło się miniaturowymi łukowymi mostkami.

– Myślę czasem, że chyba mi odbiło, ale ja naprawdę wolę Anglię od Australii – powiedział cicho Fallon.

– Naprawdę? – odparłam zaskoczona. *Jak ktoś może woleć miejsce tak nijakie i jałowe od Sydney, pełnego Mędrców i życia?*

– Nie do końca pasuje mi brak słońca. – Wyjął ręce z kieszeni kurtki i wyciągnął je przed siebie tak, by podwinęły się rękawy. Na nadgarstkach wyraźnie przebiegała granica opalenizny. – Ale podoba mi się, że tak tu zielono. No i pasuje mi tutejszy spokój.

– Nie tęsknisz ani trochę za Australią?

– Nie.

Przystanąłam i przygryzłam lekko język. Fallon zrobił kilka kroków, nim zorientował się, że nie ma mnie obok niego.

– Róża...

– Nie tęsknisz za Amandą? – wyrzuciłam w końcu z siebie, z pewnym trudem wypowiadając imię byłej dziewczyny księcia.

Przełknął ślinę. Widziałam wyraźnie, jak jego grdyka przesunęła się w górę i w dół.

– Nie, a w każdym razie nie w taki sposób, w jaki przypuszczalnie twoim zdaniem powinienem.

Odwrócił się na pięcie i dalej szedł przed siebie.

Sprawa wyglądała beznadziejnie, ale zawołałam do jego oddalających się pleców:

– Nie rozumiem!

Przeszedł przez werandę i zniknął za rogiem. Pobiełam za nim, omijając duży krzew fuksji, i zastałam go opartego o barierkę kolejnego miniaturowego mostka. Zbliżyłam się pomału. Wpatrywał się w wodę, która była teraz dla niego jak drzwi do innego wymiaru. Jedno spojrzenie w jego oczy i wiedziałam, że widzi w nurcie rzeczy, jakich ja zobaczyć nie mogę. Pochłaniały go myśli, których nigdy z nim nie podzielę.

– Nigdy nie kochałem Amandy.

Ścisnęłam mocno balustradę.

– Co takiego?

Usłyszawszy mój ostry ton, wrócił do rzeczywistości. Woda nie odbijała już niczego więcej niż sylwetki przerzuconej nad nią kładki.

– Ona mnie też nie kochała. Byliśmy dla siebie... Sam nie wiem, jak to nazwać... Chyba przyjaciółmi z pakietem ekstra.

– Nie miałam pojęcia, że... że to było tylko tyle – szepnęłam miękko.

– Bo nie było! To nie było *tylko* tyle. – Ukrył na moment twarz w dłoniach i powiedział coś zupełnie niezrozumiałego. Zaczęłam rozumieć, co mówi, dopiero gdy uniósł dłonie, żeby odgarnąć grzywkę. – To był partnerski układ korzystny dla obu stron.

Wyprostował się z westchnieniem i przeszedł przez mostek. Gdy wykonał pół obrotu w moją stronę

i zrobił zapraszający gest, zawahałam się.

– Pozwól mi wszystko wyjaśnić – zaproponował, by po chwili dodać: – Proszę, księżno.

Jakiś impuls wprawił moje nogi w ruch. Już po chwili znów szliśmy ramię w ramię. Sięgnął dłońmi do kieszeni jeansów. Zrobił jeden długi wydech, a zaraz po nim krótki wdech.

– Niewykluczone, że przez to, co stało się wtedy z twoją babcią, nie wiesz, jakie to uczucie. Ale może jednak pamiętasz, jak to jest między gimnazjum a liceum? Ten stan, kiedy kończysz jedną szkołę i niecierpliwisz się, żeby być już w tej nowej, tej dla starszych.

Nie bardzo rozumiałam, co moja odpowiedź miałyby wspólnego z tematem, ale wiedziałam, o co mu chodzi. I ja w wieku czternastu lat miałam poczucie, że już urosłam, przeszłam dojrzwianie i jestem już dorosła. Ta młodsza ja nie przyjęłaby zapewne do wiadomości, że bardziej niż przez całe tamte czternaście lat dojrzeję przez półtora roku pozostające do szesnastych urodzin. Że ten krótki okres sprawi, że stanę się zupełnie inną osobą.

– Tak, pamiętam.

Przymknął na moment oczy i się zaśmiał.

– Czternastoletni Fallon miał o wiele za bardzo rozdęte poczucie dorosłości. Miałem dosyć życia na smyczy rodziców i atheneauskiej szkoły. Uważałem, że jestem ponad to i dlatego zdecydowałem się zostać strażnikiem w Australii. Wiele sobie obiecywałem po tym, co mnie czeka. Media niestety też.

Gdy tak stał, wpatrując się niewidzącym wzrokiem w klif, jego widok wzbudzał litość. Wcisnął ręce tak głęboko do kieszeni, że zaczęły drętwieć mu ramiona. Zastanowiło mnie, czy sama tak wyglądam, kiedy mój umysł ucieka do swoich spraw. Nie chciałabym wzbudzać niczyjej litości.

– Zostałem strażnikiem w szkole z internatem w Sydney. Z całą watahą ochroniarzy. To nie była duża szkoła, ale i tak uczyło się tam oprócz mnie dziesięciu innych Mędrców w roli strażników. Szybko skumplowałem się z nimi i z grupką ludzi.

Tyle już wiedziałam. Parę lat temu przechodziłam, rzecz jasna, przez etap podkochiwania się w celebrytach. Obserwowałam wtedy z obsesyjną uwagą każdy jego ruch. Ale oczywiście nie zamierzałam mu się teraz do tego przyznać.

– Przez pierwszy rok było genialnie. Miałem nowych przyjaciół i dobrze sobie radziłem w szkole. No i wreszcie sam kontrolowałem pewne dziedziny życia, na które wcześniej nie miałem żadnego wpływu. Pieniądze, na przykład. Jednak pod koniec tamtego roku zaczęło się robić paskudnie. Miałem piętnaście lat i...

Ściszył głos i zmarszczył nieco czoło. Przekrzywiając głowę, przyjrzał mi się.

– O, bogowie tej ziemi... Byłem wtedy w twoim wieku, ale ty jesteś teraz dojrzała niż ja kiedykolwiek.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Pomyślałam z początku, że to komplement, jednak jego głos brzmiał tak nieobecnie, że nie mogłam być tego do końca pewna. Milczałam. Książę pokręcił lekko głową.

– Dorastałem, a to oznaczało, że coraz bardziej interesowali się mną paparazzi. Pojawiał się artykuł za artykułem. Pisali o dziewczynach, z którymi niby widziano mnie na randce albo z którymi rzekomo się przespałem. Nic z tego nie było prawdą – dodał pospiesznie. – Zauważyli jednak, że zbliżyliśmy się do siebie z Amandą. My się tylko przyjaźniliśmy. Nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby się z nią

umawiać. Jednak media dopatrywały się w tym czegoś więcej. Znalazłem się nagle pod ogromną presją, by zacząć wielki królewski romans, a ją bez przerwy ścigali reporterzy. Tak się nie dało żyć.

Co parę zdań wbijał we mnie wzrok. Poczułam się, jakby śledził moje reakcje. Starłam się niczego po sobie nie pokazać.

– Mandaz... to znaczy Amanda już wtedy była ambitna. Jak każda szlachcianka chciała kariery na dworze królewskim. Była też bardzo zainteresowana polityką. Pochodziła jednak z rodziny, która zaczynała od zera i wzbogaciła się stosunkowo niedawno. Wiedziała, że z takim rodowodem nie stanie się na dworze nikim wpływowym. A tego właśnie pragnęła. No, a ja... musiałem dać mediom to, czego chciały.

Do naszych uszu dobiegł głośny szum wody. Szliśmy teraz pod baldachimem z róż, a ja próbowałam przetworzyć w głowie to, co właśnie usłyszałam.

– To był układ.

Skrzywił się.

– Nie planowaliśmy, żeby to trwało dłużej. Była mowa o paru randkach. Chodziło o to, żeby mieli szansę zrobić nam zdjęcia, jak się całujemy. I udało się. Na kilka tygodni prasa oszalała, a potem wszystko przycichło. Latem zabrałem Amandę do Athenei. Dostała szansę nawiązania układów. Moja rodzina ją polubiła. Pomagali jej, choć z drugiej strony wiedzieli chyba, co jest grane. Zdawali sobie sprawę, że to wszystko długo nie potrwa.

– A jednak trwało.

Zaśmiał się nerwowo i przesunął dłonią po potylicy, mierzwiąc włosy wilgotne od wodnej mgiełki w powietrzu.

– Chyba po prostu żadne z nas nie chciało mieć kłopotów przez rozstanie. Poza tym wtedy... już ze sobą sypialiśmy.

– Aha. I tak nic do niej nie czułeś?

Znów zaśmiał się cicho.

– Proszę, nie rozbieraj tak wszystkiego na części pierwsze. Czuję się, jakby karciał mnie nauczyciel.

Nie wiem, co w moim wyrazie twarzy sprawiło, że tak się poczuł, ale uśmiechnęłam się teraz trochę wstydliwie.

– Coś czułem, przyznaję. Dbałem o nią i starałem się ją chronić, ale nie było w tym nigdy pasji ani miłości. Podczas wakacji nie widzieliśmy się prawie dwa miesiące i zniosłem to bezboleśnie. Nie tęskniliśmy za sobą.

Wyszliśmy spod zadaszenia na otwartą przestrzeń, a mnie aż zaparło dech. Książę nie mógł jednak usłyszeć mojej reakcji, bo wszystko zagłuszała woda. Woda z hukiem spadająca z dwunastometrowego klifu i spływająca dalej w dół przez otwór w ziemi. Słyszałam, jak uderza o skałę i rozpryskuje się. Przypomniała mi się burza, podczas której książę odwiózł mnie do domu.

– Był tu kamieniołom! – przekrzyczał huk wodospadu, opierając dłonie na półkolistej barierce ponad wodą. Oparł łokcie o metal i zaczął lekko kołysać się na piętach. Widać było, że nie może się uspokoić. Przyjrzałam mu się. Zaczął znów mówić, ale w zasadzie widziałam jedynie ruch jego warg.

– Co?! – krzyknęłam. Lekko zdezorientowany książę powtórzył zapewne to, co powiedział przed sekundą. Zaśmiałam się. Nie usłyszałam ani słowa i chciałam mu tylko o tym powiedzieć. Teraz jednak i on zaczął się śmiać.

Nachylił się ku mnie, odgarnął mi włosy z ucha i z bliska spytał głośno:

– Masz ochotę zobaczyć piękny widok?

Zamarłam, kiedy mnie dotknął. Wiedziałam, że jeśli choć odrobinę pochylę się w prawo, moje ramię dotknie jego piersi. Utkwiłam wzrok w jego białej koszuli i połach brązowej marynarki. Widziałam, jak oddycha. W końcu skinęłam głową.

Wskazał wprost w niebo, po czym zaczął cofać się wzdłuż ograniczającej wodospad barierki. O mały włos, a ochlapałby go rozprysk wody, która jakby starała się skoczyć w jego stronę ponad balustradą. Bliskość, jaką okazywał mu żywioł, wybiła mnie z chwilowego transu. Zaśmiałam się, odbijając wodę, gdy próbowała dosięgnąć również mnie.

Wtem księżę skoczył w górę i zniknął pośród mgiełki. Ja odsunęłam się jeszcze trochę od wody, po czym sama ugięłam kolana i wybiłam się ku górze. Nawet w tej odległości od wodospadu w powietrzu unosiła się para wodna. Poczułam, jak się przez nią przebijam. Zobaczyłam teraz księcia opierającego się o kolejną balustradę, tym razem otaczającą wierzchołek klifu. Wylądowałam obok niego.

Byłam naprawdę ucieszona, że skorzystałam z zaproszenia: widok okazał się niesamowity. Klif był wysoki i można było spojrzeć z niego ponad dachem domu. Ujrzałam położoną za nim kotlinę, której dno wyściełała łąka. Otaczający posiadłość szpaler sosen przypominał z naszego punktu obserwacyjnego lejek zwężający się ku drodze. Widziałam ją w oddali: była teraz tylko cieniutką linią, z początku zieloną, później szarą. Biegła w kierunku Princetown, ginąc ostatecznie za horyzontem.

Po lewej stronie miałam bystry strumyk spływający w stronę starego kamieniołomu. Odwróciłam się, by zobaczyć, jak wygląda górna część jego biegu. Płynął po lekko nachylonym terenie pośród mchów i niskich krzewów. W oddali widać było zagłębienie, z którego wypływał, położone pośród granitowych wzniesień.

Podziwiając całą tę panoramę, poczułam, jak unosi się mój prawy kącik ust.

– Nie czujesz się tu odrobinę bezbronna? – spytał księżę z tym swoim zuchwałym uśmiechem. Przykucnął i przesunął dłonią po ziemi. Wodził po niej chwilę palcami, by w końcu coś podnieść. Gdy wstał, zobaczyłam, że to kamyk. Z wysokości pasa rzucił nim w stronę najbliższego skalnego wzniesienia.

Lecący kamyk zatrzymał się nagle w powietrzu i spadł prosto na ziemię. Gwałtownemu zatrzymaniu towarzyszył dźwięk przypominający skwierczenie. Dało się też zauważyć, gdzie przebiega granica potężnej tarczy, prawdziwej kopuły wznoszącej się ponad posiadłością. Miejsce, w które uderzył kamyk, przez moment przywodziło na myśl pęknięte szkło. Pomiedzy odłamkami pojawiły się rozwidlone smużki błękitnego światła. Te ostatnie zaczęły po chwili blednąć, a w końcu całkiem zniknęły – znak, że powłoka się zabiłżniła. Ten moment, gdy widać było ubytek w osłonie, pozwolił mi dostrzec przebieg jej granic. Byłam pod ogromnym wrażeniem, bo sięgała aż do krańców kamieniołomu. Przypomniało mi to Atheneę – ją również chroniły potężne osłony, przez które bez pozwolenia nie mogło przedostać się nic poza żywiołami.

Gdy tarcza stała się z powrotem niewidoczna, przechyliłam się przez barierkę, myśląc intensywnie, jak znów sprowadzić rozmowę na temat Amandy. Cała ta historia naprawdę mnie zaintrygowała. Tych dwoje wykręciło numer niczym para zawodowców. Opowieść księcia była dla mnie prawdziwym objawieniem. Musiałam też przyznać, że z perspektywy czasu wszystko to układało się w bardzo logiczną całość. To rzeczywiście nie była para, która by kiedykolwiek robiła wrażenie zakochanej po

uszy.

– Więc wbrew temu, co pisali w gazetach, wasze rozstanie to tak naprawdę nie było nic wielkiego?

Wyglądał na zaskoczonego, że wracam do poprzedniego tematu.

– Zasadniczo nie. Formalnie rzecz biorąc, to ja zakończyłem ten związek. Rozstaliśmy się bez żadnych awantur. Ona wiedziała, że chcę jechać do Anglii, a sama też była już chyba gotowa na następny rozdział. W dalszym ciągu jesteśmy przyjaciółmi. Przyjaciółmi i nikim więcej. – Znow mocno się zaczerwienił, ale tym razem barwa jego oczu pozostała bez zmian.

Na wysokości klifu, niedaleko nas, pojawił się myszołów. Przez chwilę podziwiałam jego ciemnobrązowe upierzenie, starając się stworzyć wrażenie, że kolejne pytanie zadaję bez wielkiego zainteresowania.

– Wasza Wysokość, dlaczego opowiadasz mi o tym wszystkim?

Wypuścił ciężko powietrze.

– Pamiętasz, jak mówiłem, że chcę traktować cię jak równą sobie? Nie chciałem, żebyś żyła z tą samą iluzją co reszta świata.

To nie było to, co w samochodzie, teraz poczułam się naprawdę mile połączona i przyjemnie wyróżniona. Fallon wyglądał na kogoś, kto wstydzi się tamtego rozdziału w życiu i wyraźnie krępuje się o nim mówić. A jednak postanowił być wobec mnie szczery.

– Dziękuję – wymamrotałam. Nie powiedziałam mu, że cieszę się, iż opowiedział mi o tych przeżyciach. Nie chciałam też jednak, żeby został z poczuciem, iż stracił w moich oczach. Byłam mu wdzięczna.

– Za co?

– Po prostu. Dziękuję.

Na czubek mojego nosa spadła kropla. Po chwili kolejna uderzyła w moją dłoń. Gdy uniosłam twarz, zaraz poczułam ich dziesiątki.

– Zaczyna padać – powiedziałam cicho. – Może lepiej wracajmy.

– Tak – odparł z westchnieniem – lepiej się schowajmy.

MUZA S.A. 8825\_8499

*Fallon*

Usiadłem w fotelu stojącym najbliżej kominka. Patrzyłem, jak wuj odstawia na drewniany stolik szklanekę wypełnioną brandy i lubczykiem. Zimą siadywał na swoim fotelu o prawie pionowym oparciu zawsze z takim właśnie napojem. Był to jego zimowy faworyt. Pijał go, odkąd jako młody mężczyzna zjeździł całe hrabstwo Devon. Zarzekał się, że to coś „dobrze mu robi na żołądek”. Ja miałem poczucie, że gdyby hrabstwu Devon spróbować przypisać smak, to brandy z lubczykiem byłoby strzałem w dziesiątkę.

Róża przeprosiła nas niedawno i wróciła do swojej komnaty. Powiedziała, że ma do dokończenia pracę domową. Ja na dobrą sprawę powinienem zająć się tym samym, ale jakoś nie potrafiłem wykrzesać z siebie motywacji. Jej zapał do odrabiania lekcji jakoś nie współgrał mi z tym, jak często opuszczała zajęcia. Liczne nieobecności zauważyłem nie tylko ja, ale najwyraźniej także jej rodzice.

Wuj rozłożył gazetę. Pierwszą stronę zajmowały jak zwykle zdjęcie Violet Lee i niepokojąco brzmiący nagłówek. Ludzie byli wciąż w szoku i – prawdę mówiąc – stawiałem, że nie otrząsną się z niego, póki sprawa nie zostanie rozwiązana. Moja ciotka, która przez ramię wuja zajrzała do gazety, prychnęła tylko i powiedziała pod nosem coś pogardliwego na temat wampirów.

Zmarszczyłem brwi, na co zarówno Elizabeth, jak i Alfie spojrzeli na mnie pytająco.

Ciotka obeszła zajmowany przez wuja fotel i usiadła naprzeciwko mnie.

– Varnowie ogłosili zakaz publikacji. Gazetom wolno jedynie napisać, że rada wampirów w dalszym ciągu odmawia podjęcia negocjacji z którymkolwiek z brytyjskich rządów.

Alfie wstał, podszedł do barku i nalał sobie porto.

– Zakaz publikacji to w sumie to samo co cenzura, prawda? Po jaką cholere potrzebne im takie coś?

– Trafne pytanie – odpowiedział wuj, składając gazetę wzdłuż zagięcia.

*Po co?*

– Myślisz, że coś się wydarzyło? – spytał zwrócony do nas tyłem Alfie.

– Najprawdopodobniej. – Wuj rzucił gazetę w ogień. Płomienie zaczęły natychmiast pożerać papier, zmieniając go w ciągu sekundy w coś na kształt okopconego plastra miodu: dziury przetykane wysepkami druku. Po krótkiej chwili z twarzy Violet Lee pozostał tylko popiół.

– Naprawdę się cieszę, że nie jesteśmy teraz na dworze królewskim. Przepadają mi posiedzenia rady, ale to i tak niska cena za uniknięcie stresu związanego z całym tym zamieszaniem.

Sięgnął ponad oparcie i wziął ciotkę za rękę. Gdy dotknął jej dłoni, na jego twarzy odmalował się spokój. Alfie i Elizabeth siedzieli bliżej ognia, cicho rozmawiając. Odwróciłem od nich spojrzenie. Nie przywykłem do życia jako singiel.

Ciocia puściła dłoń wuja i sięgnęła po filiżankę herbaty.

– Jesienna Róża robi wrażenie bardzo dojrzałej. I ma doskonałe maniery.

Wiedziałem, że próbuje odegnać wiszący w powietrzu ciężki nastrój. Miałem też świadomość, że moja rodzina aż rwie się, by pomówić o księżnej. Tematu, który najbardziej nas interesował, nie mogliśmy jednak w tej chwili poruszyć. Nie w obecności Elizabeth. Sprawa była na tyle delikatna, że nawet użycie telepatii byłoby podejmowaniem zbędnego ryzyka.

Wuj upił z kieliszka brandy z lubczykiem. Przyjrzał mi się sponad nakrapianego szkła z błyskiem w oku.

– Tak... Jest też naprawdę piękna, dokładnie tak jak się spodziewaliśmy.

– I bogata! – rzucił zza stolika Alfie.

Elizabeth żartobliwie klepnęła go po ręku.

– Dobrze wiedzieć, czego szukasz u kobiet!

W półmroku nie mogłem dostrzec wyrazu jego twarzy. Widziałem tylko, że ściągnął swoją dziewczynę z fotela, posadził ją sobie na kolanach i przytulił. Zapewne wyśpiewywał jej przy tym do ucha jakieś miłosne trele. Nawet gdybym nie znał dobrze mojego kuzyna, łatwo zauważyłbym, że jest w niej bardzo zakochany. Miałem nadzieję, że ona czuje do niego to samo.

Wuj w dalszym ciągu przypatrywał mi się z półuśmiechem. Udawałem, że tego nie widzę, aż w końcu z opresji wyratowała mnie Elizabeth.

– Słyszałam, że już jako mała dziewczynka bardzo przypominała swoją babcię.

Wuj wyciągnął szyję, odwracając się w jej kierunku, po czym odwrócił się z powrotem w moją stronę i odstawił kieliszek na stół.

– To prawda. Kiedy zobaczyłem ją w drzwiach, byłem pod sporym wrażeniem. Wykapana księżna.

– Prawie nic nie zjadła na kolację, biedactwo. – Ciocia westchnęła.

– W domu też chyba nie jada zbyt dobrze, bo o ile się nie mylę, jej matka nie jest weganką. Może chociaż w szkole coś je? – Jej pytanie było wyraźnie skierowane do mnie.

– Nie wydaje mi się – odpowiedziałem. Na dobrą sprawę nie potrafiłem przypomnieć sobie, żebym choć raz widział ją jedzącą. Robiła wrażenie kogoś, kto żywi się wyłącznie kawą.

– Może powinieneś przyrzeć jej się jeszcze nieco bliżej – nieśmiało zasugerowała moja ciocia, mówiąc na tyle cicho, by nie usłyszał jej Alfie i – co ważniejsze – Elizabeth. – Tyle o niej mówiłeś...

– Nie dokończyła zdania. Nie było zresztą takiej potrzeby.

Skinąłem głową. Cały czas miałem jednak poczucie, że Róża dała sobie radę o wiele, wiele lepiej, niż mogłem mieć nadzieję. Sporo się odzywała, a nawet śmiała. Była to kolosalna poprawa w porównaniu z pierwszymi tygodniami naszej znajomości. Ja jednak chciałem, by choć trochę dopuściła mnie do *siebie*, najlepiej zaś – do swego umysłu. Napieranie na osłony wokół świadomości innej osoby jest czymś bardzo niegrzecznym. Wiedziałem o tym doskonale, ale i tak nie potrafiłem chwilami powstrzymać umysłu przed ulatywaniem na piętro w poszukiwaniu kontaktu z nią. Szybko ją znalazłem, jak zawsze. Nieustannie zdawała się ciągnąć za nią woń jakiegoś brzemienia. Po chwili natrafiłem jednak na beton i zaprawę murarską.

– Fallon... Fallon? Słowo daję, dzieci Ll'iriada naprawdę mają zwyczaj odpływania myślami.

Oderwałem spojrzenie od ognia w kominku i zauważyłem, że wuj uśmiecha się szeroko.

– Gdzieś ty znów odfrunął?

Udawałem, że nie mam pojęcia, o co mu chodzi, i starałem się poprzeć to odpowiednim wyrazem twarzy. Wujek mruknął tylko z rozbawieniem i niedowierzaniem. Byłem absolutnie pewien, że pokusiłby się o jakiś jeszcze komentarz, gdyby nie gniewne spojrzenie ciotki.

– Pójdę już. Usiądę na chwilę nad pracą domową – powiedziałem, podnosząc się. Przy ogniu trudno już było wytrzymać z gorąca, a atmosfera flirtu i wiszącej w powietrzu słodczy też specjalnie mnie

nie zachęcała. Spojrzenie cioci zdawało się wyrażać reprimendę, ale i tak życzyła mi dobrej nocy. Pozostałych troje również. Mniejsza o to, że wyspałem się aż nadto przez kilka poprzednich nocy i ostatnie, co zamierzałem teraz zrobić, to znów się położyć.

Kierując się do lewego skrzydła, nie zdawałem sobie nawet za bardzo sprawy, jak szybko się poruszam. Nie pomyślałem o tym, jak ochoczym echem moje kroki rozniosły się po pustym holu. Pospiesznie wszedłem po schodach, naprawdę mając zamiar usiąść do pracy. Ale nie samemu.

Zaraz znajdę się dokładnie po przeciwległej stronie dworu niż ta, w której znajdowała się moja sypialnia. Warto było pomyśleć o jakimś uzasadnieniu. Literatura angielska była przedmiotem, z którym miałem największe trudności. Tak... niewątpliwie potrzebowiałem pomocy.

Służba zdecydowała się tej nocy nie zapalać lamp na ścianach korytarza. Księżyc świecił tak jasno, że dość było światła wpadającego oknami. Mijałem kolejne drzwi, a mój krok stawał się coraz lżejszy. Mknąłem przed siebie, znów mając jednak poczucie, że jestem intruzem na terytorium Róży. Jeśli na moment przystanę, złapią mnie.

Z trudem zatrzymałem się, by choć zapukać do jej drzwi. Zresztą nawet stojąc przed nimi, kołysałem się lekko na piętach, by w jakikolwiek sposób pozostać w ruchu. Żadnej odpowiedzi, cisza. Zastukałem jeszcze raz i cicho zawołałem Różę po imieniu. Gdy w dalszym ciągu nie padła żadna odpowiedź, postanowiłem uznać ciszę za zaproszenie do wejścia.

W środku, jak się zdawało, nie było nikogo. Wszystkie żyrandole i lampy zgaszono i również tu jedyne źródło światła stanowił sączący się przez okno blask księżyca. Kotary były wciąż zwinięte. Walizka Róży w dalszym ciągu leżała na sofie – tam, gdzie sam ją postawiłem. Teraz jednak była otwarta, a z jej brzegu zwisało ubranie. Nie chcąc, by rzeczy spadły na podłogę, nieco automatycznie podszedłem do sofy i sięgnąłem przed siebie, chcąc je poprawić. Zaraz jednak cofnąłem szybko rękę, bo okazało się, że dotykam majtek.

Zepchnąłem głęboko myśli, na które nie pozwalałem sobie w odniesieniu do Róży. Nie miałem przy tym wielkiej nadziei, że długo pozostaną w swoim zamknięciu. Ominąłem sofę szerokim łukiem, zastanawiając się, jakim cudem ona może nie mieć pojęcia, jak działa albo raczej mogłaby działać na mężczyzn. Może to kwestia wieku. Ona ma przecież dopiero piętnaście lat, przypomniałem samemu sobie.

Po mojej głowie krążyło też jednak i inne wytłumaczenie, które znacznie mniej mi odpowiadało. Może to z powodu depresji? Uznając taką wersję, pogodziłbym się z ewentualnością, że Róża nie tylko nie zaakceptuje, ale nawet nie zauważy żadnych uczuć ponad te, które tworzy dla niej karmiący ją nieszczęściem pasożyt. To zaś oznaczałoby, że musiałbym postępować w sposób całkowicie bezinteresowny i pomijający moje potrzeby.

Drzwi prowadzące do sypialni były zamknięte, więc przyjąłem, że już śpi. Dlatego też starałem się poruszać bezgłośnie, gdy kierowałem się w stronę biurka. Leżał tam wybór poezji do kursu rozszerzonego i parę innych książek, w tym monografia na temat amerykańskiej liryki i praca o mizoginii, którą polecił Róży Sylaeia. Spomiędzy kartek pierwszej książki wystawał ołówek. Sięgnąłem po nią i chciałem otworzyć, ale odgięty grzbiet okładki postanowił, że mi na to nie pozwoli. Książka zamknęła się, ale kartki poruszały się na tyle wolno, bym zdążył zauważyć, że przy każdym niemal wierszu aż do miejsca założenia na marginesach były notatki. Tak się złożyło, że książka nie zamknęła się do końca, a zatrzymała na jednej z pierwszych kart. Znajdowała się tam ręcznie wpisana dedykacja.



## *Mojej najukochańszej wnuczce w dniu czternastych urodzin.*

Strona była mocno już sfatygowana, a gdzieniegdzie na cienkim papierze widać było ciemne przebarwienia. Zawstydzony szybko wróciłem na stronę założoną ołówkiem. Był na niej wiersz *Zwiędnięte liście* Jamesa Whitcomba Riley'a, a wokół druku nie sposób było znaleźć centymetra pustego miejsca. Każdy bez wyjątku skrawek wolnej przestrzeni na kartce zajmowały jej odręczne notatki – zapis przeróżnych spostrzeżeń, od niesłychanie wnikliwych po dziwne i dziwaczne. Czytając je, miałem wrażenie, że pomiędzy linijkami tak po prostu zapisano całe znaczenie wiersza. To było niewiarygodne, z jaką łatwością przychodziło jej interpretowanie poezji. Poczuję zazdrość. Praktycznie wychowano mnie na polityka: miałem być racjonalny i praktyczny. Literatura była czymś, z czym musiałem się zmagać. Gdyby jednak ona mogła połączyć swoją wyobraźnię i twórcze skupienie z polityką, to...

*Wyrwasz się przed szereg, zbeształem sam siebie, i to sporo.*

Skupiłem się teraz nie na notatkach, a na samym tekście wiersza. Przy trzecim wersie części zatytułowanej *Świt* zmarszczyłem jednak czoło, a na plecach poczułem bolesny dreszcz.

*Więc jesteś tu, Jesieni, w całej swej dziwności,  
by z ksiąg fortuny odczytywać nam ponure wróżby.*

Mój wzrok podążył za strzałką, która połączyła wersy z górą strony. Róża zapisała tam konkluzje, których ze słów wiersza nie wyciągnąłby nigdy żaden człowiek.

Zamknąłem gwałtownie książkę.

Mój oddech stał się ciężki. Dopiero gdy umilkło jego echo, zauważyłem też, że jestem spocony. Odgarnąłem grzywkę z czoła i przesunąłem dłonią po twarzy.

Nagle usłyszałem bolesny jęk. Błyskawicznie odwróciłem się w stronę sypialni. Gdy dźwięk się powtórzył, natychmiast znalazłem się przy drzwiach, które były lekko uchylone, i delikatnie je popchnąłem – na tyle tylko, by wciągnąwszy brzuch, wśliznąć się do środka. Zrobiłem kilka ostrożnych kroków. W sypialni również nie zaciągnęła zasłon. Część okien otwarto, a zasłony wybrzuszały się unoszone wiatrem. Mimo potwornego zimna na zewnątrz wciąż byłem rozpalony od ciepła kominka i lektury wiersza.

Aż się zachwiałem, gdy zza ciemnych chmur wychynął nagle księżyc. Smuga światła padła wprost na środek łóżka, rozświetlając na chwilę część poniżej baldachimu. Leżała zwinięta w pozycji płodowej, z pościelą odrzuconą na wysokość kostek. Miała na sobie jeszcze mniej niż wtedy, gdy zajrzałem do niej z zadaniem domowym. Tym razem jej ciała nie okrywał nawet skąpy szlafrok. Widziałem gęsią skórę na całej długości jej nogi aż do pachwiny. Pojawiała się na nowo w zagłębieniu pomiędzy piersiami, widocznym w dekolcie prostego topu bez rękawów, by zniknąć pod opadającymi na ramię włosami.

*Mała księżno, jak ty możesz nie wiedzieć?*

Nie byłem w stanie się poruszyć. Nie śmiałem. Gdyby odkryła, że tu jestem... Jeśli gwałtownie wyrwałbym się z transu i uświadomił sobie, co właśnie wyrabiam, żadne z nas nie potrafiłoby tego później wybaczyć.

Nie mogłem jej jednak zostawić na takim chłodzie. Nie dotykałem okien – rano natychmiast zorientowałyby się, że w pokoju ktoś był. Zamiast tego skradałem się naprzód, kuląc się za każdym

razem, gdy deski podłogi ugięły się pod mną. Kiedy dotarłem do prawej krawędzi łóżka, pomagając sobie nieco magią, uniosłem dwie wierzchnie warstwy pościeli i przykryłem ją, pilnując, żeby materiał nie przesunął się po jej skórze. Udało się. Nawet nie drgnęła.

Nie ociągałem się dłużej. Jak najciszej ruszyłem w stronę drzwi. Gdy już się przy nich znalazłem, odwróciłem się na moment. Poruszyła się i wtuliła głowę w poduszkę. Jej usta rozchyliły się, a ich kąciki drgnęły ku górze. Przynajmniej tak mi się wydawało. Na jej twarzy zagościł jednak absolutny spokój. Nigdy dotąd nie widziałem jej tak rozluźnionej.

*Pozostaje mi się cieszyć, że chociaż wywołałem twój uśmiech, Jesienna Rózo.*

Zostawiłem drzwi w takim położeniu, w jakim je zastałem. Przeszedłem przez przedsionek, a gdy znalazłem się na korytarzu, natychmiast uderzyło mnie, że jest całkowicie pogrążony w ciemnościach. Księżyc zniknął za chmurami.

– *Conthlorno!* Podglądacz! – padło z ciemności, a ja aż podskoczyłem. To mój kuzyn wysunął się z cienia tuż przede mną.

– Co ty tu robisz? Dobrze się bawisz, zmieniając tak formę? Mogłem cię zastrzelić!

Alfie skrzyżował ręce na piersiach i rozprostował ramiona.

– Jestem w tym dobry, ale akurat teraz pytanie brzmi raczej, co ty tutaj robisz i dlaczego wszedłeś do pokoju księżnej.

Zamilkł, po czym obrócił nadgarstek, patrząc na wyimaginowany zegarek:

– Jest po jedenastej...

Wyprostowałem się. Mierzyliśmy się teraz wzrokiem, mając oczy na tym samym poziomie.

– Chciałem, żeby pomogła mi z zadaniem domowym, ale kiedy przyszedłem, już spała.

Uniósł brew.

Dla podkreślenia swoich słów skłamałem go po angielsku zamiast w języku Mędrców, którym mówiliśmy w domu (przez to, że w szkole mówiło się wyłącznie w tym pierwszym języku, nauczyłem się w nim paru nowych, pomysłowych bluzgów). Następnie z lekkim oporem uchyliłem bariery wokół swojego umysłu. Chroniąc tylko najświeższe wspomnienie, pozwoliłem mu wnikać w resztę. Zatrzymał się przy książce, po czym pobieżnie przyjrzał się mojej wizycie w sypialni. Zamruczał z głębi piersi, po czym na moment jeszcze wrócił do książki.

– No i widzisz? – rzuciłem w końcu.

Wyglądał na usatysfakcjonowanego. Rozłożył ręce i pogroził mi palcem, przypominając w tym do złudzenia własną matkę. Zmuszał mój umysł, by kilkakrotnie powracał do momentu mojego wśliznięcia się do sypialni:

– Uuu, Fallon... Książęta Athenei nie robią takich rzeczy.

– Zamknij się – mruknąłem, trącając go w ramię i odchodząc. Czułem, jak moje oczy zachodzą różową barwą, i nic nie mogłem na to poradzić. Czułem się tak strasznie zawstydzony. Powiedział prawdę. Nie byliśmy pruderyjną rodziną. Z pewnością zwłaszcza pruderyjni nie byli jej liczni męscy członkowie. Istniały jednak pewne reguły, których należało się trzymać. Zwłaszcza gdy szło o dziewczyny takie jak ona.

Alfie dogonił mnie i położył mi dłoń na ramieniu. *Ej, nie przejmuj się. Wszyscy to mieliśmy, powiedział do mnie w myślach. Pociesz się przynajmniej, że tutaj przyłapałem cię tylko ja i że nie*

*masz na głowie stada paparazzich.*

Rzeczywiście się z tego cieszyłem, bardziej ze względu na nią niż na samego siebie. Martwiło mnie jednak coś innego. Coś, co przyćmiewało całą tę sytuację. *Alfie, myślisz, że dobrze robię? Wiesz, wobec tego wszystkiego, co się stało...*

Zdjął rękę z mojego ramienia i zbiegliśmy obaj schodami na galerię ponad holem. *Bardzo bym chciał być jasnowidzem i odpowiedzieć ci na to pytanie. Ale nie jestem nim, więc nie potrafię. Ale jeśli chodzi tylko o opinię, to tak – moim zdaniem robisz dobrze.*

Stanąłem przy balustradzie i odwróciłem się twarzą do niego. Patrzył na mnie oparty jednym łokciem o drewnianą poręcz.

– To dużo dla mnie znaczy – powiedziałem cicho, ale mój głos i tak odbił się echem od stropu.

Wypuścił powietrze przez zaciśnięte usta, po czym uśmiechnął się szeroko, klepiąc mnie po głowie wolną ręką.

– Wiem, dzieciaku.

Po tych słowach szybko wycofał się z mojego umysłu. Gdy to zrobił, poczułem, jak świadomość Elizabeth ociera się o moją. Szukała najwyraźniej swojego chłopaka. Alfie zmarszczył brwi, by zaraz znów się uśmiechnąć.

– Co powiesz na partię Mario Karta? Al i Fal kontra supermocna Lisbeth.

Pokręciłem głową.

– Uzależnieni jesteście od tej gry...

– Nie zaprzeczam, ale chodź. Inaczej znów mnie ogra.

Wzruszyłem ramionami i ruszyłem w stronę drugiego korytarza.

– Jakoś nie wiem...

Uszedłem może dwa metry. Alfie zaraz przemknął obok mnie i pstryknął palcami, zapalając parę iskier tuż naprzeciw moich oczu. Wzdrygnąłem się. *On naprawdę prosi się o darmowy lot do domu w Vancouver.*

– Fallonie Atheneo, nawet drugi do tronu może się czasem wyluzować. Wiem, że to twoja pierwsza misja dyplomatyczna, ale naprawdę ci wolno. Chodź, żadnych wymówek.

MUZA S.A. 8825\_8499

*Jesienna Róża*

W niedzielne popołudnie raz po raz rozbrzmiewały w moich wspomnieniach słowa pana Sylaei sprzed kilku tygodni: „Nie będzie tak źle, jak myślisz”. Rzeczywiście, nie było źle. Dobrze spałam, nie miałam koszmarów, a czas dzieliłam pomiędzy pomaganie Fallonowi przy literaturze angielskiej, słuchanie niemal nieprzerwanego przekomarzania się obu kuzynów i podziwianie sukien lady Elizabeth, które falą powodziową wdarły się do szaf domu jej chłopaka. Od czasu do czasu poczucie, że nawet powietrze spiskuje przeciwko mnie, próbując wpędzić mnie w znużenie i ból, ustępowało jak mgła unosząca się znad wrzosowisk. Czułam się wtedy na siłach prowadzić dłuższe rozmowy i myśleć o czymś więcej niż o przetrwaniu dnia. Ba, zaczynałam nawet myśleć o przyszłości. Nie czułam się lepiej od czasu letniego pobytu w Londynie.

Największą atrakcją weekendu była z pewnością jazda konna. W posiadłości znajdowała się imponująca stajnia na czternaście koni. Cztery należały do członków rodziny, jednego przeznaczono dla Elizabeth. Pozostałe służyć miały gościom i personelowi, wedle potrzeby i życzenia. Były też cztery kuce Dartmoor, które książe Lorent ocalił przed rzeźnią po tym, jak kiepsko sprzedały się na aukcji. W sobotę pojechaliśmy szlakiem jeździeckim pod skaliste wzgórza. W niedzielny poranek trzymaliśmy się bliżej dworu, gdzie krajobraz był bardziej malowniczy dzięki drzewom i siatce strumieni. Mogły tu nam również towarzyszyć kuce, które po prostu szły swobodnie za nami. Jadąc, uświadomiłam sobie, czemu tak bardzo tęsknię za St. Sapphire i wszystkim, co mogłam tam robić.

– Wiesz już, czym chcesz się zająć po Kable? – spytał Fallon, kiedy po dokończeniu pracy domowej szliśmy pomału górnym korytarzem. Oboje mieliśmy nadzieję, że uda nam się jeszcze trochę pojeździć, ale nasze plany przekreślił padający od wczesnego popołudnia ulewny deszcz. – Nie zostaniesz tu chyba aż do matury?

– Nie, ale muszę gdzieś się dalej uczyć, bo chcę iść na Uniwersytet Atheneński. Szkoda, że St. Sapphire nie ma sekcji ponadgimnazjalnej. Chyba po prostu wybiorę jakąś inną londyńską szkołę. Albo pojadę do Genewy.

– A czemu nie Akademia Atheneńska?

– Raczej bym się nie dostała. Nie wyciągnę tak wysokiej średniej.

– Oczywiście, że byś się dostała!

Zerknęłam na niego spod rzęs.

– Pochlebiasz mi. Ale Kable i tak nie da mi porządnej rekomendacji. Mam za dużo nieobecności.

Westchnął z rezygnacją. Z tym argumentem polemizować się nie dało.

– No dobrze, rozumiem, że w takim razie Londyn. Ale skąd pomysł z Genewą?

– Mam tam przyjaciółkę, Joan Llo'arraunę. Znasz ją może?

Zmarszczył brwi, po czym przekrzywił głowę najpierw w prawo, później w lewo.

– Jeśli jej rodzina nie ma tytułu, to nie miałem jak jej poznać. To twoja jedyna przyjaciółka?

Bez zapału wzruszyłam ramionami.

– Babcia kazała mi poświęcać dużo czasu na ćwiczenie magii. Nie miałam za bardzo kiedy poświęcać się zaprzyjaźnianiu... i nigdy też do końca nie umiałam docenić przyjaźni.

– Ach, więc to pewnie dlatego.

Przystanąłam na dole schodów.

– O co ci chodzi?

Minął łukiem balustradę i oparł się o nią z drugiej strony, tak że poręcz oddzielała nas teraz od siebie. Skierował spojrzenie na mój poziom.

– Wciąż powtarzasz, że nie masz przyjaciół. Napisałaś to nawet w wypracowaniu dla Sylaei. Wiem, bo rzuciłem na nie okiem. Tymczasem masz w Kable kilkoro naprawdę bliskich osób, którym bardzo na tobie zależy. – Dał mi ręką znak, bym mu nie przerywała. – Mam tylko nadzieję, że kiedyś zrozumiesz, jak ważna jest ich przyjaźń i jak wielka może być jej siła.

Miałam powiedzieć, że moja depresja niekoniecznie opiera się na racjonalnych przesłankach, ale w tym momencie do holu wpadł od strony oranżerii książę Alfie. Był kompletnie przemoczony, z jego ubrania ciekły na podłogę strużki wody.

– Chodźcie, musicie to zobaczyć!

Nie dał nam nawet szansy odpowiedzieć. Zanim zdążyłam choćby spojrzeć w stronę Fallona, zniknął już w korytarzu po lewej stronie. I ja, i drugi książę mieliśmy jednak te same odczucia: cokolwiek uzasadniało poruszanie się w takim tempie, z pewnością warte było zobaczenia. Popędziliśmy za Alfciem, piszcząc mokrymi podszwami po posadzce.

Dotarliśmy zaraz na werandę, gdzie lady Elizabeth i książę Alfie stali oparci o balustradę, przyglądając się kaskadom wody lecącym z nieba i spadającym z przepelnionych rynien. Ten istny potok z łoskotem uderzał o położone poniżej tarasu grządki kwiatowe i tratował swoją siłą delikatne przebiśniegi. Stałam obok nich dwojga, głowiąc się, o co to całe zamieszanie. Ulewa trwała już przecież od kilku dobrych godzin.

I nagle wszystko stało się jasne. Niebo zmieniło barwę na błękit, niemal identyczny z kolorem oczu Atheneów. Kilka wielokrotnie rozwidlonych błyskawic popędziło spod chmur ku ziemi. Nie dotarły do niej jednak, bo przyjęła je na siebie potężna kopuła ochronna. Raz jeszcze – jak wtedy, gdy książę rzucił kamyk – widoczny stał się jej przebieg. Znów pojawił się wzór jak na tłuczonym szkłe. Ponownie także dał się słyszeć dźwięk, trochę przypominający skwierczenie, a trochę niski, bzycający odgłos linii wysokiego napięcia. Tym razem jednak towarzyszyło mu także buczenie przywodzące na myśl syrenę pogotowia morskiego w Brixham. Poczułam na plecach silny dreszcz. Uczucie nie ustąpiło, póki błyskawica nie przemierzyła w poszukiwaniu luki całej powierzchni osłony, by wreszcie, rozpadając się ponad naszymi głowami na dziesiątki nitek, spłynąć po zewnętrznej stronie do gruntu. Tak potężne wyładowania były energią w zbyt surowej formie, by jak deszcz czy wiatr móc przedostać się przez kopułę. Powłoka ochronna odpierała je tak samo jak rzucone ciała stałe i czary.

– W życiu nie widziałam czegoś podobnego. – Głos lady Elizabeth zabrzmiał niemal jak szept, choć po ruchu jej ust widać było, że tak naprawdę mówi głośno, starając się przekrzyczeć łoskot ulewy.

Odpowiedź księcia Alfiego całkowicie zagłuszył huk piorunu. Towarzyszyła mu kolejna, jaśniejsza jeszcze i silniej rozwidlona błyskawica. Zaskoczona pisnęłam ze strachu i zrobiłam nieświadomie krok do tyłu, by wpaść plecami prosto na pierś Fallona. Przytrzymał mnie. Przez chwilę czułam ciepło jego dłoni na barkach obklejonych przemoczoną koszulką.

Dłonie księcia nie pozostały długo na moich ramionach i nie doczekaliśmy się trzeciej błyskawicy, bo z zadumy nad burzą wyrwał nas dobiegający z głębi korytarza wrzask. Wrzask, po którym nastąpiły

kolejne krzyki. Natychmiast wysunęłam się z rąk księcia. Choć zaparło mi dech i czułam, że zamiera mi serce, już po chwili pędziliśmy w stronę wejścia do dworu.

Słyszałam, jak Alfie woła na całe gardło ojca. Wpadłam za pozostałymi do głównego salonu, gdzie zastaliśmy księżną rozpartą ciężko na fotelu i księcia krążącego nerwowo wokół niej. Z kąta pomieszczenia z niepokojem przyglądał się im obojgu mężczyzna w mundurze królewskiego personelu.

Księżę Alfie spojrzał po kolei na oboje rodziców.

– Co się stało?

Jego ojciec zauważył w końcu naszą obecność i się zbliżył. Nawet z pewnej odległości widać było, że jego oczy są całkowicie czarne. Po chwili ich barwa przeszła w biel.

– Zaatakowali!

Księżę z wahaniem zrobił krok w stronę matki.

– Kogo, ojcze? O kim ty mówisz?

– O Violet Lee – burknął księżę Lorent tonem, który wskazywał, że samo wymawianie jej imienia jest dla niego nieprzyjemne. Lady Elizabeth westchnęła ciężko. Poczułam ruch powietrza, gdy zza moich pleców wychynął księżę Fallon.

– Stało się to w zeszły weekend – powiedział mężczyzna, który zapewne był królewskim posłem – podczas balu z okazji równonocy jesiennej. Rada wampirów poinformowała jednak króla Ll'iriada dopiero przed kilkoma godzinami. Sprawcą napaści był następca tronu księżęcego Walchii, niejaki Ilta Szkarłatny. Pił krew ofiary i próbował ją zgwałcić...

– To jakiś samobójca! – wykrzyknął księżę Alfie. – Przecież ona jest pod ochroną króla i korony!

– Twierdzi, że Szkarłatny próbował ją zabić. Przesłuchanie jego ojca wykazało, że miał po temu motyw, a więc tak – była to w istocie misja samobójcza.

Posł odsunął się nieco, wyraźnie skrępowany utkwionymi w niego spojrzeniami. W pomieszczeniu zapanowała cisza, którą zakłócał jedynie odgłos kroków księcia Lorenta wciąż krążącego wokół fotela.

– Był najprawdopodobniej jasnowidzem. Musiał wiedzieć o przyszłości coś, co ma związek z ofiarą i jej porwaniem. Jego ojciec jest przetrzymywany w wymiarze Kent. Wygląda na to, że posiada on cenne informacje, których ujawnienia odmawia.

– Więc zmuście go do mówienia! – niemal krzyknął Alfie, który przykucnął teraz obok matki, ściskając w swoich dłoniach jej rękę. Odkąd weszliśmy do salonu, księżna ani razu się nie poruszyła.

– Nie mogą – powiedział Fallon, na co wszyscy popatrzyli w punkt ponad moim ramieniem. – Zakazują tego Traktaty Terra. Wszyscy jasnowidze i ich powiernicy mają prawo do zachowania milczenia, o ile wyjaśnień z ich strony nie zażąda trybunał międzywymiarowy.

– *Charnt!* Zapomniałem o tym... – mruknął Alfie. Rzucając przekleństwo, udało mu się sprawić, że jego matka w końcu drgnęła.

– Trzeba było robić dyplom z nauk politycznych – wymamrotał poirytowanym tonem Fallon. Nie wiem sama, czy chciał, żebym usłyszała te słowa. Po chwili kontynuował, teraz już głośniej: – Posiedzenia trybunału zwołać nie mogą, bo o sprawie zaraz zrobiłoby się głośno i o wszystkim dowiedziałby się Michael Lee. A jeśli doszłoby do tego, to... Mam rację, prawda? – Spojrzał na posła, który przytaknął markotnie.

– To dlatego wydano zakaz publikacji. Ta wiadomość nie ma prawa zostać rozpowszechniona. To oznacza, że wy, dziewczęta, nie możecie nikomu wspominać o tym, co słyszałyście. Nikomu, nawet waszym rodzinom – powiedział książe Lorent. Ja swojej rodzinie mówić i tak nie zamierzałam. Wątpię, by rodzice zrozumieli całą sprawę i by choć trochę ich obchodziła.

– Co się stało z tym całym Iltą Szkarłatnym? – spytał ktoś. Nie byłam pewna kto, bo uwagę moją przykuł stosik gazet leżący na stole.

– Został zabity.

Violet Lee wpatrywała się w sufit ze zdjęć na pierwszych stronach. Za każdym razem wykorzystywali tę samą jej szkolną fotografię. Bardzo nienaturalny sposób pokazywania osoby: postać widać do poziomu godła szkoły na piersi, nic poza tym.

– Kto go zabił?

Rozbierałam ją w myślach, odrywając skrawki swetra z taką łatwością, jakby on sam zrobiony był z gazetowego papieru. Jej włosy zwinęły się w loki, a z kolumn tekstu wyłoniły się jej całkiem długie nogi. Była wyższa ode mnie. Miała podwiniętą sukienkę, więc widziałam, jak blade są jej uda.

– Książe Kaspar Varn.

Zbladłam. Zbladłam i uciekłam.

W ciągu sekund znalazłam się w „moim” pokoju, pochylając się nad biurkiem i z trudem łapiąc powietrze. Oparłam się o blat, bo nogi zaczynały odmawiać mi posłuszeństwa. *To się nie może dziać naprawdę.*

Na kartki leżące na biurku spadły łyzy. Jeszcze chwila i ugięły się pode mną kolana. Przykucnęłam na podłodze. Moją pierś rozsadzał ból. Osunęłam się na kolana i mało brakowało, a uderzyłabym głową o przód biurka. W ostatniej chwili ratunek przyniosły mi ręce, które oplotły mnie powyżej talii.

– Nie jest tak źle.

Pomógł mi wstać, a ja natychmiast oparłam się na jego piersi. Nie byłam w stanie sama utrzymać się na nogach: ciężar, który tak już zelżał, znów runął na moje ramiona.

– J... jest – wydukałam, szlochając – jest naprawdę źle!

*Górna warga sztywno, dziecko!*

– Nie jest – powiedział miękko w języku Mędrców, przysuwając usta do moich skręconych włosów. – Twoja babka była jasnowidzką. Należała do najlepszych. Ty masz ten sam dar, możesz być równie dobra jak ona.

– Nie! Nie chcę! – Wyszarpnęłam się z jego uścisku, nieświadomie tak jak on zmieniając język i patrząc na niego gniewnie. *Jak niby miałby rozumieć? Jak może mówić takie rzeczy, wiedząc, dlaczego zginęła?* – Poza tym jak miałabym być jasnowidzką? Nie jestem jeszcze dorosła!

*Ludzie nas czczą, dziecko.*

Zaczęłam krążyć po pokoju. Przypatrywał mi się z rosnącym zmartwieniem na twarzy. Na zewnątrz wciąż błyskało, pioruny raz po raz rozświetlały moją trasę po posadzce.

– Niektórzy dojrzewają do tego bardzo młodo.

*Rodzice obserwują, jak ich dzieci dorastają i starzeją się, mając cały czas nadzieję. Nadzieję na to, że ich wizje będą dość mocne i pomyślne, by mogły stać się prorokami jak Contanal, że osiągną dalekosiężność widzenia, jaką miał Eaglen lub dokładność Antaei, czy nawet wreszcie – że posiadą*

*moc chri'dom jak przywódca Extermino.*

– Nie *tak* młodo!

– Nie jesteś aż tak młoda, żeby był powód do paniki! – Starał się mnie chwycić, kiedy przechodziłam obok, ale odskoczyłam. Nie chciałam, żeby mnie dotykał.

*Nie, dziecko! Jestem przeklętą jasnowidzką. Jak wszyscy.*

– Róża, przestań, proszę! – Raz jeszcze wyciągnął dłonie w moją stronę. Tym razem udało mu się złapać mnie za przedramiona i zatrzymać w pół kroku. Chwycił mnie mocno. Mimo że miałam na sobie sweter, poczułam na skórze jego paznokcie. – Przepraszam. Nie chcę po prostu, żebyś zrobiła przez to coś głupiego.

Poczułam guł w gardle. Szloch, który na chwilę ustąpił miejsca złości, powrócił.

– Nie chcę jasnowidzenia! Jasnowidzących zawsze wciągają w politykę, a to oznacza jeżdżenie na dwór... Ja nie jestem na to gotowa...

Wyglądał, jakby zaraz sam miał się rozplakać. Nagle, działając chyba pod wpływem jakiegoś impulsu, przyciągnął mnie do siebie i mocno przytulił. Uniósł mnie na czubki palców i przycisnął do siebie tak mocno, że prawie straciłam dech. Otworzyłam wciśnięte w jego T-shirt usta, próbując złapać powietrze. Udało mi się tylko nawdychać zapachu dezodorantu. Wyrwałam mu się, parszając.

– Róża, wszystko dobrze? Co się stało?

Poczułam jego dłoń na plecach. Żołądek aż mi się skręcał. Gdy prowadził mnie zgiętą wpół w kierunku sofy, widziałam tylko ruch jego espadryli po podłodze.

– Tw-twój de... Twój dezodorant. Jest za mocny!

Wybałuszył oczy, a cała jego twarz aż po same cebulki włosów dostroiła się barwą do rdzawoczerwonych blizn.

– To Lynx – powiedział przeproszającym tonem. Dociskał do ciała umięśnione ręce, przesuwając ramieniem w poprzek klatki piersiowej, aż w końcu złapał się dłonią za ramię. Gdy zrobił niewielki krok do tyłu, uderzył łydką o stolik kawowy i stracił równowagę. Udało mu się ją odzyskać dopiero po paru niepewnych krokach. Gdy znów stanął równo, jego oczy całe zasnuły jasnym różem, a ja z trudem powstrzymałam chichot. Przesunął dłonią po potylicy.

– Ja... tak celowo...

Tym razem nie powstrzymałam się i wybuchłam gromkim śmiechem. Przycisnęłam pięść do ust, żeby go stłumić, ale to niewiele pomogło. Księżę przechylił głowę najpierw w lewo, później w prawo. Zdezorientowany przyglądał mi się przez chwilę, po czym bardzo starannie omijając wszystkie meble, zbliżył się do mnie i przysiadł na szklanym blacie stolika. Siedział zwrócony twarzą do mnie, tak blisko, że nasze kolana się stykały.

Sięgnął dłonią do mojej twarzy i wysunął mi z za ucha kosmyk włosów. Ten, wilgotny jeszcze od deszczu, zaraz zwinął się w loczek.

– Loki bardzo do ciebie pasują.

Wycofał się z uśmiechem, splatając dłonie i opierając łokcie na udach. Mnie aż świerzbiała ręka, by wsunąć włosy z powrotem za ucho, ale jakoś nad sobą zapanowałam.

– Jak się teraz czujesz? – spytał, opierając się mocniej na łokciach.

– W porządku. Ja po prostu...



– Śmiało, mów.

– Nie chcę wracać na dwór królewski jako jasnowidzka. Wymagano by ode mnie nie wiadomo czego, bo każdy tam wie, jak dobra była w przewidywaniu przyszłości moja babcia. Ciężko jest żyć w jej cieniu. Ona znakomicie panowała nad wizjami, a ja... ja widuję tylko tę całą Violet Lee. Nigdy nie będę tak dobra jak babcia. – Spuściłam głowę i mocno zacisnęłam powieki. Czułam, że do moich oczu znów napływają łzy.

– Nie możesz tak mówić. Nie skończyłaś jeszcze nawet szesnastu lat, a już udało ci się przeczuć tak ważne wydarzenie jak ta napaść na Violet. To twojego cienia powinno się obawiać wielu jasnowidzów.

– Oni przynajmniej panują nad tym, co widzą. Ja nie mam wyboru i muszę... muszę oglądać te wszystkie straszne rzeczy.

– Straszne rzeczy?

Podniosłam w końcu wzrok i spojrzałam na księcia. Siedział wciąż w tej samej pozycji, opierając łokcie na kolanach. Był tak blisko, że zauważyłam zmianę odcienia jego opalenizny. Jak zawsze miał na sobie koszulkę w serek, a u spodu rękawów, które się nieco zawinęły, widać było, że karnacja księcia jest już znacznie bledsza.

– Tak, straszne rzeczy – szepnęłam.

– Mogę zobaczyć? – Wbił we mnie spojrzenie i intensywnie mi się przyglądał, co sprawiało, że jeszcze trudniej było mi odmówić. – Proszę – dodał po chwili.

Od dawna broniłam dostępu do swojego umysłu i byłam, prawdę mówiąc, zaskoczona, że tak późno podejmuje ten temat. Teraz jednak chciał przyjrzeć się obrazom, które miały dla mnie charakter niemal intymny. Choć byłam pewna osłon, które tworzyłam przez dziewięć lat, to i tak obawiałam się go do nich dopuścić.

A jednak zdecydowałam się. Zamknęłam oczy i bardzo metodycznie przejrzałam wszystkie przestrzenie. Sprawdziłam rygle i łańcuchy chroniące dostępu do pudełek, w których niemal stale przechowywałam większość myśli. Emocje zamiotłam w kąt, z dala od miejsc, do których będzie miał szansę zajrzeć. Jak suchy kurz wzbily się chmurą, by dopiero po chwili, i to niechętnie, opaść na miejsce, które im wskazałam. Zadowolona z porządków na wierzch wyciągnęłam ułożone chronologicznie sny.

Świadomość, nawet gdy tkwi bezpiecznie pomiędzy granicami umysłu, wydziela woń, odgrywa melodię lub zaznacza się w inny niepowtarzalny sposób. Sprawia to, że jest wyjątkowa, a przyjrzenie się jej daje taką samą pewność, z kim mamy do czynienia, jak gdybyśmy patrzyli wprost na tę osobę. Nie inaczej było w przypadku księcia. Była jak wirujące, barwne koło kręcące się tak szybko, że kolory mieszały się i zlewały w opalizujący błękit.

Przez ceglany mur zbyt wiele zobaczyć się jednak nie da. Owszem, świadomość osoby łatwo wyczuć i zidentyfikować. Bywa, zależnie od stopnia zażyłości, że można posłużyć się nią do odnalezienia kogoś. Jednak przyglądając się jej przez osłony, uzyskuje się obraz bardzo powierzchowny – ot, jakby rzucić na kogoś okiem.

Kiedy więc osłony otaczające mój umysł opadły jak kotary zrzucone na podłogę i gdy poczułam, jak książę, wchodząc do środka, jednocześnie bez mej woli wsysa mnie w swój umysł, na moment aż straciłam dech. To było jak przejście do innego świata.

Był to świat wzgórz ciągnących się ku odległym wyniosłym pasmom górskim, pełen drzew i fal o białych grzywach. Świat błękitnego nieba. Potem zobaczyłam równinę. Teren unosił się lekko,

docierając w końcu do podnóża klifu. Starsza część skał była szara, młodsza lśniąca bielą. Ponad urwiskiem stały żółknące bloki mieszkalne wyglądające na opuszczone. Wiedziałam jednak, że nie mogę dać się zwieść. Nie wolno mi było dać się nabrać na całą tę scenkę.

Był to jego dom, Athenea, a przynajmniej jej lekko zmienione najodleglejsze rubieże. Wokół drzew piętrzyły się stopy skrzyń: część poprzewracana i roztrzaskana, część równo poukładana, część wreszcie zabezpieczona łańcuchami. Wieka niektórych były szeroko otwarte. Z najbliższego takiego kufra dobiegły mnie echa naszej rozmowy o Amandzie, w innym dostrzegłam obrazy ilustrujące to, o czym mi opowiadał.

Ten chaos też jednak stanowił tylko ilustrację. Wszystko było tu w rzeczywistości pilnie strzeżone. Nigdzie nie dostrzegłam choćby śladu myśli czy emocji księcia, z jednym jedynym wyjątkiem: entuzjazmu, z jakim ukazywał uwielbianą scenę. Był on aż odurzający. Spijałam go, czując, jak począwszy od głowy, rozgrzewa moje ciało, rozświecła cienie zamieszkujące mój umysł i zdejmuje ze mnie moje wieczne brzemię.

To uczucie nie mogło jednak trwać. Czułam, że księżę zbliża się do końca mojego ostatniego snu, któremu w roztargnieniu pozwoliłam odtwarzać się raz po raz w mojej głowie. Wiedziałam, że zaraz będę musiała opuścić ten świat. Po prostu nie wypadało postąpić inaczej.

Otworzywszy oczy, zobaczyłam księcia w takiej samej pozycji jak ta, którą przybrałam ja sama. Siedział wyprostowany i zeszywniałymi rękami ścisnął brzeg stolika do kawy (ja zacisnęłam dłonie na brzegu sofy), mrugając przy tym szybko, by przyzwyczaić oczy do światła słonecznego.

– Widziałś londyńską rzeź – wyszeptał z niedowierzaniem. – Zobaczyłaś ją, patrząc wstecz?

Pokręciłam lekko głową.

– Nie, widziałam ją kilka minut przed tym, zanim do niej doszło – odpowiedziałam równie cicho.

Znów pogładził się po włosach na potylicy.

– *Miarba* – zaklął cicho, po czym znieruchomiał z ręką na karku i lekko wytrzeszczył oczy.

– Przepraszam, normalnie nie zdarza mi się kłąć. – Odwrócił wzrok, a jego ręka po chwili powędrowała powoli z głowy na udo. Spojrzał na swoją dłoń i zaśmiał się nerwowo. – Naprawdę – dodał, patrząc w moją stronę.

Chyba byłam wciąż lekko odurzona witalnością jego umysłu, bo na policzkach poczułam ciepło. *To urocze. Naprawdę urocze.*

– Wierzę ci. – Zawiesiłam głos, by po chwili dodać: – Ale proszę, żebyś nikomu nie mówił o moich snach. Mam prawo do jakiejś prywatności. – Mój stanowczy ton wydał się na tle piorunów i ulewnego deszczu bardzo nieprzyjemny. W gruncie rzeczy nie zdziwiłabym się, gdyby nie przejął się moimi słowami, chociaż miały brzmieć jak żądanie.

– Postaram się, księżno. – Wyciągnął dłoń i raz jeszcze wysunął zza mojego ucha kosmyk włosów, który ledwo co poprawiłam. – Ale wiesz sama, że jeśli Violet Lee albo ktokolwiek... – Skoczył nagle na równe nogi, a ja odwróciłam się gwałtownie na odgłos trzaskających drzwi. Momentalnie zaczerwieniłam się, pamiętając, że najzwyczajniej w świecie *uciekłam* z salonu na parterze. Stał przed nami księżę Alfie. Nie ulegało wątpliwości, że kuzyn natychmiast bezbłędnie odczytał wyraz jego twarzy. Ja też. Mimika obu książąt była niemal identyczna.

– Co się stało?

– Ciąg dalszy złych wiadomości. Niestety – odpowiedział starszy kuzyn, pocierając dłońią skroń.

Fallon rozchylił usta, a ja poczułam, jak mój żołądek zaciska się w supeł – po raz drugi w ciągu dziesięciu minut ciężar, od którego ledwie zdążyłam się uwolnić, spadał ponownie na moje barki.

– Extermino znów uderzyli.

Zabrakło mi na moment tchu. Poczucie bezpieczeństwa, które stopniowo udawało mi się odbudować po sierpniowym ataku i pojawieniu się Atheneów, w mgnieniu oka wyparowało.

MUZA S.A. 8825\_8499

*Jesienna Róża*

– Nie i nie! Nie ma mowy! – Dobięł do mnie niosący się korytarzem głos księcia, gdy szłam do małej jadalni na nietypowo wcześnie podane śniadanie. *Szósta czterdzieści pięć. Od miesięcy nie byłam na nogach tak wcześnie.* Czułam się tak zmęczona, że z trudem udawało mi się iść prosto. Nie pofatygowałam się, żeby wyprostować włosy; nie miałam nawet siły, by posłużyć się magią. Mówiąc krótko, potrzebowałam kawy. Rozpaczliwie.

– Nie! Nie zmusicie mnie! Może nie zauważyliście, ale nie jestem już dzieckiem!

– Dokładnie rzecz biorąc, do stycznia jesteś niepełnoletnia – odparł nieznany mi, kanadyjsko brzmiący głos. Zamarłam w pół kroku. Nie miałam najmniejszej chęci spotkać kogoś poza rodziną i lady Elizabeth, a nieufny ton gościa wskazywał wyraźnie, że nie jest on sługą.

– Nie bądź taki pedantyczny.

– Chyba się zgodzisz, że lepiej być drobiazgowym niż martwym?

– Nie dramatyzuj.

– Fallon, twój ojciec, twój wuj i ciotka, mój ojciec i ja sam uważamy, że tego wymaga twoje bezpieczeństwo. Czy to nic dla ciebie nie znaczy?

– Nie! Przyjechałem tu właśnie po to, żeby tego wszystkiego uniknąć!

Zamknęłam oczy, wzdychając bezgłośnie, po czym pokonałam ostatni odcinek korytarza, podeszłam do uchylonych drzwi i zajrzałam do jadalni. Fallon stał zwrócony plecami w moją stronę. Zaniepokoiło mnie to, że wciąż ma na sobie T-shirt i spodnie od dresu, bo za niespełna pół godziny powinniśmy jechać do szkoły.

Wtem poczułam szturm kilku jaźni na moje bariery ochronne. Intruzi mocowali się z nimi brutalnie i uporczywie. Kres położył temu dopiero kojący dotyk świadomości Fallona. Gdy pojawił się on, pozostali wycofali się niczym morski odpływ, pozbawiając mnie jednak przy tym dużej porcji energii.

Nie miałam już żadnych wątpliwości co do tego, kim są ci, którzy przybyli do księcia.

– Róża! – zawołał ten ostatni. Usłyszawszy go, weszłam ostrożnie do środka. Nie miałoby sensu ukrywanie, że stoję tuż za drzwiami.

Trzymając się blisko księcia, podeszłam do stołu obficie zastawionego jedzeniem i kubkami z kawą. Pod ścianą, oparci o długi okienny parapet, stali trzej mężczyźni. Sprawiali wrażenie, że zajmują większość pomieszczenia. Czwarty stał wyprostowany pomiędzy smukłymi, wysokimi wazonami, które w zestawieniu z jego potężną posturą wydawały się teraz niewielkie. Gdy wysunęłam się z za księcia, mężczyzna zbliżył się do mnie i pokłonił, podobnie jak i trzej pozostali.

– Moja księżno – pozdrowił mnie ciepłym głosem, po czym – ku mojemu niemałemu zaskoczeniu – ujął moją dłoń i ucałował miejsce na palcu, na którym nosi się pierścień. – Wyrosłaś, księżno, na piękną kobietę. – Wyprostował się, a ja stałam czerwona jak burak nie tyle z powodu usłyszanego komplementu, ile dlatego, że mężczyzna ten najwyraźniej mnie znał, ja tymczasem nie miałam pojęcia, kim jest.

Wiedziałam jednak, jaką pełni funkcję. On i pozostali trzej mężczyźni byli członkami Athan

Cu'die – królewskiej gwardii przybocznej.

*Zawsze dostosowują się bezbłędnie do potrzeb Atheneów. Czują się dobrze zarówno na pierwszym planie, jak i gdy działają dyskretnie przez nikogo nieobserwowani. Sprawdzą się w sytuacjach oficjalnych pośród przepychu, a gdy zajdzie potrzeba, wtopią się niepostrzeżenie w służbę. Wszyscy strażnicy i cała kadra wojskowa, od prostego posłańca po najwyższego z admirałów, odpowiadają bezpośrednio przed Athan Cu'die i jej głównodowodzącym, Adalwinem. Większość członków gwardii wynosi przynależność do niej z domów rodzinnych. Już jako dzieci ćwiczą obok koronowanych głów, ponieważ umacnia to poczucie feudalnej więzi. Zginą za swych zwierzchników, jeśli taki otrzymają rozkaz.*

Księżę oszczędził mi konieczności udzielania odpowiedzi, wtrącając się z pytaniem:

– Róża, zgodzisz się chyba, że chodzenie z obstawą jest głupie?

Aż wzdrygnęłam się wewnątrz, ale ani mi było w głowie spierać się z Athan Cu'die.

– Sądzę – zaczęłam, starannie dobierając słowa i widząc jednocześnie, jak księżę posyła mi spojrzenie szczeniaczka – że bezpieczeństwo Jego Wysokości należy stawiać ponad wszystko inne.

*To poważna sprawa, babciu.*

Księżę zmrużył oczy i widziałam, jak jego wargi bezgłośnie wypowiadają słowo „zdrajca”. Ja jednak mówiłam absolutnie szczerze. Wiadomość o pojawieniu się Extermino w sąsiednim hrabstwie Sommerset przyćmiła natychmiast doniesienia na temat Violet Lee, za sprawą skrytości rady wampirów i tak już mocno przedawnione. Z tego też powodu postanowiłam skupić się na bezpośrednim zagrożeniu, a nie zajmować własnymi lękami i sennymi odkryciami.

Mężczyzna, który ucałował moją dłoń, uśmiechnął się niezbyt szczerze.

– Proszę nie być tak skromną, księżno. Jesteśmy tu również ze względu na ciebie.

– Z-ze... ze względu na mnie?

– Tak. To z kolei oznacza, księżę, że jeśli odmówisz przyjęcia ochrony, narazisz również bezpieczeństwo naszej jakże wdzięcznej księżnej Róży. – Gwardzista odwrócił się na moment i przyjrzał jednej z ozdobnych roślin, po czym spojrzał znów na nas dwoje z krzywym, nieco złośliwym uśmiechem.

– No to sprawę mamy chyba rozstrzygniętą.

Księżę nie protestował dalej. Gdy czterech gwardzistów opuszczało pomieszczenie, posłał im tylko to samo spojrzenie, którym w dniu mojego przyjazdu skarcił swoją ciotkę. Było zbyt jasno, żebym mogła mieć pewność, ale zdawało mi się też, że barwa jego tęczywek stała się nagle o wiele bledsza.

*Sprawa zawsze jest poważna, gdy masz do czynienia z Atheneami. Kiedy się do nich zbliżysz, gwardziści Athanie staną się twoim cieniem.*

Głęboko westchnąwszy, księżę ze zmarszczonym czołem usiadł obok mnie przy stole. W odruchu obronnym objęłam się rękami, mając świadomość, że na dobrą sprawę narzuciłam mu właśnie obecność Athanów.

– Częstuj się – powiedział, sięgając po cukier, a drugą ręką wskazując na stół zastawiony wszelkimi chyba rodzajami potraw śniadaniowych. Oczywiście bez wyjątku wegańskimi. Nie zwlekając ani chwili, wyciągnęłam rękę po filiżankę czarnej kawy i natychmiast ją opróżniłam.

– Nie poznałaś go, prawda? – spytał, sypiąc cukier do swojej filiżanki. Pokręciłam głową, ale księżę nie podniósł na mnie wzroku. – To syn Adalwina, Edmund.

Odstawiłam filizankę na blat. Drżały mi dłonie, a nie chciałam zdradzać emocji, dzwoniąc nią o spodek. Teraz oczywiście wiedziałam już, z kim przed chwilą rozmawiałam.

– Serio?

– Mhm – mruknął w odpowiedzi, sącząc kawę. – Jestem teraz najbardziej narażonym członkiem rodziny poza granicami Athenei, więc przysłali mi najlepszego z najlepszych. Szczęściarz ze mnie, co? – powiedział niby swobodnym tonem. To, jak pod koniec zdania pokręcił lekko głową, pozwoliło mi jednak sądzić, że tak naprawdę przejmuje się sytuacją znacznie bardziej, niż chciałby przyznać. – Działają tu dyskretnie od tygodni, zbyt ryzykowne byłoby zostawić mnie zupełnie samego. Ale kiedy są z tobą cały czas, robi się paskudnie. Są jak cień. Dzień i noc nie opuszczają cię ani na moment.

– Przepraszam – wymamrotałam, gapiąc się na jego skarpetki. Włosy opadły mi na twarz, zasłaniając ją. Gdy się kręciły, nie sposób właściwie było nad nimi zapanować. Jedynym wyjściem było wsuwanie ich za uszy. I tak zrobiłam.

– Nie przepraszaj. Edmund był ze mną w Australii i dobrze wie, jak mnie przycisnąć. – Stopy księcia się poruszyły. Zobaczyłam, że sięga po pomarańczę. – Przepraszam, że zębami – powiedział, po czym wgrzył się w owoc, rozrywając skórkę. Następnie rękami dokończył obieranie.

– Nic nie zjesz?

– Właściwie nie jestem głodna.

– Przyznam – powiedział, gryząc pomarańczę – że umiesz nieźle kłamać, ale tak się składa, że słyszę, jak ci burczy w brzuchu.

Rzeczywiście tak było. Wzdrygnęłam się. Księżę przełknął kolejny kawałek pomarańczy, po czym sięgnął po jabłko i chciał mi je podać. Pokręciłam tylko głową. Zupełnie nie chciało mi się jeść.

– No dobra... więc może *pain au chocolat*? Wszystkie dziewczyny uwielbiają czekoladę.

Bez zapału wzruszyłam ramionami.

– No! Najedz się porządnego wegańskiego jedzenia, skoro masz okazję. Może mufinkę z jagodami albo tosta?

Wykrzywiłam usta, ale leciutko skinęłam głową. Musiał zauważyć, że zerknęłam na słoik marmite'u[3], bo natychmiast po niego sięgnął. Następnie rzucił okiem na skład i mamrocząc coś chyba na temat wyższości australijskiego vegemite'u[4], o wiele zbyt hojnie jak na mój gust wysmarował kromkę chleba. Podsunął mi ją pod usta, a ja zaskoczona, nie namyślając się, zatopiłam zęby w toście. Policzki księcia lekko się zaróżowiły, podkreślając rdzawą barwę jego blizn.

– Naprawdę pasuje ci... ten rumieniec – powiedział, po czym zaczął nieśmiało kierować dłoń w stronę mojego policzka. Jego ręka zatrzymała się jednak w pół drogi. Wykrzywił się, odwrócił raptownie i wybiegł, nim zdążyłam podziękować mu za tost.

Gdy wyszłam za róg budynku, brama garażowa była już otwarta na oścież. Jedyne zmiany w moim wyglądzie stanowiły szkolny sweter w serek i torba na ramieniu. Weekendową walizkę posłałam zakłębieniem do domu. Księżę dla odmiany prezentował się teraz zupełnie inaczej. Domowy dres zamienił na ciemnoczerwone jeansy, których barwa była taka sama jak jego blizn. Na nogach miał wysokie buty w wojskowym stylu, a na górę – jak zawsze – włożył prostą koszulkę w serek, tym razem w kolorze złamanej bieli. Wszedł przede mną drzwiami frontowymi, a ja, dopiero gdy doszedł

na asfaltowy podjazd garażu, zorientowałam się, że cały czas się na niego gapię. Na szczęście był zajęty otaczającą go grupą kobiet i mężczyzn w obcisłych uniformach. Wszyscy uzbrojeni byli w noże i *pistolety*. Nagle sztylet, który wsunęłam do pochwy przy pasku, wydał mi się mizernym zabezpieczeniem. Na księciu całe to uzbrojenie nie robiło wrażenia. Zbliżywszy się do członków obstawy, uściskał po męsku najpierw jednego z gwardzistów, a później gwardzistkę. To nie było przytulanie, tylko solidne stuknięcie się klatkami piersiowymi i energiczne poklepanie po plecach.

Od razu widać było, że dowodzi Edmund. Gdy zerknął na zegarek, mężczyźni, których widziałam przy śniadaniu, rozeszli się i zajęli miejsca w dwóch efektownie wyglądających czterodrzwiowych samochodach sportowych. Oba auta miały w pełni przyciemnione szyby i nie różniły się między sobą niczym oprócz tablic rejestracyjnych. Edmund wszedł do drugiego z samochodów, by towarzyszyć gwardziście, który został bez partnera.

Księżę Alfie i lady Elizabeth udający się „w odosobnione miejsce” w okolicach Dartmouth zaoferowali, że podwiozą nas do szkoły. Oboje siedzieli już w należącej do Alfiego niby-terenówce, pseudodżipie bez dachu o obniżonym zawieszeniu. Mimo podniesionych szyb i zamkniętych drzwi usłyszałam, jak Elizabeth nazywa samochód swojego chłopaka „terenówką dla fryzjerek”. Alfie nie dawał jednak za wygraną i stanowczo bronił „Jemimy”.

Gdy zajęliśmy miejsca z tyłu, nie uruchomił od razu silnika. Obserwował auta gwardzistów po obu stronach i stanowiącą zapewne wsparcie grupę, która wciąż stała na podjeździe.

Wypuścił powietrze i zazgrzytał zębami.

– No, widzę, że wydział bezpieczeństwa naprawdę nas kocha – powiedział, wzdychając z uznaniem.

Fallon zapiął pas i oparł czoło o zagłówek fotela zajmowanego przez kuzyna.

– Naprawdę ostro przesadzili. Największe zagrożenie, jakie nas czeka w Kable, to dziewczyny, które zaraz się rzucą na Edmunda.

Zmusiłam się do tego, by uśmiechnąć się jak pozostali, ale w głębi duszy nie zgadzałam się z księciem. W życiu nie przyznałabym tego na głos, ale cieszyłam się, że gwardziści są z nami. Mroczne istoty mieszkające w południowo-zachodniej Anglii dało się policzyć na palcach obydwu rąk. Pojawienie się Extermino w okolicy mogło uzasadniać tylko jedno: w jakiś sposób wykryli obecność księcia.

Ryk silników w zamkniętej przestrzeni garażu był ogłuszający. Ucieszyłam się, kiedy ruszyliśmy za samochodem Edmunda, który poprzedzało jeszcze jedno auto gwardzistów. Gdy obróciłam się w fotelu, by ponad dachem drugiego samochodu po raz ostatni spojrzeć na zabudowania Burrator (tak nazywała się posiadłość), spostrzegłam, że grupa wsparcia znikła. Nie zaskoczyło mnie to.

Oglądałam teraz wszystko w sposób dokładnie odwrotny niż w dniu przyjazdu. W miarę jak zagłębialiśmy się w zielony korytarz, biały dwór za naszymi plecami malał stopniowo, by wreszcie zupełnie zniknąć. Gdy to się stało, poczułam nagle tęsknotę. Tęsknotę porównywalną tylko z tą, jaka towarzyszyła mi, gdy żegnałam majestatyczne iglice St. Saphire i jechałam do rodziców. Zostawiałam za sobą miejsce szczęśliwe. Miejsce pełne magii i energii, którą mój pogrążony dotąd w letargu umysł gorliwie spijał. Było to jednak uczucie słodko-gorzkie: spokoju nie dawała mi myśl, że być może myślę ceglane mury z ciepłem i uczuciem tych, którzy je zamieszkują. Poczucie, że lgnę ku nim, jawiło mi się jako zdrada pamięci o nieżyjącej babci. Oni przecież *wiedzieli*. Czułam się zagubiona, gdyż darzyłam sympatią osoby, które świadomie utrzymywały mnie w niewiedzy.

Księżę mnie obserwował. Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, uniósł lekko kąciki ust.

– Zawsze jest następny weekend.

Uśmiechnęłam się słabo. Nie było mowy o tym, żebym straciła kolejne zmiany w kawiarni. Nie śmiałam jednak powiedzieć tego przy pozostałych dwojgu, a nie byłam gotowa na to, żeby znów dopuścić Fallona do swoich myśli. On jednak krążył wokół moich osłon i chyba zrozumiał, bo uśmiech na jego twarzy znikł. Odwrócił wzrok i markotnie wyglądał przez okno.

Jakkolwiek było, ten bajkowy dwór trwale zapisał się w mojej pamięci. Chciałam zachować go w niej jako miejsce, gdzie odkryłam odziedziczony po babci dar: zdolność widzenia przyszłości. Czy mi się podobał, czy nie, stanowił element jej cienia. Ani malownicza łąka, ani przystojny książę nie mogli mnie go pozbawić.

Mimo że z Dartmouth było do szkoły bliżej niż z Brixham, podróż do Kable zdawała się trwać dłużej niż ta do posiadłości. Być może powodem, dla którego tak mi się dłużyła, była obawa przed tym, jak zostanie odebrane nasze pojawienie się w szkole. Kabriolet, czworo Mędrców, efektowny ochroniarz, no i jeszcze pozostali Athanowie, którzy mieli przecież regularnie się obok nas pojawiać. Trudno było to wszystko uznać za nierzucające się w oczy. No ale przynajmniej musiało budzić respekt.

Kiedy uciekliśmy mżawce nad wrzosowiskami, z zaskoczeniem zobaczyłam składający się dach. O tak wczesnej porze drogi były puste, mimo to byłam przekonana, że Edmund lub inny gwardzista zaraz każe Alfiemu z powrotem go zamknąć. Dach pozostał jednak otwarty, a ja zaraz przekonałam się, dlaczego lady Elizabeth przewiązała włosy apaszką.

Gdy minęliśmy rondo, gdzie zaczynała się górna część miasta, próbowałam przyglądać nieco włosy. Nic to jednak nie dało. Denerwowałam się swoim wyglądem. Nigdy nie pokazałam się w szkole z naturalnymi lokami, nie licząc pierwszego dnia, kiedy pospiesznie spięłam włosy w kucyk. Podobnie z makijażem: bez niego czułam się naga.

Było widać, że Edmund dobrze wie, dokąd jedziemy, bo skręcił w Milton Lane. Książę Alfie pojechał za nim. Widziałam, że zerknął w lewo, na Townstal. Wszystkie trzy samochody wyhamowały wyraźnie na progach zwalniających. Fallon, gdy zauważył uczniów gapiących się na nas z chodnika, wyglądał na gotowego, by zsunąć się z siedzenia i przemienić w płamę na dywaniku. Na widok budynku szkoły poczułam bolesny skurcz tuż poniżej talii. Z dwóch stojących na przystanku autobusów wysypywali się właśnie uczniowie. Trzeci zawracał, by ruszyć w kolejny kurs. Zjeżdżały się samochody i mikrobusy, na chodnikach roiło się od granatowych mundurków. W gorszym momencie nie mogliśmy się pojawić.

Drugi samochód z gwardzistami nie wjechał za nami na szkolny parking. Zrozumiałam, że będzie czekać poza terenem na powrót księcia Alfiego i Elizabeth. Edmund zaparkował właśnie tyłem na jednym z ostatnich wolnych miejsc, a Alfie podwiózł nas naprzeciw głównego wejścia.

Fallon odwrócił się do mnie, a ja natychmiast zauważyłam radykalną zmianę w jego wyglądzie. Nie trochę nie było już po nim znać zawstydzenia. Przybrał swój wystudiowany, zawadiacki uśmiech, któremu nie towarzyszył jednak jakikolwiek autentyczny błysk w oku. Zaczęłam czuć wyrzuty sumienia, że rano go nie poparłam. Było jasne, że cała ta sytuacja jest mu bardzo nie na rękę.

Odniosłam wrażenie, że dosłownie pół szkoły ławą idzie przez parking w naszym kierunku. Książę nie otworzył drzwi, tylko przeskoczył zwinnie przez niską burtę samochodu. Natychmiast przeszedł na moją stronę, by tu jednak również nie sięgnąć do klamki, a zamiast tego podać mi rękę. Z jego pomocą zeskoczyłam na ziemię. Wysiadając, wolną ręką przytrzymałam brzeg spódniczki, żeby nie zawinął się ku górze. Sięgnęłam po torbę, ale nim zdążyłam odejść choćby na krok, powstrzymała



mnie lady Elizabeth.

– Fantastycznie było cię poznać. We wtorek wracam do domu, ale przyjadę tu za kilka tygodni. Wpadnij znów do Burrator, dobrze? Potrzebne mi kobiece towarzystwo. I mów mi, proszę, Lisbeth. Wolę moje imię w naszym języku. – Mrugnęła do mnie, a ja lekko się uśmiechnęłam, nieśmiało wodząc wzrokiem po ziemi. – Jeszcze jedno, Róża: pięknie wyglądasz. Zapamiętaj.

Zastanowiło mnie, czy miała okazję zauważyć, jaką panikę wywołuje we mnie mój wygląd, ale nie było już czasu spytać. Książę pociągnął mnie lekko za ramię. Uczniowie jak mrówki z mrowiska nitkami rozchodzili się od ronda w kierunku wejść do budynków. Edmund zdjął rękawiczki do jazdy, włożył ozdobioną atheneańskim herbem marynarkę i wraz z kolegą ruszył w naszą stronę. Obaj nie zwracali najmniejszej uwagi na mogącą ich zaraz otoczyć tłuszcę, ale ja wiedziałam swoje.

– No dobra, dzieciaki, bawcie się dobrze w szkole! – zawołał książę Alfie, przekrzykując warkot silnika. Użył przy tym tonu zarezerwowanego do przekomarzania się z kuzynem.

– Wszyscy patrzą – wymamrotałam słabiutko, gdy samochód ruszył.

– Tak już będzie. Zachowuj się tak, jakby nie działo się nic ciekawego – powiedział książę, opierając dłoń u dołu moich pleców i prowadząc mnie w stronę głównego wejścia. Gapili się nawet pedagodzy, którzy w grupie wyłonili się z pokoju nauczycielskiego. Widziałam pośród nich uśmiechającego się sztucznie pana Sylaeię.

– Oni tego nie kupią. Przecież właśnie wysiadłam z tobą z samochodu – szepcząc, musiałam przybliżyć się do niego jeszcze bardziej, by mieć pewność, że usłyszy mnie mimo plotkarskich szmerów i gwizdów.

– Nasi faceci w czerni też nie pomagają sprawie – podjął książę, przez ramię rzucając okiem za siebie.

Z holu wejściowego przeszliśmy do zadaszanej galerii otaczającej patio. Zrobiłam krok w lewo; on, by ominąć filar, musiał pójść w prawo. Na moment straciliśmy kontakt. Nie położył z powrotem ręki na moich plecach.

Patio pełne było uczniów, którzy pojawili się w szkole przed czasem i chcieli przed zajęciami spokojnie posiedzieć na ławkach. Na nasz widok wszyscy jednak poderwali się z miejsc i wbili wzrok w towarzyszących nam gwardzistów.

– Wiesz co, widziałam kiedyś film, w którym wszyscy gapili się na...

– Pewnie, czytałem te radosne książeczki o wampirach – przerwał mi.

Skłęłam się, że nie pilnuję osłon. On doskonale wiedział, jaki film mam na myśli.

– Naprawdę to czytałeś...

– Jasne – znów nie dał mi dokończyć, ale mówił teraz ciszej. Ponownie jego dłoń spoczęła na moich plecach. Prowadził mnie w stronę sal humanistycznych. Słyszałam, jak poranna ludzka fala wdziera się do wewnątrz.

– Miałem nadzieję, że znajdę tam coś, żeby dowalić Kasparowi Varnowi.

– Udało się.

– Coś tam znalazłem. Szkoda, że Varnowie nie są równie dobrze wychowani jak wampiry z tych książek – powiedział, rzucając torbę na miejsce w klasie pana Sylaei. – Życie byłoby wtedy cudowne.

Nie usiadł jak zwykle naprzeciwko mnie. Tym razem przeszedł na drugą stronę ławki i zajął

krzesło obok – to, na którym z reguły siadywała Tammy. Sama nie wiem dlaczego, ale dzięki temu poczułam się pewniej. Całe szczęście, bo zaraz w sali pojawić się miała reszta grupy.

Tuż po tym, jak Edmund i jego kolega zajęli miejsca w ławce pod ścianą, do sali z torbą na laptopa na ramieniu wszedł, szczerząc się szeroko, pan Sylaeia.

– Dzień dobry, czyżby Extermino? – rzucił pogodnie w stronę Athanów takim tonem, jakby zaczynał pogawędkę o pogodzie. Nie wyglądał na zaskoczonego ani zbitego z tropu ich obecnością, chociaż z pewnością od momentu, gdy tylko pojawił się na terenie szkoły, jego umysł był nieustannie nękanym. Edmund zmarszczył brwi, ale nim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, ubiegł go książę:

– Skąd pan wie?

– Od matki, czołowej londyńskiej plotkary. Usłyszała jakieś pogłoski i zadzwoniła do mnie w środku nocy. Błagała mnie, żebym „dla własnego bezpieczeństwa” przyjechał do Londynu. – Cytując matkę, palcami nakreślił w powietrzu cudzysłów. – W praktyce oznaczałoby to przegonienie przede mną defilady kobiet, żebym wybrał sobie żonę, zanim moja krew pół-Mędrca sprawi, że zaczęę wyglądać na starczy wiek trzydziestu lat, gdy tymczasem lat mam zaledwie trzydzieści sześć. Groza! – Przewrócił oczami. W tym samym momencie, w którym skończył mówić, znalazł też w torbie coś, czego szukał przez całą tę swoją tyradę. Podszedł do nas, niosąc kilka zapisanych pochyłym pismem kartek papieru. Były to dwie prace, jedna napisana granatowym atramentem, druga – czarnym, w tej rozpoznałam swoje wypracowanie. Nauczyciel pozwolił kartkom opaść na blat.

– Lepiej. Oboje znacznie lepiej. Może powinienem częściej kazać wam dwojgu zostawać po lekcjach. – Udawałam, że starannie wczytuję się w komentarze na marginesach, ale czułam, że momentalnie zrobiłam się czerwona jak burak.

Wróciwszy do swojego biurka, pan Sylaeia wyciągnął z teczki krawat i zaczął wiązać go na szyi. Nie zaciągnął węzła mocno, wołał zostawić duży luz. Swoim wyglądem kontrastował niesłychanie z dwoma innymi dorosłymi Mędrcami znajdującymi się w klasie. Ci mieli na sobie świeże, wykrochmalone koszule, połyskujące guziki i spinki w mankietach. Nie było w nich ani trochę luzu.

– Ach, przy okazji: nie pijcie herbaty w pokoju nauczycielskim. Dolewają do niej mleko krowie, a nie sojowe – doradził Athanom, gdy do klasy zaczęli wchodzić pierwsi uczniowie. Zobaczywszy ich, przestał się uśmiechać i zaczął zachowywać się tak, jakby gwardzistów w ogóle nie było w pomieszczeniu. Byłam mu za to bardzo wdzięczna.

Na usta wszystkich wchodzących do klasy wyraźnie cisnęły się te same dwa pytania. Nikt jednak nie odważył się zwerbalizować swojej ciekawości aż do momentu, gdy do sali wpadła Gwen i niemal natychmiast wskazała palcem dwie nowe twarze w klasie pana Sylaei.

– Kim oni są? – spytała tonem domagającym się natychmiastowej odpowiedzi.

– Szlajają się za mną – mruknął obojętnym tonem książę, po czym ukrył się za kartkami wypracowania.

– Ja wiem, kim są – z dumą ogłosiła Christy, dostawiając do ławki czwarte krzesło sekundę przed tym, jak Tammy i Tee podjechały z piątym i szóstym. Reszta klasy słuchała z uwagą. – To królewscy ochroniarze. Są z wami na *wszystkich* zdjęciach. – Wyciągnęła najświeższy numer „Quaintrelle” i wskazała na fotografię na jednej ze stron. Widniał na niej starszy brat księcia, następca tronu relaksujący się na rufie jachtu. Otaczały go dziewczyny w bikini, ale on pochłonięty był czytaniem książki. No i, jak nietrudno zgadnąć, obok pańienek w kostiumach widać było kilku Athanów.

Książę przechylił się na moment w moją stronę, ocenił zdjęcie, po czym przewróciwszy oczami,

wrócił do czytania komentarzy na wypracowaniu. Christy zarzuciła tryumfalnie kucykiem i zaczęła czytać tekst pod zdjęciem.

Gwen dla odmiany napotkała moje spojrzenie i wskazała na Edmunda i jego kręcone, odgarnięte z czoła włosy. Następnie przysłoniła z boku usta, by nie było widać ruchu jej warg i – nie tak znów cicho – wyszeptała w moją stronę:

– *Ale ma ciało!*

Pochyliłam się w przód, splatając palce dłoni, a łokcie opierając na blacie.

– Tak, i na dodatek z pięćset lat.

Drugi z Athanów prawie parsknął śmiechem, by zaraz opanować się i udać, że tylko odchrząkuje. Gwen jak ryba parokrotnie otworzyła i zamknęła usta. W końcu zamilkła ze skwaszoną miną, a biedny Edmund, nie zdradzając jakichkolwiek emocji, wciąż patrzył wprost przed siebie.

– Wisisz mi pięćdziesiąt dolarów, Richard – rzucił książę pozornie znudzonym tonem w stronę drugiego z gwardzistów. Gdy lekko odchyliłam głowę, zauważyłam jednak, że uśmiecha się pod osłoną kartek.

*Naprawdę się z nim założył, że któraś poleci na Edmunda?* Na myśl o tym musiałam się uśmiechnąć.

Zrobiłam to chyba zbyt szeroko, bo uniósłszy wzrok, zobaczyłam, że Christy, Gwen i Tammy przypatrują mi się szeroko otwartymi oczami. Gwen znów wysunęła palec wskazujący, ale tym razem wycelowała go w przestrzeń pomiędzy mną a księciem.

– Czyli... – wyszeptała prawie bezgłośnie – wy coś tego? – Uniosła brwi i raz jeszcze machnęła w powietrzu kucykiem.

Zmarszczyłam tylko brwi i pokręciłam głową.

Tammy udała, że czuje się urażona, by jednak za chwilę ponowić próbę.

– Dlaczego oni tu są? – spytała bezgłośnie, wskazując Edmunda i Richarda. Raz jeszcze pokręciłam tylko głową. Nie zamierzałam odpowiadać na to pytanie. Mogłabym tylko wywołać panikę.

Gwen, bardzo przejęta nowymi okolicznościami i ich ewentualnymi rozrywkowymi następstwami, zaczęła wykonywać dość niewybredne gesty. Takie same jak pierwszego dnia szkoły pod adresem Tammy. Christy, kierowana wrażliwością albo może współczuciem, zwinęła czasopismo w rulon i pacnęła Gwen po łapach. Niezadowolona Gwen wyszarpnęła je i odrzuciła w stronę Christy. Czasopismo wylądowało na blacie.

Nim zdążyłam dostrzec, co jest na zdjęciu, przechwycił je książę. Rozprostował strony przed naszymi oczami, a mnie niemal zaparło dech w piersiach na widok nagłówka. Artykuł był o Violet Lee i wampirycznych obchodach równonocy jesiennej.

Gdy książę przelatywał szybko wzrokiem po lewej stronie, ja przyjrzałam się prawej. Wiedziałam doskonale, jakiej informacji szuka. Sama niemal na bezdechu pędem przeczytałam trzy kolumny tekstu. Mnóstwo miejsca poświęcono strojom, temu, kto z kim tańczył, i wrażeń „prawdziwych gości”, jakie wywarła na nich osobowość Violet. Słowem jednak nie wspomniano o rodzie Szkarłatnych i tym, co spotkało dziewczynę. Jak widać, zakaz publikacji wydany przez Varnów sprawdzał się równie dobrze jak ten wydany przez Ateneów.

– Yyy, po co to czytasz? – spytała siedząca w następnej ławce Valerie Danvers, marszcząc nos. Patrzyła wprost na księcia. Moją obecność od czasu „drobnego incydentu” pomiędzy nami

postanowiła ignorować. – Jesteś Mędrce. Violet Lee jest człowiekiem, a tacy jak wy mają ludzi gdzieś. Dajcie im ginąć, tak jak ona wtedy. – Pokazała na mnie palcem z drwiącym wyrazem twarzy. *A więc jednak istnieję. Radość była przedwczesna.*

Poczułam gułę w gardle. Wszyscy odwrócili się w naszą stronę, a księżę powoli odsunął po blacie czasopismo.

– Przepraszam, Valerie. Nie byłem świadom, że jesteś takim wzorem troski i współczucia – powiedział Fallon na tyle głośno, by usłyszała go cała klasa. Wybuchła salwa okrutnego śmiechu. Pan Sylaeia, który zdążył już uchylić drzwi, by wyprosić Valerie z sali, zamknął je z powrotem.

– Dobra, wszystko jedno – warknęła, po czym sięgnęła po podręcznik i przysłoniła nim twarz. Zerknęłam na księcia, który w dalszym ciągu patrzył na nią przenikliwie.

Gdy pan Sylaeia odwrócił się do tablicy, Fallon nachylił się w stronę Valerie.

– Obraż ją jeszcze raz, a zapomnę o tym, że nie mam ludzi „gdzieś”.

Valerie miała taką minę, jakby chciała splunąć mu w twarz, ale rozzłoszczona schowała się tylko za książką.

Gdy ponownie zapanował porządek, Christy znów sięgnęła po „Quaintrelle”. Była wyraźnie w nastroju, by pomówić o międzywymiarowej polityce. Jakoś tak się złożyło, że wiele dziewczyn odkryło ostatnio w sobie zainteresowanie tym tematem. Po chwili rozmowy w nieuchronny sposób znów zeszły na Violet Lee.

– Nie wiem, skąd te żale o nią – zaczęła Christy, szkicując palcem wyimaginowaną sukienkę Violet. – Jasne, że ktoś, kto w ogóle nie wiedział o mrocznych istotach, musiał przeżyć potężny szok, gdy zobaczył, jak zabijają trzydziestu ludzi. No ale reszta jakoś przeszła nad tym do porządku dziennego. Przecież to byli łowcy. Co oni kogo obchodzą? Jak dla mnie to trochę egoistyczne pozować na damę w tarapatach. Niech ona już po prostu przejdzie na ich stronę.

Odwróciłam wzrok. Jeszcze wczoraj w dużej mierze zgodziłabym się z Christy. Temat faktycznie ciągnął się bez końca i nużył już ludzi. Straszne było to, że z dwojga złego lepiej, żeby ludzie obojętnie odnosili się do zakładniczki Varnów, niż gdyby mieli szerokim frontem stanąć w jej obronie. Tego absolutnie nie potrzebowaliśmy.

Ale teraz... teraz, gdy poprzez sny współodczuwałam wstyd Violet, nie potrafiłam po prostu zdobyć się na odpowiedź. Nie trzeba jej było niczyjego „żalu”. Sama stała się uosobieniem żalości.

Poczułam poniżej krawędzi blatu lekkie dotknięcie w łokieć. Nie musiałam nawet patrzeć, by wiedzieć kto to. Pozwoliłam mu oprzeć dłoń i trzymać ją tam do końca lekcji. Kiedy zadzwonił dzwonek, poczułam ten sam rodzaj zawodu, jakiego doświadczyłam, wyjeżdżając z Burrator.

Księżę pakował rzeczy, a ja z pewnym zaskoczeniem odnotowałam, że to nie Edmund, ale Richard zbiera się, by wyjść za nim. Fallon nie próbował jednak tego kwestionować, więc uznałam, że tym bardziej nie powinnam robić tego ja. Zwłaszcza przy innych.

Gdy rozpakowywałam się przed rozszerzonym angielskim (byłam w porównaniu z innymi o tyle do przodu, że w praktyce oznaczało to wyjęcie książki o mizoginii od pana Sylaei), księżę stanął za moimi plecami i położył mi dłoń na ramieniu. Uśmiechnął się szelmowsko, jeszcze szerzej niż zazwyczaj. Na jego policzkach pojawiły się dołeczki. Powiedział coś cicho w języku Mędrców, mrugnął do mnie, po czym wyszedł pomału z sali. Christy obróciła się na krześle, patrząc, jak odchodzi. Wypuściła powietrze przez ściśnięte usta, dobywając z siebie coś w rodzaju gwizdu uznania. Ja też patrzyłam, jak księżę się oddala, i pewnie gapiłabym się nawet w pusty korytarz za

nim, ale nagle tuż przed moimi oczami pojawiła się twarz. Na zwolnionym przez Fallona miejscu wylądowała torba. Stałam, nie mając odwagi spojrzeć koleżance w oczy.

– Spałaś z nim, tak? – warknęła Gwen, unosząc się na opartym o blat kolanie.

Pospiesznie odsunęłam się z krzesłem do tyłu.

– Że co? Nie!

Uderzyła otwartą dłonią o ławkę. Gdyby nie to, że kurczowo zaciskałam dłonie na krawędziach krzesła, z jej lśniących długich włosów zostałaby zaraz popiół. Czułam, że pomiędzy moimi palcami przeskakują iskry.

– Kurde! A miałam nadzieję, że mi powiesz, czy ma dużego. – Opadła na swoje krzesło i skrzyżowała ręce na piersiach. – Jak już będziesz wiedzieć, to powiedz. Jest większa szansa, że obciągniesz mu ty niż któraś z nas.

– Przestań, Gwen. Ona nie jest taka głupia, żeby to zrobić – powiedziała Tammy, przychodząc mi na ratunek. Podziękowałam jej nieśmiałym uśmiechem.

– No kurde, Róża, nie męcz nas! – naciskała jednak Christy. – Jak to się nagle stało, że przyjechałaś z Fallonem jednym samochodem? W dodatku ten, który was przywiózł, jakoś dziwnie przypominał mi księcia Alfreda – dodała z emfazą.

Spojrzałam w stronę Edmunda, szukając u niego pozwolenia. Jego twarz nie była już pozbawiona wyrazu, widziałam, że z całych sił stara się nie uśmiechnąć. Naprawdę nie wiedziałam, jak on panuje nad sobą, słuchając podobnych rozmów. Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, Edmund lekko skinął głową.

– Księżę Fallon mieszka u księcia i księżnej Victorii, którzy mają tutaj posiadłość. Należę do najwyższej arystokracji w kraju, więc miałam obowiązek ich powitać. Zaprosili mnie do siebie na weekend.

Gwen krzyknęła i aż podskoczyła na krześle. Potem zaklęła, sprawiając, że teraz patrzyli się już na nią wszyscy. Pan Sylaeia nie próbował przywoływać uczniów do porządku. Myślę, że chciał przypomnieć mi w ten sposób, co mówił, i pokazać, że miał rację.

– I pojechałaś do niego? Na *cały* weekend?

– Tak.

– Miałaś go tylko dla siebie... Rany, ale ci zazdrośczone! – Westchnęła, opadając na oparcie. – On jest taki przystojny, do tego bogaty i...

– Jest najślawniejszym facetem na ziemi.

– Jest inteligentny!

– Aż nie wierzę, że codziennie z nim gadamy!

– To dżentelmen.

– Kiedy mieszkał w Australii, to surfował!

– Jest znany i bogaty...

– W zeszłym roku był z tą laseczką, Amandą...

– Założę się, że ma co najmniej dwudziestocentymetrowego.

– Skoro wymieniliście już wszystkie przymioty Jego Wysokości, dajmy teraz księżnej nacieszyć

się jej imponującą godnością – przerwał im Edmund twardym tonem. Paru osobom zaparło dech w piersiach, kilkoro uczniów skuliło się w ławkach, Gwen i Christy musiały przygryźć wargi, żeby się nie roześmiać, a Tammy pobladła. Nawet pan Sylaeia uniósł brew, gdy zerknęła w jego stronę. Jego spokój pozostał jednak niezmacony. Sięgnął po długopis i zakołysał się na piętach – jak zawsze w obliczu czegoś bardzo nudnego.

– Dobrze powiedziane – pochwalił Edmunda. – Jeśli znudzi ci się kiedyś dokopywanie nieprzyjaciołom Atheneów, pomyśl o karierze nauczyciela.

Cała klasa się roześmiała. Nawet Edmund uśmiechnął się lekko.

Gdy umilkły ostanie chichoty, na dobre zaczęła się lekcja. Otworzyłam książkę i wróciłam do lektury ostatniego rozdziału. Liczyłam na to, że już dziś własność pana Sylaei wróci do niego, więc szybko przesuwiałam wzrokiem po tekście. Z rzadka notowałam coś, co miało szansę przydać mi się na kursie maturalnym. Przeczytawszy dwie strony, poczułam dotyk na ramieniu.

To była Tammy.

– Co on do ciebie powiedział po waszemu, zanim wyszedł z klasy? – spytała szeptem.

– Oj, nic. – Westchnęłam, pochylając się nad tekstem, by ukryć uśmiech. – Powiedział tylko: „syrop klonowy”.

Nim zdążyła zademonstrować swoje niedowierzanie, rozległ się alarm przeciwpożarowy. Ponad jego ciągłym, wysokim wyciem dało się słyszeć okrzyki radości kilkorga uczniów. Pan Sylaeia zmarszczył brwi i szybko otworzył swój podręczny kalendarz. Z poważnym wyrazem twarzy zaczął zaraz głośno wydawać klasie polecenia. Ja nie musiałam ich słuchać, miałam obok siebie Edmunda, który natychmiast wyprężył się i szybko pomógł mi wstać. Wyciągnęłam rękę po rzeczy, ale kazał mi zostawić je na ławce. Wystarczyło jedno spojrzenie na jego twarz i zaraz usłuchałam.

To na pewno nie były ćwiczenia.

MUZA S.A. 8825\_8499

## *Jesienna Róża*

– Edmund! Dokąd ty idziesz?! – Wbiłam obcasy w ziemię i próbowałam go zatrzymać. Na próżno. Trzymał mnie mocno, a ja niemal potykałam się o własne nogi. – Edmund, ja muszę iść na zbiórkę!

Jedyne, co słyszałam, to wyjący wciąż alarm. Patio było przerażająco puste. Reszta uczniów wyległa z budynku na korty tenisowe. To tam znajdował się punkt zbiórki w sytuacjach zagrożenia.

– Nie musisz. Mam złe przeczucie, idziemy stąd.

Moje zdanie na ten temat było inne. Zaparłam się nogą o jedną z ław piknikowych i zdołałam uwolnić się z jego chwytu. Mało zresztą przy tym nie wylądowałam na ziemi. Złapał mnie w ostatniej chwili, ale ja po chwili znów puściłam jego rękę.

– Jeśli nie pokażę się na zbiórce, zaczną mnie szukać. Komuś może stać się krzywda!

Spojrzał na mnie gniewnie.

– Jesteś księżną i masz mnóstwo wdzięku, ale to cię nie czyni świętą. Nie módl się tyle, a więcej się ruszaj!

Rzeczywiście ruszyłam, ale w kierunku przeciwnym niż on. Szybkim krokiem zaczęłam kierować się w stronę kortów.

– Lady, nie możesz tam iść!

Uniosłam dłoń i pomachałam mu na pożegnanie.

– Owszem, mogę! Nie należę do rodu Athenea.

Wspinałam się wydeptanym przez uczniów skrótem do kortów, gdy usłyszałam za sobą kroki.

– Mówili mi, że z wiekiem złagodniałaś, a ja prawie w to uwierzyłem. Ale jesteś dokładnie tak samo uparta jak wtedy, kiedy cię poznałem. Typowa Al-Summers.

Mówił do moich pleców. Szłam ścieżką ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, póki nie ułożyłam sobie w głowie odpowiedzi.

– Widzisz, ja nawet nie pamiętam, żebym cię kiedyś poznała. – To nie był do końca świadomy dobór słów. Nie chciałam, żeby zabrzmiało to aż tak obcesowo.

Nic nie odpowiedział. Po chwili wyszliśmy na ogrodzony z czterech stron plac. Wokół panował zupełny chaos: uczniowie próbowali niby znajdować swoje grupy, ale widząc, że Tammy, Tee, Gwen i Christy stoją razem, pomyślałam, że większość nie wkłada w to chyba nadmiernego wysiłku.

Księcia łatwo było wypatrzeć, ponieważ stał obok potężnie zbudowanego Richarda.

– Ściągnęłaś tu Edmunda, bo też chciałaś, żeby odhaczono, że jesteś?

Skinęłam głową.

– Co się dzieje?

– Wszyscy tutaj mówią, że ktoś po prostu stłukł kłosz alarmu. Nie wyczuwam nigdzie ognia, a to najbliższy mi żywioł. Czyli chyba mają rację. – Wzruszył ramionami, idąc na początek szeregu po tym, jak pan Sylaeia nakazał ustawić się w kolejności alfabetycznej. Stanęłam przed księciem. Edmund i Richard mimo zapewnień, że nic się nie pali, wciąż nie wyglądali na uspokojonych.

Pan Sylaeia przeszedł wzdłuż ustawionej w szereg grupy i na kartce odhaczył kolejno wszystkie

nazwiska. Listę wręczył następnie sekretarce krążącej pomiędzy wychowawcami. W głębi, obok rozmontowanych koszy przy boisku, dyrektor zmagął się z megafonem. W końcu urządzenie ze skrzekiem ożyło.

Przestałam słuchać, gdy tylko wyczułam, że kroi się pogadanka o tym, jak niebezpieczne i niedopuszczalne jest uruchamianie alarmów przeciwpożarowych. W ubiegłym roku ten numer powtarzał się tyle razy, że odechciało mi się liczyć. Było więc oczywiste, że dyrektorskie kazania na nikim nie robiły specjalnego wrażenia. Wyglądało na to, że wszyscy wokół mają podobne odczucia jak ja. Po placu przeszedł pełen znudzenia szmer. Po chwili głos dyrektora został niemal zagłuszony rozmowami uczniów o tym, kto tym razem mógł być sprawcą.

Zaczynała wzmagać się bryza. Wiatr wysunął mi włosy zza uszu. Szkwwały nie przychodziły jednak od strony rzeki ani morza. Wiatr przemierzał lekko opadające ku wodzie pola i jakimś sposobem uderzał w drzewa rosnące na wałach ziemnych dookoła nas.

Rozkrzyżowałam ręce i rozejrzałam się.

– Jeśli nie ma żadnego ognia, to co się tu dzieje? – wymamrotałam pod nosem.

Książę uniósł wzrok.

– Bóstwa ziemi... – wyszeptał.

Inni też zauważyli to co on. Na placu robiło się coraz ciszej.

Znad morza szło na nas coś przypominającego mgłę. Różnica polegała na tym, że ten potężny tuman niósł ze sobą resztki potrzaskanych drzew. Przesuwał się blisko ziemi, wciąż wilgotnej od rosy, sięgając w górę na nie więcej niż pięć metrów. Wraz z wiatrem, który popychał to coś ku nam, napływała magia. Chłodna, wilgotna magia.

Spojrzałam na księcia, a on na mnie. Edmund obrzucił gniewnym spojrzeniem nas oboje. Nim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, poczułam na ramionach silną rękę, która poprowadziła mnie w stronę wyjścia. Próbowałam się wyswobodzić, ale Edmund to przewidział i tym razem trzymał mnie znacznie mocniej. Książę grzecznie dreptał obok Richarda.

Rzuciłam się myślami ku jego osłonom, a on, nie wahając się, wpuścił mnie. Tym razem nie zastałam wewnątrz scenografii w formie wzgórz. Była tylko czarna przestrzeń wypełniona skrzynkami. Wyodrębniłam linię komunikacji pomiędzy nami i osłoniłam ją tak, by żaden z Athanów nie mógł nas podsłuchać, po czym wybuchłam:

– *Ty chyba robisz sobie jaja?! Masz zamiar tak po prostu stąd uciec i zostawić wszystkich bez żadnej ochrony?!*

– *A co możemy poradzić? Nadciąga magia, której nie wywołało żadne z nas. Tamci się zbliżają. Róża, tu nie jest bezpiecznie!*

– *Wasza Wysokość, zobowiązałam się bronić uczniów tej szkoły. A ty?*

Pochyliłam głowę i przyjrzałam mu się, wyglądając zza Edmunda. Popatrzył na mnie ze zrozumieniem i szeroko otworzył oczy. Dopiero po chwili uległ, zwieszając lekko głowę.

*No dobrze. Tylko nie zrób nic głupiego, proszę.*

Nie zamierzałam niczego mu obiecywać. *Na trzy.*

Gdy doliczyłam do dwóch, osunęłam się, jakby ugięły się pode mną nogi. Przykucnąwszy w ten sposób, wywinęłam się z uchwytu Edmunda. Ten schylił się natychmiast, próbując mnie złapać, ale ja zdążyłam już zniknąć. Chwycił tylko powietrze. Wielu uczniów krzychało. Zanurkowałam pomiędzy



nich, wiedząc, że to znacznie zmniejsza prawdopodobieństwo użycia zaklęć przez Athanów. Książę zrobił dokładnie to samo. Gdy dotarliśmy do ogrodzenia, chwycił za jego górną część, podciągnął się, po czym płynnie zeskoczył po drugiej stronie, poza teren placu. Ja wskoczyłam na szczyt, by następnie wylądować obok księcia. Furtki prowadzące na poszczególne boiska zaraz się zatrzasnęły – Edmund starał się zatrzymać nas wewnątrz.

Do tej pory chmura posuwała się z taką prędkością, jaką nadawał jej wiatr. Miałam nadzieję minąć ją z boku. Nie zamierzałam rzucać się w jej środek ani narażać na to księcia. Nie wiedziałam, ani czym ten obłok jest, ani jaka stoi za nim magia. Chociaż zamierzałam pozostać na zewnątrz, i tak najbardziej niepokoiło mnie, co też to coś może kryć. Stało się jednak inaczej, niż planowałam: ledwie postawiliśmy stopy na trawie, mgła ruszyła na nas gwałtownie. Nim zdążyłam krzyknąć czy spróbować zrobić krok w tył, pochłonęła mnie.

Poczułam skórę ocierającą się o moją rękę i usłyszałam, jak ktoś woła mnie po imieniu. To wszystko. W ułamku sekundy przestałam widzieć cokolwiek poza wszechobecną bielą i czuć cokolwiek poza wilgocią. Zrobiłam pół obrotu i spojrzałam za siebie. Nie mogłam być więcej niż jakieś pięć kroków od wejścia na boisko. Ruszyłam w jego stronę. Po dwudziestu krokach zdałam sobie sprawę, że idę w niewłaściwym kierunku. Skręciłam w lewo, potem w prawo. Spróbowałam też iść prosto naprzód. Byłam przekonana, że zmierzam wprost na budynek szkoły, wał ziemny albo coś innego, co jest masywne i łatwo rozpoznawalne. Nie trafiałam jednak na nic. Stało się nieuchronne: czułam, jak narasta we mnie panika. Próbowałam biec, ale udało mi się tylko zmącić mgłę otaczającą moje stopy; teraz nie byłam już nawet pewna, czy w dalszym ciągu stąпам po trawie. Kiedy ukucnęłam, by spróbować przyjrzeć się podłożu, poczułam zawrót głowy. Nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego moja dłoń nie może dotknąć ziemi.

Nie było w pobliżu mnie żadnej jaźni, również należącej do któregoś z bliskich mi ludzi. Wtedy zrodziła się w mojej głowie odległa myśl, że książę opuścił ten wymiar albo już nie żyje. Świadomość przecież tak po prostu nie znika, nie ulatnia się za pstryknięciem palców, tylko powoli rzednie.

– Wasza Wysokość? – wyszeptalam. Dźwięk mojego głosu ginął w pustce. – Edmund? – Okręciłam się wokół własnej osi, chwytając garściami wilgotne powietrze mieszające się teraz ze łzami płynącymi po mojej twarzy. – Fallon? – Wciąż żadnej odpowiedzi. – Fallon! – wrzasnęłam rozpaczliwie. Zamknęłam przy tym oczy, woląc już ciemność od białej pustki. – Fallon!

I wtedy padła odpowiedź. Nie w języku Mędrców jednak ani nawet nie po brzmiącym z kanadyjską angielsku. Była przytłumiona i brzmiała sztucznie. Zmroziła mi krew w żyłach.

– Jest tu. Znajdź ją.

W moich dłoniach zapłonął ogień. Otoczyłam się na chwilę tarczą, by jednak po sekundzie dać jej zniknąć. Pod wpływem wydzielanego przez nią ciepła powietrze wokół mnie zaczęło parować. Otepienie natychmiast ustąpiło: moje myśli wyostrzyły się, a bicie serca nieco spowolniło, bo oto pod moimi stopami i przede mną wyłoniła się trawa. Zagasiłam ogień, nie próbując też stawiać ponownie tarczy. Byłam zdumiona, jak durnie się przed momentem zachowałam. Rozpalenie tego typu energii było jak robienie z siebie żywego sygnalizatora. Prosiłam się wręcz, żeby mnie wykryto!

– A jak mamy to według ciebie zrobić? To twoje cholerne zaklęcie działa też na nas. – W głosie słychać było regionalny akcent z południowo-zachodniej Anglii. Starałam się określić kierunek, z którego dobiegał dźwięk, ale na próżno. Głos zdawał się dobywać zewsząd.

Nie padała żadna odpowiedź. Zastanawiałam się, czy oddalili się ode mnie. Tak czy siak, stałam jednak nieruchomo. Nie śmiałam drgnąć, by przypadkiem nie wywołać jakiegokolwiek hałasu. Mój

umysł, dla odmiany, pracował usilnie, starając się przeczesać obłok i znaleźć coś, cokolwiek, co znałabym z lekcji o zakłędach. Czułam, że wiem, czym jest ta chmura, nie umiałam po prostu tego nazwać. Tym samym nie potrafiłam się też przed tym czymś bronić. Mój umysł działał zbyt ospale.

– Giles!

– Abria?

– Giles, gdzie jesteś?

– Nie wiem! Jestem ranny. Tu są Athanowie!

Akcenty zlewały się teraz w jedno, choć miałam wrażenie, że słyszę nutę wschodnioeuropejską. Mniejsza z tym. Nie byłam w stanie myśleć. Powietrze, którym oddychałam, znów nasiąkało mgłą. Choć starałam się robić płytkie wdechy, czułam, że wariuje mi puls, a powieki stają się nieznośnie ciężkie.

– Fallon, gdzie jesteś?! – wykrzyczałam z płaczem, nie podjąwszy nawet decyzji, jakie słowa wypowiedzieć. Moje usta działały teraz niezależnie od mojego mózgu. To mgła przemówiła za mnie. Naprowadzała *ich* na miejsce, w którym byłam uziemiona.

– Róża, jesteś ranna?

– Fallon, to są Extermino! Zbliżają się do mnie!

– Róża, jesteś tam? Powiedz coś!

Nie słyszał mnie, chociaż ja cały czas słyszałam, jak woła mnie, Edmunda i Richarda. Nikt mu nie odpowiadał.

– Galdur, słyszę tę dziewczynę, musi być gdzie blisko. Galdur?

– Edmund! – Akcent brzmiał kanadyjsko. Otworzyłam w końcu oczy we mgle, wiedziona nadzieją, jaką niósł ten dźwięk.

– Alya, nie damy rady z tym walczyć. Rozumiesz mnie? Nie walcz z tym!

To był Edmund mówiący w języku Mędrców. Jego głos dał mi siłę, by raz jeszcze rozniecić na dłoni ogień, tym razem jednak maleńki, nie większy od płomyka zapalniczki. Wysunęłam go przed siebie na wysokości nosa. Pozwoliłam mu płonąć przez kilka sekund, wzięłam głęboki łyk czystego powietrza, po czym zgasiałam go.

– Edmund, nie słyszę cię! – powiedziała ta sama kobieta co przed chwilą. Zaraz po niej dał się słyszeć głos Richarda, który zachowywał spokój, tak jak jego kolega. Powtórzył wypowiedziane przez tamtego instrukcje. Wiadomość od Athanów najwyraźniej się rozchodziła, bo nim potrzebny był mi kolejny łyk powietrza, usłyszałam krzyki.

– Galdur nie żyje! – wrzasnął mężczyzna o swojskim, angielskim akcencie. – Sif, Tomas, chodźcie tu i pomóżcie mi! Abria, ty zostań z Gilesem!

Błyskawicznie rozpałam kolejny płomyk i zaczerpnęłam ponownie powietrza. Nie umiałam ocenić, z jakiej odległości dobiegają głosy, ale niepokoiło mnie, że mgła przede mną się porusza. Nie było to poparte zmysłami, żywiołem, magią czy świadomością, ale czułam, że ktoś jest blisko mnie. Bardzo blisko.

I tym razem nie śmiałam roztoczyć osłony. Choć mogłoby się to wydać absurdalne, za swoją pierwszą linię obrony uznałam mgłę. Extermino wcale nie było w niej łatwiej niż nam, to nie ulegało wątpliwości. Zamiast więc przywoływać tarczę, sięgnęłam dłonią do rękojeści sztyletu.

Pojawił się znikąd. Był bliżej, niż to możliwe. Zobaczyłam jego zdumiony wyraz twarzy w momencie, gdy nastąpił mi na nogę. Nie było czasu na myślenie nad jakimkolwiek planem, więc postawiłam na klątwę, która ochroni mnie najlepiej.

*Mortalitis Sev! Giń ochoczo!*

Ledwie wypowiedziałam pierwszą sylabę, a uwolniła się magia. Nim zdążyłam wymówić ostatnią, jego ciało zostało spustoszone. Opadł w moim kierunku, a ja skorzystałam z okazji, by przed odepchnięciem go zanurzyć ostrze w jego brzuchu i przekręcić je. Liczyłam na to, że sztylet zrobi swoje. Nigdy dotąd nie rzucałam śmiertelnej klątwy, więcej – nie byłam jej nawet uczona. Znałam to wszystko wyłącznie w teorii i nie mogłam być pewna, czy zadziała, a chciałam, żeby ten ktoś nie żył. Chciałam odebrać życie Extermino, by zemścić się za niewinne ludzkie życie odebrane przed kilkoma tygodniami w porcie.

Gdy leżał już na ziemi, zamknęłam mu powieki i poprosiłam los, by poniósł go po śmierci ścieżką, którą uzna za stosowne. Potem mu się przyjrzałam.

Po śmierci mojej babci jej kasztanowe blizny zajaśniały. Długo sądziłam, że może po prostu śpi: na podłodze salonu, w szklanej skrzyni podczas wystawienia i wreszcie w atheneańskiej katedrze. Ktokolwiek ją zabił, został wcześniej nauczony klątwy śmierci. Ten ktoś wykonał zadanie po mistrzowsku. Ja tymczasem klątwę właśnie spartaczyłam. Szare blizny Extermino przysychały, ponieważ z brzucha, z którego wyciągnęłam już ostrze, swobodnie ciekła krew.

Zbliżał się ktoś jeszcze, więc ponownie byłam w gotowości. *Tym razem wyjdzie mi lepiej. Będiesz ze mnie dumna, babciu.* Nie tak jednak miało się stać. Gdy zbliżająca się osoba stanęła naprzeciw mnie, wiedziałam, że jej nie zabiję.

Miał szare blizny. Był Mędrcelem Extermino, bez żadnych wątpliwości. Ale te potargane włosy, wyraźny dewoński akcent, który tyle już razy słyszałam, i dawne pytanie o to, co jest nie tak z pracą w kawiarni... Wszystko to było ludzkie, bardzo ludzkie.

– Nathan? – szepnęłam.

Nie podniósł wzroku ani w żaden sposób nie dał znać, że mnie rozpoznaje. A jednak również mnie nie zaatakował. Zamiast tego wsunął ręce pod szyję i kolana martwego mężczyzny i uniósł zwłoki. Widział przez cały czas mój sztylet, ale też nie wydawał się nim zaniepokojony.

Gdy wstał, nasze spojrzenia się spotkały. Cisza, ułamek chwili. Ja jednak wiedziałam, że właśnie mi odpowiada. Był to moment żałoby, ale nie miał on nic wspólnego ze zwłokami, które trzymał w rękach. Nie okazał ciała towarzysza jakiegokolwiek formy czci.

*Nathan to Extermino.*

Poczułam pracę na nas uderzenie surowej energii. Musiałam zrobić krok naprzód, bo czułam, jak przyciągana jest magia w mojej krwi. Granica między wymiarami stanęła otworem, Nathan niosący ciało towarzysza miał zaraz ją przekroczyć. Ulegając sile portalu, obaj zniknęli. W myślach podążyłam za Nathanem. Niemal natychmiast pojawi się w innym wymiarze, by zaraz powrócić do tego i trafić na Islandię, czy tam, gdzie Extermino zdecydowali się go umieścić. Skoki międzywymiarowe – dozwolone, ale przez bardzo wielu źle postrzegane. Cienkie woale energii pomiędzy światami równoległymi i tak narażone były już na duże naprężenia za sprawą ludzi, którzy będąc w jednym położeniu geograficznym, jednocześnie poruszali się między wymiarami. Nie należało dodatkowo wykorzystywać wymiarów, by ułatwić sobie podróżowanie.

Co do tego miałam całkowitą jasność. Natomiast to, co przed chwilą zobaczyłam, stanowiło

absolutne zaskoczenie. Myśl o tym, co właściwie to oznacza, zdawała się bez znaczenia. Powodowała to zapewne mgła. *Nie potrafię myśleć. I nie chcę.*

Tak jak przed momentem instynkt uprzedził mnie o zbliżaniu się dwóch mężczyzn, tak teraz dał mi znać, że jestem bezpieczna. Po chwili poczułam jednak szybko narastające gorąco. Dobrze wiedziałam, co robić. Rozpaliłam ogień na dłoniach i wypaliłam otaczającą mnie mgłę, tworząc poduszkę powietrza, która ochroniła mnie, gdy klątwę zaczęły rozrywać ognie. Pochłaniały ją, nie niszcząc niczego wokół.

Huk ognia przycichł, a płomień minął mnie z lewej strony. To Edmund pokierował nim dłonią z przeciwległego krańca pola. Mrugnęłam kilkakrotnie. Nie takiego widoku spodziewałam się po zniknięciu mgły. Edmund, którego głos brzmiał przed paroma momentami ostro i wyraźnie, stał przy samych kortach tenisowych, jakby w ogóle nie ruszył się z miejsca. Księżę z kolei, który wydawał się bardzo, bardzo daleko, znajdował się nie więcej niż pięć metrów ode mnie. Drugi z Athanów zniknął, a ja sama stałam na zakręcie nasypu, w połowie jego wysokości. Nogi odmówiły mi nagle posłuszeństwa. Poczułam zawrót głowy. Opadłam ciężko na ziemię i czekałam, aż ktoś mnie stąd zabierze. Na nic więcej nie miałam siły.

Wypełniwszy swoją powinność, Edmund natychmiast zbliżył się do nas. Mocą magii w jego rękach pojawił się zaraz szklany pojemnik z zabezpieczoną pokrywką, do którego schwycił niewypalone resztki mgły. Gdy wszystkie były już uwięzione, unicestwił je definitywnie, rozpalając płomień wewnątrz naczynia.

– Co to było? – spytał księżę, podchodząc do mnie na miękkich nogach i siadając obok. Wyglądał na równie wycieńczonego i dezorientowanego co ja.

– Uczyliście się oboje o zaklęciach blokujących, prawda? – spytał Edmund. Równocześnie pokiwaliśmy głowami. – To właśnie było takie zaklęcie rzucone w połączeniu z urokiem wodno-powietrznym. Szkolą nas, żeby takie rzeczy nie robiły na nas wrażenia, a jednak uporanie się z tym czymś zajęło nam chwilę. To była jakaś nowa rzecz i musimy dowiedzieć się o niej więcej.

Księżę oparł czoło na dłoniach, a ręce z kolei na ugiętych kolanach.

– Mamy poważne kłopoty, prawda?

Edmund zmrużył oczy, przyglądając się raczej mnie niż swojemu panu:

– Gdy tylko upewnię się, że niebezpieczeństwo minęło, pożałujesz, że się urodziłaś.

Wzruszyłam ramionami i zaczęłam pomału zsuwać się z wału.

– Strzeżenie życia młodych ludzi to jeden z głównych zapisów Traktatów Terra, więc chyba jednak nie pożałuję... *miarba!* – Chwyciłam się za zewnętrzną część uda, tuż nad kolanem, czując, jak coś nakłuwa moją skórę. Zabolało tak, jakby przebił ją ogromny cierń. Kiedy spojrzałam na ziemię, zobaczyłam, że wrażenie było niemal trafne: pośród kępek trawy leżał ostry kołek. Był wilgotny, miał może trzydzieści centymetrów długości i zwęzał się od grubości porównywalnej z moją pięścią po końcówkę tak cienką, że wydawała się niemal krucha. A jednak wcale taka nie była – najlepszy tego dowód stanowiło moje krwawiące udo.

Edmund błyskawicznie znalazł się przy mnie. Księżę, usłyszawszy, jak syknęłam z bólu, też zaraz podbiegł. Na widok przedmiotu będącego sprawcą zamieszania obaj niemal jednocześnie zaklęli.

– Kołek łowców... rewelacja. Jeszcze tego nam było trzeba – skwitował Fallon sucho. – Łowcy ramię w ramię z Extermino. Ten dzień jest naprawdę do dupy. – Wyrzucił ręce ku górze w geście frustracji.

Jak zawsze pragmatyczny Edmund schylił się, by starannie przyjrzeć się narzędziu. Następnie obrzucił całą jego długość czarem.

– Fallon, skończyłeś już dramatyzować? Księżna krwawi. – Spojrzał teraz na mnie. – Czubek nie jest zatruty ani zaczarowany. Miałaś mnóstwo szczęścia. Wygląda na to, że uciekali w popłochu i zamiast porządnie go umocować, po prostu zgubili.

Księżę z bojaźliwą miną podał mi ramię, pomagając mi się podnieść. Kiedy stanęłam, ból zaczął ustępować. Powiedziałam, że dam radę iść sama. Edmundowi spieszo było przeprowadzić nas z otwartej przestrzeni do względnie bezpiecznego głównego budynku szkoły, a w ten sposób poruszałam się nieco szybciej.

Gdy schodziłam za Edmundem po schodach, aż jęknęłam na widok, który ukazał się moim oczom. Na patio zgromadzili się chyba wszyscy uczniowie szkoły. Dyrektor wciąż wołał przez megafon, próbując za wszelką cenę uspokoić tłum pobladłych w większości dzieciaków.

Gdy wszyscy zwrócili się w naszą stronę, odbiłam szybko w prawo, by ukryć się za plecami Edmunda. Księżę zrobił podobnie. Krąg uczniów rozstępował się przed gwardzistą, który niewzruszony szedł naprzód. Gdy on parł do przodu, ja przystanęłam obok Tammy i reszty, które wpatrywały się we mnie, nie kryjąc zdumienia. Uświadomiłam sobie, że jestem pewnie poplamiona krwią, głównie zresztą cudzą. Zważywszy na to, co się stało, nie prezentowałam się najlepiej.

Edmund zmierzał w stronę bloku nauk humanistycznych, gdzie jednak w progu zatrzymał go strażak (nie usunięto jeszcze uszkodzeń po burzy). Widać było od razu, że gwardzista nie należy do osób, które przywykły, by je zatrzymywano. Nie przejmując się, minął po prostu mężczyzną i ruszył dalej. Ten natychmiast odwrócił się i zwrócił mu uwagę.

– Proszę pana, tam nie wolno jeszcze wchodzić.

– Naprawdę?

– Tak.

– Dobra – zaćwierkał Edmund sztucznie przymilnym i zgodnym tonem. – Tu też nie jest źle. – Odwróciwszy się, zaklaskał i odszedł w stronę ławki. Tuż przed dotarciem do niej lekceważąco machnął jeszcze ręką. Spod sal humanistycznych dobiegł głośny jęk bólu. Skarciłam Edmunda wzrokiem za to, że najwyraźniej cisnął w strażaka jakimś zaklęciem.

– Ściągaj rajstopy.

Rozdrażniona przymknęłam na moment oczy. *Księżę miał rację, ten dzień jest faktycznie do dupy. Większego wstydu już chyba nie mógł mi narobić.* Chcąc nie chcąc, mimo że dopiero dziś (choć podobno nie po raz pierwszy) poznałam się z Edmundem, powlokłam się w stronę ławki, by wykonać jego polecenie. Było widać bardzo wyraźnie, że nie zamierza mi odpuścić.

– C-co takiego? – spytał ze zdumieniem dyrektor, poruszając przy tym megafonem, który wydał przeraźliwy pisk. Stojący obok pan Sylaeia odpowiedział mu, wskazując palcem na moje udo. Moje rajstopy były mało prześwitujące, ale i tak dało się zauważyć, że jedna nogawka pociemniała od krwi. Zsunęłam je, ciągnąc za fragment poniżej rozdarcia. Ponieważ krew kleiła się do rozerwanej tkaniny i do mojej skóry, był to sposób bardzo bolesny, ale też jedyny, który pozwalał zachować się skromnie.

Na widok rany na moim udzie pan Sylaeia aż syknął.

– Co ci to zrobiło?

– To – odpowiedział mu księżę, występując naprzód z kołkiem w dłoni.

Nauczyciel rozdziawił usta, by jednak zaraz wyciągnąć po niego dłoń i położyć kołek na najbliższej ławce. Edmund usiadł obok, a ja wdrapałam się na stół i oparłam stopy na siedzisku.

– Sama sobie tego nie wyleczę – powiedziałam nieco wyzywającym tonem.

Gdy Edmund zajął się przemywaniem rany, uwaga wszystkich skupiła się na panu Sylaei, księciu i kołku, któremu uważnie się przyglądali.

– Chyba dość już na dzisiaj rzucania zaawansowanych zaklęć, lady – powiedział gwardzista na tyle cicho, bym tylko ja mogła go usłyszeć. Na krótką chwilę uniósł wzrok i nasze spojrzenia się spotkały. Potem znów pochylił głowę.

*Skąd on o tym wie? Był przecież po przeciwnej stronie pola!*

Nie powiedział jednak na ten temat ani słowa więcej, a mnie pozostało zaciskać zęby, gdy on zajmował się raną – rozcięciem znacznie mniej gładkim, niż z początku sądziłam. Bolało, gdy za pomocą magii zszywał ranę; czułam każdą bez wyjątku iskrę przekłuwającą moją skórę. Jeszcze gorsza była jednak świadomość, że wszyscy widzą, jak wysoko na moim udzie trzyma dłoń. Już naprawdę lepiej było zrobić to samemu. Albo poprosić o pomoc księcia.

– Kołek należał do członka klanu Pierre'ów – poinformował nas pan Sylaeia, bardzo roztropnie decydując się nie używać angielskiego. – Studiowałem historię wampirów i Mędrców jako drugi kierunek – dodał zaraz przeprasającym tonem, jakby próbował powątpiewać we własne słowa – ale od lat na uczelni minęła masa czasu. Nie mogę być całkowicie pewien, jeśli nie zobaczę herbu na rękojęści.

Edmund skinął głową.

– Styl jest rumuński. Uwierzę panu na słowo.

Odwrociłam wzrok od trzech mężczyzn i wbiłam spojrzenie w swoje kolana. *Klan Pierre'ów*. Ten sam, który zamordował królową wampirów. Ten sam też, na którym Kaspar Varn i jego zgraja zemścili się w noc „londyńskiej łaźni”. Powinnam czuć zaskoczenie, że mają kontakty z Extermino, a jednak jakoś nie czułam. Przecież logiczne jest, że ci ostatni mogą być dla łowców bardzo użyteczni, ponieważ umożliwiali im przekraczanie granic pomiędzy wymiarami. Nie zapomniałam jednak słów, które wypowiedział książę w kuchni moich rodziców: z klanem Pierre'ów współdziałał ojciec Violet Lee. Ludzie, łowcy czy nie, tak naprawdę nie stanowili poważnego zagrożenia dla królestwa wampirów. Ale co z innymi mrocznymi istotami? Sytuacja wyglądała źle. Bardzo źle.

Zupełnie niespodziewanie z dachu szkolnego holu zeskoczyła kobieta. Wylądowała tuż obok Edmunda.

– W promieniu kilometra jest czysto. Wygląda na to, że wszyscy przekroczyli granicę.

– Dobrze. Stawiaj zaporę kopolową. Nic jej nie opuszcza, nic nie przechodzi do wewnątrz, nawet powietrze – odpowiedział Edmund, nie odrywając ani na moment wzroku od mojej nogi, którą kończył właśnie opatrywać.

– Co na to ludzie?

– Nie moja sprawa. Mam chronić ciebie, oni mnie nie obchodzą.

Polecenie najwyraźniej zostało natychmiast przekazane dalej, bo już po kilku sekundach poczułam wznoszący się mur potężnej magii. Zapora rozchodziła się: przeszła przeze mnie, potem przez resztę uczniów, jednocześnie pnąc się ku górze. Spojrzenia wszystkich wystrzeliły ku niebu. Ale nieba już nie było. Jego błękit przysłoniła całkowicie wodnista mieszanina szarości i niebieskawych,

elektrycznych smug. Ponad szkołą zawisła pokrywa. I znów rozległo się przywodzące na myśl portową syrenę buczenie, ten sam dźwięk, który w Burrator wyzwoliła błyskawica. Tym razem jednak odgłos był ciągły.

Wybuchła panika – znacznie silniejsza niż ta, którą widziałam, nim pochłonęła mnie mgła. Ludzie krzyczeli i piszczeli. Całe miejsce oświetlało sztuczne niebieskawe światło, a powietrze było gęste od energii i trudno się oddychało. Pozostawało jedynie kwestią czasu, kiedy skończy się tlen.

Wylądował obok mnie Richard, a tuż po nim kolejna kobieta wyglądająca na najmłodszą ze wszystkich czworga gwardzistów. Gdy zbliżyła się do Edmunda, ten po raz pierwszy od scysji ze strażakiem przybrał łagodny wyraz twarzy.

– Nic ci się nie stało? – spytał cicho. Niepotrzebnie się fatygował, bo nikt poza naszym małym kręgiem i tak by go nie usłyszał: trzeszczenie osłon było ogłuszające.

– Trochę mnie wytrzęsło – odpowiedziała.

Uśmiechnął się lekko, po czym przesunął palcem po mojej zagojonej już ranie. Usunął w ten sposób czerwoną pręgę i siniec.

– Mówiłem ci, że przy ochronie książąt zawsze dużo się dzieje.

Mnie wcale nie wydawała się wstrząśnięta. Zaraz spytała bardzo przytomnie, czy udało się zachować próbkę mgły. Z przebiegu rozmowy wywnioskowałam, że młoda kobieta jest alchemiczką. Po tym, jak stanęła osłona, wszyscy czworo wyraźnie się rozluźnili. Rozmówczynie Edmunda poszła przyjrzeć się kołkowi.

– Siostró – zwrócił się do mnie Edmund, patrząc, jak kobieta odchodzi – już po wszystkim. Spróbuj teraz obciążyć nogę.

Zsunęłam się ze stołu i celowo przeniosłam ciężar na lewą stronę. Nie czułam żadnego bólu, ale udo było odrętwiałe. Edmunda, gdy mu o tym powiedziałam, nie zainteresowało to jednak specjalnie.

Nie wyglądał również na zainteresowanego ludźmi, a konkretnie faktem, że nie bardzo odpowiada im bycie uwięzionymi pod gigantyczną połyskującą miednicą. Jedyńm, który w jakiś sposób zareagował, był książę. Podszedł do dyrektora wyraźnie zaniepokojonego skaczącymi po budynkach Athanami oraz kopułą. Po chwili rozmowy udało mu się go nieco uspokoić. Z resztą grona pedagogicznego rozmawiał pan Sylaeia. Uczniów pozostawiono samym sobie, żeby... Chyba żeby mogli się gapić.

– Edmund, nie możesz trzymać tej osłony w górze przez cały dzień. Podusimy się tutaj.

– Nie zamierzam. Zaraz stąd jedziemy.

– Dokąd?

– Z powrotem do Burrator.

– Ja też mam jechać?

– Oczywiście.

– Ale ja nie mogę.

Mój wyraz twarzy go nie zainteresował. Zajęty był kołkiem, który odsyłał właśnie dokądś zakłębieniem.

– Oczywiście, że możesz. Z twoją nogą już wszystko w porządku.

– Nie pojedę.

Uniósł wzrok i spojrzął w moją stronę. Przestraszyłam się nieco i mocniej oparłam o ławkę.

– Nie możemy zagwarantować ci bezpieczeństwa na terenie szkoły, jeśli nie będzie nad nią tarczy. Ta tymczasem, jak słusznie zauważyłaś, nie może być w górze cały czas – wyjaśnił tak łagodnie i wolno, jakby zwracał się do niezbyt pojętnego ucznia. – Jeśli niepokoisz się bezpieczeństwem ludzi, powiedz im, żeby rozeszli się do domów.

– Też chcę iść do domu – powiedziałam drżącym głosem. Chyba nie zabrzmiało to do końca przekonująco. – Nie zostawię rodziców samych, kiedy w okolicy są Extermino.

– W weekend mówiłaś, że twoi rodzice są w Londynie! – zawołał zza drzewa stojący obok nauczycieli książę. Zrobił to po angielsku, za co miałam ochotę cisnąć w niego urokiem. Moment – i znalazł się tuż przy mnie. Odginając się w tył, odsunęłam się od nich obu, wzbijając w powietrze płatki kwiatów wiśni leżące dotąd spokojnie na stole przy moich dłoniach.

– Dlaczego mnie okłamałaś?

Wyglądał na zranionego, ale ja poczułam się tak osaczona, że nie byłam w stanie patrzeć na nic poza własnymi stopami.

– Po prostu chcę iść do domu.

– Przez ostatnie dni wyglądałaś na naprawdę szczęśliwą... – W jego głosie dał się słyszeć żal.

– Chcę iść do domu – powtórzyłam. *Naprawdę tak trudno to zrozumieć?*

– Księżno, być może jeszcze tego nie rozumiesz, ale sytuacja się zmieniła. Nie możesz robić tego, na co masz ochotę. Teraz już nie ty decydujesz – podjął Edmund. Był *naprawdę* wysoki i *naprawdę* budził respekt.

– Owszem, to ja będę decydować. – Ruszyłam w bok, chcąc odejść od ławki i wyrwać się z żywej zagrody, w jakiej się znalazłam. Książę uprzedził mnie jednak szybkim ruchem ręki.

– Masz stosować się do trzeciej *fas* – lojalności wobec domu Athenea. Rozkazuję ci, żebyś wróciła z nami do dworu.

Zdumiona rozchyliłam usta.

– Mówisz poważnie?

– Bardzo poważnie – szepnął. Bezwiednie przypatrywałam się ruchowi jego warg. Teraz i on rozchylił usta, może dlatego, że zrobiłam to ja. Stał tak blisko, że czułam na twarzy jego oddech. Chciałam odgarnąć włosy z czoła, ale nie było między nami nawet dość przestrzeni, żebym mogła to zrobić. Książę uczynił to za mnie, używając ręki, którą przed momentem zagroził mi drogę. Nie wsunął mi jednak włosów za ucho, tak jak sama bym to zrobiła. – Nie chcę, żeby ci coś groziło.

– Naprawdę?

– Naprawdę – przytaknął niemal szeptem. Przez kolejnych kilka sekund przyglądałam się jego ustom, po czym szybkim krokiem ruszyłam w lewo. Z łatwością przebiłam się przez tłum, mijając drzewko wiśniowe i tabliczkę upamiętniającą Kurta Holdena.

– Dobra, koniec przedstawienia, kochani! Wszyscy mają teraz przejść do holu. Musimy was odesłać do domów. – Zerknęłam za siebie, by się przekonać, że polecenie pana Sylaei trafiło w próżnię. Uczniowie zignorowali to, co mówił, stojąc spokojnie i przepuszczając księcia, który natychmiast ruszył za mną.

– Róża! Nie zachowuj się w ten sposób!



Zeszłam szybko po schodach i zmierzałam w stronę zadaszzonego wyjścia, przez które przeszliśmy razem ledwie godzinę wcześniej.

– W jaki „sposób”, Wasza Wysokość?

– Nie wiem... Po prostu nie rób scen jak rozpuszczony bachor.

Zerkając za siebie, dławiałam się własnymi słowami. Książę trzymał się kilka metrów za mną, a kawałek za nim szedł Edmund.

– Niezła hipokryzja. Próbuje mnie pouczać na temat *fas* ktoś, kto sam chętnie olałby piątą zasadę. – Sfrustrowana uniosłam dłoń z rozczapierzonymi pięcioma palcami. – Trzymać się ściśle Traktatów Terra! Czy jednym z ich najważniejszych zapisów nie jest czasem nakaz chronienia ludzi?

Klapnął dłońmi o uda.

– To nie takie proste w moim przypadku, dobrze o tym wiesz! W twoim też nie i pora, żebyś to zrozumiała! Nawet się nie zastanowiłaś, tak po prostu rzuciłaś się na Extermino. Dla grupki ludzi!

Odwrociłam się na pięcie i chwyciłam pod boki.

– Ach, no jasne. Nasze życie jest przecież znacznie cenniejsze, prawda?

Przystanął naprzeciw mnie i przesunął dłonią po potylicy.

– Nie to chciałem powiedzieć. – Westchnął. Czekałam, aż wyjaśni, co w takim razie *chciał* powiedzieć. – Jesteś chodzącą zagadką – podsumował. – Nie tak dawno omal nie odstrzeliłaś Valerie Danvers, a dziś jesteś gotowa oddać za nią życie.

– Nie zrobiłam tego tylko dla niej – wymamrotałam.

– Nie bądź nagle taka dokładna.

– A ty nie bądź taki nieomylny.

Zaśmiał się nieoczekiwanie.

– Kiedy się złościś, wyglądasz uroczo.

Raz jeszcze rozdziawiłam usta, by zaraz warknąć ze złością i szybkim krokiem ruszyć w stronę przystanku autobusowego.

– Księżno, dokąd się wybierasz?! – zawołał za mną śpiewnie. – Jesteśmy pod wielką śnieżną kopułą, a ty chyba zapomniałaś torby.

Obejrzałam się za siebie: przygryzał trzęsącą się dolną wargę, a ręce wcisnął głęboko w kieszenie jeansów. Niemal podskakiwał z zimna.

*Dość tego!* Przebiegłam kilka kroków i wzbiłam się w powietrze. Może i mieliśmy nad sobą kopułę, ale była ona tak wielka, że sięgała nie tylko poza teren liceum, ale i za szkołę podstawową. Mogłam więc przynajmniej oddalić się od niego.

– Nie! Nie rób tego! – krzyknął za mną. Poczułam, jak sam przywołuje natychmiast magię i mimo reprimendy Edmunda unosi się w powietrze.

Logika nakazywałaby lecieć w kierunku rzeki, ale osłona, jak się zaraz okazało, sięgała jedynie do brzegu po naszej stronie. W tamtą stronę nie było co uciekać, zawrociłam więc w kierunku lądu i popędziłam ponad drugą z prowadzących do Dartmouth dróg. Nie miałam szans specjalnie się oddalić, a silniejszy ode mnie książę zaczynał mnie doganiać. Na moment zaświtał mi w głowie absurdalny pomysł, by błyskawicznie wylądować i schować się w damskiej toalecie miejskiego ośrodka sportu. Był to jedyny poza szkołą duży budynek w obrębie osłony. Może ta akurat myśl nie

była zbyt szczęśliwa, ale wiedziałam, że tak czy siak muszę zaraz wylądować.

Minęłam rondo, rozglądając się za miejscem, w którym mogłabym przejść płynnie z lotu do biegu. Wtem poczułam uderzenie zaklęcia. Zbiło mnie ono z kursu i na pewno bym krzyknęła, gdyby nie to, że cios pozbawił mnie na moment tchu. Zaklęcie nie było dość silne, by strącić mnie na ziemię, ale – jak zaraz się przekonałam – pozwoliło księciu dogonić mnie i zderzyć się ze mną w powietrzu. Zaplótł dłonie za moimi plecami i trzymał mnie mocno, a jego pęd poniosł nas ponad drogą i żywopłotem aż nad boisko piłkarskie przy ośrodku. W tym momencie pobór magii ustał i przeszliśmy do swobodnego spadania. Mimo bólu pod żebrem zaczęłam wrzeszczeć, lecz przestałam, gdy poczułam, jak wyłapuje nas miękko poduszka z powietrza. Księżę przez cały czas panował nad sytuacją, ale i tak posłałam mu gniewne spojrzenie. Zatrzymaliśmy się tak blisko ziemi, że zamiotłam włosami trawę. Nie przejął się tym jednak. Podtrzymał ręką mój kark i głowę, chroniąc je podczas końcowego lądowania. Ułożył mnie na wznak na ziemi, a sam usiadł okrakiem na moich biodrach.

Gdy spostrzegłam, że całkiem mu tak wygodnie, zaraz spróbowałam okręcić się i zrzucić go, ale na próżno. Chwycił mnie błyskawicznie za nadgarstki i przygwoździł je do ziemi ponad moją głowę.

– Wasza Wysokość, masz mnie puścić!

– „Mam” puścić? – spytał, przeciągając słowa, unosząc brew i przechylając lekko głowę. Na jego twarzy zagościł szelmowski uśmiech, tak szeroki, że w policzkach pojawiły się dołeczki.

– Tak jest! To jest naruszenie traktatów!

– Zgadza się, ale puszczyć cię dopiero wtedy, kiedy będę mieć pewność, że pojedziesz z nami i będziesz bezpieczna – odpowiedział, podnosząc się na czworaki. Niechcący przy tej okazji zaprezentował mi klatkę piersiową: widziałam, jak materiał koszulki marszczy się na jego bliznach i opina poruszające się mięśnie. Jak to mówiła Gwen – miał ciało.

Gwałtownie zamknęłam oczy i wzięłam głęboki wdech. Jego dezodorant pachniał inaczej, jakby czekoladą.

Ledwie zdążyłam rozpoznać zapach, gdy spostrzegłam, że księżę znów siedzi prosto, opierając się na moim brzuchu. Krzyknęłam natychmiast ze zgrozą, gdy zorientowałam się, co zdążył zrobić przez ułamek sekundy, na który zamknęłam oczy. Miałam unieruchomione ręce – nie jego dłońmi, ale jakimiś pętami. Kostki nóg podobnie. Spróbowałam natychmiast pozbyć się ich za pomocą magii, ale nic to nie dało. Czary ostygły we krwi, a zaklęcia nie chciały opuścić głowy.

– Jak śmiesz? To uniwersytecka magia!

Odrzucił głowę do tyłu i się zaśmiał. Następnie oparł dłonie na zewnątrz moich ramion, opuszczając twarz tuż ponad moją. Cały czas cicho chichotał.

– No co?! W tym nie ma nic śmiesznego!

– Nie ma, fakt – odparł, hamując śmiech, by nieco mnie udobruchać – ale to jest właśnie Jesienna Róża, którą pamiętam z dzieciństwa. Miło cię znów widzieć.

– Niedawno mówiłeś, że robisz sceny! Próbujesz powiedzieć, że byłam rozwiedziona?

Pytanie zbiło go z tropu.

– Ja... no... jak by to powiedzieć... Byłaś bardzo... niezależna. – Pokiwał głową, jak gdyby chcąc utwierdzić samego siebie w przekonaniu, że wybrał najtaktowniejszą możliwą odpowiedź.

Już miałam odpowiedzieć, gdy usłyszałam dobiegające z tyłu chrząknięcie. Księżę uśmiechnął się

niepewnie.

– Cześć, Edmund! – powiedział, złącząc ze mnie i podnosząc się.

Gwardzista spojrział na mnie.

– Cała... jesteś... – Nie dokończył zdania. – Samochody będą tu za dwie minuty. Zostaniesz w Burrator, póki niebezpieczeństwo nie minie. Nie chcę słyszeć żadnych dyskusji.

Podniosłam spętane ręce i chciałam oprzeć je na trawie, by się podnieść. Nie udało mi się.

– W takim razie musimy zahaczyć po drodze o mój dom, bo potrzebuję więcej ubrań. Nie chcę słyszeć żadnych dyskusji.

Księżę zaśmiał się krótko, za to Edmund nie wyglądał na rozbawionego.

– Ściągnij czarem to, czego potrzebujesz.

– Nie mogę. Nie wiem, gdzie jest mój zapasowy mundurek. A będzie mi potrzebny, sam zobacz.

Burknął w odpowiedzi coś, co uznałam za zgodę. Mimo że miałam dość ograniczone pole widzenia, zauważyłam, że przyciągnęliśmy tłumek gapiów. W wejściu na boisko stała grupa ludzi, głównie pracowników ośrodka, którzy wpatrywali się w kopułę.

– Pomóż mi chociaż wstać – poprosiłam księcia. Ten usłuchał: chwycił mnie za ręce i podniósł do siadu. Najwyraźniej nie ufali mi nawet na tyle, by pozwolić mi wstać. Księżę sam przysiadł teraz na murawie i oparł się plecami o moje plecy, tak bym mogła wygodnie siedzieć. Podciągnęłam kolana i oparłam na nich związane nadgarstki.

– Ej, księżno – powiedział po chwili.

– Co? – warknęłam.

– Zacznesz teraz mówić mi „Fallon”?

Zamknęłam oczy i cicho westchnęłam. Zapamiętał, co wyrwało mi się we mgle.

– Może.

Znów się zaśmiał. *Jak on może mieć taki dobry nastrój po tym wszystkim, co wydarzyło się w weekend i dziś? I jak to możliwe, że ja jestem taka spokojna?*

Edmund się nie mylił: po kilku chwilach pojawiły się samochody. Gdy ryk ich silników dobiegał już z bardzo bliska, dostąpiłam prawdziwego zaszczytu: pozwolili mi iść samej. Gdy tylko drzwi auta zatrzasnęły się za mną, pęta na moich rękach znikły, a kopuła rozplynęła się w powietrzu. W chwili gdy zniknął jej ostatni skrawek, zaczął padać deszcz. Ulewny, bezlitosny deszcz.

MUZA S.A. 8825\_8499

*Jesienna Róża*

Ktoś najwyraźniej „się nie bał” i wszedł do bloku humanistycznego – świadczyła o tym obecność mojej torby na podłodze samochodu. Sięgnęłam natychmiast po telefon, by ze złością stwierdzić, że padła mi bateria. Gdy tylko podjechaliśmy pod mój dom, natychmiast wyskoczyłam z auta; Edmund nie zdążył nawet dokończyć związłego polecenia, żebym się pospieszyła. Od razu nakazał kierowcy zawrócić, po czym wszedł za mną do domu.

– Wiem, że mało tu miejsca – powiedziałam, zrzucając ze stóp buty. Spojrzenia moje i Edmunda spotkały się na krótki moment, po czym gwardzista kontynuował staranne przeglądanie wszystkich zakamarków. Taką ma pracę, usprawiedliwiałam go w myślach, musi przyjrzeć się absolutnie wszystkiemu.

Pobiegłam na górę i natychmiast podłączyłam telefon do ładowania. Następnie wrzuciłam wilgotny sweter do kosza na brudy, a zawartość weekendowej walizki wysypałam na łóżko. Zaraz włożyłam do niej czyste ubrania i świeżą bieliznę. Nim zdążyłam odnaleźć zapasowy mundurek, telefon ożył i zabrzęczał raz po raz wraz z przychodzeniem kolejnych wiadomości. Od samej Tammy dostałam cztery SMS-y. Do tego przyszyły jeszcze trzy od Tee i po jednym od Gwen i Christy. Jo przysłała mi dwa krótkie i dość ostro brzmiące e-maile, domagając się w nich wyjaśnienia, dlaczego nie odpowiadam na jej sobotnią (długą jak pół książki) wiadomość. Natychmiast odpisałam Tammy i Tee, że wracam do posiadłości księcia, to znaczy *Fallona*. Chciałam je uspokoić. Niemal identyczną wiadomość wysłałam też ojcu. Nie wspomniałam o Extermino. Wiedziałam, że matka nie będzie zadowolona z „mojej” decyzji, ale musiałam dać im znać. Inaczej jeszcze przyszłoby im do głowy szukać mnie przez policję.

Kiedy skończyłam pisać, wzięłam głęboki wdech i opadłam na łóżko. Na moment zacisnęłam powieki, po czym włączyłam Facebooka. Gdy tylko serwis się uruchomił, weszłam natychmiast w „znajomych” i wpisałam w pole wyszukiwarki „Nathan Rile”. Kreseczki oznaczające postęp poszukiwań pojawiały się i znikaly, a ja coraz bardziej kurczowo zaciskałam dłoń na telefonie.

„Nie znaleziono”.

– Co takiego? – szepnęłam do siebie. – Może zmienił sobie imię na profilu? Spróbowałam „Nate” i „Nathaniel”, próbowałam też trafić, jak ma na drugie imię. Sprawdziłam na liście wszystkich o nazwiskach zaczynających się na „r”. Usiłowałam też szukać na stronie głównej: mógł wyrzucić mnie ze znajomych. Ale nigdzie nie było po nim śladu. Wszystko wyjaśniło się dopiero wtedy, gdy zjechałam po osi czasu do lipca (pamiętałam, że napisał wtedy do mnie, życząc mi udanego pobytu w Londynie): postu już nie było. Nie było też Nathana.

– Lady, czy istnieje możliwość, żebyśmy wyszli stąd przed jutrzejszym wieczorem? – z irytacją w głosie rzucił Edmund z dołu schodów.

– Już idę! – zawołałam. Ostatni raz spojrzałam na miejsce na osi czasu, gdzie powinien wisieć post od Nathana. Następnie wrzuciłam telefon i ładowarkę do szkolnej torby, a kosmetyki do walizki. Niech będzie, przebiorę się na miejscu.

Zbiegając po schodach, zakłębem wyprawiłam do dworu walizkę. Zamknęłam za sobą drzwi frontowe, by zaraz wysłać do mojej sypialni w Burrator również szkolną torbę z kluczami w środku. Kiedy podeszłam do samochodu, zobaczyłam, że książkę, *Fallon*, też bawi się telefonem. Raczej nie

siedział jednak na Facebooku. Członkowie rodziny królewskiej nie mieli tam profili – przekonali się o tym moje koleżanki z Kable, które oczywiście natychmiast chciały zaprosić księcia do znajomych.

Zauważył, że patrzę w jego stronę, i podsunął mi komórkę. Czytał na stronie „Arn Etas” artykuł zatytułowany *Trybunał międzywymiarowy nie potwierdza doniesień o istnieniu paktu Lee–Pierre; ludzcy deputowani odmawiają udzielenia wsparcia brytyjskim władzom drugiego wymiaru.*

Przebiegłam tekst wzrokiem, gdy tymczasem książę czekał na Edmunda rozmawiającego przy samochodzie z Richardem i jego siostrą. Ludzie najwyraźniej robili więc to co do tej pory. We wszystkich wymiarach każdy kraj wybierał swoich deputowanych do trybunału. Tworzyli oni organy przedstawicielskie swoich państw, bez podziału na wymiary, a wspólnie stanowili reprezentację ludzką. Mimo przewagi liczebnej ich głos ważył tyle samo co głos poszczególnych królestw mrocznych istot. Gdyby jednak cała ta reprezentacja postanowiła poprzeć Michaela Lee (jednego z nielicznych w swoim wymiarze ludzi, którzy z uwagi na swoją pozycję wiedzieli o naszym istnieniu, wyjątkowego pod tym względem na tle niegłosujących, nieświadomych niczego mas), mielibyśmy poważny problem.

Na szczęście na rękę nie poszli mu nawet brytyjscy deputowani. Zasiadający w trybunale ludzie wiedzieli o jego konszachtach z podejrzanymi grupami, takimi jak łowcy czy – donosił artykuł – bandyckie grupy wampirów.

– *Kiedy pojawiły się pogłoski o kontaktach Lee z Pierre’ami?* – spytałam Fallona.

– *Nie mam pojęcia, ale to już na pewno żadna nowość,* odpowiedział mi w myślach. *A zaraz możemy jeszcze mieć pakt Pierre–Extermino.*

– *Może to dziś to tylko taki jednorazowy numer* – zasugerowałam z rzadko spotykanym u siebie optymizmem. Spojrzał na mnie tak, jakby moje blizny zrobiły się nagle niebieskie. Skrzywiłam się i oddałam mu telefon. Gdy wyłączył przeglądarkę internetową, zobaczyłam w górze wyświetlacza słowa „FALLON – OSOBISTE (Bezpieczny)”. Przypomniało mi to nagle o tym, dlaczego książę właściwie się tu pojawił. W Anglii mieli mu dać święty spokój.

Wsunął komórkę do kieszeni, a Edmund skończył rozmawiać i zajął miejsce w samochodzie. Książę nie miał szans uciec od tego, kim jest.

Z westchnieniem zapięłam pas i oparłam głowę o szybę.

Gdy Fallon się wycofał, pozwoiliłam Nathanowi opuścić pudełko, które zajmował w moim umyśle.

*Pakt to jeszcze nic. Ale co, jeśli Extermino zmieniają się w ludzi?*

Przemiana ludzi w Mędrców stanowiła prawdziwą rzadkość... Było to niebezpieczne. I absurdalne.

Wiedziałam, że w końcu będę musiała powiedzieć pozostałym. Na razie jednak skupiłam się na obmyśleniu, jak ich przekonać. Sama, gdybym nie zobaczyła na własne oczy, nie uwierzyłabym w taką opowieść.

Gdy przymknęłam powieki, pojawiła się przede mną twarz Nathana. Po jego policzkach pięły się smugi. Nie przypominały jednak dzieła sztuki jak blizny Mędrców, a były niczym bluszcz. Nathan został otruty. Otruty szarością.

\*\*\*

Ocknęłam się, czując, jak czyjeś ręce wsuwają się pod moje kolana i ramiona. Na włosach

poczułam kilka kropel deszczu. Uchyliwszy na krótki moment powieki, zobaczyłam biel koszuli i rdzawoczerwone blizny. Dałam się nieść, udając, że śpię, i walcząc z własnymi oczami, które próbowały nabiec mi różem.

– Co się dzieje? Alfie i Lisbeth wrócili wcześniej, niż mieli. Mówili coś o Extermino... Bogowie tej ziemi, co się stało Róży?

– Spokojnie, ciociu, po prostu śpi – odpowiedział Fallon. Moja głowa opierała się o jego ramię, nieznacznie poniżej linii żuchwy. Czułam, jak napręża się gardło księcia, gdy mówi, i nie mogłam powstrzymać narastającej wewnątrz mnie fali ciepła.

– Będziesz ją musiał obudzić. Chciałbym, żebyście oboje opowiedzieli nam, co się stało. – Usłyszałam głos księcia Lorenta.

– Dajcie mi jeszcze chwilę. I zamówcie herbatę z rumiankiem. Dobrze nam zrobi.

Usłyszałam, jak kroki się oddalają. Po chwili dobiegł też do moich uszu odgłos zamykanych drzwi. Książę ułożył mnie na jakimś fotelu i przysiadł na poduszkach tuż obok.

– Róża, przepraszam, ale musisz się obudzić.

*To zsuń moją głowę ze swojego ramienia*, pomyślałam. Zaraz jednak okręciłam się nieco, otworzyłam oczy, pomału usiadłam i rozejrzałam się wokół.

Siedzieliśmy na sofie w pustym salonie. Nie napalono jeszcze w kominku; w pomieszczeniu było chłodno. Nie pomagały potężne, sięgające niemal podłogi okna, o których szyby bębnił cicho deszcz.

– Dzień dobry – powiedział książę, kładąc mi dłoń na ramieniu. Spojrzałam na niego nieprzytomnie. – Miałaś kolorowe sny?

– Nie. Niezupełnie.

Cofnął dłoń.

– Następna wizja?

Pokręciłam głową i rozprostowałam fałdy spódnicy. Krew nie prysnęła na szczęście powyżej rąbka mojej bluzki, więc nikt nie pytał, skąd się wzięła. Wszyscy zakładali z góry, że to ze zranionej nogi.

– Jak tylko opowiemy im, co się stało, pójdziesz się przebrać. Mój ojciec – machnął lekko ręką – to znaczy król, będzie musiał się o tym dowiedzieć.

Skinęłam głową. Opadł na oparcie kanapy i zamknął oczy. Nie zwracał uwagi na wchodzącą służbę, która rozpalala w kominku i podawała herbatę. Gdy Chatwin zbliżył się i postawił przede mną rumianek, podziękowałam, unikając kontaktu wzrokowego. Zauważyłam, że przygląda się mojej spódnicy. Kiedy odszedł, spojrzałam nieufnie na ciecz w filiżance. Miała złotawy odcień i nie wyglądała ani trochę zachęcająco.

– Działa uspokajająco – powiedział Fallon. Sam, choć nie dosypał ani odrobiny cukru, dość chętnie pociągał łyk po łyku z filiżanki. Ja też zdecydowałam się napić – nie mogło zaszkodzić, a moje skołatane nerwy potrzebowały ulgi. Przecież niedługo będę musiała opowiedzieć im jakoś o Nathanie. Napój miał owocowy smak. Przywiódł mi na myśl wywary ziołowe, które w dzieciństwie babcia podawała mi na ból głowy.

Do salonu wszedł Edmund i usiadł na jednym z prostych foteli przy kominku. Skinął głową na Chatwina w sposób, który odebrałam jako kolejny przejaw jego arogancji. Wypił szybko herbatę, westchnął nad pustą filiżanką, po czym Chatwin jeszcze mu dolał naparu.

Gdy do salonu weszli książę i księżna, a tuż za nimi Alfie z lady Lisbeth, ego gwardzisty natychmiast skurczyło się do właściwych rozmiarów. Błyskawicznie wstał i się pokłonił. Zamierzałam zrobić to samo, ale Fallon przytrzymał mnie delikatnie za materiał bluzki. Zdążyłam więc jedynie podeprzeć się dłońmi. Edmund z powrotem usiadł, ale wyglądało na to, że pozostali siadać nie zamierzają.

– No więc? – zwrócił się do gwardzisty książę Lorent. Wyraźnie nie było mu ani trochę do śmiechu. Mówił tym samym tonem co wtedy, gdy komentował doniesienia od Violet Lee.

– Użyli hybrydy magii żywiołów i zaklęcia blokującego, żeby się ukryć. Póki nie pojawiła się mgła, nie czuliśmy, że to coś się zbliża. Kiedy w niej zatonęliśmy – tu spojrzał w moją stronę, a wraz z nim wszyscy pozostali – niewiele mogliśmy zrobić. Na szczęście oni też. Cokolwiek to było, jest nowe i bardzo potężne.

Ostatnie zdanie wypowiedział z wyraźną emfazą. Stało się jasne, że całą sytuację odebrał jako ujmę na honorze, a teraz próbuje się bronić.

– Masz próbkę?

Tym razem Edmund wyglądał na nieco bardziej zadowolonego z siebie.

– Alya zabrała ją już na testy.

– Ilu ich było?

– Pięcioro – odpowiedział Fallon.

– Sześcioro – wtrąciłam.

– Ośmioro – poprawił nas oboje Edmund. Spuściłam głowę i wbiłam wzrok we własne uda. *Gdybym wiedziała, że jest ich aż tylu, w życiu nie zbliżyłabym się do tej mgły.*

– Straty po ich stronie to dwóch zabitych, jeden ranny.

Natychmiast uniosłam głowę. Wzrokiem niemal błagałam Edmunda, by nie rozwodził się na ten temat. Oni *nie mogli* po prostu usłyszeć, że to zrobiłam.

– Dwoje było ludźmi. – Odetchnęłam z ulgą, gdy kontynuował. – Wygląda na to, że to byli łowcy, niejacy Giles i Abria z klanu Pierre’ów. Richard pracuje teraz nad ich profilami.

Alfie na te słowa podwinął dolną wargę. Opadła mu lekko szczęka.

– Łowcy? Tacy jak... To znaczy Michael Lee z klanem Pierre’ów...?

Matka księcia spytała bardziej wprost:

– Skąd też przyszedł ci do głowy taki pomysł?

– Stąd. – Przywołał do rąk kołek. Głośne westchnienia wszystkich dały znać o ich zdumieniu. – Znalazła go Róża, tak to nazwijmy. Po tym, jak przekroczyli granicę wymiaru, to coś przebiło jej nogę. Stąd krew. – Wskazał w moją stronę.

Położył przedmiot na stole. Teraz przyjrzeni mu się wszyscy po kolei. Czulałam, jak kolana drżą mi ze zdenerwowania. Herbatka nie pomagała.

Książę Lorent przeciągnął dłonią po twarzy i zwrócił się do żony:

– Chyba nie możemy odwlekać rozmowy z Ll’iriadem.

– No to do Athenei – odpowiedziała z westchnieniem, trzymając kołek w dłoni. – Nie oddalaj się, Edmundzie. Król może chcieć mówić także z tobą.

Gwardzista uklonił się. Fallon wstał. Zacisnęłam powieki, wzięłam głęboki wdech i dałam słowom wyrwać się z moich ust.

– To nie wszystko!

– Nie? – Księżę Lorent przekrzywił głowę. Edmund spojrzął mi przelotnie w oczy i pokręcił lekko głową, ale nie przejęłam się nim. Nie zamierzałam mówić o tym, kim według niego jestem.

Zamknęłam oczy.

– To zabrzmiało dziwnie, ale wydaje mi się, że znałam jednego z tych Extermino.

– Znałaś jednego z nich?

Otworzyłam oczy, by zobaczyć, jak wuj Fallona zmierza w moją stronę. Zaparłam się stopami o posadzkę, naciskając na oparcie fotela.

– Tak... to znaczy, kiedy był człowiekiem.

– „Kiedy był człowiekiem”? – powtórzył. – Co sugerujesz, księżno? – Mówił tak oskarżycielskim tonem, że nie mogłam spojrzeć mu w oczy.

– Znałam go z pracy... Był kucharzem, no i... – Zamilkłam i zacisnęłam powieki, uświadomiwszy sobie, co właśnie powiedziałam.

– Chyba... zapomniałem wspomnieć o tym, że masz pracę – wtrącił się Fallon. Zacisnął usta i przygryzł dolną wargę, wodząc nerwowo dłonią po włosach z tyłu głowy.

– To w tej chwili bez znaczenia, kontynuuj, proszę – ze zniecierpliwieniem w głosie powiedziała jego ciotka.

*Oczywiście, że to nie jest bez znaczenia. Rani to twój honor znacznie bardziej niż mój.* Mimo wszystko kontynuowałam:

– Przestał pokazywać się w pracy jakiś tydzień po tym, jak pojawiłeś się w Kable. – Spojrzałam na Fallona. – Później, bez żadnego uprzedzenia, tak po prostu złożył wymówienie. W ogóle się nad tym nie zastanawiałam, ale dziś zobaczyłam go we mgle. Miał na ciele szare blizny. Był tak blisko, że mógłby mnie dotknąć, ale nie zaatakował.

– Byłaś bezsilna wobec zaklęcia blokującego. Mogło ci się coś pomylić albo przywidzieć. – Edmund próbował odgrywać rolę adwokata diabła, ale potrafiłam wyczytać z jego twarzy, że tak naprawdę wierzy mi i jest bardzo zaniepokojony.

– Nie! Jestem pewna, kogo widziałam – odparłam z naciskiem. – Sprawdziłam dziś jego profil na Facebooku – jest nieaktywny. Poza tym jego głos nie dało się pomylić z niczym innym. Sami słyszeliście we mgle silny akcent z Devonu, prawda? – zwróciłam się do Edmunda i Fallona.

– Tak – przyznał Fallon. Edmund tylko skinął głową.

– Jeśli prawdą jest, że Extermino zaczęli przepoczwarzać się w ludzi, natychmiast zostanie rozpoczęte śledztwo na najwyższym szczeblu. Czy jesteś całkowicie pewna tego, co mówisz? – spytał stanowczym tonem wuj Fallona.

– Tak – odparłam, mimo że odrobinę brakowało mi do poczucia absolutnej pewności.

– Jak brzmi pełne imię i nazwisko tego człowieka i kiedy po raz ostatni widziałas go w ludzkiej postaci?

Odwróciłam się w stronę Edmunda.

– Nathaniel Rile. Pierwsza sobota września.



Przyszły przywódca Athanów przeniósł ciężar ciała na jedną nogę, lewą dłonią chwycił za prawy łokieć, a palcem wskazującym sięgnął do kącika ust. Zmarszczył brwi i spojrzał na mnie.

– Rozumiem, że miałaś go wśród znajomych na Facebooku? Byliście blisko związani?

Nim odpowiedziałam, mrugnęłam kilkakrotnie zaskoczona pytaniem.

– Nie. Po prostu pracowaliśmy razem. Latem prawie go nie widywałam.

Pokręcił głową i przymknął na moment powieki.

– Księżno, wybacz, że zadam to pytanie, ale czy kiedy spędzaliście razem czas, okazywał ci zainteresowanie? Próbował flirtować?

Zaczerwieniłam się, czując, jak usta same mi się rozchylają.

– Nie wiem, chyba nie.

– A czy powiedział coś, co spowodowało, że poczułaś się niekomfortowo lub zaniepokojona?

Zaczęłam nerwowo bawić się własnymi dłońmi. Sytuacja układała się znacznie gorzej, niż się spodziewałam. Nie tego oczekiwałam, jeśli mi uwierzą.

– Wiedział, że sprowadza się do naszej okolicy druga rodzina Mędrców wysokiego rodu. – Nie zamierzałam wspominać, że sama niemal mu o tym powiedziałam. – Poza tym mam wrażenie, że przeprowadził internetowe śledztwo w sprawie mojego tytułu. – Uniosłam wzrok. – Przed przyjazdem Fallona nie mówiłam nikomu, że jestem księżną. O tym też nie wspomniałeś, prawda? – Posłałam siedzącemu obok mnie księciu cierpki uśmiech. Odpowiedział tym samym.

Mój występujący teraz w roli śledczego ochroniarz mruknął, po czym zaczął bębnić palcami po poręczu krzesła, na którym siedział.

– Edmund?

Odwrócił się w stronę księżnej.

– Extermino celowo wybrali osobę bliską młodej księżnej. Jeśli się nie myli i ten Nathaniel w istocie uległ przeistoczeniu, oznacza to, że musiał mieć powód, by chcieć zostać Mędrcem. Nie jest możliwe, by człowiek przeżył przemianę w Mędrca, jeśli naprawdę jej nie chce. Nie zmuszono go do niej, jestem pewna.

Fallon i Alfie wbili we mnie spojrzenie.

– Uważasz, że to sama księżna była jego „powodem”? – spytał ten pierwszy.

– Całkiem możliwe.

– A jaki powód mogli mieć Extermino?

Edmund posłał obu księżętom wymowne spojrzenie. Oboje wujostwo Fallona wyglądali na wyraźnie zmartwionych.

Przyjrzałam się księciu Alfiemu, a zaraz potem jego młodszemu kuzynowi. Po tej przelotnej wymianie min i spojrzeń czułam, że wypadłam z rozmowy.

– Skoro wybrali osobę bliską mnie, to chyba znaczy, że chcieli dostać się do was. Przepraszam. Wiem, że chcieliście być z dala od tego wszystkiego.

– Nie ma w tym twojej winy. Poza tym w życiu musi być trochę dreszczyku – pocieszył mnie wuj Fallona. W jego głosie pobrzmiwało jednak znużenie. – Edmund, prosiłbym cię o zapewnienie ochrony domowi księżnej. Póki to nie będzie załatwione, zostanie z nami.

Słyszając jego słowa, uniosłam natychmiast głowę, ale wiedziałam, że nie mam co nawet próbować spierać się z księciem Lorentem. Edmund znów spojrzał na mnie mało przychylnie, dając mi chyba znać, że go drażnię. Fallon za to z trudem powstrzymywał uśmiech. Postanowiłam zignorować jego wyraz twarzy i nie dopuszczać go chwilowo do swoich myśli. Oczy jeszcze by mnie zdradziły, zmieniając barwę.

Przez chwilę trwało jeszcze omawianie szczegółów tego, co zaszło, potem przedyskutowano, jak najlepiej zapewnić nam bezpieczeństwo, aż wreszcie rozmowa w naturalny sposób wygasła i zapadła cisza.

– Nie możemy dłużej zwlekać – powiedziała księżna do męża. Ten pociągnął łyk herbaty, po czym skinął głową.

– Poślemy po ciebie gońca, gdy tylko król będzie gotów cię przyjąć, Edmundzie. Fallon, ty ruszysz z nami. – Najmłodszy z książąt pochylił głowę. Do moich uszu dobiegło jego pełne rozdrażnienia westchnienie.

Na tym skończyło się omawianie tematu. Księżę Lorent poinformował teraz wszystkich przebywających w pokoju, że pora na obiad.

Zdążyłam tylko podnieść się i dygnąć. Fallon dołączył zaraz do stojących w narożniku pomieszczenia wujostwa, a Lisbeth i Alfie natychmiast poszli na górę. Nie bardzo wiedziałam, co ze sobą zrobić. Odniosłam wrażenie, że po tym, co się stało, nie zdołam pomóc. Przez uchylone drzwi wymknęłam się do sąsiedniego pomieszczenia, by chwilę się zastanowić.

– A więc, młody księżę, czego *jeszcze* nam o niej nie powiedziałeś?

Na dźwięk tych słów aż podskoczyłam. Klapnięcie o twardą posadzkę podszew moich zniszczonych butów odbiło się głośnym echem. Prawą rękę przycisnęłam błyskawicznie do ust, by stłumić jęk rozpacz. Oni rozmawiali o *mnie*. Było dla mnie oczywiste, że udawali tylko, mówiąc, że nie ma dla nich znaczenia moja praca. To było jednak niczym w porównaniu z resztą rzeczy, które wiedział o mnie Fallon. Jeśli jeszcze tego nie zrobił, zaraz powie im o wizjach. Mówił przecież tylko, że „postara się” zachować to w tajemnicy. Samo to, że dowiedzą się o wizjach, mnie jednak nie przeszkadzało. Koniec końców, one mogły przecież okazać się pomocne. Bardziej martwiło mnie to, że mogłabym stać się bronią, narzędziem. Tak przeważnie traktowano jasnowidzów mogących dojrzeć (lub, jak ja, niemogących przestać widzieć) bardzo istotne wydarzenia. Perspektywa ta łączyła się z powrotem na dwór i zajęciem miejsca w radzie tuż po szesnastych urodzinach. Wiedziałam, że jeśli Atheneowie zechcą wykorzystać mój dar, sam tytuł przed niczym mnie nie uchroni.

*Nie, dziecko! Jestem przeklętą jasnowidzką. Jak wszyscy* – powtarzała mi zawsze babcia.

Usłyszawszy oskarżycielski ton księcia Lorenta, wpadłam w osłupienie, z którego jednak wyrwało mnie po chwili trzaśnięcie drzwi. To naznaczona granatowymi bliznami ręka Edmunda zamknęła je z taką siłą.

*No jasne: z chęcią narzucają mi swoje towarzystwo, szczują mnie swoją obstawą i o wszystko wypytyją, ale do swoich sekretów już mnie nie dopuszczają.* Cóż, w końcu nie należę do rodziny królewskiej.

Ku mojemu zaskoczeniu zabolęła mnie ta myśl. A jeszcze kilka tygodni wcześniej prawdopodobnie nie robiłoby to na mnie żadnego wrażenia. Sama nie potrafiłam zrozumieć, co czuję. Chciałam wrócić do domu. *Naprawdę chciałam* być w domu. Z drugiej strony jednak weekend w Burrator sprawił, że poczułam się częścią... częścią większej całości. Nie doświadczyłam czegoś takiego od czasów St.

Sapphire.

Teraz jednak największą ochotę miałam znaleźć się daleko stąd. Moje stopy natychmiast usłuchały myśli i poniosły mnie w stronę tarasu w tempie niemal sprintu. Słyszałam, że na zewnątrz wzmaga się deszcz, ale w najmniejszym stopniu mnie to nie zrażało. Wabiły mnie ku sobie stół i krzesła w dalekim narożniku. Zająłam miejsce najbardziej oddalone od potężnych przeszklonych drzwi. Owinęłam palce na zdobieniach z kutego żelaza, a przedramiona ułożyłam na blacie. Mogłam teraz spokojnie oprzeć głowę i obserwować padający deszcz. Nie zauważyłam nawet, kiedy zaczęłam płakać. Zorientowałam się dopiero wtedy, gdy łzy na moich rzęsach sprawiły, że przestałam ostro widzieć. Strząsnęłam je zaraz energicznym ruchem.

*Czemu ten piekielny deszcz się nie kończy? Nie dość się napadało latem?* Byłoby przyjemnie, gdyby choć krople deszczu nie obijały się pod kątem od posadzki, spryskując moje buty. Czułam pod stopami, że materiał, którym wyściełano je od środka, jest w oplakany stanie. Zaczynał w dotyku przypominać jakiś ohydny szlam. Matka ostrzegała mnie, że tak właśnie się stanie, jeśli będę upierać się przy noszeniu butów nie ze skóry. Do niej po prostu nie docierało, że skórzane nie wchodzą w grę.

Nie zaszkodziłby też chociaż jeden promyk słońca. Słońce to był dla mnie naprawdę cudowny lek. Dzięki niemu znikwały głupie grudki pod moją skórą, które tylko czekały, aż się zestresuję, by zaraz zamienić się w pryszczę. Dzięki niemu też kasztanowe kosmyki moich włosów jaśniały i nabierały odcienia bardziej blond. Gdy było jasno i słonecznie, o wiele łatwiej było mi myśleć pozytywnie.

– Dlaczego to zrobiłeś, Nathan? – ze złością rzuciłam pytanie w ulewę. Chciałam rąbnąć dłonią w blat stołu, ale tylko krzyknęłam z bólu, bo moje palce uwięzły pomiędzy żelaznym liściem laurowym i spiralą. Gdy już je uwolniłam, oparłam się wygodnie i się rozluźniłam.

*Co oni ci takiego powiedzieli, że się na to zdecydowałeś? Jak mamiące musiały być ich kłamstwa, skoro postanowiłeś porzucić dom, rodzinę i pracę? Co sprawiło, że postanowiłeś zrobić ze swojego życia spacer po linie? Czy ty nic nie wiesz o Extermino? Naprawdę nic?*

Ale deszcz nie udzielił mi żadnej odpowiedzi. Po prostu wciąż padał.

Traktaty Terra zakazały wielu podejrzanych praktyk na czele z przemienianiem ludzi w Mędrców. Zresztą nie tylko w Mędrców, ale w jakiegokolwiek mroczne istoty panujące nad magią. Tego typu przemiany były niebezpieczne. Śmiertelnie niebezpieczne. Magia była czymś, co żyje w naszej krwi. Wystawieni na jej nadmiar ludzie mogli po prostu umrzeć. By doprowadzić do przemiany, potrzebny był ktoś perfekcyjnie panujący nad mocą magii, a przeżyć taką przemianę mógł wyłącznie człowiek o nadzwyczajnej odporności. Była pośród Extermino tylko jedna znana mi osoba zdolna moim zdaniem podołać takiemu wyzwaniu. Myśl o niej była mi mocno nie w smak.

Violet Lee miała w sumie szczęście. Przemiana w wampira była w porównaniu z tym bezpieczna. Tam w grę wchodziła magia uśpiona, będąca jedynie źródłem sprawności fizycznej i głodu krwi. Spośród wszystkich typów przepoczwarzeń to było najmniej bolesne, najczęściej spotykane i najszerzej akceptowane. Violet miała stać się podopieczną rodziny królewskiej. Wiadomo było, że niczego jej nie zabraknie. Poza tym, ponieważ jej porywacze byli wampirami, dano jej możliwość dokonania wyboru.

A jednak Nathan przeżył przemianę.

Dobiegający od strony drzwi odgłos tarcia drewna o drewno wyrwał mnie z zamyślenia. Uniosłam wzrok, przez chwilę łudząc się, że to książkę idzie w moją stronę. Natychmiast jednak przypomniałam sobie, że najprawdopodobniej jest już w Athenei, by donieść ojcu o pojawieniu się Extermino. Gdy

zwróciłam głowę w stronę źródła dźwięku, zobaczyłam Edmunda opartego o jedną z drewnianych podpór werandy. Krople wody z przepelnionej rynny spadały na jego włosy, ale zdawało mu się to zupełnie nie przeszkadzać. A przecież niedługo czekało go spotkanie z królem. Grzywka, którą z reguły miał starannie zaczesaną do tyłu, przykleiła mu się do czoła. Wyblakłe w słońcu spirale na ręce prawie nie zasłaniały jego blizn, bardzo ciemnych, o grubych linach i układzie równie zawiłym jak kąt prosty. Dla Gwen takie rzeczy oczywiście nie miały znaczenia.

Raz jeszcze odchyliłam głowę do tyłu i utkwiałam spojrzenie w kroplach padającego deszczu. Ani odrobinę nie interesował mnie nieunikniony wykład. Traktaty Terra znałam na pamięć i mogłam recytować je wspan. Wiedziałam, że z punktu widzenia prawa po tym, co zrobiłam, jestem bohaterką. Wieczne siedzenie nad książkami i zgłębianie tematów, które wszystkich innych nudzą, okazało się przydatne. Nie pierwszy raz.

– W wieku piętnastu lat zabić Extermino klątwą śmierci. Imponujące. I idiotyczne – rozumował na głos, a ja widziałam oczami wyobraźni, jak krzyżuje ręce na piersiach – ...ale jednak imponujące.

Nie spojrzałam nawet w jego stronę. Zamknęłam oczy, bo deszcz nie padał już tak po prostu na ziemię, ale zalewał ogród niemal poprzecznymi strugami.

– Właściwie... – przesunął krzesło po nierównej posadzce – gdyby nie to, że jesteś arystokratką i stawiam, że czeka cię świetlana kariera w polityce, zaraz zwerbowałbym cię do gwardii.

– Skąd wiesz, że zabiłam jednego z nich? – spytałam.

Zaśmiał się.

– Wiem takie rzeczy. Na tym polega moja praca.

Uniosłam w końcu głowę i zmrużyłam zaraz oczy, bo przez chwilę widziałam jak przez mgłę. Upłynęło parę sekund, nim świat wokół znów stał się ostry.

– Ale nie powiedziałaś im.

– Tego, że potrafisz rzucić tę klątwę, nie należy moim zdaniem rozgłaszać. A już na pewno lepiej, żeby nie wiedzieli o tym Atheneowie. Taka moc przeraża. Gdyby nie to, że grozi ci niebezpieczeństwo, sam doradzałbym ci, byś zakopała tę wiedzę jak najgłębiej – dokończył cicho niskim głosem, bębniąc palcami o kute żelazo. Jego palce co jakiś czas natrafiały na płatek łuszczącej się szmaragdowej farby. Odrzucał je pstryknięciem na bok, wzrok mając cały czas utkwiony gdzieś powyżej mojego prawego ramienia. – Będą chcieli się zemścić za to, co zrobiłaś – stwierdził z absolutną pewnością, wybudzając się z chwilowego letargu. – Ale ty się nie boisz. Robisz wrażenie apatycznej i jest ci obojętne, że zabiłaś swojego bliźniego, Mędrca. Czerwieniłaś się dziś dobrych parę razy, ale nie miało to nic wspólnego z krwią, którą masz na rękach. Jak to możliwe?

Pochylił się w przód, oparł łokcie w miejscu, gdzie była szczelina pomiędzy deskami blatu, i splótł palce. Wiedziałam, że pytanie, które usłyszałam, jest retoryczne. Staralam się patrzeć prosto i nie dać się zbić z tropu, gdy mi się przyglądał z zadumą. Miałam wrażenie, że bawi go ta konfrontacja. Zastukał paznokciami o paznokcie, po czym zaklaskał w ten sam sposób co wtedy, gdy odwracał się tyłem do strażaka.

– Ach, już widzę. Uważasz, że to Extermino *ja* zabili.

Gniewnie zmrużyłam oczy.

– Zabieraj się z moich myśli.

– Dobrze wiesz, lady, że wcale mnie tam nie ma. Jestem po prostu spostrzegawczy i się

domyśliłem. Po twojej reakcji widzę, że trafnie.

Nieco rozgniewana odwróciłam się na krzesło, ustawiając się przodem do padającego deszczu, a plecami do Edmunda.

– Ale mam rację czy nie? To byli Extermino. Ty też wiesz, dlaczego zginęła, tak samo jak oni wszyscy. – Niezgrabnie skinęłam głową w stronę drzwi, czując nieprzyjemne strzelanie kręgow.

Nie odpowiedział. Słyszałam tylko, jak wierci się na jęczącym pod jego ciężarem krzesło.

– I tak samo jak oni ty też mi nie powiesz – warknęłam, od tyłu oplatając rękami oparcie i mocno je ściskając. Ten nieco dziwny chwyt miał pomóc mi nie rozplakać się na nowo.

– To dlatego dziś uciekałaś? Dlatego odtrącasz Fallona? Czujesz się oszukana. – Jego ton stał się łagodniejszy, po szyderstwie nie został nawet ślad. Mówił teraz w sposób, w jaki zawsze chciałam, żeby mówił mój ojciec. *Przejął się.* – To zrozumiałe.

Potrząsnęłam głową.

– Tak myślisz? – szepnęłam.

– Tak. Na twoim miejscu czułbym się dokładnie tak samo.

Znów utkwiałam spojrzenie w zalany deszczem ogrodzie. Najdłużej wpatrywałam się w trawnik za grządkami kwiatowymi. Tworzyły się na nim coraz większe kałuże, bo w ziemię nie mogło już wsiąknąć więcej wody.

– To dlaczego nikt, na przykład ty, nie powie mi, jak było naprawdę?

– Uwierzysz, jeśli powiem ci, że robimy to dla twojego dobra?

Energicznie pokręciłam głową. To było frustrujące – dwa razy w ciągu jednego dnia usłyszeć tę samą wymówkę. Jeszcze mocniej zacisnęłam ręce wokół krzesła, wyciągając je tak, by dłońmi chwycić za boki oparcia. Stelaż mebla wbijał mi się teraz w pachy: wywołany tym tępy ból był jedynym antidotum na nawracające pragnienie płaczu. Ja zaś poprzysięgłam sobie, że *nie* rozplacę się przy mężczyźnie, którego znam tak naprawdę jeden dzień.

Mruknął niezadowolony i poruszył się, raz jeszcze przyprawiając krzesło o „jęk bólu”.

– Lady, to co ja i Atheneowie wiemy o okolicznościach śmierci twojej babki, nie da ci ostatecznej odpowiedzi i nie pozwoli zamknąć tego tematu. A tego, podejrzewam, byś chciała. – W jego głosie na nowo zaczęły pobrzmiwać surowość i reprimenda, a ja poczułam się sprowadzona do poziomu dziecka. Po ojcowskiej trosce nie było już ani śladu.

– *Nie bądź głupia, dziecko! Cóż za brawura – uznać, że jesteś dość duża, by udźwignąć wszystkie moje tajemnice. One by cię tylko zmiażdżyły.*

– *Babciu, to ty dławisz moje dojrzewanie. Odejdź, a wtedy dorosnę i sprostam wszystkiemu!*

– Czy nie jestem dość dorosła, żeby samemu zdecydować, czy mi to pomoże, czy nie? – spytałam ostro.

Wzdrygnęłam się, gdy jego dłoń uderzyła o blat stołu.

– Jesienna Rózo Al-Summers, nie jesteś zdolna do samodzielnego podjęcia jakiegokolwiek decyzji, ponieważ masz obsesję na punkcie zwłok. Tylko ty i nikt inny możesz położyć temu kres, a jeśli nie odpuścisz i nie pogodzisz się z tą śmiercią, będziesz gnić razem ze swoją babką tak długo, aż zostanie z ciebie niewiele więcej niż skóra i kości. Nie czujesz nic. Nie czujesz nawet cienia wyrzutów sumienia, zabiwszy kogoś, czyją jedyną winą było to, że należał nie do tej frakcji. Możliwe więc, że

już jest dla ciebie za późno.

Milczałam zdumiona. Kolejne słowa padły z narastającą mocą i tempem, chłoszcząc mnie boleśnie. Dopiero po minucie byłam w stanie cokolwiek powiedzieć, a i wtedy nie mogłam zdobyć się na więcej niż pełen niedowierzania szept:

– Jak śmiesz tak do mnie mówić?

Przestąpił na lewą nogę.

– To proste. Śmiem tak mówić, bo ktoś wreszcie musiał zerwać ci zasłonę z oczu.

– Kim ty jesteś, żeby pouczać mnie na temat moralności? Jesteś tylko członkiem personelu.

Wtedy, zupełnie dla mnie nieoczekiwanie, roześmiał się. Był to szczerzy, dobiegający z głębi piersi śmiech. Nie takiej odpowiedzi spodziewałam się po moich jadowitych słowach.

– Zdaje mi się, księżno, że zbyt dużo czasu spędzasz z Fallonem. A dla ciebie jestem kimś znacznie więcej niż „personelem”.

Odetchnęłam ciężko zirytowana. Jego odpowiedź mnie rozczarowała, bo ani trochę nie przygasiła tłącego się wciąż we mnie gniewu.

– Nic mi o tym nie wiadomo, żebyśmy byli spokrewnieni.

Jego śmiech stopniowo przycichł. Ponownie usiadł.

– Pokażę ci coś. To jednak oznacza, lady, że musisz odwrócić się twarzą w moją stronę. – W jego głosie znów pobrzmiwało lekkie szyderstwo.

Pomału rozluźniłam uchwyt na oparciu krzesła, by z przymrużonymi oczami obrócić się w końcu w jego stronę. Czekał rozparty na swoim siedzisku z rękami skrzyżowanymi na piersi. Gdy moje kolana wsunęły się pod stół, rozpiął marynarkę i sięgnął do wewnętrznej kieszeni. Zdążyłam zauważyć coś metalowego i pomyślałam, że może to być pistolet. Kiedy jednak klapy marynarki opadły na miejsce, Edmund trzymał w dłoni portfel. Wyciągnął z jego trzeciej przegródki złożony kawałek papieru, po czym odłożył portfel do kieszeni.

– Powiedz mi, kim są ci ludzie. – Położył na stole czarno-białą, mocno pozaginaną fotografię o niewielkich wymiarach. Jej kąciaki były już nieco wyblakłe.

Położył odbitkę na suchej części blatu, z dala od kropel deszczu, więc musiałam się nachylić, by dać radę się jej przyjrzeć. Wystarczyło jednak odgarnięcie mokrych włosów z oczu i jedno spojrzenie, bym natychmiast poznała kobietę pośrodku kadru. Miałam niejedną album pełen jej zdjęć, a jej portrety widywałam w wielu arystokratycznych angielskich domach. Nie żebym potrzebowała przypomnienia, jak wygląda; byłyśmy niemal identyczne: patrząc na jej fotografię, miałam wrażenie, że przyglądam się sobie. Te same jasne kręcone włosy, te same wijące się blizny, ta sama bardzo kobieca budowa podkreślona dodatkowo niewielkim wzrostem.

– To moja babcia – odpowiedziałam. Na zdjęciu wyglądała na niewiele ponad dwadzieścia lat. Nawet kiedy sama już ją znałam, zawsze wyglądała młodo. Jej magia zdecydowanie służyła urodzie i próżności. Przesunęłam teraz palcem w prawo, ku mężczyźnie, który dla odmiany wyglądał na wyraźnie starszego. – To Eaglen. A to... – Zmarszczyłam brwi, przyglądając się trzeciej postaci. Przysunęłam odbitkę bliżej oczu, by upewnić się, czy dobrze widzę.

– To twój ojciec?

Edmund przytaknął ledwie zauważalnym skinieniem głowy.

– Trochę nietypowy tercet, ale byli najbliższymi przyjaciółmi.

Natychmiast uniosłam wzrok, a mój oddech stał się chrypliwy. Wiedziałam o Eaglenie, ale Adalwin Mortheno? Przywódca Athanów? Raz jeszcze przyjrzałam się fotografii. Łatwo było się przekonać, że Edmund mówi prawdę. Wszyscy troje śmiali się, a żadne z nich nie patrzyło wprost w obiektyw. Eaglen ze wzrokiem utkwionym w mojej babci wskazywał dłonią na coś poza kadrem. Pozostałych dwoje, mrużąc lekko oczy, patrzyło w tamtą stronę, a babcia trzymała Adalwina za rękaw, jakby chciała przyciągnąć go bliżej siebie. Stali razem przy okrągłym stawie. Sądząc po ubraniach, jakie na sobie mieli, zdjęcie zrobiono jeszcze przed narodzinami mojego ojca.

Edmund znów zaczął bębnić palcami.

– Ile wiesz o życiu babci w czasach, zanim z nią zamieszkałaś?

Pokręciłam głową.

– Niewiele – mruknął tym razem z troską. – Ale wiesz na pewno, że dziadek zmarł, gdy twój ojciec miał dwanaście lat, prawda? Wiesz też, że moi rodzice rozwiedli się kilka lat przed tym? – Skinęłam głową, choć o tym drugim dotąd nie wiedziałam. – W twojej rodzinie są problemy z płodnością, prawda?

Spuściłam wzrok. *Tak, tak, wiem o tym.* To był właśnie powód, dla którego byłam ostatnim Mędrcom w rodzinie. Większość jej członków nie mogła mieć dzieci; ci, którzy mogli, nie spłodzili więcej niż jedno czy dwoje. I tak, pokolenie po pokoleniu, dom Al-Summers stawał się coraz mniej liczny, by teraz znaleźć się na granicy wymarcia.

– Nie bądź taka przybita. Do czasu, aż zdecydujesz się na dzieci, o ile będziesz chciała je mieć, sprawy będą wyglądać lepiej – zapewnił mnie. Zdobyłam się na słaby uśmiech. Kłopot w tym, że ja nie mogłam, ale *musiałam* mieć dzieci lub choć wskazać dziedzica. Inaczej wydałabym wyrok śmierci na swój ród.

Edmund sięgnął po zdjęcie i uśmiechając się, zaczął z roztargnieniem wygładzać zagięcia.

– Nie wiesz za to tego, że po zdjęciu żałoby twoja babcia bardzo poważnie rozważała wyjście za mojego ojca.

Aż zakrztusiłam się wdychanym powietrzem.

– Co?! – Energicznie pokręciłam głową. – To znaczy, słucham?

Uśmiechnął się jeszcze szerzej, a ja zauważyłam, że znów nie patrzy na mnie, ale w punkt gdzieś ponad moim prawym ramieniem.

– To było platoniczne, zastrzegam, zanim coś sobie pomyślisz. Oboje szukali sobie życiowego towarzysza, a twoja babcia chciała też zapewnić bezpieczeństwo waszej rodzinie i waszemu nazwisku. Było już wtedy jasne, że nie będzie mogła mieć więcej dzieci, a to, że jej jedyny syn urodził się człowiekiem, stanowiło dla niej duży cios.

Nie wiedziałam, co zrobić z oczami. Byłam za to pewna, że nie jestem w stanie patrzeć w tej chwili na Edmunda. Składając w całość kolejne elementy jego wypowiedzi, zaczynałam czuć na dnie żołądka coś na kształt urazy.

– Twoja rodzina nie ma przecież tytułu. To znaczy, że przejęlibyście moje nazwisko i że wżeniłibyście się w *nasz* tytuł i majątek. – Moje spojrzenie stało się gniewne, ale co z tego, skoro utkwiałam je w moich udach. Edmund zaśmiał się tylko.

– Twoja babcia była rozsądniejsza niż ty. W szkicu umowy przedmałżeńskiej wyraźnie zaznaczyła,

że jej tytuł, ziemie i fortuna trafić mają po jej śmierci do twojego ojca, później zaś do jego dziecka, jeśli będzie człowiekiem, lub bezpośrednio do jej wnuka lub wnuczki, jeśli ta urodzi się Mędrce. Jeśli do dziedziczenia doszłoby w okresie niepełnoletności dziecka, Vincent Al-Summers zarządzać będzie jego finansami do dnia jego osiemnastych urodzin. Do chwili ukończenia przez wspomniane dziecko szesnastu lat jego pełnomocnikami w radzie uczyniono Atheneów.

– Ale przecież dokładnie taki układ mamy już z Atheneami, więc jaka byłaby korzyść z tego małżeństwa?

Skinieniem dłoni dał mi znać, bym zamilkła.

– Jest jedna subtelna różnica sprowadzająca się do prostej klauzuli. – Odczekał, aż przesuając się coraz bliżej krawędzi siedziska, zdąży wziąć parę oddechów. Jedno musiałam mu oddać: naprawdę potrafił budować napięcie.

– Gdyby się wtedy pobrali, mój ojciec i cała moja rodzina pozostałaby przy nazwisku Mortheno. Z jednym jednak zastrzeżeniem. Gdybyś urodziła się człowiekiem i albo nie miała potomstwa, albo urodziła wyłącznie ludzkie dzieci, tytuł książęcy wraz ze wszystkim, co się z nim łączy, przeszedłby na mojego ojca. Ja z kolei byłym jego spadkobiercą.

*No to już wiadomo, dlaczego jest wobec mnie taki szorstki. Zrujnowałam szanse jego rodziny na awans!*

– Ło-łowcy posagów... – Nie to właściwie zamierzałam powiedzieć, ale w gruncie rzeczy odzwierciedlało to moje myśli.

Zamknął oczy i pokręcił głową. Wykorzystałam ten moment, by błyskawicznie przesiać się bliżej niego i wyciągnąć zdjęcie z jego dłoni. Przez jedną przerażającą chwilę bałam się, że rozdarłam je tym szybkim ruchem. Na szczęście tak się nie stało.

Otworzył natychmiast oczy i zaskoczony odsunął się ode mnie gwałtownie. Po chwili jednak wyraz jego twarzy znów złagodniał.

– Nic z tych rzeczy. Żadne z nas nie chciało tak naprawdę twojego tytułu. Jego przyjęcie oznaczałoby rozstanie z Atheneą i Kanadą, naszym domem. Byłby to też koniec „dokopywania nieprzyjaciołom Atheneów”, jak zgrabnie ujął to twój nauczyciel. Mamy już swoje lata i nie uśmiechają się nam duże zmiany. Jednak podtrzymanie jednego z najpotężniejszych niezależnych rodów książęcych wszystkich wymiarów, jednego z nielicznych niekontrolowanych przez rodzinę królewską, było dla twojej babci czymś niezwykle istotnym. My byliśmy gotowi jej w tym pomóc...

Na jego twarzy zagościł wymuszony uśmiech, zauważyłam, że przesunął językiem po dolnych zębach.

– ...nawet jeśli rzecz miałaby charakter odwracalny, a kiedyś pojawić by się miała młoda dziedziczka, która postanowi zmieszać swą krew z krwią Atheneów na pasujących jej zasadach... – wzruszył od niechcenia ramionami – na przykład wychodząc za atrakcyjnego młodego księcia.

Energicznym ruchem odłożyłam fotografię na stół, po czym skrzyżowałam ręce.

– Przymknij się, Edmund! Mam dopiero piętnaście lat. – Zaniepokojenie, które poczułam przed minutą, całkowicie ustąpiło. Rzeczywiście nie robili wrażenia takich, którym marzy się wżenie się w tytuł. Zresztą do małżeństwa i tak nie doszło. Postanowiłam spytać teraz, dlaczego się tak stało.

Edmund wygiął wargi w dość ponurym uśmiechu.

– To było w okresie, kiedy twój ojciec zaczął sprawiać kłopoty. Chciał iść na ludzką uczelnię,



pracować w bankowości i Bóg jeszcze wie co. Twoja babcia uznała, że wychodząc za Mędrca, zaogni tylko sytuację. Skupiła się na przekonywaniu syna, by zmienił zdanie. Gdy ten ożenił się jednak z ludzką kobietą, w mojej rodzinie zaczęto planować, jak odnowić porozumienie zawarte przez mojego ojca i twoją babkę. Ona jednak twierdziła stanowczo, że się nie podda: wspierała twoich rodziców przez cały okres leczenia niepłodności i procedury in vitro. Nie masz nawet pojęcia, z jaką ulgą odetchnęła moja rodzina i całe królestwo, kiedy urodziłaś się ty. Naprawdę nie masz pojęcia. – Przesunął dłonią po twarzy w sposób jeszcze bardziej dramatyczny niż Fallon, gdy był zestresowany.

Opadłam na obłe oparcie krzesła i trawiłam usłyszane właśnie informacje. Oprócz kilku ostatnich zdań wszystko, co powiedział Edmund, było dla mnie nowe. Czekał cierpliwie w milczeniu. Przez dłuższą chwilę jedynym ruchem, jaki wykonał, było przygwożdżenie palcem wskazującym zdjęcia do stołu, by nie porwał go wznagający się wiatr.

– Czyli kiedy mówiłeś wcześniej, że mnie pamiętasz... – zaczęłam sondująco.

Powoli skinął głową.

– Kiedy po raz pierwszy pojawiłaś się na dworze, miałaś cztery lata. Ty i twoja babcia zamieszkałyście wtedy nie w waszych apartamentach pałacowych czy którejs z willi w Athenei, ale z nami. Pierwszy tydzień zszedł ci głównie na wrzeszczeniu, że chcesz do domu, i ciągłym budzeniu wszystkich. Zrobiłaś sieczkę z naszego grafiku zmian na służbie.

Otworzyłam usta, zamknęłam je, po czym znów rozchyliłam, układając bezwiednie wargi w imitację cierpkiego uśmiechu. Oczywiście nic z tamtych czasów nie pamiętałam, ale to rzeczywiście brzmiało jak opowieść o małej mnie. Miałam duży problem, by przypomnieć sobie cokolwiek z czasów mieszkania z rodzicami przed rozpoczęciem nauki w St. Sapphire. Chodziłam ponoć do przedszkola z Christy i Tammy, nim przepędziły mnie stamtąd głosy niezadowolonych rodziców. Kiedy jednak próbowałam przypomnieć sobie ich twarze, widziałam tylko białe plamy. Zasłyszana właśnie rewelacja stała się kolejnym elementem wielkiej, szarej mozaiki.

– Kiedy przyjeżdżałaś na dwór w wieku ośmiu–dziesięciu lat, często uciekałaś i chowałaś się razem z dziećmi Atheneów. Nie chciałaś, żeby babcia zabrała cię z powrotem do domu. Kiedyś królowa znalazła ciebie, Chucky’ego i Fallona w szafie. Zagoniłaś ich tam chyba w czasie zabawy w „pogoń za buziakiem”.

Moje policzki rozpały się mało atrakcyjną buraczaną czerwienią. Gdy ukryłam twarz w dłoniach, Edmund się zaśmiał.

– Tylko dlaczego w ogóle nie pamiętam ciebie? – powiedziałam, żeby jakoś mu przerwać.

– Przede wszystkim dlatego, że gdy zaczęłaś dorastać, trzeba było jakoś wprowadzić cię do społeczeństwa. My pracujemy zawsze w cieniu, na tyłach. To oznacza, że zaczęliśmy widywać was obie znacznie rzadziej.

– A co z Atheneami? Czy oni wiedzą o tej całej zażyłości?

Rozchyliłam nieco palce, by przyjrzeć się Edmundowi. Zmarszczył lekko brwi.

– Starsze pokolenie oczywiście wie, ale sądzę, że na przykład Fallon już nie. Kiedy w ubiegłym tygodniu planowano nasz przyjazd tutaj, nie stwierdzono, że Alya lub ja możemy okazać się – jego głos przycichł nieco, a brwi się opuściły – ...nieskuteczni z powodu więzi emocjonalnej z tobą. – Po krótkiej pauzie jego wzrok zatrzymał się na blacie stołu. – Wygląda na to, że ci, którzy wiedzą, albo zapomnieli, albo nie uważają tego faktu za istotny.

– „Nieskuteczni z powodu więzi emocjonalnej”?

– Tak. Wracając do tego, co powiedziałaś wcześniej: nie jestem tylko członkiem personelu. Niewiele brakowało, a byłbym dla ciebie kimś w rodzaju wujka.

Gdy tak to ujął, zobaczyłam nagle całą historię w zupełnie innym świetle. Nie widziałam w nim już prawie dziedzica tylko prawie rodzinę. Zapisałam sobie w pamięci zadanie do wykonania: przejrzeć bibliotekę Burrator i sprawdzić, czy są w niej kroniki matrymonialne. Gdyby słowa Edmunda się potwierdziły, znaczyłoby to, że mam w nim i w jego rodzinie *sojuszników*.

Na moment zamknął oczy, odwracając głowę w stronę drzwi prowadzących na taras.

– Musisz iść – powiedziałam i niechętnie przesunęłam zdjęcie ku niemu.

– Weź je. – Dźwignął się z krzesła i wyprostował. Zaczął się oddalać, ale po kilku krokach zmienił zdanie i wrócił. – Nie jesteś wygnańcem, wiedz o tym. Na dworze jest wielu takich, którzy z radością cię tam powitają, zwłaszcza gdy będziesz w wieku pozwalającym ci zasiąść w radzie. – Ku mojemu zdumieniu nachylił się i ucałował mnie w czubek głowy, kładąc prawą dłoń na moim oklejonym włosami, mokrym od łez policzku. – Pogódź się z przeszłością i naucz podejmować decyzje, moja mała prawie siostrzenico – pogroził mi lekko palcem – ale najpierw leć się przebrać, bo zaraz się zaziębisz.

Po tych słowach zniknął. Wpatrując się w otwarte drzwi, przez które przed sekundą wyszedł, poczułam, jak na moje usta wkrada się uśmiech. Jeszcze chwila i zaczęłam się śmiać, cicho, niemal bezgłośnie. Kiedy po śmierci babci po raz pierwszy wyładowałam w Devonie, siadywałam w oknie, wsłuchiwałam się w ciszę ogrodu i marzyłam o tym, by kiedyś pojawił się nieznany mi, zapomniany dawno krewny – Mędrzec. Ktoś, kto pomógłby mi wrócić do normalnego życia i położyć kres żałobie. Ktoś, kto przełamałby moją niekończącą się samotność. Byłam teraz starsza i wiedziałam, że były to dość nedorzeczne pomysły. A jednak spotkało mnie właśnie coś prawie na miarę moich dziecięcych marzeń.

I wtedy tak po prostu... poczułam się *szczęśliwa*. Pogodziłam się z tym, co wydarzyło się wcześniej tego dnia. W końcu, gdyby nie to wszystko, nikt nie chciałby ode mnie wyjaśnień, nie musiałabym przed nikim uciekać, a Edmund nigdy nie ruszyłby za mną.

Nadal jednak nie zamierzałam żałować tego, którego zabiłam. Żal i współczucie zachowywałam tylko dla Nathana i losu, na jaki się skazał. Nie dawały mi spokoju jego pełen bólu wyraz twarzy i milcząca odpowiedź na moje niedowierzanie. Raz po raz przypominały mi o sobie, a ja wiedziałam dzięki temu, że Edmund się mylił. Nie było dla mnie za późno i wciąż miałam dość krwi, tłuszczu i tkanek, żeby robić swoje.

Było mi żal Nathaniela Rile’a, ponieważ niewinne człowieczeństwo zostało w nim bestialsko zaszlachtowane.

*Jesienna Róża*

Ten dzień wiele zmienił.

Zostałam w Burrator aż do czwartku, do powrotu moich rodziców. Do tego czasu nasz dom znalazł się pod ochroną. To Edmund wziął na siebie rozmowę z rodzicami. Wytłumaczył im, dlaczego nad naszym domem i działką musiała pojawić się tarcza wykrywająca obecność wszelkich „nieupoważnionych” osób oraz dlaczego kilkoro członków Athan Cu’die, zwykle zajmujących się wyłącznie Atheneami i ich najbliższymi, stacjonowało teraz kilka minut od naszego domu, by być w każdej chwili na nasze wezwanie. Matka strzeliła focha, a ja podziwiałam Edmunda, gdy powiedział jej, że gdyby to on sam podejmował decyzję, ochrona byłaby widoczniejsza i silniejsza. Jeśli mój ojciec rozpoznał stojącego przed nim olbrzyma lub skojarzył jego nazwisko, to nie dał tego po sobie poznać.

Szybko zaczęłam żyć według wygodnego schematu: w ciągu tygodnia mieszkałam u Fallona, by w czwartek wrócić do domu i „spędzać czas z rodziną”. Gdy nadchodził weekend, wracałam do Burrator. Oznaczało to, że nie pojawiałam się w pracy, ale po pierwsze, ta stała się już męcząca, a po drugie, ojciec zaczął dyskretnie dawać mi pieniądze, gdy tylko w pobliżu nie było matki. Nie były mi już potrzebne na autobus, ponieważ wozili mnie Fallon i Edmund, więc pewnego czwartku po prostu poleciałam do miasta i kupiłam sobie nową parę butów do szkoły. Dawniej bym takich nie kupiła: były sznurowane i miały wąski obcas. Czułam się dzięki nim nieco wyższa. Paradowałam wzdłuż i szerz mojego pokoju, ćwicząc poruszanie się w nich, dociągając sznurówki i mierząc je w zestawie z różnymi ubraniami. Wydawały się zbyt ładne, by nosić je do szkoły. Miałam nerwy w strzępach, gdy pierwszy raz pokazałam się w Kable na obcasach, mimo że kiedyś często wkładałam do sukien dworskich buty na wyższych obcasach. Mój nowy zakup spodobał się Fallonowi.

W Kable przyzwyczaili się nawet do obecności Edmunda i Richarda. Początkowe damsko-męskie zainteresowanie nimi przejawiane przez Gwen i resztę ustąpiło miejsca niememu podziwowi. Valerie nigdy nie była tak grzeczna. Od dawna nie odważyła się choćby szepnąć złego słowa na temat mój lub Fallona. W każdym razie nie wtedy, gdy istniała jakakolwiek szansa, że ją usłyszymy.

Po raz pierwszy od początku sierpnia Violet Lee nie pojawiła się w wiadomościach o osiemnastej. Przestała także gościć na pierwszych stronach gazet. Nawet w wydaniach „Quaintrelle” z początku października niewiele miejsca poświęcono plotkom o wampirach. Wraz z tym jak końca dobiegła jej medialna wszechobecność, przycichły też moje wizje. Byłam za to losowi bardzo wdzięczna.

Dopiero po dwóch tygodniach uświadomiłam sobie, jak znaczna zmiana we mnie zachodzi. Mogłam teraz przetrwać nie jeden, a dwa posiłki dziennie, a osiem godzin snu wystarczyło mi aż nadto. Ba, nie musiałam nawet codziennie się wysypiać: którejś nocy, gdy Fallon i Alfie urządzili maraton filmowy, nie położyłam się ani na chwilę, a następnego dnia miałam tyle samo energii co zwykle. Wreszcie czułam, że nadążam za życiem i za światem, który jeszcze niedawno zdawał się mknąć obok mnie jak szybko przewijany film. Zrozumiałam, że tak naprawdę to mnie trapiły jakaś nienaturalna powolność i ślamazarność.

Kiedy więc stało się nieuniknione i Violet znów mnie nawiedziła, poczułam się kompletnie rozbita.

Odkryłam, że choć od dzieciństwa znacznie urosłam, wciąż mieszcę się w zagłębieniu pomiędzy

gałęziami drzewa w naszym ogrodzie od frontu. To w tym miejscu szukałam ukojenia po doświadczeniu wizji... Tam, gdzie pień rozwidłał się na czworo, konary utworzyły rodzaj kosza, w którym mogłam wygodnie się oprzeć i z którego nie wypadłabym nawet po zasłabnięciu.

To ostatnie nie było żadną hipotetyczną groźbą. Byłam naprawdę przestraszona, bo już kiedyś do tego doszło. Padłam jak kłoda wprost na kuchenną podłogę. Strach pomyśleć, że miałam w ręku nóż, bo zamierzałam robić obiad. Było dla mnie zupełną zagadką, jakim cudem uniknęłam uderzenia się w głowę albo nadziania na ostrze.

Jedynym ostrzeżeniem, że nadchodzi omdlenie, było przelotne, ale silne klucie w głowie. Nawet teraz wciąż czułam, że bolą mnie skronie.

To, co zobaczyłam, absolutnie nie mogło czekać.

Poczułam poprzedzający ich przybycie powiew magii i zeskoczyłam szybko z drzewa na ogrodową ścieżkę. Jeszcze moment i wylądowało przede mną trzech mężczyzn. Gdy pierwszy zbliżył się do mnie Fallon, zmarszczyłam lekko brwi.

– Leciałeś całą drogę?

Wzruszył ramionami, jakby nie była to żadna sztuka, ale był wyraźnie spocony i musiał odgarnąć mokre włosy z czoła.

– Co się stało? Wszystko w porządku?

Pokręciłam głową, po czym zaprosiłam jego i Edmunda do środka. Richard zdążył już zniknąć. Schyliłam się, by zsunąć z nóg buty, a gdy znów się wyprostowałam, książę położył mi dłoń na policzku i przyciągnął mnie lekko ku sobie.

– Wyglądasz na rozpaloną.

Z szeroko otwartymi oczami wyślizgnęłam mu się z rąk.

– Strasznie głupio mi to mówić, ale śmierdzi od ciebie.

Jęknął coś i odwrócił się, zakrywając twarz dłonią. Przysięgłabym, że słyszałam, jak wymamrotał pod nosem: „Elegancko, Fallon, brawo”. Po Edmundzie widać było, że z trudem pohamowuje śmiech.

– Mogę skorzystać z łazienki? – Książę znów odwrócił się do mnie.

Wskazałam palcem schody na górę, a sama skierowałam się do kuchni. Jeśli chciałam wieczorem coś zjeść (a mój apetyt powracał właśnie ze zdwojoną siłą), oznaczało to, że muszę kontynuować robienie pizzy w ich towarzystwie.

Gdy wracałam do krojenia porzuconej papryki, wszedł Edmund. Musiał przywołać w przedpokoju zmianę ubrań, bo po jego nieodłącznej marynarce nie było śladu, a zamiast białej koszuli miał na sobie szare polo. Zamknął za sobą drzwi.

– Miałaś wizję, prawda?

Skinęłam głową, nie przerywając krojenia. Nie zaskoczyło mnie ani trochę, że zdaje sobie sprawę, co się stało. Mówiąc ogólnie, dobrze wiedział co i jak.

– Jesteś świadoma, że wszystko, co mu mówisz, powtarza wujowi i ciotce, a oni z kolei przekazują wszystko królowi, prawda?

Przestałam na moment siekać paprykę i przymknęłam oczy.

– Wiem. Póki Fallon występuje jako pośrednik, nie mam z tym problemu.

– Jeśli twoje kolejne wizje okażą się prorocze, mogą zacząć budować wokół nich swoją politykę

– ciągnął z naciskiem.

– Wiem – odparłam zbyt pośpiesznie, o milimetry mijając ostrzem palec. Wzięłam teraz głęboki oddech i zwolniłam. – *Wiem*, Edmund, ale jaki ja mam wybór? Im chodzi o Violet Lee, na cholernego Ll'iriada!

Oparł się o ścianę pomiędzy korytarzem a drzwiami prowadzącymi z kuchni do salonu.

– Kiedy Fallon jest w pobliżu, radziłbym inaczej dobierać słowa, panienko.

Posłałam mu wredne spojrzenie pasujące w sam raz do moich słów, po czym pod nosem wymamrotałam wiązaną przekleństw. Odkąd tylko Edmund przyjął na siebie rolę zastępczego wuja, poprawiał mój każdy błąd i występki, począwszy od przeklinania, przez garbienie się, aż po nawyki żywieniowe. O moje nowe buty stoczyliśmy prawdziwą bitwę. Edmund uważał, że jestem za młoda, żeby na co dzień chodzić na obcasach. Wygrałam, argumentując, że buty podobają się księciu.

– Jak wrócisz? – spytałam, pokroiwszy jedną paprykę i zastanawiając się, czy potrzebna będzie druga. – Chyba nie polecisz?

Edmund pokręcił głową i usiadł przy stoliku śniadaniowym.

– O pół do dziewiątej przyjadą po nas samochody.

Przygryzając wargę, spojrzałam na zegar. Dochodziła szósta, więc było aż nadto czasu, żebym zdążyła wszystko opisać. Około pół do dziewiątej mieli jednak powrócić moi rodzice, a absolutnie nie chciałam zafundować im kolejnego spotkania z gwardzistami. Edmund jakby w ogóle nie zwracał uwagi na moje poruszenie. Sięgnął do świeżo skrojonego stosiku i wziął sobie kawałek surowej papryki.

– Oczywiście gdybyście pozwolili nam wzmocnić ochronę wokół domu, co według mnie *jest* uzasadnione, Fallon mógłby po prostu – wrzucił paprykę do ust, rozgryzł ją i przełknął – zostać na noc.

– Edmund! – Piekły mnie oczy, więc szybko przetałam je przedramieniem, by móc zobaczyć wyraz jego twarzy. I bez patrzenia wiedziałam jednak, że przerzucił się na tryb docinającego starszego brata.

– Ja *niczego* nie sugeruję, lady. Myślę tylko, że warto byłoby zgodzić się na wzmocnienie osłony.

Pokręciłam głową, pocierając nią o rękaw swetra.

– Wiesz przecież, że moi rodzice nie chcą niczego rzucającego się w oczy.

– Tak, twoja matka dość jasno dała mi to do zrozumienia.

Opuściłam rękę i wróciłam do krojenia cebuli. Jedna i koniec, postanowione. Nawet jeśli musiałyby starczyć na nas troje. Edmund wyszedł do salonu i zamknął za sobą drzwi, a ja sfrustrowana aż warknęłam nad całą tą cebulą. Po pierwsze, krojenie jej było koszmarem, po drugie, Edmund naprawdę wiedział, jak mnie wkurzyć.

Cebula musiała znosić moje nieporadne siekanie, póki mojej talii nie otoczyły ręce, a dłonie znacznie większe od moich nie odebrały mi noża i nie odłożyły go na bok. Te same dłonie dotknęły zaraz delikatnie mojego brzucha i odsunęły mnie od blatu. I nagle poczułam, jak ucieka ze mnie cała energia, którą udało mi się zachować. Poczułam się nagle kompletnie wycieńczona. Oparłam się ciężko o pierś Fallona i pozwoliłam mu się podtrzymać.

Moja głowa znalazła wygodne oparcie pomiędzy jego obojczykiem, szyją i ramieniem i pozostała tam przez kilka minut. Dopiero po dłuższej chwili poczułam, że nabrałam sił na tyle, by znów stać

o własnych siłach.

Byłam mu wdzięczna, gdy zaproponował, żebyśmy usiedli. Zajął miejsce tuż obok tego, które wybrał wcześniej Edmund, a mnie obrócił na stołku barowym w taki sposób, że nasze kolana się zetknęły.

– Tym razem miałam wizję na jawie. Nie spałam, póki nie straciłam przytomności.

– Zemdlałaś? – Sięgnął szybko przed siebie i chwycił mnie za zdrętwiałe nadgarstki, zupełnie jakby bał się, że mogę zaraz znów stracić przytomność. Wodził szybko oczami po moim ciele, szukając śladów obrażeń.

– Nic mi się nie stało, boli mnie tylko głowa. No i tuż przed tym, jak zemdlałam, poczułam strasznie silne ukłucie bólu. Ale to w ogóle nieważne. Ważne, co widziałam. – Nie cofnął ręk, gdy oparłam łokcie na udach, a głowę na dłoniach. Cierpliwie czekał, aż zbiorę myśli i słowa, co okazało się trudniejsze, niż się spodziewałam. – Wstyd mówić.

– Jak to „wstyd”?

– Chodzi o to, że widziałam, jak Violet Lee i księżę Kaspar Varn... śpią ze sobą.

Zwolnił natychmiast uścisk i puścił moje nadgarstki. Głowa silniej zaciężała mi teraz na dłoniach.

– Violet Lee? – mruknął. – Ale jak? Parę tygodni temu mało nie została zgwałcona. Jesteś pewna, że to była ona?

– Tak, znajdowałam się bardzo blisko. Nie mogłam ich z nikim pomylić.

Znów poczułam pieczenie oczu. Zacisnęłam mocno powieki, wyciągając spomiędzy półmroków umysłu skrzynię, do której chciałam wtłoczyć siłą obraz tamtych dwojga. Na próżno jednak. Czułam się jak podglądacz, to było chore. Obraz był lubieżny, pornograficznie szczegółowy, a ja byłam wściekła na los, że zamiast zesłać wizję bardziej abstrakcyjną, postanowił pokazać mi Violet Lee w sposób tak krępująco dosłowny. Byłam tam z nią i *doświadczyłam* tego samego co ona. Widziałam nagie ciało mężczyzny, niektóre jego części po raz pierwszy w życiu. Widziałam też ją. Słyszałam każde słowo, każde chrząknięcie i jęk. Czułam krew, pot i coś jeszcze na jej rozgrzanej skórze. Byłam razem z nimi aż do chwili, gdy Violet krzyknęła i straciła przytomność. Opadł na nią, omal nie rozgniatając jej nie tak znów drobnego ciała. Zrobił to z przedziwnym rykiem, który – miałam nadzieję – właściwy był wampirom, nie wszystkim mężczyznom.

Potem się obudziłam. Zaczęłam jak nienormalna szorować ręce. Jednym haustem wypiąłam szklankę wody z solą, by zaraz wypluć jej zawartość. Nie potrafiłam pozbyć się obcego dotyku. Odnosiłam wrażenie, że w miejscach, gdzie mnie dotknięto, rozsypuję się jak popiół. Na dłoniach czułam palące kręgi.

Przechyliłam się w przód na krześle, słysząc, jak metalowe nogi trą o kafle na posadzce. W pół drogi ktoś chwycił mnie i ukołysał. Słyszałam dobiegający sponad mojej głowy głos Edmunda. Głos Fallona dobiegał z jeszcze mniejszej odległości. Raz jeszcze oparłam głowę w zagłębieniu poniżej jego szyi.

– Płaczesz – szepnął, pomagając mi usiąść na podłodze. Ramieniem podparł moją bolącą głowę, a palcami otarł łzy z moich policzków.

– To przez cebulę – wybełkotałam. Cieszyłam się przy tym, że mogę chociaż mieć zamknięte oczy. Skronie rozrywał mi pulsujący ból.

Zaśmiał się, a jego ramiona i barki naprężyły się na kilka sekund. Poczułam też, jak napinają się

mięśnie jego klatki piersiowej.

Usłyszałam odgłos wody lejącej się z kranu. Wstałabym natychmiast, gdybym tylko miała siłę. Zamiast tego zdołałam jedynie otworzyć oczy: zobaczyłam Edmunda klęczącego przy mnie ze szklanką w dłoni.

– Wypij – polecił. Moje dłonie jednak nie drgnęły. Uznał to za wskazówkę, by przysunąć brzeg szklanki do moich ust. Fallon odchylił teraz delikatnie moją głowę, a ja pociągnęłam kilka łyków. Woda dobrze mi zrobiła. Była chłodna i ugasiła nieco palący wstyd i nieznośne pieczenie w rozgrzanym ciele. Poczułam, że znów zaczynam jasno myśleć. Położyłam dłoń na podłodze i na początek podparłam plecy. Gdy to się udało, spróbowałam się podnieść. Obaj mężczyźni zaraz chwycili mnie za ramiona.

– Spokojnie, nie jestem nieporadną paniusią w opałach – wymamrotałam, wzruszeniem ramion zrzucając ich dłonie i chwytając się blatu kuchennego.

– Tak wyszło – skomentował Edmund.

Czułam się jak gramolący się niezdarnie niemowlak, po raz pierwszy stojący na dwóch nogach. Obaj gruchali, próbując mi dodać otuchy, a mój prawie wuj zaraz podsunął dla mnie stołek. Działali niezależnie od siebie (przez moment miałam nawet wrażenie, że oczy Fallona stały się zielone, gdy spojrzał na swojego, poprawka, mojego ochroniarza), ale jednak wspólnymi siłami udało im się jakoś usadzić mnie przy blacie. Zaraz dostałam kolejną szklankę wody. Zostało również ustalone, że Fallon pomoże mi dokończyć pizzę, bo ważne, żebym szybko coś zjadła. Edmund był co do tego ostatniego sceptyczny, ale nie potrafiłam skupić się na ich zwięzłej wymianie zdań na tyle, by zrozumieć dlaczego. Ostatecznie wziął gazetę i wyszedł do salonu.

Siedziałam nieruchomo przez kolejnych parę minut. Fallon stał obok, czekając na moją reakcję. Gdy w końcu podniosłam się i zabrałam do krojenia pomidorów, w dalszym ciągu stał nieruchomo. Westchnęłam, sięgnęłam po misę z ciastem i postawiłam ją przed sobą na wyspie kuchennej.

– Rozważuj to i niech lepiej wyjdą ci dwie, bo Richard też może chcieć coś zjeść. Wałek jest w szufladzie za tobą.

O ile ze znalezieniem wałka poradził sobie błyskawicznie, o tyle papier przykrywający miskę zdjął z niej w taki sposób, jakby był saperem dłubiącym przy potężnym ładunku. Przez chwilę patrzył zbity z tropu na ciasto, po czym podszedł do zlewu, żeby umyć ręce. Nim zdążył przełożyć ciasto (które natychmiast zaczęło przelewać mu się przez ręce) na blat, ja skończyłam kroić pomidory i wyciągnęłam wegański ser do utarcia.

Gdy byłam zwrócona plecami do Fallona, zajął się wałkowaniem. Po chwili odwróciłam się, spojrzałam na niego i mało nie upuściłam sera na podłogę na widok tego, co wyrabia.

– Stój, zaczekaj! Musisz to podsypać mąką! – Zerwałam się, błyskawicznie oprzytomniawszy, zabrałam mu wałek z rąk. Ciasto oczywiście przywarło: między blatem a wałkiem ciągnęły się teraz długie, kleiste warkocze.

– Nie przejmuj się nim! – zawołał Edmund z sąsiedniego pomieszczenia. – To niezdara. Do piętnastego roku życia nie potrafił sobie sam zawiązać butów.

Oczy Fallona nabrały znacząco różowego odcienia i spojrzały za mnie gniewnie, gdy stanęłam pomiędzy nim a blatem, by nie narobił więcej szkód.

– Jesteś zwolniony, Edmund – warknął książę; szelest gazety niemal zagłuszył jednak jego słowa.

– Miło wiedzieć, że Wasza Wysokość ceni sobie naszą przyjaźń równie wysoko jak ja – dobiegła z salonu błyskotliwa riposta.

Książę jęknął i odwrócił się z bolesnym wyrazem twarzy, który dał mi znać, że nie tylko mnie Edmund potrafił bez trudu zdenerwować. Było jasne, że nastoletni Mędrzy arystokraci są tematem, który ten facet ma w pełni rozpracowany.

Staralam się unikać kontaktu wzrokowego z Fallonem, bo barwa jego tęczy wcięż niebezpiecznie przywodziła na myśl fuksje kwitnące tuż przed kuchennym oknem. Nie chciałam wpędzić go w jeszcze głębsze zażenowanie. Zajął się porządkowaniem bałaganu, którego narobił. Zaczęłam od oskrobania paznokciami blatu, by uratować tyle ciasta, ile tylko możliwe. Książę pomógł, robiąc to samo z wałkiem. Kiedy już udało się nam odtworzyć dwie kule ciasta, sięgnęłam po stojącą obok torbę mąki. Ta przy otwieraniu rozerwała się, a wprost na twarz księcia poleciała chmura białych drobinek. Musiała minąć chwila, nim mączny tuman opadł i widoczne stały się efekty wypadku. Tak naprawdę dopiero gdy Fallon zaczął kasłać i prychać, powietrze wokół oczyściło się na tyle, bym mogła się przekonać, że wygląda, jakby miał na twarzy kiepski makijaż ducha na Halloween. Jego cera wyglądała na byle jak upudrowaną na biało, włosy były szarawe, a oczy, których kontury okleiła mąka, robiły teraz wrażenie wyłupiastych.

– Stra... strasznie cię przepraszam – powiedziałam cicho, z jednej strony mając chęć się roześmiać, z drugiej czując pewne oderwanie od rzeczywistości. Prychający mąką książę w zwyczajnej kuchni to nie było coś, co widzi się na co dzień.

Sięgnęłam szybko po papierowy ręcznik. Musnęłam jego powieki i mocno wytarłam policzki. Pozwolił mi dokończyć bez słowa ze wzrokiem wbitym w podłogę, gdzie podeszwy jego butów pozostawiły ślady na rozsypanej mące. Kołysałam się nerwowo na piętach. Książę machnął ręką. Pomyślałam w pierwszej chwili, że zbywa w ten sposób moje ponowione przeprosiny, ale gdy poczułam krótkotrwały powiew ciepła bijący od kafli, zorientowałam się, że uprzątnął czarem całą kuchnię.

– Ale... jak? Przecież ty nie gotujesz... – Rozejrzałam się zdumiona. Błaty lśniły czystością i nie leżało na nich nic oprócz perfekcyjnie przygotowanych potrzebnych nam składników.

– W akademikach w Sydney były aneksy kuchenne. Chrzanić to – rzucił i kiwnął dłonią ponad ciastem. W ciągu kilku sekund pojawiły się przed nami dwie pięknie wyrobione pizze z przesadną wręcz górą składników. Sos ściekał leniwie na blat, a ser się na niego rozsypywał.

– Wyczarowane jedzenie nie smakuje tak dobrze jak zrobione samemu – odparłam zamiast podziękować. Po chwili podsunęłam pod ciasto folię do pieczenia.

– Jestem głodny.

Jego słowa zabrzmiały stanowczo. Mógł w gruncie rzeczy równie dobrze powiedzieć: „koniec dyskusji”. Czułam, że nie ma co się spierać, więc po prostu wsunęłam obie pizze do rozgrzanego piekarnika i zaczekałam, aż książę skończy myć ręce. Gdy to zrobił, opadł na stołek barowy, wymamrotał kilka słów, a na blacie zaraz pojawił się stos kremowych kopert.

– Pomyślałem, że mogłabyś przejrzeć ze mną zaproszenia – wyjaśnił. – Wiesz, chodzi o tę imprezę, którą urządzam dla ludzi z Kable. Masz się tym zająć?

Jęknęłam lekko i przysiadłam się do niego.

– Wysyłasz prawdziwe zaproszenia? Papierowe, zaadresowane zaproszenia? – Nie dodawałam już, że wypukłe, tłoczone litery były srebrne, całość opieczetowano herbem Atheneów, a kopert były chyba



setki.

– No pewnie. – Przywołał do rąk nóż do papieru i sięgnął po najbliższą kopertę. – Nie ma mowy, żebym rozsyłał szczegóły SMS-em, nawet z nie swojej komórki, jeśli ma mieć do nich dostęp Gwendolen Daniels.

Wzdrygnął się, a ja z trudem powstrzymałam śmiech. Moje rozbawienie ulotniło się jednak natychmiast, kiedy zobaczyłam wzór karty, którą książkę wysunął z koperty.

– Użyłeś mojego herbu! – rzuciłam oskarżycielskim tonem i natychmiast wyrwałam mu papier z rąk, by przyrzeć mu się z bliska. Po lewej stronie widniało pyszne insygnium Atheneów, stylizowane skrzydlate „A” zwieńczone wymierzonym ku górze mieczem oraz figurą strażnika (w dzieciństwie udało mi się wmówić, że to orzeł). Teraz wiedziałam, że jest to zarazem symbol Dotyku Śmierci i nawiązanie do kanadyjskiego liścia klonowego. Bardziej niepokojąca była dla mnie umieszczona po prawej stronie karty tarcza książęca otoczona sztandarami i mottem rodowym, a u góry zwieńczona trzema różami. Gdyby zaproszenia były barwne, to kolory herbów, idąc od prawej ku lewej, tworzyłyby spektrum od złota i czerni po czerwień i biel. Z jednej strony zwiędła róża symbolizująca Dotyk Śmierci, z drugiej – angielska róża Tudorów.

Spojrzałam znów na księcia, nic nie będąc w stanie poradzić na to, że moje tęczęwki lekko czernieją.

– To przecież twoja impreza.

– To nie jest „moja impreza” – zaprotestował natychmiast, zaginając kartę. – Zgodziłem się na to przyjęcie tylko dlatego, że obiecałaś nie wyprawiać mi urodzin.

Groźne spojrzenie spod przymkniętych powiek musiało na niego podziałać, bo odchylił się na oparcie i sięgnął po kolejną kopertę.

– Nie reklamuję tej imprezy w szkole twoim nazwiskiem, a na zaproszeniu nie ma nawet twojego imienia. W porządku? – spytał, patrząc na mnie bokiem, uśmiechnięty i zarazem lekko poirytowany. Górę wziął jednak uśmiech, bo na jego policzkach pojawiły się dołeczki.

– Nie, nie w porządku, bo zaprosiłaś Valerie Danvers – odparłam z wyrzutem, machając mu zaproszeniem przed nosem.

Raz jeszcze zerknął na mnie, ale tym razem w jego spojrzeniu było coś z reprimendy.

– Myślisz, że gdybym ją pominął, to odnosiłaby się do ciebie lepiej?

Nie spodobało mi się, że mówi do mnie tonem upomnienia. Wróciłam do otwierania kopert. Na kartach wyciągniętych z wielu z nich widniały nazwiska, które zupełnie nic mi nie mówiły. Wyglądało też na to, że absolutnie wszyscy potwierdzili swoją obecność.

– Ile osób zaprosiłaś? – spytałam w końcu, przejrzaawszy kilkanaście kopert.

Nim odpowiedział, przerzucał przez chwilę elementy stosiku, sprawdzając adresy.

– Cały twój rocznik, większość mojego, kilku tegorocznych maturzystów, no i kuzynkę Tammy. W sumie jakieś osiemdziesiąt osób. – Rozdzielił stos zaproszeń na dwie części i przepchnął w moją stronę te przeznaczone dla moich znajomych. – Wątpię, żeby wszyscy dali radę przyjść, ale upewniłem się, że możemy przenocować dwadzieścia osób, gdyby wszyscy zaproszeni na nocleg zdecydowali się zostać. Samochodów jest dość, żeby całą resztę rozwieźć w nocy do domów.

Wszystko zdawało się pod kontrolą. Nie chciałam burzyć jego organizacyjnej iluzji, mówiąc mu, że wszyscy zaproszeni bez wyjątku stawiają się na imprezie, nawet gdyby mieli na nią iść pieszo przez

torfowiska w samej bieliźnie. Wiedziałam już na przykład, że Gwen spędzi całą przerwę międzysemestralną u Christy – żeby być u księcia, zrezygnowała z wyjazdu do Hiszpanii z rodziną. Sama Christy rzuciła pracę jako kelnerka, kiedy odmówiono jej urlopu na *ten* dzień. Tammy z kolei opowiedziała w domu piramidalne kłamstwo o nocnych warsztatach baletowych, dzięki któremu, jak się zdawało, jej i Tee uda się wymknąć nadopiekuńczym rodzicom. Były to oczywiście informacje ściśle tajne. Nie wolno było plotkować o takich rzeczach, gdy całe Kable próbowało robić wrażenie, że z fasonem szykuje się na najbardziej ekskluzywny domowy bankiet w całej historii hrabstwa Devon. Rzeczywistość wyglądała przy tym nieco bardziej prozaicznie: dziewczyny kłóciły się w szkolnej toalecie o stroje, a chłopcy... no cóż – chodziły plotki, że szkolnej pielęgniarce zabrakło już darmowych prezerwatyw.

Westchnęłam i obróciłam się na stołku. Nasze kolana znów się zetknęły, tak jak wtedy, gdy opowiadałam księciu o ostatniej wizji. Zastygł na moment w bezruchu z do połowy rozdartą kopertą w dłoniach.

– Fallon, masz chyba świadomość tego, kim dla nich jesteś? Jesteś gwiazdą, międzywymiarowym celebrytą. A teraz urządzasz w swojej posiadłości przyjęcie. Przyjdą wszyscy.

Oparł łokieć na kuchennym blacie, policzek kładąc na dłoni.

– Skoro tak to nazywasz... – Jego zawadiacki uśmiech rozszerzył się i rozświetlił całą twarz, dowodząc tylko, że moje rozumowanie było trafne. – Moje rodzeństwo nieraz wyprawiało imprezy. Wiem, jak to wygląda, i wiem, jak może się skończyć. Jestem przygotowany na wszystko. – Wyprostował się i położył ręce na kopertach z zaproszeniami, by na koniec dodać: – Twoje przedurodzinowe przyjęcie wypali bez najmniejszego zgrzytu.

MUZA S.A. 8825\_8499

*Fallon*

Wracałem do Burrator sprężystym krokiem. Dzięki temu, że Edmund wyjaśnił swoją relację z Różą, mogłem na dobre pożegnać zielonooką paskudę. Przygotowania do imprezy szły bardzo dobrze. Róża była szczęśliwa. Z dnia na dzień nabierała sił i nie zakłóciła tego nawet jej ostatnia wizja.

Zastukałem do drzwi Alfiego, spodziewając się, że każe mi zjeżdżać do Athenei. Byłem miło zaskoczony, gdy głosy jego i Lisbeth zaprosiły mnie do wejścia. Siedzieli razem na sofie w obszernym przedsiönku jego sypialni. Zawinięta w koc Lisbeth trzymała stopy na jego udach, a on malował jej paznokcie.

Uniósł na moment wzrok i natychmiast rozszyfrował szeroki uśmiech na mojej twarzy.

– Chodzi o Różę? Poczekaj sekundę. Skończę tylko mały palec i możesz zacząć paplać.

Lisbeth z uśmiechem pokręciła głową. Wyłączyła plazmę, na której leciały teledyski, i poczęstowała mnie czekoladą. Pootwierane tabliczki leżały wszędzie dookoła nich. Stałem przez chwilę nieruchomo, z zaciekawieniem i zazdrością przypatrując się tej scenie życia domowego. Rozpieszczanie Lisbeth malowaniem paznokci nie było niczym nowym. Wiedziała, że Alfie, który jako drugi kierunek studiował sztukę, ma pewną rękę. Ważniejsze było to, z jaką miłością i zapałem to robił. Ten widok po raz kolejny utwierdził mnie w przekonaniu, że bardzo mu na niej zależy. Trochę niecodzienny był też wygląd samej Lisbeth, bardzo teraz kobiecej. Uśmiechała się, miała rozpuszczone włosy – była wcieleniem prostego piękna. Jej uroda nie przypominała ani trochę urody Róży, królewskiej, niedostępnej, „z innej ligi”, dla większości ludzi przerażającej.

Alfie skończył i poszedł do łazienki oczyścić palce zmywaczem. Lisbeth cofnęła nogi, żebym miał gdzie usiąść.

– Chory z zakochania – z uśmiechem znawczyni zaczęła na mój widok, gdy opadłem na sofę i ukryłem twarz w dłoniach.

Tyle starczyło, żeby śluza się otworzyła. Nie potrzebowałem dalszej zachęty.

– Jestem w nią *totalnie* wkręcony, a nie wiem, czy ona w ogóle to widzi – zacząłem, mówiąc znacznie szybciej, niż nakazywałaby wygoda słuchaczy. – Trzyma mnie cały czas. To mi nie daje spokoju! Myślę tylko o niej, a spora część tych myśli jest mało grzeczna – wydusiłem z siebie. Lisbeth zapanowała nad sobą na tyle, by tylko skinąć głową, choć założyłbym się, że najchętniej ryknęłaby śmiechem tak jak stojący w łazience Alfie.

– „Ta szczenięca miłość...” – zebrało mu się na cytowanie szlagierów[5]. Gdy wracał do stolika kawowego, jego donośny barytonowy śpiew przerywał raz po raz rechot.

Spojrzałem na niego gniewnie. Gdyby nie to, że był ze mnie dobry kuzyn, zaraz wytknąłbym mu, że po pierwszym spotkaniu z Lisbeth zachowywał się dokładnie tak samo. Oszczędziłem mu tego jednak i kontynuowałem swój sercowy wywód:

– Tylko nie mam pojęcia, jak się do tego zabrać. Nie wiem, co jej mówić ani co robić. Nie potrafię nawet nie zachowywać się przy niej jak pierdoła...

– Na to ostatnie nic się akurat nie poradzi – odparł Alfie, opadając na sofę, wyciągając ręce na boki i rozpierając się na arcywygodnych, wypełnionych pierzem poduszkach. – Od urodzenia jesteś

pierdołą i nic się na to nie poradzi.

Lisbeth rzuciła w niego kawałkiem czekolady owiniętym w sreberko.

– Po prostu bądź sobą, Fal. Jeśli elementem tego jest bycie pierdołą, to niech tak zostanie. Może pokochać cię tylko za to, kim jesteś i jaki jesteś.

– Tylko, widzisz, bycie mną oznacza bycie księciem, a zauważyłaś już pewnie, jaka ona jest niechętna wszystkiemu, co ma cokolwiek wspólnego z rodem Athenea. – Znów ukryłem twarz w dłoniach. – Musiałem zakochać się chyba w jedynej dziewczynie z tego wymiaru, która taka jest.

Lisbeth oparła dłoń na moim ramieniu, po czym pogładziła mnie krzepiąco po plecach. Wolałbym czuć na sobie dłoń kogo innego, ale i tak było to miłe: wróciło mi dobre samopoczucie, które miałem, gdy tu wchodziłem.

– Wiesz przynajmniej, że nie jest twoją koleżanką, ponieważ należysz do tej rodziny. – Westchnęła. – Myślę, że powinieneś po prostu powiedzieć jej, co czujesz.

Popatrzyłem na nich z przerażeniem i natychmiast napotkałem spojrzenie Alfiego, który dyskretnie pokręcił głową. Tymczasem Lisbeth ciągnęła myśl:

– Przerwiesz w ten sposób wszelkie niedomówienia. Jest ryzyko, że nie czuje do ciebie tego co ty do niej – zaznaczyła, choć na jej ustach znów pojawił się uśmiezek znawczyni – ale jakoś nie wydaje mi się to prawdopodobne. Nawet jeśli teraz tego nie przyzna, to po tym, jak dowie się, co czujesz, może szybko zmienić zdanie. Tak było ze mną, kiedy Alfie latem wyznał mi swoją dozągonną miłość.

Przechyliła się przez podłokietnik sofy w stronę Alfiego, po czym marszcząc brwi, odwróciła się z powrotem do mnie.

– Oj, oj. Już ja znam to spojrzenie: „Prywatny czas księcia”. – Postukała palcem w paznokcie u stóp i zadowolona pocałowała mojego kuzyna.

– Do jutra, skarbie.

– „W moim łóżku będzie wiać dziś chłodem” – bez entuzjazmu zanucił barytonem Alfie, patrząc, jak Lisbeth wychodzi, zabierając ze sobą koc i czekoladę.

Już miałem przeproszać kuzyna, że popsułem mu popołudnie, ale on, widząc, że otwieram usta, wstał tylko i wyciągnął z lodówki dwa piwa. Szybkie zakłęcie sprawiło, że kapsle same poleciały do kosza, a Alfie ponownie zajął swoje ulubione miejsce na sofie.

– Robi się z ciebie alkoholik. – Zaśmiałem się, ale uwagi żadnego z nas nie uszło to, jak gwałtownie śmiech uwiązał mi w gardle. Sięgnąłem po butelkę i mocno zacisnąłem dłoń na szyjce. *Każdy radzi sobie inaczej.*

– To, co Lisbeth powiedziała o byciu sobą, było świetne, ale z tym wyznawaniem uczuć uważaj. Nie mów Róży, póki nie będziesz pewien, że poczuje do ciebie to samo. Nie możesz tego schrzanić, stawka jest za wysoka.

– Wiem.

– Jest nam potrzebna. Będziemy udupieni, jeśli nie opowie się po naszej stronie.

Zamaszyście odstawił butelkę na szklany blat stolika. Brzęk zagłuszył mój głęboki wdech. Oczywiście Alfiego były mlecznobiałe.

– Boję się, Al – wymusnęło mi się, nim zdążyłem ugryźć się w język. Czując się jak kretyń, dodałem zaraz: – Chodzi mi nie tylko o powiedzenie Róży, ale o wszystko.

Westchnął, sięgnął po butelkę i przysunął się bliżej. Oparł łokcie na kolanach, po czym przez chwilę przyglądał się naszemu odbiciu w szkle. Naprawdę moglibyśmy uchodzić za braci: nawet zatroskane spojrzenia naszych białych oczu były teraz takie same.

– Przyjeżdżając tu, wiedzieliśmy, na co się piszemy. – Westchnął.

– Ja nie miałem wyboru. Ojciec mi kazał.

– Fal, jeśli sprawa z Różą nie ruszy do świąt do przodu, przeprowadzam się z Lisbeth do kamienicy w Londynie.

Pociągnąłem parę łyków piwa. Zupełnie mi nie smakowało.

– Ta diabelna dziura wysysa ze mnie chęć życia. Poza tym to nie w porządku, że każę jej co tydzień tłuc się tu z Hertfordshire.

Napiłem się jeszcze trochę.

– Nie mam tyle siły co ty. Nie chcę być pionkiem przeznaczenia. Mam serdecznie dosyć tych szachów, tej całej rozgrywki. I nie zamierzam też wciągać w nią Lisbeth.

Dopiłem dwoma haustami zawartość butelki.

– Znajduję w sobie siłę tylko dlatego, że muszę być przy niej. Po prostu nie mam innego wyjścia.

– No i to jest duch bojowy! – Uśmiechnął się i podał mi następne piwo.

– Al, ona widziała, jak Kaspar Varn i Violet Lee uprawiają seks.

Alfie był teraz do mnie zwrócony plecami. W odpowiedzi usłyszałem tylko krótkie chrząknięcie, które równie dobrze mogło być reakcją na to, że kapsel trafił go w czoło. Jeszcze chwila i rozparł się na ulubionej sofie z głową podpartą ramieniem i nogami zwisającymi z krawędzi siedziska. Uniósł świeżo otwartą butelkę piwa:

– Za angielskie dziewczyny!

Zgarnąłem ze stolika drugą butelkę i zawtórowałem mu:

– Za angielskie dziewczyny!

MUZA S.A. 8825\_8499

*Jesienna Róża*

Impreza jednak nie obyła się bez zgrzytu, a to dlatego, że na drodze stanęła polityka. Varnley zwołało posiedzenie trybunału międzywymiarowego po raz pierwszy od śmierci swej królowej Carmen. Ja zaś, po raz pierwszy od śmierci babci, poczułam, że bardzo chciałabym mieć już szesnaście lat i uczestniczyć w jego obradach.

*Ale*, powtórzyłam w myślach, po raz któryś już wchodząc do kuchni na kontrolę, *przyjęcie samo się nie przygotowuje*. Fallon, Alfie, księżę i księżna wyjechali, a Lisbeth miała wrócić z Londynu dopiero po południu. Oznaczało to, że przygotowaniami zarządzam chwilowo ja. To z kolei było równoznaczne z reagowaniem jak przestraszone zwierzę na raz po raz pojawiającego się znikąd Chatwina. Jego kolejne nadejścia wymagały ode mnie wyrzucania z siebie seryjnie odpowiedzi „tak” lub „nie”, po czym i tak stary lokaj pojawiał się dziesięć minut później, by z niezmiennie zdenerwowanym wyrazem twarzy po raz kolejny zadać mi te same pytania i odejść z tą samą tacą zastawioną kieliszkami do szampana.

*Gdybym tylko wiedziała, że urządzenie przyjęcia po athenejsku jest tak stresujące, zaoferowałabym Fallonowi pomoc dużo wcześniej.*

Kiedy wychodziłam schodami ze znajdującej się w podziemiach kuchni, stojący w gabinecie księcia Victorii zegar po dziadku (chodzący mniej więcej punktualnie) wybił pełną godzinę. Oznajmił mi tym samym, że jest mniej więcej pierwsza, a ja westchnęłam ze zniecierpliwieniem, uświadomiwszy sobie, że jestem nieprzerwanie na nogach od ponad trzydziestu sześciu godzin. Z początku myślałam, że moja nowo nabyta zdolność spania co drugą noc to najcudowniejsza rzecz, jaka spotkała mnie od momentu, gdy Fallon odkrył dla mnie słodzenie czarnej kawy syropem klonowym, ale teraz nie byłam już tego taka pewna. Po „londyńskiej łaźni” wygląd gotycko-wampiryczny szybko przestał być modny.

– Niesamowite, jak tu czysto! – Usłyszałam dobiegający od strony drzwi wejściowych głos księżnej.

W panice spojrzałam na swój brzuch, by natychmiast rozwiązać sznurki fartucha i rzucić go najbliższemu służącemu. Następnie pędem ruszyłam w stronę holu, po drodze tonem kierownika rzucając jeszcze do Chatwina:

– Idziemy razem.

Dygnęłam na powitanie, by natychmiast spostrzec, że z wyjątkiem księżnej nikt nie zauważył nawet moich wysiłków. Schodami zmierzał w moją stronę Fallon. Nie przystanął nawet na moment, żeby zrzucić beżową marynarkę, która wyglądała trochę dziwnie narzucona na dworskie szaty. Zaciągnął mnie zaraz na tyły domu. W ciszy podążył za nami Edmund.

– Wczorajszej nocy Kaspar Varn i Violet Lee spali ze sobą – powiedział ochryłym głosem, z czego wywnioskowałam, że on sam nie spał od dawna.

Wydarzenie to tłumaczyłoby nieco sarkastyczny uśmiech starszego Athenei. Ja jednak wciąż jakoś nie mogłam w to wszystko uwierzyć, mimo że scenę seksu widziałam już trzykrotnie. Za ostatnim razem zupełnie na jawie, kilka godzin przed tym, jak miało dojść do niej w rzeczywistości. Przyprawiła mnie o taki ból głowy, że Chatwin musiał zamawiać dla mnie wzmocnione magią napary.

– Wczorajszej nocy? Myślałam, że wtedy w Varnley obradował trybunał? Oni chyba nie zrobili tego tak... pod nosem wszystkich?

– Posiedzenie przeniesiono po południu do Athenei. Reprezentacja ludzka odmówiła obradowania w Varnley. Wygląda na to, że król Vladimir nie chciał pozbyć się Violet z Varnley zbyt późno – włączył się do rozmowy stojący za nami Edmund. Suchy ton nieomylnie wskazywał na to, że jest niezadowolony z obrotu spraw.

– Zabrali ją z Varnley?

– Trybunał orzekł, że dziewczyna ma trwać w nieświadomości, pamiętasz? – odpowiedział pytaniem Fallon. – I w tej sprawie nie zmienili zdania. Zdania nie zmienił również mój ojciec. To była chyba jedyna sprawa, co do której wszyscy się zgadzali.

Opadł ciężko na wiklinowy fotel w oranżerii. Przeszłam po wyłożonej terakotą podłodze, by usiąść obok niego. Wiedziałam doskonale, jak głęboko nie zgadza się z tym akurat postanowieniem trybunału i właściwie byłam gotowa przyznać mu rację.

*Violet Lee nie zasługuje, żeby dowiedzieć się o naszym istnieniu. Taka wiedza mogłaby poza tym wpłynąć na jej decyzję o przemianie.*

Znalazłam sobie wygodny kącik w narożniku sofy i przyjrzałam się obu mężczyznom. Robili wrażenie absolutnie wycieńczonych. Krzesło zaczynało pod ciężarem księcia wysuwać się pomału spod niego. Edmund z kolei wyglądał na tak głodnego, że mógłby sięgnąć wprost do wypielegnowanej sadzawki po swojej prawej stronie i nie bacząc na swój weganizm, zrobić z rybek domowe sushi.

– Sama zobacz... – powiedział krótko, po czym umilkł i otworzył na mnie umysł, zalewając mnie szeregami obrazów. Tym razem nie fatygował się nawet z tłem w postaci ładnych widoczków. Do zobaczenia było tak wiele, że przekopanie się przez wszystko zajęło mi piętnaście minut. Zobaczyłam między innymi, jak Fallon poznaje niesławną Violet Lee i dotykając jej szyi, z uznaniem wypowiada się o jej sile. Patrzyłam, potrząsając głową z nadmiaru emocji, jak Kaspar Varn wybucha gniewem przed całym trybunałem. Słyszałam wściekły krzyk jego ojca, gdy ten dowiedział się, z kim jego syn spędził noc. Widziałam, jak zakazuje tym dwojgu choćby dotykania się. Wreszcie, jak wysyła Kaspara do Rumunii, a Violet Lee postanawia złożyć w ofierze na dorocznym balu Ad Infinitum. Wycofałam się po tym obrazie. To nie był dobry obrót spraw.

Widziałam wcześniej coś, o czym miał się teraz dowiedzieć cały świat. Wierzyłam, że może to się dla nas wszystkich stać źródłem nadziei. Oto Violet Lee okazała uczucie wampirovi. Bo nie było to tylko zmyślne uwiedzenie z jego strony. Ona sama chciała pójść z nim do łóżka, co z kolei oznaczało, że być może bliska jest decyzji o przemianie.

Podzieliłam się swoją obserwacją z Fallonem i Edmundem.

Fallon zareagował dość obojętnie.

– Moim zdaniem nie mamy czasu na czekanie, aż się w nim zakocha.

Wyprostowałam się na kanapie.

– Dlaczego nie?

Edmund odszedł od sadzawki i spojrzał na księcia. Ten ostatni pokręcił głową.

– Widziała to już. – Skrzyżowałam ręce na piersiach. – Posiedzenie zostało zwołane, ponieważ rada wampirów podejrzewa, że Michael Lee zdobył pretekst do rozpoczęcia wojny. Mógłby w imię ratowania córki uderzyć na wampiry.

To stąd ledwie trzygodzinne wyprzedzenie i (bardzo mało eleganckie) zawiadomienie o posiedzeniu w środku nocy. W Varnley musieli być przerażeni. Unosząc brew, spytałam:

– A tym pretekstem jest...?

– Przepowiednia. Ściśle mówiąc, jedna z naszych przepowiedni.

– Która?

Fallon nieco teatralnie wzruszył ramionami z takim samym nagłym przypiływem energii, jak gdy mnie tu ścigał.

– Mieli nadzieję, że to im właśnie powiemy.

– Krążą plotki na temat Przepowiedni o Bohaterkach – wtrąciłam z obojętnym wyrazem twarzy.

Fallon raz jeszcze wzruszył ramionami.

– A będzie tylko gorzej. – Edmund westchnął.

Księżę spojrział na niego ze zdumieniem, jakby było czymś absolutnie niedorzecznym, że sytuacja mogłaby stać się jeszcze trudniejsza. Fakt, przetrzymywanie zakładniczki politycznej przez istoty, które ta przez całe życie uważała za zmyślane, to już sporo.

– Rozmawiałem dziś rano z szefem straży w Varnley. Violet Lee i Kaspara Varna ścigało podczas ich powrotu dwoje łowców. Są przy tym solidne podstawy, by podejrzewać, że tymi łowcami byli Giles Randa i Abria Pierre.

Mało nie zerwałam się z kanapy. To chyba ci sami łowcy, którzy przyszli z Extermino! Jedno spojrzenie na Edmunda i wiedziałam, że się nie mylę.

Fallon podjął jednak inny wątek.

– Pierre? – spytał tak jadowicie, że aż poczułam potrzebę, by znów się oprzeć.

– Tak. Abria Pierre ma piętnaście lat i jest córką Johna Pierre'a. Odkąd w „londyńskiej łaźni” zginął Claude Pierre, to ona dziedziczy przywództwo w klanie. I nie ma wątpliwości co do tego, że chce zemścić się na Varnach za zabicie brata. – Edmund głęboko zaczerpnął powietrza, by kontynuować obszerne wyjaśnienia. – Co ważniejsze, poszlaki, które widzieliśmy w Kable, nie były ani trochę przypadkowe. Ci łowcy nie byli rebeliantami, którzy dołączyli do Extermino. To ludzie z samego rdzenia klanu, świadomie zaangażowani w wysiłki ministra Lee, by odzyskać córkę. Wygląda na to, że służą teraz więcej niż jednemu panu.

– Czyli to coś w rodzaju... – szukałam słów, którymi mogłabym podsumować jakoś to, co właśnie usłyszałam – międzywymiarowej zмовy kilku frakcji?

Edmund uniósł brew.

– Ładne. Z tym właśnie mamy do czynienia. Pierre, chri'dom, Lee, rozbójnicze wampiry i prawdopodobnie ta szemrana rodzina Szkarłatnych zjednoczyli się. I to zjednoczyli w momencie, kiedy my jesteśmy podzieleni, słabi i pogrążeni w kryzysie spowodowanym sprawą Violet.

Miałam ochotę powiedzieć mu, że fatalnie się w tej chwili sprawdza w roli zastępczego wujka. Zalewanie mnie całym czarnowidztwem i pesymistycznymi teoriami nie pomoże w sprawnym przygotowaniu przyjęcia. Sęk w tym, że to właściwie nie były już teorie. Któraś z grup rozłamowych najwyraźniej odkryła sens starego porzekadła: „Wróg mojego wroga jest moim przyjacielem”. No i się zaczęło.

Edmund, który najwyraźniej zorientował się, że zdołał przerazić swoich dwoje nastoletnich



podopiecznych, dodał zaraz pospiesznie:

– Ale nie ma bardziej odpowiedniego człowieka, by nas przez to wszystko przeprowadzić, niż twój ojciec. Pamiętaj, Fallon, że przy nim i twojej matce w samym tym stuleciu przebrnęliśmy przez dwie wojny światowe.

Porównanie dzisiejszej sytuacji do wojen światowych nie było specjalnie pokrzepiające. Fallon uznał, że to właściwy moment, by przeprosić nas i pójść się zdrzemnąć kilka godzin.

Edmund stał bez ruchu z rękami skrzyżowanymi na piersi i mi się przyglądał.

– Jesteś za młoda na to, co się dzieje. Nie poradzisz sobie z tym, co czeka ciebie i nas.

Nim zdążyłam przetrwać jego słowa, odszedł długim białym korytarzem. Minąwszy szereg drzwi do pomieszczeń dla służby, skierował się do głównego holu.

– Edmund, wróć! Masz mi wyjaśnić, o co ci chodziło! – krzyknęłam za nim. Słyszała mnie przez drzwi prawdopodobnie cała służba kuchenna, ale ja ani myślałam hamować w tej chwili gniewu. – Jeśli to miało być o moich wizjach, to...

Nie było sensu ciągnąć. Po Edmundzie nie było już śladu. Wróciłam więc do oranżerii. Ledwie przekroczyłam próg, gdy woskowany liść białej lilii, tak rozłożystej, że ugiwała się pod nią łodyga, zapłonął. Byłam zaskoczona tym, jak skuteczną podpałką się okazał: po chwili nic już z niego nie zostało. Jeszcze chwila i spaliła się również sama biała lilia. Zostawiałam za sobą stosik popiołu.

– Kurde, dlaczego nikt mi nigdy niczego nie wyjaśnia?! – syknęłam ze złością.

MUZA S.A. 8825\_8499

*Jesienna Róża*

Uścisnęłam Lisbeth, gdy tylko odsunęła suwak pokrowca. Naprawdę nie mogła wybrać nic lepszego! Kiedy jednak włożyłam sukienkę, zaczęłam mieć wątpliwości.

– Trochę krótka – kwęknęłam, obciągając podwójnie przesyty rąbek. Odstawał mi nieco od bioder, gdy tymczasem leżąca bliżej ciała półhalka jakimś cudem uporczywie opinała mi udo, w dodatku zbyt wysoko.

– Nie krótsza niż to, co będą na sobie mieć inne dziewczyny – przypomniała mi siedząca przy toalecie Lisbeth. Czar robił swoje: jej makijaż był prawie gotowy. Nie próbowałam zaprzeczać; miała rację. Mój telefon wibrował niemal non stop przez całe popołudnie – kolejne dziewczyny dobijały się do mnie, chcąc upewnić się o trafności doboru swoich kreacji. – Chciałaś, żebym znalazła dla ciebie coś na dzisiejszy wieczór. Moim zdaniem idealnie ci pasuje.

Miała rację. Sukienka miała wszyte fiszbiny, więc działała w gruncie rzeczy jak gorset, ściskając mnie w pasie. Nikt nie mógł mieć teraz cienia wątpliwości, że już w tym wieku moja figura idealnie oddaje kształt klepsydry. Całość była czarna, sukienkę ozdobiono drobną koronką i różami zachodzącymi lekko ponad dekolt bez ramiączek. Dzięki nim i o ten obszar ciała nie musiałam się martwić.

– Wszyscy będą pod wrażeniem. Wyglądasz przepięknie!

Wsunęłam stopy w czarne szpilki (które na pewno wzbudziłyby sprzeciw Edmunda) i już nieco wyższa spojrzałam na nią. Dobrze wiedziałam, do czego pije. Chodziło jej o to, że pod wrażeniem będzie *Fallon*. Nie odpuszczała tematu od dwóch tygodni.

Sęknęłam w tym, że nie byłam wcale taka pewna, czy zrobię odpowiednie wrażenie. Włosy zostawiłam rozpuszczone i naturalnie kręcone, ale z jednej strony podpięłam je wsuwką z wzorem róży, odsłaniając ucho – to nigdy mu się nie podobało. Gdybym jednak zostawiła włosy zupełnie luźno, denerwowałyby mnie przez cały wieczór.

– Przestań się bawić włosami. – Lisbeth podeszła do mnie i objęła dużą dłonią mój nadgarstek. Wzięła mnie za rękę i razem wyszliśmy z pokoju, by zejść na dół.

Czekali tam już na nas dwaj młodzi książęta (książę i księżna pojechali na „randkę”). Po popołudniowym odpoczynku obaj wyglądali świeżo, zupełnie jakby trudy ostatniego dnia nie zrobiły na nich wrażenia. Tego zresztą chcieliśmy wszyscy: na jedną noc zapomnieć o wszystkim, co się wydarzyło i co może się jeszcze wydarzyć.

Alfie, jak zawsze ubrany swobodnie, zdecydował się na rozpiętą marynarkę i koszulę bez krawata. Do kieszonki na piersi wsunął jednak niebieską chusteczkę pasującą idealnie odcieniem do sukni Lisbeth, zupełnie jakby wykonano je z tego samego jedwabiu. Wystąpił o krok naprzód i wziął jej dłonie w swoje, by następnie przesunąć rękami w dół i położyć je na jej biodrach, które – magia sukni – robiły teraz wrażenie szerokich i kobiecych.

– Wspaniale wyglądasz – powiedział. Spojrzał jej przy tym w oczy i nie spuszczał wzroku, póki ja nie weszłam mu w pole widzenia, zbliżając się do Fallona. – Ty też, Różo – dodał zaraz.

Odpowiedziałam mu lekkim uśmiechem, po czym skupiłam całą uwagę na młodszym księciu. Może i ciałem przypominał swojego kuzyna, ale jeśli chodzi o styl, trudno byłoby znaleźć dwóch tak

różnych jak ci dwaj. Fallon miał na nogach wypastowane lśniące mokasyny. Jego czarne spodnie i marynarka wyglądały tak świeżo i czysto, że w świetle unoszących się ponad nami lampionów przywodziły na myśl welur gnieciony. Aż korciło mnie, żeby wyciągnąć dłoń i upewnić się dotykiem. Po kilku sekundach byłam już jednak dość blisko, by z pewnością stwierdzić, że patrzę na bawełnę. Pomiedzy klapami marynarki dostrzegłam kawałek dwuwarstwowej szaro-czarnej kamizelki, a szyję księcia zdobiła muszka.

Chłonełam wszystkie te szczegóły i gorączkowo starałam się wymyślić, co powiedzieć, bo dotarłszy wzrokiem na wysokość jego włosów (z którymi akurat nic nie zrobił), spostrzegłam, że on też bardzo uważnie mi się przygląda.

– Gospodarz w każdym calu – padło w końcu z moich ust. Uśmiechnęłam się przy tym i rozchyliłam nieco ręce, tak naprawdę mając ochotę powiedzieć: „wyglądasz niesamowicie”.

– Wyglądasz... – Pokręcił lekko głową, nie zamykając nawet ust. Następnie przechylił głowę nieco na bok. – Brak mi słów.

Uśmiechnęłam się i wbiłam wzrok w jego buty.

– Ładne – wymamrotał, sięgając do wsuwki w mojej fryzurze. Cofnął rękę, delikatnie przesuwając przy tym palcami po moich włosach. – Podoba mi się twoje uczesanie, księżno.

W tym momencie mnie miał. „Kokon” w moim żołądku pękł i wyleciały z niego motylki, które w mgnieniu oka opanowały całe moje ciało. Gdybym w tej chwili spróbowała użyć magii, na pewno spaliłabym niechcący cały dwór.

Zamiast jednak czarować, zaraz miałam ochotę nabić na pal Alfiego, który sprawił, że czar chwili prysł: tak po prostu głośno i paskudnie odchrząknął. Lisbeth dała mu natychmiast kuksańca, ale on zachował niezmacony spokój.

Mniejsza z tym. Czułam, jak ogarnia mnie ciepło, takie, jakie potrafią wytwarzać tylko ludzie. Nim zdążyłam ogrodzić umysł przed nadchodzącym zalewem paplaniny, do środka zdążył wśliznąć się Edmund.

*Róża, przy południowej bramie są już twoi przyjaciele. Choć w tej chwili nie mógł mnie widzieć, skinęłam głową. Słowa Edmunda znaczyły tyle, że tamci byli w stróżówce przy bramie dla gości. Czekala ich teraz kontrola bezpieczeństwa. Trzymaj się. Na moje oko Gwen już coś łyknęła.*

Fallon się skrzywił, a Alfie zaśmiał:

– Nie mogę się doczekać.

\*\*\*

Następna godzina była istnym pandemonium. Pierwsze pojawiły się Tammy i spółka. Widziałam ich oszołomienie, ale nie miałam czasu zrobić nic więcej, niż skinąć ośmielająco i wskazać im salę balową. Goście napływali nieprzerwanym strumieniem, a ja zostałam uziemiona w holu w charakterze hostessy. Po iluś powtórzeniach stałam się jak automat: po prostu włączałam raz po raz odtwarzanie, a z moich ust płynęły objaśnienia na temat lustrzanej sali balowej wzorowanej na tej znajdującej się w Wersalu i dobudowanej już po nabyciu posiadłości przez Atheneów. Większość gości aż śliniła się na widok luksusowych wnętrz.

Gdy wreszcie dołączyłam do przyjaciółek, dochodziła dziewiąta. Stały w grupie, zbyt onieśmiałe, by podejść do któregoś z chłopaków, a przez moment wręcz sztywne ze strachu – gdy

Alfie i Lisbeth podeszli, żeby się im przedstawić. Pozostawione sobie samym dziewczyny były jednak rozmowne i strasznie rozentuzjasmowane. Słowa Edmunda na temat „rozgrzewki” w wykonaniu Gwen okazały się trafne. Teraz zresztą też wszystkie piły. Raczyły się bąbelkami, chichocząc na widok kelnerów roznoszących koreczki (które też stanowiły dla nich fascynującą nowość). Fallon, rzecz jasna, z wyprzedzeniem zamówił speców od kuchni i cateringu... z Athenei. Uważał chyba, że tacy, którzy nie spędzą najpierw absurdalnej liczby godzin w samolocie, nie będą dość dobrzy na jego imprezę.

Przeprosił nas kilka minut temu, by pójść przywitać ostatnich gości. Ja musiałam wysłuchiwać bardzo plastycznego, ale i nudnego występu Gwen opowiadającej z przejęciem, co najchętniej zrobiłaby z kelnerem (który stał na tyle blisko, że prawdopodobnie wszystko słyszał). Wtem jednak jej gdakanie ustało.

Ktoś chrząknął tuż za moimi plecami.

– *Sarlane, rafiki*. Witaj, przyjaciółko.

Byłam kompletnie zszokowana, słysząc swój rodzimy język brzmiący z natychmiast rozpoznawalnym akcentem. Minęło dobrych kilka sekund, nim wyrwałam się z osłupienia i odwróciłam.

– Jo! – Nie mówiąc nic więcej, padłyśmy sobie w ramiona. Skakałyśmy i piszczałyśmy, póki kolejne chrząknięcie nie sprowadziło mnie na ziemię.

Wrócił i stał tuż za mną.

– *So'yea ar en manta t'ea rarn!* – powiedziałam do księcia. Miało to zabrzmieć jak reprimenda, ale w moim głosie słychać było głównie rozbawienie.

Poprawił się, uśmiech zamieniając na wyraz udawanej pokory, gdy sięgnęłam do bioder i zdjęłam z nich jego dłonie.

– Przyniosę wam drinki, musisz jakoś nadgonić. – Zaśmiał się i pospiesznie się oddalił.

Gdy tylko mogłyśmy mieć pewność, że nas nie słyszy, Jo ułożyła usta w niemą imitację okrzyku radości.

– *Wow!* – wyśpiewała niemal. – *Wow, wow, wow!* To *Athenea!* Jesteś tu z *tym Atheneą!*

– Zauważyłam.

– Daj spokój, to przecież niesamowite. Do tego księżę Fallon załatwił mi specjalne pozwolenie na skok międzywymiarowy. Ty mu się musisz naprawdę podobać! A swoją drogą, ależ to jest genialny sposób podróżowania! Samolot się nie umywa.

Na sensowną rozmowę nie było na razie szans, więc dałam jej swobodnie paplać. Zastanawiałam się jednocześnie, jak ja wytrzymałam tyle czasu bez energii, którą ta dziewczyna promieniowała.

– Mam ci tyle do opowiedzenia! Pamiętasz ze szkoły Jamesa Funnela? Rozprawczył się z... – ściszyła głos i rozejrzała się na boki – ...z ludzką dziewczyną. Ta jego Raine jest fatalna. Spiknęła się z jakąś dziwną ekipą. Ci ludzie zachwycają się, jak to super jest palić i, wyobraź sobie, pić krew. Niby się od tego odlatuje. To taka nowa moda, która zaczęła się po tym, jak porwano Violet Lee...

Jo odstąpiła nagle ode mnie i zachwiała się, jakby stanęła na krawędzi przepaści. Złapawszy równowagę, z szeroko rozwartymi oczami ukłoniła się na tyle nisko, na ile tylko mogła w sukni balowej. Z pewnym wahaniem również moje ludzkie przyjaciółki (o których zupełnie zapomniałam) grzecznie dygnęły.

– Książę Alfred – wydukała drżącym głosem.

Alfie przekrzywił głowę na bok i puścił do mnie oko. Staliśmy teraz we dwoje pośród grupki dziewcząt zgiętych w ukłonie.

– Widzę, że Fal dostarczył ci już prezent niespodziankę. Myślę jednak, że przyjemniej będzie, jeśli twoja przyjaciółka się wyprostuje i spróbuje szampana. Naprawdę fajnie uderza do głowy.

Jo zaśmiała się nerwowo, po czym wyprostowała się, ściskając kurczowo rąbek swojej bordowej sukni. Mocno się przy tym czerwieniła. Zakonotowałam sobie w pamięci, by koniecznie spytać ją, czy podczas spędzonego na dworze lata spotkała kogoś z Atheneów. Nie wyglądało na to.

– Jestem niesłychanie wdzięczna, że Wasza Wysokość wpuścił mnie do swego domu... Szczególnie zważywszy na... okoliczności. – Jo zerknęła na mnie, ale to przelotne spojrzenie powiedziało mi wszystko: wiedziała, w jak zagmatwanej sytuacji się znaleźliśmy.

– Moglibyśmy zmienić nazwisko rodowe na „Okoliczności” – powiedział Fallon, wyłoniwszy się zza moich pleców. – Nie kłopotz się nimi.

*Więc po co w ogóle im o tym mówić?* No, chyba że miała to być przestroga – subtelne wskazanie, jak niebezpieczny i wielopoziomowy jest świat rodzin królewskich. Samo to napomnienie sprawiło, że Jo niemal zaczęła dygotać.

Gdy tylko nadarzyła się okazja, wyciągnęłam Jo z sali balowej do sąsiadującej z nią eleganckiej toalety dla gości. Podciągnęłam się na blat pomiędzy umywalkami, by siedząc na nim, dać odpocząć bolącym stopom.

– Rany, Jo – szepnęłam, biorąc ją za rękę – jak ja bym strasznie chciała, żebyśmy znów byli dziećmi!

Wbiła wzrok w podłogę.

– Spodziewałam się, że może zejść na wspominki o pani profesor... znaczy, o twojej babci.

Zsunęłam się z blatu i stanęłam twarzą do lustra. Przesunęłam palcami pod jednym okiem i pod drugim, żeby utrzymać w ryzach rozmazujący się makijaż.

– Moja babcia nie żyje, Jo. Wiem o tym.

A jednak żyła i patrzyła na mnie wprost z lustra. Była w moich włosach, moich bliznach i moich piersiach... Była nawet w moim cieniu. Ona *była* moim cieniem – cieniem, który ani na moment mnie nie opuszczał.

– Nie gniewam się już na nikogo o powiązania z tą sprawą. Nawet na Atheneów. Już mi przeszło.

– Ale się boisz. Atheneowie też. To się od razu dało zauważyć przy zaproszeniu. Cała ta ochrona. Poza tym dlaczego przestałaś pisać w mailach, jak się rozwija sytuacja? Wysondowałaś, czy Atheneowie wiedzą, kto ją zabił?

Po raz kolejny już byłam pod wrażeniem tego, jak mocno trzyma rękę na pulsie. *To naprawdę aż takie oczywiste? Czy wszyscy tam na zewnątrz wiedzą, że nie dajemy sobie rady? Że Violet Lee może nas wykończyć? Rozerwać kończy na po kończy i zostawić na śmierć?*

Oczywiście pytań tych nie zadałam głośno. Miałam poczucie, że moim obowiązkiem jest uspokoić Jo – tak jak wtedy, kiedy byłyśmy dziewczynkami. W naszych zabawach to ona była zawsze córką, a ja matką; ona pacjentką, a ja lekarką; ona damą dworu, ja królową.

– Wiedzą, ale w tej chwili to nieważne. Jest sporo innych rzeczy, o które musimy się teraz martwić,

sama wiesz. Nas też jakoś to wszystko dotyka, a lenie warto, żebyśmy z tego powodu zmarnowały sobie imprezę.

Jo rozkrzyżowała nogi, podniosła się i stanęła za mną. Starła się podchwycić w lustrze moje spojrzenie, ale nie pozwoliłam na to.

– Masz rację. Ale skoro wybaczyłaś Atheneom, że nie powiedzieli ci o...

– Nie wybaczyłam im. Po prostu się z tym oswoiłam.

– Jesteś z nimi teraz bardzo blisko. Czy ty i księżę Fallon będziecie razem?

Zacisnęłam na moment wargi.

– Dosyć to śmiało z twojej strony.

– Co jest niby „śmiało”?

Następne wypowiedziane przeze mnie zdanie zagłuszył podekscytowany pisk Gwen. Zamknęłam usta. Do łazienki wpadły też teraz Christy, Tammy i Tee. Wszystkie wyglądały na bardzo zaintrygowane. W lustrze obserwowałam ich odbicia.

– No i?

– Jest coś grane między Jego Wysokością a Różą – powiedziała Jo, z ekscytacją zwracając się w stronę moich szkolnych przyjaciółek. Odpowiedziało jej chóralne westchnienie podziwu.

– Od kiedy? – spytała natychmiast Gwen, chwytając blat po mojej lewej stronie w taki sposób, jakby chciała spróbować wyciągnąć go ze ściany.

– Poczekaj! Chodzi mi to, że *powinno* coś być grane i powinni się umawiać – poprawiła się Jo, zaniepokojona energiczną reakcją Gwen. – To by było idealne, co? Wyobraź sobie, zupełnie jak w bajce. No i pomyśl, w ilu pismach byłaby Róża.

*Co za radość*, pomyślałam. Zakłębem przywołałam do rąk podkład i pozwoliłam magii robić swoje. *Czy do niej dotarło to, co pisałam w mailach? Przecież nie chcemy na siebie zwracać uwagi!*

Kiedy ustały chichoty, Gwen wzięła na siebie rolę rzeczniczki.

– A tak serio, to zajmij się tym tematem, bo masz największe szanse z nas wszystkich. Dobierz mu się do bokserek i tylko powiedz nam potem, czy ta górka na spodniach to konkret, czy jakaś ściema. Okej?

– Gwen, kretynko. Róża mogłaby dostać kutasem w twarz, a dalej by nie wiedziała, co z nim zrobić. – Do środka, zatrzasnąwszy za sobą drzwi, weszły Valerie Danvers i jej dwie psiapsiółki. Odwróciłam się na pięcie, by stanąć z nimi twarzą w twarz. Zasłaniałam teraz sobą szeroką umywalkę, zupełnie jakby była dzieckiem, którego przysięgłam bronić.

– Idź stąd, Valerie – odważnie rzuciła Tee, a ja poczułam dreszczyk dumy. Uratowałam kiedyś Tee przed Valerie i wiedziałam, że ta dwunastoletnia dziewczynka boi się naszego szkolnego zbira dwa razy bardziej niż ja. – I nie opowiadaj świństw – dodała zaraz.

– To, że ty jesteś takim zwierakiem, nie znaczy, że my wszystkie też musimy – rzuciła ostro Gwen, podchodząc do Valerie tak blisko, że niemal zetknęły się twarzami.

W lustrze po mojej prawej stronie zobaczyłam, jak Valerie przygryza wargę i unosi wysoko brew.

– I kto to mówi! Sama byś sobie podymała Mędrców, gdybyś tylko mogła. Co, może nie?

Gwen zrobiła kpiarską minę, ale wycofała się jak niepyszna. W tej samej chwili Jo wodząca dotąd wzrokiem od jednej dziewczyny do drugiej podniosła się cicho, podeszła do mnie i wzięła za rękę. To

samo zrobiła zaraz Christy.

Valerie czuła chyba, że zwycięstwo jest bliskie, bo ruszyła w naszą stronę. Nagle jednak na drodze stanęła jej drobna postać Tee. Dwunastolatka była za mała i na tę imprezę, i na ewentualny sparing, ale nie odstępowała swojej kuzynki na krok. Wyprężyła się na całe swoje metr pięćdziesiąt, po czym, patrząc spode łba na Valerie, powiedziała:

– Nie przeklinaj i przestań być taka wredna. Nikogo nie obchodzi, co sobie myślisz, więc daj nam spokój!

Jej słowa sprawiły, że Valerie zamknęła się na całe dziesięć sekund. Następnie przykucnęła gniewnie tak nisko, że pod zawiniętą sukienką zobaczyłyśmy cień jej krocza.

– A mnie nie obchodzi, co masz do powiedzenia, kurduplasty czarn...

– Nawet o tym nie myśl – syknęłam, unosząc dłoń. Kula energii przeskakiwała pomiędzy moim kciukiem a palcem wskazującym. Moja krew wrzała, ale oczu nie przysłaniała mi czerwona mgiełka. Panowałam nad wszystkim, a póki miałam kontrolę, wiedziałam, że nie dam nikomu zrobić Tee krzywdy. – To damska łazienka. Tutaj książę cię nie osłoni! – Zrozumiała natychmiast, że pora wyjść, ale ja nie zamierzałam tak tego zostawić. Szłam tuż za nią, a ona cały czas miotała zniewagi pod moim adresem. Że snobka, że wnusia babci, że tytuł... Nie zwracałam na to najmniejszej uwagi. Doszłam za nią do samej sali balowej. Tam w końcu zatrzymała się, obciągnęła sukienkę i chwiejąc się na obcasach, rzuciła pod moim adresem:

– Nienawidzę cię!

Obeszłam ją, by spojrzeć jej w twarz. Kipiła od emocji, a jej twarz była nabrzmiąta i czerwona. Poczulałam po chwili, że uśmiecham się z wyższością. Sprawiało mi satysfakcję, że mogę wyzwolić w kimś tak silne uczucia. *Ale głupio ona teraz wygląda...*

– Z wzajemnością. – Dygnęłam lekko, obróciłam się na pięcie i odeszłam.

Minęłam schody, widząc mnóstwo twarzy wyrażających podziw, przemknęłam slalomem przez tłum gości. Obeszłam łukiem salę lustrzaną i przylegający do niej pokój. Stopy niosły mnie dokąś, ale nie wiedziałam jeszcze dokąd. Jeszcze kawałek i same przystały – jedna przed drugą. Ugięłam kolana, skłoniłam się.

– Wasza Wysokość.

– Czy mam wywalić stąd Valerie? – spytał.

Pokręciłam głową i uśmiechnęłam się.

– Dziękuję, poradziłam sobie.

Wyglądał na bardzo zaskoczonego, ale był zadowolony. I nie przestając się uśmiechać, wziął mnie za rękę. Ruszyliśmy razem przed siebie, a ja widziałam, jak żyła na jego szyi lekko pulsuje.

– Zatańcz ze mną – powiedział.

Muzyka właśnie się zmieniała. Mocny, rytmiczny bas ustąpił szmerowi pianina, a w miejsce powtarzalnego, mechanicznego wokalu zabrzmiał śpiewny kobiecy głos.

– Chyba już nie umiem. Zapomniałam.

– Ale ja umiem – szepnął mi do ucha. Pokręciłam lekko głową i cicho odmówiłam, ale on zaraz mnie uciszył i przekonał – nie słowami, nie dłońmi, lecz spojrzeniem. – Poprowadzę cię, ty o nic nie musisz się martwić. Niczego się nie bój, nie teraz. Po prostu tańcz ze mną.

I ruszyliśmy obok tłumu, który chwilę wcześniej rozstał się przede mną. Mignęły mi gdzieś jak przez mgłę postacie Alfiego i Lisbeth, ale tak naprawdę widziałam teraz tylko Fallona. Czułam ciepło i pot na naszych splecionych dłoniach, czułam stopami drżenie jego kroków. Gdy mówił coś do stojących obok, nawet go nie słyszałam.

Rozdzieliliśmy się na tyle tylko, by się sobie ukłonić, po czym zaraz z radością dałam mu się wziąć w ramiona. Poprowadził mnie w spokojnym walcu. Taniec ten znałam tak dobrze, że mogłam nie myśleć o krokach, a skupić się tylko na tym, jak niezabliźniony policzek Fallona naciska lekko na mój. Przymknęłam oczy, zapominając o wszystkich, którzy na nas patrzą.

– Chcę ci coś powiedzieć, ale nie potrafię. Czuję się tak, jakby to, co mam ci do powiedzenia, mogło ci sprawić ból. – Pod koniec zdania jego głos zaczął się łamać. Przesunął dłoń z mojego biodra na sam dół pleców i przycisnął mnie do swojej piersi.

– Więc nie mów tego. – Westchnęłam, opierając policzek na jego ramieniu. – Oszczędź mi bólu, proszę.

– Oczywiście, mała księżno.

Poczułam, jak się napręża. Wyprostował się, wypiął pierś i uniósł głowę.

Wiedziałam, że powinnam być zadowolona, ale nie byłam. Czułam się, jakby oboje nas coś ścigało. Co takiego – nie wiem. Cokolwiek to było, odniosłam wrażenie, jakby zagnano mnie do jeziora. Zaczynałam tonąć. Muzyka zdawała się wznosić i opadać. Docierała do moich uszu nierównomiernymi falami. Nie czułam podłogi pod stopami. Ramiona księcia kołysały mnie niczym nurt jeziora. Otworzyłam oczy: stojący wokół byli jak akwarelowy obraz, barwne plamy wnikały w głąb luster.

Wiedziałam, że jeśli zostanę w jego rękach, będzie tak już zawsze: ciągłe życie na świeczniku. Jedynym sposobem na ucieczkę od bólu byłoby nurzanie się w pozorach i wieczne okłamywanie samej siebie.

Ale nie dbałam o to.

Odstąpiliśmy od siebie, a ja wiedziałam, że ta scena powtarzałaby się za każdym razem: muzyka umilkła, książę podziękował zgromadzonym za przybycie, światła znów zajaśniały. Ludzie zaczęli się rozchodzić, służący wskazywali im właściwy kierunek, a ja na moment wtopiłam się w tłum. Poczułam się nagle kompletnie wycieńczona, marzyłam tylko o tym, by położyć się w swoim łóżku. Zaraz jednak poczułam, jak ktoś chwyta mnie za rękę. Był to Fallon.

Ścisnął moją dłoń pomiędzy kciukiem a pozostałymi palcami.

– Dobranoc, księżno.

Puścił mnie, a ja poczułam się nagle zagubiona. Objęłam się rękami...

– Dobranoc, Wasza Wysokość – odpowiedziałam cicho.

Wędrował wzrokiem od moich stóp po głowę, jakby nie mógł znieść myśli o tym, że będzie się musiał odwrócić. Gdy nasze spojrzenia raz jeszcze się spotkały, uśmiechnął się lekko i sięgnął po moją lewą dłoń. Gdy już ją trzymał, ukłonił się i ucałował miejsce na palcu, gdzie zwyczajowo nosi się pierścień. Wyprostowawszy się, skinął delikatnie głową, po czym powoli odszedł. Zaplótł dłonie za plecami tak, jakby sam czuł się nieco zagubiony.

Jak zamroczone przyglądałam mu się, gdy odchodził. Serce mi łomotało, a umysł krzyczał w niedowierzaniu po tym, co przed momentem się stało. A przecież podobne sceny widziałam tyle



razy w Athenei: nastolatki zdawały się wtedy dorosłymi, a dorośli olbrzymami.

*On się do mnie zaleca!*

Czyjeś dłonie opadły na moje ramiona i mną potrząsnęły.

– To już? Czy to się właśnie stało? Pójdiesz chyba za nim, co?! – krzyczała Jo, popychając mnie naprzód.

– Myślisz, że powinnam?

– Tak!

Ostrożnym krokiem ruszyłam ku drzwiom, co chwilę zerkając przez ramię w stronę przyjaciółki. Ta skinieniem głowy starała się dodać mi otuchy. Na korytarzach po księciu nie było jednak śladu, a gdy zastukałam do drzwi jego sypialni (oglądając się nerwowo przez ramię w obawie, że ktoś posądzi mnie o próbę wślizgnięcia się tam po kryjomu), nikt nie odpowiedział. Kiedy wróciłam na główną galerię, natknęłam się na Tee i lokaja prowadzącego ją do jednej z sypialń. Była wśród tych osób, które zostawały na noc.

– Widziałaś gdzieś księcia Fallona? – spytałam.

– Poszedł przed chwilą tamtym korytarzem – odpowiedziała, wskazując w dół schodów. Uśmiechnęła się przy tym wymownie, co sprawiło, że natychmiast się zaczerwieniłam.

– Prosił, by mu nie przeszkadzano, panienko. – Lokaj zjeżył się lekko, po czym odszedł, zapomniawszy się uklonić.

Utkwiłam wzrok w plecach Tee. *Dlaczego mnie to nie dziwi?*, pomyślałam, po czym obróciłam się na wysokim obcasie i zeszłam schodami. Znów znalazłam się na świeczniku. Wychodzący goście gapili się na mnie, ale ani trochę mi to nie przeszkadzało. Prawdę mówiąc, było to wręcz przyjemne, tak jak przyjemne było upokorzenie Valerie. Szłam przed siebie z wyprostowanymi ramionami i uniesioną głową.

Nikt w tej chwili nie mógł mnie skrzywdzić.

Za przeszkloną ścianą widać było tylko czerń bezksiężycowej nocy. Jedynym źródłem światła i ciepła był niepasujący jakoś do sytuacji rozpalony kamienny kominek. Wewnątrz, trawiąc świeże drwa, huczał ogień. Na niskim dębowym stoliku stała karafka i dwa kieliszki.

Księżę stał w cieniu, ukryty częściowo za wysoką rośliną o szerokich woskowatych liściach. Nie podeszłam, czekałam na niego w drzwiach. Obejrzał się przez ramię, a po chwili cały się obrócił. Ruszył w moją stronę bardzo pewnym, choć niespiesznym krokiem. Zbliżał się do mnie jak do zwierzęcia, które mógłby spłoszyć.

Zatrzymał się jakieś dwa metry ode mnie.

– Rozumiesz już, co miałem na myśli. – Nie było to pytanie, a raczej żądanie odpowiedzi.

Drżąc, pochyliłam się we wdzięcznym ukłonie, ciężar ciała opierając na jednym kolanie. Poczułam, jak sukienka przesuwająca się po udach w górę.

– Wasza Wysokość, nie podziękowałam ci jeszcze za zaproszenie do Burrator Jo. Jest zaszczycona, że cię poznała.

Był w jego oczach jakiś ciepły odcień, którego dotąd nie widziałam. Nie odrywając oczu od mojego zgiętego w ukłonie ciała, pociągnął z kieliszka. Wyglądało na to, że pije brandy.

Wtem obrócił się gwałtownie i podszedł do szafki stojącej na prawo ode mnie. Usłyszałam, jak

odstawia kieliszek, i zerknęłam ukradkowo w jego stronę. Zacisnął mocno dłonie na krawędziach mebla i pochylił głowę.

– Nie zaprosiłem tu twoich przyjaciół dlatego, że pasują tu statusem społecznym.

W jego głosie słychać było rozdrażnienie. Oniemiałam. Przyciśnięte do podłogi kolano zaczynało drętwieć. Po kilku sekundach ciszy spojrział znów w moją stronę. Usłyszałam, jak bierze głęboki wdech.

– Klęknij na drugie kolano.

Nie drgnęłam.

– Klęknij na drugie kolano, Róża!

Zrobiłam, jak kazał. Klęczałam wyprostowana, walcząc o zachowanie równowagi. Zaczynały mi już drżeć nogi i czułam się idiotycznie: to nie był normalny ukłon przed moim księciem.

– Fallon? – wyszeptałam przy wtórze ognia trzaskającego na kominku. – Boję się ciebie.

Jego palce jeden po drugim zwolniły chwyt. Odsunął się od szafki, przełknął z trudem ślinę i odwrócił się w moją stronę. Niemal natychmiast znalazł się przy mnie i położył mi dłoń z tyłu głowy, palce wplatając we włosy. Czoło miałam teraz oparte na jego udzie, niemal na wysokości pachwiny. Poczulałam ściskanie w gardle i zamrugałam nerwowo.

– Nie możesz mi tak po prostu odpowiedzieć, prawda? – Jego głos był przerażająco spokojny.

– Ja...

Słowa nie chciały przyjść.

Zacisnął dłoń na moich włosach, po czym kilka razy odetchnął głęboko.

– Chodź, usiądź koło mnie.

Pomógł mi wstać. Trzymał mnie za jedną rękę, gdy tymczasem ja drugą ściągałam w dół wciąż uciekający rąbek. *Ta sukienka! Lisbeth, dlaczego mi to zrobiłaś?*

Umościł się w kącie kanapy, naprzeciw ognia. Ja z kurczowo ściśniętymi kolanami zajęłam miejsce kawałek dalej. Siedzieliśmy teraz prostopadle do siebie. Założył nogę na nogę, ręce zarzucił na oparcie i przyglądał mi się. Kołysał lekko stopą i wyglądał na rozluźnionego. Zupełnie jakby całe napięcie spłynęło za dotknięciem z niego na mnie.

Siedziałam sztywno, nie będąc w stanie patrzeć gdzie indziej niż w ogień.

– Staralem się – zaczął. – Staralem się nie być egoistą. Wiem, że musisz wyleczyć rany, zanim będziesz mogła dać mi to, czego chcę, i pomogę ci w tym. Ale jestem też cały czas mężczyzną... Kiedy zobaczyłem cię dzisiaj... tak piękną i pewną siebie. Nie mogłem nie spytać. Chciałem wiedzieć, czy jest chociaż nadzieja.

W dalszym ciągu nie patrzyłam w jego stronę. *Co miałabym mu powiedzieć? Ma rację.* I tylko ten jego ton... łagodny, pełen akceptacji. Czułam, że mu ulegam. Spojrzałam w końcu księciu w oczy. Zaciskając nieco zęby, pochylił się do przodu i sięgnął po karafkę.

– Jezu, tobie nawet jeszcze nie wolno – szepnął sucho i jakoś bez radości. Gdy napełniał kieliszki czerwonym winem, drżały mu i ręce, i głos.

Przestałam bawić się dłońmi.

– Jeszcze tylko tydzień – powiedziałam powoli, zerkając w prawo.

– Nie sugeruj, że dasz mi coś, czego dać nie możesz. Najpierw serce. – Podał mi kieliszek. Delikatnie stuknął swoim o mój i wypił pierwszy łyk. Odsunawszy szkło od ust, odchylił się na oparcie, a blask bijący od kominka oświetlił nieco jego twarz. Teraz wreszcie zrozumiałam, co tak mnie w nim przestraszyło. Jego tęczyówki miały ten sam szkarłatny kolor co wino, które piliśmy.

*Dlaczego mnie to przeraża?* Przecież właśnie o tym rozmawialiśmy. Rozmawialiśmy o tego rodzaju uczuciach. Widziałam krople potu na jego karku i nie byłam aż tak niewinna, żeby nie wiedzieć, dlaczego założył nogę na nogę.

– Czy ty wiesz, jak działasz na mężczyzn? Masz pojęcie, jak cię widzą inni? Jak cię czczą?

Pokręciłam głową.

Położył znów rękę na oparciu kanapy. Po raz kolejny popatrzyliśmy na siebie.

– Jesteś piękna. Wiesz o tym. Ale jesteś też zbyt niewinna, żeby uświadamiać sobie, jaką masz moc. Wątpię, żebym był pierwszy, a na pewno nie będę ostatni, który zechce twojego serca, i nie tylko serca. Chciałbym być dość silny, by móc szczerze powiedzieć, że wystarcza mi twoje towarzystwo, ale tak nie jest. Potrzebuję czegoś więcej niż pięknej szklanej ozdoby. Rodziny twoja i moja, dwór... oni też potrzebują czegoś więcej.

Zmieniłam pozycję i odstawiłam kieliszek. Forma szkła była niesamowicie delikatna.

– Nie masz chyba na myśli mnie, mówiąc o „ozdobie”?

Księżę odstawił pusty kieliszek. Jego oczy wróciły do swojego normalnego, niebieskiego koloru.

– Mam. Jesteś pięknnością, prawdziwą boginią. Powinno się ciebie zamknąć w szklanej gablocie i chronić przed wszelkim bólem.

W nagłym przypiływie odwagi położyłam dłoń na jego przerzuconej przez kolano nodze i zsunęłam ją na ziemię. Obie stopy księcia stanęły teraz na podłodze. Czułam, jak moje ciało przeszywa coś nowego, jakiś prąd w piersiach, plecach, brzuchu i na szyi. To coś, co przypominało magię, ale nią nie było, sprawiło, że uniosłam się na kolanach i usiadłam okrakiem na księciu, rękami oplatając jego ramiona.

– Róża... co... co ty robisz? – Co słowo musiał brać nowy wdech, a jego oczy w ułamku sekundy znów zrobiły się czerwone.

– O co chodzi? Ktoś wymyślił, że mam zachować czystość?

Oparł delikatnie dłonie na moich biodrach. Trzymał je tam już wiele razy, kiedy mnie przytulał, czy nawet dziś podczas tańca. Teraz to było jednak co innego.

– Nie, ale jesteś zbyt ważna. Ciebie nie wolno zranić. Twój umysł musi być w pełni sił. To dlatego boję się, że mógłbym zrobić ci krzywdę; jesteś nam potrzebna.

Przysunęłam się jeszcze bliżej.

– Dlatego, że widzę przyszłość? – spytałam z naciskiem.

Skinął głową i przełknął ślinę tak głośno, że było to słyszalne.

– Róża... – wykrztusił – musisz ze mnie zejść.

Mógł równie dobrze wbić mi szpilkę prosto w serce. Cofnęłam się, zdjęłam dłonie z jego ramion i usiadłam obok, obejmując się rękami. Wzrok wbiłam w jeden z podłokietników sofy.

– Hej – wyszeptał, wysuwając kosmyk włosów zza mojego ucha – spróbuj to potraktować jako komplement. Za bardzo mi się podobaasz, żebym mógł udawać, że to nic dla mnie nie znaczy, kiedy

tak na mnie siedzisz.

– Przepraszam – wymamrotałam zażenowana i zawstydzona swoim występem. Nie udało mi się... No właśnie, co ja właściwie chciałam osiągnąć? *Nie chcę z nim być tak na poważnie, więc po co właściwie to zrobiłam?* Flirtowanie z uczuciem tak silnym, że musiałam użyć całej swojej siły, żeby je odrzucić... to było niebezpieczne. I głupie. Właśnie na takie plotki prasa tylko czekała. Na samą myśl dostałam gęsiej skórki.

– Marzniesz – powiedział cicho. Jedno skinienie jego palca i przewieszony przez oparcie fotela koc uniósł się w powietrze, by zaraz okryć moje ramiona. Książę poprawił go i otulił mnie starannie. Potem schylił się i zsunął buty z moich stóp.

Kiedy widział już, że jest mi wygodnie (a znów prawie siedziałam na jego udach, tym razem po turecku), pochylił się do przodu tak, że nasze czoła prawie się zetknęły.

– Nie będę udawał, że widzę w tobie tylko koleżankę albo arystokratkę. Już nie. Chciałbym tylko usłyszeć, że potrzebujesz mnie tak samo, jak ja potrzebuję ciebie. Nawet jeśli nie chcesz związku.

Oplotłam drżące ręce na jego plecach i karku. Przysunęłam się bliżej i dotknęłam czołem jego czoła.

– Potrzebuję cię. Zaraz po tym, jak się pojawiłeś, było ze mną gorzej, bo zniszczyłeś mur, którym się...

– Przepraszam...

– Ale teraz dzięki tobie jest mi lepiej. Jestem dużo szczęśliwsza. Tylko że mimo to wciąż cierpię. To wciąż boli. Bardzo boli, a ja nie potrafię o tym zapomnieć. Proszę, spróbuj zrozumieć.

Nie dałam rady dłużej powstrzymywać łez. Książę oparł moją głowę na swoim ramieniu.

– Będę czekał – powiedział. – Sprawimy, że całkiem wydobrzejesz, a ja będę cały czas na ciebie czekał.

Nie usłyszałam tak naprawdę jego słów, bo nagle moją głowę przeszył potworny ból. Zupełnie jakby strzała przebiła mi prawą skroń.

Głośno wypuściłam powietrze i cofnęłam się odrobinę. Chciał mnie pogłaskać i uspokoić, ale niemal natychmiast poczułam jeszcze silniejsze ukłucie, tym razem w czole. Krzyknęłam, rozpoznawszy, co to za ból.

– Boli mnie głowa. Potwornie. To chyba wizja.

Wbiłam paznokcie w materiał jego marynarki. Przytulił mnie do siebie.

– Tak, to wizja! – Szlochałam coraz głośniej, całe moje ciało się napięło. Ból narastał, a ja coraz mocniej tuliłam się do księcia. Pulsowanie przeszło teraz z moich skroni na oczy. Na obrzeża pola widzenia wkradała się czerń.

– Proszę, zostań! Nie idź nigdzie!

Pogłaskał mnie po głowie.

– Jestem tu – powiedział miękko. – Nigdzie się nie ruszę.

– Słudzy... słudzy będą plotkować.

– To nie ma żadnego znaczenia.

– Boli! Tak strasznie mnie boli!

- Wiem, księżno.
  - Nie puszczaj mnie.
  - Nie puszczę. Cały czas cię trzymam.
  - Potrzebuję cię, Fallonie Atheneo.
- Zapadła ciemność.

*A więc to prawda. Athenea miał od początku rację.*

Tej nocy Violet Lee miotła się na łóżku. Jej twarz i koszula zlane były potem, a spod pogniecionej, poskręcanej pościeli wystawały tylko palce jej stóp.

*Znasz Przepowiednię o Bohaterkach?*

Jej widok usunął się sprzed moich oczu nieco na bok. To niewyraźny na razie kontur zakapturzonego mężczyzny przyciągnął teraz moją uwagę.

*Wydumane przez Atheneów bzdury o przeznaczeniu. Szkoda na to twojego i mojego czasu.*

Czułam jej palącą ciekawość wabiącą mnie z powrotem do jej pokoju, ale byłam teraz w umyśle kogoś innego. Czym – to próbowałam dopiero ustalić. Cała sceneria zawirowała nagle i zobaczyłam postać pośród wierzchołków drzew, z góry obserwującą grupę łowców i rozbójników.

To nie była przyjemna scena. Każdy z obecnych miał chęć poderżnąć pozostałym gardło. Wszyscy pluli jadem, a drzewa cierpiały, gdy jeden z rozbójników ranił pazurami ich korę, a gałęzie znosić musiały ciężar tajemniczego obserwatora.

*Czy jej się to śni?*, pomyślałam, gdy przed oczami stanęło mi znów pomieszczenie będące zapewne jej sypialnią. A jeśli to sen, to czy tę scenę można uznać za prawdziwą?

*Znaleźli dziewczynę z Mędrców, o której mowa w pierwszym wersecie. Przepowiednia jest prawdziwa.*

Czyje serce zamarło na dźwięk tych słów? Moje czy jej?

*Znaleźli pierwszą z Mrocznych Bohaterek, ale ty i tak w to nie wierzysz, więc nie fatyguj się. Damy znać Michaelowi Lee, zanim skończy się Ad Infinitum.*

A więc potwierdziło się. Mówili o przepowiedni, która według rady wampirów mogłaby posłużyć ministrowi za pretekst do rozpoczęcia wojny. Odnalezienie pierwszej dziewczyny... to był jego prawdziwy pretekst.

Violet Lee w końcu spokojnie leżała w swoim łóżku. Trwałam w stanie półświadomości, ale i tak czułam ciężar swojego ciała na księciu. Czułam, jak nasze ciała naciskają na siebie.

Za mojego życia miała ziścić się Przepowiednia o Bohaterkach. Wreszcie, po tylu tysiącletniach. Pozostawało mieć nadzieję, że położy to kres niebezpieczeństwu, które na nas spadło, i powstrzyma wojnę, której wybuch tylu wróżów przepowiadało.

## Jesienna Róża

*Fallon! Chodzi o tę przepowiednię! Tę, na której spełnienie wszyscy tak czekaliśmy. Jeśli się ziści, wszystko może znów być dobrze. Dlaczego się nie cieszysz?*

Jego umysł jak zwykle wypełniony był błękitem nieba, ale tym razem każda ze skrzyń była zaryglowana. Powitał mnie myślowy odpowiednik wzruszenia ramionami.

*„Oni” musiało oznaczać twoją rodzinę. No bo kogo innego? Oni mają znaleźć niedługo Pierwszą Bohaterkę. O niczym nie słyszałeś?*

Był poza zasięgiem mojego wzroku. Dosiadał właśnie swojej młodej, szczupłej klaczy, którą z czułością nazywał Czarną Pięknością. Bryknęła lekko naprzód, zarzucając grzywą, a ja usłyszałam zaraz w głowie podszyty drwiną głos księcia.

*– Co za pomysł! W życiu nie podzieliliby się ze mną takimi informacjami. Jestem na to za młody, wiesz przecież.*

*– Mam nadzieję, że widziałam rzeczywistość, a nie tylko sen Violet Lee.*

*– Wkrótce się tego dowiesz. Ciotka polecała prosto na spotkanie z moim ojcem.*

Skończyłam siodłać cętkowaną klacz o imieniu Infanta, którą zawsze pożyczalam na przejażdżki. Dałam jej teraz spokojnie napić się wody, a sama sięgnęłam po rękawiczki jeździeckie i weszłam między stajenne boksy, żeby odszukać księcia. Po chwili stanęłam obok niego i nerwowo oparłam dłoń w rękawiczkę na drzwiach jednego z boksów.

*Jeśli chodzi o wczorajszą noc...*

Sam naciągnął na dłonie rękawiczki, po czym spojrzał mi w oczy i westchnął.

*– Mówiłem ci. Będę czekał.*

*– Ale czy to wystarczy?*

Zrobił krok naprzód i położył mi dłoń na policzku. Zamknęłam oczy. Pozwoliłam, by przez chwilę aksamit rękawiczki ogrzewał moją osmaganą wiatrem twarz. Księżę nic nie powiedział. Nie musiał. Zsunął dłoń z mojego policzka, wziął do ręki wodze i wyprowadził konia ze stajni. Na zewnątrz czekali już na nas przyjaciele.

Dzięki Jo, Alfiemu i Lisbeth wszyscy ci, którzy nie potrafili jeździć, a nie mieli zaufania do ekspresowego kursu „Jeździectwo w weekend z Alfim”, dostali jeźdźca opiekuna. Drobniutka Tee miała jechać ze mną. Gdy zajęłam już miejsce w siodle, Fallon podsadził ją na grzbiet mojej klaczy. Była tak lekka, że prawdopodobnie udałoby mu się to zrobić nawet jedną ręką. Jeszcze kilka kojących słów w języku Mędrców wyszeptanych do ucha Infanty i ruszyliśmy kłusem w kierunku północnej bramy. Jak zawsze strzegący nas Athanowie wybiegli do przodu i po chwili straciliśmy ich z oczu.

Babcia uczyła mnie, żeby zwracać uwagę, jak mężczyzna traktuje zwierzęta. Fallon ze swoimi obchodził się wspaniale, więc na pewno uznałaby go za dobrego człowieka. Odrzuciłam włosy na plecy i obejrzałam się na księcia. Widać było, że napięcie, które widziałam u niego w stajni, z każdą chwilą ustępuje. Pogłaskał po grzbiecie swoją klacz i uśmiechnął się lekko, a po chwili przyspieszył do galopu, żeby nas dogonić.

Pęd powietrza był coraz mocniejszy. Mimo że miałam na sobie grubą kurtkę, zjeżyły mi się włoski

na rękach. Zbliżaliśmy się do granicy osłony. Poczuałam, jak wzdraga się siedząca za mną Tee.

– Czujesz? – spytałam cicho. Jej ucho znajdowało się akurat na wysokości mojego ramienia. Gdy skinęła twierdząco głową, zdziwiłam się. Nie sądziłam, że ludzie są w stanie wyczuć magię.

Jeśli pogoda się utrzyma, chcieliśmy zabrać naszych gości (moje szkolne przyjaciółki, Jo i kilkoro znajomych Fallona z jego rocznika) daleko w górę wrzosowiska. Roztaczał się stamtąd przepiękny widok, a poza tym mielibyśmy tam szansę uwolnić się od lęku i goryczy, które przyniosła moja ostatnia wizja. Licząc na spokojne, przyjemne popołudnie, wyjechaliśmy z posesji. Fallon poprowadził nas poza granice osłon ścieżką wijącą się ku skalistym wzgórzom. Posuwaliśmy się przez równinę suchych krzewów i traw. Całkiem inny świat: nie było tu innych barw niż szarość granitu i mdłe, przygaszone zielenie i brązy. Pomiedzy większymi kępami trawy słoniowej utorowały sobie drogę niewielkie strumyki. Powietrze pachniało zgnilizną. Razem z Fallonem jechałam z przodu i przewodziłam pozostałym. Nie mogłam się już doczekać, aż dotrzemy wyżej, na ładne, świeże tereny.

Pięliśmy się ścieżką, aż dotarliśmy na płaskowyż ogrodzony z jednej ze stron urwiskiem, u którego stóp znajdował się naturalny staw zwany Szaloną Studnią. Wcześniej nieraz już tu przyjeżdżaliśmy. Woda była niemal czarna, a silny wiatr sprawiał, że raz po raz błotnisty brzeg zalewały niezbyt duże fale. Kiedy tylko niewielkie jezioro ukazało się naszym oczom, zsunęłam się zaraz z siodła i dalej poprowadziłam Infantę pieszo. Wciąż siedząca na grzbiecie klaczy Tee zaciskała dłonie na wodzach tak kurczowo, jakby zależało od tego jej życie. Chłodna woda przyniosła zwierzęciu wyraźną ulgę. Infanta nie czuła się pewnie na torfowiskach, a do najgłębszej kotliny w ogóle nie chciała wejść. To miejsce rzeczywiście budziło grozę. Mnie też ani trochę się nie podobało.

Pozwoliliśmy koniom się napić. Korzystając z okazji, moi bujający w obłokach ludzcy przyjaciele zaraz zaczęli ochlapywać się błotnistą wodą. W zabawie ani trochę nie przeszkadzał im zimny wiatr wiejący znad zboczy wprost na nasze głowy. Prawdę mówiąc, chętnie bym do nich dołączyła, gdyby nie miny Fallona i Alfiego. Konna przejażdżka dobrze im obu zrobiła, ale wciąż wyglądali tak, jakby dźwigali na barkach całe niebo. Przełknęłam ślinę. Czułam się jednocześnie nieco zbита z tropu ich zachowaniem, ale i winna jako posłaniec dostarczający dotąd wyłącznie złych wieści.

*Jednak ta ostatnia była dobra, czyż nie?* Rozumiałam niepokój Ateneów: Michael Lee znalazł sobie przecież pretekst do ataku. Czymże jednak było to w porównaniu z niezmierną mocą Bohaterki? Tej Bohaterki, o której słyszałam w mojej wizji. Najwięksi jasnowidze i wróże widzieli ją długo przede mną, to dlatego plotki o niej krążyły od miesięcy. I tak miałam jednak poczucie, że stałam się kimś uprzywilejowanym. Po raz pierwszy w życiu odniosłam jakąś korzyść z bycia jasnowidzką.

Zaniepokojona o swojego chłopaka Lisbeth zaproponowała, żebyśmy ruszyli się z miejsca. Infanta była wyraźnie niespokojna. Kiedy znów jej dosiadałyśmy, zarzucała łbem i cofała się. Tee obawiała się dalszej jazdy. Klacz mogłam łatwo uspokoić, ale nie chciałam wystraszyć dziewczynki. Zaproponowałam więc, że zostanę za grupą i dam im obu trochę się uspokoić. Edmund się zgodził.

Tee przysiadła na kamieniu, a ja zajęłam się Infantą. O dziwo nic, co robiłam – ani głaskanie, ani dawanie kostek cukru, ani nawet szeptanie w języku Mędrców – nie przynosiło efektu. Klacz uporczywie stała w miejscu i nie chciała nawet drgnąć. Czując coraz większy niepokój, spojrzałam na Edmunda. Umiałam przecież obchodzić się ze zwierzętami, a Infanta była dobrze ułożonym koniem... Edmunda jednak nie było obok. Siedział wysoko na klifie, rozglądając się po równinie, której ja z dołu nie mogłam widzieć. Nim zdążyłam dostać się do jego myśli, on zwrócił się do mnie:

*Róża, nadciągga zaklęta mgła! Uciekaj!*

Infanta zarżała bardzo przestraszona. Rzuciłam się w jej stronę, by natychmiast ją odprawić. Nie odważyłabym się teraz na niej jechać. W panice wyrwała pędem przed siebie, ale wiedziałam, że w końcu odnajdzie drogę do domu. Tee zerwała się na równe nogi i była gotowa do ucieczki, choć oczywiście nie miała pojęcia, co się właściwie dzieje. Chwyciłam ją za nadgarstek i puściłam się biegiem naprzód. Przez kilka sekund zastanawiałam się, czy Tee jest na tyle lekka, że uda nam się razem unieść w powietrze. Gdy jednak obejrzałam się za siebie, wiedziałam od razu, że nie ma dla nas nadziei.

To, co na nas nadciągało, nie przypominało chmury. Była to przepotężna, sięgająca nieba ściana mgły o wodnisto-popielatej barwie. Do Edmunda zaraz dołączyli Alya i Richard. We troje rzucali teraz zaklęcia i zaczęli odpierać mgłę ścianą ognia. Ta jednak zdawała się tylko potężnieć i rozszerzać.

Tee zamarła. Jej rozdziawiona buzia była jak niemy krzyk przerażenia.

*Róża, zostaw dziewczynkę i uciekaj stąd!*

Ale ja nie mogłam jej przecież zostawić. Ściągnęłam ją ze szlaku na porośnięty mchem dukt pomiędzy ciągami kolcolistu. Starłam się oddalać od krawędzi mgły, a nie podążać wzdłuż niej. Słyszałam krzyk Edmunda, widziałam, że znów ogląda się w moją stronę. Zorientowałam się wtedy, że ściana szarości wygięła się w łuk, omijając Athanów, a nadciągając wprost na nas. Podpaliłam kolcolisty, obok których biegłyśmy, ale nic to nie dało. Mierzyliśmy się z magią, która przerastała nawet samych Athanów.

Wąska ścieżka pod naszymi stopami nagle się urwała. Wpadłyśmy w błoto i torf. Teraz czekał nas już tylko niemy horror.

– Tee – wyszeptalam, z trudem utrzymując równowagę w zabłoconych butach – trzymaj mnie cały czas za rękę i bądź cicho. – Kiedy na dobre już złapałam pion, pomogłam jej stanąć prosto i przytuliłam do siebie, przyciskając jej plecy do piersi. Objęłam jej ramiona, trzymając w rękach jej dłoń. Łowcy czuli się we mgle źle, było więc pewne, że Tee spotka to samo.

Edmund nauczył mnie kilku dyskretnych zaklęć właśnie na wypadek takiej sytuacji. Jeden po drugim rozbłysły zaraz wokół nas drobne płomyki światła. Ledwie mogłam je dostrzec, ale wystarczały, by utrzymać wrogą klątwę z dala od naszych twarzy. Mogłyśmy dzięki temu normalnie oddychać. Światło, nawet o tak znikomym natężeniu, oznaczało bezpieczeństwo.

Stałyśmy nieruchomo, czekając. Czekając, aż ktoś nas uratuje lub... aż znajdzie nas to coś kryjące się za odmętą szarości.

Jedynym słyszalnym odgłosem były teraz nasze oddechy. Do naszych płuc nie dostało się zakłętą powietrze, ale sama cisza, ta nieznośna cisza wystarczała, by wariować ze zdenerwowania.

– Krąg Kateriny. Magia na naprawdę światowym poziomie.

Utrzymując Tee za sobą, zaczęłam się obracać.

– Nathan?

Płomyki wokół nas rozbłysły nieco jaśniej. Przypominały teraz świece do podgrzewania imbryków. Extermino, którzy byli przedtem ludźmi, stali poza wytyczoną przez nie granicą, nie mogąc podejść bliżej.

– Czego chcesz? Kto jest z tobą?

Wyglądał zaskakująco dobrze i sprawiał wrażenie wyluzowanego. Dziwne, zważywszy na to, że



ledwie kilka tygodni wcześniej przeszedł przemianę. Trzymał ręce w kieszeniach, a jego blizny wyglądały gładko i lśniąco, choć miały rzecz jasna odpychający kolor. Nawet ubrany był bardzo przyzwoicie. Spodnie i koszulę miał wyprasowane, a jego sztruksowa kurtka wyglądała na drogą.

– Jestem tu, żeby z tobą pomówić, lady. Liczyłem na rozmowę sam na sam, ale chyba jakoś wytrzymam z twoją małą przyjaciółką.

Mówił wyraźniej i już bez takiego akcentu jak wcześniej. Do tego jeszcze pochylił się zaraz w ukłonie tak wymyślnym, że zakrawającym na żart.

Zakłęcie, które wypuściłam w chwili, gdy spojrział w ziemię, nie odniosło żadnego skutku – pochłonęła je osłona ciasno przylegająca do jego ciała. Wyprostował się z tryumfalnym uśmiechem.

– Graj czysto, księżno. Jesteśmy przecież przyjaciółmi.

– Nie jesteśmy i nigdy nie byliśmy. – Niepostrzeżenie cofnęłam się o krok. Jeszcze jeden i skłębłam w myślach kamyki pod stopami. O ile lepiej byłoby teraz stać nadal w błocie. – Kto z tobą jest? – ponowiłam pytanie tonem nieznoszącym sprzeciwu.

– Mówiłem już, jestem sam.

– Nie jesteś sam. Nikt nie dałby rady rzucić w pojedynkę tak potężnej klątwy blokującej. – Grałam na zwłokę, licząc na to, że kolejne upływające sekundy pozwolą Athanom nas znaleźć.

– A jednak ja dałem radę. I mogę znacznie więcej. Chri'dom to naprawdę niezwykły mentor.

Przyglądził włosy, wciąż mocno kręcone, ale teraz zaczesane do tyłu, tak by odsłonić blizny. Te miały dość niecodzienną barwę – jak gdyby z domieszką niebieskiego. Na pewno w każdym razie nie dałoby się nazwać ich szarymi. Jeśli już, zaryzykowałabym słowo „grafitowe”. Wydawały się przy tym bardzo wąskie i wyjątkowo poskręcane, bardziej chyba nawet niż moje. Nathan stanowił zaprzeczenie moich wyobrażeń o Krzemieńcach. Był w świetnej formie, zdrowy i przystojny. Zupełnie nie tego się spodziewałam.

– Więc jesteś teraz jego marionetką.

– Protegowanym.

– To kłamstwo ci wcisnęli, żebyś się zgodził na przemianę?

– Jesteś bardzo zadufana w sobie, powinnaś się tego oduczyć. Powierzyłem im siebie i zgodziłem się na przemianę z pełną świadomością konsekwencji. Robiąc to, znałem manifest Extermino. Możesz zachować umoralniające frazesy dla swojego zdeprawowanego dworu.

Mówiąc to wszystko, starał się patrzeć mi prosto w oczy, ale odmówiłam mu kontaktu wzrokowego.

– Extermino nie mają żadnego manifestu, po prostu mordują ludzi. Widziałeś to w Brixham! Sam patrzyłeś, jak...

Słowa uwięzły mi w gardle, gdy odrzucił głowę w tył i roześmiał się, otwierając usta tak szeroko, że zobaczyłam jego podniebienie i komplet wyprostowanych magią zębów.

– Oczywiście, że patrzyłem. I wyszło mi to na dobre!

– O co ci chodzi?

– To był test. Chri'dom chciał się przekonać, czy dam radę przebywać blisko śmierci. I czy będę dość lojalny, żeby potem wpędzić cię na tym tle w poczucie winy.

Wrzask, który wydała z siebie Tee, zabrzmiał bardziej zwierzęco niż ludzko. Wsunęłam rękę za plecy, żeby mogła chwycić moją dłoń.

– Chcesz powiedzieć... że już wtedy byłeś z nimi? – Szukałam jakiegoś sensownego punktu odniesienia, gdy nagle mnie olśniło: – Islandia, tak?

Skinął głową i złożył ręce do oklasków.

– Brawo, zgadłaś. Chociaż zajęło ci to dłuższą chwilę. Zgodziłem się na przemianę, kiedy tam byłem. Dlatego teraz jestem tu. Przyszedłem powiedzieć ci, dlaczego się na to zdecydowałem.

Dałam mu dłonią znak, by natychmiast kontynuował. Nie potrafiłabym się teraz zdobyć na czekanie. *Przebył całą drogę z Islandii, żeby mi to powiedzieć?* Nie wiedziałam, czy powinnam czuć się uspokojona, czy też przeciwnie – szczególnie mocno opierać się fałszywemu poczuciu bezpieczeństwa, którym mnie nęcił.

– Po prostu powiedz, co masz mi do zakomunikowania, i odejdz.

– Zgodziłem się, bo wbrew temu, co myślisz, Extermino *mają* manifest i program. I to bardzo dobry...

Przybrałam tylko szyderczy wyraz twarzy.

– Mają plany, które mogą pomóc takim jak ty, Rózo. Pomogliby uspokoić relacje ludzi z mrocznymi istotami. Nikt by cię wtedy nie dyskryminował. Nikt by cię nie nienawidził. Już nigdy nie zraniłby cię ktoś taki jak Valerie Danvers albo jak ona. – Wskazał na Tee.

– Tee i ja jesteśmy przyjaciółkami. Nigdy w życiu nie zrobiła mi nic złego...

– Doceniam twoją szczerą atheneańską wiarę w przeznaczenie i prorocтва, ale to, co ma się stać, jest kompletnie nienaturalne. Będziesz cierpieć, mimo że wcale nie powinnaś i nie musisz. Ten sam cel da się osiągnąć różnymi sposobami.

Płomyki coraz mocniej migotały – czułam we krwi piętrzącą się falę złości i frustracji.

– To wszystko głupie! Wykorzystują cię, żeby dostać się do mnie i do Atheneów! Jedyne nienaturalny element całej tej układanki to chri'dom, totalny szaleniectwo!

Wzruszył tylko ramionami.

– Ciekaw jestem, czy powiesz to samo po tym, jak dołączysz do nas i go poznasz.

– Nigdy nie przyłączę się do Extermino!

Zbliżył się i dotknął opuszką palca najbliższego płomyka. Ten natychmiast zgasł.

– Przyłączysz się. Co więcej, pójdiesz z własnej woli. To gra na wyczekanie, a my jesteśmy gotowi czekać tak długo, jak będzie trzeba. Myślę jednak, że szybko się zdecydujesz.

Dotknął kolejnego płomyka i ten również natychmiast zniknął. *Jak to możliwe, że on potrafi przełamać Krąg Kateriny? Przecież jest jak nowo narodzone dziecko.* Brałam kolejne głębokie wdechy. Gromadziłam zapas czystego powietrza na nadchodzące szaleństwo.

– Będziesz mieć na rękach krew zabitych, Rózo. Im dłużej będziesz zwlekać, tym bardziej się splamią. Jak myślisz, ile wytrzyma twoje sumienie? Rok? Dwa? To ty zdecydujesz, bo my możemy to przerwać w każdej chwili.

– Odbiło ci, Nathan!

– Powiedz mi to samo za miesiąc.

I tak po prostu zniknął. Powietrze wokół rozbłysło jak fajerwerki i zajęło się ogniem. Przerazona Tee krzyknęła, a ja natychmiast objęłam ją i mocno przycisnęłam. Liczyłam tylko na to, że pozostały po Kręgu bufor powietrza okaże się dość szeroki, żeby nas ochronić. Było gorąco, coraz goręcej. Błoto na naszym ubraniu zapiekło się i skruszyło. Pot z mojego czoła kapał na włosy Tee. Nie wiem, ile stałyśmy tak pośród płomieni. Zdawało się to trwać długie minuty, ale może było to tylko kilkanaście sekund, bo gdy ogień zgasł, okazało się, że nic nam nie jest. Łapczywie chwytałyśmy powietrze, a ja jak nigdy dotąd ucieszyłam się z niegościnnego widoku wrzosowiska.

Usłyszałam, jak ktoś woła moje imię. Myślami wybiegłam na spotkanie Edmundowi i Fallonowi. To książę dotarł do nas pierwszy. Chciał wziąć w ramiona mnie, ale podsunęłam w jego stronę Tee. Czulałam, że jest bardzo słaba. Wziął ją na ręce i zaniósł w górę do wyjścia z kotliny. Ruszyłam za nimi.

Wszędzie wokół widziałam Athanów, było ich chyba dwadzieścioro. Stali nieco powyżej stawu.

– To był Nathan – powiedziała do Edmunda. – Mówił, że jest sam.

– Nie był – sprostował natychmiast, szukając na moim ciele śladów po urazach. Następnie uwagę skupił na Tee. – Będzie w szoku.

Doprowadził nas do reszty grupy i okrył Tee marynarką. Szlochająca Tammy zaraz przytuliła kuzynkę.

– Trzeba ją zabrać do domu. Książęta, Róża, wy też chodźcie. Polecimy.

– A nie możemy skoczyć między wymiarami? – spytałam, obserwując z niepokojem, jak Tee z każdą chwilą słabnie. Drżała tak mocno, że bez pomocy Tammy nie ustałaby na nogach.

– Nad Burrator jest blokada, nie da się tam przeskoczyć – wyjaśniła Alya, próbując odebrać Tee z rąk kuzynki. Ta przyciskała ją do siebie tak, jakby dziewczynka była ostatnim, co jej pozostało na świecie.

– Zabieramy Lisbeth – zaprotestował Alfie, zsuwając się z siodła i chwytając wodze konia swojej dziewczyny.

Edmund obrócił się gwałtownie, by stanąć z księciem twarzą w twarz.

– To nie jej szukają. Jest tu bezpieczna.

– Nie wiemy nawet, co tam siedzi. – Alfie szerokim ruchem wskazał wrzosowiska ponad grupą Athanów. – Albo leci z nami, albo zostanie z nią tutaj.

– Narazisz wtedy ją i wszystkich obecnych tu ludzi! – rzucił sucho Edmund, chwytając Alfiego za ramię i odciągając go od koni.

Koń Lisbeth poderwał przednie nogi. Alfie syknął, ale nie mógł mierzyć się siłą z Edmundem.

– Al, on ma rację. Nie umiem latać tak szybko jak ty, tylko bym was spowalniała. Jeśli zostaniemy razem, narazimy innych. Leć, a ja się zajmę pozostałymi – powiedziała spokojnie Lisbeth.

Pięcioro Athanów wystrzeliło raptem w powietrze. Pozostali otoczyli nas ciasnym pierścieniem. Richard i trzymająca na rękach Tee Alya czekali w gotowości.

– Lećcie szybko i nisko – poinstruował nas Edmund, nadal ściskając ramię Alfiego, który nie dał jeszcze do końca za wygraną. – Trzymajcie się linii skał i wąwozów. W ten sposób będzie im trudniej nas wypatrzeć.

Minęłam szybko Lisbeth i zbliżyłam się do Jo. Liczyłam na to, że dam radę wyrazić spojrzeniem

to, jak mi przykro, że naraziłam ją na niebezpieczeństwo. Niebezpieczeństwo nieznanne, o którym wiedzieliśmy tylko tyle, że stoją za nim szaleńcy.

Zrobiła odważną minę i sięgnęła po moją rękę. Ścisnęłam jej dłoń.

– Pędź jak walkiria, *rafiki*. – Uśmiechnęła się, gdy zwróciłam się do niej starym szkolnym przezwiskiem.

– A ty leć szybko jak wiatr – odpowiedziała.

Natychmiast po tym krótkim pożegnaniu skoczyłam (przed siebie raczej niż w górę) i poleciałam, by dołączyć w powietrzu do Fallona, Alfiego i otoczoną przez Athanów Alyę z Tee na rękach. Trzymałam się blisko grupy. Edmund nie żartował, mówiąc, żebyśmy lecieli nisko. Przemieszczałyśmy się nie więcej niż metr nad ziemią. Raz czy drugi zdarzyło się, że nie zdążyłam ominąć w porę którejś z większych kęp, a moja stopa zahaczyła o trawę lub mokry mech. Wiatr przenikał każdą szczeliną w moim płaszczu, chyba nawet dziurkami na guziki. Czułam, jak błyskawicznie studzi pot, który zebrał się na mojej skórze, kiedy otaczały nas płomienie. Moja magia, rozdarta pomiędzy rekordowo szybki lot a ogrzewanie mojego ciała, słabła z każdą chwilą. Zupełnie jakbym ją wypijała, pociągając łąpczywie przez słomkę.

Do tego jeszcze to nieznośne uczucie, że tuż za załomem kotliny lub za szczytem skalistego wzgórza coś na nas czyha. Wiedziałam, że zwiad Athanów sprawdzał naszą trasę, ale i tak za każdym razem gdy obniżaliśmy lot lub ostro skręcaliśmy, spodziewałam się wpaść na Nathana.

Nie było go jednak. Ani jego, ani innych Extermino. Zupełnie jakby nigdy w ogóle się nie pojawili. Zaczynałam już mieć mroczki przed oczami, ale w tym momencie przekroczyliśmy podwójną bramę posiadłości, wlecieliśmy na teren, a ja wreszcie mogłam znów postawić stopy na ziemi.

Edmundowi wyraźnie ulżyło, że dostarczył nas w bezpieczne miejsce. Natychmiast jednak narzucił sobie dyscyplinę.

– Zamknąć bramę! – krzyknął głośno, gdy tylko znaleźliśmy się na głównym terenie. Strażnicy nie potrzebowali nawet jego polecenia. Wrota były już zamknięte.

– A co z Lisbeth? – spytał Alfie stanowczo.

Edmund chwycił mnie za nadgarstek i zaczął prowadzić w stronę dworu. Mamrotał coś pod nosem o tym, że muszę się spotkać z księciem Lorentem.

– Jeszcze trochę ich nie będzie – rzucił, nie oglądając się nawet za siebie. Ja postanowiłam jednak spojrzeć. Zobaczyłam Alfiego, który nie ruszył się na krok od bramy i przesuwiał dłońmi po twarzy i włosach.

– Nie wiemy nawet, co tam jest! – nie odpuszczał Alfie, który teraz zdecydował się ruszyć za nami. Starałam się posłać mu przeproszające spojrzenie, ale jego wzrok utkwiony był w plecach Edmunda. Fallon chciał położyć kuzynowi dłoń na ramieniu, ale ten odtrącił go smużką magii.

– Są ze mną moi ludzie. Nic im nie będzie.

– Tak? A co wy niby jesteście w stanie zrobić tamtym? Rzucają zaklęcia, przy których z waszych czarów jest tyle pożytku co z magii wampirów!

Zatrzymaliśmy się gwałtownie. Obaj mężczyźni stanęli teraz twarzą w twarz.

– Uważaj na słowa, książę. Służba koronie nie nakłada na mnie obowiązku chronienia twojej angielskiej ślicznotki. Nie zapominaj o tym.

Oczy Alfiego zapłonęły czerwienią.

– Czy ty mi próbujesz grozić?! Mogę kazać cię za to wygnać – syknął.

Nie chciałam na to patrzeć. Nigdy dotąd nie widziałam, żeby Alfie się złościł, a Edmund zachowywał w sposób tak okrutny. Fallon wyglądał na równie zdezorientowanego jak ja.

– Myślisz, że kiedy dzieją się takie rzeczy, kogokolwiek będzie obchodziło, co powiesz? Nie bądź narcyzem.

Alfie z obrzydzeniem zacisnął wargi, po czym otworzył usta, by odpowiedzieć. Edmund nie dał mu jednak dojść do słowa.

– Świat, w którym teraz żyjemy, jest zupełnie inny niż ten, w którym żyliśmy jeszcze pół roku temu. W tym nowym świecie są osoby ważne i takie, co się nie liczą.

Doprowadził mnie do dworu jak psa na smyczy, po czym kazał mi czekać przy wejściu. Fallon został ze mną, a Edmund poszedł po pana domu. Wszzechobecny chaos przyjmowałam jak katharsis. Zupełnie jakbym oglądała sztukę na deskach teatru. Czułam, że scena mnie wciąga, żal mi było postaci, ale nie miałam wrażenia, że jestem częścią tego wszystkiego. Edmund odszedł szybkim krokiem. Widziałam służących krzątających się z kocami i kubkami herbaty. Spodziewałam się, że są przeznaczone dla Tee, która zniknęła gdzieś z Alyą. Słyszałam krzyki Alfiego. Jeszcze chwila i klnąc na Edmunda, z hukiem otworzył drzwi, wciąż krzycząc – tak by słowa dotarły do jego ojca i do Chatwina.

– Wyjeżdżam! – rzucił niby do Fallona. – Mowy nie ma, żebym siedział tu do świąt. *Nie* będę jej narażał dla naszej cholernej rodzinie ani w imię jakichś tam powinności!

Poczułam, że moja pierś nerwowo faluje. *Alfie wyjeżdża?* Zerknęłam na stojącego obok Fallona. Wymieniliśmy ledwie zauważalne skinienia głową, poza tym staliśmy zupełnie nieruchomo, wciąż zdumieni wybuchem gniewu starszego z książąt.

*Co tu więcej mówić? Pytanie, czy sami długo tu jeszcze przetrwamy.*

– Nienawidzę tego przekłętą zadupia! Tej nory zapomnianej przez Boga i ludzi, i całej tej sytuacji! – Alfie wziął kilka gwałtownych wdechów, po czym opuścił wzrok na ziemię jak ktoś, kto czuje się całkowicie pokonany. Na marmur spadło kilka kropel wody. – Niech los ją uchroni – powiedział ochrypłym głosem, łapiąc oddech po każdej z trudem wypowiedzianej sylabie. – Niech los ją uchroni!

Musiała to chyba być modlitwa, bo kierując się chwiejnym krokiem w stronę gabinetu ojca, powtarzał je raz po raz, aż jego zgarbione ciało poddało się ich rytmowi. Zegar mówił mi, że opowiadając o spotkaniu z Nathanem, spędziłam u królewskiego brata dopiero pół godziny. Czas jednak dłużył mi się niemiłosiernie, bo wciąż nie wiedzieliśmy, co z pozostałymi. Próbowałam osiągnąć umysłu Jo, ale na próżno. Edmund zapewnił mnie, że nie jestem w stanie na nic trafić wyłącznie z powodu blokady. Była to silna tarcza dzieląca książęce małżeństwo: będącego w gabinecie Lorenta i jego żonę wciąż przebywającą w Athenei.

Gdy kończyłam opowieść, do gabinetu ponownie wpadł Edmund.

– Są tuż za wzgórzem.

Zobaczyłam kątem oka, jak Alfie pędzi przez hol. Fallon chwycił mnie za rękę i razem wybiegliśmy za nim. Odległość do północnej bramy była duża, a ja już czułam się potwornie zmęczona. Po chwili Fallon musiał niemal ciągnąć mnie za sobą. Poczułam wtedy zastrzyk energii przesłany przez starszego księcia. Zerknął na mnie i uśmiechnął się z pewnym trudem. Dysząc, dopadliśmy do wewnętrznej bramy. Obserwowaliśmy teraz, jak centymetr po centymetrze otwierają

się wrota zewnętrzne.

Strażnicy ustawiali się w szyku. Krzyczeli, że niedaleko widziano Extermino. Mijały kolejne sekundy. Czekaliśmy. I nagle poczułam. Poczułam, jak zbliża się potężna magia: osłony i klątwy parły wprost na nas. Czy stali za nią Athanowie, czy Extermino – nie sposób było powiedzieć.

Słyszałam podkowy zapadające się we wrzosowisku i głośne rżenie przerażonych koni. Czułam, jak pędzi ku nam potężna fala strachu, zmiatająca ze swej drogi wszelkie inne uczucia. I wtedy w końcu ich zobaczyłam. Byli na szczycie wzniesienia i pędzili w dół ku nam.

Ścigano ich. Jak charty gnali za nimi wysocy, gibcy mężczyźni miotający jedno po drugim kolejne zaklęcia. Athanowie dzięki tarczom bez trudu odpierali uderzenia czarów, jednak grupa nie była w stanie zgubić ścigających. Sparaliżowana strachem uświadamiałam sobie pomału, czym grozi tak niewielka odległość od nich. Strażnicy będą mieć bardzo niewiele czasu, by zamknąć za naszymi przyjaciółmi zewnętrzne wrota. Gdyby pościg dostał się za nimi pomiędzy bramy, nasi przyjaciele byliby w śmiertelnym potrzasku.

Bezsilni, stojąc poza chroniącą Burrator osłoną, księżęta, Edmund i ja mogliśmy tylko patrzeć, jak gwardziści próbują zatrzymać napierających Extermino czarnymi i szarymi klątwami. Tamci jednak z dziecinną łatwością bronili się przed nimi.

Przywarłam do prętów bramy, jakbym ciałem i wzrokiem starała się zdopingować uciekających. Dotykałam niemal potężnej osłony, która nam zapewniała bezpieczeństwo, a ich na razie od niego odgradzała. Byli tak blisko, że widziałam, jak Jo wpatruje się we mnie, poganiając konia biegnącego już ostatkiem sił.

Wpadli wreszcie za zewnętrzną bramę. Jej skrzydła zatrzasnęły się za nimi, zanim zdążyli się zatrzymać. Zewnętrzna osłona zwarła się za naszymi przyjaciółmi. Byli już bezpieczni. Odetchnąłam z ogromną ulgą i odsunęłam się od wewnętrznych wrót, by dało się je otworzyć i wpuścić tamtych na teren posiadłości.

Extermino wcale jednak nie odeszli. Przystanęli za bramą jak zadowolone psy wybiegane po polowaniu. Nad ziemią niczyją pomiędzy bramami zapadła głucha cisza. Dobrych Mędrców od złych Mędrców nie dzieliły od siebie tylko osłona i żelazne wrota. Dowódca straży wystąpił naprzód i donośnym głosem obwieścił intruzom, że są winni zbrodni przeciwko królestwu. Jediną reakcją na jego pompatyczny komunikat były śmiech i drwiny.

– Nie obchodzą nas wasze *fas* i wasze Terra. Nie uznajemy dynastii Ateneów ani praw, które ustanawia trybunał! – odkrzyknął po chwili Nathan. – Spróbujcie nas złapać, powodzenia! – rzucił szyderczym tonem, wywołując salwę śmiechu swoich towarzyszy.

– To co wy w ogóle uznajecie, męty?! – krzyknął teraz czerwony z gniewu Fallon, rzucając się w stronę bramy.

Poczułam na sobie wzrok Nathana. Poczułam, jakby przenikał pomiędzy prętami wrót, strażnikami, końmi i ludźmi. Poczułam, jakbym stała naprzeciw niego sama.

– Pamiętaj, co ci powiedziałem, Rózo.

Po tych słowach, ku mojemu kompletnemu zdumieniu, raz jeszcze pokłonił mi się głęboko. Nie tylko on, ale wszyscy Extermino. Rozłożyli szeroko ręce, skrecając lekko ramiona, i opuścili nisko głowy. Stali zwrócenii ku mnie w pozycji, w której byli niemal bezbronni.

– Pani – rzekł Nathan do mnie z czcią, kończąc tym samym pokaz najwyższego szacunku.

Wędrowałam wzrokiem pomiędzy Fallonem, Edmundem i Jo. Zgromadzeni wokół patrzyli teraz na mnie. Poczułam wstyd, a moje ręce bezwiednie oplotły tułów. Podobnie jak moi przyjaciele nie miałam pojęcia, o co w tym wszystkim chodzi.

Extermino rozplynęli się w powietrzu. Opuścili nasz wymiar. Nie odeszli jednak w ciszy. Chwilę po tym, jak zniknęli, niebo ponad osłoną eksplodowało. Błyskawice jedna po drugiej uderzały w osłonę i w ziemię dookoła niej. Rozpętał się taki sam spektakl jak tego dnia, gdy dowiedzieliśmy się o napadzie na Violet Lee. Znów rozległy się trzaski, skwierczenie i odgłos przypominający syrenę portową.

Ludzie krzyczeli, konie stawały dęba. Kilka z nich poniosło.

Wyciągnęłam szyję ku niebu i dałam otoczyć się chaosowi. Stałam z zadartą głową i patrzyłam na spektakl, który ani trochę nie wyglądał na naturalny. Po chwili poczułam na czole pierwsze krople deszczu.

MUZA S.A. 8825\_8499

*Jesienna Róża*

– Jak myślisz, kiedy przeprowadzą nas gdzie indziej?

– Wuj chce przenieść cały dwór do Athenei najdalej do świąt, a Burrator zabezpieczyć i zamknąć na cztery spusty. Co do nas dwojga stawiam, że w najlepszym razie spędzimy tu jeszcze dwa tygodnie.

Poczułam nieunikniony lęk pnący się od żołądka ku sercu. Ostatni raz byłam w Athenei podczas pogrzebu babci. Nigdy nie odwiedziłam dworu jako księżna.

Jutro przypadał dzień moich szesnastych urodzin, w którym zyskać miałam prawo do zasiadania w radzie atheneńskiej i w trybunale międzywymiarowym. Ojciec zachowa kontrolę nad moimi finansami do momentu, gdy stanę się pełnoletnia z punktu widzenia prawa brytyjskiego, ale wyłączwszy tę jedną kwestię, jutro miałam się pożegnać z dzieciństwem.

– W Athenei przynajmniej zawsze świeci słońce – zauważyłam, przysuwając się do niewielkiego płomienia, który wyczarował przed nami Fallon. Wzięłam go za rękę i przyciągnęłam ku sobie, by móc się o niego oprzeć.

Siedzieliśmy na niewielkiej plaży ukrytej w zatoczce o kilka minut lotu od mojego domu. Była kamienista i dość stroma. Otaczały ją ostre, niedostępne wzgórza, pomiędzy którymi wiodła rozsypująca się dróżka prowadząca do miasta. Najbardziej niezwykłymi elementami tej scenerii były znajdujące się za naszymi plecami jezioro oraz strumyk przecinający plażę i uchodzący do morza. Woda była wzburzona – fale o białych grzywach raz po raz przelewały się przez kamienie i omywały piasek.

Rodzice nalegali, żebym w dniu urodzin była w domu. Edmund, który chciał możliwie szybko nauczyć nas jak najwięcej magii obronnej, wywłókł nas w najbardziej odosobnione miejsce, jakie znalazł w okolicy, do zatoki Mansands.

Od incydentu w Burrator minęło zaledwie kilka dni, ale ochrona i tak zdążyła zostać podwojona. Kilkoro Athanów było z nami na plaży, a znacznie większy zastęp pilnował domu. Prywatność, której Fallon i ja tak bardzo chcieliśmy, została bezlitośnie okrojona.

– Jak twoi rodzice? Dalej robią wielki problem z wyprowadzenia się stąd?

Wzruszyłam ramionami.

– Oboje odmawiają mieszkania we dworze Manderley. Tata nienawidzi przepychu, a poza tym czerpiemy spory dochód z tego, że jest otwarty dla zwiedzających. Rodzice zostaną po prostu w Londynie. Nie pojedą ze mną do Athenei.

Oparł moją głowę na swoim ramieniu i wplótł mi palce we włosy. Czułam, jak przeczesują delikatnie moje zmierzwiłone wiatrem loki.

– Ja będę się tobą zajmował. Nigdy cię nie opuszczę.

Jakaś część mnie wiedziała, że ksiązę nie będzie mógł dotrzymać obietnicy, ale mimo to moje serce aż puchło z radości na dźwięk tych słów i z lubością nasycalo się kłamstwem. Oparłam się o jego ramię i patrzyłam na horyzont, gdzie ostatni skrawek pomarańczowego światła niknął w morzu. Niebo ponad nami zmieniało barwę z niebieskiej na różowopurpurową.

– Wstań. – Ksiązę nakazał nagle, samemu się podnosząc. Siedziałam w wygniecionym w kamkach



i żwirze zagłębieniu i patrzyłam ze zdziwieniem na jego zmarszczone czoło. Ugiął palce dłoni i ponaglił mnie niecierpliwym skinieniem.

Podniosłam się. Musiałam przez moment walczyć o złapanie równowagi, bo kamyki uciekły mi spod stóp. Podtrzymał mnie, a potem przesunął dłonią po moich plecach, by w końcu oprzeć mi ją na karku. Jego dłoń była na tyle duża, że gdyby chciał, objąłby bez kłopotu moją szyję. Delikatnie przysunął mnie do siebie i oparł się czołem o moje czoło.

– Jutro twoje szesnaste urodziny – zaczął. Miał przymknięte powieki. Wziął głęboki wdech, wciągając powietrze, które właśnie wypuściłam.

– Tak – odpowiedziałam. Mój głos drżał i brzmiał niepewnie, mimo że mówiłam o oczywistym fakcie. Nagle moje ręce, dotąd bezwładnie zwisające po bokach, same znalazły drogę i objęły księcia w pasie. Budziła się we mnie ta sama dziewczyna, która siedziała na nim po przyjęciu. Czułam, jak uwalnia się i zrzuca kajdany. Przyjrzała mi się zza krat w moim umyśle, a potem przeniosła wzrok na księcia.

– Od jutra będzie mi wolno – powiedziałam pewniejszym już tonem.

Otworzył szeroko oczy.

– Nawet o tym nie myśl – warknął, odciągając mnie na bok. Trzymał mnie wciąż za kark jak niegrzecznego kociaka.

– Dlaczego? – spytałam ostrzej, wbijając paznokcie w jego ramię, by nie prowadził mnie na wyprostowanej ręce.

– Najpierw musisz mieć co do mnie pewność!

– Mam!

– Udowodnij – rzucił tonem wyzwania, po czym puścił mnie i rozłożył ręce, odsłaniając cały przód ciała. – Jestem cały twój. – Przekrzywił głowę i posłał mi cierpki uśmiech.

Wybełkotałam coś niezrozumiałego. *Powiedziałam to tylko, żeby nie odpuścić!* Ale oto stał przede mną. Książę Athenea, obiekt westchnień całego wymiaru, podawał mi się na tacy. I wyglądał naprawdę smakowicie... *Co mnie powstrzymuje? Czego się boję? Depresja ustępuje, nie boję się jechać do Athenei. Poradzę sobie z życiem na świeczniku.*

Czułam, jak szybko unosi się i opada moja pierś, zupełnie inaczej niż jego. On był spokojny i opanowany.

– Moje oczy... – zaczęłam z wahaniem – jaki mają teraz kolor?

Czułam, że spala mnie spojrzeniem. Nie musiał nawet sprawdzać. Wiadomo było, jaka będzie odpowiedź.

– Są czerwone, Róża.

*Tak, tak. Czerwone, rozpalone i pełne oczekiwania.*

Nagle zdjął ręce ze mnie, a sięgnął do guzików koszuli. Rozpiął najwyższy, potem kolejny. Moje oczy zrobiły się wielkości spodków. Wiedziałam, że przecież przygląda się nam Edmund.

Fallon rozpiął trzeci guzik.

– Powiedzmy jedną rzecz wprost, księżno: kiedy miałaś dziesięć lat, wrobiłaś mnie w granie w „pogoń z buziakiem”.

Czwarty guzik, piąty.

– Uznałaś, że wygrałaś dopiero wtedy, kiedy obściskałaś mnie w sali tronowej na oczach moich rodziców i całego dworu. – Koszula była już zupełnie rozpięta. Uniósł teraz nogę, zdjął but i skarpetkę i odrzucił je na bok. To samo zrobił zaraz z drugą nogą. Cały czas przy tym mówił, a ja ledwie pamiętałam, żeby oddychać. – Wszyscy śmiali się i mówili, jaką piękną parą zostaniemy któregoś dnia, ale ja... – Pokiwał palcem i zaczął rozpinać mankiety. – Od tamtej chwili codziennie zastanawiałem się, jak by to było naprawdę cię pocałować. Minęło prawie osiem lat i nie zamierzam się już zastanawiać ani minuty dłużej. Mam gdzieś sprawę wieku i mam gdzieś jego. – Machnął lekceważąco w stronę Edmunda. – Jeśli każesz mi czekać jeszcze chociaż chwilę, to nie ominie cię kąpiel niespodzianka.

Skończył swoją przemowę. Rozpięta koszula odsłaniała wyrzeźbiony brzuch, a rękawy zwisały luźno u nadgarstków. Stał przede mną boso, a pomiędzy palce jego stóp dostawały się drobne kamyczki.

– Ty mnie szantażujesz! – powiedziałam oskarżycielskim tonem, ze wszystkich sił próbując się nie czerwienić.

– Mój ojciec nazwałby to dyplomacją.

Skoczyłam do przodu, położyłam dłonie na jego policzkach i przycisnęłam usta do jego ust. Zamknął oczy, rozluźnił mięśnie twarzy pod dotykiem moich dłoni. Wyczułam ustami, jak się uśmiecha. Jeszcze kilka sekund i cofnęłam się.

– Ja się chyba nie nadaję do negocjacji – wymamrotałam przeproszającym tonem. Księżę był wyraźnie ucieszony, a do mnie powoli docierało, że właśnie zaliczyłam pierwszy prawdziwy pocałunek.

– Dobrze to zrobiłam?

Otworzył pomалу oczy i uśmiechnął się miękko.

– Nie do końca.

Nim zdążyłam skonać z zażenowania, uniósł palcem mój podbródek. To muśnięcie starczyło, żebym poczuła w żyłach przypływ magii i szczęścia, aż dostałam gęsiej skórki na rękach. Pocałował mnie, znacznie delikatniej niż przed chwilą ja jego, ale przy tym wsunął język między moje wargi. Otworzyłam szeroko oczy, ale pozwoliłam się prowadzić.

W końcu odsunął się delikatnie, skubiąc jeszcze zębami moją dolną wargę. Ciało oderwało się od ciała z cichym cmoknięciem. Po wewnętrznej stronie ust czułam teraz przyjemne ciepło.

– Do zostania kobietą brakuje ci sześciu godzin. Jak ci się podobał wstęp? – spytał, z uśmiechem zerkając na zegarek.

– Babcia byłaby bardzo zadowolona, że pobieram nauki od samego księcia – powiedziałam, szczerząc się z rozbawieniem. Wtuliłam się w poły jego koszuli, przyciskając dłonie do jego pleców. – No i Jo wreszcie przestanie mi wiercić dziurę w brzuchu o to bycie z tobą.

Pocałował mnie w czoło.

– Naprawdę się cieszę, że mogę być panem od całowania. A kiedy będziesz gotowa, nauczę cię więcej. – Oparł podbródek na czubku mojej głowy, objął mnie i mocno przytulił. Wsunęłam głowę w moje ulubione zagłębienie przy jego ramieniu. – Kiedy tylko Jo będzie mieć ferie, zaprosimy ją do Athenei, żebyś miała przyjaciółkę na miejscu.

Pogłaskał koronkowe rękawy mojej bluzki i przez dziurki wsunął palce. Zaczęłam drżeć. Gdy ogień

przygasł, zrobiło się zimno, a żadne z nas nie było właściwie ubrane na chłodny listopadowy wiatr.

– Na pewno zaprzyjaźnisz się z moją siostrą. Jest od ciebie trochę młodsza, ale zawsze cię podziwiała...

Mówił dalej. Nie wiem, czy wciąż o siostrze, czy o kimś innym, bo przestałam słuchać. Czułam, jak od samych stóp pnie się w stronę mojego serca niepokój.

*Moja babcia...*

Zdjęłam dłonie z jego pleców i odsunęłam się o krok.

*Co mnie powstrzymuje?*

– Ale ty wciąż to przede mną ukrywasz.

– Co, Róża?

– Wiesz, dlaczego zamordowano moją babcię. Wszyscy oprócz mnie wiedzą.

Zdawało mi się, że odetchnął z ulgą. Położył mi dłonie tuż poniżej ramion i spojrzał mi prosto w oczy.

– Chyba już to wiesz, i zresztą z tego samego powodu jest tu moja rodzina... Kłamałem, mówiąc, że przyjechałem tu, żeby uciec przed prasą.

W oczekiwaniu wstrzymałam oddech. *Czy teraz wreszcie poznam prawdę? Pełną prawdę?* Rozgrzana i wystraszona uniosłam ręce i oparłam je na jego klatce piersiowej. Czułam, jak jego serce przestaje łomotać i uspokaja się. Tyle było w Fallonie rzeczy, które mnie pociągały: wygląd, jego szczerość, poczucie humoru, to, jak mnie pragnął, i to, jak potrafił tchnąć we mnie życie. No i był wobec mnie uczciwy...

– Nakazano mi tu przyjechać, bo zaatakowali Extermino. Jesteśmy tu, żeby cię chronić.

Pokręciłam głową.

– Ale to przecież samobójstwo. Należycie do rodziny królewskiej, dlaczego mielibyście sami...

– To ma związek z twoją babcią. Ale nie mogę ci teraz powiedzieć, dlaczego zginęła. Jeszcze nie.

Odskokczyłam do tyłu.

– Dlaczego nie?!

– Po prostu nie mogę.

Sama byłam zaskoczona, gdy moje ręce spadły na jego pierś, zmuszając go do cofnięcia się o parę kroków. Moje dłonie zostawiły na jego skórze dwa ślady. Jeden z nich zahaczał o blizny, które stały się teraz purpurowe.

– *Sthlanleen!* – zaklęłam.

Z przerażeniem otworzył usta, słysząc najszpetniejsze słowo, jakie znałam, wypowiedziane pod swoim adresem.

– Wydawało mi się, że związki buduje się na szczerości! – Stał o półtora metra ode mnie, ale ja krzyczałam na całe gardło. Edmund rzucił się biegiem w naszą stronę.

Książę zdawał się nie usłyszeć niczego poza przekleństwem.

– Nie waż się więcej używać tego słowa! Dano nam takie rozkazy dla twojego dobra.

Edmund zbliżył się do nas dyskretnie. Nim zdążyłam się zorientować, chwycił mnie potężnymi ramionami i przysunął usta do mojego ucha.

– Nie plugaw sobie języka, młoda damo. I zacznij się wreszcie zachowywać, jak przystało na dziewczynę księcia – warknął. Nie podniósł nawet głosu, ale i tak zabrzmiał na tyle przerażająco, że poczułam ziąb w całym ciele. – Proponuję, żebyś poszła do domu i dobrze sobie przemyślała to, co właśnie powiedziałaś, jak obraziłaś Jego Wysokość i o co go oskarżyłaś. Wróć, kiedy już pogodzisz się z sytuacją.

Odepchnął mnie, a ja z trudem złapałam równowagę na śliskich kamińkach. Odwróciłam się, zgarbiłam i syknęłam ze złości. Czułam wrzenie magii i gniewu, a wściekłość budziła we mnie najpierwotniejsze instynkty. Zaczęłam znów kląć, ale Edmund natychmiast mi przerwał.

– Idź do domu – nakazał. Rzucając pod nosem ostatnie przekleństwo, wzbijałam się w powietrze. Ruszyło za mną kilkoro Athanów.

– Zostaw ją, niech zejdzie z niej para. Musi jakoś sobie dać radę ze złością. – Usłyszałam głos Edmunda. Rozgniewana wrzasnęłam tak głośno, że obaj po prostu musieli mnie usłyszeć.

Chłodne powietrze i fizyczny trud latania ani trochę nie pozwoliły mi ochłonąć. Po wylądowaniu przed domem, gdy musiałam przejść drobiazgową kontrolę bezpieczeństwa, tupiałam zniecierpliwiona nogą i utrudniałam gwardzistom pracę. Gdy w końcu dali mi spokój, przeskoczyłam ponad bramą, a drzwi otworzyłam uderzeniem magii, tak że wgniotły ścianę wewnątrz domu.

Pędząc schodami na górę, zauważyłam Alyę idącą szybkim krokiem w stronę salonu.

*Dobrze. Niech ona wszystko tłumaczy rodzicom.*

Rzuciłam się na łóżko. Zaczęłam krzyczeć w poduszkę, w żaden sposób nie mogąc opanować gniewnego temperamentu, z którego tak zasłynęłam jako dziecko. Jediną oznaką tego, że od przełomowych urodzin dzieliły mnie godziny, było to, że udało mi się nikogo nie podpalić.

*Kretyńskie rozkazy! Głupi Athenea.* Nie mieli prawa zatajać przede mną informacji o mojej babci!

Musiałoby chodzić o mój dar widzenia przyszłości. Byłam szklaną ozdobą, jak zgrabnie ujął to Fallon. Czy babcia mogła wiedzieć coś na ten temat? Chyba musiała. Przecież ona... wiedziała wszystko. Może kiedyś i ja dotrę na ten poziom.

Nikt nie przyszedł, nikt nie zakłócał mojego spokoju. Dusiałam się z gniewu, aż wybiła północ.

Bezgłośnie zaśpiewałam sama sobie *Sto lat*.

*Jesienna Róża*

Obudziłam się pośród zapachu ogrodu, który otaczał letni dom babci. Wciąż leżąc pod przykryciem, przewróciłam się na plecy i odetchnęłam głęboko świeżym, wilgotnym powietrzem. Było cudownie: światło i promienie słońca ogrzewające pościel.

Dopiero przy trzecim wdechu dotarło do mnie, że nie ma przecież powodu, by mój pokój pachniał wiosennym dniem. Gdy usiadłam i otworzyłam oczy, aż zaparło mi dech. Absolutnie każdy skrawek przestrzeni w moim pokoju zajmowały stosy prezentów, a na samym jego środku stał kolosalny bukiet czerwonych róż.

Spojrzałam na stojący przy łóżku budzik. Nim miałam szansę dojrzeć cyferblat, musiałam odsunąć przesłaniający go wielki bukiet tulipanów. Kiedy to zrobiłam, okazało się, że dochodzi już dziesiąta. Usłyszałam zaraz nieodłączne odgłosy poranka: krzątanie w kuchni, niski szum suszarki dobiegający z sypialni rodziców i rozmowy stojących na zewnątrz Athanów.

Zrzuciłam z siebie pościel i poczłapałam w stronę róż. Do brzegu wazonu przymocowano dwie karteczki. Pierwsza ozdobiona była rysunkami balonów i tortu urodzinowego, a na jej odwrocie zapisana była wiadomość:

*Mam nadzieję, że nie masz mi za złe, że wyczarowałem sobie drogę do Twojego serca ;)*

*Wszystkiego najlepszego, ściskam cię mocno*

*Fallon*

Dupek! Jak mógł pomyśleć, że wystarczy mi wysłać kwiaty, żebym mu darowała! Sięgnęłam teraz po drugi liścik. Przeczytałam i zaraz na nowo zapłonęłam furją.

Nigdy więcej nie obrażaj mnie w taki sposób. To bolało. Gdyby zależało to ode mnie, powiedziałbym ci wszystko wiele tygodni temu. Ale nie zależy.

J.K.M. Książę Fallon

A co z moim bólem i poczuciem bycia okłamywaną?! Z utrzymywaniem mnie w niewiedzy, jakbym była małym dzieckiem?!

Podeszłam do kolejnego bukietu, mieszanki róż i goździków w odcieniach gaszonego złota i ciepłej żółci otoczonej liśćmi paproci. Kwiaty były od Edmunda. Dołączył do nich ozdobną kartkę oraz kilka prezentów, w tym – wykonane z drewna pudełko na buty. Wewnątrz znalazłam parę przepięknych pantofli z jedwabiu zdobionych barwionym szkłem. Były idealne do noszenia z suknią balową, ale nie potrafiłam się nie roześmiać, widząc, że Edmund wybrał wzór prawie pozbawiony obcasa.

Następna była doniczka wypełniona kwiatami o białych płatkach i żółtych sercach, które kształtem przypominały maleńkie gramofony. Zdawały się z największym trudem trzymać bluszczopodobnych cienkich łodyżek uginających się tuż ponad krawędzią mojego biurka. Schyliłam się i sięgnęłam po liścik, z którego wynikało, że przysłała je rodzina Mortheno. Był to powój i, jak się dowiedziałam, symbolizował postawę pokornej wytrwałości. Nachyliłam się ku nieco lepkiemu roślinom i zanurzyłam nos w kwiatkach. Z zachwytem patrzyłam też na spiralne, posplatane ze sobą łodygi.

Podeszłam teraz do najjaśniejszego z bukietów: wysokich żółtych róż w przezroczystym wazonie

przysłanych przez księcia i księżną Victorii. Obok stał kosz pełen smakołyków, głównie owoców i czekolady. Całość owinięto liliową folią, a przysmaki ułożone były na lnianej i złotej, pięknie zdobionej tkaninie. Podejrzewałam, że wzór może zawierać herb, ale nie śmiałam uszkodzić misternego papierowo-materiałowego origami. Obok były także ręczniki, na których wyhaftowano moje inicjały.

Największy ze wszystkich bukietów był różaną aranżacją odwzorowującą mój książęcy herb. Składał się z kwiatów czerwonych i złotych, którym mocą magii nadano wygląd zwiędłych. Do tego jeszcze imitacja Dotyku Śmierci – miło, że ktoś pomyślał, iż w domu są również ludzie. Całość była tak ciężka, że nie mogłam podnieść jej bez użycia magii. Zajęło mi też dłuższą chwilę, nim znalazłam dołączoną do prezentu kopertę. Była zapieczętowana woskiem, w którym odcisnięto herb rodu Atheneów, a wewnątrz znalazłam odręcznie napisany list. Życzono mi w nim wszystkiego najlepszego i zapraszano nieoficjalnie do zajęcia miejsca w radzie. Myślałam, że kwiaty i wiadomość są od całej rodziny królewskiej, ale wtedy przyjrzałam się podpisowi. Wyglądało na to, że złożył go własnoręcznie sam król.

– Bogowie tej ziemi – wyszeptalam w końcu, cofając się o krok. Wiedziałam, że jest tradycją Mędrców zasypywać dziewczyny kwiatami przy okazji ważnych rocznic, ale nawet ja byłam zdumiona tym, od ilu osób je dostałam. Lawirując pomiędzy kolejnymi wazonami, nie mogłam się nadziwić, skąd książęta Mediolanu i Brytanii czy wicehrabia Bawarii wiedzieli, dokąd w ogóle je wysłać, a także – jak poradzić sobie z rygorystyczną ochroną, jaką mnie otoczono. Odpowiedź poznałam, natrafiwszy na orchideę przysланą przez ambasadę Mędrców w Londynie. Listów i kwiatów było jednak więcej: od dyrektorki St. Saphire, od nauczycieli, od dawnych szkolnych kolegów, a także – od przyjaciółki, która wciąż była ze mną. Jo posłała mi naszyjnik i pojedynczą szklistoróżową różę. Dotarłam w końcu do stosu prezentów od ludzi. Cóż, te były znacznie bardziej prozaiczne: pełno było tu tanich kosmetyków i zestawów do makijażu oraz kartek na „słodką szesnastkę” przysłanych przez jakieś ciotki i jakichś wujów od strony mamy, o których istnieniu nawet nie miałam pojęcia.

Z głębokim westchnieniem opadłam na łóżko. Sama nie wiedziałam, co myśleć. Z jednej strony byłam wciąż zła i roztrzęsiona po tym, co wydarzyło się poprzedniego wieczoru. Z drugiej – czułam zawód. Okłamał mnie. Dlaczego? Dlaczego nie mógł od razu mi powiedzieć, że jest tu z powodu Extermino? To nie miało sensu, a do tego – nie licząc podejrzenia, że to rozłamowcy odpowiadają za śmierć mojej babci – nie potrafiłam zrozumieć, co to wszystko może mieć z nią wspólnego. Lepsze już jednak to niż bycie okłamywaną.

Moją uwagę zwróciły teraz różowe tulipany stojące na stoliku przy łóżku. Biały wazon, w którym je umieszczono, przewiązany był wstążką o kolorze równie szokującym jak same kwiaty. Wsunęto pod niego kartkę, teraz lekko wilgotną i noszącą odcisk spodu wazonu.

Sięgnęłam po nią i ją otworzyłam. Poczułam rozczarowanie na widok nagłówka „Dla naszej córki”. Liścik napisał odręcznie mój ojciec, ale podpisali się pod nim oboje.

Odrzuciłam kartkę na poduszkę, a rozdartej na dwoje kopercie dałam spaść na podłogę.

Dzięki odrobinie magii już po dziesięciu minutach nadawałam się do pokazania ludziom. Podążyłam teraz za moim nosem i ruszyłam do kuchni. Zastałam tam ojca, który właśnie nakładał na talerze jajecznicę. Czekala też na mnie mieszanka pomidorów i czegoś jeszcze. O ile w moim pokoju, pełnym kwiatowych wzorów i perkalu, wcale to nie raziło, o tyle nowoczesna w wystroju kuchnia wyglądała dość dziwnie cała zastawiona świeżymi ciętymi kwiatami. A było ich naprawdę mnóstwo. Wyglądało to tak, jakby tata urządził żniwa na wszystkich bez wyjątku kwiatkach, które mimo listopadowego chłodu trzymały się jeszcze w ogrodzie. Ich zapach w połączeniu z aromatami

kuchni dawał niesamowity efekt. Było bosko i postanowiłam od razu mu o tym powiedzieć.

Zsuwając patelnię z ognia, poruszył parokrotnie głową. Był wyraźnie zaskoczony, że to ja zainicjowałam rozmowę.

– Wszystkiego najlepszego – zaczął trochę niezgrabnie, by zaraz skupić się znów na gotowaniu.  
– Mama jeszcze się szykuje, więc pomyślałam, że zanim zejdzie, może zajmiemy się razem prezentami.

– Jasne – odpowiedziałam powoli. Zaczęłam jeść, przyglądając mu się. Tata był nerwową osobą, ale z reguły pamiętał o dobrych manierach na tyle, by do swoich rozmówców nie odwracać się plecami.

– Wiesz... ta dziewczyna, Mortheno, mówiła mi, że wczoraj trochę się pokłóciłaś z księciem.

*Ach, więc to o to chodzi.* Nie mieliśmy z ojcem zwyczaju otwierania się przed sobą, a ja nie zamierzałam zaczynać teraz, gdy uwolnienie się od domu było w zasięgu ręki.

– Odrobinę. Wszystko będzie dobrze. Nadal wybieram się do Athenei.

– Czyli wszystko w porządku? Nie trzeba ci pudełka lodów i pogaduchów z przyjaciółką?

– Nie, po co? Jestem w kapitalnym nastroju – skłamałam.

Wymijająco wzruszył ramionami i wysypał na patelnię plastry kiełbasy. Zastygłam w bezruchu z widelcem w pół drogi do ust. Czekałam, co odpowie. Gdy w końcu to zrobił, upuściłam sztuciec na blat.

– Książę zajrzał tu dziś rano.

– Co?!

Tata przykręcił gaz pod patelnią, po czym usiadł na stołku naprzeciw mnie. Rzadko kiedy bywaliśmy tak blisko siebie. Wyjątek stanowiło odświeżne przytulenie, ale wtedy nasze spojrzenia nie miały szansy się spotkać. Patrząc teraz na niego, po raz pierwszy zorientowałam się, jak bardzo jego oczy podobne są do moich.

– Po pierwsze chciał, żebym dał ci to. – Wyciągnął z kieszeni niewielkie puzderko, z tych, w których z reguły trzyma się pierścionki. Gdy brałam je z jego rąk, czułam, jak staje mi serce. Tata spojrzeniem dodał mi otuchy, gdy rozsuwałam dwie połówki opakowania.

W środku był solidny pozłacany łańcuszek przetykany paciorkami z kamieni szlachetnych i małymi wisiorami. Gdy uniosłam go pod światło, zauważyłam, że powierzchnia klejnotów nie jest gładka – wryto w nich herby licznych rodzin, w tym także mojej i samych Atheneów. Niewiarygodna jubilerska precyzja, kamyki były przecież bardzo małe. Takich miniaturowych dzieł sztuki nie można zaliczyć do tanich. Kontrastowały z nimi raczej tandetnie wyglądające wisiory (miniatura Big Bena, pasiasta deska surfingowa, liść klonowy, plastikowy kuc z Dartmoor, flaga hrabstwa Devon). Choć jednak wyglądały jak zgarnięte z kramu przy plaży, dla mnie znaczyły i warte były więcej niż wszystkie klejnoty świata. Najbardziej zainteresowało mnie duże złote „R”. Wygrawerowano na nim od tyłu maleńkimi, ledwie widzialnymi literami moje pełne imię i nazwisko wraz z tytułem. Trzymałam w dłoni bransoletkę talizman. Talizman zrobiony specjalnie dla mnie.

– Wow. – Tylko tyle potrafiłam powiedzieć. Tata pomógł mi zaraz zapiąć łańcuszek na nadgarstku. Bransoletka pasowała w sam raz, delikatnie zsuwając się tylko do nasady dłoni. Oglądałam ją teraz z autentycznym podziwem.

– Po drugie... – kontynuował tata, przywołując mnie z powrotem do rzeczywistości – poprosił

mnie o zgodę na, sam to tak ujął: „staranie się o ciebie”.

Moje tęczywki momentalnie zrobiły się różowe i przypuszczalnie stałam się tak samo czerwona jak pomidory na talerzu.

– Zgodziłem się. Widać od razu, że szaleje za tobą. Ty za nim zresztą też, jeśli można o tym wnioskować z tego, o ile znośniejsza się stałaś. Mamy dwudziesty pierwszy wiek: jesteś kobietą i księżną, masz szesnaście lat i możesz już decydować o swoim życiu. Sama możesz teraz przejąć ster – babcia tak cię wychowywała, żebyś była na to gotowa.

Byłam zaskoczona jego suchym tonem. *Nie będzie ojcowskiego wykładu na temat chłopców? Żadnej przestrogi przed niebezpieczeństwami świata dorosłych?*

Pokręciłam lekko głową i uniosłam ramiona, jakby chcąc powiedzieć: „...no i?”.

– Jednak mama i ja obawiamy się, że to ostatni gwóźdź do trumny. Wyjedziesz do Athenei, będziesz tam księżną, a my... trafimy na boczny tor.

Gdy mówił, drżała mu dolna warga. Staralam się patrzeć wszędzie tylko nie na niego, ale nie potrafiłam na dłużej oderwać od niego wzroku. Wyglądał teraz jak chłopiec, który się zgubił. Czekał na moje słowa, świdrując mnie proszącym spojrzeniem. Jednocześnie całym ciężarem napierał na stołek, zupełnie jakby się bał, że zapomni, jak się na nim siedzi.

– Możecie mnie odwiedzać – zaczęłam niepewnie.

– Nie – odpowiedział stanowczym tonem. W tej samej chwili do kuchni weszła moja matka.

– Nie będziesz własnego ojca narażać na traumatyczne przeżycia. To ty będziesz odwiedzać nas, kiedy tylko nie będą cię tam potrzebować.

W pierwszej chwili chciałam zaprotestować. Powiedzieć, że przecież w grę może też wchodzić szkoła. No a poza tym kwestie bezpieczeństwa i zainteresowania prasy, jeśli mój związek z Fallonem przestanie być tajemnicą. Kolejne spojrzenie na ojca sprawiło jednak, że nawet nie próbowałam tych argumentów. Nie mogłam mu tego zrobić, nie mogłam zmuszać go, by odwiedzał mnie w ojczyźnie mojego ludu. On po prostu nie był jednym z nas.

– Postaram się – powiedziałam w końcu chłodno i wróciłam do jedzenia.

– Uznaliśmy, szukając dużego prezentu dla ciebie, że lepiej tym razem wybrać coś praktycznego – odezwała się moja matka tak samo chłodnym tonem. – Zamówiliśmy dla ciebie trochę rzeczy, które będziesz mogła zabrać do Athenei. Są szyte na miarę. Innymi prezentami, które dla ciebie mamy, możemy się zająć później.

– Tak – potwierdził słabym głosem mój ojciec, zupełnie nie zwracając uwagi na to, że kuchnię wypełnia stopniowo swąd przypalonej wieprzowiny. – Nie mogłem sobie przypomnieć wszystkiego, czego damy Mędrców potrzebują zimą, ale przyszły mi na myśl: suknia balowa, rękawiczki, pantofle, ubiór dzienny... gorsety, buty, no i strój jeździecki. Jeśli coś przeoczyliśmy, to na twoim koncie jest więcej niż dość, żebyś mogła dokupić, co chcesz.

– Dziękuję – odparłam cicho, konotując w pamięci, by ustalić, kogo też wynajęli, żeby odwalił za nich całą robotę. Jedyłą być może cechą, którą odziedziczyłam po matce, było wyraźne wycucie stylu. Jej styl i mój jednak zupełnie się różniły i wątpiłam, żeby umiała trafnie dobrać rzeczy dla Mędrca.

– Jest jeszcze to – mówiła dalej matka, wyciągając ze sterty kart na wyspie kuchennej grubą kopertę. – To od twojej babci. Kazała dać ci to w dniu twoich szesnastych urodzin.



Trzęsącymi się dłońmi wzięłam od niej list. Koperta była bardzo zwyczajna, żółtawa, z papieru o fakturze pakowego. Gdy jednak ją odwróciłam, zobaczyłam charakterystyczne pismo babci – duże, wydłużone litery wyraźnie wykaligrafowane piórem, nie żadnym cienkopisem.

Skinęłam lekko głową w stronę drzwi, prosząc o pozwolenie na otwarcie listu na osobności. Mój ojciec kiwnął potakująco, za to w pół kroku zatrzymały mnie ostre słowa matki:

– Podejrzewam, że to twoje ostatnie urodziny, które spędzamy razem.

Przystanąłam w drzwiach, oczekując, że powie coś jeszcze. Poprzestała jednak na tym jednym zdaniu. Utkwiłam w niej spojrzenie, nie czując po jej słowach najmniejszych wyrzutów sumienia. Stwierdziła przecież tylko fakt nierozzerwalnie związany z tym, kim byłam.

– Wrócę na dół na lunch. – Do tych słów ograniczyła się moja odpowiedź.

Popędziłam schodami na górę i zaraz przysiadłam z listem w oknie swojego pokoju. Gdy otwierałam kopertę, dłonie wciąż mi się trzęsły. W odróżnieniu od solidnego, porządnie zaklejonego opakowania sam list wydał mi się delikatny i kruchy. Pierwszym, co zwróciło moją uwagę, była data w prawym górnym rogu. Nic dziwnego, że papier robił wrażenie tak kruchego – miał już szesnaście lat. List został napisany w dniu, w którym przyszłam na świat.

Czułam nieopisane przerażenie, trzymając w dłoniach tę zjawę – ducha mojego ciała i mojej krwi. Było mi też jakoś niezręcznie: w końcu ktoś właśnie zwracał się do mnie z za grobu. Nie miałam jednak innego wyjścia, niż przeczytać list.

*Dziedziczko mojej krwi!*

*Przyszłaś dziś na świat i raduje się pradawne królestwo, któremu się urodziłaś. Rodzina i księstwo, którym kiedyś będziesz przewodzić, gromadzą się dziś, płacząc z radości, ponieważ jesteś cudem, o który błagaliśmy los. Witaj, lady Jesienna Rózo, witaj na tym świecie. Przrzekam niniejszym uroczyście być Ci przewodniczką, i jak tylko umiem najlepiej, i póki tylko zdołam, prowadzić Cię przez niebezpieczeństwa życia. Zrobię, co w mojej mocy, żebyś była gotowa zmierzyć się z tym, co Ci przeznaczone.*

*Gdy dorośniesz, pojmiesz, dlaczego jesteś dla tej rodziny tak ważna i wyjątkowa. Choć możesz czasem nie rozumieć tego, co dzieć się będzie wokół ciebie, ufaj mi, że zawsze otacza Cię miłość krewnych i całego królestwa.*

*Zorientujesz się z wiekiem, jak bardzo jesteś do mnie podobna. Część cech, które dzielimy, jest dobra, część nie. Dowiesz się, że mam dar widzenia przyszłości oraz że tym samym darem i Ty zostałam obdarzona. Klątwa ta, którą obie nosimy, zaważy na przyszłości i Twojej, i mojej. Dzięki wizjom mogłam przekonać się, że presja, którą wywierałam na Twoich rodziców, by spłodzili potomka, była czymś znacznie więcej niż egoistyczną zachcianką. To w rzeczywistości przeznaczenie działające pod najszybszą z masek. Twoje wizje przyniosą lepszą przyszłość tym wszystkim, którzy jej dożyją.*

*Nieubłagany jest następujący fakt: zarówno ja, jak i Eaglen, mój przyjaciel, który również posiada dar widzenia, nieraz zobaczyliśmy już, jak ginę zamordowana niewinnie z rąk Extermino. Możesz uznać, że los jest niesprawiedliwy, ale powinnaś też zrozumieć, że muszę zginąć, abyś Ty mogła żyć. Żyć i cierpieć pośród ludzi, mieszkając w domu rodziców. Poznać wyzwania, z jakimi musimy mierzyć się jako osoby. Wszystko to wzmocni Cię i uczyni mądrzejszą. Widziałam to. Ponad wszelką wątpliwość wiadomo, że tak się stanie.*

*Mój los dopełnił się, Twój prędzej czy później wyjdzie Ci na spotkanie. Z rozmysłem podjęłam decyzję, by pójść przeznaczeniu na przekór i już dziś powiedzieć Ci o wszystkim, żebyś mogła*

przygotować się na niepewną przyszłość. Bądź bardzo ostrożna, gdyby i Tobie przyszło kiedyś podejmować podobną decyzję.

Ponieważ nie mogę dojrzeć zdarzeń, które dzieć się będą po mojej śmierci, chcę udzielić Ci kilku rad. Jedno Ci tylko nakazuję: natychmiast udaj się do Atheneów. Oni będą Cię chronić. Niewykluczone też, że spodziewają się Twojego przybycia. Pozostałe moje sugestie to niewiele więcej niż zgadywanka. Eaglen to Twój sojusznik w królestwie wampirów, gdzie niezwłocznie odnaleźć musisz swoją siostrę, Bohaterkę. Antae to wybitny naukowiec, a nadto jeszcze wybitniejszy jasnowidz, który z dokładnością co do dnia przepowie datę Twojego pojawienia się. Rodzina Mortheno zapewni Ci bezpieczeństwo. Staraj się trzymać na dystans od drobnej szlachty i, na bogów tej ziemi, nie próbuj bratać się z ludzkimi członkami trybunału. Z ich wiecznych utarczek nie wynikło jeszcze nic dobrego.

Czuję się zaszczycona, mogąc zginąć za kogoś, kto wszystko to odmieni. Żałuję tylko, że nie będę mogła oglądać Cię jako dorosłej kobiety, gdy doświadczać będziesz błogosławieństwa wychowywania własnych dzieci. Ja błogosławieństwo to odnajdę w pielęgnowaniu Ciebie i w wiedzy, iż jako ostatnia z rodu urodziłaś się, by obudzić Ich Dziewięć.

*Jak głoszą litery z kamienia,  
Wyrocznia jej losy odmienia:  
Ta Pierwsza zasiądzie na tronie,  
Ostatnia z narodu w koronie.  
Samotna wśród ludu, niewinna,  
Choć kocha – umrzeć powinna,  
By przyszła Dziewiąta, już inna.*

*Jesteś Pierwszą Bohaterką z przepowiedni Contanala, moje dziecko. Jesteś nadzieją naszego ludu. Zapobiec musisz wojnie, której wybuch widział on sam i wielu, wielu innych.*

*Dziecko moje, Bohaterska Damo, odnajdź prędko swoich sojuszników i równie niezwłocznie odszukaj swe siostry Bohaterki. Czas będzie Ci odtąd wrogiem.*

*Za życia i po śmierci Twoja,  
prof. R. Al-Summers,  
Księżna Anglii*

Nie.

Nie!

*Umarła niewinnie. Umarła przeze mnie! To właśnie tak długo ukrywali przede mną Atheneowie. Oto prawdziwy powód jej śmierci...*

Ogrom poczucia winy rzucił mnie na kolana i przygniótł do podłogi. Poddałam mu się całkowicie, zapadając w śmiertelne niemal omdlenie.

W głębi serca miałam nadzieję, że nigdy już się nie ocknę.

*Jesienna Róża*

*Bohaterska Dama Jesienna Róża, księżna Anglii.*

Nie obchodził mnie los królestwa. Obchodził mnie o n. A jednocześnie go nienawidziłam. Obchodziło mnie, że to przeze mnie zginęła moja babcia. Byłam wściekła, że powiedziała mi zza grobu, kim jestem. Nie czułam i nie widziałam teraz niczego poza *nią* i *nim*, a to przerażało mnie najbardziej ze wszystkich rzeczy na świecie. To wtedy, gdy nic nie czułam, mój umysł zanurzał się w mrok...

– Róża, wszystko w porządku? – szepnął mi ktoś do ucha. Była to Tee, która podeszła do mnie i ścisnęła moją dłoń. – Wyglądasz, jakbyś się smuciła. Chcesz, to zabiorę cię do szkolnej psycholożki. Ona jest naprawdę dobra. Pomogła mi, kiedy Valerie mi dokuczała.

*Ależ ta dziewczynka jest silna! Ledwo co zajrzała śmierci w oczy, a teraz wygląda i zachowuje się jakby nigdy nic.*

– Wszystko w porządku, ale dziękuję.

*Mówisz o mnie, babciu?*

Gdy z uśmiechem odwróciłam się do Tee, kątem oka zauważyłam coś w przeciwnym narożniku boiska. Panowało tam wyraźne poruszenie. Grupa uczniów pospiesznie zbierała się wokół granatowego wybrzuszenia na trawie. Instykt podpowiadał mi, że „wybrzuszenie” to jest czymś ciałem. Domysł niemal natychmiast okazał się trafny: to była Valerie Danvers leżąca na ziemi. Poruszając nerwowo ramionami, pochylała się nad nią jedna z koleżanek z przyjęcia. Ludzie wokół pospiesznie wyciągali telefony. Jedni bez skrępowania filmowali, inni – co rozsądniejsi – próbowali dzwonić po pomoc. Gdy tak patrzyłam z dala na całe zajście, od grupy odłączyła się pojedyncza postać i biegiem popędziła w stronę głównego budynku. Wyczekałam jeszcze jedno uderzenie serca, Valerie wciąż leżała bez ruchu.

Wtedy wyrwałam naprzód i popędziłam przed siebie szybciej, niż byłby w stanie pobiec jakikolwiek człowiek.

Fallon był tuż za mną, ale to ja dotarłam pierwsza na miejsce. Na widok tego, z jaką prędkością się zbliżamy, rozstał się wianuszek gapiów wokół Valerie. Przyklękłam obok i od razu zwróciłam się do pochylonej nad nią koleżanki.

– Co się stało?

Z oczu dziewczyny leciały łzy, ale udało jej się opanować szloch.

– Po prostu gadałyśmy, a ona nagle padła. Wołałam ją po imieniu i próbowałam nią potrząsnąć, ale to nic nie daje! Ona chyba nie oddycha.

Uniosłam głowę Valerie. Bardzo delikatnie, na wypadek gdyby miała uszkodzony kark lub potylicę. Sprawdziłam, czy coś nie blokuje jej przypadkiem dróg oddechowych. Nic jednak nie wyczułam. Przysunęłam teraz policzek niemal do samych jej ust i czekałam. Czekałam, aż poczuję na nim wydychane powietrze. Sekundy mijały: wciąż nic.

– Faktycznie, nie oddycha – powiedziałam tak spokojnie, jak tylko potrafiłam. Modliłam się w myślach, by Athanie nie byli dalej niż o parę minut od nas.

Fallon ukląkł teraz naprzeciw mnie. Na sekundę podniosłam na niego wzrok. Widać było po nim zaniepokojenie, ale i determinację, by natychmiast pomóc.

– Drogi oddechowe ma czyste, ale nie oddycha. Umiesz zrobić sztuczne oddychanie? To zaczynaj – poinstruowałam go, dobrze wiedząc, że jak każdy Mędrzec potrafi udzielać pierwszej pomocy. Czary mają paskudny zwyczaj działania nie do końca tak, jak byśmy chcieli, a posługiwanie się magią leczniczą, gdy nie zna się przyczyny wypadku, może wyrządzić więcej złego niż dobrego. – Ktoś już dzwonił po karetkę? – spytałam.

Gdy w odpowiedzi padło gromkie „tak”, poczułam dużą ulgę. Przywołałam bliżej przyjaciółkę Valerie. Spojrzała na mnie błagalnym wzrokiem, a ja przez ułamek sekundy poczułam się tak, jakby ostatnich osiemnaście miesięcy nigdy się nie zdarzyło. Natychmiast pokręciłam głową, by odegnać od siebie tę myśl.

– Słyszałaś, żeby na coś chorowała? Miała już problemy z oddychaniem?

Dziewczyna drżała w silnym szlochu.

– Trochę paliła. I mówiła, że przez cały weekend beznadziejnie się czuła.

Skinęłam głową, po czym natychmiast zaczęłam szukać u Valerie karteczek z uwagami medycznymi. Podwinęłam jej też rękawy, licząc, że nosi może bransoletkę.

To, co znalazłam zamiast niej, sprawiło, że sama o mało nie dostałam zawału.

Fallon zawahał się na moment, gdy zobaczył moje odkrycie. Poczawszy od wewnętrznej strony nadgarstka, pod przezroczystą warstwą naskórka ciągnęły się wyraźne smugi. Granatowe, przypominające tusz dokładnie odzwierciedlały układ żył. Wyglądało to zupełnie tak, jakby ktoś wstrzyknął Valerie zawartość wkładu od cienkopisu.

– Magia krwi – szepnęłam do księcia w języku Mędrców. Wolałam nie mówić po angielsku, żeby wokół nie wybuchła panika; tłum wokół nas gęstniał z każdą chwilą. Była teraz obok nas nie tylko masa uczniów, ale też kilku oniemiałych nauczycieli. Po tym, jak ci w pierwszych rzędach przerazili się na widok ręki Valerie, kilku z nich na próżno próbowało uspokajać uczniów.

Fallon wyprostował się i przestał uciskać klatkę piersiową, ponieważ to chyba tylko pogarszało sprawę. Po każdym naciśnięciu na żebra wyglądająca na truciznę ciecz wędrowała w górę żył Valerie.

– Rób tylko sztuczne oddychanie – doradziłam mu cicho, a sama sprawdziłam drugi nadgarstek. W trakcie tych oględzin lód ściał mi nagle serce, bo uświadomiłam sobie, że pominęłam pierwszy i najważniejszy krok pierwszej pomocy: sprawdzić otoczenie pod kątem zagrożenia. Magia krwi nie pojawiała się znikąd! Zawsze miała jakieś źródło.

– Odsuńcie się, natychmiast! No już! Głusi jesteście?

Odetchnęłam z olbrzymią ulgą, słysząc stanowcze pokrzykiwania Edmunda ponad głowami zebranych. Natychmiast przekazałam mu w myślach krótkie podsumowanie wszystkich objawów, które zaobserwowałam.

Jeszcze moment i Edmund łokciami utorował sobie drogę do nas i Valerie. Trzymając wciąż jej nadgarstek, uniosłam głowę i spojrzałam mu w oczy, by natychmiast tego spojrzenia pożałować.

– O – wyrwało mu się i stanął jak wryty. Zbliżył się do nas powoli i przykląkł. W jednej jego dłoni pojawiło się podłużne, wąskie i ostre metalowe narzędzie, w drugiej – szalka Petriego. Cokolwiek teraz robił, wykraczało to daleko poza moją wiedzę i moje umiejętności. Mogłam tylko w napięciu obserwować jego ruchy, czując, jak z każdą sekundą skóra Valerie staje się chłodniejsza.

Ujął jej nadgarstek i wybrał najgrubszą z zainfekowanych żył, by następnie naciąć skórę narzędziem, które przywołał. Widząc je z bliska, zauważyłam, że to nie wydłużona igła – jak myślałam z początku – lecz raczej coś w rodzaju pipety. Na jej czubku utrzymywała się pojedyncza kropla ciemnego płynu, którą Edmund upuścił zaraz na szalkę. Rzucił teraz nad szkłem zaklęcie i czekał.

Przeciągająca się diagnostyka zaczynała mnie denerwować. Cokolwiek zrobiono Valerie, dziewczyna nie oddychała. Nie była wampirem, więc i bez lekarza wiadomo było, że długo tak nie przeżyje.

Zawartość szalki zaczęła wirować i zmieniać barwę, gdy tymczasem Edmund przyglądał się zrobionemu przed chwilą nakłuciu. Było bardzo niewielkie, ale nawet ja, przy mojej mocno ograniczonej wiedzy medycznej, wiedziałam, że powinno pojawić się krwawienie. Krew nie pokazała się jednak wcale, aż do chwili gdy Edmund mocnym masażem nadgarstka wycisnął parę kropeł na powierzchnię skóry.

Te jednak wcale nie utrzymały się na zewnątrz. Wystarczyło, że Edmund na ułamek sekundy zwolnił ucisk, a krew natychmiast została zassana z powrotem w głąb rany.

– *Charnt* – wymamrotał Edmund, oględnie podsumowując sytuację. Kolejne wypowiedziane przez niego słowo było już znacznie dosadniejsze, a wystarczyło, że uniósł szalkę na wysokość oczu i przyjrzał się barwie próbki.

– Edmund, pospiesz się – ponagliłam.

– Nie umarła – obwieścił w końcu. – Jeszcze nie. Wpadła w coś w rodzaju śpiączki. Wisi na samej krawędzi.

– Możemy coś z tym zrobić?

Wargi Edmunda zadrgały, gdy przechylając lekko głowę, układał nadgarstek Valerie na chłodnej ziemi. Zerknęłam na Fallona, który przerwał właśnie sztuczne oddychanie. *Oni chyba nie mówią serio...* Jesteśmy przecież strażnikami! Naszym obowiązkiem jest chronić ludzi i leczyć ich, gdy stanie się coś złego. Jak może ich to nie obchodzić?!

– To bardzo mroczna odmiana magii krwi. Ten, kto był źródłem klątwy, w jakiś sposób wszedł w kontakt z tą dziewczyną, bo użył nie tylko jej krwi, ale też własnej. W tej chwili wysysa z niej energię. Nic nie poradzimy, póki nie dotrzemy do źródła.

Pan Sylaeia wystąpił z tłumu i starał się pocieszyć bliską hysterii koleżankę Valerie. Edmund powiedział wszystko po angielsku, więc dziewczyna była teraz kompletnie załamana.

– Dopilnujemy, żeby nie czuła bólu – powiedział serdecznie nauczyciel. – Mimo wszystko możemy jej pomóc...

– To musieli być Extermino – kontynuowałam w języku Mędrców. *Kto inny mógłby to zrobić?* To był z ich strony ostry komunikat: krew kolejnej osoby na moich rękach... W morderczy sposób zaszczepiali mi poczucie winy i udawało im się: już zaczynałam czuć odpowiedzialność za to, co się stało. To uczucie było koszmarnie, znacznie gorsze niż suma wszystkich docinków i obelg, które spadły na mnie ze strony tej dziewczyny. Czując dziwne pieczenie w gardle, coś jakby spienioną żółć, przypominałam sobie, że kiedy jeszcze pracowałam w kawiarni, mówiłam o Valerie Nathanowi...

– I dawno ich już tu nie ma – odparł Edmund. Fallon przyglądał jej włosy, odgarniając je z pozbawionej wyrazu twarzy, której cera stawała się z każdą chwilą coraz bledsza. Usta Valerie nabierały z kolei barwy purpurowej.

Musiałam coś zrobić. Nie mogłam tak po prostu klęczeć obok i patrzeć, jak umiera na oczach przyjaciół, kolegów i wrogów. Byłam Mroczną Bohaterką – los z jakiegoś powodu wybrał właśnie mnie. Gdzieś w głębi mojej magii musiało być coś, co zdoła jej pomóc. Przekopywałam pospiesznie umysł w poszukiwaniu wiedzy o magii krwi. Zakurzone, nieuporządkowane skrzynie trafiły na wierzch. Próbowałam gorączkowo wyciągnąć coś z dawnych lekcji w St. Sapphire i nauk babci, których nie chciało mi się kiedyś zapamiętywać. Mędrcy bardzo rzadko korzystają z magii krwi. Po co mielibyśmy to robić? Umieliśmy przecież przywołać potężną energię ruchem dłoni lub uzupełniać swoją energię siłami czerpanymi z przyrody. Ten rodzaj magii pozostawał domeną przeklętych, którzy ryzykowali eksperymenty na życiodajnym płynie w pogoni za wielką mocą... mocą ograniczoną tylko siłami i śmiałością czarującego. Wszystko to było mroczne i niebezpieczne, a używania klątw takich jak ta prawo zakazywało.

– Prawo przeciwności i zasada zachowania energii – wyrzuciłam nagle z siebie z cieniem nadziei w głosie. – Elementarna magia Mędrców to bezpośrednie przeciwieństwo magii krwi, prawda? A energię użytą lub odebraną przy posługiwaniu się magią trzeba zawsze uzupełnić z innego źródła, bo energii nie da się stworzyć ani zniszczyć. Jej suma jest zawsze stała.

– Rózo, to jest materiał pierwszej klasy, specjalnie tu się nie przyda – wymamrotał Edmund, próbując przy tym delikatnie odciągnąć mnie od ciała.

Kontynuowałam, nie zwracając na niego uwagi:

– Klątwy śmierci polegają na pozbawieniu atakowanej osoby magicznej energii. Wysysają ten element, który wszystkich nas, również ludzi, utrzymuje przy życiu, pozostawiając tylko stertę biomasy. To złamanie praw natury, które odnosi się do wszystkich nienależących do rodzaju *homo*. Dlaczego nie spróbujemy trzymać się prostej fizyki i uzupełnić energii, która została skradziona? Mamy przy tym jeszcze tę przewagę, że magia Mędrców jest bardzo potężna w starciu z magią krwi. Powinno się udać odegnąć klątwę!

Edmund wyglądał teraz na naprawdę zaniepokojonego. Patrzył na mnie wielkimi oczami tak, jakby kompletnie mi odbiło. *Może i tak jest. Może poznanie przepowiedni i mojej roli było kroplą, która przepełniła czarę...*

– Rózo, etyka, klasa druga! Nie wolno wskrzeszać zmarłych. To jest usiłowanie łamania praw natury. – Tym razem próbował odciągnąć mnie mocniej, ale mu się wyrwałam.

– Nie da się złamać czegoś, co już jest złamane. Ona nie jest martwa. Wciąż mamy czas.

– I myślisz, że tu wystarczy małe uderzenie magii? Ona jest o tyle od śmierci. – Zbliżył do siebie kciuk i palec wskazujący, nie zostawiając prawie odstępu. – Żeby ją ożywić, potrzebna by była pełna energia życiowa. I nie starczy jakaś tam magia albo magiczna zbieranina od kilku osób. Tu trzeba naprawdę potężnej magii – tak potężnej i czystej, że da radę ożywić dziewczynę i przełamać klątwę. – Wsunął mi rękę pod ramię i pociągnął w górę. Resztki żalu, jaki mógł czuć wobec Valerie, ulotniły się w starciu z poczuciem obowiązku.

*Athanie staną się twoim cieniem.*

– Niektórym cudom nie jest pisane się wydarzyć. Są zbyt sprzeczne z naturą. Nie ma tak potężnych Mędrców.

– *Jesteś boginią.*

– *O co chodzi? Dlaczego mam zachować czystość?*

– *Potrzebujemy cię. Ja cię potrzebuję.*

– Nie ma?

Fallon zbyt późno zorientował się, co zamierzam zrobić. Rzucił się w moją stronę, ale do tego czasu już się stało: przelałam całą swoją energię na Valerie Danvers. Nie było to ani trochę trudne: po prostu skinęłam palcem, a ona natychmiast otworzyła oczy i wzięła potężny wdech, łapczywie chwytając powietrze.

Fallon dopadł do mnie i razem potoczyliśmy się do tyłu. Stojący wokół rozstąpili się, widząc naszą szamotaninę. Książę nie dał mi spokoju, póki nie wylądowałam na plecach. Leżąc podparta lekko na łokciach, spojrzałam ku górze, na jego twarz. Jego rysy miały ostry wygląd, szok i niepokój przeorały mu twarz łamanymi liniami. Gdy jednak spojrzał na mnie, zaraz złagodniał. Stojący za nami Edmund wyraźnie wahał się, czy pomóc najpierw mnie, czy Valerie. Posłałam mu słaby uśmiech, by zbyt nie martwił.

– Wiem, kim jestem – wyszeptałam. *I kim zbyt długo nie pobędę.* – Babcia zostawiła mi list.

– N-nie powinnaś była tego robić. – Książę zbliżył się pewnie, jakbym była nieoswojonym zwierzęciem. Wyciągnął powoli dłoń i odgarnął mi włosy z czoła. – Mogłaś zginąć, gdybyś użyła całej energii.

Gdzieś za nami Valerie mamrotała coś i odkasływała, by zaraz wrzasnąć wniebogłosy na widok swojego nadgarstka. Ten po chwili zaczął jednak odzyskiwać normalny wygląd. Przyjaciółka pomogła jej usiąść i uciszyła ją.

– Ja *użyłam* całej energii, Fallon – powiedziałam cicho, patrząc mu znów w oczy. Jego tęczywki miały mleczny odcień. Gdy udało mi się bez uczucia łaskotania lub gniecenia wziąć głęboki wdech, uniosłam jedną rękę. Wszystko było z nią w porządku, za to z trawą, na której przed chwilą leżała – nie. Żdźbła pod moją dłonią były czarne. Część z nich całkowicie się spopieliła i ulatywała teraz z wiatrem. By utrzymać się przy życiu, moje ciało mimowolnie zaczerpnęło energię z ziemi. Gdyby nie to, umarłabym.

Łokcie ugięły się nagle pode mną. Uderzyłam głową o ziemię i przez chwilę widziałam przed oczami gwiazdy. Odeгнаłam je, mrugając, po czym utkwiałam spojrzenie w chmurach, czując przy tym przedziwną euforię. Podwójny ciężar na moich barkach uleciał. Byłam wolna. Wolna! Mogłam teraz cieszyć się dotykiem otaczających mnie ramion Fallona i bliskością jego skóry.

– Fallon, to się nie uda – szepnęłam ochryple. – Sam słyszałeś, co powiedział Edmund. Nie ma już dla mnie ratunku.

– Jesteś znacznie dalej od śmierci niż Valerie przed chwilą. Poza tym nie ciąży na tobie klątwa.

Podtrzymując mnie, tchnął we mnie swoją magię. Pozwolił jej przenikać przez skórę do mojego wnętrza. Widziałam, że drży. Dzielił się ze mną zbyt hojnie, a ja nie zamierzałam ciągnąć go za sobą w mrok.

– Chcę umrzeć, Fallon. Nie chcę być Bohaterką – szepnęłam, czując w gardle ukłucie setek szpil. To było właśnie sedno mojego czynu. Wielu mogło pomyśleć, że oddanie życia za Valerie było z mojej strony aktem altruizmu i miłosierdzia, ale to nieprawda. W rzeczywistości tak egoistycznego czynu jeszcze się nie dopuściłam. Zachowałam się jak samolubny bachor. Oto uciekałam przed bólem i przeznaczeniem. Zostawiałam moje królestwo i mój lud na pastwę cierpienia. A jednak klęczący przy mnie chłopak, prawie już mężczyzna, patrzył na mnie tak, jakbym była gasnącym słońcem.

– Nienawidzę cię – wychrypiałam – za to, że mnie okłamałeś i nie powiedziałeś, kim jestem. Nienawidzę cię.

Już po tym, jak to powiedziałam, moje serce szepnęło: *kłamca*.

– Przepraszam – zaczął cicho. – Tak bardzo cię przepraszam. Proszę, wybac mi. Chciałem powiedzieć ci, że twoja babcia była niewinna. Chciałem powiedzieć, że to chri'dom odpowiada za jej śmierć. Chciałem, ale wiedziałem, że to cię może zabić. I *zabija* cię!

Książę uniósł wzrok, gdy słońce przysłoniła nagle potężna sylwetka. Miałam przed oczami mgiełkę, ale i tak wiedziałam, że to Edmund.

– Nie jesteś jeszcze w śpiączce, mała księżno. I nie śmieję mi w nią wpaść, bo zaraz polecę za tobą i nawrzeszczę na ciebie za wyrabianie głupot!

Choć jego słowa były ostre, słyszałam, że głos zaczyna mu się łamać. Poczułam zaraz, jak napełnia mnie jego magia, jak unosi mnie i czyni najspokojniejszą i najszczęśliwszą od lat. O nic nie musiałam się już martwić. Koniec zmagania z mrokiem bez pomocy babci, koniec z dźwiganiem losów świata na barkach, koniec z dworem, polityką i... poczuciem winy za to, co czuję do Fallona.

*Fallon...*

Zapadła ciemność, choć nie pamiętałam, bym zamknęła oczy. Czułam na swojej skórze kolejne dłonie i kolejne fale magii wnikające w moje ciało. Wciąż jednak nie wracałam do żywych.

– Róża, proszę, otwórz oczy. Uratujemy cię, wytrzymaj jeszcze chwilę.

Czułam, że moja głowa nie opiera się już o ziemię. Ktoś delikatnie mną teraz kołysał. Podparcie czułam w połowie pleców, więc może leżałam na czyichś kolanach. Było mi na nich całkiem wygodnie.

– No, mała! Nie ma mowy, żebyśmy ci pozwolili na samobójstwo.

*Czują, że mnie tracą? To może naprawdę tak się dzieje?*

– Róża, to ja, Valerie. Przepraszam cię za wszystko, co zrobiłam i co ci powiedziałam. Proszę, obudź się!

*Trochę późno na przeprosiny.*

Wokół mnie zapanowała cisza doskonała. Poza głosami tych, którzy mówili mi wprost do ucha, nie słyszałam absolutnie nic: ani powiewu wiatru w koronach drzew, ani krzyków gęstniejącego tłumu gapiów, ani sygnału karetki wezwanej, gdy ratowałam Valerie. Zaczynałam też tracić pomału czucie. Dłonie na mojej skórze nie wydawały się już ciepłe i nie czułam już pod sobą żadnego podłoża, zupełnie jakbym unosiła się w powietrzu. Ten jeden raz nie tonęłam, a ulatywałam ku górze.

Jedno wciąż czułam – ruch ust, któremu towarzyszył powiew oddechu na mojej skroni i uchu.

– Kocham cię, Jesienna Różo Al-Summers. Zawsze cię kochałem. To dlatego tu jestem i to dlatego tyle rzeczy starałem się zachować w tajemnicy. To nie z powodu rozkazów albo jakichś wyroków przeznaczenia. Chciałem cię po prostu chronić. Przysięgam już zawsze się tobą opiekować, za życia i po śmierci. Jeśli przeżyjesz, zawsze będę przy tobie. Jeśli umrzesz, razem zmierzmy się z tym, co czeka po tamtej stronie. Już nigdy nie będziesz sama.

Nie wiem, czy wierzę w prawdziwą miłość, ale w tamtej chwili wierzyłam w miłość, która zwycięża śmierć.

*Wybaczam ci...*

Otworzyłam usta i wzięłam świszczący wdech. Po dźwięku przyszła fala ciepła. Uczucie to przytłaczało mnie i kompletnie dezorientowało, zwłaszcza że wciąż nie miałam władzy w nogach



i rękach. Byłam bezradna niczym nowo narodzone dziecko, ale wiedziałam jedno: nie mogę umrzeć, bo Fallon musi żyć.

W ogólnym zamieszaniu starałam się skupić na chłonięciu magii i posyłaniu jej tam, gdzie powinna trafić. Przypominało to jednak próbę ukierunkowania potężnego huraganu.

– Odsunąć się! – ryknął nagle Edmund. Do moich uszu dobiegł odgłos setek kroków cofających się uczniów. Zgromadzony wokół mnie tłum zamilkł.

– Puls przyspiesza – rzucił ktoś. – Wraca do nas!

– Bogowie tej ziemi. – Usłyszałam szept Fallona, wciąż klęczącego przy mnie i nachylonego do mojego ucha. Podziw w jego głosie przełamał zaraz szloch. Jeszcze chwila i z ogromnym trudem otworzyłam oczy. Księżę nie patrzył jednak na mnie. Przez lukę w otaczającym nas murze Athanów przyglądał się drzewom.

A raczej temu, co z nich zostało.

Wyglądały teraz, jakby zostały podpalone. Ostatnie jesienne liście, całkowicie spopielone, spadały na ziemię jako kule żywego ognia. Wokół pni nie było już trawy, a tylko wysuszona ziemia. Musiała wciąż być bardzo rozgrzana, bo wszyscy cofali się, by nie czuć bijącego z niej gorąca.

To ja byłam przyczyną tego wszystkiego. To ja pozbawiałam rośliny energii. Nabrałam już sił na tyle, by otworzyć oczy i coś powiedzieć. Przyroda nie działa jednak jak ludzie. Nie umiera tak prostu, a dąży do odzyskania utraconej energii.

– Nie chcę umrzeć – wyszeptałam, czując, jak oczy same mi się zamykają, a głowa opada na kolana księcia. Magia, którą się posiliłam, ulatywała teraz błyskawicznie z mojego ciała i nic nie mogłam na to poradzić. Śluza otworzyła się, a ja nie miałam szans zapanować nad falą.

Strumień magii płynący od zgromadzonych wokół mnie Mędrców także słabł. Serce biło mi coraz wolniej. Miałam mroczki przed oczami. Moje ciało wciąż jednak próbowało znaleźć źródło energii, z którego mogłoby czerpać. Poczułam raptem w ziemi coś nowego i obcego. Pełzało tuż pod jej powierzchnią, by zaraz zwabić mój głód energii, który natychmiast pomknął ku nowemu źródłu życiodajnej siły. Zaczęłam łapczywie chłonać. Czułam się wspaniale. Energii było tak dużo, że niemal w niej tonęłam. Moje zmysły odżyły, by natychmiast, niczym szwankujące radio, ogłuszyć mnie szumem. Zewsząd dookoła dobiegał hałas: słyszałam chrząknięcia, dławiony charkot i ochryple głosy.

– Róża, przestań! Wyciągasz energię z ludzi!

*Co?!* Kolejny tytaniczny wysiłek – udało mi się otworzyć oczy. Zobaczyłam całe szeregi moich szkolnych kolegów trzymających się za gardła. Rozpaczliwie łapali powietrze, wydając przy tym nienaturalne, chrypiące dźwięki. Niektórzy byli już nieprzytomni. *Co mam zrobić? Jak to powstrzymać?* Błagalnym wzrokiem rozejrzałam się dookoła. Serce mi łomotało. Czułam, jak wzbiera we mnie panika.

– Po prostu nam zaufaj, Róża. Wyciągniemy cię z tego. – W moim ograniczonym polu widzenia pojawił się Edmund. Poczułam, że gładzi mnie po rękę.

– Nie potrzebujesz ich energii. Zaufaj nam i odpuść.

Po raz kolejny zamknęłam oczy, tym razem jednak nie z musu, ale z wyboru. Podjęłam kolejną próbę okiełznania żywiołu. *Zaufać* – to jedno sprawiało mi trudność. Potrafiłam wskrzesić umarłą, ale nie umiałam im zaufać. Atheneowie zatajali przede mną informacje i okłamywali mnie, cały czas prowadząc grę pozorów. Wiedzieli, kim jestem, ale nie mówili mi tego. Nathan był dla mnie dobry,

mogłam go wręcz nazwać przyjacielem, teraz jednak stał się zniechęconym wrogiem. I nawet Valerie nie była w pełni szczerą. Uratowałam ją, więc teraz błagała mnie o wybaczenie, ale tak naprawdę nie rozumiała, z jakiego powodu powinna czuć wyrzuty sumienia. Nie wiedziała, co i jak głęboko mnie zraniło.

Edmund jednak był dla mnie niemal krewnym. Zachował też w tajemnicy to, że zabiłam Extermino. Nie mógł też nikomu powiedzieć o moim wybuchu gniewu na werandzie. Fallon przyrzekł opiekować się mną, a teraz upuszczał z siebie życie, by mnie nie opuścić. Zwodzili mnie, zbywali, okłamywali i grali na zwłokę, uchylając się od odpowiedzi... wszystko jednak po to, by uchronić mnie przed zabójczą tajemnicą.

*Komu mogę zaufać, jeśli nie im?*

Odpuściłam z taką samą łatwością, z jaką chwilę wcześniej oddałam życie Valerie. Poczułam raptowny spadek energii i przez moment musiałam zmagać się z pokusą, by nie sięgnąć do źródła ponownie. Zdołałam się jednak opanować. Dałam się unieść w utrzymującej mnie przy życiu energetycznej kołysce, lecz czułam coraz silniejszy ból w skroniach. Po chwili nie wytrzymałam i uрониłam kilka łez. Marzyłam tylko o tym, by móc chwycić Fallona za rękę i powiedzieć mu – choć wcale nie miałam takiej pewności – że wszystko będzie dobrze.

– Fallon, musisz ją teraz zostawić – powiedział nowy głos. Po chwili go rozpoznałam – księżę Lorent!

Stan zawieszenia i zaufania zakłócił nagle atak paniki, a ból w moich skroniach się wzmógł. *Dlaczego każą mnie zostawić? Czyżby się poddali?* Zaraz jednak poczułam na sobie nowe ręce, które zastąpiły te spoczywające na mnie do tej pory. I tylko dotyk Fallona trwał nieprzerwanie.

– Fallon, puść ją, bo inaczej ona cię zabije!

– Fal, daj spokój. Ona będzie żyć, poradzimy sobie...

Był to głos Alfiego. Słyszałam też Lisbeth i inne osoby poznane w Burrator.

Poczułam świeżą, bardzo potężną falę energii, która jednak ani trochę nie przywróciła mnie do życia. Znów tylko był ból głowy, a mój umysł wypełniły obrazy. Zobaczyłam brunetkę o anemicznym wyglądzie, dość wysoką. Jej wąziutki nos pogłębiał wrażenie głębokiego osadzenia oczu. Oczu pełnych cieni i znużenia. Nie była zjawiskowa, ale raczej atrakcyjna. Ładna owszem, ale nie piękna. Ktoś inny z łatwością mógłby przeoczyć w tłumie jej twarz. Ale nie ja. Miałam przed sobą Violet Lee.

Olśniło mnie i poczułam się nagle strasznie głupia. To ona. Ona była drugą Mroczną Bohaterką.

– Fallon, nie zmuszaj mnie, żebym wydał ci rozkaz.

Olśnienie przeszło w empatię. *Biedna dziewczyna. Po wszystkim, co już przeszła, jeszcze taki cios?!*

Ból stał się tak silny, że ledwie go wytrzymywałam. Chciałam unieść ręce i tłuc pięściami w skronie. Albo uciskać je. Byle tylko ukoić cierpienie. Nie byłam jednak w stanie dźwignąć dłoni z ziemi. Pozostał mi tylko krzyk. Kiedy jednak otworzyłam usta, nie dobył się z nich jęk bólu, tylko okrzyk:

– Violet!

– *Miarba!* Ona ma chyba wizję!

– Na miłość Ll'iriada! Los nie ułatwia nam zadania!

*Mam wizję?* Chciałam wrzasnąć, krzyczeć co siłą, by to wszystko zatrzymali. Na próżno jednak. Moje usta raz po raz wypowiadały tylko imię dziewczyny.

– Straci całą energię, zróbcie coś!

– Niby co?!

– Uspokójcie się wszyscy. Musicie przytrzymać ją nieruchomo, kiedy będę rzucać zaklęcie. – Głos księcia Lorenta brzmiał bardzo zdecydowanie.

– Od kiedy do rzucania zaklęć potrzeba noża?! Wujku, co to za chory pomysł?!

– Użyję magii krwi, to ją wprowadzi w śpiączkę. Ten stan to piekło za życia, ale nie mamy wyboru. Ma wizję i za chwilę ujawni, kim jest Violet. Nie możemy do tego dopuścić. To jedyne wyjście!

Mój umysł wrzeszczał. Raz po raz zanosił się krzykiem przerażenia. Moje usta zaczynały zdradzać tajemnice, a ja byłam bezsilna. Nie panowałam nad własnym ciałem, a zaraz miałam zostać uciszona. Nie wiedziałam nawet, czy kiedykolwiek ocknę się ze śpiączki.

Poczułam krew na skórze. Ostrze noża nacięło mój nadgarstek. Padło kilka nieznanym mi słów, po czym runęłam w przepaść. Do piekła.

Skrawek papieru nie większy od pocztówki. Papier gruby i mięsisty, kosztowny. Gładki i niezapisany. Nie zamierzali dawać na siebie namiarów.

*Musisz pisać ty, mój charakter pisma mogliby rozpoznać. Wysyłałem kwiaty na pogrzeby i takie tam inne.*

Sięgnął po pióro wieczne i chuchnął na stalówkę. Na Islandii było zimno i nie pomagał nawet ogień huczący na palenisku pośrodku pomieszczenia. Atrament wciąż gęstniał.

*Pisz i pisz... „Michael Lee dogadał się z łowcami, żeby zabili Carmen. Mała Lee o tym wie. Pierre potwierdzi” – krótko i na temat, tak najlepiej. Nasz przyjaciel z kłami nie słyszy z cierpliwości.*

Nagryzmolił podyktowaną wiadomość.

*Jest pan pewien, że ta jego córka jest Drugą Bohaterką? Jeśli wampiry ją zabiją, będziemy odpowiedzialni za incydent międzynarodowy. Możemy stracić sojuszników – łowców i rozbójników. W końcu tamci starają się dostarczyć ją bezpiecznie ojcu.*

Patrzył na swojego mentora, zwróconego do niego plecami i wyglądającego przez okno. W ciszy słyszał niemal trybiki obracające się w mózgu mistrza. Był to prawdziwy geniusz, bez dwóch zdań.

*Jak zawsze, Nathanielu, imponuje mi twoja przenikliwość – jad sączył się ze słów mężczyzny jak woda z wiszących za oknem sopli. To normalne: na wojnie straty są nieuniknione. Sojusz został zawarty, zanim zobaczyłem w wizjach małą Lee jako Drugą Bohaterkę. Mniejsza z tym. Mamy dzięki temu cenne informacje o roli, jaką odegrał jej ojciec w zabójstwie Carmen. W każdym razie, jeśli dziewczyna umrze jako człowiek, będzie wojna. Jeśli nie dopuścimy do spełnienia się przepowiedni – też będzie wojna. Niesłuchanie to dogodne.*

Sięgnął po kartkę i kurczowo zaciskając na niej dłoń, zaniósł ją do okna. Nie podał jej jednak mistrzowi. *Jest pan absolutnie pewien?*

Mężczyzna odrzucił głowę w tył i się zaśmiał. Powietrze poniosło echo, które tak często odbijało się od ścian jadalni podczas biesiad. Jego śmiech brzmiał donośnie i rubasznie. Mistrz był osobą skora do żartów i świetnym kompanem, w szczególności dla kobiet. Trudno młodemu chłopakowi nie uznać tych cech za atrakcyjne.

*Jestem chri'dom, potomek Contanala. Nie ma większego żyjącego jasnowidza niż ja. Nigdy nie myłę*

*się, patrząc w przyszłość. Zresztą księżna Anglii też ma teraz wizje Violet Lee. Chcę – dodał, wyrwawszy papier z dłoni młodego mężczyzny – żeby nasza nekromancka kandydatka na Bohaterkę umarła, zanim zorientuje się, jaką ma moc. Jeden krótki ruch dłoni ponad kartką i list zniknął. Uleciał w przestrzeń, by przypieczętować śmierć Violet Lee. Chri'dom sięgnął wolną ręką po szklanę. Chwilę wcześniej napełnił ją brandy sam Nathan, bo w Contanalsdóttir nie było sług. **Wesołego Ad Infinitum!***

MUZA S.A. 8825\_8499

*Fallon*

Przez trzy dni i trzy noce czuwaliśmy w ciszy przy łóżku księżnej. O każdej porze miała u boku dwie osoby przekazujące jej przez dotyk magię – było to jak nieustanna transfuzja krwi. Ani razu się jednak nie poruszyła. Leżała na trzech warstwach poduszek wypełnionych miękkim pierzem w kremowej, wysoko zapiętej koszuli nocnej. Jej rozpuszczone włosy rozsypały się na lnianej pościeli. Wyglądała jak anioł. Martwy anioł.

Serce jej biło jednak mocnym, niegasnącym rytmem. Chwilami przyspieszało, co zdaniem mojego wuja oznaczało, że księżna doświadcza właśnie wizji. Czasem też się pociła. Po pierwszym dniu pielęgniarce wymyły ją gąbkami, gdy tymczasem Lisbeth i moja ciotka czuwały, utrzymując dotyk. Niechętnie po raz pierwszy opuściłem wtedy moje prowizoryczne posłanie na podłodze. Bałem się ją zostawić: z jednej strony każda chwila mogła okazać się jej ostatnią, z drugiej – nie chciałem ryzykować, że nie będzie mnie przy niej, gdy się obudzi.

Pierwszej nocy pojawił się Eaglen. Nie tylko wszyscy domownicy, ale nawet wielu służących zebrało się wtedy przy łóżku Róży. Przyglądali się dziewczynie w pościeli, przypominając żałobników. Ze wszystkich zebranych może tylko Edmund znał ją tak długo jak wiekowy wampir. Gdy Eaglen wszedł do słabo oświetlonego pokoju, z jego spękanych ust wyrwało się ciche: „och”. Z miłością przybranego dziadka pogładził Różę po czole.

Ta krótka scena najlepiej oddawała także moje uczucia: bezsilność i żal, których nie sposób wyrazić słowami.

To właśnie Eaglen dojrzał ją pierwszy. On już w czerwcu przestrzegł nas, że to Róża jest Bohaterką. On też ponaglał nas przez całe lato, abyśmy wobec powracających wizji podjęli w końcu działania. Teraz wiedzieliśmy już chyba dlaczego. Zetknął się i z Drugą Bohaterką, ale był zbyt stary i zbyt mądry, by wtrącać się w przeznaczenie. Tak przynajmniej twierdził. To z tego jakoby powodu nie ostrzegł nas o Violet Lee. Widząc, z jaką czułością i oddaniem odnosi się do Róży, nabierałem przekonania, że powiedział nam o niej tylko dlatego, iż bardzo mu na niej zależało.

Uzupełniliśmy jego wiedzę nielicznymi elementami, których jeszcze nie znał, w zamian prosząc, by wrócił, gdy księżna się obudzi... Doskonale znał okoliczności przetrzymywania Violet przez wampiry i wiedzieliśmy, że jego uwagi będą nieocenione przy planowaniu kolejnych posunięć.

Myślałem o tym wszystkim, siedząc przy jej łóżku. Przyszła moja kolej, by zasilić Różę magią. Był to poranek trzeciego dnia śpiączki. Razem ze mną czuwał Edmund. Przyniósł sobie do czytania książkę. Naklejka na okładce informowała, że tytuł nominowano do nagrody Bookera, ale lektura jakoś mu nie szła. Co kilka stron odkładał książkę na bok.

– Kiepskie? – spytałem, gdy zrobił to po raz czwarty. Próbowałem odezwać się tonem koleżeńskiej pogawędki, ale mi się nie udało. Mój głos załamał się pod wpływem paniki i szlochu.

Pokręcił głową i uniósł lekko ramiona.

– Książka jest świetna, ale... nie potrafię się skupić. – Słysząc było, że z trudem znajduje słowa.

Mruknąłem ze zrozumieniem. Nie miałem tak naprawdę ochoty długo z nim rozmawiać. Czułem się dziwnie: mówił mi o swojej relacji z Różą, ale mimo to miałem wrażenie, że aż taka troska z jego strony nie ma uzasadnienia. Edmund tymczasem był niemal w równie złym stanie co ja i rzadko

kiedy opuszczał przedsiónek jej sypialni. Poprzedniej nocy zastałem go o późnej porze leżącego na jednej z sof. Odzywał się tylko do służących i do Alyi. Kontakt z tymi pierwszymi ograniczał się do zamawiania posiłków, za to siostra była jedyną osobą, która potrafiła go nakłonić, by choć na moment wyszedł na zewnątrz. Poprzedniego wieczoru usłyszałem, jak mówiła do mojej ciotki coś o „poczuciu winy Edmunda”.

*No i powinien się czuć winny!* – szepnął wredny głosik w zakamarkach mojego umysłu. *Nie potrafił jej zapewnić bezpieczeństwa! Miał ją chronić przed Extermino. Powinni go teraz zwolnić!*

Nie dałem posłuchu tym słowom, bo wiedziałem, że czai się za nimi zwykła zazdrość. Nie potrafiłem zapomnieć o tym, co zrobił na plaży, gdy zakłęła. Poruszyło to coś siedzącego głęboko we mnie i pozostawiło trwałe ślad. Wciąż miałem przed oczami to, jak przytrzymał ją ramieniem: jego ręka była o centymetry od jej piersi. Szeptał jej do ucha, jakby ją całował. No i jej reakcja: to, jak wygięła się, przyciskając pośladki do jego bioder... Dając ujście najbardziej pierwotnym uczuciom, rzuciła fasadę chłodu i obojętności. Krzyczała, a jej oczy płonęły gniewem.

Takiej Róży pragnąłem.

– Chciała umrzeć – wymamrotał wreszcie Edmund. – Na moich oczach próbowało się zabić dziecko. Po czymś takim człowiek nie jest już sobą. Coś w głębi nas zostaje zabite.

– Mnie zupełnie by zabiło – powiedziałem bez ogródek. – Umarłbym tam razem z nią.

– Nie gadaj tak – burknął, po raz pierwszy odrywając wzrok od niej i spoglądając na mnie. – Nie masz nawet pojęcia, o czym mówisz.

– Mam – odparłem, spokojnie wytrzymując jego spojrzenie. – Wiem, że kocham ją wystarczająco, by życie bez niej nie miało dla mnie sensu.

Ku mojemu zaskoczeniu zaśmiał się.

– Musisz się jeszcze wiele nauczyć o kobietach, Wasza Wysokość. Prześpij ileś nocy na kanapie, nie dostawaj przez kilka tygodni seksu, znieś napady rozdrażnienia i rozstawianie po kątach, a wtedy będziesz wiedział, czy rzeczywiście wystarczająco ją kochasz. Pogadajmy po waszej pierwszej kłótni. Inaczej wtedy zaśpiewasz.

Nachmurzyłem się i poczułem natychmiast, jak gotuje mi się krew. Nie będzie się ze mnie nabijać! Przyjaciół, nie przyjaciół, ale to jednak służba.

– Kocham ją!

Rozparł się na krześle.

– Wiem i uważam, że nikt nie zasługuje na nią bardziej niż ty. Po prostu nie patrz na wasz związek przez różowe okulary. Dla żadnego z was nie wyniknie z tego nic dobrego.

Komplement z jego strony zbił mnie z tropu.

– No tak...

Ponownie wpatrzyłem się w nią. *Kocham cię i żadne kretyńskie docinki nie są w stanie temu zaszkodzić. Kocham cię bardziej, niż Edmundowi się wydaje, i nic mnie nie obchodzi to, że jesteśmy młodzi.*

Jej dłoń zacisnęła się na mojej. Kompletnie zdumiony niemal podskoczyłem. Edmund zerwał się na równe nogi.

– Zacisnęła palce!

Teraz ja ścisnąłem mocniej jej dłoń. Odwzajemniła zaraz mój gest. Edmund musiał chyba przeprowadzić ten sam test na jej drugiej dłoni, bo zaraz energicznie odsunął krzesło, pochylił się nad Różą i uniósł jej powieki.

– Tak! Wygląda na to, że się budzi – podsumował przejętym szeptem. W tej samej chwili do pokoju wpadło dwóch lekarzy wynajętych do opieki nad nią. Gorączkowo dyskutując, natychmiast wzięli się do przeprowadzania badań.

– Odsuńcie się od niej – rzucił sucho jeden z nich. Edmund i ja z przerażeniem otworzyliśmy szeroko oczy. Nie spuszczać wzroku z Róży, puściliśmy jednak jej dłonie.

Gdy lekarz przykładął stetoskop do jej klatki piersiowej, na wszelki wypadek utrzymywałem rękę w pogotowiu. W pokoju nie było elektronicznego sprzętu diagnostycznego, bo magia, którą poiliśmy księżną, za każdym razem sprawiała, że całkowicie wariował. Badanie stetoskopem zdawało się trwać wieczność.

– Serce mocno bije, tak samo jak do tej pory. Według mnie otrzymała już dość magii. Klątwa niedługo się wyczerpie. Pozostaje czekać, aż dziewczyna odzyska przytomność.

Starałem się sięgnąć myślami do rodziny, by przekazać im wiadomość, ale na próżno – odgradzała nas od siebie blokada. Edmund jednak rozwiązał zaraz problem, wstając, otwierając drzwi i wydzierając się na całe gardło.

– Na bogów tej ziemi, nie tak głośno. Boli mnie głowa.

Głos dobiegający zza moich pleców był słaby i zachrypnięty, ale i tak rozpoznałbym go zawsze i wszędzie. Rzuciłem się w stronę, z której dobiegał, i zanurzyłem twarz w złotych lokach, bezładnie rozrzuconych i brudnych, ale wciąż lśniących. Zaraz poczułem też, jak oplata mnie rękami.

– Przepraszam – odezwał się ten sam słaby głos. Zdążyłem tylko pokręcić głową, trąc twarzą o poduszkę, bo zaraz czyjaś silna dłoń odciągnęła mnie za koszulę do tyłu.

– Daj jej się napić, Fallon – powiedział Edmund. Róży podano zaraz szklankę wody, którą opróżniła jednym haustem.

– Jak to się stało, że żyję? – spytała, wypiwszy równie łapczywie zawartość kolejnej szklanki.

– Przez cały czas dostawałaś magię, tak jakbyśmy przetaczali ci krew – rzekł z dumą w głosie lekarz. – Nigdy, przez całą karierę w tym zawodzie, nie zetknąłem się z kimś w takim stanie. Musieliśmy sporo przy tobie improwizować.

W jej spojrzeniu dostrzegłem determinację, jakiej nigdy dotąd u niej nie widziałem. Patrząc wprost przed siebie, dźwignęła się na poduszkach, by po chwili usiąść zupełnie prosto.

– Dobra robota – oceniła takim tonem, jakby chwaliła dziecko.

Do sypialni zaczęła tymczasem schodzić się moja rodzina.

– Nie ma czasu na uprzejmości – mówiła teraz niemal takim tonem, jakby wydawała rozkazy. Część służby pochyliła się w ukłonie. – Wracam właśnie z piekła, które jest naszą przyszłością. Nadchodzą ciężkie dni.

Wuj nie dał po sobie poznać ulgi.

– Poślijcie po Eaglena. Nim się tu pojawi, będziesz miała czas, żeby zjeść. Potem wszystko nam opowiesz.

Posłał list. Zrobił to dzień po Ad Infinitum – wiem to, bo zegar na kominku pokazywał datę. Ten sen powracał kilka razy, ale później się zmienił. Potem czytała list na temat swojej więzi jako Bohaterki. Jeszcze później widziałam, jak ma nóż przy gardle, a król wampirów grozi, że ją zabije. Sen urywał się zawsze w momencie, w którym księżę Kaspar Varn odwraca się i porzuca ją, by umarła. Te trzy wizje wracały do mnie wiele razy, ale nie dane mi było się dowiedzieć, czy Violet umrze. To był koszmar.

– Jesteś absolutnie pewna, że chri'dom nazwał ją nekromantką?

– Tak – odpowiedziała i widać było, że nie ma wątpliwości.

– Eaglen? – Po przeciągającym się krzyżowym ogniu pytań wuj oddał mu w końcu głos.

Wiekowy wampir dźwignął się z krzesła i utykając, podszedł do łóżka. Znacznie bardziej niż poprzednim razem było dziś po nim widać podeszły wiek. O ile jednak jego ciało przegrywało ze starością, o tyle duch wciąż pozostawał młody. Przysiadł na łóżku i zabujał się kilka razy, odrywając krótkie nogi od posadzki.

– O, jak trzeszczy – skomentował z szerokim uśmiechem lubieżnego dziadka. Po chwili odkaszlnął i już poważnie powiedział: – Uważam, że chri'dom może mieć rację. Przeszukując jej umysł, zauważyłem, że już teraz śni na temat terażniejszości w sposób, który zahacza o nekromancję. Nie będę zaskoczony, jeśli niedługo zaczniesz widzieć zdarzenia z przeszłości. Mogą jej się również ukazywać zmarli.

– Widziałam niektóre z tych snów w swoich wizjach – dodała Róża.

– Dobrze, ale o co chodzi z tą „więzią”? – spytałem, mając wrażenie, że jako jedyny w pokoju nie wiem, co to słowo ma oznaczać.

– Słyszałeś z pewnością ostatnią przepowiednię Contanala? Tę, która mówi o relacji pomiędzy Drugą Bohaterką a pozostałymi? Contanal twierdził, że na Drugiej Bohaterce się nie skończy. Cóż, kto wie... – Eaglen umilkł.

Sposób, w jaki wodził wzrokiem pomiędzy mną a Różą, sprawił, że ona natychmiast załapała się rumieńcem nie tylko na policzkach, ale też od szyi po same cebulki włosów.

– Wygląda na to, że pomiędzy Violet Lee a Kasparem Varnem istnieje więź. Oboje komunikują się również telepatycznie. Słyszą wewnętrzne głosy oddające charakter drugiej osoby.

Oderwałem od niego wzrok, by spojrzeć na Różę. Wyraz jej twarzy był skupiony i uważny. Chłoneła każdy bez wyjątku skrawek informacji. Wszystkie je starannie gromadziła, a jej umysł – odgradzony, ale aż kipiący od emocji – zyskiwał siłę i poczucie pewności. *Po to się urodziła. Właśnie do tego ją wychowano.* Liczyłem na to, że w jakiś sposób nowa rola i związany z sytuacją stres wypełnią ziejącą wyrwę w jej sercu. Było jasne, że ja sam nie wystarczę.

– Podsumowując – zaczął Eaglen – sytuacja wygląda następująco: mamy do czynienia z Bohaterką nekromantką, która nawiązała więź, a którą chri'dom najprawdopodobniej zamierza uśmiercić. Będzie chciał to osiągnąć, dostarczając mojemu królowi list, w którym poinformuje go, że to ojciec Violet stał za zamordowaniem naszej ukochanej Carmen.

Róża miała rację. Sytuacja rzeczywiście wyglądała ponuro.

– Nie obraż się, Eaglen, ale musimy szybko uświadomić jej, że jest Bohaterką, i wyciągnąć ją z drugiego wymiaru, póki jest cała – powiedziała Róża tonem głównodowodzącej, tym samym co przed chwilą. Mówiła jednak nieco wolniej, a jej głos zabrzmiał jeszcze głębiej i bardziej brytyjsko.



Eaglen wzdrygnął się odrobinę. Choć nie nosił żadnego oficjalnego tytułu (bo też tytuły pojawiły się dopiero wtedy, gdy był nastolatkiem), z uwagi na wiek i pozycję cieszył się ogromnym szacunkiem. Nie lubił, gdy wydawano mu rozkazy, a najlepszym tego dowodem były jego rozdziawione usta.

– Ależ Damo Bohaterko, nie możemy sobie pozwolić na nadmierną ingerencję w przeznaczenie. Obawiam się, że już się tego dopuściliśmy, a nie chcemy przecież zagrozić przepowiedni. Nadmierne zejście z kursu oznaczać będzie znaczne ryzyko.

– Przecież ona może zginąć!

– Tak będzie dla niej lepiej, jeśli miałyby dowiedzieć się o więzi, którą dojrzałaś. Jeśli zadziałamy zbyt pospiesznie, możemy również wbić klin pomiędzy Violet a Kaspara, którzy – jak wcześniej wspominałem – są w tej chwili oddaleni od siebie. Nam tymczasem potrzebna jest sytuacja, w której będą razem, tak jak w przepowiedni Contanala.

– Więc... co zrobimy? – spytał mój wuj po chwili ciszy.

Przez jakiś czas nikt ze zgromadzonych nie zabrał głosu, a ja, obserwując ich spojrzenia, widziałem narastający podział. Sam zgadzałem się z Różą: nie wolno nam było wystawiać Violet na niebezpieczeństwo. Wiedziałem przy tym jednak, że starsi ze zgromadzonych poprą osąd Eaglena. Kurczowo trzymali się swojego poglądu i bali się przeznaczenia.

W końcu głos zabrał sędziwy wampir.

– Zaczekamy, ale niedługo. W pierwszą sobotę po obchodach Ad Infinitum dzieci Varnów jadą na polowanie. W tym roku zamierzają zabrać ze sobą Violet. Uzyskam dla ciebie od straży zgodę na wejście. Pretekstem będą twoje odwiedziny u mnie – jak najbardziej uzasadnione, zważywszy na nasze relacje. Trzymaj się blisko niej. I niego. Upewnij się, że jest między nimi więź, a jeśli jej nie będzie, nakieruj ich na jej nawiązanie. Sprawdź, czy Violet zna i rozumie przepowiednię. Gdyby tak nie było, wytłumacz jej wszystko, a na osobności powiedz, kim jest. Bądź ostrożna, Kaspar nie może się dowiedzieć.

– Dlaczego? – spytała ostro Róża. Gdy zerknęła w moją stronę, ze zdziwieniem spostrzegłem domieszkę gniewnej czerni na obrzeżach jej tęczęwek.

Eaglen wstał, obszedł łóżko i stanął tak, że pomiędzy nim a Różą znalazły się skrzynia i słupki baldachimu.

– Dlatego że Violet musi znaleźć list mojej nieżyjącej królowej, a potem prawie zginąć. Dlatego że Kaspar musi odwrócić się od niej. Bywa, że mężczyzna musi niemal stracić coś, co ma, by pojąć, czym to coś jest i jak jest cenne. Rozumiesz? Opuścisz ten wymiar, twój król, ważąc ryzyko, wyśle ludzi dość późno, i voilà. Tą metodą minimalnie wtrącamy się w przeznaczenie. Tak właśnie to widziałem.

– Widziałeś to wszystko? To przecież więcej, niż zobaczyła Róża! Dlaczego nic nam nie powiedziałeś? – Moja ciotka, stojąc w kącie komnaty, niemal krzyczała na Eaglena. – Bogowie tej ziemi, skaranie z tymi jasnowidzami!

– Chyba dla dodania dramatyzmu. – Eaglen wzruszył ramionami. – Będę się cieszył swoją mocą, póki ten pętał nie będzie za każdym razem dokładniejszy ode mnie. – Skinął ręką w stronę Róży i zaśmiał się, przyglądając brodę. – A teraz wybaczcie. Doskonały plan nie może powstać na czczo, więc wróć do swojego wymiaru na parę łyków AB Rh–.

Miał już wyjść, pozostawiając w sypialni grupę oniemiałych Mędrców, ale w ostatniej chwili

przystanął na dźwięk słów Róży.

– Nie możesz mi rozkazywać. Już nie.

Nie odwracając się nawet, rzucił krótko:

– Ja nie, ale przeznaczenie – owszem.

Po tych słowach wyszedł, utykając.

Musiało minąć kolejnych kilka godzin, nim lekarze i moja rodzina uznali, że mogą Różę i mnie zostawić samych, a i tak towarzyszyła nam pokojówka porządkująca stos kwiatów i prezentów, które przewieziono do Burrator. Staraliśmy się sprowadzić także samych rodziców Róży, ale odmówili przyjazdu. Nawet śpiączka córki nie była dla nich wystarczającym powodem, by zmierzyć się z Atheneami.

– Kwiaty ładnie wyglądają w tym pokoju i w tym świetle – stwierdziła Róża, szeroko rozkładając ręce na prześcieradle i przyglądając je. – Dopilnuj, proszę, żeby wszystkie były podlane – powiedziała do pokojówki. – Chciałabym zabrać je ze sobą do Athenei.

Nie odważyłem się powiedzieć Róży, że w całym dworze tylko jej sypialnia wygląda teraz ładnie. Cała reszta pomieszczeń zastawiona była pudłami. Część mebli przykryto pokrowcami, a część czarami przeniesiono już do składu.

Gdy pokojówka ukłoniła się i odeszła, przysunąłem się z krzesłem bliżej łóżka.

– Wyglądasz nieźle – zacząłem nieśmiało.

Nawet na mnie nie spojrzała.

– Jasne, że tak, a dlaczego miałyby być inaczej?

– Jesteś Bohaterką, a trzy dni temu próbowałaś się zabić – powiedziałem pomału. Na jedną, mrozącą krew w żyłach chwilę pojawiła się wątpliwość, czy pamięta, co się stało.

– Mój błąd – zripostowała krótko.

– „Błąd”?! – spytałem zdumiony. Wdrapałem się następnie na łóżko i usiadłem okrakiem na jej wyciągniętych pod kołdrą nogach. – Oskarżanie ludzi o coś, na co nie mają wpływu, to błąd. Skłęcie kogoś to błąd. Ale świadome przesłanie komu innemu całej swojej energii, gdy wie się, że to samobójstwo? To nie jest „błąd”. Nie odwrócisz kota ogonem jednym „przepraszam”.

Skrzyżowała ręce na piersiach.

– Przepraszam. Naprawdę jest mi przykro.

Klapnąłem dłońmi o policzki.

– Ależ ty jesteś niemożliwie uparta!

– A ty apodyktyczny. Sama nie wiem, co gorsze.

– Nieważne. Gdy tylko będziemy na miejscu, idziesz na terapię.

– Ha! – Strąciła mi dłonie z policzków. – Widzisz, już się rządysz! Zawsze musisz albo mnie ochrzaniać, albo do czegoś namawiać. A może ja *nie* chcę?

Ułożyłem dłonie po obu stronach jej głowy opartej na poduszce.

– Może, ale chcesz mnie. Oczy cię zdradziły.

– Nie chcę świra z manią kontroli.

– Jesteś teraz Bohaterką. Niedługo każdy się o tym dowie, a wtedy wszystko się zmieni. Wiem to, nie jestem idiotą – przyznałem smutno. – Boję się o ciebie. Martwię się o to, jak poradzisz sobie z tą zmianą. Ja radzę sobie przez nadmiar kontroli, bawię się w takiego minikróla. – Tu zaśmiałem się nieszczercze i spróbowałem się uśmiechnąć. Nie było żadną tajemnicą, że niedaleko spadło jabłko od jabłoni.

Sięgnęła przed siebie i dotknęła moich policzków. Delikatnie wodziła kciukiem po bliznach, a jej spojrzenie wędrowało po mojej twarzy w poszukiwaniu czegoś, czego ja nie potrafiłem wyczytać w jej rysach.

– Jesteśmy teraz w rękach przeznaczenia. – Pochyliła się naprzód. Nasze usta się spotkały. Miała splekane wargi. Smakowała słodką dynią, którą niedawno pochłonęła z wilczym apetytem.

To był krótki, niewinny pocałunek, ale i tak przez moje ciało przetoczyła się fala pożądania. Wrażenie było *zbyt* silne. Pocałunek sprawił mi *zbyt* dużą przyjemność. Niepokoiła mnie świadomość, że jeśli będzie trzeba, skuję ją łańcuchami, pozbawię wolności i jak ozdobę zamknę w szklanej gablocie. Wszystko, byle ją mieć. *Nie wolno mi tego czuć! Nie wolno mi patrzeć na nią w ten sposób!*

Jej wargi rozchyliły się nagle. Przebiegła językiem po moich ustach. Cofnąłem się raptownie ze śmiechem, czując ulgę, że coś tak przyziemnego przerywa całą tę scenę.

– Strasznie przepraszam, ale od trzech dni nie myłaś zębów. Pachniesz jak elficki zbój na diecie wampirów.

Natychmiast zakryła usta dłońmi, po czym burknęła coś, szarpnęła kolanem i uderzeniem magii zrzuciła mnie na podłogę.

– Podłoga jest na pewno bardziej smakowita – powiedziała ze złośliwym uśmieszkiem. – A ja tymczasem wezmę kąpiel.

Skinęła niedbale dłonią w kierunku łazienki i zaraz dał się słyszeć odgłos lejącej się wody. Po chwili zrzuciła z nóg ciężką kołdrę, przewróciła się na brzuch i podpierając nadgarstkami podbródek, spojrzała na mnie z wysokości łóżka.

– Jak tam na podłodze, mój lojalny poddany?

Usiadłem. Skrzyżowałem nogi na podłodze i oparłem na nich ręce.

– Dobrze, moja pani, bo świetnie cię stąd widzę, moja Bohaterska Damo.

Skrzywiła się.

– Czy mam ci się pokłonić, pani? Paść przed tobą na twarz? Wymasować ci stopy?

– Opuść sobie. – Choć powiedziała to oschłym tonem, kąciki jej ust drgnęły. – To ci nie pasuje. Urodziłeś się, żeby panować.

Zawahałem się na moment. *Śliski temat*. Nikt nie powinien pozwalać sobie na aluzje odnośnie do tego, że mojemu starszemu bratu wcale nie pasuje rola następcy tronu. Była to niepisana zasada. Wtedy przypomniałem sobie, z kim rozmawiam.

– W sumie racja – przyznałem. Uniosłem się na kolana i spojrzałem jej w oczy, przysuwając twarz bardzo blisko jej twarzy. Cofnęła się odrobinę. – Nie miałaś czasem brać kąpieli?

Przytaknęła i podniosła się. Obserwowałem każdy jej ruch. Sięgnęła dłonią do kręgosłupa, ale poza tym bardzo pewnie stała na nogach. Minałem ją więc i wszedłem do łazienki. Wewnątrz było ciepło, a lustra zaczynały właśnie zaparowywać. W napełnionej mniej więcej do połowy wannie unosiła się

mydlana piana.

– Boli cię coś?! – zawołałem za siebie.

– Trochę. Plecy mi zeszywniały – odpowiedziała zbolalym głosem, który zdradzał coś więcej niż sztywność pleców. *Dlaczego ona musi zawsze wszystko ukrywać?*, pomyślałem, gdy tymczasem ona sięgnęła po nowiutką szczoteczkę do zębów.

Zgarnąłem z półki kilka fiolek z olejkami do kąpeli i podszedłem do uformowanego na kształt wodospadu kranu. Nie było tu kurków. Zamiast nich sponad zawiniętej krawędzi wanny wystawała drewniana półka. Przyciśnięciem guzika wybierało się, czy spłynie z niej strumień zimny, czy ciepły. Odgłos wody uderzającej o wodę przyprawił mnie o dreszcz.

Dałem olejkom spływać z prądem. Gdy uznałem, że mieszanka jest odpowiednia, rzuciłem jeszcze drobne zakłęcie lecznicze. Woda spieniła się, nieznacznie bulgocząc.

Czekała, stojąc za moimi plecami. Jedną z rąk ułożyła w poprzek ciała, a dłoń wsunęła pod pachę. Zbliżyłem się. Odsunąłem jej rękę, by ją objąć i lekko przyciągnąć ku sobie. Choć bardzo delikatnie przesunąłem dłonią po jej kręgosłupie, i tak wyczułem poszczególne kręgi. Spojrzałem jej w oczy.

– Masz nigdy więcej mi tego nie robić, jasne? – Potrząsnąłem nią. Chwiała się bezwładnie w moich rękach jak szmaciana lalka. W przypiływie wyrzutów sumienia milcząco wbiła spojrzenie w podłogę. – Przymierzam, że zamknę cię pod strażą, jeśli będę podejrzewał, że możesz znów spróbować. Potrzebuję cię. I mam obowiązek troszczyć się o ciebie. – Cały czas nią potrząsałem.

Przymrużyła oczy. W jej spojrzeniu nie zostało nic żartobliwego.

– Nie możesz mi rozkazywać. Już nie.

– Patrz na mnie. – Puściłem ją, chcąc ją pocałować. Ona jednak natychmiast odepchnęła mnie i sama się trochę cofnęła. Jej dłonie powędrowały do wiszącego poniżej kolan rąbka koszuli nocnej. Chwyliła go i zadarła ku górze. Zamarłem w pół kroku. Nie będąc w stanie oderwać od niej oczu, patrzyłem, jak tkanina wędruje coraz wyżej. Odsłoniła wijące się blizny na udzie, potem białe majteczki, po czym nagle szybkim ruchem zrzuciła koszulę przez głowę.

Wyraz jej twarzy, jeszcze przed chwilą mówiący wyraźnie „patrz”, ustąpił miejsca niepewności i poszukiwaniu akceptacji. Stała przede mną w samej bieliźnie. Na górze miała tradycyjny u Mędrców prościutki top bez rękawów. Miseczki otaczające jej piersi uszyte były z koronki, która szeroką siateczką rozchodziła się ku plecóm i biodrom. Całość kończyła się tuż ponad linią majtek. Nic nie było tu pozostawione wyobraźni.

– O kurde – jęknąłem. *Kiedy przez te dwa lata ona zdążyła nabrać takich kształtów?* Była doskonała. Absolutnie doskonała.

Mocno się czerwieniąc, skrzyżowała ręce na piersiach. Kiedy zakląłem, jej wargi natychmiast drgnęły.

– Powinam... – Obróciła się nieco. Ramię miała teraz ustawione równoległe do brzegu wanny – *wolno* mi tobie teraz rozkazywać. Wyjdź! – dokończyła, drugą ręką wskazując mi drzwi.

Minęło kilka sekund, nim zdołałem oderwać wzrok od jej piersi.

– Więc nie jesteśmy sobie równi? – Miało to zabrzmieć jak udawany szok. Chciałem po prostu zażartować. Widząc jednak, jak zacisnęła wargi, skierowałem się do drzwi. Wymknąłem się z łazienki i położyłem na sofie w przedsiönku.

– Nie. – Usłyszałem po chwili. – Oczywiście, że nie.



*Jesienna Róża*

Odwiedziliśmy Varnley, siedzibę dworu wampirów. Na własne oczy zobaczyłam widzianą wcześniej w snach miłość Violet i Kaspara. Dzieliłam ich ból, gdy nie wolno im było nawet się dotknąć. Na Varn's Point powiedziałam też Violet, jaki czeka ją los.

Były to chyba jedyne obrazy niewymazane natychmiast przez przerażenie, jakie ogarnęło mnie na myśl o znalezieniu się w świętych murach Athenei. Wciąż pamiętałam twarz Violet Lee po naszym pożegnalnym uścisku w Varnley – wyraźnie czuła się porzucona.

Nie słabość chciałoby się widzieć u dziewczyny, która ma niedługo otrzeć się o śmierć. Nie słabość chciałoby się widzieć u dziewczyny, która ma poprowadzić ludzi ku pokojowi. Nie słabość chciałoby się widzieć u dziewczyny, którą jej wielka miłość ma porzucić na pastwę śmierci.

I choć marzyło mi się, by lepiej nadawała się do konfrontacji z tym, co ją czeka, wiedziałam, że i ja sama nie miałabym na to dość siły.

*Athenea... Athenea to najpiękniejszy kraj świata. To miejsce na ziemi, dla ziemi i dla mieszkańców ziemi. To oaza spokoju, nazwisko, ród i zespół wartości, które mamy we krwi ja i ty, moje dziecko. To szmaragdowe zbocza i ośnieżone szczyty, słona woda oceanu i słodka woda strumieni. To lasy, doliny, pałace, dwory, szkoły i przemysł. To tylko punkcik na mapie; jednak kiedy zasiadasz w wielkiej Maerdohealle, wszystkie stworzenia są twoimi przyjaciółmi i wszystkie twoimi wrogami. A jednak Athenea... Athenea to wciąż ziemskie wcielenie pokoju.*

Opuściliśmy drugi wymiar przy łopocie peleryn i pośród cichnących krzyków wampirów. Nim zdążyły się zorientować, jak wyprowadziliśmy je w pole, nas dawno już nie było. Nigdy wcześniej nie przekraczałam granicy wymiaru bez eskorty. Zawsze dotąd był ktoś, kto trzymał mnie w ramionach. A jednak udało się. Nie minęła sekunda, a znalazłam się w pierwszym wymiarze, o pół metra od Fallona.

Rzucił na mnie okiem, po czym truchtem ruszył przed siebie drogą, na której się pojawiliśmy. Wiedziałam, że nasz cel jest niedaleko. Rysował się przed nami wysoki na piętnaście metrów mur barwy bladożółtej, całkowicie gładki i absolutnie nie do sforsowania. Był to wewnętrzny mur Athenei – ostatnia linia obrony, jaką napotykało się przed dotarciem do świętego serca królestwa, gdzie znajdowały się pałac królewski, uniwersytet i siedziby najwyższej arystokracji.

Droga była szeroka i prosta. Nie umieszczono na niej żadnych oznaczeń, bo też nie było takiej potrzeby – za drugi mur nie wolno było wjeżdżać samochodami. Na samym końcu drogi znajdowały się wrota z kutego żelaza, równie wysokie jak sam mur i o wzorze tak skomplikowanym, że aż onieśmielającym. Metal układał się w atheneański herb oraz drzewa, kwiaty i liście, również klonowe. Pomiedzy prętami dojrzałam błękitny poblask: była to granica wewnętrznej osłony kopułowej.

Wbiegliśmy w tę imponującą scenerię, jednak Fallon zaraz odbił w lewo. Wszedł do niskiego podłużnego budynku obok drogi. Przełknęłam ślinę.

*Początek porażki.*

Budynek robił od wewnątrz wrażenie znacznie większego. Szklanymi ścianami podzielono go na działy i poszczególne biura, a od frontu stał szereg stołów, bramek bezpieczeństwa i sprzętu do

skanowania bagażu. Powyżej znajdował się znak z bardzo czytelnym komunikatem napisanym w języku Mędrców, po angielsku, francusku, rumuńsku i w pozostałych językach mrocznych istot:

## PUNKT KONTROLNY A WSTĘP WYŁĄCZNIE DLA OSÓB UPOWAŻNIONYCH

Świdrowanie w moim żołądku się nasiliło. *Nie mam paszportu ani żadnych dokumentów! Myślałam, że w związku z całym tym zamieszaniem tak po prostu wpuszczą nas do środka.*

Ulżyło mi, gdy z korytarza wyłonił się Edmund. Zrobił to w tej samej chwili, w której strażnik ochrony pogranicza podniósł wzrok i z ukłonem zerwał się z krzesła. Biurowy fotel na kółkach odjechał do tyłu i z impetem uderzył w szklaną ściankę działową.

Edmund podbiegł i szybkim ruchem zsunął nam kaptury. Zaraz też przytulił nas tak mocno, że omal nie połamał nam żeber. Nic nie mówiąc, zwolnił po chwili ucisk, pomógł zdjąć peleryny i wręczył paszporty.

Gdy stało się jasne, kim jesteśmy, w pomieszczeniu zapadła na moment głucha cisza. Umilkli wszyscy, Athanie, strażnicy, milicjanci. Przez minutę niepokoilałam się, że chodzi im o mój strój: grube, ale porwane rajstopy, krótkie spodenki i top bez rękawków. Były to jedyne stare ubrania, jakie miałam wcześniej ze sobą, i jedyne, których nie było mi żal zniszczyć w Varnley. Gdy jednak przyjrzeni mi się już starannie, wymienili spojrzenia, a następnie głęboko się ukłonili. Wtedy zrozumiałam, o co chodzi.

– Och, ja... naprawdę... – mamrotałam bezładnie. *Ale dziwne uczucie. Bardzo dziwne.*

Na ratunek pospieszył mi Edmund.

– Nie mamy czasu. Muszę jak najszybciej przeprowadzić ich przez strefę. Król życzy sobie niezwłocznie ich przyjąć.

*Król? Teraz? Ta myśl mnie zelektryzowała.*

Nie było jednak czasu na rozmyślanie. Natychmiast sprawdzono oba moje paszporty, mędrkowski i brytyjski, zweryfikowano odcisk kciuka, kazano opróżnić kieszenie, po czym posadzono do wypełniania formularza. Jedno z pytań brzmiało: „Jak długo zamierza pan/pani przebywać w Athenei?”. W odpowiedzi napisałam tylko „–”.

Odprawy Edmunda i Fallona poszły błyskawicznie dzięki ich kartom tożsamości i pobranym wcześniej skanom siatkówki. Obiecano mi, że do końca tygodnia i ja będę mieć taki dokument. Po chwili dołączyłam do nich obu. Zwrócono mi paszport wraz z wizą czasową. Przeczytałam pierwszy z naniesionych na nią punktów.

„Na mocy niniejszego dokumentu jego posiadaczka, Bohaterska Dama Jesienna Róża, księżna Anglii, otrzymuje prawo pobytu czasowego, upoważnienie dostępu kategorii A, królewskie przebaczenie oraz możliwość bezpiecznego przejazdu przez królestwo Athenei. Powyższe obowiązywać będzie tak długo, jak zechce w swej łaskawości Jego Wysokość Król Ll’iriad”.

Wpatrywałam się w kartkę z pełnym podziwu osłupieniem. *Athenea. Ja naprawdę wróciłam do Athenei.*

– Witaj w domu, moja pani – powiedział z uśmiechem pogranicznik. Stojący obok Edmund milcząco skinął głową z aprobatą.

Fallon, w zakurzonym ubraniu i butach oblepionych sosnowymi igłami, pachnący odpowiednio do wyglądu, podał mi rękę.

– Pora załatwić sprawę z ojcem.

Wzbiliśmy się w powietrze, by w ten sposób szybciej pokonać rozległy wewnętrzny krąg Athenei. Prowadzący nas Edmund przestał zaraz podążać wzdłuż drogi, tylko skręcił nad lasy. Była to mniej malownicza trasa do pałacu. Gdy nagle wyłoniła się sama budowla, poczułam rozczarowanie. Nadlatywaliśmy z boku, a widok z tej strony z pewnością nie oddawał piękna i ogromu pałacu – domu rodziny królewskiej i tysięcy otaczających ją osób. Daleko po lewej zobaczyłam za to urwisko, na którym wznosił się pałac, a na trzeciej kondygnacji – balkon *maerdohealle*.

Wylądowaliśmy na rozległym trawniku dzielącym drzewa od złotego kamienia i natychmiast znów zaczęliśmy biec. Nie śmiałam zwolnić, ale zastanawiałam się, czy Fallona tak samo jak mnie pałam mięśnie nóg i czy Edmund poniósłby mnie, gdybym teatralnie upadła. Tego ostatniego postanowiłam nie sprawdzać.

Dotarliśmy do niewielkich drzwi wciśniętych pomiędzy najdalsze skrzydło pałacu a urwisko. Weszliśmy nieniepokojeni przez straż. Ciągnął się przed nami surowy, szpitalny niemal korytarz, którego lewą stronę zastawiono skrzyniami owoców.

– To wejście służbowe – wyjaśnił Edmund, odpowiadając na moje niewypowiedziane pytanie.  
– Przy frontowym są nadworni dziennikarze i masa plotkarzy.

Prowadził nas to w prawo, to w lewo. Czasem gwałtownie zakręciliśmy, a z rzadka wspinaliśmy się też krętymi klatkami schodowymi. Nie mogłam się oprzeć wrażeniu, że przebijamy się przez labirynt. Miałam narastające poczucie ciasnoty, a mój oddech stawał się coraz płytszy, aż wreszcie – po drugim podejściu schodami – zgięłam się wpół, ciężko dysząc.

– Do-dokąd my idziemy? – wysapałam.

– Do *maerdohealle*. Król chce niezwłocznie widzieć was oboje.

– W takim stanie? – wyrzuciłam z siebie, by zaraz znów zgiąć się wpół i zanieść się kaszlem. „Przecież cuchniemy” – chciałam powiedzieć, ale to, co z siebie wykrztusiłam, zabrzmiało raczej jak „przeszuchniemy”.

Edmundowi udało się jednak zrozumieć, co mam na myśli.

– Nie ma teraz czasu na prysznic ani przebieranie się. Idziemy!

Nim zdążył pociągnąć mnie za sobą, chwyciłam się mocno poręczy schodów.

– Nie, ja nie mogę. Po prostu nie mogę. Nie jestem gotowa, żeby pokazać się królowi. Nie wiem, jak ci to powiedzieć...

Moja pierś żyła własnym życiem. Czulałam kolejne potężne wdechy, ale powietrze zdawało się jakimś cudem nie docierać do płuc. Serce wciąż waliło jak oszalałe, mózg panikował. Ciężyły mi nogi i ręce. Nie musiałam nic robić, by oprzeć się sile ręki Edmunda.

– Proszę, daj nam chwilę. – Zostałam posadzona na najwyższym stopniu schodów. Zwężało mi się pole widzenia, ale zobaczyłam, jak Fallon klęka naprzeciw mnie.

– Dziś bez ataków paniki, proszę. Dotąd idzie ci rewelacyjnie.

Otarłam spocone dłonie i jęknęłam między jednym a drugim oddechem. Bolała mnie klatka piersiowa.

– Król... ja nie potrafię! Nie pójdę tam! Nie zmusicie mnie...

– Ciii – szepnął uspokajająco. – Pooddychaj chwilę przeponą. – Położył dłoń poniżej moich żeber.



– Wdech na dwa, wydech na pięć. Czujesz, jak moja ręka się unosi? Ja będę liczył...

Zaczął odliczanie. Do dwóch i od jednego do pięciu, i tak raz za razem przez kilkadziesiąt powtórzeń, aż z wysiłku rozboląła mnie przepona. Mój umysł jednak oczyszczał się, a serce uspokajało. Ból ustępował.

– A teraz *razem* tam pójdziemy i spotkamy się z moim *ojcem*, nie z królem. Razem.

Zdjął dłonie z mojego brzucha i położył je delikatnie na moich policzkach.

– Dasz radę to dla mnie zrobić?

Skinęłam głową.

– A co do ubrań... Pamiętaj, że jesteś Bohaterką i wolno ci nosić się, jak chcesz. Z tym nie ma żadnego problemu. Jasne?

Raz jeszcze pokiwałam głową.

– Zuch dziewczyna – powiedział cicho, biorąc mnie za rękę i pomagając mi wstać. Ruszyliśmy przed siebie, mijając Edmunda, który spojrział na nas, jakby nasze blizny zmieniły nagle kolor.

*Potrafię to zrobić. Dam radę...*

Zaczęłam powłóczyć nogami, gdy wyszliśmy z za arrasów zawieszonych na tyle daleko od ściany, by zostawić przestrzeń na przejście. Byliśmy już w głównej części pałacu, na trzeciej od góry galerii. Otaczała ona frontowy wirydarz oddzielający skrzydło wschodnie od zachodniego. Po drodze znajdowała się *maerdohealle*. Wyrzałam przez ozdobny kamienny łuk. Na obu wyższych i obu niższych poziomach widziałam Mędrców: służących w czarno-złoty uniformach, na granatowo ubranych studentów, arystokrację, szlachtę ziemską i radców odzianych w ekstrawaganckie szaty z najprzedniejszych tkanin.

Edmund pojawił się znów przed nami i poprowadził nas wokół wirydarza na przylegający do niego rozległy dziedziniec. Znajdowały się tam przepiękne, masywne dwuskrzydłowe drzwi o biało-złotej barwie. Po obu stronach stali dwaj lokaje i uzbrojeni strażnicy. Właściwie to strażnicy byli wszędzie. Nie przypominałam sobie, bym widziała ich tu kiedyś tak wielu. Przyglądali mi się wyczekująco w lekkim półmroku. Gdy minęli ich Fallon i Edmund, wyprężyli się na baczność przy wtórze metalicznego brzęku.

Lokaj, który nie wyglądał jeszcze nawet na w pełni dojrzałego, przyglądał się nerwowo kłapy liberii i uśmiechnął się bojaźliwie do mnie i Fallona. To, że wyglądał na jeszcze bardziej przerażonego niż ja, dodało mi w pewien sposób otuchy.

– Czy król jest już gotowy? – spytał Edmund.

– Tak, proszę pana – odpowiedział chłopak. Drugi z lokajów, ten, który odpowiadał za drzwi, uniósł dłoń i oparł palce na klamce.

– Gotowa? – zapytał mnie Edmund. Przesunęłam dłońią po włosach w poszukiwaniu bezpańskich kosmyków, po czym chwyciłam wyciągniętą w moją stronę rękę Fallona.

– Tak.

Mając za plecami Edmunda, czekaliśmy, aż drzwi się otworzą.

Sama wielkość *maerdohealle* przyprawiała o zawrót głowy. Zmieściłby się w niej bez trudu cały dwór Manderley, a kominy nie zahaczałyby nawet o łukowate sklepienie, przywodzące na myśl gotycką katedrę. Tylko okna najwyższej kondygnacji sięgnęłyby dwupoziomowych balkonów

biegnących po obwodzie sali jako kontynuacja wirydarza. Lewa ściana tego gigantycznego pomieszczenia nie była tak naprawdę ścianą: poniżej balkonów ciągnął się szereg łuków, pod którymi przechodziło się na kolejny potężny balkon. Rozciągał się z niego widok na tereny, ponad którymi niedawno przelecieliśmy. Poniżej widać było długą, rozszerzającą się ku dołowi klatkę schodową. Na odległym drugim końcu sali znajdowały się kolejne schody – te, rozdzielając się na dwoje, pięły się z najniższego balkonu. W przestrzeni pomiędzy dwiema spiralami stopni znajdowało się podium z potężnym dwuosobowym tronem. Oba miejsca były zajęte.

Na balkonach, pomiędzy kolumnami, poniżej łuków i pośrodku sali – wszędzie było tłoczno. Ustawieni w szeregach zgromadzeni patrzyli w naszą stronę. Zdawałoby się, że gdy wokół tyle jest ust i gardeł, nie może być cicho, a jednak panowało całkowite milczenie.

Gdy jednak wyłoniliśmy się z cienia, zaraz dały się słyszeć westchnienia i szepty.

Fallon ścisnął moją dłoń i szybko ruszyliśmy schodami w dół. Podeszwy naszych butów głośno stuknęły o marmur. Stojący poniżej schodów omal nie potykali się o własne nogi, cofając się gorączkowo, by zrobić dla nas miejsce. Gdy szliśmy naprzód, kilkoro z nich pochyliło się w ukłonie. Inni rozglądali się w oczekiwaniu na sygnał, by to zrobić.

– To nie może być ona!

– Powinna być młodsza...

– Wypisz wymaluj świętej pamięci księżna.

– Dlaczego trzyma go za rękę?

*Dwór, moje dziecko, jest jak akwarium. Wszyscy przypatrują się dużym i ładnym rybom. Tyle że to bez sensu, bo żadne z nas rybą nie jest. My się po prostu topimy.*

Szliśmy naprzód przez ogromne pomieszczenie, a tłum pokornie rozstępował się przed księciem i przed Bohaterką. Przede mną. Gdy minęliśmy środek sali, zauważyłam, że otaczają nas inne niż dotąd osoby. Mijani przez nas byli wysocy i zachowywali milczenie. Widziałam ambasadorów wszystkich mrocznych ras i licznych znanych mi członków arystokracji. Szarfy na ich ramionach stanowiły znak przynależności do rady. Byli też inni politycy oraz różni dworscy doradcy. Wszyscy przypatrywali mi się oceniająco przymrużonymi oczami i nie sposób było mieć do nich pretensji. Patrzyli w końcu na niską, obszarpaną blondynkę, która z szeroko otwartymi oczami dawała prowadzić się za rękę. Marny materiał na Bohaterkę.

Nagle zaczęłam dostrzegać wokół znajome twarze: Eaglena, księcia i księżnej Victorii i innych członków rodziny Fallona. Czułam na sobie świdrujące spojrzenia tych, którzy od dawna mnie nie widzieli, ale wszystkie te osoby miały dość wycucia, by odwrócić się w chwili, gdy zerkałam w ich stronę.

Jeszcze moment i przestaliśmy iść przez gąszcz zebranych.

Król zerwał się z tronu, by jednak zaraz zawahać się i przystanąć. Kilka razy otwierał i zamykał usta.

– Wasza Wysokość – zdołał tylko powiedzieć Fallon, nim ojciec go objął. Wymienili po cichu kilka słów, po czym księżę wyśliznął się z uścisku, czerwieniąc się mocno i nerwowo pocierając tył głowy.

– O rany – jęknął. – Ty już nie musisz, mamó. – Proces został jednak powtórzony.

Skrepowana przyglądałam się z boku rodzinnemu powitaniu. Miałam za sobą setkę klęczących

i o wiele więcej niespokojnie wyprężonych na baczość. Sama zaś stałam, pocierając cholewką o cholewkę.

Edmund podszedł do mnie od tyłu i położył mi dłoń na ramieniu, żebym się uspokoiła. Jego dotyk pozwolił mi stać spokojnie. Puścił mnie dopiero wtedy, gdy król i królowa wyściskali już i wycałowali swojego syna, który był teraz czerwony jak burak.

– Idź – szepnął miękko i delikatnie popchnął mnie naprzód. Zbliżyłam się do królewskiej pary jak do dwojga katów, którzy mają mnie ściąć.

*O losie, niech te wszystkie lata lekcji etykiety nie pójdą na marne!*

– Eeee... cześć – powiedziałam ledwie słyszalnie, zatrzymując się przed nimi. Słyszałam w głowie, jak moja babcia zanosi się krzykiem strzygi, a moje tęczołki natychmiast zrobiły się wściekle różowe.

Oboje byli bardzo bladzi i zdawali się równie oszołomieni jak ja, ale mój nieśmiały szept sprawił, że się ocknęli.

– Wybacz, lady... Czuję się przez chwilę, jakbym patrzył na ducha. – Król potrząsnął głową i ujął w rękę moją spoconą dłoń.

Przyklękłam na jedno kolano. Dziwnie by to wyglądało, gdybym dygnęła, mając na sobie krótkie spodnie.

– Wasze Wysokości.

Król przykucnął natychmiast, by nasze twarze znalazły się naprzeciw siebie. Uniosłam wzrok i zobaczyłam, że uśmiecha się do mnie. Wokół jego oczu pojawiły się kurze łapki.

– Nie, młoda Bohaterko. Nie będziesz mi się kłaniać. Ani mnie, ani nikomu innemu. – Wsunął rękę pod moje ramię i pomógł mi się podnieść. – Wstań. Załatwię to szybko.

Obrócił mnie i ustawił obok siebie, nie zdejmując dłoni z moich ramion. Zupełnie jakby się bał, że spróbuję uciec. Naprawdę niepotrzebnie. Przerażenie całkowicie mnie sparaliżowało.

– Powróciła dziś do nas złota róża naszego królestwa. Plotki wędrują na dworze szybko, więc zapewne część z was zdążyła już usłyszeć o imponujących dokonaniach tej młodej jasnowidzki. Nie tylko odnalazła ona wampiryczną Bohaterkę...

Słowa króla wyzwoliły potężną falę szmerów, która przetoczyła się po sali. *Więc dotąd nie wiedzą o Violet Lee?*

Król przerwał i odczekał, aż sala przycichnie.

– Nie koniec na tym. Zaledwie przed kilkoma dniami nasza róża, wywiązując się z zadań strażniczki, naraziła dla ratowania człowieka życie i omal go nie straciła. Ocaliła osobę będącą o krok od śmierci.

„Nie tak było! Zachowałam się samolubnie” – miałam chęć krzyknąć, gdy jednak zerknęłam na twarz króla, zrozumiałam, co robi. Spoglądał w oczy zgromadzonym w pierwszych rzędach – ambasadorom, arystokratom, doradcom i innym dzierżącym władzę. Patrzył na nich tak ostro, jakby chciał spojrzeniem obrócić ich w kamień, i groził im. *Groził im moją mocą.* Mniejsza z tym, czy znał prawdę na temat mojego postępowania, ale je wykorzystywał.

– Wasza Bohaterka gotowa była na najwyższe poświęcenie w imię Traktatów Terra. Wykazała się wobec ludzkości miłosierdziem, które w tych trudnych czasach powinno stanowić dla nas wszystkich przykład. Przeznaczenie dobrze wybrało. Panie i panowie, proszę, byście wraz ze mną powitali

i uczcili Bohaterską Damę Jesienną Różę.

Po tych słowach król zrobił rzecz niesłychaną: ukląkł przede mną na jedno kolano. Stojąca po mojej drugiej stronie królowa dygnęła bardzo nisko i zatrzymała się w pozycji ukłonu. Do pary monarszej dołączyły zaraz jej dzieci. Fallon uśmiechnął się znacząco i skinął głową, uznając gest rodziców. Rozpoczęła się fala ukłonów, która przebiegła błyskawicznie po całej sali.

Nikt poza mną nie stał.

*Jest ograniczona liczba szalonych, odmieniających życie wydarzeń, które dziewczyna może wytrzymać w ciągu jednego tygodnia.*

Niestety, uderzyłam o podłogę, zanim jeszcze całkowicie straciłam przytomność. Naprawdę bolało.

\*\*\*

*Wygodnie, jedwabście, miękko.* Ktoś głaskał moje włosy, uważnie przesuwając palce pomiędzy kosmykami, tak by je rozplątać. Moja głowa opierała się o czyjeś kolana, ale na pewno nie Fallona, bo zajmująca się mną osoba miała na sobie spódnicę.

– Fallon, ona chyba się budzi.

Poczułam delikatny ucisk na rękę. Po układzie blizn natychmiast poznałam dotyk księcia. Drgnęłam i pomału wydostałam się z głębi, w którą zapadłam, tracąc przytomność.

Otworzywszy oczy, zobaczyłam długą, smukłą i przyozdobioną pięknymi klejnotami szyję królowej. Uśmiechnęła się do mnie delikatnie, po czym oparła dłoń o moje ramię i przytrzymała mnie, gdy będąc wciąż w stanie szoku, próbowałam się podnieść.

– Leż spokojnie. Musisz odpocząć.

Odsunęłam jej rękę.

– Jak długo byłam nieprzytomna? Co z Violet Lee? Jest cała?

Fallon oparł mnie z powrotem o uda matki.

– Nic jej nie jest. Kaspar Varn nie pozwoli, by opuściła bez niego wymiar. Na razie tam zostanie, ale ma się dobrze.

– Król Vladimir zwołuje właśnie posiedzenie rady.

Poczułam się dezorientowana. W wizjach widziałam wyraźnie, jak Kaspar Varn odchodzi. Gdy jednak poleciłam mu natychmiast sprowadzić do mnie Violet, odmówił. Czyżby był to przejaw ich więzi?

Nie umiałam odpowiedzieć na żadne z istotnych pytań. Za bardzo ciążyły mi powieki.

Wtem ktoś zakołatał głośno do drzwi pokoju. Gdy padło zaproszenie do wejścia, pojawił się jeden z członków rady. Jego ubiór zdobiła charakterystyczna szarfa.

– Pani, nowe wieści z drugiego wymiaru.

Poczułam, jak serce skacze mi do gardła.

– Przybędzie nie tylko Violet Lee, Wasza Wysokość. Cały dwór wampirów spędzi zimę w Athenei.

MUZA S.A. 8825\_8499

## *Jesienna Róża*

Kolejne dwa tygodnie przypominały prawdziwe pandemonium. Pod wieloma względami było to pomyślne zrzącenie losu, bo dzięki temu mój umysł nie miał ani chwili wytchnienia. Najpierw musiałam zająć się przeglądem i remontem komnat rodu Al-Summers. Były piękne, wyglądały tak samo jak moja sypialnia w Burrator. Chciałam jednak w miarę możliwości uwolnić je od piętna mojej babci. Zastaną pościel zastąpiłam tą, którą dostałam na urodziny, a zamiast ciężkich beżowych zasłon kazałam powiesić białe. Poleciłam też, by wyczyszczono złoty liść, którego barwa przypominała teraz bardziej brąz.

Następnie powierzono mi przygotowanie pokoju Violet, a więc tego sąsiadującego z moim. Młodsze wampiry miały również zamieszkać w naszym skrzydle, ale na szczęście znacznie dalej w głąb korytarza. Pojęcia nie miałam, dlaczego uznano, że będę wiedzieć, co chciałyby mieć w pokoju przemieniona niedawno w wampirzycę ludzka osiemnastolatka.

Potem przyszedł czas na wizytę lekarza, która przyniosła najbardziej upokarzającą sytuację w moim życiu. Padło pytanie o moje migreny, więc z początku sądziłam, że może przepisze mi coś na tortury, jakich doznawał mój mózg w związku z wizjami. Ale nie. Zamiast tego umieszczono mi zaraz w ręce „implant antykoncepcyjny”.

A posiedzenia rady? Byłam jak sarna otoczona przez watahę wilków. Jedynym tematem poruszonym na dwóch pierwszych sesjach, w których wzięłam udział, było to, *przed czym dokładnie* ocalę świat. Temat trudny, bo nie widziałam, jak właściwie miałabym ten świat ratować.

Terapia przebiegała... dziwnie. Moja terapeutka, Mędrzec, nie potrafiła przestać wspominać, jak to chodziła na wykłady Freuda, i nieustannie wypytywała mnie o dzieciństwo. Ja tymczasem nie chciałam mówić o niczym innym jak o wiszącej nad królestwem zagładzie i obmyślaniu sposobu na zapanowanie nad moimi wizjami.

No a Fallon... Fallon spędzał dużo czasu w moim pokoju.

Szpilki, które wcisnęły mi na nogi służące, raniły mi śródstopia. Poranna udreka bycia strojoną i fryzowaną przypominała mi czasy, gdy ubierała mnie babcia. Miałam sześć lat, ale już wtedy musiałam znosić niewygodne, sztywne ubrania, upinanie włosów i klucie spinek, które je przytrzymywały. *Dlaczego nie można tego załatwić magią?*

A to wszystko dla króla, który omal nie zamordował mojej siostry Bohaterki. Nie byłam zresztą jedyną malkontentką w tłumie oczekujących na wejście do pałacu. Członkowie rady raz po raz naciągali szarfy, by je wyprostować, a najmłodsze dzieci Atheneów ustawione w szeregach przed rodzicami przepychały się łokciami i narzekały.

Wiecznie rozentuzjasmowany następca tronu tym razem posunął się nawet do odłożenia książki, z którą nigdy się nie rozstawał. Okazał w ten sposób silne rozdrażnienie.

– Public relations to nie jest mocna strona wampirów – mruknął stojący obok mnie Fallon, rozglądając się po pomieszczeniu z wystudiowaną obojętnością. Począwszy od pobranej poprzedniego dnia pierwszej lekcji kontaktów z mediami, sama pracowałam nad podobnym wyrazem twarzy.

– Przynajmniej ten jeden raz to nie na nas wszyscy się gapią – odszepnęłam, nie patrząc nawet na

mojego chłopaka.

– Super, żadnych paparazzich snujących spekulacje o naszym życiu erotycznym. Ale nie martw się, zamiast nich dostaniemy inwazję wampirów na nasz dom. Nie było ich w Athenei od kilkudziesięciu lat. Dlaczego musieli przyjechać akurat teraz?

*Z powodu Violet, to oczywiste.* Trudno było nie wychwycić goryczy w jego głosie. Może po prostu nie byłam jeszcze tak jak on zmęczona kontaktami z prasą. W końcu dopiero od niedawna żyłam na świeczniku. Fallon za to od jakiegoś czasu ponurym tonem mamrotał o Amandzie.

– W tamten weekend wampiry ci nie przeszkadzały – zauważyłam.

– Było ich tylko ośmioro i to my byliśmy u nich. Teraz jest ich trzysta i zjechały na nasz teren.

– Wiemy przynajmniej, że Violet Lee, w odróżnieniu od większości z nich, nie jest arogancką suką. Patrzyłam niezachwianie przed siebie, ale czułam gniewne spojrzenie Fallona.

– Nie wiadomo, jak na nią wpłynie przemiana. Jakkolwiek by patrzeć, jest związana z kutasem numer jeden na świecie.

Z trudem stłumiłam wybuch śmiechu. Przebywanie w otoczeniu starszego rodzeństwa Fallona wyraźnie mnie psuło.

Książę zerknął w moją stronę i przewrócił oczami.

– Rany, nie uwolnię się teraz od tego obrazka.

Nie miał już czasu, by go od siebie odpędzić. Jeden z odźwiernych zastukał zaraz laską o posadzkę i donośnym głosem zapowiedział wejście gości:

– Jego Wysokość Król Vladimir z drugiego wymiaru i Bohaterska Dama Violet Lee.

*I cała reszta.*

Nie widziałam króla wampirów, odkąd byłam małą dziewczynką. Wtedy bardzo mnie przeraził, ale teraz nie wydał mi się ani wysoki, ani groźny. Miał siwiejące włosy, a jego oczy, kiedyś o jasnym, przeszywającym spojrzeniu, pociemniały i zdawały się zatopione głęboko w otoczonych zmarszczkami oczodołach. Towarzyszyła mu liczna świta. Niemal natychmiast wszyscy w sali – z wyjątkiem dwóch monarchów, Violet i mnie – zgięli się w ukłonie.

Dwaj królowie stanęli naprzeciw siebie. Violet kroczyła za swoim władcą, wodząc spojrzeniem to w lewo, to w prawo, patrząc raz na jednego króla, raz na drugiego, a raz na mnie. W którąkolwiek stronę by patrzyła, nie mogłam oderwać wzroku od jej oczu. Otaczały je teraz purpurowe cienie o barwie tak intensywnej, że przyćmiewającej ich kolor. Byłam zdumiona. To nie był charakterystyczny, nieco makabryczny wygląd właściwy wampirom. To był wygląd osoby chorej.

Szłam jednak naprzód u boku Ll'iriada, by zaraz z szerokim uśmiechem ucisnąć dłoń władcy wampirów. Zupełnie jakby był to najradośniejszy dzień mojego życia. Spękane usta Violet były nieruchome. Nie zauważyła nawet, że Ll'iriad stoi pół metra przed nią.

– Róża – wychrypiała bardzo słabo. Patrzyła na mnie szeroko otwartymi oczami, jak ktoś, kto właśnie zobaczył ducha.

– Violet – odpowiedziałam miękko. Tak naprawdę miałam jednak ochotę krzyknąć. Miałam chęć uciec. Przysunęła się bliżej, a rąbek sukienki kołysał się wokół jej guzkowatych kolan. *W jeansach wyglądała lepiej.* Nic nie odpowiedziała, a tylko odgarnęła grzywkę z czoła.

Tuż przy niej stał nisko pochylony Kaspar Varn. Wysunął ręce przed siebie, zupełnie jakby

szykował się do skoku i chwycenia Violet. Niezależnie od tego, na kogo akurat patrzył, w jego oczach malowały się gniew i mrok.

Nagle z tyłu sali zapanowało poruszenie. W zwieńczonym łukiem wejściu pojawiły się dwie postaci. Ich obecność powitały natychmiast syknięcia i pomruki – zupełnie jakby podczas spektaklu dla dzieci na scenę wszedł czarny charakter.

W ciepłym, drżącym delikatnie powietrzu przesyconym magią poczułam nagle zimny podmuch. Ludzie. Pierwszą postacią był mężczyzna w średnim wieku ubrany w garnitur. *Michael Lee*. Obok niego stała dziewczyna, nieco młodsza ode mnie i równie wymizerowana jak Violet. Wokół głowy owinięty miała szalik w różowy wzór.

Spojrzała na mnie wściekle.

– Wiedzmo! – załkała. – Patrz, co zrobiłaś z moją siostrą!

Kaspar poderwał się natychmiast i stanął pomiędzy dziewczyną a Violet, tak by uniemożliwić im kontakt wzrokowy.

– Lillian Lee – wymamrotał w moją stronę przepaszająco.

– Powinniśmy wyjść, jeśli...

*Lillian Lee? Nikt mi nie powiedział, że będę tu ojciec i siostra Violet!*

– Oczywiście. Czeka poczęstunek...

Violet ruszyła się znacznie szybciej, niż można by oczekiwać po tak wątlej postaci. Zwróciła się do mnie.

– Nie...! Nie chce mi się jeść... to znaczy pić. Chciałabym tylko odpocząć.

Pośród westchnień i ogólnego zamieszania po dramatycznym okrzyku Lillian zgromadzeni zaczęli pospiesznie wstawać. Przez chwilę zupełnie nikt nie zwracał uwagi na nas dwie – ściśnięte pomiędzy dwiema rodzinami królewskimi. Ll'irriad zorientował się w sytuacji i gdy zerknęłam w jego stronę, delikatnie skinął głową. Wiedział, że sala ma małe tylne wyjście, którym możemy się wymknąć. Natychmiast podałam Violet ramię i poprowadziłam ją przez tłum w jego stronę. W pierwszej chwili pomyślałam, że to przeskoczył ładunek elektryczny. Chciałam cofnąć rękę, ale nie mogłam. Czułam się jak przyklejona do Violet, a rzekomo niezawodne osłony wokół mojego umysłu zdawały się płonąć i parzyć. Nie było takiej rzeczy, której nie mogłabym się przyjrzeć. Nie było takiej skrzyni, która na samo moje spojrzenie nie stanęłaby natychmiast otworem. Runęła na mnie fala obrazów i emocji, których wcale nie chciałam poznać. Z każdą sekundą ich przybywało. Mój nadgarstek przyciśnięty do jej ust, słonawy smak krwi i to mimowolne ukłucie nienawiści, gdy zobaczyłam w myślach lorda Fabiana Arianiego. Najczęściej powracającym obrazem był Kaspar Varn. Kaspar Varn i ona. Całują się. Dotykają. Pieprzą. To ona tak to nazywała, nie ja. Słyszałam w swojej głowie jej słowa.

Zamarłyśmy w bezruchu pośród tłumy. Aż wreszcie Violet pomału przesunęła ręką po moim nadgarstku i dłoni, po czym mocno mnie objęła. Była wyższa ode mnie, ale nachyliła się tak, by jej usta znalazły się tuż przy moim uchu.

– Jest za tobą zamordowana królowa wampirów. Mówi, że jest między nami więź. Że możesz za moim pośrednictwem z nią porozmawiać – wyszeptęła.

Jej głos drżał. Gdy cofnęłam głowę o kilka centymetrów, dostrzegłam, że jest wpatrzona w punkt gdzieś ponad moim ramieniem. Odwróciłam się bardzo powoli, by stwierdzić, że nikogo tam nie ma.

Jednak choć moje oczy nie widziały niczego, to w moim umyśle zamigotał obraz otwartych drzwi,

w których pojawiają się nagle Violet i ja. Dołącza do nas zaraz jeszcze jedna osoba: niesłychanie piękna kobieta w sukni o barwie szmaragdowej zieleni. To nieżyjąca królowa wampirów, matka Kaspara i jedna z tych, którzy niewinnie oddali życie za Violet.

Pomyślałam: „Wasza Wysokość”, a Violet natychmiast wypowiedziała te słowa.

– Bohaterska Damo – odparła postać. – Nie mogę ukazywać się Violet na zbyt długo. Modłę się, żebyś ją ocaliła. Ona słabnie, niknie. Wiesz sama, czym jest mrok wewnątrz umysłu. Ratuj ją. Bez twojej pomocy nie da rady uchronić mojego rodzaju od wojny.

*Nie potrafisz nawet uratować samej siebie! Nie wiem, jak powstrzymać wojnę! Ledwie wiem, z jakim wrogiem mam do czynienia...*

– Moja damo, Violet i ty stanowicie jedno. Obie widziałyście śmierć i obie znalazłyście się o włos od niej. Wiesz o nienawiści pomiędzy ludźmi a mrocznymi istotami. Macie obie niewidziane nigdy dotąd moce. Pomyśl tylko. Pomyśl, jak jesteście podobne. Ty stajesz się silniejsza każdego dnia. Ona też może.

Obraz zaczął rzednąć i zanikać. Violet w dalszym ciągu mnie dotykała, ale łączność zdawała się wygasać.

*Fallon!*, zawołałam, czując, że on i Kaspar zbliżają się do nas.

– *Czy w moim umyśle wciąż stoją zamknięte skrzynie? Wszystko jest chronione?*

– *Tak, oczywiście. Co się stało? Wyglądasz na przerażoną.*

– *Później ci opowiem.*

Długo szliśmy przez pałac. Od skrajnej części zachodniego skrzydła, gdzie znajdowały się nasze pokoje, dzieliła nas duża odległość. Po drodze nie odzywał się nikt poza Violet, która wymamrotała kilka razy, że pałac jest ogromny. Nić więzi pomiędzy nami powodowała, że czułyśmy się podenerwowane i raz po raz wracało wrażenie niezręczności całej sytuacji.

*Co to, do cholery, było? Czy to ta jej nekromancja? Jak to się stało, że zobaczyłam to wszystko? I dlaczego nie ma tu Eaglena, kiedy jest potrzebny?*

Pchnięciem otworzyłam drzwi. Znaleźliśmy się w saloniku przylegającym do sypialni, bardzo podobnym do mojego, tyle że wymalowanym w bardziej soczyste kolory. Okno wychodziło na wschód, a nie jak u mnie – na południe – w związku z czym rozpościerał się z niego widok na pałacowe ogrody, a nie na góry i jeziora. Miałam szczęście, trafiłam lepiej.

Czekały na nas trzy służki i kamerdynerka. Wszystkie dygnęły na powitanie, po czym ta ostatnia przedstawiła się nam.

– To są służki mojej pani, które będą do dyspozycji waszych dam dworu. Rzecz jasna, jeśli będziecie sobie tego życzyć – powiedziała.

Biedna Violet zbladła i spojrzała na mnie błagalnie, gdy tymczasem kamerdynerka rozwodziła się na temat dostępnych w komnacie udogodnień.

– Normalnie jak w hotelu – wymamrotał Kaspar.

– Chcemy się teraz trochę rozgościć – przerwałam jej, tym samym odprawiając personel. Kamerdynerka, doświadczona i profesjonalna, nie dała zbić się z tropu. Zachowując wzorową dyscyplinę, pospiesznie wyprowadziła służki z pokoju.

Kaspar podszedł do dużego stołu we wnęce okiennej i sięgnął po zakorkowaną przejrystą butelkę



z krwią, która czekała na gości obok wina. Nalał dwie szklanki, po czym z ponurym wyrazem twarzy zaniósł jedną z nich Violet.

– Widziałaś znów moją matkę? Co mówiła? – dopytywał się.

Violet skinęła głową, po czym pokornym tonem powiedziała:

– Nic ważnego.

Walczyłam ze sobą, by nie spojrzeć jej w oczy. Czułam, że jej decyzja, by skłamać, przepływa do mojego umysłu. Zupełnie jakbym to ja ją podjęła.

– Nie chce mi się pić – powiedziała ochryple, gdy Kaspar podsunął jej szklankę.

Wampiry nie utrzymałyby się przy życiu bez magii we krwi i bez spijania cudzej energii. Nie oddychają. Ich serca nie biją. Wdychają powietrze po to tylko, by okazać emocje. Jakichś wrodzony instynkt podpowiada im chyba, że będą lepiej się prezentować, zaciągając się tlenem. To jednak tylko udawanie. U Mędrców wiedziały o tym nawet dzieci. Kiedy więc usłyszałam przyspieszony oddech Violet, włosy stanęły mi dęba.

Wyraz twarzy Kaspara stał się ponury. Ani na chwilę nie spuszczał jej z oczu.

– Violet – warknął.

Fallon zatrzymał się w pół kroku w drzwiach pokoju.

– Pij – powiedział stanowczo, ściskając jej ramię. Jęknęła cicho i próbowała cofnąć się o krok, ale ją przytrzymał. Pokręciła głową i ściągnęła wargi jak małe dziecko, które nie chce jeść.

Była ode mnie znacznie wyższa, ale w tej chwili zdawała się tak przerażona i malutka, że miałam chęć podbiec i wyrwać ją z uścisku Kaspara. Kiedy jednak ten podniósł szklankę do jej ust, zorientowałam się, że przeraża ją krew, nie udręczony wampir, z którym łączyła ją więź.

Łączność pomiędzy nami przesyciło teraz uczucie wstrętu. Nie miałam problemu z tym, że wampiry piją krew, a jednak w tym momencie miałam ochotę wyrwać mu szklankę i wyrzucić ją przez okno albo wylać jej zawartość do umywalki. *Jeśli będę musiała, zmuszę się do wymiotów. Będę jeść normalne jedzenie...*

Z tłumionym szlochem przełknęła kilka łyków. Część krwi natychmiast wykrztusiła. Kaspar wytarł rękawem jej podbródek.

– To się musi skończyć, dziewczynko.

Wzdrygnęłam się na dźwięk tych słów. *Jak on się do niej protekcyjnie zwraca.*

Myśli tej towarzyszył trzepoczący się w piersi niepokój. Nie mój. Strach zakuty w nicość. Przynajmniej na razie. Wciąż jednak odległy, jak ledwie wyczuwalne falowanie nadchodzącego pływu.

– Dlaczego tu wciąż stoicie?

Ostry ton Kaspara oderwał mnie od moich-Violet myśli. Przyjrzałam mu się zdziwiona, mrugając kilkakrotnie. Pochylił głowę i spojrzał na mnie gniewnie, jedną rękę wciąż zaciskając na ramieniu Violet, a w drugiej trzymając do połowy opróżnioną szklankę.

– Nie mów do niej w taki sposób – odpowiedział mu równie ostry głos. Fallon przemieścił się z prędkością, której nie powstydziliby się wampir, i natychmiast znalazł się przy mnie. Mocno objął mnie ręką w talii. – Mówisz do Bohaterki, nie do jednego ze swoich nędznych poddanych.

Kaspar powoli i z namaszczeniem odstawił szklankę na stolik, po czym zrobił krok w stronę

mojego księcia.

– Masz jakiś problem z tym, jak rządę moim przyszłym królestwem, mały *mearc'stapa*?

Fallon, choć niższy od księcia wampirów, nie przestraszył się obelgi. Teraz to on zrobił krok naprzód.

– Nie jesteśmy już w Varnley, Wasza Wysokość – warknął. – Gramy tu według zasad, bo nie możemy tak jak ty chować się za tajemnicą. Tu nie będziesz już mieć sekretów. Przeznaczenie cię opuściło, więc pamiętaj o tym, kiedy mówisz do jedynych przyjaciół, jacy ci zostali.

Kaspar wypuścił powietrze przez zaciśnięte zęby, po czym skinął głową.

– Widzisz teraz? Właśnie dlatego nienawidzę tego miejsca – zwrócił się do Violet. – Wszędzie pieprzone moralizujące nastolatki.

Usta dziewczyny ułożyły się w pierwszy uśmiech, jaki widziałam u niej od chwili przyjazdu.

– Dobrze w takim razie wiedzieć, że tak wysoko cenisz sobie moje moralne oceny – powiedziała szyderczo, po czym skrzyżowała ręce na piersiach i szybkim krokiem weszła do sypialni. Jeszcze chwila i drzwi zatrzasnęły się za nią z taką siłą, że poczułam pod stopami drzenie podłogi.

– No i patrzcie, jacy z was wspaniali przyjaciele. Naprawdę mi pomagacie! – rzucił Kaspar tonem tak samo sarkastycznym jak chwilę wcześniej jego dziewczyna, po czym wszedł za nią do komnaty.

– Witajcie z powrotem w Athenei, pijawki – wymamrotał pod nosem Fallon i głośno stąpając, wyszedł na korytarz.

Skonsternowana stałam sama w saloniku. Słyszałam dobiegające zza ściany podniesione głosy. Poprzez tajemnicze łącze między mną a Violet czułam też gniew. Zauważyłam, że teraz, gdy znajduje się w pewnej odległości ode mnie, łatwiej jest mi zablokować przepływ bodźców. Gdy jednak otworzyłam się na współodczuwane emocje, były one równie silne jak wcześniej.

*Chyba przeznaczenie trochę zbyt serio traktuje moją rolę strażniczki pokoju...*

Wtem cały pokój zawirował. Chwyciłam się sofy, by nie upaść. Ból przeszył moje czoło i obiegił oczy, zmuszając mnie do ich zamknięcia. Zdążyłam jeszcze wyczuć dłońmi siedzisko sofy i opaść na nie, po czym przeniosłam się daleko, daleko poza pokój.

\*\*\*

Chri'dom przemierzał raz po raz długość pokoju, mamrocząc pod nosem do siebie. Robił tak już od godziny.

Wtem zawrócił na pięcie i podniesionym głosem zwrócił się do siedzącego na sofie Nathana.

– Jakim cudem Violet Lee wciąż żyje? Jak to możliwe, że jest w Athenei? Jak to możliwe, że sprawy przybrały inny obrót, niż przewidziałem?

Nathan powrócił do wodzenia wzrokiem za kursującym od ściany do ściany mistrzem.

– Sam pan mówił, że dar jasnowidzenia Jesiennej Róży przewyższy niedługo pański. Być może już tak się stało. Możliwe, że zobaczyła, co planujemy, i przechytryła pana.

Młody mężczyzna zamarł, gdy mistrz ruszył w jego stronę.

– Wiem, że tak było. Miałem dwa tygodnie, żeby dojść do tego wniosku.

Nathan wcisnął się w oparcie. Zbyt późno przypomniał sobie, że przebywając obok mistrza, warto zawsze być otoczonym tarczą.

– Właśnie dlatego Jesienna Róża jest mi potrzebna. Ma wystarczającą moc, żeby przeciwstawić się przeznaczeniu i zapobiec wojnie, ale my potrzebujemy jej żywej, bo jest jedyną, która może rozbić Atheneów. Po co inaczej mordowałyby jej babkę? Chodziło o to, żeby wyzwolić moce wnuczki.

Nathan uspokoił się, gdy mistrz przysiadł się do niego, nalał z karafki wina i poczęstował go.

– Myślałem, że jesteś przeciwny działaniom wbrew przeznaczeniu. Czy to nie właśnie dlatego chciałeś powstrzymać Bohaterki? Nie byłeś zdania, że jest nam pisane, by doszło do wojny, a po niej do nowego początku?

Starszy mężczyzna przez chwilę mierzył swego protegowanego wzrokiem zdumiony młodzieńczą naiwnością jego słów. Zastanawiał się, jak długo utrzyma się jeszcze u niego taki dziecinny światopogląd... i jak można by go zniszczyć.

– Co ci mówiłem o ludziach, którzy giną? To straty wojenne. Na tej samej zasadzie poświęcić trzeba przeznaczenie obwieszczone przez mego przodka Contanala.

Chri'dom szybko wstał, by zaraz podejść do swego ulubionego okna. Wychodziło ono na kanion stanowiący fragment granicy płyty tektonicznej. Ziemia wyrzucała tu z siebie przegrzaną parę, która spowijała dom rosnącej społeczności wiecznym obłokiem.

– Jednak to właśnie przeznaczenie postawiło cię na mojej drodze. Nie mogło być przypadkiem to, że spotkałem człowieka dzielającego moje poglądy, a jednocześnie tak bliskiego naszej Bohaterskiej Damie. Sprawilo to przeznaczenie i to właśnie ty mi ją dostarczysz.

Nathan wstał i przeszedł przez pokój, by stanąć obok mistrza. Z trudem panował nad gorącym wewnątrz piersi bijącym od płomienia, który nosił w sobie od chwili, gdy stał się Extermino.

– Nie zawiodę pana. Widziałem, co z nią zrobił obecny system, w jaką depresję ją wpędził... To wszystko musi się zmienić.

Chri'dom niemal po ojcowsku oparł dłoń na ramieniu Nathana.

– Zmieni się.

\*\*\*

Gdy otworzyłam oczy, zobaczyłam pochylającą się nade mną Violet Lee. W ręce trzymała szklanke z wodą. Jej spojrzenie zdawało się przy tym równie wodniste jak sama kołysząca się od ścianki do ścianki zawartość naczynia.

Pomału zorientowała się, że dochodzę do siebie, i pokręciła lekko głową. Nasza więź pozwoliła mi poczuć jej troskę.

Przez mój umysł przebiegła niesiona instynktem odpowiedź. *To była wizja. Ty też ją widziałaś?*

Jej dłoń zaczęła delikatnie drżeć. *Idź po siebie.*

MUZA S.A. 8825\_8499

## *Jesienna Róża*

– Jo, znajdź mi tę książkę i wypożycz ją na swoje nazwisko. Nie chcę, żeby mnie z tym ktokolwiek kojarzył.

Wręczyłam jej karteczkę z numerem katalogowym i tytułem. Widząc go, ściągnęła brwi.

– *Nekromancja?*

– Pierwsza dama dworu nie zadaje pytań. Zwłaszcza taka, którą musiałam mianować w trybie ekspresowym – rzuciłam ostro.

Jo dygnęła i ruszyła przed siebie, raz po raz oglądając się przez ramię. Czekając, aż zniknie z mojego pola widzenia, oddychałam nieruchomym powietrzem. Powietrzem, które od stuleci nie opuściło murów biblioteki, przesiąkniętym piżmem i kurzem wzbijanymi z podłogi ku sufitowi przez setki studentów, wykładowców i członków rady. Za nami, w pałacowym wejściu do rozległych archiwów Athenei, echem niósł się co chwilę powtarzany pisk bramek bezpieczeństwa. Przed nami ciągnęły się kilometry regałów zajmujące ogromną przestrzeń dawnych katakumb – miejsca spoczynku zmarłych.

– Gdzie on jest? – szepnęłam do Edmunda, który skinął głową i zaraz szybkim krokiem ruszył główną alejką biblioteki.

W miarę jak szliśmy przed siebie, cisza wokół nas przechodziła w szmer. Kolejni studenci unosili głowy i zaczęli nam się przyglądać. Starłam się patrzeć wprost przed siebie i nie czuć się wystraszona. *Mam pełne prawo tutaj przebywać.*

Skręciliśmy gwałtownie w lewo. Mieliśmy teraz przed sobą szereg głębokich nisz po obu stronach alejki. W jednej z nich stało potężne dębowe biurko, przy którym siedział Eaglen.

Na nasz widok zamknął książkę, którą czytał, odłożył ją na jeden z kilku stosów na blacie i uśmiechnął się grzecznie.

Przeciągnęłam po kamiennej posadzce krzesło i siadłam obok Eaglena.

– Na litość przeznaczenia! Dlaczego nas nie ostrzegłeś, że ona nie pije krwi? – syknęłam.

Nie przestał się uśmiechać.

– To u świeżo upieczonych wampirów dość powszechne, że nie od razu przechodzą na naszą dietę.

– Przecież to już trzy tygodnie! Dziewczyna niknie w oczach! I nienawidzi tego nowego wcielenia, wyczuwam to. Czuje się winna zdrady wobec ludzi. – Nie skończyłam jeszcze mówić, a już poczułam powolny przepływ wspomnień i emocji ode mnie ku niej. Nie mogłam tego dowieść, ale chwilami czułam się tak, jakbym to *ja* była jej pożywieniem. Jakby to dzięki mnie utrzymywała się przy życiu.

– Poza więzaniem i zmuszaniem jej do jedzenia niewiele możemy zrobić. Sama dokonała takiego wyboru.

Spojrzałam na niego kpiąco.

– Przecież ona nie ma wyboru! Umrze, jeśli czegoś nie zrobimy! Widziałam już, jak ktoś umiera, i nie pozwolę, żeby ją spotkało to samo. Widziałam jej wizje zmarłych, wiem, że oni mogą nam pomóc. Nie bez powodu jest między nami taka więź. Bez niej nie dam sobie rady! – bezwiednie powtórzyłam słowa królowej wampirów, by dopiero po chwili zorientować się, skąd je właściwie

zaczerpnęłam. – Chcecie, żeby wybuchła wojna? Bo to się właśnie stanie, jeśli któraś z nas umrze.

Eaglen nie zareagował. Splótł palce i oparł dłonie o dębowy blat. Po chwili skinął głową twierdząco.

– Dowiedziałeś się czegoś więcej o więzi? – spytał Edmund, który spokojnie przyglądał się nam obojgu.

Eaglen pokręcił głową.

– Nie sędzę, żeby w tej bibliotece było cokolwiek na ten temat. Nigdy nie słyszałem o komunikacji takiej, jaką mi opisałaś. Nigdy też nie zetknąłem się z wizjami tak niekontrolowanymi jak twoje, Bohaterska Damo. I wreszcie: nigdy nie spotkałem nekromanty o takim wachlarzu umiejętności jak Violet. Pewnych rzeczy wyjaśnić się nie da.

– Bardzo to użyteczne. – Edmund chrząknął.

Odchyliłam się na oparcie krzesła. Gdy uniosłam wzrok i wyjrzałam poza niszę, oświetlone blaskiem lamp twarze ciekawskich na nowo pochyliły się nad lekturą. Wszystkie z wyjątkiem jednej. Jakaś dziewczyna przypatrywała mi się z miną, której nie potrafiłam nazwać. Nie była to nienawiść, ale uczucie jakoś jej pokrewne. Przykro było na nią patrzeć. Oderwałam zaraz spojrzenie od przygnębionej blondynki, a zwróciłam się do Edmunda, który w dalszym ciągu się jej przyglądał. Dziewczyna zaczerwieniła się i zaczęła niezdarnie przerzucać strony leżącej przed nią książki.

*Kto to jest?* – Edmund skierował zadane myślami pytanie do mnie i Eaglena. *Nie znam jeszcze wszystkich wampirów.*

*To Gracja Faunder,* odpowiedział ponuro Eaglen, *dziewczyna, której miejsce w łóżu młodego księcia przywłaszczyła sobie Violet Lee.*

– Nadworna dziwka? Co ona robi w bibliotece? – Nim zdążyłam ugryźć się w język, wymsknęły mi się wypowiedziane szeptem słowa.

Zorientowałam się, że Edmund wykonał błyskawiczny ruch, dopiero gdy gruby tom z łoskotem uderzył o posadzkę tuż obok moich stóp. Przeleżałam się, podobnie jak wszyscy inni siedzący w bibliotece. Gracja Faunder mocno się zaczerwieniła.

Po swoim błyskawicznym geście Edmund bardzo powoli i z namaszczeniem schylił się po książkę. Podnosząc się, spojrzał mi w oczy.

– Nie wiedziałem, lady, że nauka i czerpanie przyjemności z seksu to rzeczy nie do pogodzenia. Najwyraźniej się myliłem. Jego tęczyówki były czerwone. Nie czerwone – czerwone.

– Nie poznałam jeszcze takiej dziwki, która łączyłaby jedno z drugim – syknęłam równie lodowatym tonem jak on. *Nienawidziłam* tych jego wychowawczych pogadanek.

– Patrzysz właśnie na taką osobę.

– Za łatwo puszczają ci nerwy, Mortheno. To bardzo młoda osoba.

– Za młoda.

– Wciąż tu jestem – powiedziałam, gwałtownie wstając. Obaj mężczyźni zrobili to samo.

– Jeśli nie zacznie pić krwi w ciągu dwudziestu czterech godzin, zwiążcie ją i nakarmcie siłą. A temat więzi ma zostać wyjaśniony do końca tygodnia.

To powiedziawszy, wyszłam. Minęłam biurko Gracji Faunder, nawet na nią nie patrząc. Za plecami słyszałam ciężki odgłos kroków Edmunda, a wymamrotane przez niego „za młoda, za młoda” raz po

raz wracało do mnie echem.

MUZA S.A. 8825\_8499

## Jesienna Róża

**Nekromancja 1. rzecz.** Czynność przywoływania duchów zmarłych w celu przewidzenia przyszłości lub wywarcia na nią wpływu.

*Nekromantów podzielić można zasadniczo na dwie grupy: biernych i czynnych. Ci drudzy uchodzą za liczniejszych, zwłaszcza pośród mrocznych istot zdolnych panować nad magią. Czynne wywoływanie widm było dawniej popularną dziedziną studiów uniwersyteckich. Praktyka ta jednakże została zdelegalizowana wraz z podpisaniem w roku 1812 Traktatów Terra. Od tego czasu znacznie rzadziej słyszy się doniesienia o ukazaniu się widma.*

Niecierpliwie wodziłam palcami po setnej już stronie książki, która w większości okazała się zupełnie nieprzydatna. Lampa zamigotała, przypominając mi o pokoju wokół mnie i tykaniu stojącego w kącie zegara po dziadku. Minęła północ, ale ja zdecydowana byłam nie zasypiać. Pociągnęłam kolejny łyk stojącego przede mną kofeinowego koktajlu i czytałam dalej. Staralam się przy tym nie zwracać uwagi na napływający od strony Violet strumień emocji, który pomалу zaczynał mnie już wpędzać w delirium.

*Nekromantów biernych spotyka się znacznie rzadziej. Ostatnie całościowe studium tego daru, pochodzące z roku 1950, głosi, iż w chwili osiągnięcia stanu w pełni ukształtowanego (notabene: w tamtym okresie, nawiązując do ludzkiego prawa, uznawano, że okres kształtowania trwa do dwudziestego pierwszego roku życia) posiada go jedno na dziesięć tysięcy dzieci Mędrców. Jeszcze przed Wielką Czystką Przeklętych spis powszechny z roku 1891 wykazał, że aż jedno na tysiąc dzieci po okresie kształtowania obdarzone jest darem biernej nekromancji. Do roku 1950 przebadano zaledwie dwa tysiące dzieci, a tylko jedno z nich (wysterylizowane) zdradzało jakąkolwiek umiejętność widzenia. Pośród innych niż Mędrzy mrocznych istot dar uważa się za wygasły.*

*Umiejętności związane z bierną nekromancją bywają różne. Stale powtarzające się elementy to, wedle studium z roku 1950: niezdolność wywołania widma siłą woli, co najmniej jedno doświadczenie kontaktu z widmem zmarłego obejmujące komunikację oraz późniejszy, nieprzypadkowy, wpływ na przebieg wydarzeń.*

– Pośród innych niż Mędrzy mrocznych istot dar uważa się za wygasły – wymamrotałam do siebie, przesuając opuszką palca wzdłuż wersu. A jednak chri'dom z całą pewnością powiedział o Violet, że jest nekromantką. No a ja z pewnością nie zmyśliłam sobie tego, co zaszło po jej przyjeździe – nieżyjąca królowa wampirów pojawiła się w moim umyśle i przemówiła do mnie. *A sny? O co chodziło z tymi jej snami o zakapturzonej postaci?*

Kilkakrotnie jeszcze przebiegłszy wzrokiem ten sam akapit, zamknęłam książkę. Przestałam na próżno łudzić się, że spomiędzy wydrukowanych linijek wypłyną kolejne informacje. Czułam jednak nieprzepartą, palącą ciekawość. Po głowie kołatały mi się słowa babci: *Czas będzie ci odtąd wrogiem.*

Wzięłam opaski tom w ręce i po cichu, by nie zbudzić śpiącego w sypialni Fallona, wymknęłam się na korytarz, za dnia biały, przestronny i dobrze oświetlony, a teraz pusty i ponury. Prowadzących do zachodniego skrzydła podwójnych drzwi strzegła straż. O tej porze nikt poza jego mieszkańcami nie

mógł wejść ani wyjść.

Przeszłam przez zielony salon, od podłogi po sufit zawieszony obrazami i pełen zielonych mebli, w tej chwili zajmowanych przez kilkoro znajomych Kaspara Varna. Jeszcze chwila i dotarłam pod wejście do potężnego apartamentu Violet. Zewnętrzne drzwi nie były zaryglowane. Weszłam do niewielkiego przedpokoju i stanęłam przed kolejnymi drzwiami, które wiodły do głównych pomieszczeń. Były minimalnie uchylone. Już miałam zastukać, gdy dobiegł zza nich cichy jęk.

Brzmiało to jak zanucone półgłosem „nie”. Utrzymałam rękę w górze, choć jednocześnie miałam chęć natychmiast uciec. Stałam jednak nieruchomo, a moje kolana jakby się zakleszczyły. Przez szczelinę pomiędzy drzwiami widziałam doskonale Violet. Kaspar Varn przypierał ją do ściany i trzymał w ramionach jak bezładną płataninę kończyn. Wyglądało to tak, jakby masę jej ciała utrzymywały wbite w mur haki.

Pisk przerażenia, który wyrwał się z moich ust, zagłuszył odgłos ciężkiego przedmiotu spadającego na ziemię, jęki i równomierne głucho kłapanie ciała o ścianę.

Żadne z nich nie miało na sobie ubrań. Głowa Violet nie odrywała się ani na moment od bladej ściany, ale jej plecy – tak. Ich każdy ruch poprzedzał jęk. Jednocześnie raz po raz otwierała i zamykała oczy. Odsunęłam tułów od szczeliny, ale moje stopy zdawały się przyspawane do podłogi. Nie byłam w stanie się cofnąć, gdy na dłuższą chwilę utkwiła spojrzenie w drzwiach. Jej wargi ułożyły się w uśmiech, by zaraz rozewrzeć się na kształt litery „o”. Osunęła się po ścianie. Kaspara mogłoby wcale tu nie być, i tak widziałam przez niego. Więź pomiędzy mną a Violet czyniła go całkowicie przejrzystym. Czułam, jak coraz bardziej zanurzam się w jej zadowoleniu. Był to pierwszy wdech świeżego powietrza po tygodniu spędzonym pod ziemią, w mrokach jej i mojego umysłu.

– Piękny widok, co, księżno?

Gdyby nie ucisk dłoni na moim ramieniu, wrzasnęłabym. W pierwszym odruchu chciałam się bronić, ale kiedy zrobiłam krok do tyłu, trafiłam stopą na czyjąś nogę.

– Czemu ktoś tak słodziutki podgląda niczym zboczeniec? Nie spodziewałem się tego po tobie.

– Odwal się, Felix – syknęłam szeptem. Wzruszyłam ramionami, ale nie udało mi się strącić z ramienia jego dłoni. – I nie mów o mnie „słodziutka”.

Zacisnęłam dłoń mocniej, a ja poczułam, jak żołądek podchodzi mi do gardła. Felix był jednym z przyjaciół Kaspara Varna i uchodził za nadwornego lubieżnika... Był też jednym z tych, którzy urządzili „londyńską łaźnię”.

– Mmm, ale ty musisz słodko smakować. Może twój książę da mi spróbować.

*Nie napiłby się chyba mojej krwi? Na pewno nie!* Nie podobał mi się jednak ani jego niezdrowo brzmiący ton, ani to, jak mnie przytrzymał. Nie dawał mi się odwrócić, przez co nie mogliśmy stanąć twarzą w twarz. Sięgnęłam do ramienia i próbowałam zsunąć z niego jego rękę. Na próżno. Mocno wpijał palce w moją skórę.

– Mamy w Varnley taką zabawę, którą wszyscy bardzo lubimy. Może o niej słyszałaś? Nazywa się „kulig limbus”.

Pokręciłam głową, jednocześnie starając się znaleźć zakłęcie, które unieruchomiłoby go na dość długo, bym zdążyła sprowadzić kogoś ze strażników. Były takich setki, a jednak czułam w głowie pustkę. Nie potrafiłam skupić się na niczym poza szczeliną w drzwiach. W odległym końcu pokoju Violet padła na ziemię.



– Nie? No to muszę cię nauczyć! Pokochasz to!

Promień zielonego światła odbił się od ściany, oślepiając mnie, ale dźwięk ciała wampira uderzającego o podłogę był bardzo satysfakcjonujący. Moja powściągliwość się opłaciła. Przyciskając książkę do piersi, jakby miała być moją tarczą, przeskoczyłam nad drgającym w konwulsjach ciałem i pobiegłam w dół korytarza. Obejrzałam się za siebie dopiero, słysząc pełen złości krzyk. To Kaspar Varn, już ubrany, ruszył za mną. Kiedy spojrzałam z powrotem przed siebie, zobaczyłam na drugim końcu salonu Fallona. Miał na sobie tylko spodnie od piżamy i wyglądał na gotowego zabić. Ruszyłam przed siebie, ale gdy chciałam chwycić go za rękę, odtrącił mnie niewielką tarczą. Opadłam na krzesło. Nie podnosząc książki z ziemi, zerwałam się zaraz i rzuciłam naprzód, by dopaść do Fallona. Szarpnął drżącym ciałem Felixa i poderwał je do góry. Zielone smugi krępujące nogi i ręce narwanego wampira zniknęły. Fallon przycisnął go do ściany, trzymając za kołnierz.

– Co jej zrobiłeś?! *Co jej zrobiłeś?!*

Usta Felixa drgnęły, ale jedyny dźwięk, jaki się z nich wydobył, przypominał beczenie. Niemal natychmiast jednak Kaspar runął na Fallona i zaczął tłuc cienką jak papier osłonę na jego skórze. Obaj głośno stękali. Zaraz pojawiła się ubrana tylko w długi T-shirt Violet. Chwyciła pod boki swojego chłopaka i starała się go odciągnąć, ale na próżno. Ja z przerażeniem przycisnęłam tylko dłonie do ust, widząc, jak do pokoju wpadają kolejne wampiry i próbują rozdzielić obu książąt.

– Kaspar! Kaspar, przestań!

Krzyczałam „Fallon!”, ale moich słów nikt nie słyszał. Mój przerażony sopran ginął pośród wrzawy, jęków, stękania, krzyków paniki i sapnięć przygniecionego przez walczących Felixa.

Dywan nasiąkał łzami Violet.

– Dość!

To jedno ostro wypowiedziane słowo zatrzymało całą scenę. Katharsis zdławiło wszelkie moje emocje, gdy do pokoju, który stał się areną kotłowaniny, weszli dwaj królowie. Na ich widok twarze wszystkich, których mijali, układały się natychmiast w wyraz przerażenia.

Kaspar, tak przecież rosty i silny, wylądował zaraz na łóżku. Ojciec rzucił nim z taką łatwością, jakby nie ważył więcej niż mała księżna, która weszła za nim do pomieszczenia. Drugi z patriarchów chwycił w garść włosy Fallona i podniósł go z kolan. Książę stał teraz zgarbiony z opuszczoną głową w koślawej imitacji ukłonu.

Mogłam tylko przyglądać się temu z szeroko otwartymi oczami, ściskając twarz dłońmi.

– Pewnie cię to zaskoczy, Kaspar, zważywszy na to, że nie potrafisz zrozumieć polityki, ale zamordowanie księcia Mędrców nie byłoby dla ciebie korzystnym posunięciem.

Kaspar splunął przez zęby na pościel i syknął na znak, że rozumie. Fallon nawet nie odpowiedział ojcu. Cała reszta trwała w przepęlnionej przerażeniem ciszy. Trzeba było czymś ją wypełnić, bym mogła przestać czuć wiszące w powietrzu napięcie. Jedyna Violet zachowała opanowanie. Jej twarz odzyskała obojętny wyraz, a tęczęwki szarą barwę, którą niewiele razy u niej widziałam od chwili przyjazdu.

– Słowa. Słowa są czymś cudownym. Zapobiegają wojnom i tworzą przyjaźnie. Pozwalają też uniknąć bójk. Spróbujcie ich czasem użyć. – Ll’iriad Athenea puścił syna i wyszedł. Nie podniósł ani na chwilę głosu, ale dało się poznać po nim zdenerwowanie. Gdy wychodził, drżały mu lekko ręce.

Król wampirów warknął coś w niezrozumiałym dla mnie języku. Nie zwracając najmniejszej uwagi

na Violet, wskazał Fallonowi i mnie, byśmy opuścili pokój. Gdy tylko zamknął za nami drzwi przedsionka, westchnął i przesunął dłonią po twarzy.

– Są brutalni – powiedział rzeczowo. – Trzymaj się od nich z dala.

Obrócił się na pięcie, gdy rozchyliłam usta. Serce waliło mi jak szalone. Wciąż miałam poczucie, że byliśmy o krok od otrzymania nagany.

Fallon chwycił mnie za nadgarstek. Biegiem ruszyliśmy do mojego pokoju. Książka o nekromancji została na podłodze salonu. Jego chwyt był mocny, a mięśnie wciąż napięte. Nie śmiałam go nawet spytać, czy wszystko w porządku. Wyglądał tak, jakby na dźwięk takiego pytania mógł coś podpalić.

Nie puścił mnie nawet wtedy, gdy znaleźliśmy się w przedsionku z sofami. Zaciągnął mnie aż do samej sypialni. Położył się po swojej stronie łóżka i przyciągnął mnie do siebie. Leżałam teraz bezpiecznie wtulona plecami w jego klatkę piersiową.

Dłuższą chwilę leżeliśmy, oddychając razem. Stopniowo się uspokoił. Minęło jednak co najmniej pięć minut, nim się do siebie odezwaliliśmy.

– Zrobił ci krzywdę?

– Nie, mówił tylko jakieś dziwne rzeczy.

Objął mnie i położył na mnie kolano. Przytulił mnie jeszcze czulej.

– Jakie rzeczy?

– Mówił, że słodko bym smakowała. I że chce się ze mną bawić w kulig limbus.

Poczułam, że unosi lekko głowę.

– Co takiego?

– Kulig limbus. Znasz tę grę?

Oparł się na łokciu.

– Cunnilingus, Róża.

Jego usta i pierś zadrgały w niemym śmiechu, który jednak zaraz ustał. Fallon przyglądał się starannie mojemu wyrazowi twarzy.

*Nie, na pewno nie to powiedział.*

– Dlaczego się śmiejesz? Co to jest? Powiedz.

Pogłaskał mnie, wciąż delikatnie się uśmiechając.

– Zrobię coś lepszego. Pokażę ci.

Ściągnęłam brwi.

– Ale po co? Po prostu mi powiedz.

Dłoń, którą przed momentem mnie głaskał, oparł mi teraz na ramieniu. Delikatnie obrócił mnie na wznak i dotknął rękami drugiej strony mojego ciała.

– Ufasz mi?

Zauważyłam, że jego niebieskie oczy zachodzą lekko czerwienią. Przyglądały mi się, a ja czułam, jak z każdą chwilą moja skóra staje się gorętsza.

– Tak – zdołałam wyszeptać.

Powoli usiadł okrakiem na moich udach. Ręce wysunął naprzód i przez chwilę trzymał je tuż nad

moim ciałem.

– Zawsze mów mi, jeśli ktokolwiek, wliczając mnie, zrobi lub powie coś, przez co poczujesz się nieswojo, dobrze?

Skinęłam głową, gdy przycisnął swoje usta do moich. Serce biło mi coraz szybciej. Otwierałam usta coraz szerzej – coś, co zaczęło się jak niewinny buziak, z każdą chwilą stawało się coraz bardziej ogniste. Wyciągnęłam ręce i objęłam go za szyję. Rozchyliłam nogi, jedną podciągając. Fallon przytrzymał ją w tej pozycji, podpierając wewnętrzną część mojego kolana dłonią.

– Róża, masz czerwone oczy.

Poczułam nagle ogień pomiędzy mną a Violet. Łącząca nas nić skrzyła się i syczała jak lont. Jej umysł stanął przede mną otworem jak książka, której strony przewraca wiatr. Znów żyła. Naprawdę żyła. W ułamku sekundy, gdy mrugnęłam, mój umysł zaatakowany został widokiem Violet w rozpiętej do połowy bluzce, leżącej pod Kasparem Varnem. Czułam się, jakby opadała w głąb jej umysłu i nasiąkała jej pożądaniem. Nurzałam się w jej spaczony miłości do tego mężczyzny i poczuciu bezpieczeństwa, jakie dawała istniejąca między nimi więź. Ciężar Fallona na mnie zdawał się rosnąć. Byłam pewna, że jeśli otworzę oczy, nie zobaczę na sobie blondyna.

Nim zdecydowałam się znów je otworzyć, by tym razem znów zobaczyć Fallona, było jasne, że Violet i mnie nic już nie oddziela. Nie byłyśmy już osobnymi jednostkami. Stałyśmy się jednym. Ale dlaczego? *Przeznaczenie, dlaczego ofiarowujesz nam prezenty, a nie dajesz żadnych odpowiedzi?*

Dłonie gmerały przy guzikach mojej bluzki, rozpinając je jeden po drugim. Dostałam gęsiej skórki, gdy poczułam na skórze ciepło jego palców i chłód powietrza. Zamknęłam oczy.

Pocałował miejsce tuż nad moimi piersiami, a potem zaczął schodzić niżej i niżej, i niżej.

Z oddali dobiegł szept.

– Sama słodczy, dziewczynko.

MUZA S.A. 8825\_8499

*Jesienna Róża*

Pokonanie progu sali posiedzeń trybunału międzywymiarowego było jak kroczenie do ołtarza przed ślubem.

Poprzedniej nocy zniesiony został zakaz publikacji, więc wszystkie gazety i relacje medialne pełne były obrazów Fallona i mnie. Nasz związek został po raz pierwszy publicznie nagłośniony.

Przed wejściem do zbudowanego na planie półksiężyca budynku rozwinięto błękitny dywan. Na całej jego długości, od miejsca, gdzie deputowani zsiadali z koni aż po same drewniane drzwi, dziennikarze przepychali się łokciami, chcąc zająć jak najlepsze miejsca. Każdy starał się dopchać do magicznej barierki, by maksymalnie zbliżyć obiektyw lub mikrofon do przechodzących.

– Bohaterska Damo, tutaj! Kilka słów dla „Arn Etas”.

– Bohaterska Damo, czy prawdziwe są pogłoski, jakoby księżę Fallon zamieszkał potajemnie w hrabstwie Devon, żeby być przy tobie?

– Bohaterska Damo. To twoje pierwsze oficjalne wystąpienie od pogrzebu świętej pamięci księżnej. Czy ciąży ci jej dziedzictwo?

Uśmiechałam się i dąsałam na komendę. Zwracałam się w różne strony, okręcałam i ścisakałam wyciągnięte dłonie. Odgrywałam rolę osoby idącej po dywanie nie błękitnym, lecz czerwonym. Wszystko to było olśniewające i wytworne. Światło fleszy odbijało się od bladozłotego kamienia i padało na moją suknię o tym samym odcieniu. Piękne. Ale to tylko akwarium.

Dali mi wreszcie odejść. Ruszyłam w stronę wejścia, mając po bokach Edmunda i Jo. Jednak w chwili, gdy postawiłam stopę na mosiężnym okuciu progu, poczułam drżenie serca. Nagle ogarnęło mnie przerażenie. Było to największe posiedzenie trybunału, na jakim dotąd byłam. Na sali zgromadzili się wszyscy deputowani, a tematem obrad miała być Violet Lee. Niknąca w oczach, więdnąca Violet Lee.

*Dlaczego ja muszę tu być? Dlaczego?*

Minęliśmy woźnych trzymających złote drzewce, do których przymocowano jedenaście sztandarów: jeden na każdy wymiar, jeden dla ludzi i jeden dla mnie. Sztandaru dla Violet nie było. Wpadające drzwiami podmuchy bryzy poruszały zatkniętą na drzewce tkaniną. Idąc tunelem sklepionym złotą kratą, czuliśmy przeciąg, a wiatr próbował siać nieład na mojej głowie. Luźne kosmyki włosów unosiły się znad mojej szyi, a te, które umocowałam spinkami, groziły, że zaraz się uwolnią.

Edmund przewidział moje potknięcie, nim sama zdążyłam pomyśleć o tym, by przystanąć. Przytrzymał mnie za łokieć i dopilnował, bym szła dalej przed siebie, a nie uciekła pod sztandarami w przeciwną stronę, co podpowiadało mi po części serce.

– Nie mogę – wymamrotałam. – Nie potrafię.

– Nie masz wyboru.

Wciągnął mnie do sali, gdzie Jo posłusznie oddaliła się ode mnie. Powstrzymałam westchnienie. Nigdy dotąd nie byłam w takim pomieszczeniu. Biegająca środkiem alejka była długa i zastawiona ławami, które obito materiałem w tym samym bladobłękitnym odcieniu co rozwinięty na zewnątrz dywan. W pewnych odległościach rozmieszczono podłokietniki, a frontem do ław ciągnął się pulpit

szeroki tyłko na tyle, by dało się na nim położyć książkę. Za pierwszym rzędem pięły się ku górze sali następne. Pod samymi ścianami znajdowała się galeria, na której były kolejne miejsca siedzące. Sklepiony wysoko, wysoko ponad naszymi głowami sufit pomalowano na wzór nieba w pogodny dzień. Salę zalewało światło wpadające przez witrażowe okna.

Pod półkolistą ścianą, ponad przypominającymi kościelne ławki rzędami siedzisk, znajdował się rząd krzeseł o wysokich oparciach, które dla większej wygody wyściełano poduszkami, zamiast skórą. Miejsc takich było około trzydziestu, a zasiadały na nich głowy państw poszczególnych wymiarów i istot. Byli izolujący się po królewsku monarchowie, prezydenci wraz z zastępcami porządkujący notatki i szukający swoich miejsc, a nawet cała niewielka rada kraju z trzeciego wymiaru. Rodziny królewskie, pozostali rajcy wewnątrzni, premierzy, hierarchowie religijni i skrybowie zajmowali miejsca poniżej...

Przystanąłam przy pulpicie, na którym leżał zamknięty egzemplarz Traktatów Terra, i złożyłam przysięgę. Jo przytrzymała na ten moment mój kapelusz. Następnie ruszyłam schodami w górę, w stronę krzeseł o wysokich oparciach. Oddaliłam się wzdłuż łukowatej ściany i zajęłam jedno z ostatnich siedzisk, tak że król Athenea siedział do mnie bokiem. Jo usiadła na ławce poniżej mnie obok Alfiego i Fallona, który sięgnął ręką do tyłu, tak bym mogła chwycić jego dłoń.

Gdy nasze ręce się zetknęły, ścisnął mi dłoń dla dodania otuchy. W tym samym momencie wszystkie obiektywy ponad naszymi głowami, omiatające dotąd salę wedle własnego uznania, zwróciły się ku nam. Naszą chwilę czułości zobaczyły miliony widzów.

Siedzący obok mnie Edmund warknął głośno, na co kamery, niczym spłoszone zwierzęta, natychmiast pomknęły w inną stronę.

Niemal wszystkie miejsca w ławach były już zajęte. Ostatni ludzcy delegaci siadali właśnie w środkowych rzędach. Unoszący się dotąd wysoko ponad nami mikrofon zniżył się i ustawił przed królem Atheneą.

Mówił bardzo długo. Witał deputowanych, przedstawiał osoby, po czym zaczął nużący wstęp do obrad. Pozwoliłam myślom ulecieć gdzieś daleko.

Miejsce, które zajmowałam, było niesamowitym punktem do obserwowania różnych osób. Widziałam wszystkie bez wyjątku znajome postaci, od siedzącej tuż poniżej rodziny Atheneów po Lisbeth w jednej z ław przeznaczonych dla Mędrców. Była teraz jedną z moich dam dworu. W sali obrad pojawiła się z rodzicami i słuchała teraz króla z nieco zatroskanym wyrazem twarzy. Dokładnie po przeciwnej stornie siedziały wampiry – wróg, na którego lada chwila spaść miał gniew zgromadzenia. *Bo i kogo innego można winić za depresję Violet? Kogo innego można uznać za korzeń obumierającego drzewa?* Nie byłam nim ja, herold złych wieści. Ta, która przebudza, *ilaea*.

Szalenie mnie ciekawiło, jak by to było, gdyby dało się ukryć przed światem swoje myśli. Jak by to było, gdyby można było zachować dyskrecję, *tak by istniało tylko „ty i ja”, nie „ty, ja i całe zgromadzenie”*. Jakie by to było uczucie, móc pochylić się teraz naprzód, objąć ramiona Fallona, poczuć jego świeży zapach i nie trafić potem na pierwsze strony gazet. Wydawało się to aż niedorzeczne.

Myślałam o tym wszystkim, gdy tymczasem król wyliczał kolejne choroby Violet. Nie rozumiałam, jak niby publiczne mówienie o nich miałyby im zaradzić.

W końcu Eaglen ospale podniósł się z miejsca, a moja uwaga znów skupiła się na sali obrad. Przerzucił kilka kartek na pulpicie przed sobą z taką miną, jakby odczytać miał wyrok śmierci.

– Jako wiernemu słudze mojego króla i jasnowidzowi powierzono mi zadanie opisanie mocy naszych młodych Bohatek. Udało mi się dojść do niewielu wniosków. Przedstawię jedynie kilka faktów i hipotez. Po pierwsze, co potwierdzam jako świadek ukazania się Bohaterce nieżyjących królowej Carmen i jej brata, informuję, że Violet Lee przejawia wszelkie oznaki bycia nekromantką.

W cichej dotąd sali rozgorzała wrzawa. Kamery uwijały się, by jak najlepiej uchwycić zszokowanie zgromadzonych.

Przerażenie przeszło mi serce i żołądek. Podniosłam wzrok z podłogi, w którą dotąd się wgapiłam, i napotkałam spojrzenie Eaglena. Miał rozszerzone oczy i patrzył na mnie tak, jakby próbował przeprosić.

– Po drugie, winna wysoka izba wiedzieć, że Bohaterki łączy więź wykraczająca poza ramy telepatii. Znaczy to, że współdzielą one emocje, wspomnienia i doświadczenia bez żadnych ograniczeń i w sposób niedobrowolny.

Policzki piekły mnie z gorąca. Czułam się tak, jakby w mojej piersi rozpalono ogień.

Pochyliwszy się naprzód, wbiłam spojrzenie w królów pierwszego i drugiego wymiaru. Starłam się dopatrzeć u nich oznak zaskoczenia lub wyrzutów sumienia. Żaden nie spojrzał mi jednak w oczy, a wszyscy niewzruszenie przyglądali się swoim poddanym. *Jak oni śmieją? Jak mogli?! Przecież to niebezpieczne, żeby ludzie się o tym dowiadawali!*

– Na koniec chciałem poinformować, iż mam podstawy sądzić, że Bohaterska Dama Jesienna Róża, obok zdolności budzenia Bohatek, wykształca konwencjonalną zdolność jasnowidzenia. Powód takiej akumulacji darów pozostaje niejasny. Sugeruję, byśmy pozwolili im rozwijać się w sposób naturalny. Nic więcej zrobić nie mogę. Wiadomo jest, iż słowa moje są prawdziwe – zakończył tradycyjnym sformułowaniem. Jego głos przechodził pod koniec w mamrotanie. Eaglen przygnębiony opadł na miejsce.

Edmund musiał włożyć sporo siły i nieeleganckich słów w utrzymanie mnie w pozycji siedzącej. Słyszałam, że trybunał potrafi wbić nóż w plecy, ale coś takiego! Obwieszczenie naszych mocy całemu światu! To było głupie.

Zmrużyłam oczy, patrząc na podnoszącego się z miejsca króla Atheneę. *A ja cię miałam za sojusznika.*

– Dziękuję, Eaglenie. Wysłuchamy teraz lekarza zajmującego się Violet Lee...

To było potworne: niekończący się wywód o tym, że Violet odmawia picia krwi, więc trzeba obezwładniać ją i poić siłą. A potem zaczęła się gierka w szukanie winnego.

– Rzecz jasna, to na Atheneach, jako na gospodarzach i obrońcach młodej Bohaterki, spoczywa odpowiedzialność za to, by ta wydobrzała i wyleczyła się z tego nieszczęsnego ataku szaleństwa. – Mówiący był Mędrce, członkiem trybunału, z którym nie tylko dotąd nie rozmawiałam, ale którego nie widziałam nawet na oczy.

Królowi wampirów nie drgnęła powieka, gdy ostro odniósł się do słów, które właśnie padły:

– Przy wszystkich talentach waszych nadwornych znachorów nie piją oni krwi! To dość problematyczne, gdy próbuje się wnikać w niuanse umysłu świeżo zrodzonej wampirzycy.

– Niuanse, do których Wasza Wysokość ewidentnie nie umiał się odnieść. Siłą zmusiliście ją do uległości! – syknęła nowa żona króla Zmiennokształtnych.

W reprezentacji wampirów zawrzało. Athanie i straż rozstawiona po całym obwodzie sali dostroili

się do zmiany nastrojów, bacznie rozglądając się na wszystkie strony i przyjmując postawę gotowości.

Wtem z jednej z ław poniżej mnie dobiegł głos.

– Jeśli Wasze Wysokości się zgodzą, chciałabym powiedzieć coś w tej kwestii – zaczęła księżna Joanna, starsza siostra Fallona. Była ona jedną z tych, którzy pospieszyli Violet na ratunek po tym, jak Varnowie dowiedzieli się o działaniach jej ojca. Wstała z miejsca i czekała cierpliwie, aż LI'iriad pozwoli jej kontynuować. Wyglądała na spokojną i opanowaną, chociaż miała przed sobą ogromne i bardzo niestałe forum. Król skinął głową. – Jako ambasadorka mojego królestwa spędziłam dwa tygodnie w drugim wymiarze. Byłam tam przed przemianą Bohaterki i po niej. Było to bolesne doświadczenie, ponieważ widziałam, jak nad Violet Lee znęcano się fizycznie i psychicznie. Jest mało prawdopodobne, by podniosła się po tym, co jej zrobiono. Zrobili jej zaś to ci, którzy twierdzą, że się o nią troszczą – wampiry i ludzie. Zrobili to przedstawiciele ludu i królestwa, któremu teraz udzielamy gościny. Wiadomo jest – tu zwróciła się lekko w stronę ojca – iż słowa moje są prawdziwe.

Michael Lee zerwał się na równe nogi.

– Oskarżasz mnie o znęcanie się nad własną córką?! – Nigdy nie widziałam tego mężczyzny z bliska, ponieważ nie dopuszczali go w moje pobliże Athanie. Byłam zresztą zaskoczona, że w ogóle pozwolono mu uczestniczyć w sesji trybunału. Jego oczy wyglądały na poczerńiałe, jakby starał się spojrzeniem przeszyć Joannę na wylot. Ta jednak nie ulękła się i wyzywająco patrzyła mu w oczy. – Jeśli szukasz winnego maltretowania, spójrz na tę szumowinę. – Wskazał na Kaspara Varna, którego już teraz przytrzymywał inny wampir, w podobnym wieku jak księżę i najmocniej opalony ze wszystkich deputowanych z kłami. – Torturami przyprawił moją córkę o syndrom sztokholmski. To jest jej choroba!

– No oczywiście! Chcesz w to wierzyć, bo nie potrafisz pogodzić się z tym, że jesteśmy razem! – krzyczał Kaspar przez całą salę, nie czekając ani na swoją kolej, ani na mikrofon.

Król Athenei wstał i z rozważą powiedział:

– Padają tu poważne oskarżenia natury kryminalnej. Nie temu poświęcone ma być posiedzenie trybunału.

– W żadnym wypadku – król wampirów poderwał się z miejsca – nie wolno oskarżać mężczyzny związanego z Bohaterką o bycie jej prześladowcą. To niedorzeczne! – Dwaj monarchowie wymienili szybkie spojrzenia. Nie miałam szans dostrzec, jakie emocje się w nich kryły.

– Oczywiście! Księżę ma przecież immunitet! Immunitet, który ochronił go przed pociągnięciem do odpowiedzialności za zamordowanie mojego syna! – Nie poznałam odzianego w czerwień mężczyzny, który znenacka włączył się do debaty, ale nie mógł być to nikt inny jak ojciec Ilty Szkarłatnego.

– Twój syn był śmieciem! – rzucił Kaspar. – To on nadużył daru jasnowidzenia i napadł na Violet, nie ja! A co z innymi? Moja siostra, lord Fabian Ariani, jej były, Joel – to oni ją maltretowali. Wszystko, co ja robiłem, działało się za jej zgodą...

– Warto, żebyś posłuchał wyzwisk, którymi obrzuca Violet jej siostra! – dodał młodszy brat Kaspara, Cain.

– Przed Violet Lee celowo zatajono haniebną sytuację, w której się znalazła. Nie można mówić o dobrowolności w przypadku osoby, która nie miała pojęcia, że jej życie seksualne stanowi przedmiot sporu politycznego na niespotykaną wcześniej skalę. Należy najpierw uczyć i informować. Potem dopiero można twierdzić, że dana osoba jest niezależna! – Antae, wielki uczonej i jasnowidz, powstał

z miejsca nad ławami przeklętych i zagrział ponad głowami siedzących. Na chwilę zaległa cisza, po czym zaraz rozgorzała w sali ogłuszająca wrzawa. Hałas i krzyki odbijały się od sufitu i niosły echem. Zewsząd dobiegały rozwścieczone głosy. Gdy próby przywołania deputowanych do porządku zdały się na nic, na środek sprawnie przesunęli się strażnicy i przyjęli pozycję gotowości.

Podniosłam się.

Siedzący w moim sąsiedztwie natychmiast umilkli. Potem ci za nimi, a jeszcze po chwili kolejni...

Wszystkie obiektywy i mikrofony były teraz wycelowane we mnie i trwały w oczekiwaniu.

Ja też czekałam, aż wszyscy w sali mnie zauważą.

A potem skierowałam się w stronę wyjścia.

Edmund nie powiedział ani słowa. Po prostu ruszył za mną schodami. Zeszliśmy na dół, by zaraz znaleźć się w głównej alejce. Strażnicy nerwowo rozstąpili się przed nami. Poruszając się, wydali jedyny w sali dźwięk, nie licząc żenująco osamotnionego odgłosu naszych kroków.

*Czy wychodząc, zachowuję się niedojrzale? Nie robię z siebie czasem idiotki? Czy tak właśnie należy postąpić? Po prostu nie mogę dłużej tego tolerować!*

Wtedy jednak dały się słyszeć kroki trzeciej osoby. Wiedziałam od razu, że to Fallon. Natychmiast rozpoznałam jego ciężki, nieregularny nieco krok. Ku mojemu zdumieniu szedł sam tylko przez krótką chwilę. Zaraz dołączyli do niego inni. Ja jednak nie obejrzałam się, by zobaczyć kto.

Kaspar Varn niemal zrównał się ze mną, gdy Lillian Lee wygramoliła się z ławy po tej samej stronie alejki.

Przyłączali się kolejni, Lisbeth, moi przyjaciele z dzieciństwa: James Funnell, Codine i Raine, córka Eaglena Arabella, Alya i Adalwin Mortheno, Richard... Po naszych bokach robiło się tłoczno.

*Róża?*, w myślach zaczął nieśmiało Edmund, gdy zbliżaliśmy się do drzwi.

Uniosłam głowę nieco wyżej.

– Jeśli nie będą dyskutować jak dorośli, nie zamierzam tu z nimi siedzieć. Ja jestem już dorosła.

Słudzy trzymający sztandary przełękli się nieco, gdy drzwi otworzyły się gwałtownie. Pospiesznie odtwarzali szyk, gdy szłam pomiędzy godłami, robiąc dokładnie to, na co miałam ochotę przed kilkoma godzinami: wychodząc. Gdy już znalazłam się w obszernym holu, ciekawość wzięła górę i obejrzałam się za siebie.

– Bogowie tej ziemi – szepnęłam.

Z sali wyszło za mną około trzydziestu osób, które teraz przyglądały mi się wyczekująco.

Poza tymi, których zauważyłam, gdy opuszczali ławy, było tu teraz troje kolejnych dzieci Varnów, Lyla, Cain i Jag, a także grupa wampirów, z którymi dzieliłam pałacowe skrzydło: Fabian, Felix, Charlie i Declan. Amerykanin też tu był. Pomiedzy wampiry a Edmunda wsunęła się nerwowo Gracja Faunder. Obok niej stała z kolei z trudem powstrzymująca łzy siostra Violet.

Miałam przed sobą także Alfiego i Fallona oraz jego rodzeństwo, dwoje młodszych i troje starszych: Joannę stojącą teraz po stronie tego, którego oskarżyła, drugiego ambasadora, Henry'ego, i – rzecz niewiarygodna – Siego, wiecznego odludka i następcę tronu. *Nie zamieniłam z nim w życiu jednego słowa!*

– Trybunał nie pomoże Violet – powiedziałam. To właśnie pomyślałam sobie, wstając, a nie umiałam lepiej wyrazić tego słowami. *Wyszli za mną z sali. Poszli... za mną!*



Nie zamierzałam jednak bezczynnie się pałętać.

*Dopilnuj, żeby się nawzajem nie pozabijali*, poprosiłam Fallona, który przestał się uśmiechać, nim zdążyłam się obrócić.

*Co? A ty dokąd idziesz?*

Drzwi stanęły otworem, odsłaniając tabun dziennikarzy. Ci z pewnością obserwowali wydarzenia wewnątrz za pośrednictwem kamer. Wiedziałam, że Fallon idzie za mną, bo raz po raz ktoś wykrzykiwał jego imię, prosząc o komentarz.

– *Mam pomysł. Rozwiązanie dla Violet.*

– *Chcesz, żebym ci pomógł?*

Pokręciłam głową, zawiązując wstążki kapelusza pod brodą. Czekala na mnie Infanta, moja piękna klacz tuż po kwarantannie.

– Przypilnuj gospodarstwa.

Gdy przerzucałam nogę nad siodłem, po dywanie podbiegł do mnie Kaspar. Całkowicie ignorując Fallona, od razu zwrócił się do mnie:

– Nigdy nie próbowałem jej skrzywdzić, gdybyś tak przypadkiem myślała – wyrzucił z siebie, patrząc na mnie rozszerzonymi oczami i... szukając akceptacji?

Spoglądałam na niego tylko przez ułamek sekundy, po czym zebrałam wodze i popędziłam Infantę do galopu. Nie umiałam mu odpowiedzieć, bo nie wiedziałam, co myślę.

Musiałam zobaczyć Violet, nim zrobi to ktokolwiek inny.

Tego wieczoru prasa nazwała nas „odszczepieńcami”.

MUZA S.A. 8825\_8499

*Fallon*

Minęły trzy godziny, a Róża wciąż nie wróciła z pokoju Violet. Było już ciemno, ale ja nie zaciągnąłem zasłon w jej saloniku. Zamiast tego cały czas krążyłem po dywanie.

*Co ona zamierza? Dlaczego to tak długo trwa?* To była prawdziwa męka. Gdy wcześniej zniknęła na cały wieczór, jej umysł był cały czas odsłonięty, więc wiedziałem, że jest bezpieczna. Poza tym poszła wtedy na Uniwersytet Atheneński.

*Róża!*, zawołałem w myślach, spodziewając się, że odpowie mi cisza. Zamiast ciszy usłyszałem trzykrotne stukanie do drzwi.

Spojrzałem w stronę Richarda siedzącego w milczeniu na fotelu. Wyraz jego twarzy potwierdził moje spostrzeżenie. *Róża nie puka w ten sposób.*

– Kto tam? – warknąłem, z góry wiedząc, że o północy na pewno nie czeka nas żadna przyjemna wizyta.

Na chwilę zapadła cisza.

– Duszek Kacper. Otwórz te drzwi.

Ze zdziwienia opadła mi nieco szczęka, ale natychmiast zacząłem szykować czar.

Richard zmarszczył brwi i podniósł się z fotela.

– Czego chcesz?

– Porozmawiać. Nie zabiję cię przecież, na litość boską. Ojciec by mi nie darował.

Nawet przez drzwi jego akcent zgrzytał mi w uszach. Dźwięk równie przyjemny jak pisk kredy po tablicy. *Snob. Arogancki kretyn.*

– Wpuść go – powiedziałem do Richarda, trzymając jednocześnie w pogotowiu tę samą klątwę, którą Róża zastosowała wobec Felixa.

– Luz, panowie – rzucił Kaspar, wchodząc do pokoju z rękami nad głową. – Wy nie, zostańcie na zewnątrz – zwrócił się do swoich ochroniarzy, gdy próbowali wejść za nim. – Liczyłem na to, że pomówimy na osobności – rzekł, patrząc znacząco na Richarda.

Skinąłem głową na znak, że się zgadzam. Wiedziałem, że z jednym wampirem spokojnie dam sobie radę, a Richard i tak będzie tuż za drzwiami i usłyszy każde słowo.

Kaspar rozejrzał się po pokoju. Jego oczy rozszerzyły się nieco, gdy spostrzegł fortepian od niedawna stojący w kącie komnaty. Podszedł do instrumentu, przysiadł na stołku i przesunął palcami po lśniących, wypolerowanych klawiszach.

– Zakładam, że nie przyszedłeś po to, żeby się rozerwać – rzuciłem, gdy wciąż milczał.

– Violet i Róża wywaliły mnie z pokoju – odparł, po czym zaczął grać gamy. – No więc, wpadłem, żeby przeprosić – powiedział tak po prostu, nie gubiąc przy tym ani jednej nuty.

– Przeprosić?

– No tak. Wiesz, wyrazić żal za coś, co się zrobiło. Powinieneś tego kiedyś spróbować.

– Za co chcesz przeprosić? – warknąłem, mając szczerą chęć zakneblować go klątwą milczenia.

Raptownie oderwał dłonie od klawiatury. W pokoju zapadła cisza i tylko kilka ostatnich nut

zawisło złowieszczo w przestrzeni.

– Dowiedziałem się od Róży, co powiedział wtedy Felix. Kiedy się na ciebie rzuciłem, nie wiedziałem, że zachował się jak ostatni kutas.

Uniosłem nieco ramię.

– W porządku... i tak już po sprawie.

– Tak.

Przyglądał się mojemu odbiciu w lśniącym drewnie fortepianu. Włożyłem ręce do kieszeni, mając nadzieję, że teraz po prostu sobie pójdzie. Siedział nieruchomo, a wpadające przez okno światło księżycy oświetlało jego trupio bladą twarz. Kiedy tak wpatrywał się w moje odbicie, czułem się, jakby patrzył na mnie umarłak.

– Mam ataki gniewu... odkąd umarła moja matka. Rozumiem, dlaczego Róża jest taka introwertyczna. Kisimy w sobie różne sprawy – oznajmił powoli.

Ręce kompletnie mi zdrętwiały. *Czy ja dobrze słyszę, Kaspar Varn mówi o uczuciach?*

– Może powinieneś spróbować terapii? – zaproponowałem, nie mając pojęcia, co innego mógłbym powiedzieć. – Są świetni, Róży naprawdę pomogli.

Na nowo uderzył palcami o klawiaturę i zaczął grać piękną, łagodną melodię przypominającą nieco walca.

– Traktowałem ją po prostu jak człowieka – poinformował z naciskiem, podnosząc głos wraz z każdym słowem i akordem. – Jak ofiarę! Nie znęcałem się nad nią... prawda?

W jednym słowie zmieścił tysiące wątpliwości. Zacząłem wewnątrz panikować. *Co ja mam niby zrobić?! Nie jestem przecież psychiatrą!*

– Nie wiem dostatecznie dużo o waszej relacji – wykrztusiłem z siebie w końcu, a oczy mi się zaczerwieniły.

– Nie wiesz – zgodził się. – Nikt tylko jakoś nie pomyśli, że może to przemiana doprowadziła ją do takiego stanu. To się stało zbyt szybko. Za dużo było pośpiechu. Ona nie była gotowa... Może... może ona nie nadaje się na wampira. Może jest po prostu zbyt ludzka.

– Ja...

– Ona żywi się teraz twoją Różą. Opowiada mi wciąż o biciu jej serca, o tym, jak zwalnia i przyspiesza, kiedy jest z tobą. Mówi, że serce Róży jest jak zepsuty zegarek, który zawsze się spieszy albo spóźnia. Czasem Violet próbuje chyba udawać, że to jej własne serce tak bije. Chce znów poczuć się człowiekiem.

Żołądek podszedł mi do gardła.

– Przemienić się można tylko w jedną stronę – powiedziałem cicho.

Przestał grać i błyskawicznie obrócił się na stołku w moją stronę.

– Myślisz, że tego nie wiem?!

Wzdrygnąłem się przestraszony nieco jego gwałtownym ruchem. Kaspar jednak uspokoił się równie szybko, jak zapałał złością. Przesunął dłońią po potylicy.

– Wyjeżdżam jutro wieczorem...

– Opuścisz dwór? Zostawisz Violet?! – wypaliłem, nim zdołałem się opanować. Wiedziałem, że

facet nie potrafi się zachować, ale żeby wyjeżdżać? Miałem ochotę wydłubać mu mózg paznokciami.

– Jadę *polować* – poprawił się. – Spędzę parę dni na kontynencie. Muszę oczyścić umysł.

– Myślisz, że wyjazd ci w tym pomoże? – Okrążyłem sofę, podszedłem do fortepianu i po raz pierwszy zbliżyłem się do niego. Poruszałem się ostrożnie, na wypadek gdyby znów zaczął miotać się jak dzikie zwierzę. – Mimo że nie sypia, wciąż widuje cię w snach. Róża mi mówiła. Myślisz, że twój wyjazd na polowanie spowoduje, że będzie chciała pić krew?

Kaspar wstał.

– Muszę po prostu stąd wyjechać. Wariuję w tym miejscu.

Podszedłem jeszcze o krok.

– Czyli jesteś po prostu samolubny.

Otworzył i zamknął usta, by zaraz znów je otworzyć. Pokręcił powoli głową, odwrócił się w stronę fortepianu i ukrył twarz w dłoniach.

– Nie... Ja... ja po prostu nie wiem, co robić.

Ściągnąłem brwi, słysząc, jak głos mu się łamie.

– Wszystko w porządku? – Podszedłem ostrożnie do Kaspara, chwyciłem go lekko za ramię i obróciłem nieco w swoją stronę. W jego oczach nie było widać łez, ale drżały mu wargi. Spojrzał na mnie szarymi oczami, po czym strącił moją dłoń i rzucił się do drzwi. W progu przystanął na ułamek chwili.

– Myślałem, że zauroczenie rozwiąże wszystkie problemy. Myliłem się.

Po tych słowach zniknął.

MUZA S.A. 8825\_8499

*Jesienna Róża*

– Po prostu... niech wychodzenie z obrad trybunału nie wejdzie ci w nawyk. Takie rzeczy odnoszą skutek raz – powiedział król Athenea, wodząc spojrzeniem pomiędzy mną, swoją córką Emily bawiącą się u jego stóp i dwójką niesfornych bliźniaków, którzy cały czas starali się pociągnąć ją za włosy. – To, co zrobiłaś, okazało się jednak skuteczne. Mamy wobec ciebie dług.

Wstał z krzesła, na co troje dzieci przerwało zabawę i utkwilo w nim pełne podziwu spojrzenia.

Ja również wstałam.

– Wypiła dziś rano pół litra krwi. Nie spodziewałam się u niej tak szybkiej zmiany, ale to prawdziwe zrzęczenie losu.

– Zaiste, a ty, Bohaterska Damo, naprawdę błyszczysz. Ja i moja rodzina z radością obserwujemy, jak każdego dnia stajesz się coraz silniejsza. Chyba udało nam się wszystkim przysposobić cię już do atheneańskiego chaosu.

– Rzeczywiście czuję się tu jak w domu – przyznałam, czerwieniąc się lekko.

– Cieszę się, że tak mówisz. A teraz chodźmy. Powinniśmy już wracać do salonu.

Troje dzieci posłusznie zaczęło zbierać zabawki, a gdy skończyły, król wyprowadził całą naszą czwórkę z pokoju. Serce rosło mi z zachwytu, gdy mała Emily postanowiła wziąć mnie za rękę i ścisnęła moją dłoń, jakbym była jej siostrą.

W salonie było tłoczno. Jak zawsze. Tak naprawdę był to nie tyle salon, ile pokój rodzinny, w którym dzieci Atheneów bawiły się, rozwijały życie towarzyskie, odrabiały lekcje i, co najważniejsze, spędzały czas z rodzicami, gdy tylko ci znaleźli go trochę w swoim napiętym harmonogramie. Pokój znajdował się niedaleko za frontem pałacu, wciśnięty tuż za główny hol. Wszyscy mogli swobodnie się tu zebrać i widzieć zbliżającego się króla. On rzadko jednak wchodził od tej strony. Prywatne pomieszczenia były ze sobą połączone. Pamiętałam z dzieciństwa, że kiedy przebiegaliśmy z Fallonem pomiędzy kolejnymi, nigdy nie spotykaliśmy kogoś, kto nie miałby niebieskich oczu.

Fallon siedział teraz razem z wujem i ciotką w narożniku pokoju. Gdy weszłam, podniósł wzrok i uśmiechnął się, a ja – choć miałam na sobie jeansy i workowaty sweter – poczułam się natychmiast jak jedyna dziewczyna w zasięgu wzroku, dość piękna, by wywołać uśmiech. Miałam ochotę podbiec do niego, zarzucić mu ręce na szyję i przyssać się do niego jak jakiś pasożyt.

*Jestem szczęśliwa. Nie wiem dlaczego, ale jestem szczęśliwa.*

Nie podeszłam jednak do Fallona, a usiadłam z Violet i Kasparem przy niewielkim stole w przeciwległym kącie pokoju. Przeglądała któreś z kolorowych czasopism, ale wiedziałam, że to nie plotki przykuły jej uwagę. Kiedy sięgnęłam po jedno z krzeseł i usiadłam obok niej, uśmiechnęła się przelotnie.

– Wszystko dobrze? – spytałam, chociaż wiedziałam już, że tak jest. Nić komunikacji pomiędzy nami aż kipiała od ekscytacji.

– Jest idealnie – odpowiedziała, odrywając kawałek ostatniej strony czasopisma. – Rozmawiałam dziś z kobietą od rekrutacji. Powiedziała, że z moimi ocenami dostanę się bez problemu i że mogę zacząć od stycznia! Tutaj.

Podsunała mi skrawek papieru, na który od razu zerknęłam. Było na nim napisane coś o terapii ducha.

Uśmiechnęłam się szeroko.

– No i nie mogłaś chyba wybrać lepszego kierunku niż nauki polityczne. To może nam się tylko przydać.

– Jasne – rzucił kpiarsko siedzący naprzeciw mnie Kaspar. Violet zerknęła w jego stronę, a jej uśmiech natychmiast przygasł. Wzięłam głęboki wdech.

*Nie zniszcz tego, Kaspar. Ani się waż.*

*Znów się dziwnie zachowuje?*, spytał mnie w myślach Fallon.

Odpowiedziałam mu subtelnym skinieniem, zakładając, że na mnie patrzy.

*Przy mnie też się wczoraj dziwnie zachował.*

Jednym okiem wciąż obserwowałam Violet, oceniając jej reakcję. Nic z tego, co mówiono do mnie w myślach, nie trafiało już tylko do mnie.

*Później mi opowiesz*, odpowiedziałam krótko, napominając go, żeby był bardziej dyskretny. Wciąż chyba nie do końca zdawał sobie sprawę z tego, jak działa więź.

*Co robiłaś tyle czasu? Od wczoraj prawie cię nie widzę. Violet ma broszurkę z uniwersytetu, ale nie rozumiem, co się zmieniło. To teraz inna dziewczyna!*

Uśmiechnęłam się. *Będzie składać papiery na studia.*

– *Naprawdę? Super! Tylko... co to zmienia w całej sytuacji?*

– *Pamiętasz, jak mówiłam ci, że widziałam królową wampirów? Powiedziała mi, że Violet i ja jesteśmy do siebie podobne. Wtedy przypomniałam sobie, co dla mnie było ratunkiem – właśnie nauka. Nie przyszło mi to do głowy, póki Antae nie powiedział, że należy ją uczyć...*

Violet, która oczywiście słyszała każde moje słowo, posłała mi krótki uśmiech.

– Bycie wampirem nie oznacza, że trzeba rezygnować ze swoich planów – powiedziałam jednocześnie na głos i w myślach, tak by moje słowa dotarły również do Fallona. *Będzie mieć po co żyć i za co pić* – dodałam po chwili.

Byłam tak pochłonięta rozmową, że nie zauważyłam, kiedy w pokoju pojawili się Athanie. Zorientowałam się dopiero wtedy, gdy król poprosił dzieci, żeby wyszły. Wszyscy unieśli nagle głowy, a najmłodszy ze zgromadzonych głośno protestował.

– Idźcie! – warknął król ze zniecierpliwieniem. Wtedy nie miałam już wątpliwości, że stało się coś złego. Nigdy wcześniej nie widziałam, by tracił cierpliwość przy dzieciach. Nigdy nie słyszałam nawet, żeby podniósł głos. To mu po prostu nie pasowało. Nie grało to z jego głosem i nietypowym, niepowiązanym z żadnym miejscem akcentem. Król, w odróżnieniu od wielu członków swojej rodziny, nie przejął akcentu kanadyjskiego. Jego sposób mówienia charakteryzowało ciepło i zmienność. Mówił jak ktoś, kogo kraj widział wzrosty i upadki innych kultur. Jak ktoś, kto przekonuje, nie krzyczy.

Dzieci zdawały się równie zaskoczone jak ja, ale usłuchały polecenia i niechętnie wyszły za Alyą z pokoju.

Edmund podszedł do stojących pośrodku pomieszczenia sof, ściskając w dłoni urzędowo wyglądający papier i coś, co wyglądało na odbitkę zdjęcia na błyszczącym papierze. Chciałam

przysunąć się i popatrzeć, ale byłam jak przygwożdżona do fotela. Stało się coś złego. *Coś bardzo złego*. Czułam to sercem.

– Róża, mam... smutne wieści – zaczął Edmund. Jego powolny, pełen współczucia ton tchnął życie w moje nogi. Wstałam, by usiąść w fotelu obok króla i królowej. Czułam się tak, jakby moje ciało poruszyło się samo, a umysł i myśli unosiły gdzieś poza nim. Oglądałam rozgrywającą się przede mną scenę, jakbym była w teatrze.

Fallon podszedł do mnie, przykucnął obok fotela i wziął mnie za rękę. Zbliżyli się również jego wuj i ciotka, a także Alfie i Lisbeth. Gdy uniosłam wzrok, Kaspar i Violet wydali mi się nagle niewyraźnymi, nieistotnymi postaciami gdzieś w dalekim kącie pokoju.

– Może pójdziemy gdzie indziej? – usłyszałam głos króla.

– Tu jest dobrze – odpowiedziałam. Mój głos zabrzmiał jakoś obco, zbyt spokojnie jak na mój stan. Edmund wziął głośny, głęboki wdech.

– Extermino... Tak mi przykro. Twoja ludzka szkoła... Oni... zaatakowali ją i...

Pochyliłam głowę i utkwiałam wzrok w rzeźbionym liściu klonowym u podstawy stolika. Starłam się zachować spokój, nie dopuścić do siebie poczucia winy i narastającego uczucia paniki.

– Nie było strażników – wykrztusił Fallon, oblekając w słowa moje własne myśli i okropną, przeokropną myśl, która zrodziła mi się z tyłu głowy. *Nie było strażników, bo porzuciliśmy uczniów na pastwę losu*.

– Czy były ofiary? – usłyszałam pytanie księżnej Victorii.

– Według niektórych świadków Extermino było aż dziesięciu. Zaatakowali podczas przerwy, kiedy większość uczniów przebywała na boisku... Nie mieli szans się ukryć. Mam... mam tu spis rannych. Jest ich ponad setka – powiedział cicho, kładąc na stoliku kartkę zadrukowaną imionami i nazwiskami. W oczach zbierały mi się łzy, ale zdołałam zobaczyć, że na całej liście pojawiają się tylko dwa sformułowania: „stan krytyczny” i „stan stabilny”.

Christy, Tammy, Gwen, Valerie, John Sylaeia – wszyscy tu są...

Podał jeszcze kilka nazwisk, które nic mi nie powiedziały. Rozpoznał je za to najwyraźniej Fallon, bo zaraz przycisnął mnie mocniej do siebie.

– Zostali trafieni klątwami, ale są w stanie stabilnym.

Nie potrafiłam oderwać oczu od listy. Wiedziałam doskonale, dlaczego to zrobili. To był z ich strony manifest. Pokazali, że są jak sępy – gdy zoczą szansę, wykorzystają ją i w odróżnieniu od nas zachowują w walce „o sprawę” nieustanną czujność. *Ale jak mogli? Jak ktokolwiek może krzywdzić niewinne niczemu ludzkie dzieci?!*

– Nikt nie zginął? Bogu dzięki. – Księżę Lorent odetchnął z ulgą.

Edmund ciężko przełknął ślinę.

– Jedna osoba zginęła.

Natychmiast spojrzałam na Edmunda, który zbliżył się do króla i podał mu fotografię. Nasze spojrzenia przecięły się na ułamek chwili, po czym Edmund się odwrócił.

– Nazywała się Thyme. Thyme Carter.

Poczułam, jak serce rozrywa mi pierś, przebija plecy i przekłuwa płuca. Bezskutecznie próbowałam wziąć wdech.

– Kto? – spytał ktoś zdezorientowany.

– Tee – wyszeptał siedzący obok mnie Fallon. – Tee.

Świat wokół mnie wirował... Tee... mała, słodka Tee nie żyła. Została zamordowana.

– To nie może przeciec do mediów – powiedział król drżącym głosem. Uniosłam głowę złąkniona tlenu. Zobaczyłam, jak przypatrując się fotografii, robi się na twarzy bladozielony.

– Pokażcie mi to zdjęcie – zażądałam, wrywając rękę z uścisku Fallona i chwytając się kurczowo podłokietników fotela. – Natychmiast!

Król zwrócił fotografię Edmundowi, który przycisnąwszy ją do piersi, obszedł krąg foteli i zbliżył się do mnie. Spojrzenia wszystkich zwrócone były teraz na mnie.

– Róża – wyszeptał – lepiej tego nie rób.

Sięgnęłam drżącą dłonią po zdjęcie i chwyciłam za róg odbitki. Nie odrywając oczu od twarzy Edmunda, opuściłam rękę i położyłam sobie ją na udach. Fallon jęknął z przerażenia, przyciskając dłonie do ust. Odwrócił się i opadł zgarbiony na kolana.

Dopiero teraz spojrzałam w dół na fotografię.

Były na niej plecy. Plecy dziecka. Plecy Tee. Przez ramię biegła długa rana cięta, w którą już zaczynała wdawać się infekcja. Obfity krwotok posklejał widoczne w kadrze włosy. Miała wywiniętą do tyłu rękę, a spod skóry przebijała złamana kość. Na nadgarstkach widniały szerokie ukośne odciski tworzące równe rzędkie – z pewnością ślad po widocznej obok postrzępionej linie.

Na plecach Tee wryto litery. Czerwień krwi lśniła na tle ciemnej skóry, a krwawe ciągi układały się w słowa:

*Długo jeszcze wytrzymasz, lady?*

*Możemy to przerwać, księżno.*

*Pamiętaj, Rózo, że czekamy na Ciebie.*

*Buziaki*

*Nathan*

Odrzuciłam fotografię, nie dbając o to, gdzie wyląduje. Wstałam, nie będąc nawet w stanie zamrużyć ani przełknąć śliny. Przez chwilę bezmyślnie gapiłam się w ścianę, a pokój wokół mnie zdawał się kołysać. Następnie, po raz drugi tego dnia, wyszłam.

Podłoga falowała. Bardzo ostrożnie stawiałam kolejne kroki, aż wreszcie drzwi do holu stanęły przede mną otworem i poczułam zapach świeżego powietrza. Ruszyłam w stronę, skąd napływało, coraz bardziej przyspieszając kroku.

Słyszałam dobiegający zza moich pleców głos Fallona. Raz po raz, szlochając, wołał mnie po imieniu. Ktoś w końcu powiedział do niego: „Nie wołaj”.

Róża? – Edmund zrównał się ze mną krokiem. Nie spojrzałam na niego. Nie potrafiłam. *Winiłam go za to, co się stało.* Chciałam, żeby znalazł się jak najdalej ode mnie.

*Infanta... mój koń,* zdołałam pomyśleć. Zmagałam się z chorobliwą mgłą, która opadła na mój umysł.

Wiele osób stłoczyło się przy wejściu, by jednak zaraz zacząć się wycofywać na widok własnej



Bohaterki, chorej i sunącej ku nim w stanie szoku. Mijając ich, czułam, jak odrywa się ode mnie ubranie, a czarne sukno spowija mnie, by ukryć moją nagość. Jeszcze kilka sekund i miałam na sobie kompletny strój żałobny: czarne spodnie, czarną bluzkę, czarne rękawiczki. Koronka wokół szyi jak obroża u smyczy uwiązała mnie do pamięci o zamordowanej. Rozpuszczone włosy opadły mi luźno na ramiona, bym mogła skryć za nimi moją winę.

Otwarto przede mną potężne, prowadzące na zewnątrz drzwi. Powitała mnie feeria ognistych barw. Niebo miało kolor jasnopomarańczowy, a słońce zanurzało się za horyzont otoczone smużką purpury. Na końcu bulwaru pomiędzy dwoma pałacowymi skrzydłami dostrzegłam sylwetkę Infanty. Trzymał ją za uzdę samotny chłopiec stajenny.

Widząc mnie, zarzuciła na powitanie łbem. Wiedziałam, że to ona najlepiej dotrzyma mi towarzystwa, a jazda na niej będzie lepsza niż latanie. Gdy siedziałam już w siodle, podbiegł do mnie Edmund. Wziął uzdę od chłopca stajennego, który ukłonił mu się nisko i zaraz zniknął.

– Przepraszam, potwornie mi przykro – powiedział cicho – powinniśmy byli zostawić ich pod ochroną. Powinniśmy...

– Zostaw mnie – warknęłam, spinając Infantę, która wyrwała naprzód w szaleńczym tempie. Edmund nie usłuchał mnie jednak i cały czas podążał za mną, czasem biegnąc, czasem lecąc. Klacz gnała przez równiny łąk, moje rozpuszczone włosy łopotały bezładnie za moimi plecami.

Zastanawiałam się, jak musiało to wszystko wyglądać dla tych, którzy nas wtedy zobaczyli. Oto nagle szaro-czarny kontur na tle jasnego nieba pędzi przed siebie, uciekając od pałacu tak, jakby słońce obracało go właśnie w przynę.

– *Wspaniale, dziecko. Cokolwiek będziesz robić, będziesz w tym wspaniała.*

– *Na razie zupełnie się tak nie czuję, babciu.*

– *Przyjdzie na to czas, dziecko. Czas uczyni cię wspaniałą.*

Gnałam dokądś przez trawy, wołając ją po imieniu w języku znanym mi równie dobrze jak padający na ścieżkę przede mną cień wysokiego kamiennego budynku. Z moich oczu ciekły strugi łez. Z trudem wdrapałam się po schodach, słysząc dobiegające zza drzwi przytłumione głosy. Mój płacz wzmagął się jak nurt pobliskiego strumienia po zimowych ulewach. Kanciaste, zatwierdzone przez belfrów lakierki na obcasie zapiszczały żałośnie na posadzce, gdy przez podwójne drzwi wtargnęłam do środka, by ujrzeć po tysięckroć widziany obraz: setki zwracających się w moją stronę twarzy, a zaraz potem – czerń.

Katedra atheneńska była piękną budowlą. Z zewnątrz wyglądała jak jeden z wielu gotyckich kościołów rozrzuconych po Wielkiej Brytanii. Miała gargulce o twarzach nadtopionych latami działania żywiołów i ciągnący się kilometrami cmentarz. Jak okiem sięgnąć, wystawały z ziemi niewielkie kamienne płyty nagrobne, zieleń krajobrazu nakrapiając szarością. Pośród zmierzchu rozległo się bicie dzwonów. Przez zapraszająco otwarte drzwi katedry dobiegał śpiew chóru.

Wnętrze nie było ani trochę tradycyjne: znajdowały się w nim ławki, ale przestrzeń podzielono na strefy modlitwy dla wyznawców wszystkich ważniejszych wyznań. Niosący się echem śpiew chóru dobiegał z niewielkiej kaplicy bezpośrednio po mojej lewej stronie. Elementem, który dotąd zrobił jednak na mnie największe wrażenie, było prastare drzewo rosnące mocą magii pośrodku świątyni. Był to dąb, którego gałęzie pięły się wysoko ponad naszymi głowami ku katedralnej iglicy. W jego cieniu znajdowały się białe grobowce.

W jednym z nich pochowana była moja babcia.

Kilku mężczyzn w brązowych habitach – mnichów, jak zakładałam – zamiatało liście spod rozłożystego drzewa. Jeśliby pominąć ich dyskretną obecność, przywódcy religijni nie zajmowali się dębem.

Przysiadłam obok nagrobka babci, umieszczonego na samym froncie i zastawionego symbolami pamięci. Były zwiędłe kwiaty w pleśniejącym szkle, które zaraz wyrzuciłam, ale i świeże, postawione niedawno. Stały pomiędzy blaknącymi fotografiami babci, moimi... a nawet dworu Manderley, którym tak pogardzała.

Podwinęłam nogi pod siebie i oparłam czoło o chłodny marmur. Raz po raz głęboko wciągałam powietrze. Pod skórą czułam ślady wyrytych liter. Zaraz zaczęłam wodzić po nich palcem, by odczytać słowa.

– Rebecca – powiedziałam pod nosem, odczytując jej pierwsze imię, a omijając tytuł. Nie należał już do niej. – Rebecca... Al-Summers – dokończyłam, przesuwając opuszką po ozdobnym, zawiniętym „S”.

Nie zdziwiłabym się specjalnie, gdyby zareagowała na moją obecność: odsunęła płytę, usiadła i fuknęła na mnie, żebym przestała płakać i się garbić. Sama jednak zapieczętowałam grób zaklęciem, gdy ostatnim razem byłam w katedrze.

Czułam złość w większym jeszcze stopniu niż przerażenie czy smutek. Byłam zła na siebie za to, że ani razu nie pomyślałam o ludziach w Kable, i za to, jak zachowałam się, kiedy Valerie dostała zapaści. Gdybym była bardziej wytrwała, być może zostalibyśmy w szkole dość długo, żeby był czas na znalezienie nam zastępców. Byłam też zła na Athanów za to, że znów nawalili, że nigdy nie dbali o bezpieczeństwo ludzi. Byłam zła na Edmunda, który przypatrywał mi się teraz, zajmwszy miejsce w ostatniej ławce.

Byłam zła na Atheneów, a także na Violet i Kaspara za to, że odciągnęli moje myśli od przyjaciół i że jako wampiry zabijali ludzi takich jak Tee, praktycznie bez namysłu.

– Nie rozumiem – wyszeptałam w marmur. Tak bardzo zbliżyłam usta do jego chłodnej powierzchni, że prawie ją całowałam. – Dlaczego ja? Nie wiem, co mogę zrobić, żeby zmienić ten świat... żeby powstrzymać tak wielkie zło. Wciąż jestem przecież dzieckiem. Wciąż żyję w twoim cieniu.

Usłyszałam w górze szelest. Uniosłam głowę i zobaczyłam kilka suchych jesiennych liści, które opadały po spirali, jakby unosił je mikroskopijny cyklon. Porwane zaraz nieprzyjemnym przeciągiem rozsypały się po płycie nagrobnej, a mnie przez moment wszystko wokół wydawało się brązowe.

Przeszedł mnie dreszcz. Na zewnątrz zaczął prószyć śnieg.

Lodowaty powiew był oczyszczający. Miałam chęć zostać tam i zamarznąć. Było to z pewnością lepsze niż myślenie o Tee. Na zewnątrz czekała jednak na mnie Infanta, której znacznie mniej podobały się zimno i wilgoć.

Wyciągnęłam dłoń i dotknęłam krawędzi grobowca.

– Zemszczę się, babciu. Pomszczę i ciebie, i Tee. Nie wiem jeszcze, jak to zrobię, ale będę mieć na rękach krew Nathana. Przyrzekam. Będiesz dumna ze mnie jako księżnej i jako Bohaterki. Patrz na mnie, gdy będę wyrywać się z twojego cienia. Patrz, jak będę rosnać w siłę.

Podniosłam się, uważając, by nie przewrócić żadnego z bukietów, po czym pomału ruszyłam

przejściem w stronę Edmunda. Ten uśmiechnął się słabo na mój widok i spytał:

– Gotowa?

Skinęłam głową. *I to na znacznie więcej, niż kiedykolwiek sądziłaś.*

Wyszliśmy razem na zimne grudniowe powietrze.

*Dziecko, pewnego dnia odejdę, a ty będziesz musiała iść dalej sama. Dzień, w którym nauczysz się, jak to robić, będzie bardzo ważny. Tego dnia przestanę nazywać cię dzieckiem.*

MUZA S.A. 8825\_8499

*Jesienna Róża*

Po powrocie sama uporządkowałam z chęcią cały osprzęt jeździecki. Jak tylko mogłam, starałam się opóźnić moment powrotu do pałacu. Byłam spokojna. Naprawdę spokojna. A może po prostu odrętwiała.

Gdy już odprowadziłam Infantę do jej boksu, zostałam jeszcze przez chwilę na dworze. Oparłam się o słup przy wejściu do budynku i przypatrywałam się dziwnej kolorystycznej mieszance różowawego nieba i padającego śniegu. Wokół było upiornie pusto. I cicho. Aż do momentu, w którym zza pałacowego skrzydła wyłoniło się kilka postaci. Pędziły tak szybko, że zlewały się w jedną niewyraźną plamę. Zmrużyłam oczy i posłużyłam się zaklęciem zwiększającym ostrość widzenia.

Zobaczyłam wtedy Kaspara Varna, jego młodszego brata, Amerykanina, Felixa i Grację Faunder. Wszyscy ubrani byli w ciemne szaty i z niesamowitą, właściwą wampirom prędkością biegli ku południowej bramie. Każde z nich miało na ramieniu niewielki plecak. Nie towarzyszyła im ochrona ani straż.

Gdy zniknęli mi z oczu, zamarłam w bólu i konsternacji, bo oto za sprawą naszej więzi stanęła przede mną Violet.

*Nie mogę się dziś tobą zająć, pomyślałam. Zamordowano moją przyjaciółkę.* Violet nie zniknęła – nie mogła. Rzuciła jednak pod moim adresem parę gniewnych myśli, a jej obraz nieco przyblakł.

– Idą na polowanie – dobiegł głos zza moich pleców. Od razu rozpoznałam Fallona.

Odwróciłam się częściowo w jego stronę, ale nie rozplotłam skrzyżowanych na piersiach rąk. Było na to zbyt zimno, a ja byłam zbyt odrętwiała.

– Spodziewałem się, że cię tu zastanę – kontynuował, przyciągając mnie ku sobie i przytulając. Gdy mój policzek oparł się o jego rozgrzaną pierś, Fallon rozplótł moje skrzyżowane ręce. – Masz ręce jak sople – powiedział cicho. Zaraz przywołał skinieniem dłoni kurtkę i narzucił mi ją na ramiona, by następnie rozpalić pomiędzy nami płomyk, który pozwolił odtajać moim dłoniom. – Jest grudzień. Musisz nosić więcej warstw – zbeształ mnie delikatnie, odgarniając moje wilgotne, poskręcane włosy, tak że ułożyły się zgodnie z linią przedziałka.

– Lubię, kiedy jest zimno – szepnęłam, przypatrując mu się przez przyprószone śniegiem rzęsy.

Zaśmiał się.

– Pasuje ci to do imion. Chłodna w dotyku, ale rozpala swoim widokiem.

Próbowałam się uśmiechnąć, ale moje usta zdołały ułożyć się tylko w prostą kreskę.

– Myślę, że babcia spojrzała mi w oczy i nadając mi imię, wiedziała, jak potoczy się moje życie. Myślę, że wszystko to przewidziała.

Odsunęłam płomyk na bok i przytuliłam się do Fallona. Wsunęłam mu się pod pachę, opierając połowę pleców o jego pierś. Objął mnie i oparł podbródek na moim ramieniu. Czułam się bezpieczna.

– Nigdy nie będziemy mieć pewności – szepnął, przyciskając mnie do siebie.

– Niekoniecznie. Violet widuje przecież królową wampirów.

Znieruchomiał na moment, po czym uniósł głowę.

– Róża, nie wiemy jeszcze wystarczająco dużo o jej mocach, żeby liczyć na takie rzeczy. – Zaczął pocierać lekko moje ręce i ramiona. – Nie pozwól znów się zranić. Daj jej odejść.

– Już to zrobiłam – zapewniłam go, wątpiąc w prawdziwość własnych słów.

– To dobrze.

Padał coraz gęstszy śnieg. Nie utrzymywał się jeszcze na ziemi, ale widziałam już, jak ściekająca z rynien pośniegowa woda zamienia się w lód.

– Chcę pojechać na pogrzeb Tee. Chociaż tyle możemy dla niej zrobić.

– Nie wiem, czy nam pozwolą, ale dobrze – spróbujmy.

– Tammy... Tammy nas znienawidzi. To... to przez nas to się stało – wyjąkałam, czując, że zbiera mi się na płacz. Po tym, ile zrobiła, by mi pomóc...

Obrócił mnie i unióśł palcem mój podbródek.

– Nie baw się w obwinianie siebie i innych. Jedynym złem są w tym wszystkim Extermino i dopilnujemy, żeby spotkała ich kara. Tammy zrozumie.

Pocałował mnie w oba policzki, tuż poniżej oczu, przechwytyjąc wargami moje pierwsze łzy.

Nagle odsunął się ode mnie i sięgnął do kieszeni.

– Mam dla ciebie kolejny amulet do bransoletki.

Otworzył dłoń, odsłaniając złote kółko z czarnym przeszyciem. Było mniej więcej wielkości pierścionka, a wisiał na nim czarny motyl. Gdy je uniosłam, zobaczyłam, że na jego skrzydłach wygrawerowano maleńkie czerwone róże.

– Dziękuję – szepnęłam. Byłam równie zdumiona subtelnością prezentu jak za pierwszym razem.

Wziął ode mnie kółko i uważnie zaczął przytraczać je do bransoletki, której nigdy nie zdejmowałam z nadgarstka.

– Przeszłaś metamorfozę, nie jesteś już poczwarką. To dlatego daję ci motyla. Czasem aż trudno mi sobie przypomnieć, jak to było, kiedy wciąż byłaś gąsienicą – powiedział pod nosem w tej samej chwili, w której wsuwka zaskoczyła, a motyl zawisł obok pozostałych amuletów.

Uniosłam nadgarstek do światła sączącego się z budynku stajni.

– To miał być tekst na podryw? – spytałam, podziwiając nowy prezent.

– Jeśli jest dobry, to tak – odparł zadowolony z siebie. – No ale teraz jesteś dorosła. O to mi chodziło.

Opuściłam nadgarstek, wzięłam go za ręce i owinęłam je wokół swojej szyi, żeby przyciągnął mnie bliżej siebie.

– Czy mogę... znów przyjść do ciebie na noc?

Zmrużył oczy i przechylił głowę lekko na bok.

– Masz na coś ochotę?

– Na nic – szepnęłam i wspięłam się na palce, by go pocałować. Ubiegł mnie jednak i wsunął palec pomiędzy nasze usta.

– Nie kłam.

Skinęłam głową, odsunęłam jego palec i wreszcie przycisnęłam wargi do jego warg. Potem odsunęłam się od niego i ruszyłam przez padający śnieg. Szłam zwrócona tyłem do pałacu, by cały

czas mieć przed sobą Fallona.

– Wszystko, Wasza Wysokość. Mam chęć na wszystko.

Kącik jego ust uniósł się w uśmiechu. Pstryknął palcami, a światła w stajni zaraz przygasły. Odepchnął się od ściany i ruszył za mną, a ja odwróciłam się i szłam w stronę wejścia dla służby. Rozpostarłam ręce i łapałam dłońmi śnieg, czekając, aż księżę dogoni mnie w ten chłodny, grudniowy atheneński wieczór.

Spał jeszcze, kiedy obudziłam się następnego ranka. Nie wiedziałam, jak wiele godzin przespałam, ale sądząc po tym, ile wysiłku włożyłam w to, żeby usiąść – za mało. Wyrwał mnie jednak ze snu tkwiący pod moimi powiekami obraz twarzy Tee. Wczorajszego wieczoru odeszła. Przez jakiś czas była równie nieobecna w mojej pamięci jak w świecie żywych. W nocy jednak, kiedy nie obejmowały mnie ramiona księcia, wróciła.

Odgarnęłam włosy z oczu i przyjrzałam mu się. Leżał wyciągnięty na samym skraju swojego wielkiego łóżka. Palce jego stóp zahaczały o dekorację ramy w nogach, a jego nagie ciało było całkiem odkryte – musiał w nocy zrzucić z siebie pościel, bo teraz to ja miałam na sobie jej dwie warstwy. Ciężko oddychał, więc wysunęłam się z łóżka bardzo powoli, zabierając ze sobą jedno z gładkich, białych prześcieradeł, którym owinęłam się zaraz jak ręcznikiem. Było to dość prymitywne okrycie, ale było mi gorąco i się pociłam. Chciałam odetchnąć zimnym powietrzem na zewnątrz.

Bardzo ostrożnie otworzyłam drzwi balkonowe i zamknęłam je za sobą, gdy tylko poczułam pod stopami kamienną posadzkę. Była zmrożona, boleśnie lodowata. Przeskakiwałam z nogi na nogę, by w końcu znaleźć skrawek przestrzeni bez śniegu, na którym jako tako dało się stać.

Atheneę pokryła śnieżna pierzyna. Po swojej prawej stronie widziałam oszroniony las, a w oddali zamarznąłą taflę jeziora. Góry zmieniły się w białe stożki, a równiny pokryła warstwa śniegu tak głęboka i nieskalana, że miałam chęć skoczyć z balkonu i zanurkować w puchu, by przekonać się, czy jest tak miękki, na jaki wygląda.

Widok był naprawdę magiczny. W Londynie czy Torbay nigdy nie leżało tyle śniegu. Wokół wciąż rozbrzmiewał śpiew ptasiego chóru, ale ja miałam ochotę od razu ubrać się i pobiec bawić się na dworze.

Obracając się ku drzwiom, zauważyłam błyskające światło. Raz po raz zapalało się i gasło na szczycie najbliższej góry, by po chwili niespodziewanie zacząć się rozrastać. Blask rozlał się po śnieżnej bieli, a już po chwili wyglądało to tak, jakby cały szczyt góry stał w ogniu.

Nie sposób było tego z czymś pomylić – był to ogień alarmowy. Ostatni wielki znicz zapalany dopiero wtedy, gdy zapłonie wszystkich dwanaście w wymiarze. Te zaś zapalano tylko w obliczu zagrożenia...

Nastał czas Bohaterek, a Extermino przystąpili do działania, chcąc wbić klin pomiędzy nas i ludzi... Jediną siłą stojącą im na drodze byłyśmy Violet i ja.

Przełknęłam z trudem ślinę, gdy pojawił się znany mi aż za dobrze kłujący ból w skroniach. Zupełnie jakby strzała przeszła mi czaszkę. Ból nie ustępował. Przeciwnie – narastał, by stać się zaraz niemal nie do wytrzymania. Chciałam zawołać Fallona, ale wystarczyło, że poruszyłam żuchwą, a natychmiast spirala bólu oplotła moją szyję i pierś. Zdołałam tylko chwycić się balustrady, nim moje ciało zaczęło osuwać się na ziemię, a wzrok skupił się na potężnym płomieniu.

Wewnątrz komnaty zegar wybił pełną godzinę.

– To była wizja... dziewczyny – wyszeptał chri'dom. Leżał bezwładnie na podłodze wśród odłamków szkła ze strzaskanego kieliszka i obok kałuży czerwonego płynu. – Ściągnijcie tu szybko Szkarłatnego i Pierre'a! – polecił swoim doradcom. Ci ruszyli natychmiast do wyjścia, ale mistrz przywołał jeszcze na moment swego protegowanego. – Załatwione? Jedna z jej szkolnych towarzyszek nie żyje?

Młody mężczyzna skinął głową.

Chri'dom wykrzesał z siebie dość siły, by chwycić jego wyciągniętą rękę.

– Krwią dowiodłeś swojej lojalności wobec mnie. Przeznaczenie zaiste dokonało trafnego wyboru. A teraz pomóż mi wstać, bo dziś rozpoczynamy poszukiwania trzeciej Bohaterki Przeklętych. Widziałem ją, Nathanielu. Widziałem ją i już wiem – jest człowiekiem.

MUZA S.A. 8825\_8499

## Podziękowania

Przede wszystkim należą się moim niezmordowanym rodzicom. Moja wszechstronnie uzdolniona mama wzięła na siebie role osobistej asystentki, księgowej, korepetytorki podatkowej, przewodniczki w kupowaniu domów, projektantki wnętrz, internetowego PR-owca, specja od kontaktów z fanami i rzeczniczki, której nie sposób zagiąć. Gdy wszystko wokół nabierało zbyt dużego tempa, stawała się zaporą pomiędzy moim studenckim wcieleniem a światem zewnętrznym. Tacie należą się podziękowania za to, że co osiem tygodni przewoził mnie i kuchenny zlew z hrabstwa Devon do Oksfordu, i za to, że opanował jazdę Botley Road równie dobrze jak miejscowi.

Dziękuję mojemu agentowi, Scottowi Mendelowi, który nadal wykonuje świetną robotę, mimo że mam tendencję do pozostawiania sterty kontraktów na zagraniczne przekłady na długie tygodnie na drukarce przygniecionej *Beowulfem*.

Dziękuję redaktorze brytyjskiego wydania, Amy McCulloch. Wykonała znakomitą pracę przy *Jesiennej Róży*, jednocześnie promując swoją debiutancką powieść i sama pisząc. (Musisz chyba mieć aparat cofający czas, mogłabym go pożyczyć?)

Wielkie dzięki dla redaktorki wydania amerykańskiego, Eriki Tsang, i całego pracującego w USA zespołu Williama Morrowa – nie tylko za pracę wykonaną przy tej książce, ale też za to, jak zakochali się w *Kolacji z wampirem* i wypuścili ją na rynek w marcu 2013.

Wszystkim wydawnictwom w różnych miejscach świata pracującym nad przekładami serii *Mroczna Bohaterka* dziękuję za to, że zanoszą moje historie i postaci do ludzi i miejsc, o dotarciu do których nie śmiałam nawet marzyć.

Cała wdzięczność świata dla „Oxonian ’nillas” i kilku innych wspaniałych ludzi z uczelni i z miasta. Za kawę o północy, która pozwala przetrwać kolejny kryzys przy pisaniu pracy, za dostawy czekolady w czasie „załamki piątego tygodnia”, wiele drinków, które najprawdopodobniej jestem wam winna, zabawę woskiem ze świec na uroczystych uczelnianych kolacjach, za przytulenia i uściski, ale przede wszystkim za to, że dopilnowaliście, żebym zachowała trochę normalności, kiedy nawet lekarz powiedział, że niewiele mi jej już zostało.



- [1] W brytyjskim systemie edukacji uczniowie tej samej klasy nie zawsze są w jednakowym wieku. Przykładowo, do pierwszych klas szkół średnich przyjmowane są dzieci w wieku od 11 do 13 lat (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).
- [2] *Prince* po angielsku znaczy „księżę”.
- [3] *Marmite* – popularny w Wielkiej Brytanii wyciąg drożdżowy, najczęściej wykorzystywany do smarowania chleba.
- [4] *Vegemite* – pasta drożdżowa popularna w Australii i Nowej Zelandii.
- [5] Aluzja do piosenki *Puppy Love* Paula Anki.

Warszawskie Wydawnictwo Literackie

MUZA SA

ul. Marszałkowska 8

00-590 Warszawa

tel. 22 6211775

e-mail: [info@muza.com.pl](mailto:info@muza.com.pl)

Dział zamówień: 22 6286360

Księgarnia internetowa: [www.muza.com.pl](http://www.muza.com.pl)

Wersja elektroniczna: [MAGRAF s.c.](#), Bydgoszcz